

4267/61

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

BIBLIOTEKA I MUSEUM

**BIBLIOTEKA**  
**WARSZAWSKA.**

**PISMO POŚWIĘCONE**

**NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.**

**1856.**

**Tom pierwszy.**

**OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXI.**

**WARSZAWA.**

**W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ.**

**1856.**

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

4620. 1856. 1

II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,  
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 3 (15) grudnia 1855 r.

Starszy Cenzor,

**F. Sobieszczański.**



30.000,-

X-14160	
46201	4

09. 28. 61.

1.

1856

## ZAKON DOBRZYŃCÓW

AŻ DO WDANIA SIĘ W UKŁADY Z KRZYŻAKAMI.

PRZEZ

*Nepomucena Romanowskiego.*

---

### I.

Zakony rycerskie powstały w czasie wojen krzyżowych. Pierwsze z nich zawiązały się w Palestynie w celu niesienia opieki chorym pielgrzymom; później opiekę swą i nad zdrowiem rozszerzyły. Zakon Joannitów ukonstytuował się w osobne ciało roku 1100 pod zwierzchnictwem Gerharda z Prowancyi. Hugo z Payens położył 1118 r. fundament zakonu Templaryszów, który obronę ziemi św. i pielgrzymów w podróży do Jerozolimy za cel główny wziął sobie. Oba te zakony wkrótce do znacznych przyszły dostatków, któremi ziomkom swoim: pierwszy Włochom, drugi Francuzom biegły w każdej potrzebie w Palestynie na pomoc. W r. 1128 brak podobnego przytułku dla swych ziomków, skłonił jakiegoś Niemca w Jerozolimie mieszkającego do założenia szpitala dla chorych Niemców przeznaczonego. Za zezwoleniem patriarchy, wybudowano kościół przy szpitalu i oddano kościół ten i szpital pod opiekę N. P. Maryi. W czasie oblegania Akkonu podniósł Fryderyk ks. Szwabii braci szpitala Jerozolimskiego, który wraz z mieszczanami kilku bremeńskimi i lubeckimi pielegnować i tutaj nie przedstawali pomocy potrzebujących chorych Niemców, do stopnia

rycerskiego zakonu. Klemens III (1) potwierdził czyn księcia bullą z dnia 6 lutego 1191, a gdy bullę pod Akkonem odebrano, odział w suknie zakonne patriarchy Jerozolimski 40 ochotników. Bój z poganami i pielęgnowanie chorych, dwoma były zadaniami zakonu. Szybko wzmógł się zakon w liczbę i bogactwa; rozprzestrzenił się w Azji i Europie, i w miarę jak głośno u chrześcian zaufanie w uwolnienie miejsc św. z rąk niewiernych, przenosił się do Europy, hojnie obdarowywany przez książąt i cesarzów, a przez papieżów w opiekę brany. Herman Salza położył kamień węgielny przyszłej jego wielkości. W czasie jego mistrzostwa rozszerzyły się posiadłości zakonu; oprócz poprzednio w Palestynie i Sycylii uzyskanych, w Austrii, Saksonii, Turynii, Palatynacie Reńskim, Elzacyi i t. d., król węgierski Andrzej (2) przywołał go do Siedmiogrodu 1211 przeciw Kumanom, i osadził nad granicami Mołdawii i Wołoszczyzny. Po nieszczęśliwej obrześcian z Damietty nad brzegami Nilu wyprawie przekonał się Herman Salza dowodnie, że zakon niewiele zdziała na Wschodzie dla chrześcijaństwa; a gdy Andrzej węgierski w pychę rosnących zakonników z Siedmiogrodu w końcu 1222 r. wypłoszył: zyskiwał ciągle mistrz zakonu nowe dowody szczodrobliwości cesarza i papieża, wznagał się zakon i opływając w zamożność wyczekiwał niejako chwili, w której go nieudolność mazowieckiego Konrada na swą obronę na północ nie powoła.

Na północy tymczasem, w Inflanciech, powstał w roku 1201 (3) zakon mieczowy, *fratres militiae Christi*, a w Mazowszu zakon Dobrzyńców, r. 1222.

Aby zobaczyć, jakie okoliczności powstanie ostatniego spowodowały, rzucmy okiem na stan Polski w owych czasach.

Z końcem XII a początkiem XIII wieku, na trzy główne części widzimy rozpadłą monarchią Bolesława Krzywoustego; trzy w Lechii książęce domy panujące, i pilnym okiem przestrzegające nadwyżżenia granic swych posiadłości, wybitnie

(1) De Wal. Recherches sur l'ancienne constitution de l'ordre Teutonique: powiada w T. I Introduction p. XV, że: Clement III.... n'avoit pas vecu assez long-tems pour le confirmer lui-même. J. Voigt Geschichte Preussens T. II, p. 33 błąd jego poprawił.

(2) De Wal. ibid. I, w nocie VII do rozdziału X się odnoszącej p. 385 i następne. J. Voigt tamże T. II p. 85 i 145 i następne.

(3) Henryk Łotwak, wydanie Grubera, str. 22, § 6.

cechować się zaczynają. Do udziału krakowskiego, przy którym była pretensya i cień słabego zwierzchnictwa nad całą monarchią, należało Krakowskie, Lubelskie, Sandomierskie, zwierzchnictwo nad Rusią Czerwoną, Łęczyckie, Sieradzkie i Pomorze. Wielkopolska obejmowała Poznańskie, Gnieźnieńskie i Kaliskie, z ziemią Rudzką czyli Wieluńską. Trzecie księstwo tworzył między potomków Władysława II podzielony Szląsk.

W miarę przybierania liczby udzielnych ksiąząt w monarchii mnożyły się kłótnie, zatargi, niezgody i wojny domowe, podczas gdy sąsiedzi chrześciance przeciwnarodowemi wpływy, a poganie pożogami i rabunkiem kraj nawiedzając, zgodę i opór znaleźćby byli powinni. Zamieszki wewnętrzne tymczasem ułatwiały postęp germanizmu ryczałtem zalewającego Szląsk najprzód, potem Wielkopolskę i Krakowskie, koloniami niemieckimi, osadzanemi w dobrach klasztorów, duchowieństwa i prywatnych ludzi, i wyjmowanemi z pod powinności krajowych, nieuglaskanym zaś hordom dziczy pruskiej i jaćwieskiej, sposobność obłowienia się plonami Mazowsza i sąsiednich prowincyj.

W takiemto położeniu Polski, dzierzył tron krakowski Leszek Biały: dziecko zostające pod opieką słabej matki i ambitnego wojewody krak. Mikołaja, który wraz z bratem swym Pełką biskupem krak. rządził księstwem swego pupilla. Pierwszy rok panowania Leszka Białego nacechowany jest morderczą rozprawą Mozgawską, w której synowie jednego kraju: Wielkopolanie, Pomorzczycy i Szlązanie z jednej; Małopolanie i Rusini z drugiej strony za pretensye do tronu Mieczysława Starego i Leszka, w krwi bratniej ręce swe zbroczyli (1). Zupełną klęską swego stryja, tysiącami trupów Wielkopolan, ranami Romana ruskiego, swego stronnika i znaczną w jego wojsku stratę, gdy się Szlązanie z placu bitwy cofnęli; umocował Mikołaj Leszka na tronie na to jedynie, aby go jego matka, usidlona intrygami Mieczysława, i obawą przemożnego wpływu wojewody na Małopolan spowodowana, dwukrotnie w ręce pierwszego oddała. W skutek nagłych kilkukrotnych zmian panujących, zwiększały ogólne osłabienie Lechii stronnictwa, na których czele w Sandomierskiem, Krakowskiem, Goworek Rawita i Mikołaj stali. Powagą ostatniego utrzymał się Władysław

(1) Długosz, wyłanie dobromilskie, str. 512, r. 1195.

sław Laskonogi po śmierci ojca swego, który w ostatnich latach burzliwego swego życia od Mazowsza część Kujaw oderwawszy, udział krakowski bezskutecznie pograniczami Sandomierskiego powiększyć usiłował, na krakowskim tronie. Goworek wierny Leszkowi, wspólnie z Krystynem wojewodą płockim, bronił Sandomierza podczas panowania Laskonogiego w Krakowie przed srogimi Romana napadami. Zwycięstwo Krystyna pod Zawichostem (1) nad zbuntowanym tym panem księstwa, którym władcy Polski rozrządzali, i śmierć Romana w tej potrzebie, ustaliło Leszkowi niedługie zwierzchnictwo nad księstwem Halickim, a rozgłos jego i niezadowolenie duchowieństwa z Laskonogiego, wprowadziły go znowu na tron Krakowian, przychylniejszych młodziej linii potomków Krzywostego.

Objąwszy ostatecznie tron swego ojca (r. 1206) (2) Leszek podzielił się z bratem Konradem ojcowizną w ten sposób, iż odstąpił bratu Kujaw i Mazowsza z ziemią Chełmińską i Dobrzyńską, a sobie zostawił Krakowskie, Sandomierskie, Lubelskie, ziemie Sieradzką, Łęczycką i Pomorze (3). Poczem uporządkowawszy sprawy Pomorza (4), całą swą uwagę zwrócił na Halicz, z którego już to wspólnie z Andrzejem królem węgierskim wypędzał krajowych uzurpatorów, już to ruskim księżętom pomagał oczyszczać kraj z Węgrów razem z obcem panowaniem wyznanie łacińskie Haliczanom narzuć starających się. Po różnych wojny kolejach, srogich bitwach, niszczących Ruś wyprawach, w skutek których to Daniel Romanowicz za protekcją Leszka, to bojar Władysław za pomocą mocnego stronictwa krajowego, to król Koloman, syn Andrzeja a zięć Leszka przez silne wojska obu tych monarchów wprowadzony, to Mściśław Mściślawicz, to znowu Daniel Romanowicz tron Halicza osiadali: widział się w końcu Leszek, mimo początki zwy-

(1) Tamże, str. 533, r. 1205.

(2) Że Leszek 1206 roku jeszcze tron odzyskał, dowodzi list Innocentego III z początku stycznia 1207 r. w którym papież bieżę posiadłości Leszkowe pod opiekę św. Piotra. Porówn. Roeppell Geschichte Polens, p. 403, uwaga 22.

(3) Dług. p. 535, r. 1207.

(4) Dług. kładzie to pod r. 1210, str. 544, Bogufał u Sommersberga T. II, str. 56 zaraz po objęciu tronu przez Leszka o tém wspomina.



ciężkie swe na Ruś wyprawy zupełnie pozbawionym, od ojca Kazimierza ugruntowanej nad Rusią przewagi. A przecież tę szczególniej w czasie dość długiego, i w ważne zajścia w Polsce obfitującego panowania swego zachować usiłował, wcale nie mieszając się w długoletnie kłótnie Laskonogiego z duchowieństwem i w wojny jego z synowcem; nie starając się powściągnąć na swawole i okrucieństwa rozpasanego brata swego Konrada; nie troszcząc się o zabory Duńczyków na Pomorzu, i mało bardzo opiekując się nowo-powstałym biskupstwem pruskiem.

Władysław Laskonogi dzierżył po ustąpieniu z Krakowa całą Wielkopolskę: Poznań i Gniezno jako część własną, Kaliskie i ziemią Rudzką (Wieluńską), jako opiekun synowca swego Władysława Odonicza, którego ojciec umarł jeszcze przed Mieczysławem. Oprócz udziału swego Wielkopolskiego i nie najgorszych zdatości w prowadzeniu wojny, odziedziczył Laskonogi po swym ojcu wyobrażenia jedności monarchicznej, która jedynie Polskę zbawić mogła i istotnie zbawiła po upływie wieku jeszcze rozterek i rozdrobnienia. Do przeprowadzenia myśli téj, siły większej przedewszystkiem potrzeba mu było: nie zawieszał więc walki, którą jeszcze na krakowskim tronie wydał hierarchii, lekceważąc cenzury kościelne przez Henryka arcybiskupa na siebie rzucone, zwłaszcza, że Filip biskup poznański zwykłe w jego obecności odbywał nabożeństwa. Przebrał wszakże miarę w gwałceniu praw kościelnych, targaniu się na własność i przywileje kościelne i klasztorne: krzywdzone duchowieństwo wespół z niezadowolnionemi pany polskimi ośmieliło nieletniego Władysława Odonicza do wypowiedzenia posłuszeństwa stryjowi i opanowania Kalisza (1). Od téjto chwili, od roku 1207, zaczyna się nieprzerwany przez wiek ten cały prawie szereg wojen między panami Wielkopolski, których skutkiem było zupełne zbezwładnienie téj prowincyi i wy-

(1) Dług. str. 551 kładzie to dopiero pod r. 1214 i bezpośrednio po opanowaniu Kalisza uciekać mu każe do Węgier, zkąd r. 1223 p. 562 przeprowadza go w habicie mniszym przez Polskę do Świętopelka. Stało się to wiele prędzej: i wiele dłużej Odonicz księstwem kaliskiem się cieszył. Już bowiem w roku 1209 podpisuje się w dyplomie, mocą którego daje lubuskiemu biskupstwu wieś Lubogosz i dwa jeziora: dei gra. dux de Kalis. Jako świadek podpisany i Wład. Laskonogi, a nie o opiekuństwie nie

danie jej na niebezpieczne wpływy ziemczonych i całą siłą niemczących książąt szlązkich. Za pomocą Henryka Brodatego odzyskał wyparty przez stryja z Kalisza Odonicz swą schedę 1217 r. i aby się na niej utrzymać, jął ujmować sobie duchowieństwo stryjowi i tak już nieprzychylnie. Jeśli dać możemy wiarę Kromerowi (1), to właśnie téż teraz, około roku 1219 wyrobił Henryk arcybiskup gnieźń., syn Teodoryka księcia Bernu i Eudoksyi Polki, iż „za zgodą książąt, panów polskich i całego senatu, cały stan kościelny z poddanemi i wszystkiemi zapisami z pod jurysdykcyi świeckich sędziów, książąt, nawet z pod jurysdykcyi monarchy uwolniono zupełnie, tak, iż nie miał być na przyszłość żadnem prawem wyjątkowem, ani nową uchwałą pod forum świeckie podciągniętym”. Jednak mimo skuteczne ujmowanie sobie nieprzyjaciół stryja, mimo starania Honorego III, który groźnemi listami od gorszących tych kłótni i wojen Władysława Laskonogiego odwieść usiłował, nie ustawała nieprzyjaźń między synowcem i stryjem; owszem około 1223 r. musi uchodzić znowu Władysław Odonicz z Kalisza, udaje się do Świętopelka pomorskiego, żeni się z jego siostrą Helingą (2), i za pomocą szwagra opanowuje Ujście. Szczęśliwą wycieczką odpędziwszy stryja, oblegającego Ujście, zajął silnie wspierany przez szwagra Odonicz wszystkie posiadłości jego, a jego samego na Szlązk wypędził.

Tymczasem znacznie się téż postać rzeczy na Pomorzu zmieniła. Roku 1207 był tutaj Leszek, załatwiał sprawy, zwiedzał miasta, i na prośby mieszkańców przekładających, że im zadaleko w Krakowie sprawiedliwości szukać, ustanowił Świętopelka swym pełnomocnikiem, wierność sobie przysiądz i 1000 grzywien srebra rocznie do skarbcza krakowskiego na

wspomina. Patrz Liegm. Wilh. Wohlbrueck Gesch. des ehemahligen Bisth. Lebus I, p. 15 w przypisku. Równie jako książę Kalisza darował r. 1212 Krystynowi bisk. pruskiemu wieś Cecoviz, a papież Honory III potwierdza tę donacyą r. 1218. Patrz Codex diplomaticus Prussicus J. Voigt'a I, p. 9, nr. 7. Porówn. Roepell p. 419 i następne.

(1) Księga VII w zbiorze Pistoryusza str. 527. J. Długosz wspomina o tém na str. 558; r. 1219, Boguf. u Som. p. 59 T. II, pisze o tém pod r. 1232. Być może, że postanowiono to już w r. 1219, a przywilój później dopięro dano.

(2) Nie córką, jak wielu utrzymuje, patrz Boguf. tamże p. 57.

znak zwierzchnictwa płacić mu z Pomorza gdańskiego kazał (1). Pomorze Słupskie do książąt Wielkopolskich należało (2). Domowe wojny książąt Wielkopolski, Leszkowe zatrudnienia na Rusi, odległość wreszcie od Krakowa, bez obrony zostawiły Pomorze, gdy Waldemar II wyprawivszy się na pogańskich Prusaków w roku 1210, nagle zamiar swój świętobliwy zmienił i zamiast chrzcic Prusaków, grabieżyc w Pomorzu gdańskim poczał. Sile jego oprzec się namiestnik Leszka nie zdołał. Uległo przed wojskiem zaborcy miasto Gdańsk; księztwo słupskie zwierzchność Duńczyka uznało. Niezrównanym zmysłem wojennym obdarzony Świętopelk, potrafił wszakże wkrótce wyprzec załogi duńskie z miast pomorskich; i oczyściwszy kraj z najezdzców, węzłami pokrewienstwa i sojuszem polączony z księciem Wielkopolski, zapragnął, sprawę swą wiążąc z sprawą swego szwagra, niezaleźności nad ziemią przez siebie z rąk najezdzców wydarta. Wkrótce potem straciła Lechia na czas długi ważną tę prowincyą, a jój utratę Leszek krwią własną zapieczetował.

Wśród takiej ogólnej niemocy, coraz przybierającego rozdrabniania się monarchii, rośnienia panów w znaczenie i przemoc, uwalniania ziem wielu z pod ogólnych powinności: nie dziw, że na Mazowszu najokropniej wyglądało.

Rozległe to podówczas było księztwo. Na zachód obejmowało w sobie Kujawy; na północ ziemie Chełmińską, Lubawską i Michałowską, a więc opierało się w tym o pruską, w północno-wschodnim zaś kierunku o dzicz jaćwieską; na wschód i południowo-wschód mieściło w sobie ziemię Czerską, i rozgraniczało się od Wielkopolski ziemią Łęczycką. Na roz-

(1) Nie tu miejsce zbijać uprzedzenia Niemców, przeczących Leszkowi praw i posiadania Pomorza, a usamowalniających namiestników i starostów Pomorza. Kogo nie przekonały słowa współczesnego Bogufała: *post haec Lestco Albus Pomeraniam intrat ibique ab.... proreribus, tam quam eorum legitimus Princeps et dominus.... est susceptus.... Negotiis... pertractatis statuit loco sui capitaneum Swanthopelconem nomine etc. Som. II, p. 56*, tego i inne dowody nie przekonają. Wspomnieć tu można, że Świętopelk podpisując się jako świadek w dyplomach obok książąt, *duces*, polskich, skromny tytuł *principis* sobie daje. A co *princeps* znaczyło, można obaczyć w Naruszewiczu T. VI, p. 193 uw. 2. Dyplom taki jest np. w *Acta Borussica I, p. 275*.

(2) Porówn. Narusz. T. VI str. 189, uw. 5.

ległych i obszernych tych ziemiach osiadł panem niezależnym Konrad brat Leszka, r. 1207. Młody, lekkomyślny, niewdzięczny, podejrzliwy, bez tej siły ducha i woli, które panujących zdobić powinny, a mimo to okrutnik wyszukany, gnuśny i leniwy w czynnościach, bo rychło żar huci cielesnych wypalił i wypaczył w nim chęć i popęd do naśladowania sławnych swych przodków; wreszcie pozbawiony wszelkiej przebiegłości i jasnego na swe położenie poglądu, a w niepohamowany strach zbyt kujący przy najmniejszym niebezpieczeństwie: nie umiał szanować męża, który rządził za niego, a dzielną swą prawicą i mądrą radą sprawiał, że bez złych skutków na Mazowsze zostawał oddawna przyjęty zły tryb życia książęcia. Szczęśliwe było Mazowsze póki żył zwycięzca Zawichostki Krystyn, wojewoda płocki. Mąż ten, którego zdatności Prusacy na równi z boskimi kładli, a który sobie na miano Wielkiego wojewody mazowieckiego już u współczesnych krajowców i obcych zasłużył (1), umiał powściągnąć napady dziczy i ugłaskiwał ją żelazną, chrobrą swą ręką. To też spokojnie za jego życia Konrad Chełmińskie posiadał, mógł ustanowić osobnego ziemi tej wojewodę (2), a postęp chrześcijańskiej religii, której rozkrzewienie było zarazem środkiem zapewnienia sobie panowania nad poganami, jest w Prusiech wyraźnym. Po bezskutecznych usiłowaniach św. Wojciecha, Brunona, Ottona Bamberskiego, aby lud pruski od czci bałwanów odwieść, wstąpił w ślady tych apostołów pruskich Bogumił opat klasztoru w Łukni (3) już roku 1207. Chociaż niebezowocnymi były prace jego w winnicy Pańskiej, zaprzestał ich jednak po zamordowaniu Filipa towarzysza i współnika swego przez Prusaków; a jego miejsce godnie zastąpił Krystyn zakonnik oliwski (4) w dwa lata później. Usiłowania jego tak pomyślny ukoronował skutek, że go już w roku 1212 Innocenty III biskupem pruskim nazwał (5), a opiekę

(1) Dług. str. 554 i 555.

(2) Porów. Narusz. T. VI p. 213, uwaga 6.

(3) Voigt Preuss: Gesch. T. I p. 429. Dominik Szulc: O znaczeniu Prus dawnych, str. 100.

(4) Że nie był opatem oliwskiego klasztoru, tylko prostym zakonnikiem, dowodzi wbrew przyjęciu wielu list Innocentego III do arcyb. gniez. z roku 1211. Wydrukowany jest w Hartknocha Kirchen-Gesch. v. Preussen, p. 30—31.

(5) Patrz przypisek na str. 5.

metropolitalną nad nowo nawróconemi oddał Henrykowi arcybiskupowi gnieźnieńskiemu (1).

Szczęśliwie szło i nadal nawracanie Krystynowi; zaburzenia pogan (2), dzieło jego zniszczyć usiłujących, szybko uskromiono, tak, iż nie miał potrzeby apostoł pruski uciekać się do środka (przez Honorego III 1217 r. pozwołonego mu) (3) obwołania krucyaty na buntujących się. Lecz nie na długo. Rok 1217 jest w historyi naszej naznaczonym haniebném oślepieniem i zamordowaniem Krystyna z Gozdowa, wojewody płockiego, (4) „żołnierza dzielnego, ozdoby całego Mazowsza, męża sławnego i bohaterskiemi jaśniejącego czyny.” Mordercą jego był Jan Czapla kanonik płocki, a narzędziem morderstwa Konrad książę Mazowsza. Prusakom do religii ojców swych tak mocno przywiązanym, że ich ani Bolesław Chrobry, ani żaden prawie z dzielnych jego potomków, ani orężem, ani słowem od niej odwieść nie potrafił, uciążliwą téż już być zaczynała nowa nauka wywracająca dawną niepodległość, niszcząca dawne obyczaje i przynosząca z wielą dobrodziejstw, ciężary niejaki, choć słuszne, lecz dawniej nieznanne. Mile więc przyjęli wiadomość o śmierci Krystyna, który ich był trzymał na wodzy: oddali od chrześcijaństwa, a ziemię tych, którzy w nowej wierze niezachwianie wytrwać postanowili, nawiedzili ogniem i mieczem (5). Nie dosyć na tém: znacząc ślady przechodu swego rumowiskami twierdz, zgorzeliskami osad, miast, wiosek i osiołów, mordami chrześcian; nawiedzili w roku 1218 ziemie Lubowską, Chełmińską (6) i Mazowsze aż do Płocka, i obla-

(1) Hartknoch Kirch Gesch p. 30—31. Voigt Cod. dipl. Pr. p. 14. N. 13 wydrukował bullę, którą Honory r. 1219 zwalnia arcybiskupa z ciężaru legata in partibus Prussiae.

(2) Hartknoch tamże kładzie je pod r. 1215.

(3) Acta Bor. I, 262.

(4) Dług. p. 554.

(5) Tamże. Wspomina tu wprawdzie Dług. o napadzie Polowców na ziemię Konrada. Jeśli to nie jest błąd drukarski, to Długosz téż nie myślał o Polowcach, bo zaraz pisze o przywróceniu chełmińskiej ziemi, do której wiedział, że Polowcom było zaaleko.

(6) Ziemię chełmińską poddał wojewoda ówczesny tejże ziemi Prusakom. Kromer hist. pol. w Pistorjusza II, p. 527 nazywa go. Naruszewicz T. IV, p. 213, uw. 6 domyśla się, że to był Żyra. lub syn jego.

dowani bogatym plonem i mnogim jeńcem, w niedostępnych leśnych swych moczarach bezpiecznie go złożyli. Nie miał już Konrad obrońcy na pogan, serca na ich odparcie, ale miał natomiast dosyć bezwstydu pozbyć się ich w ten sposób, że gdy przystali do niego z żądaniem więcej jeszcze sukni kolorowych i dobrych koni, sprosił Konrad na ucztę panów i panie swój ziemi, a gdy ci się bawili, oddał ich konie i suknie wysłańcom pruskim (1). Aby odnowić zapadłą i coraz walącą się budowę kościoła pruskiego, powstrzymać napady na kraje zdawna chrześcijańskie, dodać otuchy ręce opuszczającemu księciu, biskup Krystyn użył pozwolenia danego sobie na obwołanie krucjaty na Prusaków (2), a Honoryusza III uprosił, że i Ojciec św. kazał ją głosić arcybiskupom: mogunckiemu, trewirskiemu, kołońskiemu, magdeburskiemu, saleburskiemu, gnieźnieńskiemu i kilku innym (3). Oprócz tego napomniął papież osobną bulgą wiernych, którzy się na Prusaków wyprawili, żeby nie obławiali się mieniem pogan, powiadając, że Krystynowi na takich cenzury kościelne pozwolone (4). Znanym skutkiem tej wyprawy, podjętej (5) 1219 r. po większej części przez cudzoziemców (6), a w roku 1222 wzmocnionej świeżemi Leszka Białego, Świętopelka i Warcisława wojewodów pomorskich zastępami (7), jedyne dzieło, które kilku książąt polskich w czasie

(1) Duesburg Chronicon Prussiae ed. Hartknoch'a, pars II, c. III.

(2) Konrad mazowiecki daje Krystynowi r. 1222 ziemskie posiadłości za to, że sprowadził Krzyżowców; wydrukowany jest ten dyplom w Szulca: O znaczeniu Prus dawnych, str. 147—149.

(3) Voigt Cod. dipl. Pr. I p. 11, N. 9.

(4) Tenże, tamże p. 8, N. 6. Wspomina im O. Ś. że wyszli ad convertendum ad Dominum non ad subjugandum vestrae servituti paganos.

(5) Wohlbrueck Gesch. v. Lebus, I p. 57 powiada, że 25 sierpnia 1219 r. Krystyn był w Trzebnicy i niedługo potem przyłączył się do uchwalonej na Prusy wyprawy, którą Henryk Brodaty dowodził. Myli się więc Voigt Gesch. v. Pr. I, p. 448 wyprawiając Krzyżowców na Prusaków już wiosną t. r.

(6) Cod. dip. Voigta I p. 3, N. 2 i p. 4 N. 3; p. 8 N. 6.

(7) Dług. pod r. 1225 powiada, że przyczyną wyprawy Henryka Brodatego przeciw Leszkowi było ztchórczenie kilku panów małopolskich w wyprawie krzyżowej przeciw Prusakom. Panów tych odsądził Leszek od wszelkich urzędów, przez zemstę więc nasadzili na niego Henryka. Miejsce to dowodzi, że byli Leszka

monarchii Leszka podjęto, było odbudowanie zburzonych przez Prusaków fortec, a zatem zabezpieczenie chwilowe przeciw powtórnemu podobnemu zalewowi, i udarowanie Krystyna biskupa ziemskimi posiadłościami (1). Dobrodziejom pruskiego biskupstwa przoduje Konrad. Zapisał mu cum jure ducali część chełmińskiego, w której niegdyś były zamki Grudziądz, Wabsko, Kopriven (Pokrzywno), Wielżaż, Kolno, Ruch, Rysin, Głębokie, Turno, Pień, Płot z przyległościami, oprócz tego posiadłości wojewody Żyra i sto innych wsi. W tymże samym przywileju rzekł się Getko biskup płocki praw swych duchownych i świeckich w ściśle Wisłą, Ossą i Drwęcą oznaczonych granicach Chełmińskiego na rzecz Krystyna (2). O poważném tém nietylko

wojownicy w tej wyprawie. Prawdopodobném jest, że i Leszek tam był, bo w Akta Bor. I, 273 wydrukowany jest przywilej Leszka, mocą którego daje L. Krystynowi wieś Małymnów. Przywilej ten jest (bez miejsca) z r. 1223. Wojewodowie pomorscy podpisani są jako świadkowie w przywileju Konrada, nadającym Krystynowi trzy wsie; patrz Acta Bor. I, 275. Obecność Świętopełka w tej wyprawie razem z Leszkiem domniemywać się każe, że nie odzywał się jeszcze z życzeniami usamowolnienia.

(1) Dominik Szule O zn. Pr. dawnych p. 147. Dogiel Cod. dipl. Poloniae IV, p. 2, N. 2 i dal. (Wzmiankując o dyplomach odsyłam do dzieł, które mi się najprzystępniejszymi wydają, a dla oszczędzenia miejsca nie wymieniam wszystkich w których są drukowane). Dyplom ten, chociaż początek jego popsuty, nadzwyczaj jest ważnym. Jako świadek podpisany jest znowu Leszek B. a więc musiał być na tej wyprawie. Data jego jest: Łowicz Nonis Augusti 1222.

(2) Zżyma się mocno Lucas Dawid, Gesch. v. Preussen ed. Hennig. Koenigsberg 1811 T. II p. 26 i 29 na to, że Konrad nazywa to obdarowanie biskupstwa pruskiego donatio; Cessio raczej nazywać to każe: sunder Cession und vorzeihung seines rechten so er dran gehabt oder haben mochte. Kusi to mocno późniejszych historyków niemieckich: nie odsądzają jednak wszyscy i zupełnie Konrada od własności Chełmińskiego lub przynajmniej od mogących się usprawiedliwić pretensyi do posiadania tej ziemi. Często im nawet potrzeba do przeprowadzenia późniejszych rozumowań, żeby ziemia ta przed r. 1225 do Konrada należała. Lengnich Polnische Bibliothek, 4 Stueck, p. 302, nie spostrzegłszy się, że aby ją Krzyżakom mógł słusznie durować musiał przynajmniej do r. 1225 ziemię tę posiadać Konrad, tłumaczy to „donavi cum jure ducali” dyplomu w ten sposób: das jus ducale bedeutet allhier die Obergerechtigkeit, oder das dominium directum. da denn Christian zugleich von der Lehns Pflicht loss gezehlet worden. Za zdaniem

dla kościoła pruskiego, ale i dla całej Polski, a szczególnie Mazowsza dziele, bo biskup Krystyn teraz dopiero doszedł do znaczniejszych biskupich posiadłości, a więc podwoić musiał usilność, aby owieczki sobie powierzone bronić od wszelkich niebezpieczeństw z północy im grożących, piszą czasów i stron tych badacze: rozjechali się Krzyżownicy w końcu roku 1223, zostawiwszy biskupowi pruskiemu świeże dowody swęj szczodrobliwości (1).

pracowitego i nadzwyczaj zasłużonego tego badacza rzeczy polskich, który wyprawivszy się na błędy w historii naszej zastarzałe, niezmiernie mnóstwo ich wytknął, ale sam się z błędnych wielu wyobrażeń otrząść nie umiał, czy nie chciał: poszedł i Voigt Gesch. v. P. I, 451—2, interpretując owe wyrazy: mit herzoglichem oder oberherrlichen Rechte. Stara rzecz stronność i niezajomość zupełna Niemców w naszej historii. Z małemi wyjątkami wszyscy są tacy. Więc, oswoiliśmy się z ich pojmowaniem. Wszelako mocno uderzyć musi tak krzywe wyobrazenie uczonego tego męża co do pojmowania znaczenia, jakie kładli nasi książęta w wyrazy „cum jure ducali” w mnóstwie przywilejów klasztorom i duchowieństwu nadawanych umieszczone; w takim tylko razie pojąłby tu Voigt było można, gdyby było pewną, że chciał pocieszyć swych ziomków, mało historią polską się zajmujących, w mówieniu, że jak Niemcy teraz w księztwa Reuss (Greiz) Hechingen, Schaumburg Lippe, Lichtenstein obfitują: tak w nie swego czasu Polska obfitowała. Solamen miseris etc. Na tej zasadzie, to jest gdyby to „cum jure ducali” znaczyło to co Niemcy utrzymują, mielibyśmy w samej Wielkopolsce kilka państw udzielnych, jak np. chatowskie utworzone przez Władysława Odonicza 1237 r. (Kodeks dyplom. wielkopolski Raczyńskiego p. 19, N. 16) pod sztandarami Joannitów; bukowskie utworzone przez Przemysława I, a potwierdzone przez brata jego Bolesława 1257 r. (tamże p. 51 N. 43) pod znakami kościoła ś. Piotra w Poznaniu; księstwo Śródka utworzone przez Przemysława II, 1288 r. (tamże p. 78. N. 70) pod sztandarami biskupów poznańskich; księstwo oliwskie utworzone przez Mestwina II także przy zejściu tego wieku (Pomerellische Studien: I, Das Kloster Zuckau v. Dr. Hirsch, Koenigsberg, 1853 p. 57) na Pomorzu; i nareszcie, że wielu innych nie wspomnę. świeższej daty księstwo zbąszyńskie i kiebłowskie utworzone przez Jagiellę 1393 (Cod. Racz. p. 143. N. 106) pod herbami Nemerzów. Książęta nasi dawając posiadłości „cum jure ducali” nie zrzekali się praw zwierzchniczych z ziem darowanych, lecz udzielali takim przywilejem pożytki i dochody poprzednio do skarbu książęcego idące. Porów. Roepell Gesch. v. Polen p. 440 i następane.

(1) Patrz Acta Bor. I, 276.



## III.

Lecz najważniejszym tój krucyaty dziełem jest, jak to dowieść usiłujemy, założenie nowego zakonu. Przekonać się dostatecznie mogli książęta, biskupi i panowie polscy, niemniej i krzyżowcy, którzy na Prusaków wyruszyli w ciągu długiej tój wyprawy, w której oprócz chwilowego zabezpieczenia granic ziemi chełmińskiej nowo wzniesionemi zamkami, nic nie zrobili, za Osę wcale nawet nie przeszli: że nader trudna sprawa z bitnym ludem pogan, że aby choć niejako nowy kościół i nie-szczęśliwych w nim chrześcian zabezpieczyć, milicyą ciągle w tych krajach zostającą urządzićby trzeba. Niendolność Konrada, rozdrobnienie i swary książąt polskich, trudność przedsięwzięcia nowój krucyaty na obronę chrześcian tutejszych, mogły im być bodźcami do tego kroku, a przykład istniejących już zakonów gwarancyą, że krok ten będzie skutecznym.

Oprócz powodów niżej przytoczonych ośmiela mię do oznaczenia tego czasu za początek zakonowi zdanie M. Bielskiego, wyd. warszawskie 1829, ks. II p. 90; Hennelii ab Hennenfeld annal, Siles. ap. Sommersberg T. II p. 244; Schuetza historia rerum Prussicarum wahrhafte und eigentliche Beschr. etc. p. 166; Kromera hist. pol. lib. VII w zbiorze Pistoriusza II, p. 528, z których pierwsi pod r. 1222, ostatni bezpośrednio po wymienieniu tegoż roku o zjawieniu się rycerskiego zakonu w tych okolicach wspominają. Na samym wstępie, jeśli zakon ten podczas tój krucyaty założono, zobaczymy zaraz, jak analogiczném jest powstanie zakonu krzyżackiego i dobrzyńskiego. I pierwszy i drugi powstały w czasie wyprawy krzyżowój, na którą wybrać mogli się rycerze całe życie pragnący walczyć za wiarę Chrystusa: widoczną jest, że warunku tego, t. j. aby byli tacy ochotnicy koniecznie do założenia zakonu rycerskiego, potrzeba było. I pierwszy i drugi założono bez poprzedniego zezwolenia papieża. Tam współudział Fryderyka księcia Szwabii, patriarchy jerozolimskiego, panów i wysokiego duchowieństwa niemieckiego; tutaj takż współudział książąt, duchowieństwa i panów polskich, niemniej i biskupa Krystyna, ulubieńca stolicy rzymskiej: tam i tutaj stosowność i bardzo prawdopodobna skuteczność zakonu, dodawały twórcom zakonów tych nadziei, że stolica papieżka dzieło ich zatwierdzi.

Że do zakonu dobrzyńskiego wpisali się początkowo zaraz sami Niemcy, naprowadza nas dokument w Kodeksie dyplomatycznym Voigta (1), którym Gunter, biskup płocki, oddaje mu dziesięciny z wsi swęj diecezji przez Niemców osiadłych w terytorium przez Konrada zakonowi darowanem (2). Utrzymują Niemcy, że północne Mazowsze podówczas bardzo było zniemczone. Zgadza się, że jak wszędzie prawie w Polsce, tak i tam znajdowały się kolonie niemieckie. Przypuścić jednak takiego zniemczenia niepodobna, aby z stanu rycerskiego Mazowsza czternastu aż Niemców znalazło się czujących powołanie do przykrego zakonnego życia i do ciągłych walk z poganami. Stamby się tam w takim razie szlachty niemieckiej znajdować musiało. Koniecznie więc przyjąć trzeba, że zakon dobrzyński powstał przed rozejściem się ostatniej krucjaty, w którymto czasie mogła się z pomiędzy licznych krzyżowców znaleźć taka liczba niemieckich rycerzów z podobnym usposobieniem.

Brak zresztą wszelki śladów zakonu przed r. 1222 i niepodobieństwo założenia jego wiele późniejszego, mówią za powstaniem jego w tym czasie. Żaden z dawniejszych kronikarzy, do których zresztą co do tego zakonu mało bardzo albo wcale odwoływać się nie można, nie nadmienia o wcześniejszym jego założeniu. Mniejszej też to tutaj wagi, a główniejszym jest, że w żadnym piśmie urzędowym, w żadnej bulli papieżkiej, których wiele mamy z owego czasu i to miejsc naszych się tyjących, wzmianki o zakonie nie ma. Gdyby zakon ten już był istniał, niepodobna, aby Honory III w liście do arcybiskupa gnieźnieńskiego, (3) w którym boleje nad napadami pogan na

(1) I, 18 i 19, nr. 19.

(2) Jestto tak naturalnym, że jedynie przez wzgląd na tę samą narodowość odstępuje dziesięciny i wszelką styczność z Niemcami zakonowi biskup, iż to dalszych dowodów nie potrzebuje. To samo działo się przed kilkunastą laty z zakonem niemieckim w Siedmiogrodzie, jak powiada De Wal w przytoczonym dziele I, 386: nous voyons ensuite un acte de W. Evêque de Transylvanie, de l'an 1213 confirmé par une bulle du Pape Honorius III. du 19 Avril de l'an 1218 (Arch. de Mergenth). L'évêque donne à l'ordre, le droit de percevoir la dime sur les biens de tous les habitants presents et futurs du pays de Borza (Burzen), à la reserve de ceux qui appartiendroient à des Sicules ou à des Hongrois etc: (3) Voigt Cod. dipl. I, p. 1, N. 1.

ziemie do jego metropolii należące, i dlatego skłania się do prośb książąt i biskupów metropolii i zwałnia arcybiskupa od wyprawy do ziemi św. pod warunkiem, że krzyżowców swych użyje do walki przeciw Prusakom i t. d.; niepodobna więc, żeby Honory w tym liście nie był o nim wspominał. To samo można powiedzieć o bulli do krzyżowców napisanej, a napominającej ich, aby nawracając Prusaków nie szukali ziemskiego w ich krajach dobra (1). W żadnej z wielu innych i do Krystyna i do duchowieństwa wyższego Niemiec, Morawii, Czech i t. d. (2) i do książąt polskich i pomorskich (3), aby nie uciśkali nowo-nawróconych, w żadnej z tych bull papieżkich nie masz śladu istnienia zakonu. Żeby zaś bez wątpienia byli o nim wspomnieli, każą nam wnioskować ciągłe wzmianki o zakonie niemieckim, skoro się w tych stronach ukazał. Nie mogą go dosyć bulle papieżkie nazalecać opiece książąt, duchowieństwa (4); niewyczerpnięte są w napomnieniach krzyżowców, aby wspólnie z mistrzem zakonu i z jego członkami działali. Najważniejszym jest brak zakonu w krucyacie z 1219—1223 i następnie w dokumencie kres kładącym biskupowaniu Krystyna in partibus infidelium, a darzącym go znacznemi ziemskimi posiadłościami.

Gdyby zakon był już istniał, najczynniejszy braćby był musiał w wojnie téj udział, boć jedyném zadaniem jego było bić się z poganami, a w takim razie czyny jego zupełném milczeniem i zapomnieniem nie byłyby pokryte; następnie byłby jaki członek zakonu obecnym przy spisywaniu wzmiankowanego, a i dla zakonu nader ważnego przywileju. W dokumencie tym są jako świadkowie podpisani dwaj książęta polscy, Leszek Biały, i Henryk Brodaty; dostojnicy duchowni całej monarchii, jakoto: Wincenty arcybisk., Iwo krakow., Paweł pozn., Wawrzyniec wrocł., Wawrzyniec lubuski, Michał kujaw. biskupowie; świeccy dygnitarze Mazowska, krakowskiego, Szlązka, jakoto: Gothard mazowiecki, Mikołaj krakowski kanclerze; Arnold mazow., Marek krak., Jakób sandomier., Dyrsko wrocławski wojewodowie: Pakosław krak., Mystwin sandom., Ostafi wiślicki, Klemens plocki, Teodor kruświcki, Maurycy władysławski, Sobiesław

(1) Tenże, tamże p. 8, N. 6.

(2) Tamże p. 3, N. 2, p. 4 N. 3.

(3) Dogiel Cod. dipl. Pol. IV. p. 1, N. 1.

(4) Voigt, Cod. dip. I p. 25, N. 26; p. 29, N. 31; p. 35 N. 36; p. 36 N. 37 etc.

wrocławski, Stefan bolesławski, Pietrko łączycycki kasztelanowie; ale napróżno szukać mistrza lub którego z braci zakonu, chociaż w późniejszych mniej ważnych dokumentach występują (1). Jak więc to jest prawdopodobnym i jedynie możebnym, że zakon ten wymienieni co dopiero książęta, duchowni i panowie polscy z Krystynem założyli, tak jest pewnym, że dotychczas go nie było.

Ale zakon ten i później powstać nie mógł. Że istniał przed wdaniem się w układy z zakonem niemieckim, zaświadcza nam Duesburg (p. 33) pars II, cap V, powiadając, że „residit in corde ipsius (sc. Conradi) divinitus inspiratum, quod dictos fratres (sci. hospitales domus Teutonicorum) vellet ad defensionem suae terrae, fidei et fidelium invitare *ex quo videret, quod fratres milites Christi per eum ad hoc instituti non proficerent in hac causa*“ (sc. in defensione fidelium a paganis). Przekonał się o tém Konrad latem 1225 r. i zaraz wysłał do Hermana Salza, bo już w marcu r. 1226 napisany, potwierdzający krzyżakom przyrzeczenia Konradowe dyplom Fryderyka II (2). W całym ciągu czasu od ostatniej krucyaty, aż do wszczęcia układów z Krzyżakami nie możemy sposobnej do założenia zakonu napotkać chwili. Do lata 1225 r. nie wychylali się Prusacy z swych moczar, nie niepokoili ani Chełmińskiego, ani Mazowsza; nie było więc przyczyny zakonu zbrojnego przeciw nim zakładać (3). Oprócz tego nie było Konrada w Mazowszu (4) przez długi czas r. 1225, bo wyszedł z wojskiem na pomoc Leszkowi przeciw Henrykowi Brodatemu (5). Ta okoliczność, jako też świadectwo Alberika (6) dostatecznie dowodzą, że księstwo

(1) W dyplomie, którym Krystyn odstępuje Krzyżakom darowizny Konrada i biskupa płockiego z r. 1222 u Dogiela IV p. 6, N. 8. Potém tamże p. 6 N, 9: oba dyplomy z r. 1230.

(2) Dog. IV N, 4.

(3) Voigt Gesch. v. Pr. I p. 457 i 8 twierdzi przeciwnie za Lucasem Davidem II p. 30—31, i opowiada z różnemi szczegółami świeży napad Prusaków. Lucas David nie oznacza roku temu napadowi, a Voigt się nie spostrzegł, że wszystkie prawie szczegóły, które w tym napadzie miejsce mieć miały, wydrukował na stronie 445 i 6 tego tomu przy napadzie Prusaków r. 1218.

(4) Jak się powie niżej, Konrad był obecnym przy zakładaniu zakonu.

(5) Patrz przypisek 7, na str. 10.

(6) W przypisach Grubera do Henryka Łotwaka str. 171, uwaga 6.

Konradowe od napadów pogan w owym czasie wolném było. W przeciwnym bowiem razie nie byłby mógł wywodzić wojsk z kraju swego Konrad, a kronikarz wspomniany nie byłby mógł pisać o Wilhelmie z Sabaudyi bisk. modeńskim: „in Prucia... missus a papa legatus, ingenio et sapientia sua, non fortitudine (non armis) (1) multos paganos ad fidem attraxit, et linguam eorum ex magna parte didicit. Insuper principium artis grammaticae, scilicet Donatum in illam barbaram linguam cum maximo labore transtulit.” Wśród swędu świeżych pogorzeliisk, rumowisk miast, wsi i kościołów; na zroszonej co dopiero krwią chrześcian, ręką pogan przelaną, ziemi biskupa pruskiego, podczas gdy echo razów pałek pruskich, i łoskotu trzaskanych niemi zbroi Mazowszan tu i owdzie jeszcze się odbijało: nie mógł Wilhelm, „ingenio et sapientia” pogan do wiary nawracać, grammatyki Donata na pogański ich język tłumaczyć; a gdyby był zakon rycerski w czasie odwiedzin nowego biskupstwa wspólnie z Krystynem założył: nie mógłby był kronikarz pisać o nim, że nie nawracał „fortitudine”. Mimo to jednak chce Voigt, żeby Prusacy przed przybyciem w te strony Wilhelma krwawy napad w granice Chełmińskiego i Mazowsza uczynili (2), i domniemywa się, że aby się zastrzedz od powtórnego takiego napadu, Krystyn w czasie bytności legata i za jego współudziałem, zakon założył. Przepuszczeniu temu Voigta, że dopiero 1225 r. za współdziałaniem Wilhelma zakon dobrzyński założono, zbywa na wszelkich, najslabszych nawet podstawach. Wilhelm wyprawił się z Lateranu na początku roku, o którym mowa, bo oprócz że list Honorego III zalecający go Infantczykom datowany II Kal. Jann. pontif. an. IX (3), mamy inny list tegoż papieża datowany V. Idus Jann. p. a. IX, dający temuż biskupowi pełnomocnictwo urządzania kościołów neofitów i ustanawiania lub potwierdzania biskupów (4), któreto listy podług wszelkiej rachuby wziął ze sobą legat. Niepotrzeba pewnie zwracać uwagi, że podróż z Lateranu do Prus dość długiego podówczas, zimową zwłaszcza porą, wymagała czasu. W Prusiech stanąwszy, nietylko

(1) Interpretacya Grubera.

(2) Patrz przypisek na str. 6.

(3) Gruber w wydaniu Henr: Ł. silva documentorum p. 265, N. XLIII.

(4) Cod. dip. Voigta. I, p. 17, N. 17.

nie mógł znaleźć legat 14 Niemców gotowych do wdziania płaszcza zakonnego, ale co gorsza, nie zastał Konrada w Mazowszu, bo właśnie wtenczas przypadają swary między Henrykiem i Leszkiem. Swary te kładzie Długosz, jak się powiedziało pod r. 1225, bez bliższego oznaczenia, w którym czasie tego roku miały miejsce. W źródłach z tamtych wieków przystępnych mi nic mię nie mogło na bliższe oznaczenie czasu tych kłótni naprowadzić. Następne kombinacye skłaniają mię do przyjęcia tego właśnie czasu na zajścia z Henrykiem, w którym legat do Prus zawitał. Bitwę pod Brodnicą stoczono latem 1225 r. (1). Przygotowania więc Prusaków do wojny zaczęły się przynajmniej wiosną. Lucas David zaś powiada, że przygotowaniem Prusaków zatrwożeni Dobrzyńcy, wysłali uwiadomić o nich Konrada, i prosić o pomoc. Gdyby Konrad był w Płocku lub gdziebądź w swém księstwie, zbyteczne byłoby z ich strony uwiadomienie księcia o grożącym niebezpieczeństwie, boby o niem równie szybko dowiedział się Konrad, jak i Dobrzyńcy; że zaś do niego posyłano z zawiadomieniem, przyjąć wypada, że go w domu nie było. Mógł być tylko w Małopolsce, bo z biegu całej niedoszłej wojny Henryka z Leszkiem, jak ją Długosz w wymienioném miejscu opowiada wypada dalej, że Konrad dłuższy czas bawił u Leszka z swemi posiłkami. Jeśli więc bitwę pod Brodnicą stoczono latem; Konrad dłuższy czas przed zawiadomieniem go o niebezpieczeństwie bawił w Małopolsce, a legat dopiero ku połowie stycznia Lateran opuścił, udając się do Inslant: stanąć mógł w Prusiech wiosną, gdy Konrad z wojskiem mazowieckim już był w Małopolsce. Siedział tam Konrad tak długo, aż go poselstwo Dobrzyńców o grożącym niebezpieczeństwie nie uwiadomiło. Tym sposobem wyjaśnia się nam przyczyna, dla której Konrad nie przyjął zaprosin Leszka po zgodzie z Henrykiem, i nie był uczestnikiem fet, bankietów przez Leszka Henrykowi w ciągu ośmiu dni dawanych (2): biedz bowiem musiał na obronę swój schedy i był

(1) Podług Voigta Pr. Gesch. II, p. 162 naradza się Konrad z swemi panami „im Spaetsommer des Jahres 1225” czy się oddać w opiekę zakonowi niemieckiemu. A więc i podług Voigta jest „im Spaetsommer des Jahres 1225” po bitwie pod Brodnicą.

(2) Porów. Mathiae de Miehovia Chronica polon. cap XXXI lib. III u Pistoriusza II p. 82, Cromer de oryg. et reb. gest. Pol. lib. VII: u Pistor. II p. 528 i 29.

następnie współnikiem kłęski pod Brodnicą. Zresztą przypuścimy że był Konrad w Mazowszu, i że podczas bytności legata zakon założono, jak chce Voigt: czy wtedy podobna, żeby przez jedyne lato można było rycerzom Dobrzyń wybudować, i żeby ci następnie przez to samo lato mogli byli to zdziałać, co o nich Voigt pisze (1)? Dłuższego bez wątpienia na takie czyny czasu potrzeba.

Ani więc przed wyprawą 1219—1223 r. na Prusaków, ani po jój rozejściu się, lecz podczas jój działania w Prusiech, po udotowaniu biskupstwa pruskiego, zakon dobrzyński pojawił się w Mazowszu.

### III.

Autorowie, za których zdaniem poszliśmy co do oznaczenia czasu założenia zakonu i wielu innych, których spis zadługo byłoby tu umieszczać, myślą się twierdząc, że zakon dobrzyński z Inflanckim, od biskupa Alberta, sprowadzono. Henryk Łotwak współczesny Albertowi biskupowi inflanckiemu w kronice swój Inflanckim nic o tém nie powiada.

W roku 1217 ogólnie sprowadzenie mieczowników podają. Jest on jak najniebezpieczliwiej wybrany: w tym bowiem roku nie miał już Albert władzy rozkazywania braci, żył w ciągłych kłótniach z mistrzem Volquinem, a zajęty najusilniej zawojowaniem Estonii, nietylko nie miał kilkudziesięciu rycerzów z giermkami do lekkomyślnego z kraju wyprawiania; ale starał się przeciwnie wszystkiemi sposobami spowodować Waldemara II króla duńskiego do podjęcia na korzyść kościoła inflanckiego krzyżowój wyprawy. Aby się przeświadczyć, że urojeniem jest sprowadzanie z Inflanckim zakonu Dobrzyńców, przejrzyjmy pobieżnie historią zakonu inflanckiego do 1224 roku, podług kroniki współczesnego Henryka Łotwaka.

Zakon inflancki założył w roku 1201 (2) Albert biskup tegoż kraju, a na utrzymanie przeznaczył mu  $\frac{1}{3}$  nawróconych

(1) Pr. Gesch. I str. 464.

(2) Henr. Łotw. wyd. Grubera, str. 22 Eodem tempore... Albertus... ad multiplicandum numerum fidelium et ad conservandam in gentibus ecclesiam fratres quosdam militiae Christi instituit, quibus Dom. Papa Iunoc. III regulam Templariorum commisit, et signum in veste ferendum dedit scilicet gladium et crucem, et sub obedientia sui episcopi esse mandavit.

Inllant. Nieliczny w początkach swych powiększał się coraz przyjmując w szeregi swoje znacznych z rodu niemieckiego, którzy rok rocznie prawie krucyaty w kraje nieśli inllanckie. Nawracanie szło bardzo opornie. Prace i wojny biskupów Meinharda i Bertolda, zapal, z jakim następca ich Albert (1) dzieło ich wyksztalał: rozbijały się o stałość w stariej wierze tamtejszych mieszkańców. Ustanowienie stałej milicyi rozjątrzyło bardziej jeszcze okolicznych pogan, Kurlandczyków, Estów, Lettonów, Litwinów, a nabawiło niepokoju księcia pskowskiego Włodzimierza, który zaraz w 1202 r. (2) w chrześcian granicę wtargnął. Nawracanie dlatego było tak trudnem, że nowi apostołowie razem ze starą religią niszczyć usiłowali i rzeczywiście niszczyli i starą narodowość, a pod sztandarami prawdziwej wiary zaszczepiali pierwiastki niemczyzny w ochrzczonych krajach (3). Dlatego też przenosili poganie sąsiedztwo i zwierzchnictwo książąt pskowskich, płacić im woleli daniny roczne, i starali się nawet wciągnąć ich do wspólnej sprawy, gdy r. 1205 zamyślali wyprzeć z Inllant Niemców (4).

Podczas, gdy tak licznych i zaciętych mieli nieprzyjaciół, swarzyli się między sobą chrześcianie, a mianowicie biskup i nowy zakon o posiadłość nawróconych krajów. Niesnaski (5) te skończyły się tymczasowo 1210 r., w którym biskup i mistrz zakonu, zostawiwszy i nowonawróconych i pogan na wolą Bożą do Rzymu pojechali, aby Innocenty III papież zadecydował w ich sporze. Wyrok papieża wypadł na korzyść zakonu. Do  $\frac{1}{3}$  Inllant dostali jeszcze  $\frac{1}{3}$  Łotwy; zostali wyjęci z pod zwierzchności biskupa; z dóbr swych dziesięcin płacić nie mieli, a co najważniejsza, wolno zakonowi podbijać pogańskie ziemie i z tych nikomu nie ma być zobowiązany. Co do osadzania

(1) Albert został biskupem 1198. H. Ł. p. 15.

(2) H. Ł. p. 26

(3) Voigt Pr. Gesch: I p. 413 powiada, że umierającego Inllantczyka ziomkowie temi pocieszali słowy: gehe Ungluecklicher in die bessere Welt, wo die Deutschen nich mehr deine Gebieter, sonder deine Knechte seyn werden. Z tego sądzić można o nawracaniu niemieckim tamtejszych pogan.

(4) H. Ł. p. 35 wysłali Inllantczyczy do Włodzimierza potajemnie kilku, powiada tu kronikarz: qui, ut animum regis inclinarent ad expellendos Teutonicos de Livonia, quaecunque... poterant... proponebant.

(5) Porówn. Voigt, Gesch. v. P. I, 417.



miejsce swych duchownemi: ma zakon zdatnych biskupowi przedstawić, a ten potwierdzić ich winien. W razie sprzeczki co do tego punktu, mają strony czekać wyroku Rzymu (1).

Wyjęcie to zakonu z pod władzy biskupa dobre cbwilowo skutki wywarło w nawracaniu i podbijaniu pogan, bo gdy pierwszy na swą rękę wojował z pogany, nie ustawał i biskup; owszem podwajał usiłowania, aby poruszać nowych krzyżowców, którzyby i dla niego co z ziem pogan zdobyć mogli. Już w powrocie z Rzymu zebrał wielu ochoczych krzyżowników w Niemczech, w których liczbie znajdowali się biskupi, jakoto: Filip Raceburgski, Yso z Werden i Padebornski (2), i wielu panów niemieckich. Za pomocą tych krzyżowców usiłował Estonów podbić; o urzędzeniu w ich kraju biskupstwa zamyślał i wyznaczył już nawet na ich biskupa Teodoryka opata z Duena-muende (3). Za pośrednictwem tychże krzyżowców ugodził się Albert z nowonawróconemi Inflantczykami o dziesięciny i ułatwił im ich płacenie (4). Oprócz tego starali się z pskowskim księciem pogodzić chrześcian (5), niemniej i wypośredkować granice między posiadłościami biskupa i zakonu, a Otto IV cesarz wziął zaraz r. 1211 zakon w swą opiekę i protekcją (6).

Po odejściu krzyżowców przekonali się Niemcy, na jak kruchych podstawach ich panowanie, bo już w tymże roku wszyscy prawie nowonawróceni w Inflanciech powstają, podsycani przez drażnionych Estończyków, (7) a podczas krwawych i zaciętych z nimi wojen wykazywali się Litwini z lesistych swych moczar po kilka razy (8). Gdyby nie usilne starania

(1) Gruber, *Origines Liv. sacrae et civilis*, w kronice Henr. Ł. p. 228, X (*Silva documentorum*) *Confirmatio compositionis inter Albertum Rigensem ep. et Volquinum Mag. et fr. militiae Christi initae*. Uwagi jest godne, co za stosunek papież między osobą mistrza a biskupem postanawia: *verum mag. eorum: qui pro tempore fuerit obedientiam semper Rigensi ep. repromittet*. Dat. Laterani XIII Kalendas Novemb. p. n. a. XIII.

(2) Gruber H. Ł. pod r. 1210. p. 75 § 2.

(3) Tamże p. 78 § 4. Tu także powiada H. Ł. że Albert miał władzę: *vice archiepiscopi episcopos creandi et consecrandi*.

(4) Tamże, p. 79 § 5.

(5) Tamże, p. 85 i 6 § 2 r. 1211.

(6) Dokument ten wydrukowany u Voigta *Pr. Gesch.* I, p. 675.

(7) Gruber H. Ł. pod r. 1211, p. 86 et sqqu.

(8) Tamże, p. 92 § 2 r. 1212.

papieża, zachęcającego Niemców do wypraw krzyżowych, nie pomoc hrabi Albrechta z Orlamuende (1) i za jego pomocą i współdziałaniem z zakonem nie kłęska Estończyków pod Fellinem (2), trudno by się było Niemcom ostać w Inflanciech, tém mniej opanować Estonią. Powodzenie swe wyłącznie krzyżowcom zawdzięczając, mieli słuszną obawę się po ich odejściu, że Estonia znowu odpadnie, zwłaszcza, że Mściśław Nowogrodzki bardzo niechętnie na rozpościeranie się władzy niemieckiej spoglądał. Dlatego Albert najusilniej starał się teraz nakłonić Waldemara II króla duńskiego do wyprawy krzyżowej (3). W czasie wybierania się jego na krucyatę, którą na cześć Najświętszej Panny i odpuszczenie swych grzechów przedsięwziąć postanowił, miewał mistrz Volquin krwawe rozprawy z Estończykami, połączonemi z Mściśławem nowogrodzkim i Włodzimierzem pskowskim (4). Rok 1218 zapelniają krwawe wojny Waldemara II (5), które zapewniły chrześcianom Estonią, lecz stały się zarazem przyczyną długoletnich niezgód między chrześcianami, bo Waldemar, o intencji swój t. j. czci Najświętszej Panny i odpuszczeniu swych grzechów zapomniawszy, zwyczajem tamtych czasów, nawrócone przez swych wojowników kraje, za swą uważał własność (6). Nie uśmierzone jeszcze tych niezgód, a nowy zjawił się apostoł. Jan król szwedzki z wielkiem w Estonii zjawił się wojskiem (7), chcąc resztę kraju zagrabic i nawrócić. Jego zachętkom i chwilowemu powodzeniu położył koniec napad wyspiarzów Oeselskich (8), skutkiem którego załogi szwedzkie, wódz ich ks. ostrogocki i biskup wyginęli. Z zamieszek tych korzystając Rusini pskowscy wpadli z licznym wojskiem 1221 r. do Inflant, znacząc ślady pśchodu swego mordami, pożogami i łupieztwem. Po ich ustąpieniu wzmoгло

(1) De Lovenborch. Tamże p. 113, § 1 r. 1216.

(2) Veliende. Tamże p. 118, § 2 r. 1216

(3) Tamże p. 122—3, § 1, r. 1217.

(4) Tamże p. 123 et sqqu § 2 et sqqu r. 1217.

(5) Tamże p. 128 et sqqu. § 2 et sqqu

(6) Tamże p. 139, § 10, r. 1218.

(7) Wylądował w Rotalii, o której pisze Gruber w H. Ł. p. 96 uwaga b. est enim Rotalia regiuncula in ora Estoniae maritima, Osiliae insulae objecta, quae ora maritima teutonice „die Strandwyck”, estonice „Lõne-ma” vocatur: in qua parochia Rotaliensis, estonice Riddali Kirrik, pristinum nomen retinet.

(8) Tamże, p. 146 § 3, r. 1219

się znowu znaczenie Duńczyków, ale uciski ich, duma a następnie szczególnież uwięzienie Waldemara II (1223) przez Henryka hrabę na Skwierzynie, spowodowały i na północy ich upadek. Po ich nastąpieniu znowu wznieciły się wojny z poganami i Rusinami, które wyłącznie prawie na zakonie ciążyły. Zdobyć Dorpatu (1) w r. 1223 przypadające, kres tymczasowy położyło wojnom i uspokoiło na czas niejaki Inflanty (2).

Bardzo naturalném, że ci, którzy sobie w Inflanciech rady dać nie umieli, tém mniej wysyłać mogli kilkunastu z swego grona na awantury do Mazowsza. Jedyną téż przyczyną sprowadzania braci dobrzyńskich z Inflant było nieuważne Duesburga czytanie (3). Razem z Długoszem nadzwyczaj mętne mającym wyobrażenie o zakonie dobrzyńskim, rozpowszechnił u nas Kromer sprowadzenie ich z Inflant, a za nimi wszyscy ich wypisywacze. Niemcy z dwóch tych pisarzów i z swego Lucasa Davida wiadomości co do tego względu czerpali. Pierwszy Hartknoch w przypisach swych do Duesburga (4), a potem w dziele *Alt und Neu Preussen* (5) wystąpić odważył się przeciw temu zastarzałemu, a od wszystkich powtarzanemu uprzedzeniu. Zdanie jego poparł zasłużony nader w historyi naszej Lengnich (6). Poszedł za nimi uczony Naruszewicz i Ostrowski (7). Voigt w końcu i w historyi Prus, i w rozprawie o bractwie (8) jaszczurek usunął wszelkie w kwestyi téj wątpliwości, wykazał dostatecznie, że go z Inflant nie sprowadzono; a mimo to odzywają się jeszcze tu i owdzie o jakimś z Inflant rycerzów zwolowaniu (9).

(1) Tamże, p. 168, § 6, r. 1223.

(2) Tamże, p. 170, § 1, r. 1224: *Annus bisdecimus septimus autistilis extilit, et jam Livonum terra tranquilla pace silebat.*

(3) II, 4

(4) P. 33 przypisek do cap. 4 części II

(5) P. 270

(6) *Polnische Bibliothek.* 4 Stueck, p. 307—8.

(7) Pierwszy w historyi narodu Polskiego tom VI str. 214 i następne; drugi w „*Dzieje i prawa kościoła polskiego*” T. II, str. 18 i następne. wydanie poznańskie 1846; pomylili się tylko w oznaczeniu czasu

(8) *Gesch. v. Pr.* I p. 460 et sqqu: w rozprawie o bractwie jaszczurek jest zakonowi poświęcony XII przypisek, str. 250 et sqqu.

(9) *Starożytności polskie* T. I, Poznań 1842 w artykule „*Dobrzyń.*”

Roku więc 1222, co wypływa z wyżej podanych okoliczności, Konrad: de consilio fratris Christiani Episcopi Pruschiae et quorundam Nobilium pro tuitione terrae suae *instituit* fratres milites Christi appellatos cum albo palio, rubro gladio, et stella, qui tunc in partibus Livoniae fuerant et multas terras infidelium subjugaverant potenter fidei Christianae, et episcopus praedictus quendam virum discretum, Brunnonem dictum, et cum eo XIII alios ad dictum ordinem investivit (1). W rozdziale następnym powiada tenże sam kronikarz, że tenże książę sprowadzić postanowił Krzyżaków po przekonaniu się „quod fratres milites Christi per eum ad hoc *instituti* non proficerent in hac causa.“ Zepsute jest miejsce wyżej cytowane Duesburga, mimo to dosyć wyraźne, żeby przekonać, że Duesburg nie myślał przy tém o sprowadzaniu Inflantezyków. Wyraźniej wysłowił się tłumacz kroniki Jeroszyna, (który Duesburga w rymy niemieckie przełożył), powiadając w swój za karę zapewne pisaną „cronica vetus“ etc. „dictus dux cum Cristino episcopo in protectionem terrae instituit milites in albis cum rubeo ense et stella signatis, quia hujusmodi milites in Livonia multa fecerunt“ i t. d. (2). Jeroszyn wspominając o zakonie dobrzyńskim żadnego z Inflantezykami nie robi porównania (3). Między innymi aktami urzędowymi z owych czasów, instrument (4) wyznaczający posiadłości przez Konrada Dobrzyńcom dane, najwyraźniej poświadczą, że ich zakon nowo założono; powiada tu Konrad: „ego Conradus—contuli Magistro militum Prussiae et fratribus ejus militaturis contra Prutenos more Livoniensi Castrum Dobrin, etc. Wzmianka o mieczowych, która w Duesburgu jak go dzisiaj mamy, jak Piłat w Credo zamieszana, białym zrozumienie, nie może tu nikogo oszukać. Dobrzyńcom jest tu tylko to samo co i Inflantezykom przeznaczone zadanie. Wszelką zaś wątpliwość, jeśli jeszcze jaka pozostaje, usuwa confirmacya zakonu przez Grzegorza IX, w której wyraźnie powiada papież, że zakon Krystyn założył (5). W wyżej cytowanym miejscu Duesburga, nie tylko słowo *instituit* dowodzi

(1) Duesburg II, 4.

(2) Voigt, Eidechsen Gesellschaft p. 257—8.

(3) Tamże.

(4) Dogiel, IV p. 5 N. 7.

(5) Voigt Cod. dipl. I p. 19, N. 20; p. 20 N. 21. Dat. Perusii V Kal. Novembris p n a II (1228).

założenia nowego zakonu, ale i ta okoliczność, że biskup Krystyn inwestuje wstępujących do zakonu braci (1). Przyjmowanie bowiem nowych członków należało jedynie, po ukonstytuowaniu zakonu, do mistrza i głównej kapituły; a tylko przy zakładaniu nowych zakonów przyjmowali do niego członków dostojnicy duchowni, jak np. pod Akkonem patriarchy jerozolimski, w Rydze biskup Albert.

Założywszy zakon wybudował Konrad braciom zamek Dobrzyń na pograniczu ziemi dobrzyńskiej i chełmińskiej przy rzece Drwęcy, a na utrzymanie dał im wieś Cedelice (Szadłowice) z przyległościami. Bracia nawzajem zobowiązali się ziemią pogan, którą za pomocą boską zdobędą z księciem podzielić (2). Zobowiązania te prawdopodobnie przy założeniu zakonu spisane, później zaginęły (3). Błędem uważać trzeba osadzenie Dobrzyńców w Dobrzyniu nad Wisłą. Nasi zwłaszcza historycy wszyscy prawie ich tu osadzają. Dobrzyń tymczasem nad Wisłą stare jest miasto. Wzmiankuje o niem i o zamku dobrzyńskim Długosz już pod r. 1065 (4). Gdyby więc Konrad tu był braci osadził, nie potrzebowałby był im zamku budować, ale dawno wybudowany byłiby tylko bracia zajęli. Tymczasem Duesburg wyraźnie o nowo budowanej wspomina twierdzy (5). Nie zgadza się nareszcie z prawdopodobieństwem, aby Konrad w Dobrzyniu nad Wisłą, daleko od granic Chełmińskiego, dalej jeszcze od siedlisk Prusaków milicyą jak najbliżej Prusaków być mającą, w głębi urodzajnego swego, wsiami i kościołami zasianego kraju miał osadzać. Byłoby to z jego strony jak najlekkomyślniejszém utrudnieniem

(1) Mała liczba członków nowego zakonu zadziwiać nie powinna. Czternastu dobrze uzbrojonych rycerzów mogło wiele zrobić w owych czasach, zwłaszcza przeciw źle uzbrojonym Prusakom. Nareszcie każdy z tych 14 rycerzów miał swoich ludzi, giermków i t. d., których liczba liczną być musiała. Zgadza się bowiem wszyscy na to, że po bitwie pod Brodnicą 4 lub 5 tylko zostało rycerzów, a jednak nie wzięli Prusacy zamku dobrzyńskiego, w którym się ci czterej lub pięciu zamknęli. Tém się to tylko da wytłumaczyć, że każdy z pozostałych rycerzów poprowadził z sobą do zamku niemałą liczbę swych ludzi.

(2) Duesb. II, 4.

(3) Lucas Dawid II, 7 powiada, że je zniszczono.

(4) Wyd Dobrom. str. 237.

(5) Duesb. II, 4.

zakonowi jego zadania, a ułatwianiem łotrostw łupów chciwym Prusakom, które powściągnąć założeniem zakonu zamierzano.

Bracia, po wybudowaniu i wzmocnieniu zamku wzięli się do dzieła. Najeżdżali północne Chełmińskiego, pogranicze niezupełnie czyste, i zapuszczali się nawet w odleglejsze Pomeranii okolice (1). Często ich napady, niespodzianie wykonywanymi drażnieni Prusacy, korzystając z nieobecności Konrada, zebrali się w ogromnej sile, przeprawili się przez Drwęcę, zamierzając wypłoszyć niebezpiecznych sąsiadów z mocnego gniazda. Przewagą nieprzyjaciół zatrwożeni bracia, spieszenie o grożącym im niebezpieczeństwie uwiadomili Konrada, prosząc o wczesną pomoc. Wyruszył Konrad z swym wojskiem, złączył je z zastępami zakonu i stoczył fatalną pod Brodnicą bitwę. Dwa dni trwać miała: Jój wypadek zupełna Mazowszan i zakonu kłęska. Wojsko Mazowszan poszło w rozsypkę, niedobitki zakonu, 4 czy 5 tylko rycerzów zostało, zatarasowawszy się w zamku: gdzie trwożni dopóty siedzieli bracia spokojnie, pozwalając pod murami twierdzy łotrować Prusakom, aż nawałnica pogan do swych siedzib się nie usunęła. W czasie téj katastrofy wrzały w Wielkopolsce burze między Władysławami stryjem i synowcem, broczyły się miecze w krwi bratniej, a Leszek Biały spoczywał w Krakowie po fetach danych Henrykowi, który jego księstwa pożądał.

Po okropnej téj kłęsce Konrad, dawno zwątpiwszy w swe siły, odwagę i zdatność, powierzywszy swą własną i krajów swych obronę, a nawrócenie i podbicie pobratymczego swego, pogańskiego szczepu obcym ludziom: przekonał się, że i zakon dobrzyński obronić go nie potrafi. Nie miał nikogo, coby stanął w drodze scenom z r. 1218. Sam nadstawić pierśi w obronie swego kraju nie myślał. Odrodny potomek Chrobrych, Śmiałych, Krzywoustych nie marzył o wstąpieniu w ich tropy. Jedyną nadzieję swą złożył w ręce rozgłośnego bohaterskimi czyny zakonu niemieckiego; ich na swą obronę a na ugięcie karków pogaństwa pod prawo Chrystusa, za radą Krystyna biskupa i krajowych swych dostojników zwołać postanowił; w ich ręce drapieżne, jak historia okazała, oddał losy licznego ludu, i rozumiał może, że oddał nazawsze łuny pożog od swego Płocka, że oczu jego dzikie pogan oblicza, uszu świst

(1) Luc. Dav. II, 7, 8, 9. Porówn. Voigt Pr. Gesch. I p. 464.

strzał ich i zgrzyt pałek nie nastraszy. Rozczarował się w lat kilka, lecz było już niewczesnie.

Ale wracając do naszego zadania, czas tutaj, wspomniawszy o wdaniu się w układy z Krzyżakami, zatrzymać się nad twierdzeniem pana Dominika Szulca, który zakon dobrzyński i niemiecki jednym być mieni. Dowodząc swego twierdzenia nie miał pan Szulc najmniejszego względu na przywiedzione od nas miejsce Duesburga, nauczające, że nowy założono zakon; nie rozwiązał kwestyi, jakim prawem Krystyn mógł inwestować w Mazowszu 14 braci, i wyznaczyć im przełożonego, gdy przyjmowanie nowych członków mistrzowi i wielkiej kapitule jedynie statuty zakonu zastrzegły (1). Nie usunąwszy dwóch tych trudności, żadną miarą do dalszego dowodzenia przystępować nie można. Pan Szulc przystąpił jednak, a w dalszém dowodzeniu tego znacznego dopuścił się błędu, że postawiwszy twierdzenie, „zakon dobrzyński i niemiecki jednym były ciałem”: przyjął premisę, że były jedném i wszelkie wzmianki o zakonie dobrzyńskim a priori do zakonu niemieckiego stosuje.

Zaczyna się to poczęści już od strony 65, na której przy wyrazach „stolica rzymska pisząc do Krzyżaków i t. d.“ do Voigta się odwołuje. Voigt w cytowanym przy tych wyrazach miejscu dalekim jest od twierdzenia, jakoby stolica rzymska Krzyżaków zakonem mazowieckim nazywała; przeciwnie, powiada on tam, że poszukiwania jego około zakonu dobrzyńskiego, i twierdzenie, że sam w sobie i dla siebie całość składał, stwierdzają dwie nowe bulle papieżkie. Na mocy téjże saméj premissy cytuje pan Szulc na stronie 70 w Dogielu przywiléj, który, jak to Voigt już dostatecznie wyjaśnił, nie Krzyżakom, lecz Dobrzyńcom dał Konrad (2). Zdanie to zresztą trudno pogodzić z słowami p. Szulca na str. 75 „Voigt słusznie mniema, że ten ostatni zakon (Dobrzyński) nic nie miał wspólnego z In-

(1) De Wal. Recherches etc. T. I, Chap. II, p. 40, § 29. Lorsqu'il s'agissoit de quelque aliénation, de la réception d'un frère, ou de quelque autre affaire importante, le Maître ou le supérieur devoit convoquer tous les frères et suivre l'avis de la plus saine... partie etc. T. I, Chap. III, p. 61, p. 30. Lorsque le Maître et le chapitre avoit résolu de recevoir un sujet qui se présentoit, on lui envoyoit un .. etc. Le postulant étant entré, ce mettoit à genoux devant le Maître ou le président du chapitre etc.

(2) Eidechs. Gesell p. 265.

flantczykami prócz sposobu wojowania, i to zdanie potwierdzają wyrazy dyplomatu z r. 1228 „*militaturis more Livoniensi.*“ Na stronie 70 bowiem dyplom ten podług p. Szulca Krzyżakom, na str. zaś 75 Dobrzyńcom dany. Na str. 71 i 72 wyrazy: „gdy zaś kronikarz zakonny na jednym miejscu mówi, że (scil. Krzyżacy) z bojaźni za zamek Dobrzyń wychylić się nie mogli, tak że w końcu czterech lub pięciu Prusaków bezkarnie około nich chodziło, a na innym twierdzi, że nie mieli, (scil. znowu Krzyżacy) gdzie głowy położyć“, są lekceważeniem wiadomości czytelników: bo w pierwszej połowie zdania tego Duesburg o braci Dobrzyńskiej, w drugiej o Krzyżakach mówi. Na str. 72 powiada p. Szulc, wspomniawszy o bitwie, - w której Konrada Landsberg'a i jego towarzysza Prusacy ciężko poranili: „godziło się Voigtowi na cudzą wiarę powtarzać, że jednemu w owęj porażce zabrakło odwagi w piersiach, ufności w sobie, męskiego uczucia cnoty, ksiązęciu mazowieckiemu? Przecież sam Duesburg świadczy, że ta wyprawa miała miejsce pod nieobecność Konrada.“ Duesburg i Voigt w miejscu przy tych słowach cytowanym nie mówią o potyczce, w której Konrada Landsberga poraniono, ale o bitwie pod Brodnicą, w której Dobrzyńcy klęskę ponieśli. O potyczce, w której Krzyżaków raniono, pisze Voigt dopiero w tomie II, str. 169 i nie miesza w nią Konrada księcia; na miejscu przez autora cytowanym nie znalazłem wzmianki o Konradzie krzyżaku: że zaś Voigt księciu męztwa odmawia, nie wyrządził mu krzywdy ani niesprawiedliwości; nigdzie nie można się doczytać o jego bohaterskich czynach. Na str. 74 przyjmuje znowu autor tożsamość dwóch tych osobnych zakonów, i powiada, że Krzyżacy ugodzili się z księciem pod tym warunkiem, iż się równo podzielą krajem zdobytym. Cytowany jest błędnie w tém miejscu Duesburg II, 7. W całym niezmiernie długim rozdziale 7 części II Duesburga najmniejszej o ugodach Krzyżaków z Konradem wzmianki nie ma. Domyślam się, bo błędny cytat w spisie omyłek nie poprawiony, że autor chciał się na Duesburga II, 4 odwołać, ale tam nie o ugodach z Krzyżakami, ale najwyraźniej o ugodach z Dobrzyńcami Duesburg mówi. Popelniwszy tyle znacznych usterek, przystępuje autor str. 75 do dowodu, że wzmiankowane zakony jedno tworzyły ciało. We wstępie do dowodu zaraz gruba jest pomyłka. „Voigt słusznie mniema,“ są słowa autora, „że ten zakon nic nie miał wspólnego z Inflantczykami i t. d. ale przydaje, że



pod inném żył prawem“ i t. d. stwierdzone cytatem rozprawy Voigta o jaszczurkach, dodatek XII p. 250. Piérwsza połowa zdania tego prawdziwa, co do drugiej napróżno przerzuciłem karty rozprawy o jaszczurkach: dodatku tego nie masz tam. W historyi Prus zaś I p. 461 mówiąc o zakładaniu zakonu dobrzyńskiego powiada przeciwnie Voigt: „Offenbar aber sah Bischof Chrystian bei dem Entwurfe zur Verfassung und Lebensweise dieses Ordens auf die Brueder des Ritter-Dienster Christie in Livland hin... Demnach war die Verfassung und Regel des Tempelordens *auch* bei diesem neuem Orden die eigentliche Grundlage des ritterlichen Lebens.“ Tem „*auch*“ chce powiedzieć Voigt, że prawo mieli jedno i to samo mieczowi i dobrzyńcy, bo I p. 408, że za radą Innocentego III wzięli mieczowi regułę i prawa Templaryuszów za swoje. Godłami tylko trzy te zakony różniły się i różném powożeniem.

Z czterech potém cały dowód składa się punktów. Dwa piérwsze brzmią jak następuje: „A najprzód tenże Duesburg utrzymuje, że Dobrzyńcom oddał ks. mazowiecki wieś Siedlec, przywilój zaś Fryderyka z roku 1226...wyrażnie ich (?) nazywa braćmi szpitalnemi Panny Maryi domu niemieckiego: Frater Hermanus sacrae domus hospitalis sanctae Mariae Theutonicorum.“ Z tego wypływa niepojęty wniosek: „więc Dobrzyńcy i Krzyżacy szpitalni są jednym zakonem.“ Duesburg mówi istotnie w cytowanym miejscu o Dobrzyńcach; dyplom Fryderyka z r. 1226 wystawiony wyrażnie Hermanowi Salca i jego zakonowi; ale czytając w Duesburgu o Dobrzyńcach, a w przywileju Fryderyka o Krzyżakach, wywnioskować niepodobna, że przywilój Fryderyka do tych samych adresowany, którym Konrad podług Duesburga wieś Siedlec darował. W przywileju Fryderyka przynajmniej najmniejszej wzmianki o Siedl-  
cach nie znalazłem.

„Powtóre biskup płocki w przywileju, okazuje toż samość rycerzy Chrystusa, milites Christi, których Duesburg uważa za Dobrzyńców z braćmi szpitalnemi domu niemieckiego, tak się albowiem wyraża: Milites Christi, scilicet fratres de domo Theutonicorum Jerosolimitanorum.“ (Stronczyński p. 5). Nie mam Stronczyńskiego pod ręką, ale pewnie to o tym dyplomie mowa, który i u Dogiela IV p. 9, nr. 11 wydrukowany; to téż zresztą wcale niepotrzebne: najważniejszą rolę gra tu „scilicet“. Scilicet tymczasem nie znaczy w ówczesnych dyplo-

matach i w takim związku „to jest“, tylko „aby się jaśniej wyrazić.“ Na dowód niech służy kaźden przywilój z owych czasów, w którym się „scilicet znajduje: np. w Kodeksie Raczyńskiego p. 21, nr. 18. Niemniej scilicet w słowach Alberyka wyżej od nas przytoczonych. Wszystkich Krzyźowców nazywano podówczas milites Christi, bo się wszyscy za wiarę bili, przynajmniej podług mniemania współczesnych. Biskup więc plocki, pisząc „milites Christi scilicet fr. de domo Theutonicorum“, zrobił ten dodatek, żeby się jaśniej wyrazić, żeby kto przywileju tego Dobrzyńcom nie przyswoił. W tym razie miałby tylko autor słuszność, gdyby Duesburg „milites Christi scilicet de domo Theutonicorum“ za Dobrzyńców uważał. Lecz tak nie jest.

Trzeci i czwarty punkt spokojnie pomijam, bo są z lat 1236 i 37, a zakon Dobrzyńców, podług bulli Grzegorza IX z 19 kwietnia 1235 połączył się z Krzyźakami. Bullę tę opisaną przez Dr. Lindego z archiwum narodowego w Warszawie, wydrukował Voigt w rozprawie swój o jaszczurkach p. 272; nie wątpię więc, że ją autor zna, odwołując się często na tę rozprawę. To tylko jeszcze wspomnę, że autor w punkcie czwartym str. 76 powiada, jakoby Voigt późniejsze, niż 1237 roku przyjął połączenie się dwóch tych zakonów. Eidechsen-Gesellschaft p. 269 et sq., Gesch. v. Pr. II p. 260 et sq. powiada Voigt wyraźnie, że się połączyły przed r. 1235.

Ustęp ten napisałem badając prawdy i chcąc wyřęczyć jakiego Niemca, któryby z przechwałkami roztrębywał, że w naszej historii błędy historyków naszych poprawiać musi.

Powszechném było zdaniem do Voigta, że za nadejściem Krzyźaków do ziemi obiecanej (1), którego to porównania pićrwszy chwalca zakonu użył, nie było już i śladu zakonu Dobrzyńców w Mazowszu. Pochodziło to ztąd jedynie, że nie rozrózniano nazwiska zakonu tego, od nazwiska zakonu dobrzyń-

(1) Duesb. pars II, cap. IX. Herman Salca wyprawiając Hermana Balk'a do Prus, rzekł mu: „Zbierz siły swoje i bądź mężny, ty bowiem wprowadzisz Izraela tojest braci swych do ziemi, którą przyrzekł im Pan, a Bóg będzie z tobą.“ Szczególnie odbija to od poprzedniego rozdziału, w którym Duesb. sili się ziemię pruską jako *horroris, vastae solitudinis, et bello durissimo plenam*, odmalować i ubolewa nad braćmi niemieckimi, że *dolce solum natalis patriae suae* opuścić musieli.

skiego. Mieli i nasi i obcy w ręku przywileje dawane Dobrzyńcom; ale przekonani, że rycerze ci albo (po klęsce pod Brodnicą) korporacją swą rozwiązali, albo do Inflant się usunęli: przywileje te Krzyżakom przypisywali. Aby w błąd ten nie popaść, uważać trzeba, że Krzyżacy pilnie przestrzegali, aby nazwę i tytuł ich zakonu dokładnie w przywilejach i pismach urzędowych wypisywano. Bez wahania można więc téż poznać każdy im dany przywilej, bo w każdym z nich są nazwani albo: *milites de domo Teutonica*; albo *hospitala S. M. domus Teutonicorum*; albo *milites Christi scilicet de domo Teut. Jerosolimitana*; albo *mil. Christi Hospitali S. D. Teutonicorum* i t. d. Dokumenta z owych czasów, w których bliższego tego oznaczenia nie ma, a są dane zakonowi w Mazowszu, do Dobrzyńców należą, i z nich téż jedynie historyą zakonu dalszą zebrać można.

Berlin, dnia 3 sierpnia 1855 r.

# PAPROĆ.

## I.

Zaszło nad lasem słońce czerwcowe,  
Do snu w królewskiej zaszło purpurze  
Na pogodnego nieba lazurze  
Świecą z północy zorze różowe,  
Migocą gwiazdki; a ponad siołem  
Księżyc srebrzystym wzbija się kołem.

I tajemnicze nocy milczenie  
Zaległo pola, łąki i gaje;  
Ziemia się niby zasypiać zdaje,  
Niby w rozkoszne tonie marzenie:  
Tylko jój do snu brzęczą komary  
I z ciepłym wiatrem dąb szumi stary.

Nagle w milczącej ciszy wieczoru  
Rozległ się brzmiały okrzyk wesela.  
Uśpione echa budzą się w boru,  
Ognista łuzą ku niebu strzela;  
I w cieniach nocy czerwono błyska  
Jasny choć drżący płomień ogniska.

Noc świętojańska! sobótkę palą!  
Ogień ze wzgórza wysoko bucha,  
Wietrzyk zachodni z lasu nań dmucha;  
Dym się białawą rozplywa falą,  
A młódź ochocza tańczy wokoło  
Jak nocnych duchów zaklęte koło.

Tańczą—ognisko w łańcuch zamknęli.  
Silnym uściskiem związali ręce.  
Dziewki w świątecznych szat swoich bieli,  
Na złotych kosach zielone wieńce.  
I woń się jakaś rozchodzi dzika,  
Wonieje ruta i betonika.

Tańczą, lecz płomień błędnie pomału:  
Trzeba nań smolne rzucić luczywo.  
Tańczą—lecz koło krąży leniwo,  
Gaśnie gorąca iskra zapalu;

Czas ją podsycić dopóki gore,  
Chodź tu lirniku! zjawiasz się w porę!....

Chodź tu lirniku, zanuć piosenkę:  
Czego tam stoisz gdzieś na uboczy?  
Czego ci łzami zachodzą oczy,  
Gdy do strun drżącą przyłożysz rękę?

Śpiewaj lirniku! my cię uracym  
Złocistym miodem, białym kołaczem.  
Śpiewaj lirniku!—Pod dębem cieniem  
Stał wieszcz wędrowny smutny i blady:  
Włos mu złocistym wił się pierścieniem,  
Na czole dumań głębokie ślady;  
Lecz blask, co w jasnym oku się żarzy,  
Ogniem natchnienia błyskał mu z twarzy.

—„Chodź tu lirniku!— zgraja nań woła,  
Dziewki płasząc ktaskają w ręce—  
Chodź tu lirniku, prosim do koła.  
Raźniej nam będzie przy twój piosence.  
Wreszcie tak każe obyczaj stary,  
Pieśnią się nocne odpędza mary.”

Lirnik po tłumie powiódł oczyma,  
Włos swój złocisty odgarnął z czoła;  
Na drżących strunach palce już trzyma,  
Lecz struny milczą choć rzesza woła:  
—Spiesz się! zaczynaj, teraz noc krótka,  
A o świtanu gaśnie sobótka!

Lecz lirnik stoi, nie odpowiada:  
Co mu się stało? czego on z wleka?  
Czy treść piosenki w myślach układa,  
Czy może z niebios natchnienia czeka?  
Wtém jak za wyższym jakim rozkazem  
We wszystkie struny uderzył razem;

A strun tych dźwięki czarowną zgodą  
W cudną się jakąś melodyą zwały:  
Rzekłbyś, gdzieś w gaju nad cichą wodą  
Boginki chórem pieśń zaśpiewały.

—„Przegrywka—szepcze tłum u ogniska—  
Czekajmy chwilę, bo pieśń już bliska”!  
Czekają—dźwięki płyną z wiatrami,  
I gdzieś się gubią w głuszach dąbrowy.  
Dziewczętom oczy zachodzą łzami,  
A starcy siwe schylają głowy.

Nuta tych dźwięków dobrze im znana,  
W pięknych młodości dniach zasłyszana!....  
Ale po chwili szept krąży w tłumie:

—Jakie to dziwne i nudne dźwięki?  
 Co mi za lirnik? on grać nie umie!  
 Lirniku! innéj chcemy piosenki!  
 Ta nam na sercu ciąży niemiło:  
 Przy niejby tańczyć nie można było!...  
 Innéj piosenki!...—Lice lirnika  
 Mieni się nagle, poblądł jak chusta;  
 Bolesną skargą drgnęły mu usta,  
 Aż w oczach iskra mignęła dzika.

Wystąpił naprzód dumny i hardy,  
 Objął tłum zimném okiem pogardy,  
 I z gorączkową jakąś rozpaczą  
 Drgające palce spuścił na struny.

Struny syknęły—zgrzytają, płaczą,  
 Zdaje się z niebios ściągną pioruny.  
 Bledną od trwogi dziewczki lęklive;  
 Wtém struny pękły, jęcząc jak żywe!..

Wieszcz niemą lirę na ogień rzucił,  
 Poszedł. Dreszcz grozy wstrząsł całą zgrają;  
 —„Wróć się lirniku! wróć się! wołają.—  
 On spojrział smutnie, ale nie wrócił:  
 Cisza go lasów nęci ku sobie,  
 Jako piastunka dziecko w chorobie.

## II.

Szumi dąbrowa z wiatrów powiewem,  
 Szemrają listki jak dzieci we śnie;  
 Na mech wilgotny pod starém drzewem  
 Padł biedny lirnik łkając boleśnie.

—„O liro moja! o liro złota!  
 Co ja bez ciebie pocznę sierota?  
 Kiedy mnie dola przyciśnie sroga,  
 Kiedy mnie życie znęka tulacze:  
 Jak ja tęsknotę z piersi wypłaczę,  
 Jak ja się będę modlić do Boga?  
 O liro moja!”—Zapłakał rzewnie,  
 I w drżących dłoniach mokrą twarz kryje.  
 Och! serce w piersi pęknie mu pewnie,  
 I lirnik, liry swéj nie przeżyje....

Płakał, aż wreszcie jak małe dziecko,  
 Co z wolna z płaczu w cichy sen wpadnie,  
 Czuł, że mu głowa cięży bezwładnie  
 I jakoś niemoc powieki gniecie.

Więc zamknął oczy i złotą głową  
 Wsparł się o twardą gałąź dębową.  
 Wtedy łagodny powiew wietrzyka  
 Szmer mu jakowys przywiał do ucha,  
 Niby podziemna *Elyów* muzyka,  
 Melodya tęskna, tłumiona, głucha.

Zerwał się—patrzy: w głębinie boru,  
 W drżących promieniach światła nocnego  
 Owiany białą mgłami wieczoru,  
 Stał drugi lirnik, rzekłbys brat jego:  
 Takie jak na nim ubogie szaty.  
 Tak jak on smutny, tak jak on blady;  
 Na piersiach takie zwiędłe miał kwiaty,  
 Nawet na licu świeżych łez ślady;  
 Tylko że lirę przy sercu trzyma,  
 Ale niestety! strun na niej nie ma....

Zadrzał wieszcz biedny, nie wie dlaczego  
 Na serce dziwna trwoga mu padła:  
 Może to tylko własny cień jego  
 Stoi odbity od mgły zwierciadła?  
 Lub który z biednej, wędrownój braci  
 Takiegoż lica, włosa, postaci?  
 Może?..... Wiatr chłodem ostrzejszym wionął,  
 Znać już północy przyszła godzina:  
 Pochylił głowę, w myślach utonął,  
 A tamten drugi śpiewać zaczyna

### III.

—,Bracie lirniku! czego tam stoisz  
 Błady i drżący, z schyloną głową?  
 Czego tę starą puszcę dębową  
 Niewieścią żalu łzą niepokoisz?  
 Gdzie twoja lira? czemu jój nie ma?  
 Biada, kto z prózną przychodzi dłonią!  
 Co ty odpowiesz, gdy jak Kaima,  
 Pan Bóg cię z niebios zapyta o nią?

Biada ci! biada...! Bóg na twém czole  
 Złożył znak, nie wiem kary czy łaski;  
 A ty chcesz bożą zniweczyć wolę,  
 Ducha świętego przygasić blaski!  
 Próżno: ty musisz iść swoją drogą,  
 Bo ci nie wolno innój wybierać,  
 Choćby długiego męczeństwa trwoga  
 Serce ci miało w piersiach zamierać.

Musisz— niech usta zółcią napoją,  
 Kamieniem wzgardy uderzą w łono,  
 Niech ci brzemienia ciężar podwoją:  
 Musisz iść naprzód—tak osądzono....

Pod różgą losów, szyderstwem świata  
 Nigdy zwątpienia nie puścić w serce;  
 Nawet odstępcę, nawet bluźniercę  
 Kochać gorącą miłością brata.

I w tej najświętszej miłości bratniej  
 Piersi otworzyć jak ów ptak puszczy,  
 Byś do krwi twojej kropli ostatniej  
 Koil pragnienie łaknącej tłuszczy.

A jeżeli sił ci braknie, jeżeli  
 W gorzkich zawodów bolesnej męce,  
 Zapragniesz na dół opuścić ręce,  
 A pierś się skargą jęknąć ośmieli;  
 Biada nieszczęsny! stokroć ci biada!  
 Kto z wolą bożą igrać się kusi,  
 Kto na pół drogi bezsilny pada:  
 Długą pokutę przecierpieć musi.

Śluchaj!.... na waszym świecie, przed laty  
 Żył lirnik, Bóg go wieszczem namazał,  
 W serce skarb uczuć złożył bogaty,  
 I z braćmi skarbem dzielić się kazał.

Kazał mu brzmiać lirę nastroić,  
 I iść za głosem świętego ducha;  
 Tysiąc rozpierzchłych ogniów łańcucha  
 Zarem gorącej miłości spoić.

On, syn Adama! on zlepek ziemi!  
 Z wagą ciężaru sił swych nie zmierzył:  
 Wziął wieszczą lirę, w struny uderzył,  
 Struny zabrzmiały dźwięki cudnemi....

I tłum się cisnął sypiąc oklaski,  
 Jak kuglarzowi chłopięta wioski;  
 Aż mu zgłuszyli w sercu głos boski  
 I ziemskiej sławy zwiody go blaski.

Zachciał wawrzynów, a świat szyderca  
 Rzucił mu palmę z cierni i głogu;  
 Podniósł—pierś kolcem przebódl do serca,  
 I upadł jęcząc i bluźnił Bogu....

W gorzkiej boleści bezbożnym szale  
 Klątwa rozpaczy na tłumy zionął;  
 Struny swój liry stargał zuchwale  
 I w samolubnym żalu utonął.



Tylko gdy z nędznej piersi lirnika  
 Duch się za pieśnią nazbyt wrywał,  
 W pustyniach, jako ptaszyna dzika  
 Wśród głuszy lasów sam sobie śpiewał.

Aż raz wśród cichój czarwcowej nocy,  
 Gdy, (jako każe obyczaj stary)  
 Lud palił ognie, i o północy  
 Bogom pobożne świecił ofiary;  
 On zasłyszawszy pienia ofiarne  
 Zapłakał gorzko: wziął lirę złotą,  
 Te lirę wieszczą, dziś cacko marne,  
 I uciekł w lasy gnany zgryzotą.

I jak ogniki nocą widziane,  
 Znikł—nie zostawił śladu po sobie,  
 Tylko wśród lasów na świeżym grobie  
 Wyrosła paproć, ziele nieznanie!

Paproć, roślina smutna i dzika,  
 W nocy zaklętym kwitnąca kwiatem;  
 Paproć, to biedna dusza lirnika  
 Upadła w ciężkiej walce ze światem!..

Ty drżysz?... przecucie jakies złowieszcze  
 Serce ci ściska grozą téj doli:  
 Wróć się nieszczęsny, póki czas jeszcze,  
 Wróć się! daj Bożej spełnić się woli.

Wróć się! odszukaj liry w popiele  
 Nawiąż trzy struny i po kolei  
 Pieśnią miłości, wiary, nadziei  
 Zadzźwięcz jak kapłan w bożym kościele!

Niech pieśń ta będzie błogosławieństwem  
 Tym, co pracują w znoju i pocie;  
 Niech będzie siłą, niech będzie mężstwem  
 Tym, co w Ogrójcu i na Golgocie.

Niech, jako mały skowronek siola  
 Lud do pacierza i pracy budzi;  
 Niech jako straszna trąba anioła  
 O sędzie Pańskim woła do ludzi.

Aż, kiedy biedne to serce twoje,  
 Co dziś jak dziecię szlocha pod razem,  
 Wiara i miłość złączone razem  
 W taką hartowną ukrzepią zbroję:  
 Że w téj miłości, w téj żywej wierze,  
 Ciernie na wieńce spleciesz z wawrzynem,  
 I kapłan, sam się wydasz w ofierze,  
 By słowo twoje stało się czynem.

Wtedy o wieszczu! przyjdź tu raz wtóry,  
 Przyjdź tajemniczą północy doba,  
 A kwiat paproci, jak gwiazda z chmury  
 Tysiącem iskier błysnie przed tobą.

A gdy go zerwiesz, gdy go posiedziesz,  
 Wróci do nieba dusza zaklęta;  
 A ty lirniku silniejszym będziesz  
 Niż Samson twarde kruszący pęta.

Na dźwięk twój pieśni mocą nieznaną  
 Wstrząsną się trumny, groby otworzą,  
 Z łoża niemocy Łazarze wstana  
 I ciemni przejrzą światłością bożą.

Bo kiedy święty ogień, natchnienie,  
 Zstąpi do czystej serca świątyni,  
 Kiedy podsyci go poświęcenie:  
 Prorok powstaje i cuda czyni!...

### DZIEWCZYNA WRACAJĄCA Z SOBÓTKI.

Wiej wietrzyku, szum dohrowo,  
 Świeć księżycu, świeć nad głową  
 Bładem, drżącym światłem twojem:  
 Bo mi czoło żarem płonie,  
 Bo mi serce bije w łonie  
 Dziwnym jakimś niepokojem.

Gdy pod starem dębem drzewem,  
 Czarodziejskich strun swych śpiewem,  
 Wieszcz zanucił pieśń przeszłości:  
 Jam podniosła wzrok do góry.  
 A tu—w szacie białej chmury,  
 W tajemniczój zorz światłości  
 Zbiegła ku mnie postać biała:  
 Śnieżną lilią w rękę miała  
 I zielony liść palmowy.

Niby smutno, niby dumnie,  
 Skłoniła się z niebios ku mnie,  
 I dotknęła mojej głowy.

Odtąd czoło żarem płonie,  
 Odtąd serce bije w łonie  
 Dziwnym jakimś niepokojem.

Wiej wietrzyku! szum dąbrowo!  
 Świeć księżycu, świeć nad głową,  
 Bładem, drżącym światłem twojem!...

## SPOSÓB

zapatrywania się Waldmüller'a i Völker'a na dzisiejszą  
sztukę malarską (\*).

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

Sztuka, ów kwiat ukształcenia ludzkości, jest najwyższem pięknem w tém życiu. Sztuka jest przedmową do owych rajskich rozkoszy, o których wyobraźnia wscho-

(\*) W czasie mojego pobytu w Wiedniu w latach 1851 i 1852, uczęszczałem do akademii sztuk pięknych, a przytém i do pracowni Waldmüllera, gdzie miałem sposobność poznać metodę tego mistrza najnowszej szkoły malarskiej. Widziałem zadziwiające postępy jego uczniów, wykonywających prace godne nawet dojrzałych artystów. Sposób jego postępowania jest tak popularny, zasada tak prosta, wykład umiejętniej treści względnej ze sztuką piękną tak czysty i zrozumiały: iż niepodobna nawet uwierzyć, że obok takiej szkoły, oprócz samej akademii wiedeńskiej i inne jeszcze istnieją, gdzie się nieszczęsna metoda kopijowania, manierowania i tém podobne obalamucenia w naśladownictwie złych wzorów i pokaleczonych antyków na wielki rozmiar prowadzi. Z tą metodą Waldmüllera porównałem najnowsze obszernie dzieło Völkerja malarza niemieckiego, pod tytułem: *Praktische Anweisung zur Kunst*, a znalazłszy w niém takie same dążności, w tym samym duchu prawdy napisane, jakie w systemie Waldmüllera naocznie widziałem: poczytałem sobie za święty obowiązek metodę tych dwóch kapłanów sztuki w niniejszej rozprawie rozebrać, z błędami innych systemów porównać, prawdziwe pojęcie sztuki wyświecić, i takowe wszystkim czcicielom sztuk pięknych do ocenienia przedłożyć.

dnich narodów marzyła: ona umiła śmiertelnikowi tę krótką pielgrzymkę żywota. A chociaż uczucie piękna niejako wcielonym się być zdaje naturze człowieka: jednakowoż występuje ono na jaw i pozwala się swobodnie używać dopiero wtenczas, kiedy już wszystkie potrzeby życia są zabezpieczone; wtedy dopiero pojawia się ta córa niebios w całej swjej kwiecistej okazałości, i wdzięczy się do duszy naszej uśmiechem ubóstwionej przyrody, do duszy z której siłą wyobraźni i pojęcia wychodzi, a powraca na skrzydłach uniesienia, wdzięczna stwórcy swemu—człowiekowi, że ją osadził na tronie obok wszechmatki świata: cudownej *natury*. Jednakże jestto zalotnica, o której byt i powodzenie troszczyć się potrzeba. Niedostatek jest mordercą sztuki. W cichém tylko zadowoleniu życia, pełny jej rozwój jest możliwy. Dopóki narody zabezpieczeniem swego cielesnego bytu były zatrudnione, napotykały wszędzie tylko surową formę, tylko taką, jaka do zaspokojenia chwilowych wymagań i potrzeb życia okazywała się dostateczną. Później dopiero występuje zmysł piękności, kiedy pożytek z przyjemnością, a potrzeba z powabem i ozdobą pogodzonemi być mogły. Z wykształceniem duchowem narodu podnosi się zarówno i sztuka, w której przeobrażeniach piętnuje się charakter i uczucie, wysokość i stopień ukształcenia jego. Naród zniewieściały i zmysłowy nie zna kształtów silnych w swoich utworach artystycznych; a z upadkiem cywilizacyi i sztuka do grobu się kładzie. Nim przystąpimy do szczegółowego rozbioru tego przedmiotu, należy słów kilka o samem pojęciu sztuki w ogólności nadmienić.

Pod wyrazem *sztuka* rozumiemy tę czynność, przez którą coś wewnętrznego, duchowego w zakres ludzkiego poglądu wstępuje. Istota sztuki w tém pojęciu wzięta, zasadza się na tém, że człowiek pragnie przedstawić, czyli urzeczywistnić to, co dusza wewnętrznemi zmysłami uczuła i pojęła. Tém samem różni się od wszystkich praktycznych czynności, służących do osiągnięcia celów w życiu zewnętrzném, a mianowicie od rzemiosła. Rzemiosło przedstawia przedmiot praktycznie do użytku; sztuka zaś upiększa, i przedstawia go oku ludzkiemu wdzięcznie i mile.

Zewnętrzna forma przedstawionego przedmiotu jest zawsze zmysłowa: czy ona jest utworem wyobraźni, czy rzeczywistości płodem; ale jeżeli takowa ma się stać dziełem artystycznym, natenczas powinna z niej przemawiać taka sama siła duchowa, jaka się stała pobudką do jej utworzenia. Pod prawami sztuki rozumiemy warunki, pod którymi możliwość uczucia duszy ludzkiej, zewnętrzniemi wrażeniami pobudzoną być może. Przedewszystkiem powinna forma sztuki mieć ogólne prawo, odnoszące się do matematycznych stosunków, które niejako granicę stanowią dla kształtów zamkniętych w jej obrębach. Obok tych praw jest piękność najbliższym warunkiem sztuki i jej formy względem uczucia: dlatego też tylko te kształty nazywamy pięknymi, które duszę naszą sposobem właściwym jej naturze, to jest miłym i dobroczynnym, do uczucia skłaniają, i takową niejako w duchowe wprawiają drżenie. Najwyższa zatem piękność stoi w sprzeczności z dążeniem przedstawienia czegoś szczególnego: dlatego słusznie Winkelmann powiedział „że najwyższa piękność, równie jak najczystsza woda nie może być określona.“ Podział sztuki zasadza się na właściwości formy, którą się przedstawienie jakiegokolwiek urzeczywistnia. Wszystkie zatem kształty podlegające pewnemu prawu, zdolne są stać się formą sztuki: mianowicie formy matematyczne, od których natura ciał i ich systemów zawisała, i formy organiczne, w których się życie ziemi naszej coraz dalej i wyżej rozwija. To boskie ziarno sztuki złożyła ręka Wszechstworcy w człowieku, poruczywszy je troskliwości tych wybranych, którzy wartość tego daru pojąć i ocenić są zdolni. By zaś to ziarno bóstwa wypielęgnować, do dojrzałości doprowadzić, a tém samém człowieka do jego wzniosłego usposobienia przeznaczenia: powierzyła go społeczeństwu, któremu przez dobroczynny wpływ sztuki nawzajem uszlachetnienie i niejako nadziemskie uszczęśliwienie odrasta.

Jeżeli sztuka w najwyższem swém pojęciu wpływ swój ma wyrzec na obyczajność i uzacnienie człowieka; jeżeli jako silne, samoistne drzewo ma się rozrastać, rozciągać cień swój łagodny i przynosić kosztowne owoce; jeżeli ludzkości zależeć ma na tém, aby takowa przewrotnem przekształceniem, obca swęj naturze nie wiodła życia suchotniczego, lub

tęż jako pasożytne zielsko bezkorzystnie i bezowocnie nie uwiedła, a nakoniec bez śladu swego istnienia nie zagięła: natenczas posłannictwo wykształcenia, udzielanie zrozumienia jej natury, przez co drzemiąca siła talentu staje się wiedzą i dochodzi do uzdolnienia w używaniu odpowiednich środków na zewnątrz: natenczas posłannictwo takiego wykształcenia jest niezaprzeczenie najwyższej wagi.

Ze ta niebiańska roślina, podobnie jak ziemskie, tylko przy odpowiedniej troskliwości i pielęgnowaniu wzrastać i dojrzewać może: nie da się zaprzeczyć. Tym ogrodnikiem, stosownie do natury sztuki, tylko duch ludzki być może; wszakże jemu wyłącznie Opatrzność tę opiekę nad nią poruczyła. On powinien pojąć jej naturę, chcąc jej potrzebę odgadnąć, on najstosowniejszą formę powinien jej umieć nadać, chcąc takową doprowadzić do dojrzałości. Tę samą moc i władzę, jaką wychowanie w ogólności wywiera na człowieka; tę siłę, która dary bóstwa w nim ukryte rozwija na błogosławieństwo lub na klątwę człowieczeństwa: tę samą potęgę posiada nauka sztuki względem kształcącego się artysty. Ona jedynym jego jest wychowaniem w tak szczytnym powołaniu. Ważność takiego kształcenia nie da się rozpoznać, a o dowody do podobnych domysłów nietrudno. Summa sił szlachetnych, ale przytłumionych i skrzywionych we funkcyach naukowości minawszy się ze swym przeznaczeniem, w każdym razie nie jest mniejszą od tej, którą geniusze szczęśliwszemi okolicznościami kierowane i porwane powodzą swęj genialnej siły, przełamawszy wszelkie tamy i zapory, stwarzały dzieła, którym najwyższe podziwienie po wszystkie wieki złożyć należy w ofierze. W tychto bowiem dziełach uczymy się poznawać całą świetność sztuki, a jej okazałość szczytną poznawać i podziwiać. Wszelkie zwichnięte i przewrotne dążenia we funkcyach nauki artystycznej, jakkolwiek one były przekształcane, mają jeden i ten sam początek i źródło, a tęp jest *nieprawda*. W życiu duchowem i materyalnem, równie jak w odbiciu jednego i drugiego, to jest w sztuce, *prawda* jest pierwszym kardynalnem prawem. Jakkolwiek pięknie i zalotnie kłamstwo się przystraja i wdzięczy, jakkolwiek wiele zwycięstw zwodniczy głos tej syreny już odniósł, i chociaż tyle niewolników hołduje tej ponętnej ułudzie: prędzej później

błyszczące jej panowanie zmierzchnąć musi przed promienistém słońcem prawdy, a boskie jej prawo tylko tém świetniej na tronie osiedzie.

W nauce sztuki wszelki grzech przeciw prawdzie popełniony, najmniejsze odstąpienie od wytkniętej przez nią drogi bywa równie karane, jak przewinienie przeciwko moralnym ustawom społeczeństwa popełnione: srożej nawet, bo ściąga na siebie klątwę moralną, i wiecznie stać będzie pod pręgierzem sprawiedliwej historii. *Die Weltgeschichte ist das Weltgericht*, powiedział Szyller; a geniusz należy do całej ludzkości. Kto się staje prawdy odszczepieńcem, staje się zarazem mordercą sztuki, bo przeznaczenie jej osiągnięciem być nie może, jeżeli prawda nie będzie jej przodkującą zasadą. Prawda w naturze w takiej sile i mocy, a zarazem w takiej prostocie nam się objawia, że tylko niedołączny człowiek pojąć jej nie jest zdolny, a przewrotny tylko jej się opiera. Spojrzenie na obszar nieba, na krocie światła błyszczących u jego sklepienia; spojrzenie na morza niezmierność, którego groźna powierzchnia dotyka się ostatnich krańców świata; widok gór niebotycznych na których barkach olbrzymich zda się opierać budowa podniebia górnego, ich głębie i katarakty szumiące, ich skały piętrzące się w obłoki: to wszystko wzbudza w nas wiadomość o naszej wzniosłej naturze, przez którą czujemy się być wyższemi wyobraźnią, pojęciem i uczuciem nad wszystkie te cuda natury, które ogromnością swych przedmiotów pozwalają sam dochodzić do najwyższej prawdy i pojęcia Stwórcy wszechświatów.

Prawda więc jest najwyższą siłą moralną w życiu naszym: ona powinna téż i w sztuce jako w objawie materialnym przodkować; bo natura, to zwierciadło prawdy wiecznie czyste i jasne, jest źródłem, u którego ona czerpać się powinna, aby sztuka w siłę i potęgę wzrosć mogła. Przyznać należy, że artystycznemu dziełu tylko duch ożywiający jego formę, swęj własnej istoty udziela piętna, którego kształty ożywić jest zdolny. Ależ forma i duch zároveň muszą być prawdziwemi, inaczej skutek byłby niedoskonałym. Prawda w prostocie swęj duchowej nigdy się pobratać nie może z affektacją we formie, równie jak skończona piękność formy nie zgodzi się z duchową affek-

tacyą pojęcia. Ztąd wynika, że wszędzie i we wszystkich względnościach co do pojedynczych warunków artystycznego utworu prawda celuje, która w miarę zastosowania jej do sztuki, dzieło artysty podnosi lub zniża. Na tej drodze prawdy sztuka się poczęła i wstąpiła w życie, na tej drodze wzniosła się do najświetniejszych epok swego istnienia; a rzut oka na starożytną sztukę przekonywa nas o tem dostatecznie. Grecy, ten naród, u którego pod przyjaznym niebem, pod szczęśliwemi stosunkami, pojęcie piękności tak wysoko się ukształciło jak u żadnego innego narodu: z jakiegoż źródła czerpali swą sztukę? Nie byłąz tem źródłem natura?...Z bogactwem wzrastającym Greków, z coraz obszerniejszemi ich stosunkami na zewnątrz, nabierała też ich sztuka coraz większego wydoskonalenia. Około pięćdziesiątej Olimpiady doszła do zenitu swjej doskonałości, bo podziwienie najżywsze piękności w budowie i kształtach ciała ludzkiego prawie do zachwycenia posunęli. Atleci najprzód zwrócili na siebie uwagę i spowodowali swemi pięknymi kształtami głębsze studyum natury. Najzręczniejszym szermierzom, odnoszącym palmę zwycięstwa w szrankach amfiteatralnych, stawiano nawet posągi, z czego wydoskonalenie wyobrażeń bohaterów i bogów początek swój wzięło. Otóż z natury i jej prawdy wyprowadzili Grecy sztukę, służącą w antykach następnym wiekom za przedmiot podziwienia i za wzór do naśladowania piękności, tak wielce zrozumianej i tak głęboko pojętej.

Na tejże samej drodze prawdy, czyż wielcy mistrzowie wszystkich szkół średnich i nowszych czasów nie dochodzili do celu swych usiłowań? Jednym z najważniejszych ustępów w dziejach sztuki jest epoka sławnych eklektyków: Ludwika, Augustyna i Hanibala Caraccych, mistrzów i założycieli bolońskiej szkoły. Z kilku przykładów, które w rozprawie tej przytoczyć wypadnie, zobaczymy, jaką zgubę przewrotność zgotowała sztuce z jednej strony, a jak wielkie błogosławieństwo przyniosło jej pojęcie prawdy z drugiej strony. Ludwik Caraccy urodzony w roku 1555 był synem rzeźnika, i pobierał pierwsze nauki u Prospera Fontana. Dla swego spokojnego a bardziej myślącego charakteru, był od swego mistrza za niezdolnego do sztuki uznany. Młody jeszcze podówczas Carracci ograniczył się



odtąd na kształceniu się własnymi siłami, przez siebie samego. Przez niejaki czas bawił we Florencyi i studyował dzieła sławnych mistrzów, mianowicie: Prymatycego, Andrea del Garto, Correggia, Guilio Romana, Pawła Weronesa i Ticiano. Uzbrowiony głębokiem pojęciem artystycznym, wystąpił później już sam jako mistrz, a droga do sławy przed nim leżała uutorowana. Tą samą drogą poszli i dwaj jego bracia: Augustyn i Hanibal, a w roku 1580 wszyscy trzej zeszli się w pałacu Fawa, gdzie pracowali wspólnie. Mimo prześladowań i zawiści swych współzawodników, trzej ci kapłani sztuki postępowali skromnie po wytkniętej sobie drodze, którą za jedyną i prawdziwą uznali; tą drogą była *natura*. Utworzyli szkołę malarską, gdzie prawda i przyroda miały swój ołtarz, a umiejętne studia względne z temi boginiami, stały się nieodstępniemi ich stróżami. Anatomia, perspektywa, budownictwo, studia nagiego ciała i antyków były wyłącznie warunkiem ich gorliwości i posłannictwa.

Od tej chwili rozszerzała się sława braci Caracców coraz bardziej. Ludwik wsławił się był już wzniosłemi utworami w malarstwie, w tym samym zawodzie Hanibal wzbudzał powszechne podziwienie, a Augustino uświetnił się rylcem. Bracia Caracci utworzyli sobie osobny sposób malowania, który w każdym z nich był oryginalnym, odbijającym właściwość osobistego charakteru i usposobienia. Rozum ich i zamiłowanie prawdy pozwalały to tylko wybierać między mistrzami do naśladowania, co się w ich wewnętrznym przekonaniu okazało właściwem i stosownem, a tak połączyli oryginalność z naśladownictwem; wszakże nie odrzucali tego, co już istniało w sztuce, i co czystym wynikiem natchnionych mistrzów już było za najlepsze uznanem. Oni budowali wyżej, bo zdobyte odkrycia uwieńczone niezaprzeczoną chwałą przydawali skromnie i umiejętnie do własnych swych dzieł. Korzyść tę upatrywali w technicznym tylko wykonaniu, bo twórczość do której technikę stosowali była wypływem ich własnego geniuszu. Sława, której sobie nawzajem nie zazdrościli stała się tak powszechną, iż niejedna praca zamiast osobno jednemu z nich, powierzona była wszystkim trzem wspólnie. Jak wielkim czcicielem prawdy był Ludwik Caracci, niech sama przyczyna śmierci jego odda mu sprawiedliwe

świadcstwo. Ostatnią jego pracą byłato arkada u sklepienia bolońskiej katedry, na której malował Zwiastowanie Najświętszej Maryi Panny, gdzie stosownie do perspektywy, figury Maryi i anioła w kolosalnych oddał rozmiarach. Na nieszczęście popełnił jeden błąd w tym obrazie, który stał się powodem śmierci jego. Anioł zbliżający się do Najświętszej Panny okryty był wiotką szatą, przez którą ruch jego ciała był uwydatniony. Wpatrzywszy się w kierunek śladów ła-two było dostrzedz, że prawa noga tam była, gdzie powinna być lewa, i odwrotnie. Ludwik spostrzegł błąd ten dopiero wtenczas, kiedy już rusztowanie było zniesione, i pomyłka ta naprawioną być nie mogła. Zgryzota z tej przyczyny zrodzona była dla mistrza tak wielką, bolesną i dotkliwą, że od tej chwili upokorzony tą klęską upadł na duchu, zapadł na zdrowiu, i niedługo umarł. Sztuka go zabiła! Tu można powiedzieć słowami Walter Skota, że się otrul mlekiem swej matki—prawdy.

Uczniów pozostałych po braciach Caracci było bez liku; między którymi znajdujemy najślawniejszych mistrzów owego czasu, a temi byli: Dominikino, Guido, Albano, La Franco i inni. Obok szkoły Caracców istniała druga szkoła tak zwanych naturalistów, pod przewodnictwem Michała Anioła Merigi, zwanego Carwaggio. Mistrz tej szkoły tak ślepo trzymał się prawd natury, iż nawet błędy jej bez względu na harmonią całości kopiował. Z tego powodu utworom jego brakowało godności, a tem samem przymiotu, którego tylko umiejętném wykształceniem i głębokim pojęciem piękności dopiąć można. Michał Carwaggio nie troszczył się o to, aby wdzięk połączyć z prawdą: surowo i niewolniczo trzymał się naśladowania przedmiotu bez względu czy ten był brzydkim, czy pięknym, byleby wiernie był schwyconym. Przy takiej ostateczności stał się wszelako wzorem dla swych uczniów, nadawszy im kierunek, na którym uzupełnić mieli to, do czego sam nie czuł w sobie dostatecznego usposobienia. Czystej wody źródła, z którego sam czerpał, nie zmącił żadnym narowem uczucia, ani przewrotnością swego geniuszu, którego mu dzieje sztuk pięknych zaprzeczyć nie mogą.

Przytoczone tu przykłady dały nam poznać oświetloną stronę sztuki, którą czysty i nieskalany promień prawdy

błogosławieństwem i przebóstwieniem darzy. Ale spojrzymy na stronę cieniłą a zobaczymy, jak wielki upadek gotuje sztuce zapomnienie prawdy i odstąpienie od natury. Dowodem tego był nadzwyczajny mąż w artystycznym świecie, który przewrotnym swoim systemem zgotował grób sztuce, z którego nim się dźwignęła, długiego potrzebowała czasu i usiłowania. Zaledwie trzy wieki wystarczyły, zanim się znowu ocknąć zdołała z omdlenia, spowodowanego prawdziwym wandalizmem długich wojen średniowiecznych. Po tém odrodzeniu się sztuki udało się jednemu człowiekowi popchnąć ją napowrót w przepaść i zgotować jej zgubę na długo. Tym nadzwyczajnym mężem był Lorenzo Bernini, urodzony w roku 1595 w Neapolu, uczeń swego ojca Piotra Berniniego. Już w dziesiątym roku swego wieku wypracował głowę w marmurze, a sława jego imienia jako rzeźbiarza i architektury od téj chwili rosła coraz więcej, do tego stopnia, że w młodzieńczym już wieku Bernini stał się przedmiotem podziwiania i uwielbienia swoich współzawodników i rodaków. Geniusz jego szyczący z wszelkich granic umiarkowania dopuścił się największego grzechu przeciwko sztuce, a tym był lekceważenie prawdziwej piękności, prawideł uzasadnionych, dobrego smaku i plastyki. Kapryśny, podług swego własnego upodobania i narowu wywierał wpływ prawdziwie oplakany na ogólną obrazową sztukę od XVII do połowy XVIII wieku. Dzieła jego nie były płodami natchnienia, ale raczej rozognienia przewrotnego rozumu, noszące na sobie piętno affektującej istoty jego własnej, w których panuje zasada czyisto malowna tylko, zamiłowanie jakiegoś dziwnego sposobu technicznego, znoszącego zupełnie wszelkie prawa plastyki. Jemu nie chodziło o prawdy przyrodne, bo się raczej uwziął, aby naturę w przeciwnych ideach umyślnie przekształcić i poprawić, z których tworzył zwodnicze obrazy tam, gdzie potrzeba było najprostszej prawdy. Zgubna i straszna dla sztuki była Berniniego zasada, którą dla swych uczniów położył: „że długie studia na nic się nie przydadzą, bo zadowolenie oka wystarczy zawsze i wszędzie do ocenienia dzieła artystycznego; a kto się tylko stał panem pięknego kolorytu, ten ze 100 warunków malarstwa, 99 już posiada.“ Pod takimi prawidłami prawdziwa

sztuka rozwinąć się nie mogła; z tej przyczyny wszyscy naśladownicy Berniniego zaledwie godni są szczególnego wspomnienia. Dopiero Pompeo Girolamo Battoni, żyjący w połowie XVIII wieku, nadzwyczajnymi darami ducha uposażony zwałił zdradliwą zasadę Berniniego; a widząc, że natura w połączeniu ze studjami antyków jedyną była przewodniczką Rafaela, poszedł i on za nią, a dzieła jego stały się wzorem i podziwem wdzięcznej mu potomności. Twarze jego obrazów, ruchy i kształty są miłe, rzuty sąłdów wdzięczne i pełne powabu, a wszystkie te zalety przenosił na dzieła swe z natury. Jednym z najpiękniejszych pomników jego talentu i sławy jest pokutująca Magdalena w Galeryi Dreźnieńskiej.

Takim samym odnowicielem podupadłej sztuki w Rzymie był jego spółczesnik Rafael Mengs, żyjący naprzemian w Rzymie, we Florencyi, Madrycie i Neapolu. Prace tego mistrza były wynikiem głęboko pojętej i uczutej prawdy, która do ostatniej chwili życia w dziełach jego się objawiała. Jeżeli dwóch tych wskrzesicieli sztuki między sobą porównać zechcemy, natenczas śmiało o nich wyrzec można, że Mengsa filozofia, zaś Battoniego natura malarzami zrobiła. Battoni miał zmysł naturalny, porywający go w krainę piękności, którą tworzył bez zdania sobie sprawy dlaczego ją tworzył tak a nie inaczej. Mengsa zaś wydoskonalili głębokie studia, połączone z namysłem i czystym pojęciem rzeczy. Pierwszy był może więcej malarzem niż myślicielem, mniej badaczem, ale za to więcej naturalnym; drugi był więcej myślicielem, i dlatego bardziej ukończonym artystą. Ale jeden i drugi był czcicielem prawdy, a na jakiegokolwiek drodze do niej dochodzili, obadwa byli kapłanami godnymi jednej i tej samej bogini—świętej natury.

Taki sam upadek sztuki jak w Rzymie, Florencyi i Wenecyi pojawił się w tym samym czasie i w Lombardyi. Ubieganie się za nowością, różnorodna rozmaitość stylu, uchylanie się przed trudnościami połączonemi ze sztuką, affektacya na koszt gruntowności i zrozumienia istoty piękności, postawiły sztukę nad grobem, i zagroziły jej ciężkim upadkiem. Pojawiali się wprawdzie reformatorowie, którzy starali się ją podźwignąć. Ale cóż z tąd wynikło? Oto z jednej ostateczności wpadali w drugą. Rzucono się

na studia antyków, chcąc z nich utworzyć umiejętny system. Ztąd wyrodziły się normy i teorye, które później doprowadziły sztukę do scholastycznej mechaniczności, do przewagi czczych prawideł nad formą, które stawszy się abstrakcją wyłącznie rozumowi przydzieloną, nie postępowały ręką w rękę z duchem sztuki, ale zgubne na takową wywierały skutki.

Później na tej drodze już powszechnie postępowano, mając skierowaną uwagę na usystematyzowanie umiejętności, przez co praktyczna jej strona zupełnie zaniedbaną została.

Abstrakcyje w prawidłach, wymysły w teoryach, ustawy w normach czyli tak zwanych manierach, wznosiły wprawdzie naukę tego rodzaju do coraz obszerniejszego systemu, ale przez takie pierwszeństwa czystej nauki nad praktycznością, sztuka coraz dalej się cofała, słabła i ustawała. Pominąwszy, że czas, który na takiej drodze do wydoskonalenia był potrzebny, zanim uczeń do wyzwolenia mógł być przypuszczonym był długi, mozolny i zmęczający; ale przykłady dowiodły, że przy takim kształceniu całe życie jego ubiegło, nim się zaledwie do problematyczności wznieść zdołał, nie mówiąc już o prawdziwem uzdolnieniu na artystę, bo takowe zaginęło na błędnych drogach manierowania, affektacyi i martwego naśladownictwa.

Z tych więc i wielu innych przyczyn, o których w ciągu tej rozprawy wspomnieć wypadnie, znakomici dwaj artyści niemieccy: Waldmüller i Völker uznali tę drogę po której tegoczesna sztuka do wydoskonalenia dąży za błędną i fałszywą; i postanowili system prosty, do zrozumienia łatwy, nie zagmatwany teoryami, ani przewrotnemi zasadami, w których prawdziwa sztuka tak długo się błąkała.

Gwałtowność wypracowania, chwytanie wygórowanych efektów, ostateczność w teoryach, czcze naśladownictwo, późniejsze wysilenie i zniewieściałość sztuki w tak zwanym sielankowym peryodzie czyli rococco; to znowu owa panująca epoka szukania w martwem ubóstwianiu antyków wybawienia i odrodzenia się sztuki; w nowszym czasie ów powrót do średniowiekowego manierowania:

wszystkie te zmiany smutne dają nam przekonanie, że sztuka nie opierała się na silnych fundamentach, bo ją lada powiew przewrotnego geniuszu zachwiał i obalał. Budziła się wprawdzie dążność i pragnienie wybawienia jej, ale właśnie tam gdzie je znaleźć było można, tam go nie szukano—w prawdzie natury! Szkolny przymus i reguły nie chciały uznać nad sobą władzy, z istoty form wynikającej.

Jesteśmy teraz w epoce, w której życie sztuki stosownie do dążności czasu stara się odrodzić. W życiu moralnym i materyalnym, w każdej indywidualności, równie jak w ogóle spotrzegamy usilne dążenie do odepchnięcia od siebie chorobliwej materyi, celem osiągnięcia silnego, przez samą naturę udzielonego nam zdrowia. Zastosowanie to do sztuki, samo przez się już dostatecznie się wyjaśnia. W naśladownictwie, w kradzieży, starano się życie sztuki rozwinąć. Nadaremna praca!... Martwém naśladowaniem antyków życie sztuki wzbudzoném być nie może; życie trwałe, którego by korzenie zdołały się rozrosnąć i opasać cały ten wielki obszar widomych tworów ziemskich, a którychby kwiaty z dziedziny nadziemskiej wdzięk swój pożyczają. Pierwszeństwo i zalety antyków nie zostaną wszakże bez. nauczającego wpływu na mistrza, jeżeli je tenże zrozumie i do swych własnych utworów zastosować potrafi. Niechaj się uczy zapatrywać na naturę i czuć jej prawdę w takim samym duchu, w jakim ją nieśmiertelni starożytni mistrze czuli i pojmowali, chociaż właściwość greckiej sztuki nie może się stać właściwością naszego czasu.

To samo można odnieść do średniowiekowego sposobu produkcji. Wszędzie i zawsze ma tylko ów duch być pojętym, a forma uchwycona z jednego źródła sama przez się przystanie do niego. Otaczająca nas przyroda, nasz wiek i zwyczaje są temi przedmiotami, które w naszych utworach sztuki na widownię wprowadzać powinniśmy. Kto się nauczył na naturę zapatrywać i ją pojmować, ten jej wyraz i w historycznym obrazie najstosowniej odbić zdoła, bo prawda jest wszędzie jedna i ta sama. A przecież obłąkanie w sztuce do tego już doszło stopnia, że zapatrywania się na przyrodę nietylko że nie zalecano, ale nawet potępiano. Czas niedawny, kiedy idealny krajobraz był w najwyższej cenie; w wyższej nawet, jak każde z pierwotworu

odwiecznego, z natury schwycone naśladowanie. Do jakiego stopnia zaślepienie w tej gałęzi sztuki doszło, o tém dzisiejsza jeszcze generacya może dać świadectwo. Że nauka sztuki co do jej form podziśdzień w ogólności błędnie się traktuje, a ztąd wielkim podlega ułomnościom, jest prawdą niezbitą. Wszędzie prawie mniej więcej z małym wyjątkiem udziela się nauka sztuki obecnie podług takich teoryj, jakie przed połową XVIII wieku fałszywe miały uzasadnienie. Wyjaśnienie tej przyczyny należy do historyi sztuk pięknych, ale tyle można przynajmniej na zabicie błędnej tej teoryi w szczupłym zakresie tej rozprawy powiedzieć, że zdania XVIII wieku nie są już zdaniem naszymi, niemi nawet być nie mogą, ponieważ dostatecznie nauczyło nas doświadczenie, żeśmy się na tej drodze od natury coraz bardziej oddalali, i poznali jak wielką potrzebą się stało, ażeby do niej powrócić. A przecież duch nauki z silną wynikłością temu postępowi dotąd się opierał. Artyści sami zakresliwszy sobie zaczarowane koło, jakby zakłęci po jego manowcach i bezdrożach błądzili; i nie dziw, wszak im tę drogę od młodości za jedyną i prawdziwą wskazywano i zalecano, po której dojść mieli do zamierzonego celu, do wykształcenia artystycznego. Aż nakoniec przypadkiem, po długiej i niepowetowanej stracie czasu pokazało się, jak daleko zboczyli od prawdziwej drogi, i co im czynić wypadało, ażeby do niej znowu powrócić, chcąc talentowi swemu nadać jakąkolwiek uchwałę. Po takich preludyach niejednemu, nawet znakomitemu talentowi skierowanie się na prawdziwą ścieżkę stało się rzeczą niepodobną; przy podobnej mitrędze czasu w nauce błędnej, po nadaremne dążeniu za pewnym punktem oparcia się, największe zdolności malały, a brak zaufania w swoje własne siły tamował drogę do dalszego postępu. 15 i 20 lat na tej dotychczas za normalną ogłoszonoj drodze zaledwie wystarczały do przywłaszczenia sobie technizmu w sztuce, co przy odpowiedniem prowadzeniu w jednym roku osiągniętem być mogło. Takie postępowanie powinno i musi być uznane za mylne i niedostateczne, przez które znakomite talenta w samym kwiecie swego rozwoju skrzywione, nawet utłumione być mogą. Bo w najszczęśliwszym razie, w późnym dopiero wieku, kiedy lata

silnej młodości, owa chwila twórczości i wyobraźni już upłynęła, przychodzi artysta do poznania (jeśli do niego wnieść się potrafi), że się omylił na sobie; i wtenczas dopiero poznaje, jaką drogą iść był winien, aby z zadowoleniem duszy i sumienia zdać rachunek z talentu, jakim go Bóg obdarzył. Ale już zapóźno!... Droga zamknięta tu przed nim i za nim; on sam tylko pozostał bez pociechy z żalem i z grozą w duszy!! Nadaremnie usiłuje pozbyć się więzów scholastycznych krępujących wolne jego dążności; nadaremnie natęży skrzydła, by się wzbić do potęgi myśli, wnieść się do działania, do którego talent go upoważnił: aż nareszcie schodzi z widowni świata, z dziedziny sztuki karłem, mogąc się stać olbrzymem. Takie przekonanie mają dwaj artyści Waldmüller i Völker, stojący na czele szkoły nowej, szkoły tegoczesnej malarstwa, której starają się nadać kierunek prawdziwy i niemylny. Oni to sami doszli do tego przekonania na drodze bolesnych doświadczeń, i pojęli obowiązek święty, aby temu złemu zaradzić, które się na niwie sztuk pięknych zakorzeniło. Całą wystarczającą im siłą, nieugiętą i najlepszą wolą poświęcał się jeden i drugi studyum tego rodzaju, a plony ztąd zbierane podali światu pod sąd w dziełach drukiem ogłoszonych. Blask jakiegokolwiek on był natury i pochodzenia, którym się nauka sztuki dotąd osłaniała, wzroku ich nie zdołał oślepić, ani powstrzymać badania najskrytszych szkodliwych przyczyn, które się zakradły do przybytku sztuk pięknych.

Zaledwie wierzyć można, ażeby który z optymistów, chociażby najmocniej zadowolony ze swego systemu, mógł się odważyć na twierdzenie: że ta lub owa metoda nauki jedynie jest niezawodną i najdoskonalszą w swoim sposobie, niepotrzebująca już żadnej a żadnej poprawki. Taką zaletą żadna instytucja w świecie poszczycić się nie może, bo ustawiczna możliwość poprawy jest warunkiem wszystkiego co ziemskie, co postępowe. Teorya jedna robi miejsce drugiej, a myśl Göthe'go znajdzie przytém najlepsze zastosowanie: „Zgrzybiała jest wszelka teorya: życia tylko złote drzewo wiecznie jest majowe“.

W ogólności uważa nowa metoda szkoły artystycznej długoletnie nauki w sztuce za największą ułomność.



Metoda ta zasadza się na tém, ażeby ucznia o ile możności w jak najkrótszym czasie, i na najprostszej drodze na doskonałego rysownika i malarza wykształcić. Według takiego postępowania czas kształcenia ograniczy się na rok jeden, po którego upływie zwolennik sztuki z powołania i poświęcenia celu swego dopiąć musi, bo się ujrzy w zupełném posiadaniu formy, która go doprowadzi do umysłowej wiedzy i wyobrażeń, a zarazem wzniesie bez przeszkody do samodzielnej doskonałości.

Jednakowoż ta metoda nie rości sobie bynajmniej prawa, ażeby ucznia wykształcić na skończonego artystę, na mistrza, wzięwszy słowo *sztuka* w jej najwyższém, najszlachetniejszym znaczeniu. Powołanie na artystę (w pełném znaczeniu tego wyrazu) powinien uczeń z sobą już na świat przynieść. Ani obecny sposób uczenia, ani jakikolwiek inny istniejący lub odkryć się mogący nie może być zdolnym natchnąć duchem twórczym tego, kto z natury daru tego bóstwa w sobie nie posiada. Ale jeżeli duch, ta twórcza wyobraźnia w uczniu istnieje: natenczas potrzeba mu środków materyalnych, pomocnych, aby się ta myśl rozwinęła i owoce przyniosła. Każda produkcyja tego rodzaju jest przykuta do tych środków, a zwycięstwo jej zawisło od panowania nad formą. Metoda Waldmüllera i Völkera zmierza jedynie do tego, ażeby usposobienie ucznia do sztuki przywieść do samowiedzy, i im rychlej, tém lepiej postawić go na szczeblu możliwości, ażeby wszystkie kształty służące za środek do urzeczywistnienia wyobraźni, uczynić posłusznymi woli artysty. Że zaś przy podobném ćwiczeniu się ucznia na artystę duch jego nie do podrzędnej przeznaczonym jest roli, rozumie się przez się.

Ale właśnie ten warunek jest względny z istotą usposobienia ucznia do sztuki, na któreby wpłynąć należało. Przy metodzie dwóch tych mistrzów cała tendencya skierowaną jest do tego, ażeby indywidualności ucznia zostawić zupełną niezawisłość w rozwoju duchowym. Sznurówka starozwyczajnego pochodzenia, którą ściśniony uczeń widział się pozbawionym wszelkiej samodzielności, nie ma tu miejsca, nawet niepotrzebna: wszakże uczeń sam już domyślać się uczy tego życia duchowego, które wionie

w przyrodzie: ono go samo przez się natchnieniem przejmie, wcieli się w duszę jego i doprowadzi do doskonałości. Żaden półśrodek nie powinien się ostać między odwieczną naturą, matką wszelkiej prawdy i piękności, a jej stworzeniem. Na tej drodze postępowania, uniknie uczeń wszelkiej ułudy, affektacyi, manierowania, a nauczywszy się poznawać kształtów natury w jej prawdziwem, żadną larwą nie okrytém świetle, duch jego się wzmocni, i celu swego dopnie zwyciężko.

Ciało ludzkie jest pierwszém, najważniejszém, a nawet niezbędném studyum w kształcącej się sztuce. Tu, równie jak w naturze objawia się człowiek jako najszlachetniejszy utwór, jako najdoskonalsza istota.

Żaden przedmiot w naturze nie ma tak pięknych, ale zarazem do oddania tak trudnych kształtów, jak ludzkie ciało: dlatego téż studyum jego, jako podstawa i zbiór wszelkich wiadomości w kształcącej się sztuce na widownię najprzód wystąpić powinno. Tém przekonaniem przejęci byli wszyscy artyści najcelniejsi starego i średniego wieku, a najświetniejsze peryody mistrzów włoskich, niemieckich i niderlandzkich poczynają się od uczynionego postępu w studyum kształtów ciała ludzkiego.

W tychto epokach promienistych sławą artystyczną, wielcy mistrzowie jedno tylko zadanie mieli do rozwiązania w sztuce, a tém było: przedstawienie człowieka. Onito głęboko tę prawdę pojęli, że w rozwiązaniu tego zadania wszystkie inne fulguracye sztuki jakby w ognisku promienném schodzą się, z którego się znów odbijają. Jeżeli mistrz genialny w tym jednym przedmiocie doszedł do doskonałości, tedy reszta, we wszystkich gałęziach sztuki z łatwością odgadnioną i pojętą być może. Wzniosłość i wspańiałość w architekturze, w ornamentach, różnaitość w całym pojawie zwierzęcego świata, krótko mówiąc, wszystkie wyobrażenia, jakie tylko sztuka do życia wzywa z pojęciem ciała ludzkiego, znalazły najgodniejsze przedstawienie w ręku tych mistrzów, którzy w studyum człowieka najwznioślejszą i najdoskonalszą formę opanowali. Na mocy tych zdań i niezbitęj ich prawdy można powziąć to głębokie przekonanie, iż nietylko jest korzyścią, ale raczėj potrzebą, ażeby pejzażyści i malarze zwierząt, architektoniści

i ornamentyści, równie jak uczniowie poświęcający się malarstwu historycznemu, przedewszystkiem budowę ciała ludzkiego gruntownie studyowali, do czego podług tej metody rok jeden stanie się wystarczającym. Skoro uczeń w tym względzie dostatecznie będzie wykształconym, nataneczna dowolny inu wybór może być zostawiony, ażeby sobie taki zawód w dziedzinie sztuki malarskiej obrał, w jakim swój talent dalej rozwinąć zamysła.

Studyum ciała ludzkiego, podług zasad Waldmüllera i Völkerja, powinno być podług natury zaczęte i skończone. Wszelki rodzaj kopiowania, bądź z wzorów, antyków albo z obrazów, wywiera szkodliwy wpływ na kształcącego się ucznia. Jestto bowiem kardynalna zasada w prowadzeniu młodego artysty, ażeby żaden z nich w pojmowaniu natury stosownie do swęj indywidualności nie był zbałamuconym, ale kształty jęj tém samém oddawał uczuciem, jakiemu towarzyszyło przy zapatrywaniu się na nią. Ta oryginalność, ta właściwość naśladowania czystęj natury, zwichniętemi być mogą nietylko czczeniem kopiowaniem wzorów, ale bardziej jeszcze tém, jeżeli nauczyciel błędy przez ucznia popełnione własnoręcznie poprawia, zamiast go na takowe uważnym uczynić. Przy takiem zgubném postępowaniu zaszczenia się uczniowi manierowanie obce, jęgo samodzielność gubi się zupełnie, a przeznaczenie jęgo znosi się powoli samo przez się. W tym względie grzeszą wszyscy ciężko przeciwko duchowi sztuki, którzy w kole naukowém dyletantyzmu, podobnej metody kształcenia używają. Dyletanci mają zazwyczaj tak zwanego metra rysunków, który częstokroć sam jest początkujący, a czasem i lichy. Prace, które uczniowie ich za własne wydają, wykonywają ci rysownicy z reguły sami. Jaki więc rezultat z takiej wygodnej nauki wyniknąć może, każdy się domysli; bo po trzech albo więcej latach, kazdy z tych uczniów słowami Fausta śmiało odezwać się może:

„Da steh' ich nun, ich armer Thor,  
Und bin so dumm, als wie zuvor.“

Wbrew takiemu braku wykształcenia, cisną się przecież dyletanci na tęj drodze usposobieni do przybytku sztuki, a sądząc mieć prawo do kadzenia przed ołtarzem tej bogini, z całą zarozumiałością półmędrkom i nieukom wła-

ściwą, podnoszą głos swój do wyroku o pracach i dążnościach prawdziwych artystów, niemając najmniejszego pojęcia nawet o tém, na co patrzą. Takie natrętne postacie napotyka niejeden mistrz na drodze swego artystycznego życia, a ich orzeczone wyroki mają swój początek w mętném źródle dyletantyzmu. Na właściwe drzewo sztuki, pielęgnowane przez doświadczonych poświęceniem i swoim powołaniem przejętych artystów, nie wywiera wprawdzie taki zaraźliwy wiatr szkodliwego wpływu: jednakowoż zaprawia goryczą ich posłannictwo, bo jadowity ten oddech sarkazmu i ironii udziela się publiczności, która częstokroć spłaszczona te zdania i skrzywione pojęcia zasłaniające jasność i świetność oblicza sztuki, za dobrą przyjmuje monetę.

Takie jest zapatrywanie się ogólne Waldmüllera i Völкера na tegoczesną metodę w nauce sztuki malarstwa i plastyki. Metoda, jaką ci dwaj mistrzowie do naśladowania położyli, nie jest żadną nowością, ale raczej systemem starym; ona jest tylko powróceniem do tego źródła, z którego dawni mistrzowie czerpali, a od którego nowsi tak daleko odbiegli. Metoda ta otwiera znowu koło niezmiernie geniuszom, które się w nowszych czasach w coraz to węższe granice ścisnęło, dopóki ich wolnego nie pozbawiło ruchu. Wszystko zatem co się o systemie tych dwóch mistrzów i autorów powiedziało, można zamknąć w kilku wyrazach: że wszelkie naśladownictwo jest ciasne i niewolnicze—natura tylko sama, jak geniusz, jest nieograniczona!!.

# PRZYSŁOWIA I PRZYPowieści

## OD NAZW PANUJĄCYCH.

---

Szczupły posiadamy w narzeczu naszym zasób wyrzeczeń historycznych, odnoszących się do imion lub też nazwisk rodowych głów ukoronowanych. Niektóre z tych przypowieści całkiem się już zatarły, kilka zaledwie usłyszeć się jeszcze dadzą w potocznej mowie, inne zalegają ukryte tu i owdzie w dawnych księgach i rękopismach, nie każdemu przystępnych. Zebrać je w jedną całość, objaśnić o ile się dało, a tём samém zachować od zupełnej zagłady: pracy mojej jest zadaniem. W układzie niniejszym przyjąłem za zasadę porządek chronologiczny, czyli następstwo w rządach. Zachodzą tu znaczne luki, to jest: brak przypowieści zastosowanych do panujących; natomiast o jednymże królu po kilka znajduje się odmiennych sposobów mówienia, i oddanie téjże samej myśli innemi słowy lub zwrotami: co dowodzi, że fakt jakowy więć wywarł wpływ na umysł narodu, że mocniej utkwiał w pamięci ludzkiej. Zapisuję je tu wszystkie jak przysły do mojej wiadomości, chociaż wiem, że niejednemu zdawać się to będzie zbytecznym, niepotrzebnym, słowem: że się nie spodoba. Na co mu odpowiem prostym przodków naszych axiomatem: mój miły panie, każdy ma swe zdanie.

---

**Lech.**

1. *Od Lecha ród swój wiedzie sznurem* (1).

Wyprowadza, wywodzi w prostej linii; szczyci się odwiecznym rodem; sięga rodowodem bajecznych czasów jakoby od Lecha, około 550 r. krajem władającego.

**Leszek.**

2. *Było to za króla Cwiczka i brata jego Gwoździa.*

Ów Gwoźdź w mowie ludu przytaczany, jest zapewne Leszek II, o którym wzmiankują bajeczne dzieje: że po śmierci Przemysława czyli Leszka I około 784 r. gonitwa konna do słupa miała okazać następcę narodowi. Zdążył do kresu Leszek, gdy innych jeźdźców przez zakopane na placu gwoździe od mety zatrzymał.

3. *Kolasa, co króla Goździka pamięta.*

Odwieczny powóz, stara jak świat landara, stary grat.

4. *Stara to budowa, jeszcze za króla Cwiczka!*

5. *Kto puste wiadra spotka, powiedział król Leszek,  
Mieć będzie pustki we łbie, albo pusty mieszek.*

Zauważyłem podczas mego pobytu na Wołyniu i Podolu, że wieśniaczki idące z wiadrami po wodę, spotkawszy mężczyzną zatrzymywały się, i nigdy mu drogi przejść, ani go wyminąć nie poważyły się. Idącą zaś z naczyniem wody, każdy z uśmiechem pytał: *a polno?* Na to zwykła następowała odpowiedź: *polno dla was!* Obie te okoliczności w ścisłym są związku z tém, co niby kiedyś miał wyrzec Leszek, a co odwieczny przesąd ludu, o pustych wiadrach, że tak rzekę, w artykuł wiary zamienił.

6. *Powiedział król Leszek:*

*Puste wiadra, pusty mieszek.*

7. *Mawiano za króla Leszka:*

*Ten dom zdobi, kto w nim mieszka. Kras.*

8. *Ubiegają się dziś do mężów żony:*

*Jak zdradny Leszek do polskiej korony* (2).

**Popiel.**

9. *Króla Popiela myszy zjadły.*

Wyrażenie to zastosować się daje do różnych przygód w życiu, jakoby słowa pociechy, że większe zdarzają się

(1) Poczet herbów szlachty korony Polskiej i t. d. przez Wacława Potockiego podczasz. krak. 1696 r.

(2) Kalendarz na r. 1732 przez Wawrz. Józ. Saltszewicza w przesławnej akad. krak. nauk wyzwol. i filoz. Dra, matem. prof., burse Strangel-skiej seniora.

nieszczęścia, czego doznał Popiel II. Panować on miał około 850 roku w Kruświcy, mając przydanych do rady 20 swoich stryjów, których z namowy żony otruć kazał. Z niepogrzebionych trupów takie powstało mnóstwo myszy, że te rzuciwszy się na Popiela, pożarły go z żoną i dziećmi na zamku jeziora Gopła. Dotąd istniejące szczątki murów, noszą nazwę *Mysiej wieży*, a złożeczenie: bodaj cię myszy zjadły! niech cię myszy zjedzą! odnosi się może do powiastki o zgonie nieszczęsnego Popiela.

10. *Myszka popielowska.*

Wino bardzo stare, myszkami oddające, trącące, o którym się mówi, że króla Popiela zapamięta.

11. *Polować jak król Popiel.*

Myślistwa nie znać; za myszami się uganiać, łapać je, wytepiać.

**Łokietek.**

12. *Duży jak Łokietek.*

Ironiczne wyrażenie, zamiast malec, karzełek, pigmejczyk z niego. Władysław, od niskiego wzrostu Łokietkiem zwany, synem był Kazimierza ks. kujawskiego. Za powtórnem obraniem siebie na księstwo krakowskie i sandomirskie, pierwszy koronował się na Wawelu 20 stycznia 1319 r. Przeważnie odniósł nad Krzyżakami zwycięstwo pod wsią Płowcami 27 września 1331; zmarł 2 marca 1333, mając lat 73. Słusznie do niego zastosować można: mały, ale serdeczny; albo to drugie: nie patrz na postawę, ale na człeka sprawę.

**Kazimierz W.**

13. *Co ociec zyskał bitny w żelaznym pancerzu:*

*Utrzymałeś w pokoju wielki Kazimierzu! (1)*

Synem był Władysława Łokietka i Jadwigi księżniczki kaliskiej; urodził się w Kowalu na Kujawach 1310 r. objął rządy 1333 r., zmarł 1370 r., a z nim wygasł ród Piastów w Polsce. Opieka rozciągana nad włościanami nadała mu nazwę króla chłopków; ustanowił statut wiślicki 1347 r., wznosił gmachy, świątynie, zakładał miasta, opasując je murami: słowem zastał Polskę drewnianą, a zostawił ją murowaną.

14. *Kazimierz Wielki*

*Pijał miód u Esterki.*

(1) Naruszewicz: Oda na pokój marmurowy, portretami królów z rozkazu Stan. Aug. nowo przyozdobiony, 1771 r.

Śliczna Estera żydówka, rodem była z Opoczna, gdzie dotąd istnieje murowany dom, zwany domem Esterki. Następnie przemieszkiwała w Łobzowie pod Krakowem, i została matką dwóch synów: Niemiry i Pelki. Zwiędzając Stan. August 1787 r. Łobzów, polecił rozkopać mogiłę w ogrodzie, w której jak wieść nosła złożone być miały zwłoki Estery; ale nic nie znaleziono, coby stwierdzić mogło upowszechnione o tym grobowcu podanie.

### Jagiello.

15. *Król Jagiello zbił Krzyżaki,  
I pan Krupa chce być taki.  
Darmo suszysz mózg nieboże:  
Krupa jagłą być nie może.*

Wiersz ten ma się odnosić do jakiegoś Krupy czyli Krupskiego, właściciela wsi Krupe pod Krasnymstawem, który podług miejscowego podania, uporczywie miał się bronić w swym zamku przeciw Władysławowi Jagielle, pogromcy Krzyżaków 1410 r. pod Grunwaldem i Tanenbergiem. Rzecz wszakże ma się zupełnie inaczej, gdyż powyższy epigram ułożony przez Alberta Ines Jezuitę, ma nadpis: O Krupie, mającym sprawę sądową z Krzyżakami.—Ob: *Acromata epigrammatica latino-polonica. Gedani, 1655.*

### Olbracht.

16. *Za króla Olbrachta  
Wyniszczona szlachta.*

Tak ma Rysiński w swoich Przypowieściach 1619 r. Obodziński zaś (*Pandora starożytna monarchów polskich, 1643 r.*) mówi: Wygubiona szlachta, dodając na str. 157: że tak chłopcy wszędzie wołali; a Stan. ks. Jabłonowski wojew. rawski w wierszu: *Pamiętne wprowadzenie wojska z cieśni Bukowińskiej* w r. 1745 wydane, przywodzi toż przysłowie: za króla Olbrachta wyginęła szlachta. Odnosi się to do klęski w bukowińskich lasach, jaką poniósł Jan Olbracht syn Kazimierza Jagiellończyka 1497 r. wracając z wojny ze Stefanem Wdą Wołoszczyzny. Przepowiedział Matys Strykowski w swoim *Goncu cnoty* 1574 r.: „Na wieki będą baczyć ten smętny las Polacy”; jakoż przypomina nam go dotąd powtarzane przysłowie.

### Bona.

17. *Bona była przezwiskiem, skutkiem jako komu.*

Po tej apostrofie dodaje Rej w *Zwierzynku* na str. 49:

Rozum miała, że i dziś ta niewieścia główka  
Sławna w Polsce, i długo pamiętne jej słówka.



Przeszedł do naszych czasów epigram za żywota Bony ułożony, okrywający niesławą jej imię:

*Ut Parcae parcut, ut luce lumina lucent,  
Ut bellum bellum, sic Bona bona fuit.*

Bona Sforcyja (*Sforza*) księżniczka medyolańska, zaślubiona Zygmuntovi I roku 1518, zabrawszy ogromne summy pieniężne, wyjechała z Polski 1556 r.; zmarła we Włoszech 1558 r.

### 18. *Królowa Bona umarła.*

Wiadomość o jej zgonie wielkie musiała sprawić wrażenie w naszym kraju; jeden drugiemu skwapliwie udzielał tej nowiny, która i przestała nakoniec być nowiną. Powyższe wyrażenie zamieścił Jan Jabłonowski wojew. ruski w swoim rękopisie: *Polityka włoska i polska, albo przysłowia i t. d. w Königstajnie, anno 1715.* Jest ono i po dziś dzień w użyciu, jako za odpowiedź służące temu, który rzecz powszechnie wiadomą, za nowość powiada.

### 19. *Pomnicie, Polskę jak niszczyła Bona!*

Wyrzekł to Bartosz Poprocki w wierszu 1587 r. napisanym: *Pamięć nierządu w Polsce*, i t. d.; wznowił zaś też samą prawdę Opaliński w swoich *Satyrach* 1650 r. przemawiając: Pomniemy Boneczkę, jako wszystko kupowała i przedawała u nas.

Wszechwładna nad umysłem męża i syna Bona, przeważny wywierając wpływ w kraju, mnóstwo dzierżyła starostw, a nadto wzbogacała swe skarby przedajnością posad i dygnitarstw, tak w stanie świeckim, jak i duchownym. Przechowały nam dzieje trafną a szczerą odpowiedź Gamrata na jej zarzut, że biskupstwo krak. kupił. Długi przeciąg pobytu Bony w Polsce sprawił, że imię jej będące w ustach całego narodu, przeszło i do odległej potomności, gdyż wszystko co jest silnym piętnem w umyśle ludzkie wrazone, tradycyjnie się przechowuje. To mając na uwadze, postrzegamy: że trzy rzeczy lubo niedorzeczy, zawsze lud nasz ma w pogotowiu do odpowiedzi, jakoto: każde niemal stare zamczysko jest u niego dziełem rąk królowej Bony, a przynajmniej był przez nią zamieszkiwany; odwieczny kościół: to arianski zabytek; mogiły zaś, szanice i okopy: nie inne tylko szwedzkie, chociaż pierwsze nierównie odleglejszą zapamiętają przeszłość.

### **Zygmunt August.**

### 20. *Było to za króla Augusta.*

Bardzo dawno; kiedyś, ale ludzie tego nie pamiętają; nie za ludzkiej pamięci to się stało. Zygmunt August

syn Zygmunta I i Bony, urodził się 1 sierpnia 1520 r. koronowany 21 lutego 1530 r., objął rządy 1548 r. Ostatni ten rodu Jagiellońskiego potomek, zmarł w Knyżynie na Podlasiu 7 lipca 1572 r.

### Henryk.

#### 21. Rex Henricus spletał Polsce psikus.

Makaroniczne to przysłowie, dobitnie rzecz oddające, znalazłem w starym rękopiśmie, zawierającym krótkie wyciągi z dziejów krajowych. Henryk Walezyusz ks. Andegawii, syn Henryka II króla francuzkiego, w 22 roku życia obrany został królem polskim 16 maja 1573 roku, koronowany 21 lutego 1574 r. Dowiedziawszy się o śmierci brata swego Karola IX, opuszcza 18 czerwca t. r. tajemnie stolicę nocną porą, pospieszając do Francji na objęcie dziedzicznego tronu (1). Wystawiwszy kraj na wielkie zamieszki, łudził przez dwa lata obietnicami rychłego powrotu. Nie przestawał do końca życia używać tytułu króla polskiego.

### Stefan.

#### 22. Za króla Stefanka

*Strach było na panka.*

Albo: Był strach i na panka.—Stefan Batory ks. Siedmiogrodu obrany królem w grudniu 1575 r., usiłował ująć w karby swawolę szlachty, powściągnąć bezprawia i w całym znaczeniu wyrazu panować. Pamiętna jest jego mowa na sejmie w Toruniu 1576 r., w której wyrzekł: *Per vos in regem vestrum sum electus, vobis postulantibus et instantibus huc veni; per vos corona capiti meo imposita est. Sum igitur rex vester, non fictus, neque pictus; volo regnare et imperare!* Jakoż dobrze o nim wyrzekł Petrycy w przekładzie Horacego ks. IV, M. 3: nie chciał być królem malowanym. Zmarł w Grodnie 12 grudnia 1586 r. Wielce mu nieprzyjazny Jan Karzewski podczaszy czerski, napisawszy 1587 r. wiersz: *Przestrożnik*, taki między innymi czyni zarzut Stefanowi:

Wszyscy monarchowie, którzy przed nim byli:  
Tak wiele jak Batory ludzi nie zgładzili.

Przeciwnie zaś Seweryn Bączalski (*Przestrach śmiertelny*, 1608 r.) dając przestrogi rodakom, tak się odzywa:

Królu zmarły Stefanie, terazby cię trzeba!  
Kiedyby to mogło być, abys zstąpił z nieba,

(1) Lakonicznie się o Henryku wyraził Naruszewicz w odzie 1771 r. „Jako bystry kometa ledwo błysnął, zmyka.”

Byłżeby tu niejeden prędziuczko bez głowy,  
 Dałbys był na złe ludzie edykt swój surowy.

Jestto apostoła do świeżych zamieszek w kraju, z powodu rokoszu Mikołaja Zebrzydowskiego wojew. krakowskiego.

### **Jan Kazimierz.**

#### 23. *Za Jana Kazimierza*

*Niestalo mast i żołnierza.*

Był on synem Zygmunta III i Konstancyi arcyksiężniczki austriackiej; wstąpił do zakonu Jezuitów w Rzymie 1643 r., został kardynałem 1646 r., obrany królem 17 listop. 1648, złożył koronę 16 września 1668, zmarł we Francyi w mieście Nevers jako opat św. Marcina 16 grudnia 1672 r.—Najnieszczęśliwszy był stan Polski za jego rządów; niezgody domowe, najazdy Szwedów i Siedmiogrodzian zamieniły kwitnące miasta w popiół i gruzy. Gdy niestało już własnego żołnierza na obronę kraju, wezwać musiano 1657 r. na pomoc drogo opłacane, a mało czynne posiłki rakuskie.

### **Michał Korybut.**

W niedostatku przypowieści zamieszczam tu szaradę na okładce rękopismu 1796 r. treści ekonomicznej, która opiewa:

#### 24. *Pierwsza z drugą na drzewie, a trzecie ze skóry:*

*Wszystko król polski, ale zgadnąć proszę który?*

Król Michał synem był Jeremiasza ks. Wiśniowieckiego wojew. ruskiego i Gryzeldy Zamojskiej; obrany 19 czerwca 1669 r., zmarł 10 listopada 1673 we Lwowie. Z Eleonory arcyksiężniczki austriackiej nie zostawił potomstwa (1).

### **Jan III.**

#### 25. *Król Jan, Europy pan.*

Pod wizerunkiem Jana III malowanym na ścianie, umieszczone głoski K J E P, dały początek temu wyrażeniu. Wysłędzony sprawca pociągnięty do właściwego sądu za obrazę majestatu, uniewinnił się zupełnie, dając wykład znaczenia przez skrócenie wyrażonego podpisu, jako zawierającego w sobie tytuł pełen chwały i za-

(1) Ród ks. Wiśniowieckich wygasł na Michale Serwacym wojew. wileńskim, hetmanie W. L., który zmarł d. 18 września 1744 r. w Mereczu, pochowany w Wiśniowcu w koś. Karmelitów.

szczytu <sup>(1)</sup>—Jan Sobieski synem był Jakóba i Teofli Daniłowiczownej; świetne nad Oshanami zwycięstwo 11 listop. 1673 pod Chocimem odniesione, utorowało hetmanowi W. K. drogę do tronu, na który 28 maja 1674 r. wybrany został; zmarł w Wilanowie 17 czerwca 1696 r.—Rubinkowski w swojej *Janinie*, zowie Jana III Europy słońce, otomańskiego zaćmienie księżycy, piorun wschodnich krajów.

26. *Za króla Jana*

*Wiara nasza ratowana.*

Gdy Turcy oblegli Wiedeń 1683 r. wezwany Jan III przez cesarza Leopolda I na odsiecz swj stolicy, pospieszył na czele rycerstwa, i pamiętne nazawsze odniósł nad niewiernymi zwycięstwo 12 września, które mu zjednało zaszczytne imię obrońcy chrześcijaństwa.

27. *Za króla Sobka*

*Nie było w polu snopka.*

Jana Sobieskiego zwał lud Sobkiem. Przypowieść ta stosuje się może do nieurodzajów, a raczej do staczanych ciągle utarczek z dzierzącymi kraje podolskie Turkami, lub częstych zagonów, to jest napadów tatarskich, chociaż klęski ztąd na rolnika przypadające nie dotyczyły całego kraju, i były tylko miejscowe i chwilowe. Cóżkolwiekbydz, dość, że tak się przysłowie wyraża.

28. *Zarobił jak król Jan na Wołoszczyźnie.*

Jan III powziąwszy zamiysł zholdowania Wołoszczyzny, przedsiębrał trzy bezowocne, a nadto niepomyślne wyprawy, przez co utwierdził dawne wyrzeczenie: *Valachia tumulus Polonorum*—K. W. Wojcicki przywołując powyższe przysłowie, dodaje: Dziś ono budzi żal i boleść serdeczną, ale w swojej dobie grzmiało głosem wyrzutu ciężkiego <sup>(2)</sup>.

### August II.

29. *August Wtóry wdzięcznej krasy*

*Wniósł do Polski złote czasy.*

Tak się ozwał Tom. Ormiński medycyny Dr., w akad. zamojskiej prof., wydawca kalendarza na r. 1699; złote atoli owe czasy niedługo trwały i zamieniły się w oplakane, kiedy 1702 r. Szwedzi kraj najechali. August II,

<sup>(1)</sup> Objaśnienie owych czterech głosek znalazłem w rękopismie około 1700 r. lub nieco późniejszym, a nadto czytałem toż samo i w książce drukowanej, której tytuł zaginał z moich notatek.

<sup>(2)</sup> Ob. *Zmarte przysłowia*, Bibliot. Warsz. 1842, T. IV, str. 225.

syn Jana Jerzego elektora saskiego, obrany królem 27 czerwca 1697 r., zmarł 1 lutego 1733 r.

30. *Jeden do Sasa*

*Drugi do lasa.*

Albo: Jedni do lasa, drudzy do Sasa; albo: Ten do Sasa, ów do lasa. Przysłowia te odnoszą się do epoki, kiedy Karol XII król szwedzki ścigając Augusta II po Polsce, narzucił jej 1705 r. nowego króla, jakim był Stan. Leszczyński wojew. poznański. W powszechném zawichrzeniu kraju, każdy wedle swego sposobu myślenia, lub osobistych widoków chwycił się różnych stronnictw: jedni przeto trzymali z Augustem Sasem, inni znowu popierali Leszczyńskiego, czyli jak wyraża allegorya, udawali się do leszczyny, do lasu. Dziś używa się tych przysłów zamiast: rozpierchli się, poszli w rozsypkę, każdy w swą udał się stronę; oznacza też niezgodę.

**August III.**

31. *Gdy August pijał, Polska bywała pijana* (1).

August III, syn Augusta II, obrany królem 5 października 1733 r. Pomnożyły się za jego rządów zbytki, piniactwo i pijatyka. Zmarł w Dreźnie 5 paździer. 1763 r. Krasicki wyrzekł o nim: August Sas, Polskę do reszty rozpoił; inny zaś poeta:

Zawsze przykład monarchy zbyt przeważnie działa;  
Kiedy pił August: Polska rozpiła się cała.

32. *Za króla Sasa*

*Była wolność nasza.*

Przypowieść ta brzmiała w ustach szlachty, która nie płaciła podatków i broiła bezkarnie, co tylko żywnie chciała. Była to przeto wolność względna, stanowa, z krzywdą i uciskiem ogółu ludności.

33. *Za króla Sasa*

*Było chleba do pasa.*

Długoletni za jego rządów pokój, dozwalał swobodnie używać obfitych dostatków z uprawy roli pochodzących. Wspomnienie tych błogich czasów przechowało się i w Litwie, gdzie jeszcze lud powtarza: Za korola Sasa, było chleba i mięsa.

34. *Za króla Sasa:*

*Były dobre czasy.*

(1) Ant. Nagłowski, *Zabawy przyjemne i pożyteczne* 1777 r. T. XV, str. 75.

Tak mówi Kaszub, podług świadectwa Mrongoviusa. Kaszuby, północna część b. województwa pomorskiego nad morzem Bałtyckiem, gdzie dotąd lud używa mowy polskiej.

35. *Za króla Sasa:*

*Jedz, pij i popuszczaj pasa!*

Albo: Człek jadł, pił, a popuszczał pasa. Wyrzeczenie to maluje dobitnie zniedołężnienie narodu i odrętwienie umysłowe za panowania Augusta III; jakoż o nic więcej nie dbano, byle tylko brzuch napełnić, a gardło zalać. I takieto czasy poczytując za błogie i szczęśliwe, rymami uwiecznić usiłowano! Lada biesiady magnatów lub znakomitszej szlachty, festyny dworskie, zjazdy obywatelskie, uroczyste obchody imienin, zaślubin, chrzcin, na których tokaj wszystkim nogi podcinał, miały swoich tuzinkowych poetów, którzy uwielbiali i wynosili pod niebiosa złote owe czasy.

Otóż i wszystko, co mogłem dotąd na tém polu zbierać; może niniejsze ogłoszenie pobudzi kogo do odgrzebania jakiego przysłowia w tym przedmiocie. Każdy tego rodzaju przyczynek, byleby tylko był uzasadniony, i żadnej nie ulegał dowolnej zmianie, czyli przeinaczeniu, wielce pożądanym mi będzie i z wdzięcznością przyjął.

Warszawa.

d. 30 października 1855 r.

*Tymoteusz Lipiński.*

## KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

### WYSTAWA Powszechna.

#### VIII.

Wystawa przemysłowa: Telegrafy i zegary elektryczne. — Maszyna amerykańska do składania czcionek. — Dywany. — Wystawa sztuk pięknych: Teodor Rousseau. — Bellel. — Rosa Bonheur. — Isabey. — Diaz. — Zamknięcie wystawy.

**Z**gromadzone aparata telegraficzne na wystawie, dają sposobność poznania stanu obecnego téj sztuki i porównania między sobą narzędzi, służących do korespondencyi telegraficznej w różnych krajach. Aby je wymienić, musimy piérwój przypomnieć zasadę ogólną mechanizmu, która polega na własności prądu elektrycznego, że magnesuje żelazo w chwili kiedy nań działa. Kawałek miękkiego i bardzo czystego żelaza okrécony jest drutem, który idzie od stosu Wolty; kiedy prąd przepływa przez drut, żelazo staje się magnesem sztucznym, który tak jak naturalny magnes przyciąga inne żelazo w niewielkiej odległości będące.

Na téj zasadzie polegają telegrafy. Magnesowanie sztuczne, które się objawia na żelazie przy działaniu prądu elektrycznego, znika natychmiast skoro tenże ustaje, tak, że w ciągu sekundy można nadać i odjąć żelazu własność przyciągania. Przerwywanie zaś samego prądu łatwo się otrzymuje.

Jeżeli pręcik żelazny przytwierdzony jednym końcem do sprężyny, leży naprzeciw sztucznego magnesu: to tenże w chwili przepływu prądu przyciągnie go do siebie mimo słabego opo-

ru sprężyny; skoro jednak prąd ustanie, sprężyna pociągnie pręcik do dawniej pozycyi. Tym sposobem elektryczność w jakiej-bądź odległości sprawia skutek mechaniczny, to jest *ruch tam i nazad*, który jest zastosowany do dawania znaków.

Różnomych sposobów używają do przemiany tego ruchu, ażeby różne znaki mógł dawać, i w tém tylko różnią się narządy telegraficzne, które można podzielić jak następuje:

1. Przyrząd amerykański pana Morse.
2. Przyrząd angielski o dwóch drutach i dwóch skazówkach.
3. Przyrząd francuzki pod nazwą Foy-Brèguet, a właściwie Bregietowski.
4. Przyrząd głoskowy powszechnie na kolejach używany.
5. Drukujący, który pisze sam znakami kolorowanymi albo drukiem.

Wszystkie te systemy znajdują się na wystawie; my mówić będziemy tylko o trzech pierwszych.

W telegrafie amerykańskim wążka taśma papieru posuwa się ciągle między dwoma wałkami, za pomocą sprężyny zegarowej. Nad papierem jest zastrzona sztabka żelazna, około której obwija się przewodnik elektryczności; kiedy prąd przepływa, ta sztabka przyciąga inny kawałek żelaza, które się znajduje pod papierem (pośrednictwo papieru nie przeszkadza działaniu siły magnesowej); papier chociaż ściśnięty z dwóch stron, posuwa się ciągle, kiedy tymczasem zastrzony żeleziec rysuje go. Jeżeli prąd działa dłużej, wyciśnięty ślad będzie kreską, jeżeli bardzo krótko, ślad będzie tylko punktem. Kreski, punkta i ich permutacye, składają alfabet tego telegrafu, który był pierwszy na świecie. W Ameryce i w Szwajcaryi jest wyłącznie używany; niżej wskażemy powody, dla których zapewne wszędzie zostanie wprowadzony.

Mimo mechanicznych zdolności Anglików, którym każdy pod tym względem pierwszeństwo oddaje, telegraf ich jest najmniej doskonały; wymaga dwóch drutów i dwóch prądów elektrycznych. Dwa konduktory władają dwiema skazówkami, z których każda na osobnym posuwa się cyferblacie: dopiero kombinowane ich ruchy, składają głoski konwencyonalnego alfabetu.

Założenie tego telegrafu jest dwa razy kosztowniejsze od telegrafu Morsa; korespondencya jest przepelniona błędami,



które nie mogą być poprawione, bo nie zostawia żadnego śladu; pamięć i przytomność urzędnika, który odczytuje znaki w miarę jak są przysyłane, jest słabą rękojmią dokładności depeszy.

We Francji dopiero 1845 r. poczęto zaprowadzać linie telegraficzne na większą skalę. Pan Foy dyrektor tój administracji, polecił panu Breguet wymyśleć jaki przyrząd telegraficzny, żeby mógł powtarzać znaki telegrafów powietrznych, których naówczas była wielka mnogość, a których część przez oszczędność zachowano. Aparat Foy-Breguet wymagał także dwóch konduktorów, a nie dawał tylko połowę znaków telegrafu powietrznego, bo zamiast trzech, miał tylko dwa ramiona ruchome. Powoli przemieniono go na telegraf alfabetowy, a przez wzgląd na kosztowny materiał, którego odrzucić niepodobna było, zachowano go jeszcze dla depesz sekretnych, to jest rządowych. Dla potrzeby zaś prywatnej wprowadzono aparat Morsa.

Między powodami jakie skłoniły administracją francuzką do przyjęcia tego telegrafu, najważniejszym jest jego powszechne użycie: Ameryka, Niemcy, Belgia, Szwajcarya, posługują się nim prawie wyłącznie. Druga korzyść tego systemu jest ta, że bez przerwy konduktora, może posyłać elektryczność na bardzo dalekie punkta; nakoniec, że zostawia ślad materialny korespondencyi, którą dlatego zachować można. Aparat sam pisze, więc w razie pomyłki rzadki błąd łatwo jest odszukany. Dążność do uproszczenia służby telegraficznej w stosunkach między narodami, przemawia także za tym telegrafem; wyjątkowo przyjęli go nawet Anglicy przy linii podmorskiej, która łączy Duwr z Calais. Dzisiaj w obec tak wielkich rezultatów do jakich doprowadziła ludzi elektryczność, powiedzieć można śmiało, że telegraf czyni podobnym ów uniwersalny język, o którym marzyli filozofowie, a ileż z tój potęgi wyniknie jeszcze rzeczy, o których im się nie śniło!

Przejście od telegrafów do zegarów elektrycznych jest bardzo naturalne. W poprzedniej korespondencyi wspominaliśmy o nich, mówiąc o sztuce zegarniczej w ogóle; przecież idąc za układem wystawy, gdzie też same przedmioty odnajdują się po kilka razy, wracamy i my do zegarów elektrycznych, aby dać o nich szczegółowsze sprawozdanie.

Oddawna zegarmistrzowstwo rozmyślało napróżno nad sposobami, któreby dały zegarom równoczesność chodu. Gdy-

by można było za pomocą nici lub łańcuszka połączyć skazówkę jednego zegara z indexem drugiego, jednoczesność ruchu byłaby otrzymana; ale długość, ciężar i bezwładność nici, sprzeciwiają się temu. Tylko elektryczność, ten cudowny czynnik, dla którego nie ma odległości, a który do działania swego czasu nie potrzebuje, mógł rozwiązać zadanie.

Zwykły zegar ma penduł wiszący, albo dwu-ramienne wahadło oscyllujące na osi, które regulowane jest przez parcie sprężyny i zwykle wybija sekundy za każdą oscyllacją. Przy obu końcach kursu wahadła, można umieścić dwie blaszki metalowe, którychby wahadło dotykało się, dochodząc do kresu oscyllacji. Jeżeli do tych blaszek są przyczepione końce drutu idącego od stosu Wolty, to widoczne jest, że wahadło z metalu jako dobry przewodnik elektryczności, będzie przeprowadzać prąd elektryczny za każdym dotknięciem się blaszek, i przerywać go za każdym oddaleniem się od nich. Za każdą oscyllacją wahadła, będziemy mieli przeprowadzenie i przerwanie prądu. Przypuśćmy teraz, że drut (konduktor) stosu Wolty, idąc od tak urządzonego zegara, dochodzi w jakiejś odległości do cyferblatu opatrzonego dwoma indexami; że te indexy mają sprężynę lub wagę, która je co chwila o jeden krok popchnąć może; że sprężyna lub waga jest równoważona albo powstrzymywana przez kawałek żelaza; nakoniec, że ten kawałek żelaza leży naprzeciw magnesowi, to jest miękkiego żelaza, które magnesuje się za każdym przebiegiem prądu: obaczmy, co z tego układu wyniknąć musi: Gdy wahadło pierwszego zegaru przy końcu każdej oscyllacji dopuści przepływu prądu elektrycznego przez konduktora, który podwójnie łączy obadwa cyferblaty, magnes odległego zegaru staje się czynnym, i przyciąga ów kawałek żelaza (który w fizyce *uzbrojeniem* się zowie) będący naprzeciw niemu; usuwające się uzbrojenie dozwala, ażeby kółko z indexami uległo parciu sprężyny lub wagi, i postąpiło o krok, a indexa o sekundę na cyferblacie. Ale wahadło odchodząc od blaszek, przerywa natychmiast prąd elektryczny; uzbrojenie staje się nieczynne, wraca na swoje miejsce, i utrzymuje nieruchomość indexów dopóty, dopóki wahadło nie przywróci powtórnie komunikacji ogólnemu przebiegowi prądu elektrycznego. Wahadło na sekundę robi jedną oscyllację, więc co sekunda prąd udziela ruchu drugiemu zegarowi, który tym sposobem odbija jak zwierciadło postęp indexów zegaru głównego.

Co się powiedziało o dwóch, stosuje się do wielu zegarów. Konduktor wychodzący ze stosu Wolty przy głównym zegarze, przebiegać może przez tyle zegarów ile się podoba, i następnie wraca do przeciwnego bieguna tegoż stosu: bo żeby prąd elektryczny istniał, potrzeba komunikacji między dwoma biegunami; wahadło przerywa i przywraca ją co chwila. Widzimy, że mierzenie czasu za pomocą elektryczności polega na téj saméj zasadzie co telegrafy. W telegrafie ręka człowieka przerywa lub otwiera wolny przebieg prądowi elektrycznemu, i działa tym sposobem na magnes odległej stacyi; w zegarach wahadło zastępuje rękę człowieka, i przez równe oscyllacye, co sekunda otwiera przebieg prądowi. Telegrafy przesyłają myśli, zegary czas sobie telegrafują.

Za pomocą jednego rzeczywistego zegara, można przesyłać godzinę, minutę i sekundę cyferblatom placów publicznych, sal wielkiego budynku, lub pokoikom małego domku: wszędzie téj saméj chwili odbijać się będzie obraz godziny, którą główny zegar pokazuje. Gdyby zegarem przesyłającym godziny był chronometr, który w obserwatoryum znajduje się przy lunecie południkowej, w takim razie całe miasto miałoby miarę czasu równie regularną, jak dotąd sami dyrektorowie obserwatoryj, przy bardzo kosztownych chronometrach, mają ją dla siebie. Pożytek z dokładnej i na każdym punkcie jednakiéj miary czasu jest widocznym nie tylko na kolejach żelaznych, pocztach, biurach, fabrykach, ale i w życiu domowém. Dotąd po miastach rozprowadzano rurami podziemnymi wodę do picia i gaz do oświetlania, dwie potrzeby życia; teraz rozprowadzony będzie czas, to jest miara życia.

Znakomity fizyk pan Steinheil z Monachium, pierwszy roku 1839 zrealizował myśl przesyłania czasu za pomocą elektryczności. Zaraz 1840 r. wynalazek rozpowszechnił się w Londynie, bo Anglicy nie ograniczając się na płonnej admiracyi, uważają sobie za punkt honoru, żeby wszystko cokolwiek na świecie odkryto lub wynaleziono, co rychléj u nich było wykonane.

To, cośmy powiedzieli, jest dopiero pierwszą fazą zegarów elektrycznych. Teraz ta ważna gałąź fizyki zastosowanej postąpiła znacznie. Umiejętności mają to do siebie, że przy najszybszym rozwoju nie prowadzą nigdy do ostatecznego rozwiązania: zawsze dopełniony postęp służy tylko do przygotowania

drogi nowemu postępowi — we wszystkich widać nieskończoność.

Znacznyto już był rezultat, że można było za pomocą jednego zegara znaczyć godziny na wielu cyferblatach. Ale i ten jeden zegar mógłby być nieregularnym; gdyby przypadkiem w chodzie się zatrzymał, tysiące innych stanęłoby naraz: więc go usunięto. Jakby chodziło o całkowitą zagubę zegarmistrzów, osądzono, że i jeden regulator jeżeli ma być dokładny, jest jeszcze zadrogi.

Złożono więc zegar, któremu ruch nadaje sama elektryczność; ten chronometr elektryczny przesyła godziny innym cyferblatom za pomocą drutów tak jak dawniej. Jakim sposobem elektryczność zastąpiła liczne kółka, które dokładny zegar składają, to nam objaśnić wypada.

Dwie są przyczyny nieregularności zwykłych zegarów: wydłużanie lub skracanie się pendułu wedle zmiany temperatury, i niejednaki impuls, który sprężyna za pośrednictwem kółek nadaje wahadłu lub pendułowi. Zadaniem więc zegarów elektrycznych jest usunięcie całego mechanizmu zegarkowego, a zastąpienie go przez siłę, któraby regularniej poruszała wahadło. Siłą tą jest elektro-magnetyzm. Ponieważ elektryczność działając na żelazo, sprawia skutek mechaniczny, to jest ruch: widocznym więc jest, że elektro-magnes umieszczony stosownie, może przyciągać wahadło (które na ten cel ma jedną część żelazną) i utrzymywać ciągle jego oscylacje. Tak zrobiony zegar nie potrzebuje sprężyn, kółek ani nakręcania; dostatecznym jest odmieniać w kilka miesięcy cynk i kwas stosu Wolty, ażeby nie słabnął prąd elektryczny, który budzi siłę przyciągającą elektro-magnesu.

Początkowo elektro-magnes działał wprost na wahadło, ale to urządzenie było niedobre z tego powodu, że i elektryczność raz z większą, drugi raz z mniejszą mocą działa wedle siły stosu. Dopóki stos Wolty poruszał bezpośrednio wahadło, ruch jego musiał być bardzo niestateczny; potrzeba było wynaléć jakiego pośrednika, któryby przyjmując działanie elektro-magnesu, regulował je i oddawał wahadłu. Wrócono więc do sprężyny, ale bardzo pojedynczej i takiej, że jakkolwiek siłę elektro-magnes wywiera, ona zawsze rozciąga się i ściąga o jedną ilość, i tak ujednostajniony ruch komunikuje wahadłu.

Wszakże metal z którego sprężyna jest zrobiona, zmienia objętość w pewnym stosunku do temperatury; dlatego w ostatecznym ulepszeniu zastąpiono sprężynę przez ciężarek (wagę), który jest podnoszony przez elektro-magnes i upuszczany w chwili, kiedy tenże działać nań przestaje. Ciężarek spadając, daje impuls wahadłu, a że wysokość z której spada jest zawsze jednaka, więc i impuls zawsze ten sam. Można powiedzieć, że wahadło ma oscylacje bezwzględnie jednostajne.

Wszystkie zegary elektryczne na wystawie są zrobione podług ostatniego systemu, nie mają dawnego mechanizmu zegarowego i nie potrzebują nakręcania.

Między zegarmistrzami, którzy robią zegary elektryczne, najrzęczniejszy jest pan Froment. Z podziwieniem patrzy się na jego małe zegarek, który przysyła ruch trzem ogromnym cyferblatom (sześć stóp średnicy), znaczącym godziny, minuty i sekundy. Indexa które pokazują sekundy, mają chód wyraźny; z precyzją zatrzymują się na każdej podziałce. Pan Froment nie używa wagi ani sprężyny do posuwania skazówek: w zegarach jego uzbrojenie elektro-magnesu pobudzone do ruchu w chwili przepływu elektryczności, działa na małe kółko zębate, do którego są przytwierdzone skazówki.

Pan VÉRITÉ z Beauvais, który jeden z pierwszych zaczął używać wagi do poruszania wahadła, wystawił zegar podobny innym co do zasady, ale odmienny w wykonaniu. Waga, która daje popęd wahadłu, ma formę dzwoneczka; zawieszona na nici srebrnej, nie spada, ale kładzie się łagodnie na wahadle poziomem. Kiedy waga jest w tym położeniu, przywraca się prąd elektryczny, przez co elektro-magnes stając się czynnym, zniża drążek, na którym wisi dzwonek, i dozwala mu ciężarem swoim popchnąć wahadło. Po usunięciu się wahadła, zetknięcie ustaje; prąd elektryczny przerywa się dopóty, dopóki przeciwna strona wahadła nie napotka drugiego dzwonka, który jest symetrycznie położony względem pierwszego. Inne zegary pana VÉRITÉ odznaczają się wielką elegancją roboty: wszakże, co się tyczy dokładności, są one mniej dobre od zegarów pana Froment.

Pan Garnier, zegarmistrz paryzki, który wszystkie koleje francuzkie zaopatrzył w zegary elektryczne, używa jeszcze dawnego mechanizmu zegarowego. Sławny kuglarz paryzki Ro-

bert Houdin wymyślił odmienny system zegarów elektrycznych; odmiana atoli, którą wprowadził, nie jest bardzo szczęśliwa, za to taniość jest nadzwyczajna: wspólnie z zegarmistrzem Detouche sprzedają swoje zegary elektryczne po 60 franków.

Widzimy, że miara czasu za pomocą elektryczności nie jest już w kolebce, jak to sobie wiele osób wyobraża; dzisiaj chodzi tylko o zastosowanie jej powszechne i na wielką skalę. Jeden zegar elektryczny pana Froment idzie już ośm lat bez najmniejszej przerwy, i przesyła oznakę czasu licznym cyferblatom, które się znajdują w każdym pokoju jego ogromnej fabryki. Zegar astronomiczny w Greenwich, z obserwatorium przesyła godziny do Londynu, a żeby mieszkańcy przynajmniej raz na dzień swoje zegarki regulować mogli, z kopuły urzędu telegraficznego wznosi się co południe balon, który od całego miasta widziany być może.

W Lipsku już w 1850 roku pp. Storer i Szolle postarali się u rządu o przywilej opatrzenia miasta tym wynalazkiem chronometrycznym. Domy i ulice podzielili na grupy: każda grupa ma swój drut, który zewnątrz lub wewnątrz domów przebiega, odnogi swoje posyłając do najmniejszych mieszkań. Końce konduktora schodzą się przy zegarze głównym, który jest w magistracie miasta. Za kilka złotych opłacanych rocznie, mieszkaniec wiedzieć może godzinę, minutę i sekundę z astronomiczną dokładnością. Sam zaś zegar elektryczny z łokciowym cyferblatem, kosztuje w Lipsku nie więcej jak 15 do 20 talarów.

W Gand elektryczność znaczy godziny na cyferblatach, które zarazem są szybami latarni gazowych; w dzień i w nocy na latarni widać godzinę. W Paryżu znaczniejsze budynki, szczególnie te, które się obecnie wznoszą, otrzymują zegary elektryczne. W świeżo otworzonym olbrzymim hotelu Luwru, wielką mnogość indexów porusza jeden zegar elektryczny. W seminarium w Beauvais pan Vérité zaprowadził zegar elektryczny, który pokazuje godziny na 32 cyferblatach: jedne z nich są wieżowe, inne pokojowe. Cyferblat opatrzony dzwonkiem, budzi cały dom o piątę z rana; ten, który jest w mieszkaniu ekonomy znaczy dzień, święta, miesiące, odmiany księżyca i t. d. Ażeby służba domu Bożego pełniona była z akuracnością, jeden aparat uwiadamia przełożonego na kilka minut piérwój o różnych zatrudnieniach podwładnych, które on w danych chwilach ma

kontrolować. Konduktor od stosu Wolty i zegara głównego, obiegający te wszystkie cyferblaty, ma kilka tysięcy łokci długości.

Przy zastosowaniu tego wynalazku na większą jeszcze skalę, konduktor jest żelazny, pobielany cynkiem, i w rurkach z asfaltu lub guttaperki przechodzi popod budynkiem, lub jest przyczepiony do sklepienia kanału, tam, gdzie kanalizacja miasta jest więcej rozwinięta, lub nakoniec biegnie obok rur gaz rozprzewadzających. Oprócz stosu Wolty, który jest przy zegarze głównym, inne wzmacniają prąd elektryczny na stacjach, jeżeli takowych wymaga bardzo wielka długość konduktora.

Mówiąc o drukarni pominęliśmy kilka nowych pomysłów, których próbki dopięro później na wystawę nadesłano. Takim jest naprzykład sztych, wyobrażający pomnik Gutenberga, a który w pracowni pana Plon złożył jeden robotnik z drucików, które wyginał i przerywał tak, jak tego linie i kontury rysunku wymagały. Złożył tym sposobem kasztę, która pozwoliła wydrukować portret, zamiast go sztychować.

Jest także wiele ręcznych pras, które służą do odtłaczania liści na ołowiu: roślinna tkanka liścia lub kwiatka, ma jeszcze dość twardości, aby jak najdokładniej wszystkie swoje rysy odtłoczyć na ołowiu; odcisk przeniesiony na papier ma dokładność natury. Gabinety i nauka botaniki ogromne znajdą ułatwienie w tym wynalazku.

Mniej świetnym, ale nierównie ważniejszym pomysłem jest mechanizm amerykański Sörensena, który służy zarazem do rozkładania czcionków i do składania.

Przyrząd cały stanowi podwójny cylinder pionowy, złożony z tyłu pręcików mosiężnych, ile jest liter alfabetu i znaków pisarskich; między pręcikami są przedziały. Każdy pręcik ma listewkę, która pasuje do narznięcia na czcionce. Wierzchnia część cylindra jest ruchoma i obraca się ponad dolną, za pomocą pedału, który działa w ten sposób, że bęben wierzchni zatrzymuje się w obrocie, ile razy listewki jego pionowe zbiegają się z odpowiedniami listewkami dolnego bębna.

Czcionki które potrzeba sortować, kładą się w rowki cylindra wierzchniego; pręciki które go składają, mają z jednej strony listewki w kształcie jaskółczego ogona, które przystają do odpowiednich korbów czyli fug na czcionkach. Podobne listewki mają także w całej swój długości pręciki spodniego cylin-

dra. Ale każdy rowek dolnego bębna ma, jak zamek, przy otworze gardę, to jest wyrżnięcie takie, że części wyskakujące otworu, odpowiadają właśnie karbom jednej litery, naprzykład *A*, inne odpowiadają literze *B* i t. d.; tym sposobem oznaczona tylko litera może wpaść do swego rowka; mijając tę gardę, podczas kiedy się zwierzchni cylinder obraca, każda czcionka musi nareszcie znaleźć odpowiedni sobie rowek w dolnym cylindrze.

Skoro w spodnim cylindrze jest już dostateczna liczba czcionek rozgatunkowanych alfabetycznie (to jest że każda litera zajmuje odpowiedni sobie rowek), a w wierzchnim są zawsze czcionki do rozebrania; zecer siada przed klawiaturą, która jest u dołu całego przyrządu: uderzając wedle manuskryptu palcem klawisze, z których każdy odpowiada inną głosce, czcionka z rowku spada do kanału prowadzącego do winkelaka, i tu zabiera miejsce jakie jej naznaczył palec zecera; ten nogą przyciska równocześnie pedał i gatunkuje czcionki znajdujące się w wierzchnim cylindrze. Wychodząca z maszyny linia ułożonych czcionków, na kilka łokci długa, potrzebuje być połamana na wiersze, co już rękami się uskutecznia.

Czcionki których używano na wystawie, były własnością drukarni dziennika kopenhagskiego *Foederlomder*: w drukarni tej jest maszyna Sörensona. Czcionki do przyrządu Sörensona potrzebne, mają kształt osobny: jedna litera od drugiej różni się narznięciem, także liczbą i ułożeniem karbów, służących do sortowania w wierzchnim bębnie; wszystkie mają jeszcze wspólne jedno narznięcie w kształcie jaskółczego ogona, odpowiadające zawsze jednakiemu listewkom dolnego bębna.

Już w roku 1842 baron Séguin zdawał sprawę Akademii nauk z podobnego wynalazku pana Gaubert: rzecz ta w swoim czasie wielki miała rozgłos. Później p. Delcambre na wystawach francuzkich 1844 i 49 r. pokazał maszynę zbliżoną układem do tej, o której mówimy. Ale wszystkie poprzednie wynalazki stosowały się tylko do *składania* czcionek. Piérwszy Sörenson w jednym przyrządzie bardzo małych rozmiarów, połączył dwie wprost przeciwne operacye rozkładania i składania, to jest: *dystrybucyi* i *kompozycyi*.

— Fabrykanci dywanów najwięcej się przyczynili do ozdoby pałacu wystawy; zamiast zgromadzić wyroby swoje na jednej przestrzeni jak inne produkty przemysłowe, rozwiesili je



po całym gmachu: w każdym zakątku napotyka je przechodzień. Zdobią one wyniosłe mury sal dolnych, przejścia do pobocznych galeryj, schody na wyższe piętro: cała rotunda od góry do dołu jest nimi wysłana. Co krok wabią oczy świetnością kolorów i nowe odślaniają desenie zawsze piękne a rozmaite, bo przez rozmaite narody układane. Dywany wschodnie, francuzkie, angielskie, belgijskie, pruskie, austriackie i holenderskie, pomieszane razem i rozwieszzone we właściwem świetle i miejscu, stanowią jakby płaszcz monarszy, w który drapuje się cały pałac wystawy.

Taki układ prócz że odpowiada zupełnie wymaganiom estetyki, ułatwia niezmiernie porównanie i pogląd na ten wyrób ze stanowiska przemysłowego; wykazuje ile który naród rozwinął tę piękną gałąź przemysłu, ile znizeniem ceny fabrykatu dopomógł do pożądanego rozpowszechnienia dywanów, które nietylko do ozdoby mieszkań, ale i do zdrowia mieszkańców wiele się przyczyniają.

Francya najpierw z wszystkich narodów zaczęła się zajmować wyrabianiem przednich dywanów, tak zwanych *haute lisse*. Odwieczna fabryka takich tkanin, jedyna wtedy we Francyi, produkująca bardzo mierne wyroby na sposób flamandzki, z rozkazu Ludwika XIV przeniesiona została 6 czerw. 1662 roku do zakupionego na ten cel domu, który od nazwiska dawnego właściciela przezwano: *Maison Gobelins*. Ztąd wzięły nazwisko gobeliny.

Fabryka ta oddana pod zarząd Colbertowi słynnemu dobroczyńcy francuzkiego handlu, niezadługo pod szczególną pieczęją jego zaczęła się doskonalić i na coraz obszerniejszą produkować skalę. Mając sobie także poruczone upiększenie królewskich pałaców, Colbert zgadł jak wielką będzie mu pomocą w tém zadaniu fabryka gobelinów: postanowił przeto posunąć ją jak tylko można najwyżej, a chcąc uprościć sobie dozоровanie wszystkich artystów i rzemieślników, którym wykonywać kazał ozdoby do królewskich gmachów przeznaczone, zgromadził wszystkich w obszerném domostwie gobelinów, które przez długi czas było jakby artystyczno-rzemieślniczym bazarem, mieszczącym w sobie pracownie malarzy, rzeźbiarzy, snycerzy, kamieniarzy, złotników, zegarmistrzów, tokarzy, stolarzów, i t. d. Fabryka zaś dywanów została oddana pod zarząd Lebruna, pierwszego malarza królewskiego.

Ale nietylko sam Lebrun zajmował się malowaniem wzorów, które reprodukować miała wzrastająca coraz fabryka gobelinów; 50 znakomitych naówczas malarzy pomagało mu w tej pracy. Wedle wydanych przez nich kartonów, od roku 1662 do 1690 wyrobiono do królewskich pokoi w fabryce gobelinów 4,110 metrów kwadratowych materji na obicia ścienne (haute lisse) i tyleż posledniejszej makaty, zwanój *basse lisse*; prócz tego wykonano tamże mnóstwo wspaniałych dywanów, portier i obić na meble, któremi ozdobiono monarsze gmachy Luwru i Wersalu.

Fabryka gobelinów wzrastała i kwitła pod przywództwem Lebruna, a następnie Mignarda aż do 1694 roku. W tym czasie z powodu wyczerpanego wojnami skarbu, obstalunki królewskie prawie ustały, dygnitarze państwa także ograniczyli swoje wydatki, tak, że fabryka zbytku wpadła w suchoty i większą połowę robotników, jako nieużytecznych, oddaliła. W widocznym upadku wlokła swój żywot przez dwa panowania Ludwika XV i XVI, aż w końcu podczas wielkiej rewolucyi 1793 r, zamkniętą zastała.

Otwarta na nowo za restauracyi, do dawnego powróciła blasku i odtąd aż do dni naszych coraz nowemi bogacąc się wynalazkami, stanęła najwyżej ze wszystkich i doszła do sławy jakiej na całym świecie słuszenie używa.

Fabryka Aubusson mniej sławna i mniej artystyczna od fabryki gobelinów, bo nie wyrabia obrazów, ma tę zasługę, że jest kolebką sztuki robienia dywanów w Europie, któryto przemysł, jak również umiejętność robienia szalów kaszemirowych, przyszedł do nas ze Wschodu. Początek jój podobny do wszystkich początków.

Saraceni, którzy w VII i VIII wieku część Francyi zajęli, pierwsi nauczyli ją tego rzemiosła. Po walnej bitwie, jaką im wydali krajowcy, garstka rozbitków pozostałych z muogiej niedgdyś hordy Saracenów, osiadła w mieście Aubusson, ukrytém między wzgórzami środkowej Francyi, i tam spokojnie rozpoczęła swoje rodzinne rzemiosło, do którego powoli zaczęli się garnać ludzie miejscowi, aż w końcu maleńka rękodzielnia rozrosła się w ogromną fabrykę, która wyroby swoje nietylko po Francyi, ale po całym świecie rozsyła.

Kilkakrotnie otrzymawszy nagrody na dawniejszych wystawach krajowych, fabryka Aubusson na wystawie powszech-

nój nie rywalizuje już z innemi, bo jój naczelnik pan Sallandrouze de Lamornaix zasiada pomiędzy sędziami w Radzie naczynającej nagrody.

Ze wszystkich fabryk francuzkich, aubussońska produkuje najwięcej; rocznie sprzedaż jój wyrobów przenosi 3,000,000 franków. Nie jestto atoli jeden dom fabryczny, jakby to z nazwy sądzić można: całe miasto Aubusson jest wielkim warsztatem, przykłada się do pracy i bierze udział w ogólnych zyskach: każdy bowiem jego mieszkaniec tém rzemiosłem się trudni.

Wyroby aubussońskie po gobelinowych obrazach i obiciach z cesarskiej fabryki Beauvais, najśmieliej wkraczają w dziedzinę sztuk pięknych; a jeżeli nie dorównują dwom powyższym fabrykom to dlatego jedynie, że nakłady swoje stosować muszą do przychodu, to jest wyrabiać materye, którychby cena nie przechodziła możliwości kupujących. Dywany aubussońskie po większej części nie są kosmate, ale gładkie, tak zwane *tapis ras*, w powszechném użyciu będące. Prócz tych robią także i zbytłowne długo-włose (genre de la Savonnerie). Ten rodzaj dywanów jest bardzo kosztowny, ale zato niezmiernie trwałe: prócz bowiem że farba wełny wyborna, każdy ścieg z których tworzy się aksamit, przytwierdzony jest pod spodem węzłkiem, niedozwalającym wyprówać się nitkom. Nie mówię już o doborze kolorów i piękności rysunku, bo obie te zalety tak są nieodłączne od francuzkich towarów, że zbytłownie byłoby nad niemi się rozwodzić.

Nie porównując dywanów zagranicznych z wyrobami fabryk cesarskich Gobelin i Beauvais, jako będących wyjątkowej piękności i niejako nie należących do handlu: jeszcze w tój gałęzi przemysłu Francyi przysądzić wypada pierwszeństwo. Miasta Nimes, Tourcoing, Amiens, Abbeville i t. d. nadesłały wyroby, które przewyższają wszystkie inne żywością kolorów, deseniem i miękkością wełny. Sama tylko belgijska rządowa fabryka Tournai dorównywa francuzkim, i tak do nich się zbliża co do gustu i sposobu roboty, że różnica prawie jest nieujetna,

W wystawie austryackiej najpiękniejsze kobierce wystawił pan Filip Haas z Wiednia. Ale jeden z tutejszych fabrykantów głośno się uskarża, że znajdujące się na tych dywanach desenie, były kryjomo z jego fabryk do Wiednia posłane; za tém pochwała kompozycyi, która jest ich główną zaletą, nie

Wiedniowi, ale Paryżowi się przynależy, dopóki obwiniony fabrykant od zarzutu się nie uwolni.

Dywany pruskie nadesłane przez panów Praetorius i Protzen, dwóch berlińskich fabrykantów, stoją na równi z wiedeńskimi. Aczkolwiek błedną nieco obok francuzkich, niektóre są bardzo ładne, a mięsistość ich i grubość dobrze świadczą o trwałości.

Van Alphen, Holender, wystawił nowego rodzaju kobierce, robione z krowiej pilśni; nie są one piękne, ale tanie i bardzo mocne. W Niemczech próbowano już podobno mieszać pilśnię do wełny przeznaczonej na tkanie dywanów, ale samęj pilśni nigdy nie używano z powodu trudności jej przędzenia. Holenderski fabrykant za pomocą umyślnie na ten cel wymyślonej przędzalni usunął wszelkie zawady, i przysłał owoc swęj pracy, który z powodu taniości zapewne wkrótce się rozpowszechni.

Oddawszy słuszne pochwały dywanom francuzkim, które pięknością wszystkie inne przemaszają, wyznać potrzeba, iż mają jednę wielką wadę: są najdroższe ze wszystkich; angielskie zaś najtańsze. Przyczyna tego leży nie tyle w cenie wełny, którą Francuzi drożęj kupować muszą, jak raczęj w zamożności fabrykantów i obszerniejszém polu handlowém Anglików. Sam jeden zakład pana Crossey w Halifax produkuje rocznie więćej niż wszystkie francuzkie fabryki razem, a wiadomo jest, że im fabryka produkuje więćej, tēm tanięj wyroby swoje pozbywać może.

Nadto, dywany angielskie nie podlegają modzie jāk tutejsze; fabrykanci nie są smuszeni zmieniać co chwila deseni i kolorów. Krajowa i zagraniczna klientela angielska nie jest wymagająca. Anglik kupujący kobierzec nie zważa czy deseń na nim nowy, czy istniał już zeszłego roku. Niejedna fabryka wyrabia przez lat 15 i 20 dywany, nie zmieniwszy w nich jednęj nitki, i dlatego niemnięj dobrze je sprzedaje. Tym sposobem odpadają nakładcom ogromne summy, które tutejsi fabrykanci rysownikom płacić muszą. Kilka znaczniejszych fabryk we Francyi wydaje na ten cel rocznie po 50, do 60,000 fr. a często więćej; w Anglii dziesięć razy większy zakład zaledwie 12,000 rysownikom płaci.

Nie na tēm koniec: jednostajna produkcya łatwo mechanicznym sposobem prowadzić się daje. Maszyny parowe od dawna zastąpiły w fabrykach dywanów angielskich ręce ludzkie,

kiedy we Francyi dotąd w tój gałęzi przemysłu nie używają maszyna. Wprawa doprowadziła Anglików do znamienitych ulepszeń, mianowicie tóż nowo wynaleziony środek uprościł niesłychanie robotę dywanów. Zasada się on na *drukowaniu* deseni po wyrobieniu dywana; zwyczajnie takowe są wrabiane odrazu na warsztacie. Jestto nietylko nadzwyczajna oszczędność czasu, ale i farby, gdyż mniej potrzeba jej na odbicie deseni niż na ufarbowanie nici do wyrobienia go. W robocie takich dywanów nie ma żadnego zawikłania: kolor jest jeden, a robota takąż sama jak płótna. Tak uproszczony sposób dozwala wyrabiać na jednym warsztacie 20 metrów dziennie; francuzkie zaś ręczne warsztaty zaledwie trzy na dzień wyrabiają. Wyjątkowa taniość powyższych dywanów sprawia, iż mimo nietrwałości swojej, licznych znajdują nabywców.

Angielski wynalazek drukowania kobierców, który Francuzi niezwłocznie przyjęli, przyczyni się niezmiernie do rozpowszechnienia ich na stałym lądzie; dotąd nawet we Francyi były one w użyciu tylko małej liczby zamożnych. Na 36,000,000 Francuzów, zaledwie 1,000,000 ma w mieszkaniach swoich dywany. W Anglii stosunek jest odwrotny; tam dywany spotkać można wszędzie, zarówno używa ich wieśniak, wyrobnik i kupiec, panowie zaścielają nimi domy swoje od piwnic aż do strychu. Jakkolwiek klimat kontynentalny mniej jest wilgotny niż angielski, przeto brak dywanów mniej się na nim czuć daje: jednakowoż sądząc po skwapliwości z jaką każdy z nowego wynalazku korzysta, wnosić wypada, że gust dywanów jest powszechny, tylko na sposobach zaspokojenia go zbywało.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

## WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

### VII.

Teodor Rousseau, Bellel, Rosa Bonheur, Isabey, Diaz. — Zamknięcie wystawy.

Pomiędzy ważnemi przysługami, jakie Jan Jakób Rousseau oddał ludzkości, policzyć należy zwrócenie uwagi powszechnej na piękności natury. Autor *Nowej Holoizy* pierwszy dopatrzyl istnienia lasów, łąk i jezior, na które nikt przed nim nie zważał, mimo nieustającej ich wystawy od lat 6,000.

Sztuka piękna u starożytnych zajmowała się wyłącznie człowiekiem, i to człowiekiem idealizowanym, który swęj formy użyczał bożyszczom. Najprzód przedstawiano bogów, potem półbogów i bohaterów: ludzi zwyczajnych zaczęto malować daleko później, a pejzażów nie znano wcale.

W XVIII wieku natura weszła w użycie jako przyprawa do ozdobienia myśli. Zdrój w ówczesném znaczeniu tego słowa, znaczył Najadę opartą na wywróconej urnie, z której płynęła woda; laur był suknią przemienionęj w drzewo Dafny; skała, mieszkaniem Nimfy; łąka, salonem Rusalki: cała przyroda była tylko teatralną estradą, na której odgrywały się mitologiczne dramata. Nikomu nie przyszło na myśl malować lazurowe błękity Genewskiego jeziora zarumienione jutrzenką; góry w śniegowym wianku; drżące w powietrzu drzewa, co długie cienie ścielą po murawie; zachodzące słońce co sypie światło jak dukaty przez szczeliny ciemnych szpalerów; strumienia szemrzącego na żwirowém posłaniu; chaty z omszonym dachem; wołów ciągnących do zagrody napełnione pachnącém sianem wozy; błyszczących wieczorem wśród pola ogni, przy których pastuszkowie kartosle pieką; nękających we mgie dalekich widoków, co napełniają duszę tęsknotą: wszystko to zdawało się niegodne pędzla, niedosyć szlachetne, niedosyć historyczne. Przyroda służyła czasem za tło obrazowi: nikt nie malował jęj dla nięj samej.

Z początkiem XIX stulecia, ludzie przejrzawszy nieco przy pomocy genewskiego filozofa, łaskawiej zaczęli się przyglądać naturze; teraz zaś człowiek Zachodu zmęczony zbytkiem cywilizacji, rad chroni się na jęj łono. Podrażniony złością jednych, znudzony głupstwem drugich, w ogóle nie kontent z siebie i sobie podobnych istot, zachwyca się wszystkiém, co ani do niego, ani do nich niepodobne. W tęj biernęj kreacji wynajduje tajemnicze pokrewieństwo z cierpieniem własném, rodzaj niemego współczucia na serdeczne tęsknoty, z których sobie samemu sprawy żdać nie umie.

Dlatego za naszych czasów pejzaże doszły do wysokięj doskonałości. Artyści tegocześni pojęli, że aby nadać sztuce normalne warunki istnienia i trwania, potrzeba ją poddać ideom i dążnościom swego czasu. Rafael, Michał Anioł, Tycjan, Rubens i Rembrandt, niemal wszyscy mistrze starożytni wiednie czy bezwiednie stosowali się do tego prawa; mianowicie tęż

ten ostatni nietylko wiernie odbijał myśl swojej epoki, ale nadto w niektórych utworach miał jakoby widzenie przyszłości.

Zerwawszy z Parnasem, wyziębiwszy w sobie wrażenia wspomnień, które gorąco wierzącą szkole gotyckiej dostarczały wzorów; potrzeba było nadać sztuce nowoczesnej kierunek zgodny z duchem XIX wieku. W czasie ruchu romantycznego, który tak potężnie oddziaływał nietylko na sztuki piękne, ale na sposób myślenia społeczności francuzkiej, iż zdawało się, że cały stary porządek przewróci: malarze rzucili się do uplastyczniania nowych pojęć, nowych dogmatów; ale wnet o nieloice pierwszych, a niedostateczności drugich przekonani, zwrócili się do malowania natury, uznawszy ją za jedyną nieomylną boginią, mogącą zwątpiałych nową natchnąć wiarą.

Dziwnym trafem, jakby do imienia *Rousseau* przywiązana była moc nawracania ludzi na łono natury, Teodor Rousseau pierwszy z tłumu malarzy zwrócił się całą duszą do matki przyrody, pewny, że kto się w nią serdecznie wpatrzy, nie pobłądzi. Teodor Rousseau jest więc ojcem ogromnej szkoły nowoczesnych pejzażystów francuzkich. Pędzel jego prosty i nie przesadnie-idealny podnosi ducha, a pośród mnóstwa przedmiotów krwawych lub bolesnych, których dla łatwiejszego efektu wyszukują malarze, daje patrzącemu miły i upragniony odpoczynek.

*Bagnisko* jest zapewne najlepszym dziełem tego artysty. Trzoda bydła przebywa trzęsawiska, skubiąc trawę moknącą w stojącej wodzie; opodal widać mały lasek oświecony promieniem zachodzącego słońca. W głębi białawe chmury mieszają się z pasmem gór dalekich; lekka mgła powstająca z wody zaciemnia niebo; na pierwszym planie tatarak, trzcina i wodne kwiaty rosną jak żywe. Cały obraz zalewa cisza i niewysłowiona tęsknota.

*Wybrzeża Granvillu* dają dokładne pojęcie o położeniu Normandyi. Rozległe pastwisko ciągnie się pochyło nad morzem, które spód obrazu zalewa. Zdala widać wioskę ukrytą w bukiecie drzew; tu i owdzie sterczy skała naga, porośnięta rzadką wypaloną od słońca trawą. Ustroń tę cechuje dziwna powaga, wyrażona głęboko harmonią nieba, ziemi i morza. Rozkład przypomina obrazy Hobbema i Ruysdacla, wykonanie dowodzi pilnego studyowania pejzażystów holenderskich.

*Lisière des Monts Gérard* stanowi część malowniczego lasu Fontainebleau, w którym artysta coraz to nowe wynajduje

piękności. Obraz przedstawia dzikie wzgórze; na jego szczycie rośnie dąb odwieczny, patriarcha lasu ze spiorunowaną głową i rozpostartymi szeroko rękami, co drżą w powietrzu wyciągnięte, jakby błogosławił młode pokolenia buków, brzoź i kasztanów, które tam u stóp jego wyrósły. Kamienista drożka wiję się po lesistym gruncie pomiędzy gęstą leszczyną i skałami. Chmurne niebo zapowiadające blizką burzę, dodaje dzikości téj posepnej okolicy. Obraz cechuje siła właściwa pierwotnym dziełom: jest w nim wiele pociechy dla znużonego powszednią pracą człowieka, bo zwraca myśl jego na wiecznie trwałą piękność i ogrom przyrody, w obec której drobne zabiegi i kłopoty ludzkiej rodziny nader podrzędne się wydają.

Pomijając tysiące innych obrazów tegoż malarza, z których każdy zachwyca prawdą: dodam tylko, że Rousseau układa obraz jak Beethoven symfonią: przeprowadza go przez stopniowane odcienia i subtelne transformacje, odpowiednie przeobrażaniu natury, która nie przez kontrasty, ale przez zupełną harmonią do efektów dochodzi.

Bellel mniej świetny kolorysta niż Rousseau, lepszym jest rysownikiem. Nikt mu nie zrówna w powabnej dokładności z jaką oddaje każdy szczegół, podnosi choćby najdrobniejszą piękność krajobrazu. Nikt z większą znajomością rzeczy nie potrafi malować posepnej fizjonomii starych drzew, pogarbionych wiekiem, łysych i chropowatych, co krzywemi korzeniami, jak zaciśniętą konwulsyjnie ręką, uporczywie trzymają się ziemi; nikt śmieliej nie potrafi wyprowadzić w górę pnia dorodnego dębu i ubrać go we wspanialszą koronę. A jak rysuje skały nagie, lesiste wzgórze, jak złobi kontury horyzontów, jak piętrzy góry, jak układa na niebie z chmur archipelagi: to się opowiedzieć nie da. Nic nudniejszego jak *pisane* pejzaże, jeżeli ich genialna nie kreśli ręka: zawsze wydawały one nam się wtedy podobne do lekcji poezji. Dlatego w tém sprawozdaniu czytelnicy znajdą raczej katalog nazwisk najslawniejszych pejzażyistów francuzkich, niż opisanie ich obrazów.

Ale jeszcze słów kilka o panu Bellel, którego rzadki talent na obszerniejszą zasługuje wzmiankę. Najznakomitsze dzieło jego na wystawie jest *Wspomnienie Włoch*, krajobraz widziany pierwszy raz na wystawie paryzkiej 1853 roku, o którym obszernie mówiliśmy w swoim czasie. Zaledwie bardzo długi i czysto specjalny opis mógłby wykazać czytelnikom za-



lety tego obrazu, którego jedynymi aktorami są drzewa, skały i woda płynąca po kamienistym gruncie; wyższość jego nad innymi którą odrazu dostrzeżę oko, w opowiadaniu znika. Dodamy więc tylko, że jak w salonie 1853 roku, tak na wystawie powszechnój *Wspomnienie Włoch* nie znalazło rywala, i wedle sądu znawców jest uważane za najpiękniejsze dzieło szkoły pejzażystów francuzkich.

*Ucieczka do Egiptu* tegoż artysty, napół tylko do pejzażów należy; jestto prawie obraz historyczny, aczkolwiek osoby mniejszą w nim grają rolę niż krajobraz. Święta rodzina przeprawia się przez rzekę, poza którą widać dalekie wzgórza; tu i owdzie rozsiane palmy kąpią się w różnym blasku wschodzącej jutrzeńki. Okolica dziwnie piękna, ale więcej do Grecyi niż do Palestyny lub Egiptu podobna.

Oprócz dwóch wymienionych było jeszcze na wystawie kilka obrazów Bellela, jakoto: *Okolica Neapolu* „gdzie kwitnie laur i cyprys cicho stoi”, a błękitne powietrze pełne złotój kurzawy cudnie odbija od szeroko rozpostartych ciemnych sosen, które tam jak słońco-chrony stoją, czekając na znużonego skwarem wędrowca: dziki zakątek *lasu Fontainebleau*, zdumiewający swą prawdą. Dalej *Normandya* opiewana w balladach zielone roztacza smugi, na których gęsto rozsiane sterczą stare zamczyska, i pasą się białe trzody—bogactwo rolnika. *Zmrok listopadowy* przejmuje dreszczem i wywołuje wspomnienia strasznych dramatów; wreszcie *Widok jesieni* bogaty w efekta i kolory sztuczne, któremi zwykła się stroić jesień jak kocietka, co przelańcowała już wiosnę i lato swojego życia. Możnaby pisać sonety, elegie, ballady i sielanki, przypatrując się tym obrazom, w których natura schwyтана na uczynku, tak zrozumiale mówi tłumaczona genialnym pędzlem artysty.

Kogoż postawić obok króla pejzażystów, żeby przejście znośnym uczynić? Chyba kobietę: tém więcej, że w téj niewieściej formie mieszka prawdziwie mężki talent. Rosa Bonheur udarowana na wystawie powszechnój wielkim medalem piérwszej klasy, nie dla zabawki, ale na seryo zajmuje się sztuką: malarstwo nie jest dla niéj robotą na kanwie cierpliwie zaszywaną drobnym ściegiem: mała jéj rączka kreśli kontury i rzuca kolory, które z najsmielszemi dziełami artystów rywalizują. Jest ona znakomitą pejzażystką, ale przedewszystkiém celuje w malowaniu koni, które znawcy na równi z Wernetowskimi kładą.

Przed dwoma laty wystawiła *Jarmark na konie*, ogromny obraz i nadzwyczaj efektowny, który był ozdobą wystawy paryskiej 1853 roku; dotąd jest on najlepszym dziełem Rosy. Wyobraża plac jarmarczny, po którym przeprowadzają przed kupującymi cały tabun koni normandzkich, których potężne formy, charakter i fizyonomia oddane są z rzadką doskonałością.

Nowy jej obraz *Siano-zbiór w Auverni* nie dorównywa poprzedniemu. Szafir nieba nieco zaciemny, kłóci się z jasną zielonością siana. Ta dysharmonia niezawodnie istnieje w naturze, bo inaczej nie znajdowałyby się na obrazie Rosy Bonheur, ale tą razą nieco fałszu nie zaszkodziłoby pewnie. Pominąwszy ten błąd, jeżeli błędem można nazwać zbyt dużą dokładność, wykonanie obrazu jest wyborne, a mianowicie też woły rysowane i malowane są po mistrzowsku.

Wybitną cechą obrazów pana Isabey jest wdzięk i dowcip, nie iżby malował kalambury, albo wyszukiwał komicznych przedmiotów—bynajmniej; Isabey przestaje na pierwszym lepszym wzorze: łódź porzucona na piasku, morskie bałwany bijące o brzeg skalisty, rybacy zarzucający sieci, wystarczą mu do stworzenia obrazu, który wyrrywają sobie lubownicy. Dowcipem w utworach jego nazywamy tę szczególną właściwość pędzla, która wszystko charakterystycznie ożywia, polituruje; ten gust dobry, który tak na płótnie jak w rozmowie nie dopuszcza nie trafnej myśli, ani niesmacznego konceptu. Natura przez niego tłumaczona nigdy nie jest płaska; kolory na jego obrazach odbijają od siebie wybornie, mienia się w oczach jakby paliły płótno; rzuty pędzla pewne i szybkie nadają przedmiotom właściwą wartość, ożywiając je zawsze jakąś ukrytą iskrą.

Ulubionym przedmiotem pana Isabey są widoki morskie. Chociaż w części należy on do malarzy rodzajowych, sławę swoją jednak zawdzięcza morzu. Jak czarnoksiężnik jednim skinieniem różeczki, tak on jednym rzutem pędzla wywołuje najstraszniejsze burze na oceanie, topi okręty, wydaje pełne grozy bitwy morskie, lub po równej jak zwierciadło fali, niekołysanej najłżejszym wiatru podmuchem, puszcza wążkie kaiki, lub weneckie gondole napelnione śmiechem i muzyką wesołego grona żeglarczy. Najsławniejszy utwór jego jest *le Combat du Texel*, w którym jako malarz marynarki szczytu doskonałości dosięgnął.

Szkoda, że Diaz przeniewierzył się naturze, bo jakkolwiek jego rodzajowym obrazom nie można zaprzeczyć wartości, to je-

dnak widoczna jest, że jako pejzażysta wyżej stoi. Gdyby chciał, przeszedłby zapewne najbogiejszych w tej sztuce, ale na nie-szczęście zaniedbuje wrodzony talent: natury używa teraz jedynie za tło dla ludzkich postaci. Kto zna jego dawniejsze dzieła, nie może być rad tej transformacji Diaza, bo któż lepiej od niego umie illuminować słońcem lasy, we mchy srebrne odziewać stare buki, zawieszać na murawie brylantowe krople rosy, ubierać skały w zielone aksamity, otwierać w zaroślach droge, którą biegnie spłoszona sarna. Diaz wymalował tysiące takich widoków, ale żadnego nie dał na wystawę, uważając je za niewarte widzenia. Zamiast czarujących pejzaży w których znać rękę mistrza, wystawił obrazy *de genre*, na które nikt nie zwraca uwagi, bo tysiące lepszych wisi wokoło; ale to zwykły błąd ludzi, że nie czują w czem rzeczywiście są mocni, a upatrują swą siłę właśnie w najslabszym punkcie. Opowiadają o malarzu Delacroix, że jak kto chwali jego obrazy, mało go to obchodzi; ale skoro powie że pięknie gra na skrzypcach, rzuca mu się na szyję. Trzeba wiedzieć, że gra zawsze fałszywie.

(Dalszy ciąg w przyszłym numerze).

Czytelnicy nasi, których przed sześcioma miesiącami wprowadziliśmy w rozwarte podwoje pałacu wystawy, słusznie od nas domagać się mogą, żebyśmy im ceremonią zamknięcia opowiedzieli. Przerwywając przeto na dzisiaj dalszą podróż po galerii sztuk pięknych, zapraszamy ich z sobą do świątyni przemysłu, której, że nie zdołamy pokazać jaką była 15 listopada, w dniu rozdawania nagród, to przynajmniej spróbujemy wywołać jej cienia.

Nie będę tu opowiadać, co już po sto razy powtórzyły we wszystkich językach dzienniki: jak 40,000 łokci ponsowego aksamitu, oszytego złotą frandzlą, i dwa razy tyle sukna spadało w długich draperyach po wysokich ścianach nawy; jak sala wkoło zastawiona amfiteatrem ławek, mieszczących 40,000 ludzi, podobną była do rzymskiego Colizeum; jak górne galerie podzielone na łoże zmieniły się w girlandę postrojonych kobiet, ubarwionych wszystkimi kolorami tęczy i oświetlonych ogniem dyamentów; jak naprzeciwko głównej bramy wznosił się tron wspaniały, na którym zasiedli N. N. Państwo; jak przed tronem

defilowało 273 wystawców, z których każdy z rąk cesarskich otrzymał najwyższą nagrodę; jak téj processyi przygrywała armia muzykantów; co mówił książę Napoleon, co odpowiedział cesarz: wszystkie te szczegóły bowiem, jako wypadek dzienny, stugębna sława przez usta dziennikarzy już opowiedziała każdemu, kto chciał słuchać. Nam więc pozostaje tylko pożegnalny rzut oka na wyborowe dzieła przemysłu, o których staraliśmy się dać wyobrażenie czytelnikom; ostatnia wzmianka o obrazach sławnych mistrzów, które oglądaliśmy razem, a które na pożegnanie ukazały nam się ukoronowane.

Najpiękniejszą ozdobą sali, a raczej duszą jój była podwójna wystawa dzieł wybranych pomiędzy milionami płodów przemysłu i sztuki, które przepelniały obadwa pałace.

Naprzeciw szkarłatnego tronu, przy którym stały dwa przepyszne kryształowe kandelabry z huty Bacarat, równolegle od estrady przeznaczonój dla dostojników państwa, wznosiły się rzędem godła przemysłu, przeplatane olbrzymiami bukietami kwiatów we wazonach z angielskiej porcelany. Poza tym szpalem rozłożono produkta exponentów, którzy otrzymali ordery lub wielkie honorowe medale.

Pomiędzy produktami po lewój stronie tronu, zauważaliśmy wyroby Froment-Meurica, prasę drukarską Edwin-Hilla, amerykańską maszynę Sörensena do składania czcionek, sewrskie i pruskie porcelany, brzozy i tkaniny angielskie, produkta towarzystwa min, wyroby żelazne różnych narodów, hiszpański tytuń w różnej formie, saskie i francuzkie instrumenta muzyczne i t. d. Po prawej, rozłożono mappy Francyi, lugduńskie materye, allansonkie koronki, płótna z fabryki Mulhouse, instrumenta chirurgiczne, zbytkowne bronie Delacoura, srebrne wyroby Christofla, sukna z Elbeuf, gobeliny, makaty z Beauvais, brzozy Barbedienna, druki z drukarni cesarskiej i t. d. W końcu jakby pomnik przemysłowój chwały wznosiła się francuzka latarnia morska.

Poza wystawą przemysłową stał długi rzęd posągów, a za nim na ścianie zawieszono obrazy.

Chociaż w poprzednich sprawozdaniach opisaliśmy szczegółowo wszystkie obrazy piérwszą udarowane nagrodą, spojrzjmy jeszcze poraz ostatni na ten kwiat nowoczesnego malarstwa, którego wspaniała korona wkrótce osypie się niepowrotnie; zatrzymajmy się chwilę przed dziełami dwóch mistrzów,

k którzy są usobieniem jego najwznioślejszych dążeń, a których utwory kontrastem swoim stwierdzają wielkość sztuki zawsze jednej w zasadzie, a różnej formą.

Prawą stronę zajął Ingres, stały wielbiciel piękności starożytniej, naśladowca Fidiasza i Rafaela, skamieniały w swój wierze artysta, samotny pośród szkoły francuzkiej, żyjący wyłącznie na opustoszałym polu sztuki starożytniej, gdzie błyszczy oślepiający na ludzką piękność ideał, z twarzą greckiego pół-boga. Wszyscy zwracali oczy na *apoteozę Homera*, owę schadzkię wielkich mężów, gdzie nowocześni geniusze pokazują nam się jakby spągowani tchnieniem nieśmiertelnego piewcy trojańskiej wojny, bo tylko twarze ich wyrażają myśl czasu w którym żyli: reszta ciała modeluje się na greckie marmury.

Obok *apoteozy Homera* jaśnieje *apoteoza Napoleona*, zdjeta z ratuszowego sufitu, owalną formą do starożytniej kamei podobna. Dalej *męczeństwo świętego Symforyana*, święta tragedia w Kornelowskim stylu, rzymska grupa pełna siły i energii, ponad którą unosi się anielska postać Matki Chrześciance, co nadludzką nawiedzona mocą, syna do męczeńskiej śmierci zachęca. Przy Symforyanie Cherubini, wieńczony przez modro-oką muzę harmonii, i kartony fresków kaplicy Dreux, przypominające surową powagą utwory Michała Anioła.

Tuż obok jaki kontrast! W mgnieniu oka przenosisz się ze strefy umiarkowanej pod równik. Na prawo panuje w obrazach najdoskonalsza poprawność, hamująca wszystkie zbyt śmiałe nieklassyczne ruchy; na lewo widzisz jakby huraganem łamane dzieła mistrza ruchu, namiętności, koloru i potężnych efektów: Eugeniusza Delacroix. Obrazy jego jakby ogromne okna otwarte na jakieś tajemnicze światy, pełne poezji i zachwyty, przyciągały najliczniej chciwe wrażeń tłumy. Z przestrachem patrzano na *Rzeź Scio* spaloną gorączką i słońcem, oświeconą błękitnym firmamentem Wschodu, który swą pogodą zda się urągać ludzkiej niedoli. Obraz ten, to wcielony poemat Lorda Byrona, pełen krwi, rozpacz i grozy, ofiar i rozbójników przybranych w azyatyckie ubiory z krzywymi szablami u boku; to jęczące pobojowisko oświecone z góry niebem jasnym i suchym jak oko sceptyka, którego nigdy łaża litości nie wilży.

Obok tej strasznej elegii postawiono *Sprawiedliwość Trajana*, jeden z tych tryumfalnych pochodów, w których układzie celuje Delacroix. Świetnie rozwinął tu swój koloryt

artysta. Gdzie spojrzysz spadają draperye, błyszczą zbroje, spinają się ogniste rumaki: Pośród tych postaci w przeróżne gnących się ruchy, pośród téj zachwycającej gry kolorów, wabi i ęmi zarazem oko płomienny pons niezrównanego blasku: ów sztandar kolorysty, który nad całym dziełem powiewa zwycięzko.

Daléj *Wjazd krzyżowców do Carogrodu*. Średniowieczny bohater Beaudoin na czele rycerstwa wjeżdża konno do Wschodniej stolicy. Obraz ten przypomina układem stare weneckie freski, przedstawiające Byzantyńskie miasta p łądrowane przez korsarzy Archipelagu, gdzie artyści do klassycznego stylu miesza li nieco gotyckiej sztywności.

Obok, żelazną ręką trzymająca dwoje dzieci *Medea*, odwraca głowę jak doganiana przez strzelców zgłodniała wilczyca, co swoją zdobycz unosi w lasy. Malarz rzucił na tę czarną zbrodnię podwójny welon, który ją uszlachetnia: dał obrazowi styl i kolor. *Medea* ma fatalną piękność *Eumenidy*, a biust jej nagi mocno oświecony, przywodzi na myśl *Nimfy Corregia*.

Pomiędzy szkołą Ingra i Delacroix, Decamps stworzył odrębną szkołę własną, w której panuje jak pasza w swoim paszali ku. Koroną jego dziesięciu wystawionych obrazów jest *Bitwa Cymbrów*, walka olbrzymów zmniejszona tak, żeby się zmieścić mogła w złote ramy, jak owe szatany Miliona, które się kurczą w karłów, żeby przejść mogły przez drzwi *Pandoemonium*. Ale dzieła sztuki nie łokciem się mierzą; miniatura nie raz większa jest od ogromnego obrazu, statuetka wyższa od kolosu. Zbliżka oko nie może rozwikłać *Bitwy Cymbrów*, nie może się rozpoznać w tym lesie dzid, proporców, ludzi, koni, i jeźdźców, tworzących jakby jedno ciało; ale oddaliwszy się nieco, zbite masy łamią się na potężne kolumny: widać szarżujące legie rzymskie, uciekające hordy barbarzyńców; widać wyraźnie groźną postać *Maryusza*, który jednym gestem pchnął ten huragan na wroga.

Daléj rozwieszono inne obrazy Decampa, które dawniej szczegółowo opisaliśmy, jakoto: *Wspomnienie Azyi mniejszej: Turecką kawiarnię, Bazar Wschodni, Szkołę Turecką* i t. d. Przy tych wschodnich widokach ciągnie się jak okiem zasięgniesz pustynia, na której *Vernet* rozpostarł swoją *Smalę*. Daléj olbrzymi karton *Corneliusa: Apokalipsa*, wizya na ogromne rozmiary oddana w niepewnych konturach, jak senne widzenie. Daléj pełne spokoju i miłego ciepła, rodzinne obrazy *Anglika*

Leysa i Landseera, przyjaciela zwierząt, którego jelen rzucający się w jezioro przed pogonią zajadłej sfory, liczy się do najlepszych dzieł tego rodzaju. Rozpacz biednego zwierza, które podnosi piękną głowę ku zapadającemu w jezioro słońcu, jakby go prosząc, żeby prędkiej zaszło, przejmuje smutkiem jak widok konania.

Oprócz wrażenia, jakie działało na wyobraźnię przez oczy, uderzone widokiem tyłu arcydzieł, które już nigdy zapewne nie zejda się pod jednym dachem: było jeszcze drugie niemniej wielkie, działające na czucie. Przepyszna muzyka wokalna złożona z 500 śpiewaków, i orkiestra nieznanych przedtém rozmiarów, złożona z 250 instrumentów dętych, 120 skrzypców, 40 wiolenczelli, 40 basetli i 35 harf.

Tą armią harmonii komenderował Berlioz za pomocą elektrycznego *Metronoma* z pięcioma odnogami, czyli przyrządu do wybijania taktu, zrobionego umyślnie dla tego koncertu w Bruxelli. Przyrząd ten komunikował rozkazy naczelnego wodza pięciu generałom dywizyi, którzy je kazali wykonywać wojsku.

Berlioz dowodzący tym monstrualnym koncertem był jakby elektryczny zegar harmonii, poruszający swą iskrą tysiące cyferblatów, tak, że szły wszystkie jak jeden chronometr.

Orkiestra jakiej dotąd jak świat światem nie było, wykonała same utwory wielkich mistrzów: chór z Mahabeuszów Haendela: Finał symfonii tryumfalnej Beethovena, rozłożony na dwa chóry i dwie orkiestry; chór z czwartego aktu Hugonotów (*sola* śpiewało dwudziestu-czterech basistów); modlitwa z Mojżesza Rossiniego z trzydziestą pięciu harfami, *Ave verum* Mozarta, i uwerturę z Freyschütza.

Efekt był niezrównany! Muzyka sławnych mistrzów podjęta przez tysiąc dobranych głosów i tysiąc instrumentów, co grały wszystkie jak jeden człowiek, doszła do najwyższej potęgi. Uwertura Webera szumiała po ogromnej sali jak nawałnica po lesie; Modlitwa Rossiniego brzmiała jak jęk błagalny całego narodu; symfonia Beethovena rozlewała przeczyste zdroje harmonii: słowem, że dzień 15 listopada wyrył się głęboko w duszy każdego artysty. Było prawdziwy bankiet dla umysłu, a dla serca święto, które *Malarstwo i Muzyka* wyprawiły wśród Pól Elizejskich na pożegnanie gości, co się tu zbiegli ze wszystkich stron świata.

# DZIECI.

## OBRAZEK NA ŚCIANĘ CHŁOPSKIEJ CHATY.

OFIAROWANY

pani Franciszce z Wilczyckich M.....

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeżeli się  
nie staniecie jako te dzieciątka, nie wnikniecie do  
Królestwa Niebieskiego.

**P**ójdźcie Grzegorzu, Walku a Staszku,  
Mój rówienniku, mój szary płaszku;  
Wydarza nam się szczęśna godzina:  
Gwiazda na wschodzie świecić poczyna.  
Hejno! jak bieli ciemność topieli,  
Teraz na piasku, smużyna blask u ..

— Gwiazdko! gwiazdeczko! gdzie Bóg prowadzi,  
Powiedźże, powiedz, bo i my radzi?...

— Moiście, moi, daleka droga:  
Dzieciątko czeka, matka nieboga,  
Józef się patrzy z ciemnego kąta,  
Mały aniołek szopkę poprzęta,  
Osiołek chucha, wołek przeżuwa,  
A sam Bóg-Ojciec na niebie czuwa.

Idą królowie, światła panowie,  
Złote korony mają na głowie,  
I płaszcze lite, złotem naszyte  
Za gwiazdką bieżą, drogi nie wiedzą,  
Na ich wielbłądach murzyny siedzą;  
Murzyny siedzą z drogiemi skrzynki,  
Z myrą kadzidłem dla tój dziecińki.  
Nad wodą stają, na piaskach leżą,  
Perły, brylanty, garściami mierzą.



—Pójdźcie Grzegorzu, Walku, a Staszku,  
Mój rówienniku, mój szary ptaszku.  
Owo Betleem pod modrą górą,  
Cztery drożyny nie wiada którą?

— Prosto! hej! prosto, a zajdziem do dnia,  
Za miasto idzie gwiazda przewodnia.

— Mój miły bracie, trza było wcześniej,  
Zabrakło czasu dla naszej pieśni.  
Najświętsza dziecku otula nóżki,  
W krasne opaski, w jasne pieluszki;  
Siwy osiołek uszami strzyże,  
Biedne zwierzątko niebardzo chyże:  
Czasem się uprze, czasem poleci,  
A tu żołnierze szukają dzieci ...

Idą, już idą. Józef na przedzie  
Kijem się wspiera, bydlatko wiedzie;  
A przy dzieciątku i przy panience,  
Widać przejasne główki i ręce.  
Lecą, przeleca: w dole, to w górze,  
Jakby się srebrne gonily róże.  
O! Matko Boża! ...

— Spieszmy się, spieszmy,  
Panu naszemu drogę zabieźmy,  
Plasterek miodu podać na szmatce,  
Temu dzieciątku, tej świętej matce,  
Dla naszej jednej w świecie pociechy  
Dzbaneczek mleka, leśne orzechy:  
Bo to Paniątko, a my cóż? bieda...  
Dzień nam się głodu we znaki nie da,  
Gdy na przednowku we wielkie głody  
Warzymy jeno bedłki, lebiody.

Już przejechali piaski i laski,  
Góry nie góry jakby obrazki,  
Wszystko niebieskie jak woda w stawie,  
A czasem złote jak piórko pawie;  
Zmijom, padalcom, paluszkciem groził,  
Po smokach deptał, na lwie się woził...  
O Jezu! Jezu! ...

Hejno! studzienka,  
Gdzie chusty prała Matka-Panienka,  
Między drzewami zdroik przezroczy:  
Weźmyno wody, przemyjmy oczy,  
A dojrzym prędej, gdzie nam się podział.  
Niebem się okrył, obłokiem odział,  
Widać go, widać... z za leśnej figi

Święte pachole gada na migi  
 Z temi główkami, co się doń miecą.  
 Wietrzyki dzwonią, strumienie lecą.  
 Calemu światu Kwietnia Niedziela...  
 Po ziemi liść się wdzięcznie rozściela,  
 Białemi dzwonki ciągną powoje.

— A co tam robi Paniątko moje?...  
 — Coś sobie wije—róże, lilie,  
 Bogać lilie:—ciernie a głogi,  
 W onych jasnościach Zbawiciel drogi.  
 Józef staruszek boży parobek,  
 Siekierką żłobi cisowy żłobek,  
 Modrą snkmanę coraz zarzuci:  
 To robi, robi, to nuci, nuci,  
*Kto się w opiekę...*

Tymczasem z skraja,  
 Obca dziecina to się przyczaja,  
 To raz przykleknie, by do pacierza,  
 To ręce składa, to je rozszerza,  
 A krzyżyk z trzciny w rękach dzieciny:  
 To Janek z puszczy... Za Jankiem jagnie,  
 Bieluchne jagnie, do matki pragnie:  
 To się zatrzyma, to się zacieknie,  
 Na cierniach, głogach, żałośnie beknie  
 Jako jagniątko....

— Witaj Jasiucho! ...  
 Jużęsto z puszczy? już tak raniucho?  
 Ledwie że słońce weszło nad bramą,  
 I takeś samo przyszło?...

— A! samo.....  
 Dla ciebie Boże, gdy się położę,  
 Co oczy zamknę, to je otworzę.  
 Świt, świt, skowronek budzi mnie wczesny,  
 Dzień, dzień mój biały śpiewa mi we sny.  
 I ja też wstaję z mchowój kolebki,  
 Nieraz pod wodą śpią jeszcze rybki  
 A ja już nie śpię... W cichym Jordanie  
 Ledwie się mieni jasne świtanie,  
 A ja już w drodze: bo mi do ciebie  
 Wiatrem po liściu, gwiazdką po niebie,  
 Myślą po głowie.. .

— Moja sieroto!

— Spójrzyjno Stachu jak rączki plota,  
 Aż mi coś w sercu z radości szlocha:  
 Dwoje dzieciątek na śmierć się kocha.  
 Więc Józef daje folgę siekierze,  
 I pacholátko na ręce bierze;  
 A one z żywą liczka pogodą  
 Bawi się z siwą staruszką brodą:  
 Jedną okrągłą trzyma się szyi,  
 Drugą słonecznej sięga lilii,  
 Co z Józefowej laski srebrzyscie  
 Rozwija przed nim swe szczęście-liście.

— Puść mnie już, puść mnie, pójdę na ziemię—  
 Józef kochane uwalnia brzemię:

— A gdzie paniczu?

— O! tam na wzgórek.  
 Gdzie się coś bieli jak kilka piórek.  
 Oj! to nie piórka: nie polne kwiaty,  
 Biela ze wzgórką niewieście szaty,  
 A dalej palma, a jeszcze dalej  
 Zamek królewski w gruzy się wali,  
 A niebo ciche.. .

— Do miejskich dzieci?

Józef staruszek pomagać chce ci.

— Nie, nie, zostańcie Ojczy piastunie.

Z świętych się ramion ptaszkiem zesunie,  
 I już na ziemi, już w drodze z Jankiem,  
 Z onym krzyżykiem, z owym barankiem.  
 Mały pustelnik pracuje szczerze,  
 Przed Panem swoim wyrzuca perze,  
 Wszelką posługę dzieciątka czyni:  
 Jeden. jedyny głos na pustyni.  
 To i my za nim z boku przystaniam,  
 Góra dolina, różą kalina.

Wyszły dzieciątka jak owiec trzódka:

Pan Jezus idzie do tego ludka.

A one patrzą, każde się garnie,  
 Jakby otworzył drzwi do owczarni  
 I sól pokazał.

Dziwy, przedziwy,

Jakto przy Panu każdy szczęśliwy!  
 Każde się czoło k'niemu podniosło,  
 Każdemu jakby serca przyrosło.  
 Samo po sobie spogląda mnóstwo,  
 Jużciż ubóstwo, a nie ubóstwo....

Ledwie ramiona święte otworzył,  
 Już jakby szczęścia ludziom przysporzył:  
 Pójdźcie ubodzy ja was zbogacę,  
 Pójdźcie skrzywdzeni, ja wam zapłacę.

Dziwnieź-bo cudne boże pachole!  
 Rzewne na ustach, jasne na czole,  
 Ciche a tęskne: przepiękność sama.  
 Wiatr mu koszulkę białą rozmama...  
 To téż siedzące niewiasty chyżo,  
 Z krzykiem radości k'niemu się zbliżą,  
 A jak się zbliżą, tak téż i staną,  
 Patrzą, popatrzą, zegną kolano:  
 — Nie, to nie nasze być to nie może.  
 To takie piękne, że chyba Boże.

— Więc pokój z wami—od dzwonka cienięd  
 Perłowém słówkiem dziecie szepleni.  
 Między małemi pod drzewem siada  
 A przepowiada, a rozpowiada,  
 A te słuchają jak czego trzeba:  
 Owych powieści z jasnego nieba.  
 Skończył, spogląda na pracę dzieci,  
 I uśmiech jasne lice przeleci:  
 — Cóż wy robicie?...

— Ha! tak się bawim,  
 Stawimy zamki, kościoły stawim,  
 Ptaszki robimy...

— Ptaszki prawdziwe?  
 Prawda że piękne, ale nie żywe:  
 Pokażcieżże mnie...

— I patrzcie cuda,  
 Stachu mój miły, jeśli nie złuda:  
 To mu na rękę skowronek ożył,  
 Ledwie go podniósł, do ust przyłożył.  
 Jak jeno w dziobek Jezus nadmucha,  
 Gliniane ptasze nabiera ducha;  
 Już piórka na nim, już dziobek z rogu,  
 Już podskakuje a śpiewa Bogu,  
 Jak wszystkie ptaki letniego świtu.  
 Masz ty Paniczu dużo błękitu.  
 To ja się będę w błękitcie wieszał,  
 Ciebie wychwalał, ludzi pocieszał  
 Szary skowronek.

— To leć —nieboże  
 A śpiewaj ptaku.

## Południe gorze.

Dzieci się cieszą, rękami klaszcza,  
 Wyniosłe drzewa cieniami głaszczą  
 Spoczone czoła. . Znowu cud nowy!  
 Ledwie im oczy nie wyjdą z głowy:  
 Znów ptaszek frunął. Oj! leci. leci,  
 Jezus wciąż cuda robi dla dzieci,  
 Bo on je kocha, ho! bardzo kocha!...  
 Nieraz się biedna matka zaszlocha,  
 Kiedy umarłe w mogiłę sieje;  
 A sieroténka w górze się śmieje,  
 Bo sobie leci prędkością strzały,  
 W same jasności niebieskiej chwały.  
 O! Jezu Jezu!

## Patrzajcie na nie:

Jedno ukłękło przy małym Panie,  
 Ujęło w rękę dzianą sukienkę,  
 I do ust cisnie; drugie uważa,  
 Jak płaszki puszcza, jak cuda stwarza,  
 — Jak ty to robisz?...

## — Jak ja to robię?

Co ci do tego: ja robie sobie!  
 Patrzaj i ciesz się z skowronkiem razem,  
 Co oto spada na łąkę głazem  
 Z przenajbarwistszą motylów rzeszą.  
 One biegają one się cieszą,  
 Bo nic nie wiedzą...

## — Jak my szczęśliwi!

Co Pan ożywi, to i wyżywi!  
 Przyszło południe, pora obiadu,  
 Lecą słowiki z wonnego sadu,  
 Wiewiórki z drzewa... Zwolna, nieśmiało,  
 Szybują ryby w wodnym kryształu,  
 Mienia się złote, srebrne pancerce,  
 I lew przychodzi i wszelkie zwierze,  
 Jakie na świecie... i nie... i zgoda.  
 Panicz każdemu na rękę poda,  
 Każde pogłaszcze, pobłogosławi,  
 Z każdym pogada, potem odprawi.  
 — Idź, idź mój strusiu, idź lwie kudłaty,  
 Owiec mi nie bierz, nie chodź na czaty:  
 Z Bogiem już z Bogiem...

## Więc na kolana.

Cała kraina wymalowana

Złotem, lazurem; cisza bezpieczna,  
 Nad światem myśli mądrość przedwieczna.  
 Słowo zakryte w sennéj ustroni.  
 Słysząc jak drzewo pod cieciem dzwoni,  
 I jak przy studni około żłoba,  
 Ludzie się swarzą o ziarno bobu.

Jezus dzieciątko jeszcze by długo  
 Bawił z dzieciną jedną a drugą,  
 Gdyby nie Józef, co przyszedł po nie,  
 By je do matki odnieść na łonie.  
 Przyszedł o kiju, jak mleko broda:  
 — Szkoda nam ciebie, mój Boże szkoda,  
 Ale cóż począć gdy trzeba, trzeba.  
 Za to gdy przyjdziem do twego nieba,  
 To już Jezusie nie zakryj twarzy  
 Przed tą gromadą wiejskich nędzarzy,  
 Co oto kłęczą!

Hejno! baczenie!

Ze wszystkich piersi poszło westchnienie,  
 Kiedy dzieciątko rączką białą  
 Jedno po drugim dziecko żegnało,  
 Błogosławiło paluszka znakiem;  
 A potem cisza jak zasiał makiem.  
 Pięstwo po ciemnych gałązkach siada,  
 Pod szare skrzydła główki podkłada,  
 Tylko od czasu do czasu jeszcze,  
 Słowik zaszlocha, liść zaszeleszcze.

Więc święty Józef niesie na łonie  
 Ono paniątko, choć nie w koronie,  
 Ale w jasności całej świecącej,  
 Jak gdyby małe prześliczne słońce.  
 Do Matki Boskiej. W górze nad głową  
 Coraz to gwiazdą zabłyśnie nową  
 Lazur wysoki; coraz to więcej.  
 Aniby zliczył ile tysięcy  
 Tych gwiazd wychodzi, oczy jasnemi  
 Patrząc na Pana nieba i ziemi;  
 Jak mu wiatr czesze kręcone włosy,  
 Jak się przytula małeńki bosy  
 Do łona starca.....

Z jasnego smuga,

Gdzie jeszcze zorza świeci się długa,  
 Słysząc dalekie głosy pokorne  
 One żalodne pieśni wieczorne:

„Dobranoc kwiecie, kwiecie różany,  
Dobranoc dziecię Jezu kochany.“

Ot i chatenka.

Skłonmy się Panu

Wedle możności kmieciego stanu.

Złożmy u proga cośmy przynieśli,

Dla pacholątka, świętemu cieśli.

— Święty Józefie! przyjmijże dzbanek,

Wianek orzechów i grzybów wianek,

A przemów słówko jako za wielą;

Wszyscy się ludzie w świecie weselą,

I myby radzi...

— Złóżcież z ramienia

Dary z miłości a z przemożenia

A ci tam drudzy, co w kącie stoją,

Co w kącie stoją, skrzypeczki stroją?

— Te kobeźnicy i grajki nasi,

Leśni lirnicy, górscy juhasi;

Ciby téż chcieli zagrać na dudzie.

— Ha! toć już wejǳcie poczcivi ludzie—

I drzwi otworzył...

Ale nie śmieli,

Bo już dzieciątku grali anieli:

Ten na skrzypeczkach, ów na baselli,

Ze skrzydełkami, a tacy świetli;

Ów nóżką tupta, a znowu trzeci

Służy dzieciątku i na wiatr leci,

Przenajślichnieszy ..

Czołem do ziemi

My najbiedniejsi między biednemi!

Prośmy pokornie świętą dziecinę,

Przez Przenajświętszǳęj Matki przyczynę:

O długie zdrowie, o świętą zgodę,

O deszcz na wiosnę, w żniwa pogodę;

O szczęście w kraju, o pobyt w raju,

O królowanie, wraz z tobą Panie

Na wieki.

T. L.

## MACHINY PAROWE

### NA WYSTAWIE POWSZECHNEJ.

Wiele osób z pewnym rodzajem dumy wyznaje niezdolność swoją do matematyki i w ogóle do rachunków. Upředzenie to a raczej umyślowe lenistwo, dziela częstokroć nawet ludzie wykształceni: niejeden twierdzi, że geometrya mniej przystępną jest dla niego niżli hieroglify, algebra jest łamigłówką wymyśloną przez profesorów, a rachunek prawdopodobieństwa, niepodobieństwem. Przeciwnie zaś filozofia, a zwłaszcza filozofowanie nie wzbudzą tyle wstępu: dlatego licznym zwolennikom filozofii przypominamy napis na drzwiach domu Sokratesa: „Nikt tu nie wejdzie, kto nie geometra.” Klassyczne studia w programie swoim mało zostawiają miejsca dla mechaniki, a estetyka, w tak powszechnych łaskach dziś będąca, lubując się w dowolności, ścisłych nauk weale nie uznaje.

Tysiące ludzi ciśnie się codzien na wystawę machin, ale ogromna większość nie egzaminuje ich, bacząc jedynie, czy można przejść bezpiecznie koło szaleńca tej lub owej maszyny, czyli para nie sparzy, lub olej sukni nie powala. Między tą publicznością jest przecież wielu doktorów, prawników, kupców, rolników, którzy, gdyby tylko tysiączną część pracy czasu i talentu poświęcili wiadomościom fizycznym, jużby w tym zbiorze znaleźli coś więcej, niż stopy węgla, żelaza i miedzi. Przykro patrzeć szczególnie, kiedy młodzi ludzie przystrajając się z umysłu w szalę trzpiotowatą, z odrazą odbiegają przedmiotów, do zrozumienia któ-



rych sama uwaga wystarczy. A jednak bez specjalnych wiadomości, przy odrobinie namysłu, dowiedzieć się tu można rzeczy, które w praktycznym życiu są źródłem pożytku i przyjemności.

Na pozór, nic trudniejszego do wytłumaczenia, jak maszyna parowa: niezliczone stemple, klapy, koła, kółka komplikują ruch; wszakże pominąwszy na chwilę przeznaczenie podrzędnych organów, przekonać się można, że działanie głównych, istotnych części, prostsze i łatwiejsze jest do odgadnienia, niż węzeł intrygi niejednego dramatu.

Aby mózdz wymienić celniejsze fabryki maszyn parowych, ulepszenia jakie w nich porobiono, i maszyny na wystawie będące, musimy przypomnieć ogólną zasadę ich działania.

Wiadomo, że para wrzącej wody ma siłę rozprężliwości, zdolną rozsadzić najmocniejsze naczynie, jeżeli takowe jest szczelnie zamknięte. Tę siłę użytkuje się w sposób następujący: para wywiązująca się w kotle parowym jest skierowana, za pomocą rurki, do walca metalowego czyli pompy (1), której tłok szczelnie do ścian przylega; przychodząc pod tłok, para wywiera parcie, które sprawia, że tłok przebiega pompę od dołu do góry. Jeżeli w tej chwili przerwiemy przystęp pary od dołu i tę, która pod tłokiem się znajduje, aby nie przeszkadzała, wypuścimy właściwym otworem, a otworzymy u góry przystęp parze nad tłok: to ten przebiegnie pompę z góry na dół. Wpuszczając więc parę co chwila i naprzemiany, to pod tłok, to nad tłok, a wypuszczając za każdą razą parę zalegającą w przestrzeni pompy, którą tłok ma przebyć (a która została z poprzedniego działania): tenże będzie przebiegał pompę z dołu do góry i z góry na dół. Tak otrzymany ruch posuwisty, przemienia się w ruch obrotowy za pomocą pręta, przytwierdzonego jednym końcem do tłoka, a drugim końcem do korby, która obraca wał. Jeżeli jeszcze drążki związane z wałem obrotowym same

(1) Ostrzegamy czytelnika, że przestrzeń w której tłok się porusza nazywamy pompą, walcem, cylindrem parowym, bo dotąd jeszcze, mimo niejasności która ztąd wynika, nie ustalono nazwy dla tej części maszyny. Kocioł parowy zwiemy parowcem.

otwierają przystęp parze do pompy, to maszyna funkcjonuje bez niczyjej pomocy. Wał przesyła ruch jakim bądź przrządowi.

Aparat, którego skielet nakreśliśmy, nazywa się maszyną o wysokim ciśnieniu, bo w niej para aby przeprzeć działanie powietrza, potrzebuje mieć siłę kilka razy większą, to jest kilku atmosfer. W maszynie tej, która jest najpowszedniejszą, para raz wywarwszy działanie na tłok, ulatuje w powietrze.

Ulatująca w powietrze para jest stracona wraz z ciepikiem, który z sobą unosi. Dlatego w maszynie więcej udoskonalonej, zamiast z pompy wypuszczać parę w powietrze, kieruje się ją za pomocą osobnej rury do naczynia kondensorem zwanego, gdzie się skrapla czyli kondensuje, za pomocą chłodu, przez nastrzykiwanie zimnej wody otrzymanego. Skroplona para robi próżnię w przestrzeni, którą zajmowała, to jest w kondensatorze i w pompie. Jak widzieliśmy w maszynie o wysokim ciśnieniu, para działając na tłok pompy, musiała przewycięzać ciśnienie powietrza z drugiej strony tłoka będącego; tutaj z jednej strony tłoka działa para, z drugiej jest próżnia, z kąd siła pary o jedną atmosferę się zwiększa. Ta maszyna potężniejszej siły nazywa się maszyną parową z kondensatorem; porusza się przy niskim ciśnieniu pary, bo w próżni wystarczy pół lub ćwierć atmosfery parcia do wprowadzenia w ruch tłoka.

Amerykański inżynier Olivier Evans wymyślił maszynę o wysokim ciśnieniu w końcu zeszłego wieku. Maszynę z kondensorem zawdzięczamy geniuszowi Watt'a, który ją sporządził, udoskonalając dawniejszą maszynę Newcomen'a.

Jest jeszcze jeden system maszyn parowych, z którym najbliżej chcielibyśmy obeznać czytelnika, bo największe oddaje usługi dzisiejszemu przemysłowi. Chcemy mówić o maszynie Artura Wolf'a, noszącej nazwę od swego autora, a wymyślonej także w Anglii 1804 roku.

Udoskonalenie maszyny parowej przez Wolfa zasada się na korzyści, jaką wyciągnął z rozprężliwości pary. Para przychodząc z kotła do pompy, działa na tłok stale, przez cały ciąg jego biegu z dołu do gó-

ry lub odwrotnie. Wiadomo z fizyki, że siła stała daje ruch przyspieszony, dlatego tłok posuwający się wolno przy początku swego kursu, w końcu nabywa zbyt wielkiej chyżości: uderza o spodnie lub górne dno pompy, sprawia wstrząśnienia niszczące materyał, i zużywa napróżno siłę.

Ażeby zapobiedz téj niedogodności, już w r. 1769, Watt, do którego przy maszynie parowej zawsze wracać potrzeba, miał myśl przerywania przystępu pary z kotła do pompy. Jeżeli za pomocą kurka zamkniemy przystęp parze do pompy już wtedy, kiedy tłok jest za ledwie w trzeciej części kursu swojego, to ten nie zatrzyma się wcale: ale raz, skutkiem nabytej chyżości, drugi raz, skutkiem siły rozprężliwej pary, kursu swojego dokona. Takim sposobem tłok dochodzi do kresu swojego biegu nie z wzrastającą, ale z malejącą chyżością, uderzenie nie niszczy maszyny, wstrząśnienia nie rysują murów budynku, a nadto oszczędza się pary a zatém i opału, który jest bardzo wielkim wydatkiem przy maszynach o ciągłym ciśnieniu. Ażeby człowiek, którego praca jest mniej regularna, nie potrzebował co chwila otwierać i zamykać kurka; Watt wymyślił suwadło, suwające się we właściwej szufladzie, które zamyka przystęp pary w chwili, kiedy tłok jest w danej wysokości. Po zamknięciu nowa para nie napływa, tylko ta, która jest pod tłokiem rozpręża się i pcha go mocą swojej elastyczności.

Wolf chcąc lepiej jeszcze zużytkować elastyczność pary, zmienił zupełnie dotychczasowy system maszyn. Przy cylindrze dawniej pompy umieścić drugi, mniejszy cylinder. Para przychodzi pod tłok większego walca z pełnym czyli ciągłym ciśnieniem czterech do pięciu atmosfer; tłok za pośrednictwem pręta udziela ruch balansierowi. Ale spód mniejszego walca komunikuje przez rurkę z wierzchem większego walca i odwrotnie. Dlatego para zrobiwszy swój efekt w większym walcu, przechodzi do mniejszego, i tam działając już tylko przez rozprężanie się, popycha także tłok aż do końca kursu; ten tłok będąc również połączony z balanserem, wywiera nań drugą siłę. Dopiero sprawiwszy ten podwójny skutek, to podwójne działanie, para przechodzi do kondensora i tam się skrapla.

Takie jest urządzenie maszyny o dwóch cylindrach, która skutkiem licznych korzyści, mianowicie regularności ruchu i oszczędności opał, rozpowszechniła się w kilku latach, pod nazwą maszyny Wolfa o podwójnym działaniu.

Po tym krótkim rozbiorze, będziemy mogli przebieść z niejaką korzyścią wystawę maszyn, wskażać główniejsze fabryki, znakomitszych konstruktorów i szczególniejsze odmiany. Nie piszemy dla inżynierów, bo im nic nowego nie potrafilibyśmy powiedzieć; ale sądzimy, że tak potężny czynnik jakim jest dzisiaj para, każdego czytelnika mniej więcej obchodzi.

Maszyna parowa jako czynnik mechaniczny, do wszelkiego przemysłu siłą swą zastosować pozwala. I tak: jako maszyna stała, to jest nieruchomie osadzona, wprawia w ruch warsztaty, kuźnie, młyny; inna porusza statki na rzekach i morzach, z wielką szybkością ciągnie po żelaznych drogach ludzi i towary; nakoniec w nowym zastosowaniu służy do operacji rolniczych. Ten ostatni użytek dał początek nowej kategorii maszyn, które nazywają lokomobilami. Pod względem użycia można więc podzielić maszyny parowe na: maszyny stałe, maszyny do żeglugi, lokomotywy i lokomobile.

W tym porządku przejrzymy je na wystawie.

### *Maszyny stałe.*

Przedstawiają nam trzy odrębne typy: maszyny z cylindrem (pompą) stojącym, z cylindrem leżącym i oscyllującym.

Wystawione maszyny z cylindrem stojącym czyli pionowym, są prawie wszystkie zrobione wedle modelu Wolfa, to jest o dwóch cylindrach, z których jeden większej objętości przyjmuje parę z pełnym ciśnieniem czterech lub pięciu atmosfer; a drugi mniejszy, w którym para działa przez rozprężanie. Ogromna liczba tych maszyn, zwiezionych niemal ze wszystkich stron świata, dowodzi najlepiej, jak mimo dość wysokiej ceny, powszechnym jest ich użycie. Między najlepsze

mi celuje maszyna pana Lecouteux z Rouen. Jest o sile 30 koni; para działa przez swą rozprężliwość nie już w jednym, ale w obu cylindrach, co jest zupełnie nowym pomysłem. Maszyna osadzona między trójbocznymi podporami z lanego żelaza i na żelaznej podstawie, stać może niezależnie od murów; regulator sam, bezpośrednio działając na suwak w szufladzie, otwiera i zamyka przystęp parze i reguluje chwile, w których otwierając przystęp, para ma działać z pełnem ciśnieniem, a zamyka na czas, w którym para ma działać przez rozprężanie. Tę dyspozycyą napotyka się przy najlepszych maszynach. Panowie: Powel, Scott, Lacroix, konstruktorowie z Rouen wystawili maszyny Wolfa, odznaczające się dokładnością wykonania.

Maszyny z cylindrem leżącym czyli poziomym, zrobione wedle Wolfa czy Watta, są zawsze o jednym walcu. Mała przestrzeń którą zajmują; łatwość przystępu, którą dają przez swoje położenie; widoczność wszystkich części, a nadewszystko cena umiarkowana: jedną im zwolenników. Jakkolwiek bardzo liczne, jest ich jednak mniej na wystawie, niż maszyn o walcu pionowym. Maszyna pana Farcot jest najpiękniejszym typem maszyny o poziomym walcu; ma honor obracać w Annexie wał obrotowy, który udziela ruchu tokarniom, walcownikom, młotom, wentylatorom, drukarniom i t. d. Ma siłę 50 koni, jest o wysokiem ciśnieniu i z kondensorem. Taż maszyna bardzo szczęśliwie posługuje się paralelogramem Watta: drążek poziomy porusza tłoki pompy zasycającej (kocioł wodą), i pompy powietrznej; na ten cel drążek musi być obdarzony ruchem prostodrożnym, a właśnie paralelogram Watta może mu go udzielić, mając mimo ruchu kolistego, jeden punkt taki, że zawsze suwa się po linii prostej. Przy maszynach stojących, z balanserem, paralelogram oddaje tę samą usługę, ale w pozycji pionowej.

Maszyny horyzontalne wystawili konstruktorowie Derosne, Cail, Rouffet, Bourdon z Paryża; ostatni dobrze znany jest przez wynalezienie monometru (do miary parcia gazów) metalowego, który używają przy maszynach parowych. Pan Farinaux wystawił maszynę horyzontalną, ale o dwóch cylindrach; odmiana ta, we-

dle powszechnego mniemania, nie przedstawia korzyści odpowiednich wydatkowi.

Maszyny z cylindrem oscylującym wymyślone w Anglii przez p. Mauby, robione we Francyi najprzód przez p. Cavé, używały kilka lat nadzwyczajnej wziętości; po wielu probach dzisiaj są zarzucone. Widzimy ich jednak pięć czy sześć na wystawie. Dystrybucya czyli udzielanie pary z kotła do cylindra jest utrudnione, bo każdy punkt na tym oscylującym walec obiega łuk; tylko oś obrotu rusza się w miejscu, dla czego robią ją wydrażoną, aby tędy para wchodziła do walca. Ale oscyllacye niszczą panwy, w których oś cylindra spoczywa, zaczęły idzie ochwierutanie, które przy ruchu ciężkiej masy cylindra, sprawia takie wstrząśnienia, że osada i budowa maszyny obejmujące, niedługo zniszczeniu się opierają. Korzyść z oszczędzenia miejsca i żelaza, którą daje ta dyspozycya, jest niczem w obec wspomnionej niedogodności. Mimo to, p. Boyer z Lille zbudował maszynę oscylującą nie o jednym, ale maszynę Wolfa o dwóch oscylujących cylindrach, godząc najsprzeczniesze trudności; przy pięknym wykonaniu, jest ona majstersztykiem, ale nie więcej. Czytelnik się zdziwi, dowiadując się, że i w mechanice jest moda, ale tak jest: onato sprawiła, że maszyny oscylujące rozpowszechniły się. Na szczęście moda oscyllowania niepowrotnie minęła.

Aby uzupełnić rzecz o maszynach stałych, potrzeba nam wspomnieć o maszynach obrotowych, i o maszynach wielkiej chyżości.

Maszyna obrotowa, której myśl miał już James Watt, ma na celu usunięcie wszystkich pośrednich organów, służących do przesłania ruchu, jakoto: stempla, nawodnika, korby, balansera, które koniecznie utratę siły powodują. Ażeby znieść wszystkie ząbienia i organa przyboczne, potrzeba ażeby para działała wprost na wał obrotowy. I rzeczywiście w maszynie obrotowej, wał otoczony jest walcem; w przesłaniu pierścieniowej między nim a ścianami walca, chodzi tłok stosowny, który pchany przez parę, postępuje i obraca się razem, ma ruch posuwisty i kolisty, obrotu udziela wałowi, do którego jest przytwierdzony.

Pecqueur, Moret, Montferrier, wystawili maszyny obrotowe. Nieodpowiadająca skutkowi ilość opatu, którą konsumują, czyni je jak dotąd mało praktycznymi.

Maszyn o wielkiej chyżości zadaniem jest zredukować rozmiary, a powiększyć ilość ruchu, aby to co się traci na sile przez ubytek masy, nagrodziło się przez chyżość. Każdej maszynie można przymnożyć siły działania, powiększając jej szybkość przez większy przyptyw pary; ale to zwiększanie ma granicę naznaczoną przez wytrzymałość ciał. Większa masa, przedstawiając większą bezwładność, mniej jest wytrzymałą na ruch bardzo wielki: dlatego zmniejszenie rozmiarów, a przyspieszenie ruchu, ma wielkie dogodności przy równym skutku, i z tego powodu wielu konstruktorów obecnie zajmuje. Tego rodzaju maszyna wystawiona przez p. Flaud (z Paryża) jest dziełem znakomitým: fonkeyonuje z ciśnieniem 4 atmosfer i jest o sile 20 koni; tłok robi 250 uderzeń na minutę. Z ostupieniem patrzy się na tę szybkość. Dopiero dłużej i uważniej przypatrując się, dostrzegamy po niejednostajnym ruchu dwóch kul regulatora, że pojedyncze części koniecznie częstych reparacyj wymagać muszą. Nadto rozprężanie pary w tej maszynie jest ograniczone, co jest wielką jej ujmą. Cokolwiekby, maszyny o wielkiej chyżości zajmują mało miejsca, mało kosztują, a w niektórych gałęziach przemysłu mogą być bardzo przydatne. P. Flaud wystawił jeszcze drugą taką maszynę, ale o cylindrze poziomym i o sile jednego tylko konia. Dyspozycya części tak jest dobra, a objętość tak mała, że cały ten przyrząd pod ręką nosićby można.

Wymieniliśmy znaczniejsze fabryki maszyn statych we Francyi; zacytujemy ich jeszcze kilka z tych krajów, które swoje dzieła na wystawę przysłały. Pozytywni Amerykanie sądząc, że mimo dobroci ich maszyn, Europejczycy skutkiem odległości, sprowadzać ich nie będą: wstrzymali się prawie zupełnie od popisu. Anglia przysłała tylko jedną maszynę statą. Z Wiednia, p. Schmid, z Belgii Stordeur, z Holandyi fabryka Van Vlissingen et Comp., z Stockholmu p. Bolinder, nadesłali bardzo piękne maszyny. Dawszy ogólną, niejako kieszonkową teorią maszyn parowych, uwolnimy się od opisywania ich każdej poszczególne.

Od dziesiątka lat, konstrukcyja maszyn parowych co do istotnych części nie uległa zmianie; postęp widać tylko w wykonaniu i w rozpowszechnieniu szuflady. Nadto, maszyna parowa nie ma już jak dawniej, jednej, zwyczajem przyjętej formy, ale zmienia ją wedle przeznaczenia. Przemysł dzisiejszy używa pary jako narzędzia pod tysiącem postaci: ona podnosi najcięższe baby u kafarów, porusza miechy, wentyluje kopalnie i pompuje z nich wodę, za pomocą prostego wału co sekunda podnosi kilkocentnarowe młoty, które kują najgrubsze sztuki z żelaza: w tokarni, w giserni, w drukarni para zarówno pracuje.

Jakkolwiek maszyny parowe doszły do tej doskonałości, że zdają się nie ulegać już zmianie: nie ustają przeto zaprzętać najcelniejszych umysłów. Tak w maszynie działającej z wysokim ciśnieniem, jak w maszynie z kondensacją, para wychodząca z pod tłoka albo wylatuje w powietrze, gdzie ginie wraz z swoim ciepłikiem, albo przechodzi do kondensora, gdzie ogrzewa niepotrzebnie wodę. Ta strata ciepła dzieje się przecież kosztem opału. Dlatego fizycy położyli sobie za zadanie: jak zużytkować ciepłik, który para posiada już po wywarciu swój siły mechanicznej na tłok cylindra? Trzy sposoby rozwiązujące to zadanie, szczególnież zasługują na uwagę; temi są: maszyna p. Tremblay działająca za pomocą pary i eteru, maszyna Ericssona, i maszyna o parze odgrzewanej.

Tremblay inżynier francuzki miał myśl użycia pary wychodzącej z cylindra, do obrócenia w stan gazowy innego płynu np. eteru siarczanego, który wre przy daleko niższej temperaturze aniżeli woda. Tak otrzymana para z eteru nie kosztuje ciepła, a służy do poruszania w osobnym cylindrze tłoka, który dorzuca swoją siłę do siły tłoka przez parę wody działającego. W maszynie z eterem, para, działawszy z wysokim ciśnieniem i rozprężaniem w pierwszym cylindrze, przechodzi przez liczne rurki, w których jest eter siarczany: tam para wody skrapla się, oddając ciepło eterowi, który się ulatnia. Skroplona a zatem dystylłowana woda zasycza na nowo kocioł, co już jest wielką korzyścią, bo dystylłowana woda nie zostawiając osadów glinia-



nych, wapiennych lub innych. ochrania materiały i uwalnia od mozolnego a zbyt częstego chędożenia maszyny. Para eteru przechodzi do swojego walca i tam działa na tłok zwyczajnym sposobem. Ztamtąd wyszedłszy, aby nie był stracony, eter kondensuje się: ciekły wraca za pomocą osobnej pompy do rurek i waporyzuje na nowo. Zaręczają, że maszyna Tremblay'a daje 50 procentu na opale.

Ale eter jest łatwo zapalny, dlatego p. Lafont, oficer marynarki, umyślił zastąpić go chloroformem. Maszyna p. Lafont, parą wody i chloroformem poruszana, pracowała przez 4 lata przy robotach hydraulicznych. Proba musiała być dostateczną, bo rząd francuzki obstawiał taką maszynę dla jednego z swych statków.

Amerykański inżynier Ericsson zamiast pary wodnej, użył za motora powietrza. Rozprężanie i skupianie powietrza ogrzewanego i oziębianego naprzemiennie w zawartem naczyniu, jest zasadą maszyny Ericssona. Powietrze przechodzi przez znaczną liczbę siatek z drutu, rozgrzanych do 250°, powiększa objętość swoją, odpycha tłok, bo się już w ciasnej przestrzeni pomieścić nie może—oto ruch otrzymany. Wywarłszy działanie na tłok, to samo powietrze przechodzi znów przez siatki metalowe, aby im zwrócić resztę nie zużytego ciepła. Nowe powietrze nadchodzi, rozgrzewa się, idzie pod tłok, i tak bez końca.

Zadziwiająca jest łatwość, z jaką siatki za każdym ruchem tłoka dają ciepło powietrzu, i takowe mu odbierają. Jednakże skutkiem prędkiego rdzewienia siatek metalowych, skutkiem niestęchanej precyzji wykonania, jakiej potrzebują pojedyncze części, maszyna ta nie odpowiedziała wymogom praktyki. Cytujemy ten wynalazek, chociaż jego aplikacyi nie ma na wystawie, dlatego jedynie, że zaprzęła bardzo wielu ludzi na drugiej półkuli.

Dwie lub trzy maszyny na wystawie, używają pary odgrzewanej. Zamiast wychodzącą parę z cylindra obracać na ułatwienie eteru lub chloroformu, można ją samą używać ciągle, zwracając jej utracony ciepłik, a z nim elastyczność. Siła elastyczna pary wodnej rośnie bardzo prędko z temperaturą, tak, że wyżej 100° mało potrzebuje dodatku ciepła, aby nabrać


wielkiej rozprężliwości. Na téj zasadzie, p. Hick konstruktor angielski z Bolton, zrobił maszynę o sile 40 koni, która obok głównego cylindra, ma dwa małe. Para wywarwszy swoje parcie na tłok wielkiego walca, przechodzi do małych, które są ogrzewane wprost od ogniska; tam nabiera na nowo siły rozprężania i przechodzi do wielkiego walca. Ta sama więc para prawie ciągle działa. To też konstruktor zaręcza, że jego maszyna zużywa tylko funt węgla na godzinę i na siłę jednego konia, kiedy inne sześć razy więcej potrzebują. Nie ulega wątpliwości, że ta maszyna jest jedną z najciekawszych na wystawie; obawiać się tylko należy, aby wystawione na bezpośrednie działanie ognia dwa małe walce, prędkiemu nie podpadały zniszczeniu.

### *Maszyny parowe do żeglugi przeznaczone.*

Tego rodzaju maszyn mniej jest na wystawie aniżeli maszyn stałych, co się tłumaczy przez ich przeznaczenie zupełnie specjalne; jest ich jednak tyle, że w tém użyciu pary reprezentują wszystkie typy maszyn.

Pierwsze maszyny użyte na statku, prawie niczem nie różniły się od owoczesnych maszyn stałych: były zawsze robione wedle Watt'a, o podwójnym działaniu i z kondensacją. Stawiano ich dwie na statku: za pośrednictwem wału jedna obracała jedno, druga drugie koło. Tylko balanser umieszczony u góry w maszynie Watta, niedogodny dla swoich rozmiarów i wysokości, został ulokowany u spodu. Z tą zmianą maszyna Watta służyła długo na rzekach i morzach. Kocioł nawet mało się różnił swoim położeniem i wewnętrzną dyspozycją, od kotła maszyny stałej. Dzisiaj zaszła wielka zmiana, szczególnie przy statkach morskich: helisa zastąpiła koła z łopatkami. Ta zmiana pociągnęła inne.

Do wprowadzenia w ruch lokomotywy, służy pręt tłoka, który za pośrednictwem nawodnika, działa na korbę obracającą oś kół głównych; tak dwa cylindry działając naprzemian na dwa koła główne, poruszają lokomotywę. Ta dyspozycja, w której wszelkie zażebienia są zniesione, i w której koła lokomotywy pełnią zarazem funkcyę szaleńców (rozpędowe), jest

używana z wielką korzyścią przy różnych maszynach. Najszczęśliwsze jednak jest jej zastosowanie do statku pchanego helisą. P. Gâche konstruktor z Nantes, wystawił maszynę, która jest pięknym wzorem nowego systemu: dwa cylindry są nachylone jeden względem drugiego pod kątem  $45^{\circ}$ ; dwa ich tłoki razem przesyłają obrot wałowi łamanemu , na którego końcu jest utwierdzona helisa. Rozkład maszyny jest doskonale pomyślany: prosty, oszczędza miejsca tak drogiego na statku, a przytém daje ruch regularny; ma siłę 60 koni, działa z kondensacją jak zwykle maszyny żeglowne, którym wody nie brakuje do téj operacji. Pompy zasycają kocioł; te, które wstrzykują wodę do kondensora, i sam kondensator, są umieszczone pionowo nad korbą obracającą wał w samym środku przyrządu.

Przy małej objętości, maszyna p. Gâche mogła być umieszczona w końcu statku, w miejscu gdzie się pudło już ścieśnia. Rozkład stosowny ładunku powinien zapobiedz, aby statek tyłem nie zanurzał się zbyt znacznie.

Na rzekach rzadko się używa maszyn o wysokim ciśnieniu pary, bo, jak powiedzieliśmy, nie braknie wody do jej kondensacji. Jednak druga maszyna p. Gâche, o sile 25 koni, przeznaczona do żeglugi rzecznej, działa z wysokim ciśnieniem i jest bez kondensora. Maszyna o wysokim ciśnieniu, bez kondensora, jest prostsza i lżejsza, ale za to przy równym koszcie opatu mniej siły daje.

Ażeby aparat nie w środku, ale na tyle statku ciągnący, nie wypaczał go, pan Sneider z Creusot dał maszynie wystawionej przez siebie taką podstawę, aby ciężar swój rozkładała na jak największej powierzchni statku: wszystkie części umyślnie wydłużył, ażeby się podpierały lub opierały o różne punkta statku. Zresztą maszyna jego nic nowego nie uczy; jest z kondensorem: dwa poziome cylindry działają wprost na korby, które obracają oś kół z łopatkami. Przeznaczona do żeglugi rzecznej, mimo że ma siłę 80 koni, może ją jeszcze powiększyć w razie, gdyby statek napotkał zbyt szybkie prądy: ta okoliczność podwyższa bardziej jej zalety. Kuźnie Creusot w ogóle odznaczają się bardzo starannem wykonywaniem swych wyrobów.

Maszyny francuzkie cechuje szczególnie prostota, która we wszystkiem tak miła, w mechanice jest nieoszacowanym przymiotem. I rzeczywiście, maszyny parowe, jeżeli mają wejść do najpowszedniejszego użycia, co jest widocznem dążeniem, powinny być tak pojedyncze, aby ich skład, installacya i reparacye nie wymagały rąk wyjątkową obdarzonych zręcznością. Nie ujmując nic starszym w hierarchii maszyn produktem angielskim, wyznać musimy, że nie posiadają wspomnionego przymiotu. Maszyna pana Mac-Gregor z Glasgow'a, pod nazwiskiem Simla, funkcyonuje jak zegarek, ale ma ilość podrzędnych organów tak wielką, że nie dochodząc ich przeznaczenia, wolimy odejść powtarzając: Sancta simplicitas.

Obok Simli stoi Wonder, zrobiony w Londynie przez pp. Seaward i Capel; chociaż o sile 30 koni, jestto tylko model: prototyp jego obraca helisę ze siłą 1000 koni parowych. Jak rozmaicie można dysponować parą, najlepiej dowodzi ta maszyna, nieczem nie różniąca się od stariej maszyny Newcomena, zbudowanej jeszcze w końcu zeszłego wieku do wysuszania kopalni w Cornouailles. Maszyny Cornouailles przyjąwszy stopniowe naprawy, dziś jeszcze tak skutecznie działają i z tak małym kosztem, iż powiedzić można, że są ideałem w dziedzinie maszyn. Tak jak one, Wondor jest o pojedynczém działaniu pary (bez rozprężania); cała odmiana leży w tém, że zamiast ogromnego cylindra, któryby zawadzał na statku, zrobiono trzy małe i umieszczono pod wałem: ich tłoki obracają naprzemiany wał za pomocą korb.

Z Amsterdamu przysłano małą maszynę do żeglugi, zrobioną wedle systemu p. Gâche. Jestto typ lokomotywy, ale z przeznaczeniem obracania helisy. Podobieństwo do lokomotywy jest zupełne w nachyleniu cylindrów, w sposobie odwrócenia pary za pomocą dwóch excentryków, z których jeden lub drugi może zmienić udzielanie (dystrybucyę) pary do cylindrów i odwrócić tym sposobem kierunek ruchu. Zajmuje bardzo mało miejsca; dwa jej cylindry umieszczone z jednej strony wału są do niego nachylone pod kątem 30°; tłoki obracają wał za pomocą łamanego drążka; wał w końcu ma koło zębate, które zazębia inne koło obracające

w wodzie helisę. Położenie cylindrów z jednej strony osi, bardzo źle rozdziela ciężar na statku; ażeby środek ciężkości sprowadzić na oś, potrzeba umyślnie drugą jej stronę obciążyć. Maszyna Gache nie ma tej wady.

Na końcu przystawki annexem zwanéj, stoi prawdziwe arcydzieło mechaniki, zrobione w kuźni szwedzkiej Montala przez p. Carlsund. Ta maszyna musi mieć dobre dyspozycye, kiedy Anglicy, którzy tylko swoje rzeczy oglądają, i Francuzi, którzy tylko dla siebie są niewyczerpani w pochwałach, zgadzają się na przyznanie jej pierwszeństwa między wszystkimi. Aparat umieszczony w tyle statku ma dwa cylindry pod 45° do wału nachylone; ruch przesyłają bez pośrednictwa ząbów; para działa z wysokim ciśnieniem i z kondensacją; użycie większej lub mniejszej rozprężliwości pary, zależy od woli i ręki maszynisty. System kondensacji jest z największą elegancją pomysłany: w czterech rogach podstawy stoją symetrycznie 4 pompy równej średnicy; dwie z nich pehają wodę do kondensora, dwie zasycają kocioł. Sam kondensator jest skrzynia prostokątna, której spód tak się wygina, że przystaje do dna statku. Maszynista za pomocą drążka włada podwójną szufladą: jedna parę wpuszcza, druga reguluje jej rozprężanie.

W tej maszynie wszystkie części odznaczają się odmianami, których praktyczności nie zarzucić nie można; przy tak piękném wykończeniu, żeby gabinetu fizycznego mogła być ozdobą, jest ona jeszcze tańszą od francuzkich i angielskich maszyn, a sama ta okoliczność jużby wystarczyła, aby jej zjednać suffragia omnium.

### *Lokomotywy.*

Przeszło 20 lokomotyw z różnych stron świata przystanych na wystawę, przedstawiają wszystkie typy motora, na kolejach żelaznych używanego. Jest więc okazyja porównać wprowadzone ulepszenia i ocenić postęp; jest sposobność pokazania dowodnie, jak jest potężny zmysł wynalazku, który cechuje dzisiejszą epokę. Niezrównaną maszyną, która biednym i bogatym podróżnikom zarówno oszczędza czasu i wydatku, powolna

kierunkowi jednego człowieka, wleczę z bajeczną szybkością tysiące centnarów, jest dziełem ostatnich lat kilkunastu. Zawdzięczamy ją Anglikom. Tylko nieuleczone samochwalstwo, chcące przywłaszczyć sobie wynalazek, sili się jeszcze aby dowieść, że już bardzo dawno we Francyi o tém myślano i probowano. Od dwóch wieków używano w kopalniach angielskich kolei żelaznej lub drewnianej, aby po niej łatwo toczyły się wozy. Zapewne od czasu zbudowania pierwszej maszyny parowej, myślano ciągle jak ją uruchomić i do pociągu użyć. Próby nawet robiono. Ale to pewna, że dopiero 1829 r. lokomotywa urodziła się w Anglii.

Chociaż już kilkadziesiąt lat pierwiej istniały maszyny parowe, to jednak siła ich wtedy dopiero znacznie się zwiększyła, kiedy wynaleziono sposoby produkowania pary w większej ilości; lokomotywa więc wtedy dopiero stała się możebną, kiedy kocioł przy małych rozmiarach, potrafił prędko a wiele pary dostarczać.

Kolej żelazna budowana między Liverpoolem a Manchesterem, była pierwsiastkowo przeznaczona pod towary; później miano ją użyć do przewozu wojażerów przez maszyny stałe, które tak jak w minach, osadzone po stacyach, za pomocą łańcuchów lub sznurów przyciągałyby wagony ze stacyi do stacyi. W chwili kiedy kolej na usługi publiczności otworzoną być miała, dyrekcya powzięła myśl ogłoszenia powszechnego konkursu na dostawę maszyn lokomotyw. Na czas oznaczony stawiono ich pięć. Nagroda przysądzoną została maszynie Stephenson'a (Fusée), która po równi poziomej ciągnąć mogła 240 centnarów z szybkością trzech mil na godzinę, a bez ładunku pięć mil przebiegała.

Wytłumaczymy, jakim sposobem Stephenson nadał swojej maszynie chyżość dotąd nieznaną. Ilość pary dostarczanej przez kocioł, proporcjonalną jest do powierzchni ogrzewanej. Przy dawniejszej dyspozycji ogień działał na bardzo małą powierzchnię kotła; stosunkowo massa wody do ogrzania była zawielka, para wywiązywała się wolno i w małej ilości. Ażeby ułatwić parowanie w kotle, p. Séguin wymyślił 1827 r. we Francyi kocioł z rurkami. Przeprowadzając przez wnętrze kotła napelnionego wodą kilkanaście rurek

miedzianych małej średnicy, w których płomień i gazy z ogniska pochodzące cyrkulowały, p. Séguin powiększył znacznie powierzchnią ogrzewającą: woda, która wypełnia przestrzeń między rurkami, zaczęła wrzeć bardzo prędko. Otóż ten pomysł Stephenson zastosował do swojej lokomotywy: kocioł jego na pięć stóp długi, przebiegały z końca w koniec 25 razy rurki dwóch-calowej średnicy.

Na tem nie ograniczył się Stephenson. Parę wychodzącą z cylindrów, która dotąd przy maszynach o wysokim ciśnieniu ulatywała w powietrze, obrócił i wypuścił kominem. Ten przebieg sprawia wielki cug w kominie, a więc przyspiesza palenie się na ognisku; bo prąd pary przebiegając szybko przez komin, wypycha z niego powietrze, co sprawia, że nowe powietrze prędko napływa do ogniska. Czytelnik, aby ocenić załugę Stephenson'a, musi sobie przypomnieć, że wielkie wynalazki dopiero po uskutecznieniu wydają się bardzo proste: zrodzone przez natchnienie jednych, często-kroć długo oczekują szczęśliwej ekzekucyi drugich.

Przyspieszone palenie i przyspieszone parowanie, dały szybkość lokomotywie Stephenson'a. Myśl kotła z rurkami pożyczył od Francyi; pomysł dęcia w komin znany był jeszcze Rzymianom. Inne dyspozycje były takie same jak w niepraktycznych lokomotywach, które przed nim robić już probowano.

Jeźliby Robert Stephenson potrzebował dzielić się chwałą z wynalezienia lokomotywy, to jedynie z ojcem swoim, Jerzym. Jerzy Stephenson za młodu był prostym górnikiem. Z pod głębokich sklepień kopalni, geniusz potrafił wydobyć się na powierzchnię ziemi, którą siatka jego promieni wkrótce miała okolicę. Bez żadnej prawie nauki, mocno zajmując się swoim powołaniem, potrafił w początku drobnymi naprawami zwrócić na się uwagę przełożonych; później, kiedy w braku nauki, praca rozwinęła zdolności jego, doszedł do najwyższego stanowiska w przemyśle. Walcząc z tysiącem trudności, którychby nie napotkał przy znajomości fizyki, mechaniki, chciał tę przeszkodę usunąć synowi: przepędzał nocy na naprawie zegarków, ażeby mógł opłacać nauki, które Robert pobierał. Później budował koleje i lokomotywy, które służyły do przewozu węgla.

Jeszcze później, mimo oporu który napotkał, zbudował kolej żelazną dla przewozu podróżnych, a która posłużyła za wzór do budowy kolei w całej Europie. Przez te olbrzymie prace doszedł wielkiego znaczenia; wszakże najmiłszy mu owoc był zapewne ten, że mógł godnemu synowi przekazać do czego sam mozołnem doszedł doświadczeniem. Miasto Liverpool wzniosło mu statwę. Syn ciągnąc dalej prace ojca, zbudował lokomotywę fusée, która na konkursie nagrodę otrzymała. Obecnie jest wielkim dostojnikiem i pierwszym konstruktorem lokomotyw w Anglii. Fabryki jego, oprócz talentu, który im przywodzi, mają korzyść z tradycyi długiego doświadczenia.

Dzisiaj jeszcze, w najdrobniejszych nawet częściach, lokomotywy są takie same jak ta, którą Stephenson na konkurs zbudował. Kilka słów wystarczy do objaśnienia mechanizmu.

Lokomotywa jest maszyna parowa o wysokiem ciśnieniu, która się ciągnie sama, a zbytek siły obraca na ciągnięcie konwoju. Para wprowadzona do dwóch cylindrów, obraca oś dwóch kół głównych, za pośrednictwem tłoka i nawodnika; wywarwszy siłę ulatuje z cylindrów. Koła główne jak i inne przy lokomotywie jedno z osią stanowią, tak, że obrót osi pociąga obrót kół i wzajemnie. Zwyczajne koła obracają się na osi, tutaj koła obracają się z osią.

Dyspozycya i przeznaczenie pojedynczych organów są następujące. Wydłużony walec czyli kocioł parowy stanowi korpus maszyny; ściany jego z blachy, są podwójne: wewnątrz przebiega 80 do 100 rurek miedzianych, w których cyrkulują gazy, pochodzące z ogniska zanim przejdą do komina: rurki te przyspieszają parowanie. Do parowca przytwierdzone jest ognisko z miedzi. Para tworzona w parowcu udaje się do dwóch cylindrów, które są albo ze wewnątrz kół-głównych, albo we wewnątrz. Jak powiedzieliśmy, tłoki tych cylindrów przez pośrednictwo prętów i nawodników obracają oś, która zmusza do obrotu koła główne jedno z nią stanowiące; obrot kół-głównych posuwa lokomotywę. Z cylindrów, para wymyka się przez rurkę dmącą do komina, gdzie jej przebieg służy do podniecienia cugu.



Wielkie rozwinięcie się koci żelaznych sprowadziło niejakię modyfikacyę w lokomotywie, chociaż mechanizm nie odmienił się. W maszynie Stephensona, powierzchnia kotła, która jest wystawiona na działanie ognia, nie przechodziła 54 stóp kwadratowych; w roku 1850 doszła 1170 stóp □. Obaczmy niżej, jak powierzchnię ogrzewalną doprowadzono do 1800 stóp □. W miarę zwiększania ogrzewalnej powierzchni parowca, można było coraz większą ilość pary otrzymywać, tak, że jej ciśnienie od trzech poskoczyło do 7, 8, nawet 9 atmosfer.

Ciężar lokomotyw zwiększał się w tym samym stosunku: to powiększyło przyleganie kół do szyn, a zatem i siłę pociągową. Lokomotywa fusée była o 4 kołach i ważyła 90 centnarów; w r. 1850 robiono lokomotywy ciężkie na 720 centnarów; nakoniec lokomotywy nowego systemu, o których będziemy mówić, niesione przez 12 kół, dochodzą do 1320 centnarów.

W r. 1851 zaprowadzono znaczne odmiany w sposobie budowania lokomotyw. Do téj epoki, aby powiększyć chyżość, powiększano ciągle średnicę kół głównych. Ale i to powiększanie ma swoją granicę: kocioł bowiem maszyny jest zawieszony nad osiami kół; powiększając koła, lokomotywa stawiała się coraz wyższą, a przekroczenie pewnej wysokości naraża równowagę i stałość. Zdawało się więc niepodobieństwem roić o większej chyżości nad tę, którą miano w r. 1851.

Znów jeden inżynier angielski rozwiązał trudność, umieszczając oś kół głównych nie jak dotąd pod kotłem, ale w tyle niego; odtąd bez podwyższania lokomotywy można dawać kołom głównym średnicę dowolnie wielką, co stosunkowo przymnoży chyżości. Pierwszą taką lokomotywę pod nazwą Folkstone, zbudował na warsztatach Stephensona pan Crampton; średnica kół gł. ma 6 stóp wysokości; chyżość jest 20 mil na godzinę. Ten system lokomotyw nazwano imieniem wynalazcy (Crampton). Od tego czasu normalna chyżość na kolejach żelaznych jest 10 mil na godzinę; można ją posunąć i do 15 mil.

Późniejsze, a jak dotąd ostatnie ulepszenie, zawdzięczają lokomotywy dwóm inżynierom austriackim.

Chyżość nie jest jedynym celem, któremu zadość czynić mają koleje żelazne. Przewóz towarów wielką gra rolę w ich eksploatacyi, a ta służba wymaga lokomotywy odpowiedniej. Bezpieczeństwo nakazuje, aby o ile można zmniejszać liczbę pociągów drogę żelazną przebiegających, ztąd potrzeba składania konwojów ciężkich i długich, wyłącznie pod towary przeznaczonych. Ażebym wlec treny długie i niestychnie ciężkie po pochyłościach, częstokroć po krzywiznach małego promienia, lokomotywa musi być osobliwie ciężką, i powiązanie wagonów między sobą osobliwie silne.

Na kolei żelaznej z Wiednia do Tryestu, wzdłuż góry Semmering, są pochyłości znaczne, których uniknąć niepodobna było. Treny ciężkie nie mogły ich przebywać za pomocą lokomotyw dotąd używanych. Rząd więc austriacki ogłosił 1851 r. konkurs na budowę lokomotyw o małej chyżości, a które byłyby w stanie ciągnąć długie konwoje po pochyłościach i krzywiznach. Nagrodę otrzymała Bawaryja, maszyna zrobiona w München, na warsztatach p. Maffei. Zmiana jaką wprowadził konstruktor zasadzała się na zjednoczeniu lokomotywy ze swoim tenderem, to jest z wagonem, który za każdą maszyną wiezie węgiel i wodę. Łańcuch bez końca połączył oś kół głównych z zębatymi kółkami będącymi na osi kół tendera, tak, że tender i lokomotywa jedno stanowiły. Ciężar tenderu dodany do ciężaru maszyny zwiększył o wiele przyleganie kół na szynach, zaczęm poszło, że maszyna miała potężniejszą siłę ciągnięcia.

Chociaż Bawaryja otrzymała nagrodę, wszelako nie odpowiedziała zupełnie oczekiwaniu. Łańcuch bez końca zrywał się przy małych a koniecznych zmianach siły poruszającej.

W roku 1854, udoskonalając system Maffei, inżynier austriacki Engerth, rozwiązał należycie zadanie lokomotyw o małej chyżości, a o wielkiej sile. Dyspozycją jego najlepiej pokazuje wystawiona lokomotywa, pod nazwą Książę brabancki, zrobiona w kuźni belgijskiej, Seraing. Nietylko oś przednich kół tendera złączoną jest z osią kół głównych maszyny, ale maszyna i tender jedno ciało stanowią. Część parowca spoczywa na tenderze, nad osią kół przednich. Sama lo-

komotywa ma 4 pary kół: z tych czterech par kół, trzy parzą się między sobą, to jest że ruch, który tłoki cylindrów komunikują pierwszej parze kół, za pomocą drążków udziela się drugiej i trzeciej; jest więc trzy pary kół głównych obracających się jak jedno. Nadto, osi pierwszej pary kół tendera komunikuje bezpośrednio ruch obrotowy, osi ostatniej pary kół lokomotywy. Można powiedzieć, że nie dwa jak dawniej, ale ośm jest kół głównych w tej maszynie. Naśladując lokomotywy amerykańskie, tender tej maszyny opatrzony jest sworzniem, podobnie jak przodek wozu zwyczajnego; to urządzenie pozwala maszynie gnać się przynajmniej we dwoje, co jest wielką korzyścią na kolejach, które mają krzywizny mniejszego promienia. Lokomotywa Engertha ma cylindry swoje umieszczone zewnątrz kół: w tej pozycji maszynista lub konduktor może mieć zawsze na oku te delikatne organa.

Taki jest skład lokomotywy Engertha, która mogąc przyjąć ogromne działanie pary, rozwija tyle siły, że z najcięższym ładunkiem przebywa pochyłości ( $\frac{1}{200}$  do  $\frac{1}{150}$ ) pod górę i z góry. Ten rezultat otrzymano przez powiększenie ciężaru maszyny, przez pomnożenie punktów podpory, a co za tem poszło, przez możność użycia potężniejszej siły pary. Drugą korzyść tego systemu jest, że się może obracać po krzywiznach małego promienia, które przy budowie kolei rzadko dadzą się uniknąć.

Przedstawiliśmy czytelnikowi stopniowe ulepszenia lokomotywy, od czasu, jak pierwsza z nich r. 1830 przez Stephensona złożoną została. Dzisiaj dzielą je na trzy odmiany: maszyny o wielkiej chyżości czyli wojazerskie; o małej chyżości czyli towarowe, i maszyny mieszane. Przeznaczone do przewozu podróżnych biegną z chyżością 5 do 6 mil na godzinę, nie rachując przestanków. Towarowe przebywają 3 mile na godzinę i mogą ciągnąć 40 do 50 wagonów z stosownym ładunkiem (4,000 celn.). Ciężar takiego konwoju, wagony i lokomotywę rachując, dochodzi 14,000 celn. Na kolei zupełnie horyzontalnej ten ciężar może być podwojony. Maszyny mieszane wloką pociągi złożone z podróżnych i z towarów: pierwszych i drugie rozdzie-

lają, zatrzymując się często po stacyach. W przecięciu robią 4 mile na godzinę.

Maszyny Crampton przeznaczone do szybkich i długich kursów, mają 6 kół wysokich, formę wydłużoną, i przypominają wyścigowego konia; przeciwnie, maszyny towarowe, niskie, skupione, o małych kołach, porównać można do konia roboczego: liczba ich kół od 6 dochodzi do 14. Mieszane maszyny, wedle przeznaczenia, zbliżają się formą do pierwszych lub drugich, mają zwykle 6 kół, z których główne są zawsze w tyle wedle systemu Cramptona.

Powyższe wstępne objaśnienia pozwolą nam przejrzeć pobieżnie lokomotywy na wystawie zgromadzone.

Fabrykant Cail z Paryża wystawił dwie lokomotywy: jedna zrobiona podług Cramptona, druga w dawnym systemie, to jest z kołami głównymi w środku maszyny. Pierwsza z nich zwraca uwagę powszechną: już bowiem służyła 6 lat na kolei. P. Cail aby pokazać trwałość swojej roboty, powziął myśl wystawienia tego weterana parowej służby, dołączając mu autentyczną cedułę; liczne guzy świadczą, że szanowny emeryt, który jeszcze zamysła o czynnej służbie, nie oszczędzał swęj korpulentnej figury.

Anglicy przystali dwie lokomotywy: Emperora z kuźni R. Stephensona, i Eugenię pana Fairbairn z Manszester. Emperor ma 6 kół, z których dwa są z tyłu maszyny; cylindry, co się często napotyka w maszynach angielskich, nie są podług Cramptona umieszczone na zewnątrz kół, ale między nimi, pod popielnikiem. Tę odmianę musimy wytłumaczyć.

Jeżeli cylindry są umieszczone między kołami, pod popielnikiem, wtedy tenże udzielając im swojego ciepła, zapobiega oziębieniu przez promieniowanie ciepła, i tym sposobem przyczynia się do oszczędności opału; zapobiega nadto skraplaniu się pary w cylindrach, które ruchowi tłoków przeszkadza, i ten delikatny organ naraża na zepsucie; nakoniec zawieszenie cylindrów między kołami, powiększając stałość maszyny, zmniejsza w biegu wstrząśnienia. Ale jak zwykle, z temi zaletami łączą się niedogodności. Chcąc mieścić cylindry między kołami, potrzeba używać osi dwa razy łamanych (—), a wyrabianie takich osi jest bardzo kosztowne, ukru-

szenie się osi niestychanie łatwe; nadto trudnem jest bardzo czuwanie nad schowanemi pod parowcem cylindrami. Szufflada, którą maszynista nicomal na każdój stacyi oglądać powinien, jest niedostępna, bo się znajduje na samym spodzie maszyny. Z tych powodów, wbrew powadze Stephensona, Francuzi nie umieszczają cylindrów między kołami, ale zewnątrz.

Eugenia, lokomotywa z Manszester, jest na 6ciu kołach; cylindry są między kołami: dwa koła główne 8 stóp średnicy mające są w środku, nie w tyle maszyny. Odznacza się najprzód tém, że ma osie wydrążone; powtóre, że resory jej są z kauczuku; potrzebie, że ma kocioł dwa razy mniejszy od zwykłego, dzięki pomnożeniu liczby rurek przez które dym cyrkuluje w środku parowca. Średnicę rurek musiał zmniejszyć konstruktor: za to ich liczba dochodzi 400, przez co powierzchnia ogrzewająca została o wiele zwiększoną. Ażeby ciasne rurki nie były zatykane przez sadze, powiększono znacznie ognisko: ze strony przeciwniej drzwiczkom i od góry, wpuszczono przez rurę prąd powietrza, który zawracając dymy na ognisko, pomaga do zupełnego spalania kopciu i gazów z węgla pochodzących. Urządzenie takie ogniska jest nietylko ekonomiczne, bo wszystek węgiel skonsumować pozwala, ale nadto sprawia, że lokomotywa nie rozpościera niezdrowych gazów po okolicy, którą przebiega.

Z Niemiec przysłano dwie lokomotywy wedle Cramptona zrobione: jedna pochodzi z Esslingen, druga z Karlsruhe; obydwom nie zarzucić nie można pod względem wykonania. Ostatnia odznacza się tém, że ma przód ruchomy na sworzniu, co usuwa zarzut czyniony maszynom Cramptona, że jako nazbyt długie, są mało obrotne. Długa, nie zginająca się na krzywiznach lokomotywa, zużywa szyny i koła, nie toczy się, ale ślizga, i łatwo w szybkim pędzie może wyskoczyć z kolei. Dla tych powodów uruchomienie przodka maszyny będzie bardzo zbawienne, jeżeli go praktyka uświeci.

Fabryki belgijskie i berlińskie pana Borsig są także godnie reprezentowane na wystawie. Austria przysłała między innymi lokomotywę Wien-Raab, pana Hatwell, przeznaczoną do przewozu towarów na kolei wydzierżawionej Francuzom. Należy do systemu Engerth.

Austryackie maszyny odznaczają się ogromnym kominem w kształcie lejka, rozszerzającego się pod górę. Te kominy, niezgrabnością swoją zdumiewające Francuzów, są podwójne: między ich ścianami zbiera się popiół, którego drzewo, zwykły opał w Niemczech, więcej niż węgiel dostarcza.

Z maszyn mieszanych, to jest przeznaczonych do przewozu ludzi i towarów, mających przy bardzo silnej budowie koła główne o wielkiej średnicy, najznakomitszą jest Genewa, lokomotywa z Mulhous'y. Dotąd przy lokomotywach nie korzystano z rozprężliwości pary. Pierwsza Genewa ma przyrząd, który dozwala regulować rozprężliwość pary, tak, jak w maszynach stałych. Trudno jednak przewidzieć, czyli aparat jest praktyczny, czy oszczędność opału jest dosyć znaczna, aby skłoniła do zaniechania prostszego użycia pary o pełnym ciśnieniu.

Do żadnej kategorii nie można wliczyć lokomotywy orzeł, pochodzącej z fabryki pana Gouin. Budując to olbrzymie narzędzie, konstruktorowie założyli sobie pogodzić w niem wszystkie typy lokomotyw, to jest chcieli, aby zosobna służyła do poruszania szybkich pociągów wojażerskich, lub ciężkich trenów ładownych, lub nakoniec jednych i drugich. Zapewne, gdyby się dało na kolejach używać jednego tylko rodzaju maszyn, służba byłaby znacznie uproszczoną; ale przy największej różnaitości przewożonych przedmiotów, z których jedne mają blizkie przeznaczenie, inne znów bardzo dalekie; że dla dogodności wojażerów, dla ułatwienia służby urzędników kolei, potrzebna jest koniecznie jakaś klasyfikacya konwojów: dlatego, i z wielu innych powodów, lokomotywy na kolejach wielkiego rozwoju do jednego typu zredukować się nie dadzą.

### *Lokomobile.*

Co do istoty rzeczy, gospodarstwo nie różni się od każdego innego przemysłu: tu i tam, na folwarku czy w rękodzielni, chodzi o to, ażeby przy użyciu sił naturalnych lub sztucznych, przemienić materyał surowy, na przedmiot do właściwego użytku zdolny. Przeistaczać krzemień na szkło, glinę na garnek, dobyty z łona ziemi kruszec przerabiać na narzędzia i maszyny, ka-

mień, drzewo naginać pod rozmaite formy: słowem tworzyć niezliczone produkta przemysłu, czy też kierować z doświadczeniem a umiejętnością siłami gleby, wody, nawozu, ażeby pomnożyć ziarno powierzone ziemi: wszystko to zmierza do powiększenia wartości użytego materiału. Przemysł prędko ocenił wyższość, jaką daje maszyna nad robotą ręczną; wprowadzenie jej do rękodzielni, mało sto razy pomnożyło siły produkcji. Przemysł rolniczy, mimo nieprzyjaznej odmianom rutyny, nie mógł także zostawać długo obojętnym na użycie maszyn w ogóle, a maszyny parowej w szczególności.

Amerykanie najprzód dali przykład. Mieli do uprawy kraj prawie bez granic, którego ludność rozsiana na ogromnej przestrzeni, nie dostarczała dość rąk do roboty. Uspodobienie czynne i przemysłne naszych antypodów prędko zaradziło złemu, i już w początku tego wieku znojną pracę powierzyło narzędziom, a kierunek człowiekowi. Maszyna parowa, jako czynnik przy małym koszcie największą dający siłę, prędko weszła w użycie.

Anglii łatwo było iść za przykładem Stanów-Zjednoczonych. bo ma grunta nierozdrobnione, w ręku przemożnych właścicieli. We Francyi, dopiero od lat kilku, to jest od czasu jak maszyny znacznie staniały, zaczęto z ich pomocy korzystać w rolnictwie.

Maszynę parową przeznaczoną do gospodarstwa zredukowano do najprostszej formy; nazwano ją lokomobilą dlatego, że jest łatwo przenośną z miejsca na miejsce. Ponieważ ma być składana i rozkładana przez ludzi niedoświadczonych w mechanice, ma działać z przestankami a nie ciągle: nie może więc być skomplikowaną. I rzeczywiście w tej maszynie para działa z wysokim ciśnieniem: po wywarciu siły na tłok uchodzi w powietrze, nie ma więc kondensora i innych organów do skraplania pary, co jest znacznym uproszczeniem. Cały aparat składa się z kotła parowego i z cylindra. Kocioł jest z rurkami jak u lokomotyw: 8 albo 10 rurek, w których cyrkulują gorące gazy z ogniska, przyspieszają parowanie; ma formę wydłużonego walca, i spoczywa na zwyczajnych kołach: jeden koń wystarcza do przewozu. Cylinder jest umieszczony poziomo nad kotłem. Za pomocą pręta i korby, tłok cylindra obraca wał poziomy, położony na po-

przek względem maszyny; z wałem obraca się koło, na którym owija się pas bez końca. Za pośrednictwem tego pasa można poruszać młockarnią, pompę, tarlak, młyn i t. d. Wszystkie tego rodzaju maszyny są jednakie na wystawie; przytoczymy kilka mających odmiany w szczegółach.

Między mechanikami, którzy się robieniem lokomobil trudnią, najcelniejszy jest Calla, który w r. 1851 poznał je na wystawie londyńskiej; od tego czasu udoskonalił i we Francji rozpowszechnił. Jedną z jego lokomobil, którą codziennie w ruchu można widzieć na wystawie, ma siłę trzech koni parowych, zajmuje tyle miejsca, co mały wózek, waży 30 centnarów, jest o dwóch kołach i może być ciągniona przez jednego konia po zwyczajnej drodze. Przy długim dniu roboczym zużywa trzy centnary węgla.

P. Flaud z Paryża wystawił lokomobilę, którą zrobił na sposób w jaki się robią maszyny o wielkiej chyżości; dlatego aparat jego daje siłę 12 koni parowych, co jest może więcej niżeli potrzeba. Inne z tych maszyn należą do pp. Rouffet z Paryża, Renaud i Lotz z Nantes. Ci ostatni umieszczają cylinder pionowo nad kotłem i odziewają go powłoką z blachy, aby nie ostygł. Przez kilka lat tylko, rozprzedali maszyn takich 250 w kilku departamentach zachodniej Francji. To, co wystawił p. Nepven z Paryża, możnaby nazwać taczkami parowymi: wózek czy taczki są o jednem kole, maszynka nie ma nawet siły jednego konia i zrobioną zapewne była dlatego, aby pokazać, jak rozmaite może być użycie pary.

Z angielskich konstruktorów pp. Clayton, Hornsby, Ransomens, Garret, przystali bardzo piękne maszyny. Jedni z nich mieszczą cylinder w ognisku, bojąc się utraty ciepła; inni odziewają go podwójną kloszą z blachy, w której cyrkuluje para, i utrzymuje działającą parę wewnątrz cylindra w stanie wysokiej rozprężliwości. Zresztą wszystkie lokomobile są jednakie.

Niepodobna przypuścić, ażeby wielka ilość wystawionych maszyn parowych w zastosowaniu do rolnictwa, nie przekonała czytelnika o ich praktyczności; bo przemysł prób robić nie lubi i fabrykuje takie tylko przedmioty, których pokup jest niezawodny. Jednak zarzutów nie brakuje. Na pierwszym miejscu jest dro-



gość maszyny. Cena lokomobili jest około 1000 fr. na siłę jednego konia parowego; to jest 4000 fr. za maszynę o sile czterech koni. Ale oszczędność codzienna pokryje bardzo prędko zaawansowaną sumę. W maszynie np. Hornsby pali się 4 funty węgla przez godzinę na siłę jednego konia par. (jeden koń parowy znaczy dwa rzeczywiste). Łatwo policzyć koszt utrzymania i porównać z utrzymaniem koni. Nadto maszyna jeżeli nie pracuje, to i nic nie kosztuje, czego o koniu powiedzieć nie można. We Francyi drobni nawet właściciele skupują maszyny; skoro takowe nie mają co robić u nich, najmują je sąsiadom; gdzieby delikatność sąsiedzkich stosunków najem odrzucała, można kupić maszynę na spółkę i dnię pracy opisać.

Nieugruntowany także jest zarzut, który oskarża maszyny o podpalanie. Każda z nich ma popielnik napełniony wodą; komin dość wysoki, aby iskra zgasła nim wyjdzie na powietrze; zwykle pracuje z dala od budynków. Od czasu jak je wprowadzono do Francyi, żadna jeszcze nie stała się przyczyną pożaru.

Ostatni zarzut, czyniony maszynom w ogólności, jakoby odbierały zarobek potrzebnym, za ledwo zasługuje na uwagę. Od kilkudziesięciu lat jak maszyny na Zachodzie weszły w użycie, statystyka liczbami dowodzi, że dobry byt i ilość wyrobników dziesięć razy się powiększyła.

Rolnictwo nietylko jest najdawniejszym przemysłem, ale wszędzie, a szczególnie u nas, jest podstawą bogactwa. Jakkolwiek wielka jest produkcya fabryk, rękodzielni, nie wyrówna ona nigdy produkcji rolniczej. Uprawa ziemi zajmuje największą część ludzi; sztukom i rzemiosłom dostarcza materyału. A jednak nikt nie zaprzeczy, że w porównaniu z wszelkim innym przemysłem, najniżej stoją środki, jakich rolnictwo używa ku ułatwieniu swojej produkcji. Te same sposoby, które tak szybko rozwinęły przemysł, posłużą zapewne do rozwinięcia gospodarstwa. Uważając maszyny jako pierwszą dźwignię do osiągnięcia tego celu, pozwoliliśmy sobie przeciągnąć nieco ten pobieżny przegląd, za co cierpliwych czytelników, którzy nam do końca towarzyszyć raczyli, jak najmocniej przepraszamy.

## PAMIĘTNIKI

*Sabiny z G. G.*

Urodziłam się we wsi Mażęcinie, bywшем województwie krakowskiem, w dniu 18 stycznia 1808 roku, z rodziców znanój, dość zamożnej i dawniej rodziny. Dziad mój, Konstanty Gostkowski, dziedzic miasteczka Kromołowa, generał-lejtnant naprzód w służbie pruskiej, a następnie polskiej, adjutant Fryderyka Wilhelma II-go króla pruskiego, później zaś Jana Branickiego hetmana wielkiego koronnego; umarł zostawiwszy pięciu synów, z których mój ojciec był średni, i cztery córki. O ile mi wiadomo z rodzinnego podania, byłto człowiek światły, z nowszemi wyobrażeniami, noszący się jak dawniej mówiono *po francuzku*, i należący do frakcyi owjej szlachty postępowej, reprezentowanej na sejmie cztero-letnim przez Małachowskiego, Ignacego i Stanisława Potockich, Mostowskiego, Kollątaja, Wybickiego i innych, którzy chcieli ukrócenia swawoli i nadużyc szlachty, i rządu silniejszego i swobodniejszego. Są jednakże dowody niebardzo na korzyść liberalnych opinii mojego dziadka przemawiające. Usunąwszy się od publicznych interesów, osiadł w miasteczku swoim dziedzicznym Kromołowie, z kądem starym obyczajem, częste wojny i napady z sąsiadami swoimi odbywał. Jedną z najważniejszych była wojna z Bnińskim starostą mrzygłodzkim, którego dobra graniczyły z Kromołowem i przyległemi mu wioskami. Nie wiem kto miał słuszość, kto piérwszy granice sąsiada najechał: to pewna, że obie strony silnie się okopały, że stary wojak trzymał ludzi zbrojnych na swym żołdzie, że przez lat wiele często przychodziło do krwawej bójkki z ludźmi starosty Bnińskiego; i że po śmierci mojego

dziada, już za pamięci mojego ojca zmarłego, przy spisie inwentarza pozostałych po nim ruchomości, znaleziono jeszcze znaczną liczbę broni palnej, karabinów, mozdierzy, rusznic i t. p. Babka moja z domu Jordanówna, starościanka siedmiechowska, owdowiawszy niemłodo i mając dziewięcioro dzieci, poszła za mąż za pana Paszyca, z którym, jak to zwykle bywa, nie była szczęśliwa. Wkrótce też z nim się rozłączyła i tak go zienawidziła, że swoim ludziom, domownikom, sąsiadom, nie pozwalała inaczej się nazywać, tylko po tytule i nazwisku pierwszego męża. Ja ją już bardzo mało znałam: musiała mnie jednak jój postać uderzyć, gdyż jeszcze podziśdzień mam ją w pamięci obecną: małą, otyłą, z oczami czerwonymi i zapuchłemi, ubraną w czarnej krepowej sukni, siedzącą przy kartach, w które była w stanie trzy dni i trzy nocy grać, nie wstawszy od stolika.

Po jój śmierci dobra Kromołów przeszły na własność najmłodszego z braci, który ożenił się z Kordulą Ankwicz, stryjeczną siostrą arcybiskupa lwowskiego, a później pragskiego. O tym pralacie krążyła w rodzinie naszej anegdotka, z oryginalności swój zasługująca na umieszczenie w tych wspomnieniach. Kiedy w roku, jeżeli się nie mylę, 1833, ks. A... przeniesiony został na bogate, bo dwa miliony rocznie przynoszące arcybiskupstwo pragskie, wypadło mu drogę obrócić na Kraków, w którym się niejaki czas zatrzymał, uprzedziwszy wprzód listem swoją panią G..... krewną swoją, w Kromołowie o mil dziesięć od Krakowa mieszkającą, o nastąpić mającym przez to miasto jego przejeździe. Moja ciotka przybyła niebawem na wezwanie i oboje prawie jednocześnie stanęli w hotelu Knotza, pod królem węgierskim. Po kilkunastu latach niewidzenia, powitanie było czułe: splakali się wzajem, o dawnych czasach rozmawiali. An.... narzekał na los, który go trzymał w oddali od ukochanego kraju i rodziny; w końcu po dniach kilku oświadczył, że w dalszą podróż udać się musi.

Już konie pocztowe były założone do ogromnej podróżnej karety, i stały rżąc w bramie wielkiego hotelu Knotza, kiedy arcybiskup objawił chęć pomówienia sam na sam z moją ciotką; jakoż podawszy jój rękę, poprowadził do przyległego gabinetu. Po ponowionych jeszcze oświadczeniach współczucia i pamięci, wyznał jój, że dręczony jest wyrzutami sumienia za czyn grzeszny, przeciw niej kiedyś popełniony, o którym ona wiedzieć nie

może, a który mu chwili spokoju nie da, póki nie uzyska od niej samój przebaczenia. Nie dając mojej ciotce czasu zapytać się jakiby to miał być grzech, za który sobie tak srogie czyni wyrzuty, opowiedział, że kiedyś przy działach majątkowych, będąc obecny téj czynności jako członek rady familijnej, nie ujął się za nią sierotą, gdy się znaleźli tacy, co korzystając z niedbałości opieki, krzywdzili ją na majątku: czego sobie darować nie może, i co zatruwa całe jego życie gorzkimi wyrzutami sumienia.

Zdaje się, że po takiem wyznaniu nastąpić było powinno zadosyć uczynienie i wynagrodzenie krzywdy; przynajmniej u chrześcian i uczciwych ludzi tak się rzeczy pojmują, zwłaszcza gdy kto ma w posiadaniu jakie z kilka milionów dochodu: tutaj wszakże inaczej się stało. Moja ciotka uradowana z widzenia krewnego, wszystko przebaczyła; poczém arcybiskup wsiadł do powozu i odjechał do Pragi, gdzie sobie téż szczęśliwie umarł, nie napisawszy do ofiary swojej obojętności ani jednego listu, nie wspomniawszy nawet w testamencie.

W ciągu mojej młodości raz tylko byłem w Kromolowie, tém rodzinném naszym gnieździe. Jestto miasteczko niewielkie, mające mniej więcej 2,500 do 3,000 dusz, a jako pograniczne, wyłącznie chrześcianami zamieszkałe. Dawniej trudniło się fabrykami sukienkami i bławatnami, które się tu na wielką skalę rozwijały; nieprzyjazne krajowe zawichrzenia nawpół je zniszczyły. Kościół starożytny zachowuje w sobie groby rodzinne J... i G.... Pałac stary w nowym guście przyozdobiony, ogród angielski starannie utrzymywany z wytworną oranżeryą i trephauzami, były jedyną tego miejsca ozdobą, gdyż leży w okolicy dzikiéj, piaszczystéj i baguistéj. Jednym z interesujących wspomnień Kromolowa był odzwierny pałacowy nazwiskiem Bilnicki, dawny kamerdyner mojego dziadka, mający przeszło lat 100, a zdrów, rzeźki, jakby ich 40 dopięro liczył. Miejsce odzwiernego było w téj rodzinie jakoby dziedziczne od ojca do syna, a pradziadek znanego mi staruszka zapamiętał jeszcze czasy Michała Wiśniowieckiego. Rozmowny Bilnicki prawił różne gawędy i powiastki, cztery niemal pokolenia przesunęły mu się przed oczy: znał ich przygody, związki, koleje, miał przytém tak lokalną pamięć, że wypadki z największą dokładnością szczegółowo rozpowiadał; a ludzi, ich nazwiska, czyny, charaktery, obyczaje, zwyczaje, opisywał w tak żywych kolorach, jakby ich jeszcze chodzących i mówiących widział. Opo-

wiadania jego nie odnosiły się jedynie tylko do jego czasów: zapamiętał on jeszcze swojego dziada, i z ust jego słyszał wiele faktów, których tamten znów był świadkiem: to też Bilnicki był chodzącą kroniką wypadków przynajmniej półtora wieku w tył. Z opowiadań jego wiele było miejscowego tylko interesu, np. o ogierze pana starosty, o chartach pana generała, o najazdach ludzi pana starosty, o imieninach, zjazdach rodzinnych, ślubach, takich weselach i przenosinach, bogatych rzędach, jak to dawniej bywało, jak to stoły gięły się od srebra, a kulbaki nawet były ze srebra złoczonego; a broń taka, jakiej dziś już na lekarstwo nie zobaczy. Były w tych gawędach legendy o duchach, czarach, były też i prawdziwe historyczne opowiadania. Z liczby tych ostatnich, najsilniej młodocianą moją wyobraźnią zajęła gawęda o królu Michale Wiśniowieckim i pani Warszyckiej jego siostrze, dawniej właścicielce Kromołowa, a prababce mojego ojca. Jak to dawne panie polskie, acz księżniczka z rodu, pani Warszycka była rządna, gospodarna i do pracy skora: Raz tedy gdy siedziała w olearni przy rzepaku z którego jój olój zbić miano, i sama pilnowała, by broń Boże jaka cząsteczka sposobem nieprawym na bok nie poszła; nagle daje się słyszeć zdala po brukowanym dziedzińcu tętent konia, i wraz pokazuje się z za drzewiny dorodny jeździec, dojeżdżający na przeslicznym arabskim rumaku, ubrany w ferezyi suto złotem naszywanej, z szablą przy boku i sobolim kołpakiem na głowie. Zsiadł opodal przed pałacem, i zażądał widziéć się z panią Warszycką; a gdy mu wskazano miejsce gdzie się znajduje, spiesznym krokiem ku olearni mierzy. Wszedłszy do tego budynku, zastaje w nim siostrę królewską przedzającą kądziel, siedzącą na długiej ławie kobiercem wybitéj, z pokoju naprędce przyniesionéj. Miała na sobie jupkę starą niby koloru brązowego, wyszywaną w ciemne jedwabne kwiaty, której powierzchowność zdradzała starość i częste użycie. Służyła ona do codziennéj wizyty w stajni, wołowni, krowiarni, i nazywała się *gospodarką*. Pani Warszycka podniosłszy głowę i zmierzwszy przybyłego od stóp do głowy, zapytała poważnie: czego by żądał?... Zagadniony skłoniwszy się prawie do ziemi, wręczył jój pismo własnoročné Jego Królewskiej Mości (albowiem byłto dworzanin królewski), w którym donosił siostrze swojej, że jadąc z Krakowa do Warszawy, trakt obrócił na Częstochowę i Kromołów umyślnie, aby ją nawiedzić, z nią się ugadać i nacieszyć. Uradowana

z obiecanego przybycia brata, powstała czémprędzej z swojego siedzenia, i biegła już do pałacu, aby tak wysokiego gościa przyjąć stosownie i uczciwie, o ile nagły jego przyjazd i czas krótki pozwalały; kiedy rzuciwszy okiem na mielący się rzepak nagle się zatrzymała, i obróciwszy się do dworzanina; „Uradowana jestem, rzecz, że wielce mój miłośniwy brat i pan, raczył pomyśleć o nawiedzeniu mojej chudoby; jednak wyznam Waszmości szczerze, że mi te dzisiejsze jego odwiedziny niekoniecznie na rękę, kwoli, że mi wypadł właśnie obrządek koło oto tam tego rzepaku. Jaką oni sobie dadzą radę bezemnie: wszystko mi rozszarpia.” Ledwie tych słów domawiała, za-tętniła zdala na dziedzińcu sześciokonna kolasa, i wysiadł z niej król Michał, niestary jeszcze, ale blady, chwiejący się, widocznie chroniczną chorobą, która go też niebawem zabrać z tego świata miała, powalony, i powolnym krokiem szedł ku nadbiegającej siostrze, którą czule powitał. Za królem przybyło kilkadziesiąt różnego kalibru kolas, kolebek, bryk i bryczek z panami i dworzanami królewskimi, którzy wszyscy przez dni kilka w pałacu, suto i wspaniale podejmowanemi byli. Gdy w roku 1827 ojciec mój zamieszkały w Warszawie, odwiedził panią Tarczewską, siostrę panny Klementyny Tańskiej, wówczas jeszcze niezamężnej, na jednym z jej środowych wieczorów opowiadał przy herbacie to zdarzenie, z którego autorka *Rozrywek*, w jednym z wstępnych numerów tego pisma, utworzyła tak odmienną od prawdziwej powiastkę, że ją żadnym sposobem za tę samą przyznać nie możemy. Jakże się dziwić, że odległej starożytności fakta historycznej w opowiadaniu tak różną od prawdy przybierają postać, kiedy zdarzenie drobne i niezbyt dawne, tak przeobrażone zostało, że go poznać nie można?....

Dziadek mój z matki Wielogłowski, starosta olszański, poseł w czasie cztero-letniego sejmu, którego mam kilka listów w rękę, do żony pisanych w czasie agitującego się sejmu, był człowiek wielkiej poczciwości. Umarł w roku 1801 zostawwszy dwie córki i czterech synów, z których dwóch młodo pomierało, a najstarszy Kasper, był ostatnio senatorem, kasztelanem Królestwa Polskiego i prezesem senatu bywszej Rzeczypospolitej krakowskiej, któryto urząd w roku 1838 złożył. Moja babka podzieliwszy dość znaczny majątek między dzieci, pozostawiła sobie w dożywocie alimentą i wieś Proszówki nad

rzeką Rabą w cyrkułe bocheńskim, Galicyi austryackiej, o mil trzy od Krakowa położoną. Gdy mój ojciec urzędował w tém mieście, kilka razy na rok jeździłam z moją matką do Proszówek: to też wszystko co tam widziałam i słyszałam, w żywém mi stoi pamięci. Zajeżdżało się dość długim, drzewami wysadzonym dziedzińcem, przed długi, niski, drewniany dworzec, nie-tynkowany, starością poczerniony, z małą facyatką i gankiem wchodowym we środku. Opodał, może o dziesięć kroków, stała w ogrodzie kaplica tak urządzona, że moja babka słabowita i delikatnego zdrowia, z okien salonu, mszy świętej bardzo wygodnie słuchać mogła. W owych czasach, to jest, koło roku 1815 i 1816, mogła mieć lat 70: była blada, szczupła, rysów ściągłych, nadzwyczaj miłych i szlachtetnych, noszących ślady niepospolitej regularności. Jój dobroć dla ubogich, szczerza i wylana gościnność dla przybyłych w jój progi, nie miały granic. Nie było dnia, żeby w proszowickim dworcu nie było naraz dwadzieścia do czterdziestu osób na obiedzie. Ona sama nie siadała prawie nigdy do stołu: żyła jedynie kaszką drobną, którą sobie w czasie obiadu lub wieczery podać kazała, i jadła chodząc koło siedzących gości, a pilnując uważnie, aby każdy jadł i pił według gustu i zwyczaju swojego. Widzę jeszcze salę jadalną w Proszówkach, długą a wąską, papierem zielonym naklejoną, wysokie aż do sufitu białe lakierowane szafy, w których za szkłem połyskiwały talerze z stariej saskiej porcelany z niebieskimi w gzygzak obwódkami, wówczas w powszechném użyciu będącemi. Widzę jeszcze owe olbrzymie czarne hebanowe świeczniki (1), porcelanowe na ogromnych podstawach wazy, imbryki, płaskie filiżanki z ogromnemi różami na środku wprost uszka; owe słynne w Dunajcu poławiane jesiotry i łososie, które długością swoją cały środek stołu zajmowały, i wpośród kwiatów, owoców, cukrów, butelek i kieliszków, wspaniale spoczywały. Widzę jak w dzień świętego Józefa, jako w dzień imienin pani domu, gdy jadalna sala nie mogła pomieścić przybyłych gości, musiano stół powiększyć i przeprowadzić go wzdłuż całego domu przez sien ogrzewaną aż do salonu, który

(1) Z powodu ogromnego na srebro podatku, obywatele galicyjscy musieli pochować, lub do krewnych w królestwie Polskiem zamieszkałych poodsyłać swoje stołowe srebra, które stosownie do użycia zastępowali porcelaną, hebanem, lub różaném drzewem.

cały nim zajęty został. W liczbie osób zwykle w te dni uroczyste przybyłych, bywał krais-kapitan cyrkulowy, En... z żoną, generał stojący garnizonem w miasteczku, kilku oficerów z jego sztabu, przyjeżdżających zwykle w wygodnych miejscowych powozach. Starosta był sobieto Niemiec, lat może sześćdziesiąt mający, z garbem z tyłu, suchy, chudy, zatabaczony, w okularach na ogromnym chociaż wcale nie rzymskiego kroju nosie, powolny, mało mówiący i głuchy. Do tego słowa nie umiał ani po polsku, ani po francuzku, co niemało zalet przydawało jego konwersacyi. Nie wszyscy umieli dość biegle po niemiecku, aby się wdać z nim w gawędkę; a chociaż się kto i znalazł wprawny w mowie Schillera i Goethego, to mu się znów nie chciało wsuwać nosa i ust w ogromną trąbę, którą starosta uprzejmie podawał każdemu, kto się tylko do niego zbliżał. Grzeczny i unizony w obejściu, zawsze uśmiechający się i ucha nadstawiający; cała wizyta jego ograniczała się na kilkanaście razy wyrzeczonych wyrazach „was sagen sie Madame?“ na które naturalnie nie odpowiadano, o co dobroduszny Niemiec wcale się nie gniewał, i poprzestawał na siedzeniu u stołu zaraz obok starszej córki gospodyni: w którymto czasie rola jego nie była już bierną, gdyż doskonale podawane sobie łakocie z talerzy zmiatał i kieliszki wypróżniał. Żona jego o lat może trzydzieści młodsza od niego, długa, sztywna, sztywniej jeszcze w falbany i niezmiernie wysznurowaną suknię ubrana, mniej od męża milcząca, umiejąca trochę z niemiecka po francuzku i mająca pretensyą do tańca, a nawet do kontredansa, którego najpocieszniej w świecie tańczyła, układając usta, twarz, figurę, według swojego wyobrażenia, stosownie do ruchów tańca. I tak: w *chassé croisé* najmiliej się uśmiechała do tańczącego naprzeciwko tancerza; w *la trompeuse*, która wówczas *furorę* robiła, odwracając się nagle stroiła filuterną minkę; w *balancé* zaś i w podaniu ręki swojemu tancerzowi, przybierała czułość Heloizy, a gracyą Dydony. W dzisiejszych czasach, gdzie wszyscy są jakby na jeden kształt wykrojeni, już nie ma na nieszczęście takich oryginałów; a jeżeli są, to raczej w charakterach, narowach, wyobrażeniach: w obejściu i powierzchowności bardzo rzadko. Ta szanowna para łącznie z generałem i oficerami austryackimi, najwięcej mię bawiła. Któż nie zna, albo nie słyszał przynajmniej o wojskowym mundurze austryackim, tak pociesznego kroju: trójgraniastym kapeluszu obszytym



szerokim złotym galonem, podobnym do papierowych kapeluszy, jakie dzieci sobie robią dla zabawki z arkusza papieru, ogromnym pałaszu hałaśliwie suwającym po pokoju, krótkich szaraczkowych surdutach z zielonym kołnierzem i dwoma rzędami świecących guzików!. Wszystko to dokuczliwe, sarkastyczne, fiskalne, gburowate i nieznośne w stosunkach urzędowych i garnizonych, było niesłychanie uniżone i potulne w salonie. Systematyczność niemiecka poszła w przysłowie i nie jest zabawna dla krajowców: cóż dopiero, gdy miała do czynienia ze szlachtą polską najmniej systematyczną!.... Obie strony wzajemnie się skarżyły, z Wiedniem korrespondowały, kommissye na siebie sprowadzały, nim się pogodzić zdołały; wszakże systematyczność niemiecka jako silniejsza, przemódz musiała, zawsze przeciw z całą grzecznością i uniżonością. Lubiałam bardzo dość częste przejażdżki nasze do Proszówek, bo mnie tam zawsze nowe przyjemności czekały. Naprzód sama droga z Krakowa do Proszówek była dla nas pasmem wesołości i niespodzianek; a jedną z nich była niezaprzeczenie przeprawa przez Wisłę we wsi Sierosławice, gdzie była komora austriacka. Tam zwykle bywaliśmy przyjęci przez *Einnemera*, to jest pisarza czyli naczelnika komory, którego usłużną względność oplacali rok rocznie moi rodzice kilkunastą furami siana, i kilkadziesiąt korcami owsa. Pan *Einnemer*, szczególném bardzo zdarzeniem nie Niemiec, był serdecznym przyjacielem wszystkich obywateli na kilka mil wokoło: z każdym się kochał, poufalił, bo każdemu był wielce przydatny. Ten miał wyprawę córki lub siostrzenicy do przewiezienia, inny brykę ładowną winem, cukrem, kawą; inny świeży wiedeński powóz w zamian za stary, który po tamtej stronie szlabana pozostawił. Takim pisarzem przez czas długi był pan S..... pół-Polak, pół-Francuz, człowiek niski, jowialny, wielki myślistwa amator, mający kieszenie napełnione prochem, chubką, rogami obfitości w srebro oprawne, ubrany zimą i latem w bekieszkę watowaną, u której na trzecim lewym guziku wisiła kanwową robotą wyrabiana włóczkowa torebka na tytuń.

Etykieta przyjęcia *przyjaciół* na komorze była taka:

Zajeżdżało się przed zamknięty szlaban, wychodziło dwóch strażników z laskami żelaznymi zakrzywionymi, którzy ukłoniwszy się ze znaczącym uśmiechem, zaczęli się krzątać niby koło rewizyi rzeczy, to jest, końcem laseczki dotykali się waliz, tłu-

moków i kieszeni, a dostawszy poczęstne od państwa przejeżdżających, dawali znak podniesienia szlabanu, a na stangreta zawołali: „*jeźdź z Bogiem!*“; co się znaczyło, że stangret zaciął konie, przejechał baryerę i zajeżdżał przed mały domek murywany, z ganeczkiem i rabatami z róż centofolii. Był to rezydencya pana Einnemera, który wybiegłszy na dziedziniec, z uprzedzającą grzecznością wysadzał panie, i uroczyście wprowadzał do przedsionka, gdzie leżało kilka psów legawych, chartów i jamników, a następnie do pokoju mającego pretensją być pokojem bawialnym, bo stała w nim kanapa jesionowa, amaranowym merynosem pobita, przed nią stół okrągły kobiercem nakryty, komoda na której mało już śladu politory znać było, zastawiona filizankami różnej formy, kalibru i mody, z których połowa pęknięta, nadtluczona i bez uszka; kryształową zamykaną, w bronz oprawną cukierniczkę, kilku porcelanowemi fajkami, ogromnym tłukiem do tłuczenia orzechów, kilkoma szklanemi kubkami z napisem *Carlsbad* lub *souvenir*, i wypchanym kanarkiem. [We środku tego kwodlibetu stał rodzaj samowaru na spirytusie, mosiężny, w kształcie beczki. Na ścianach było pozawieszanych kilka sztuk strzelby, para pistoletów, kordelas; a w kącie fajczarnia z długimi cybuchami. Dalej stolik na którym była talia kart zabrudzonych polskich w maszynie od przyciskania, kilka biletów wytłaczanych z powinszowaniem imienin i Nowego Roku, leżących w czerwono-lakierowanym koszyczku; parę pół-arkuszowych ze złożonemi brzegami i girlandą powinszowań od dzieci i siostrzeńców. Naprzeciwko drzwi wchodowych, jako najparadniejszy mebel, stał fortepian orzechowy, fornierowany, mający półpiętej oktawy, z czarnemi hebanowemi klawiszami, z których większa część nie odpowiadała. Na nim było porozrzucanych kilka odwiecznych walców i mazurków, Grammatyka Meidingera i *Matki Rywalki* pani Genlis, w tłumaczeniu polskiém; nad fortepianem zaś wisiała gitara angielska o pięciu strunach. Na ścianie, jako konieczny mebel, parowały portrety pana i pani.

Gdyśmy weszli, gospodarz posadził nas na kanapie i poszedł po żonę, która niebawem weszła w czepku z czerwonemi wstążkami naprędce włożonym na głowie, niekoniecznie starannie uczesaną, i brudnym szlafroku, z zarzuconą (także naprędce) bagdacką paliową chustką. Za nią osmolona dziewczyna przyszła po filizanki, które zabrawszy z komody wraz z cu-

kierniczką, w kwadrans potem wniosła już nalaną kawę napół z cykoryą, z kilkoma na talerzu kraciastym desserowym podanemi *prawdziwie suchemi sucharkami*.

O pani Einnemerowej niewiele można powiedzieć, gdyż usiadła na ostatnim stołku zdala od kanapy, kilka słów prawie niezrozumiałych przemówiła, i znów wróciła do siebie, gdzie kawę gościom przyrządzała. Zresztą nie miałam czasu jej się przypatrywać, gdyż pan Einnemer wniósł ogromny półmisek ciast w jednej ręce, a duży kosz owoców w drugiej. Był to zwykła niespodzianka przysłana przez moją babkę, i będąca zwiastunem innych daleko miłszych, które nas w Proszówkach czekały. Po chwili oboje państwo Einnemerowie odprowadzali nas do promu, gdzie nas czekali zamówieni już przewoźnicy. Byli to chłopi zagrodnicy, poddani dziedzica Sierosławic, którzy za dnie pańszczyzny, przeznaczani byli do statku, i mając go w ciągłym użyciu, doskonale nim kierować umieli. Ubrani byli jak zwykle lud koło Krakowa: w białych sukmanach i czerwonych czapkach czworograniastych. Nasłuchaliśmy się różnych żartów, śmiechów, dowcipów, dykteryjek, bo krakowski chłopiec jest z natury wesoły, rzeźki i lubiący żartować z siebie i drugich, zwłaszcza jeżeli ten z którym ma do czynienia, jest tak nazwany *ciarach*, to jest szlachcic z dalszych okolic: bo co z swoim panem, jego ekonomem lub sąsiadem, jest potulny i nawet nieśmiały.

Uraczywszy dobrze naszych przewoźników, wyjechaliśmy na trakt, zwykle zwany w Galicyi austryackiej cesarskim gościńcem, to jest na drogę murowaną, czyli zwirowaną, która tak jak dziś nasze *chaussé*, nie była szeroka i gładka, ale wązka, grudziasta, pełna zasp, dołów, najeżona głębokimi kolejami od bryk furmańskich, ustawicznie po niej krążących. Nie wiem czém się to dzieje, ale wjechawszy do Galicyi, co naprzód uderza, to ten ustawiczny ruch handlowy, z żadną inną prowincją dawniej Polski równać się nie dający. Zdaje się, że przemysł nasz zwykle niebardzo czynny i energiczny, na tym punkcie wyłącznie się skoncentrował.

Za przybyciem do Proszówek, ledwie mieliśmy czas wysiąść z powozu, już nas babka zaprowadziła do przeznaczonego dla nas pokoju, gdzie zastaliśmy na dużym stoliku porozkładane mnóstwo zabawek. Tu ogromna lalka z długim warkoczem w koturnach, mechanicznie chodząca i niziutko kłaniająca się,

w atlas i blondyny strojna, grzecznie do swego towarzystwa zapraszała, kiedy mój brat już dosiadł ogromnego drewnianego konia, na którym się chuśtał niby galopując. Przyjmował nas zwykle na przyjeźdźnym, w dziedzińcu, ogromny pies brytan czarny, nazwiskiem Bukiet, który tak znał moją matkę, że gdy wysiadała, czepiał się jej sukni i póty nie puścił, dopóki ją z wszelką czcią i powagą do pokoju nie wprowadził. Był on postrachem wilków i złodziei na mil kilka naokoło; ale w starości swojej źle skończył, bo przez wilków, z wielkim żalem pani, domowników i gości, pożarty został. Lubił on niezmiernie dzieci, które go zaprzęgały do wózków, dosiadały, poganiały, nie mogąc go nigdy zniecierpliwic.

Były w Proszówkach dwie panie tak zwane respektowe, dalekie krewne pani domu. Starsza z nich pani kapitanowa Usielska, byłato sobie kobiecina podżyła, ale dobrze i czerstwo wyglądająca: wysoka, twarzy ściągłej, rysów nieco ostrych, drobnych, z wąsikami, co ją czyniło podobną trochę do huzara. Nazywano ją panią kapitanową, i nikt się nie ważył, nawet moja babka, jej dzieci i goście, inaczej ją nazywać. Była wdową po kapitanie Usielskim, który w bitwie pod Szczekocinami, obok generałów Wodzickiego i Grochowskiego, kulą ugodzony został. Niezmiernie lubiła dzieci: to też my ją nawzajem bardzo lubiły. Niejeden wieczór zszedł nam na słuchaniu jej opowiadań różnych przygód życia, których my z upodobaniem i zawsze z wielką słuchali uwagą. Czasami dla urozmaicenia tańcowała z nami, i w jednym z tych skoków upadłam, i nos sobie stłukłam. Trzeba było widzieć strach i rozpacz staruszki! Co tylko miała w swym pokoju i apteczce kosmetyków, olejków, spirytusów, wódek kolońskich, anodyn, wszystko to użytém było na piérwszy ratunek mojego nosa; nic to nie pomogło: dni ośm najmniej, z wielką boleścią kochanej Usielsi, chodziłam z nosem czerwonym jak piwonia, a dużym jak pięść. Czas swój dzieliła staruszka między nas, maryaszem z księdzem proboszczem z Krzyżanowic, lub konsyliarzem Kanką, w Bochni mieszkającym. Ksiądz proboszcz byłto sobie człowiek wysoki, chudy, pobożny i dobroczynny, ale przepadający za maryaszem, któreto zamiłowanie dzielił z doktorem Kanką; w czém zresztą zgadzali się, bo co do wszystkich innych rzeczy, byli w ciągłych sprzeczkach. Kanka był wesoły staruszek, i równie jak ksiądz proboszcz, konieczny i codzienny gość proszowickiego dworca.

Nazywał się rzeczywiście *Kanka*, i był dziadem z matki pana *Limana*, który oddał się zawodowi dyplomatycznemu, i jako rezydent austriacki w Krakowie, roku 1846 ważne zajmował stanowisko. Szanowny *Eskulap* zwykle przyjeżdżał do *Proszówek* o godzinie dwunastej w południe, zawsze na koniu, mimo lat siedmdziesięciu przeszło; nosił na białych jak śnieg włosach rudą perukę z harcapem, długi frak szaraczkowy, podobny do dzisiejszych rajtroków, na jeden rząd jedwabnych guzików zapinany; nosił w rękę znakomitę grubości bambusową laskę z srebrną pozłacaną gałką, pod którą wymodelowany był konwulsyjnie śmiejący się satyr. Na siwych, pełnych jeszcze żywości i dowcipu oczach, nosił okulary w złoto oprawne; twarz i czoło zmarszczkami porane, nosiły cechę wielkiej prawości; mimo tego, my dzieci niezmiernieśmy się go bały, bo nam zawsze groził i często nas z pokoju wypraszał. Program jego przyjazdu i wyjazdu z *Proszówek* był zawsze tenże sam: zsiadłszy z starego swojego stępaka, wchodził do pokoju z laską i kapeluszem, który zdejmował dopiero próg przeszedłszy, niezmiennie dodając: „Upadam do nóg pani starościny *Dobrodziejki*; jak mi się miéwać raczy?” Czy był kto w salonie czy nie, czy była sama gospodyni lub jej nie było; nic to formy przywitania nie zmieniało, i niebawem jął się do swojego wydziału, tojest do nakręcania zegarów.

Było ich ośm, między nimi jeden grający w biurku stojącym, inaczej zwanem sekretarzem, który niemało zadawał pracy staremu, bo się często psuł i niezawsze stawał się powolnym przygrywaniu ulubionych kurantów, które codzień z zajęciem od lat trzydziestu słuchał i przybyłym gościom zachwalał.

O godzinie pierwszej po południu, jako obiadowej porze w *Proszówkach*, ściśle przez zacnego konsyliarza przestrzeganej, stary lokaj *Rzepecki* ukazywał się w progu salonu z serwetą w rękę, co było niezawodnym znakiem, że dano do stołu. Jeżeli innych kobiet nie było, szła zwykle naprzód gospodyni domu z jakim obcym panem lub księdzem proboszczem, a doktor podawał rękę pani kapitanowej, z którą po skończonym obiedzie, przybrawszy księdza proboszcza do swojego towarzystwa, grywał marysza w półę, w owe ogromne miedziaki austriackie, których objętość dochodziła wielkości zwyczajnej dłoni. Po dwugodzinnej partyi, w której się bez sprzeczek nie

obeszło, pani kapitanowa brała ogromną włóczkową robotę, a doktor przechodził do sąsiedniego gabinetu, gdzie smaczno zasypiał; poczem wysuwał się cichaczem, poszedł do stajni, sam okulbaczył ulubionego kasztanka, i małym truchcikiem wracał do domu i chorych.

Inną jeszcze znaczącą figurą proszowickiego dworca była druga panna respektowa, którą zwykle tytułowano panną podsędkówną. Była o tyle kwaśna, niekontenta, gdyrajaca i marudzająca, ile pani kapitanowa była humoru wesołego, łagodnego i jednostajnego. W naszej epoce, w której wszystko dąży do pewnej doskonałości, typ starzej panny coraz bardziej niknie, tak, że jej prawie już rozoznać nie można od doletnich mężatek. Jeżeli są jakie różnice, to w charakterze, uczuciach, bo co w ubiorze i obejściu, już ich oddawna nie ma.

Dziś stara panna, a nawet i młoda mieszka, jeździ sama bez mężatki, chodzi w czepku i sukniach z ciężkich materyj, rozsiada się na kanapie lub gdzie zechce, rozmawia głośno i śmiało o wszystkich przedmiotach, i nikt jej tego nie ma za złe. W owiej epoce, to jest przed trzydziestą laty, rzecz się miała inaczej. Panny tworzyły że tak powiem inny świat, dla którego były inne zwyczaje, inne prawa przyzwoitości i nieledwie inny język; to też były najniezszczęśliwsze w świecie stworzenia: nie wolno im było ani mówić, ani śmiać się, ani tańcować, tylko podług przyjętych form. Młode przynajmniej miały w niedalekiej perspektywie męża, który im miał przynieść upragnioną wolność; ale biada starym!... Nad nimi nikt nie miał litości: byłyto stworzenia na usługi wszystkich, szczęśliwe, jeżeli na usługi tylko, a nie wzgardę i pośmiewisko! Na wytłumaczenie jeżeli nie usprawiedliwienie tak wielkiej niesłuszności, możnaby przytoczyć wiele fizyologicznych i filozoficznych wniosków, domysłów i spostrzeżeń: możnaby powiedzieć naprzykład, że ludzie instynktowo czują potrzebę rodziny i gardzą staremi pannami, które jej obędność niejako reprezentują; że miłość i poświęcenie jest w naturze kobiet, że przeto ich brak w płci słabszej, szpeci ją i zawczasie starzeje; możnaby jeszcze wiele innych rzeczy powiedzieć, które byłyby tylko dowodem, ile świat był niesprawiedliwym dla panien, które tu są daleko mniej winne jak starzy kawalerowie, gdyż ci mają wybór, a one go czekać muszą, a częstokroć doczekać się nie mogą. Ale wróćmy się do panny podsędkówny... Żyła ona na swoje nieszczęście

w czasach daleko dla starych panien krytyczniejszych; nie dziwnym się przeto jój złemu humorowi, zwłaszcza, że i powierzchowność jój niewiele ją do swobody i wesołości usposabiać mogła. Była nieładna, niska, widocznie ułomna: miała przynajmniej tę korzyść, że była wieku niedocieczonego, i przez lat przynajmniej dwadzieścia, wcale nie starzała. Pretensyi wszakże nie brakło jój: często oczy spuszczała, czerwieniała, a w rozmowie potocznej udawała, że pewnych allegoryi i dwuznaczników nie rozumie. Nosila trzewiki na korkach, włosy do góry wyczesane i upudrowane, grzebieniem spięte, z jednym lokiem z tyłu wiszącym. Zawsze starannie wysznurowana, mimo łopatki widocznie wystającą; nosila najczęściej ciemne, do figury robione jupki gradeturowe w kwiaty wyrabiane, na długiej czarnej jedwabnej sukni. Nie mając żadnego w domu zajęcia, gdyż apteczka i nalewanie kawy były wydziałem pani kapitanowej, panna podsędkówna najczęściej milcząca z natury i małomówna, wiecznie coś robiła na drutach, siedząc pod oknem i mrużąc gniewnie na wszystko i na wszystkich; nie ruszyła się z swego miejsca do niczego, chyba aby chwycić za klapkę od much, bo wygubienie tego niewygodnego owadu do niej należało: zatrudnienie, które zresztą podzielała z Domicyanem rzymskim cesarzem. Nie wiem, czy ją muchy lubiły, bo co my młodzi, nie kochaliśmy jój wcale; ustawicznie na nas gdyrała, łajęła, skarżyła, i z jój przyczyny nieraz srodze strofowani, a nawet karani bywaliśmy. Moja babka jój nie lubiła, a w częstych jój z panią kapitanową nieporozumieniach, zawsze tej ostatniej stronę trzymała. My młodzi, częste jój figle płataliśmy: to chowając jój drut od roboty, to wypróżniając tabakierkę, lub drażniąc się z jój ulubionym szpicem, który był również zły, kwaśny i mrużący jak jego pani.

Mówiąc o proszowickim domu, nie mogę pominąć czterech podrzędnych, ale ważnych w nim figur. Pierwszą z nich był pan Kaliciński ekonom od lat trzydziestu w służbie swojej pani, prawdziwy typ starych sług, z jakich w każdym domu dawniej był przynajmniej jeden; a jakich dziś naprózno byśmy szukali. Pan Kaliciński nosił się po polsku, miewał złociste pasy od święta, wąs zawieszisty, a jako szlachcic, miał prawo do szabli. Nie miał on nic wspólnego z innemi, a szczególnież dzisiejszemi ekonomami. Nie okradał on swojej pani, ani się panoszył, nie pijał kawy ani wina chyba we dworze, a na śniadanie kontento-

wał się kminkówką lub polewką z piwa. Łagodny i wyrozumiały dla chłopków, nie karał ich dla fantazyi lub w skutku złego humoru, ani ich obdzierał, ani oszukiwał, ale był prawdziwym dla nich ojcem. Drugą z kolei ważną w domu osobą była pani Tuchowska klucznica zła, gdyrliwa, kłótniwa, ale wierna, i bardzo tę wierność wysoko ceniąca. Ludzie, a szczególnie dziewczki dworskie, bali jej się jak ognia. Była kolosalnych jak na kobietę rozmiarów, twarzy czerwonej, połyskującej, nieco ospowatej: ubrana zimą i latem w watowy merynosowy koloru niewiadomego szlafrok z ogromnym pękiem kluczy u pasa. Pani Tuchowska żyła w otwartej ze wszystkiemi wojnie, wyjąwszy z panią swoją, gośćmi i dziećmi: szczególnie te ostatnie bardzo lubiła. Zachowałam ją w pamięci, gdyż mi często przynosiła gomulki z sera, świeże ciasteczka i sucharki. Widzę ją wtaczającą się co rano do sypialnego pokoju *Jasnie pani*, jej postać zadziwiała mnie objętością niemniej jak jej czepek, a jak go nazywała *kornet*, który od święta nosiła, z wielkimi złotemi wstążkami i szeroką petifeniową falbaną, idącą od ucha do ucha przez środek głowy, bardzo wykróchmaloną i sztywną. Po niej następowały jeszcze dwie inne dworu mojej babki figury: panna Szuderska panna służąca, i Wojciech Rzepecki kamerdyner. Pierwsza wysoka, chuda i tak szczupła w pasie, że się zdawało iż się przełamie, z nosem ogromnym i ustami ściśniętymi, wysnurowana jak lalka, wypomadowana jak peruka, loki zawsze w papilotach, bo ich nie miała kiedy zrobić. Panna Szuderska mogła mieć lat około trzydziestu, i wiele pretensyi do młodości; była zawsze w trakcie pójścia za mąż i nieodmiennie za młodszego od siebie; ale z niewiadomej przyczyny, zawsze te zamierzone małżeństwa spełżyły na niczym. Więcej mi jest pamiętnym Wojciech, zrazu lokaj, później awansowany na kamerdynera, Rzepecki, a to z wielu różnych przyczyn. Naprzód w wieczór w szarą godzinę rozpowiadał nam *bajki*, które on *gadkami* nazywał: o słomianym królewiczu, żelaznym wilku, worku sto-dukatowym, po wypróżnieniu zawsze cudownie napełnionym, o obrusie rozwijającym się na każde zawołanie z nakryciem, potrawami na osób dwadzieścia cztery, o wojsku napowietrznem i t. d. Siedząc w sali jadalnej na kanapce, obok wielkiego marmurowego kominka, płomieniejącego żarem suchej dębiny, poczciwy stary trzymał mnie na kolanach, a brat mój i rówieśnik jego Walery Wielogłowski, brat nasz cioteczny



(dziś znany autor kilku dzieł treści religijnej), stali przy nim; i wszyscyśmy słuchali jego opowiadań z nieporównanem zajęciem. Przed laty trzydziestu, powieści ludu nie miały tego poszanowania i wziętości co dziś; wszakże przez wzgląd na długą i wyprobowaną służbę Wojciecha, jego pobożność i nigdy nieposzlakowaną poczciwość, nikt, ani rodzice moi, ani *Mademoiselle Josephine* bona francuzka, tój przyjemności nam nie bronili. Rzepecki posiadał całe zaufanie swojej pani. On sobie zawsze miał powierzone pieniądze na bieżące wydatki, był kasjerem ubogich, zwykle wszelkie datki i jałmużny przez jego przechodziły ręce. Dni wtorkowy i czwartkowy odróżniały się w Proszówkach od innych dni w tygodniu. We wtorek jako dzień targowy, Rzepecki jeździł do Bochni, gdzie skupił całą brykę cacek i zabawek, niby dzieciom na niespodziankę. Była to wszakże z upragnieniem spodziewana niespodzianka, gdyż się co dni ośm regularnie powtarzała; z niemniejszą przecież radością przyjmowaną była. Ktoż może wyrazić nasze zaciekawienie, gdy ładowna bryka we wtorek wieczór zatętniła na dziedzińcu, i zaczęto z niej wydobywać po jednym: lalki, marynetki, konie, wózki, bicze, bębny, pałasze, gospodarstwa, które Rzepecki otulony jeszcze w płaszczu, rozdawał dzieciom z wielką przezornością i sprawiedliwością, aby broń Boże które w dziale ukrzywdzone nie było. Stary gniewał się i lajał, jeżeli jakim wypadkiem pani generałowa przywłaszczyła sobie konia pana pułkownika, albo pan pułkownik mieszał się do gospodarstwa pani marszałkowej; albowiem służąc kiedyś w wojsku Kościuszkowskiem w kompanii Usielskiego, stary wojak tchnął duchem wojowniczym, mustrował codziennie paniczów i każdemu z nich dawał tytuł wojskowy. Walery Wielogłowski jako najstarszy, był panem generałem; mój brat zwał się panem pułkownikiem, mnie zaś jako *dame*, tytułował panią marszałkową. Te hierarchiczne stopnie wywoływały między nami różne nieporozumienia, bo nam bardzo chodziło o utrzymanie rangi; a bywało, że Rzepecki bez miłosierdzia jednych awansował, a drugich degradował: bo prawa do honorów, były w stosunku dobrego prowadzenia się paniczów. Człowiek ten bez wysokich wyobrażeń o wychowaniu, bez mądrych systemów i wielkich zasad, wynalazł najskuteczniejszy sposób do zmuszenia nas do grzeczności, albowiem niczego tyle nie baliśmy się jak *degradacyi*, i dość było nam pogrozić staruszką, aby

nas zmusić do porządku; a mówiąc nawiasem, potrzeba wojskowej karności czuć się w Proszówkach dawała, gdy nas babka trochę psuła i każde strofowanie ze strony rodziców lub nauczycieli, jej zły humor wywoływało.

Dni *czwartkowe* były mniej wesołe dla nas, ale jakże upragnione dla wszystkich ubogich w okolicy: były to dni rozdawania jałmużn na pamiątkę śmierci mojego dziadka, który w dzień czwartkowy poczciwy swój zakończył żywot. Od samego rana w dniu tym, wszystkie zakątki obszernego dziedzińca zajęli ubodzy, chorzy, kaleki o mil kilka czasem przybywający. O samą dwunastą, Rzepecki na ogromnej tacy wynosił przeznaczoną dla nich sumę, i stosownie do wieku i rodzaju kalectwa, pomiędzy nich rozdawał. Zwyczaj ten trwał bez przerwy lat dziewiętnaście, to jest od śmierci mojego dziada, do skonu jego żony. Że zaś moja babka jako mająca dobra w Galicyi, wraz ze wszystkimi współobywatelami, różne losu koleje przechodziła, mianowicie zaś słynną redukcją papierowych pieniędzy, przez którą bardzo wielu obywateli postradało całe mienie: zdarzało się nieraz, że pieniędzy w kassie zabrakło, i we środę w wieczór, a nawet czasem i we czwartek rano nie było ich jeszcze. Biedny Rzepecki, sługa i powiernik pani, bardzo się kłopotał, w głowę zachodził jak to będzie: kiedy zawsze jakaś niespodziewana ręka w pomoc mu przychodziła, czy to przez przybycie kupca na okowitę, na zboże, na wełnę; czy też przez odniesienie zaległego czynszu: słowem, nie było wypadku, aby we czwartek w południe pieniędzy w kassie nie było. Trzeba było widzieć z jaką wiarą, z jakim rozrzewnieniem stary rozповідаł ten prawdziwy cud Opatrzności Bożej: nieraz słyszałam go mówiącego w chwilach jakiejś trwogi lub kłopotu: „*to nie na naszą głowę; Pan Bóg tu radzić musi.*“

Z uczonych zwiedzających Proszówkę, o ile zapamiętać mogę, był Jan Śniadecki i Józef Sołtykiewicz, profesorowie uniwersytetu krakowskiego. Pierwszego bardzo słabe mam wyobrażenie, gdyż powołany do Wilna przez Cesarza Alexandra, opuścił nazawsze Kraków, i już w jego rozkosznych okolicach czasu feryi czyli wakacji przepędzać nie mógł. Zostawił w rodzinie naszej drogą po sobie pamięć przez przyjaźń, jaką ją zaszczycał, i cnoty towarzyskie, o których często słyszeć mi się zdarzyło. Jak mówiono, Śniadecki zwiastował już wówczas, kiedy na wakacje do Proszówek przejeżdżał, człowieka niepospolitego, i tu

gotował materiały do pięknego dzieła „*Geografia astronomiczna*“ którą w lat kilkanaście później w Wilnie wydał. Mówiono, że w piękne nocy gwiazdziste, uzbrojony w podręczne narzędzia astronomiczne obserwował niebo, i spostrzeżenia swoje, siedząc na skale o milę a czasem i dwie od domu, przy świetle stoczka notował. Józef Sołtykowiec bardziej mi był znany, gdyż go często i w Krakowie widywałam, z powodu, że wszyscy prawie młodzi moi krewni B. B. i W.W. na pensyi u niego byli. Pełen dobroci i słodczy w obejściu, z twarzą wesołą i uśmiechającą lubo poważną, nie odstręczał od siebie, owszem przyciągał, a przecież wzbudzał poszanowanie. Jego wychowañcy bali się go jak ognia, a czcili jak ojca. Pensya jego w Krakowie miała najwięcej wziętości i sławy, tak dla dobroci professorów, między którymi sam Sołtykowiec wiele jój czasu poświęcał; jak dla nader ograniczonej liczby wychowañców. Sołtykowiec mało się rodzielał od uczniów swoich; starszych sam czasami wprowadzał w świat dla obeznania ich z jego zwyczajami. Kupił o kilka mil od Krakowa wieś *Harzewice*, gdzie ich w miesiące letnie woził w celu wczesnego obeznania z pięknosciami przyrody, z gospodarstwem, i dla świeżego powietrza.

Przejażdżki nasze do Proszówek zawsze kilka tygodni trwające, odbywały się regularnie dwa razy każdego roku: w epoce św. Józefa, i na święta Bożego Narodzenia. Wszakże moja babka coraz bardziej upadając na siłach, uległszy natarczystem prośbom dzieci; we wrześniu 1817 roku, stała zamieszkanie w Krakowie obrała. Najęto dla niej całe piętro domu dawniej Żochowskiego aptekarza, na ulicy Floryańskiej, wprost hotelu zwanego dziś „*de Russie*“. Po jój sprowadzeniu się do Krakowa, już téż prawie żadnego wieczoru, wyjąwszy dni na przyjęcie u moich rodziców przeznaczonych, w domu nie przepędzaliśmy. Upadające mojej babki zdrowie, nie pozwalało jój wychodzić; a że lubiła bardzo świat, i bez ludzi obejść się nie mogła: dom jój był miejscem zebrania nietylko rodziny i przyjaciół, ale całego towarzystwa; i dlatego zwano ją krakowską, kasztelanową Połaniecką. Wielkich zebrań nie bywało u niej: nie pamiętam nawet, aby kiedy w jój salonach tańczowano; co wieczór jednak zbierało się po kilkanaście a czasem kilkadziesiąt osób. Drzwi u niej bywały otwarte dla każdego: ubożsi i bogaci krewni, równie serdecznie przyjmowani byli. Z osób

téz zwykle uczęszczających, o ile zapamiętać mogą, byli: ksiądz biskup Woronicz, starościna Olbromska, ksiądz referendarz Sołtyk, Józef Sołtykiewicz o którym już wspomniałam; margrabstwo Wielopolscy, Wincenta Gostkowska, Mikołajowie Gostkowsy, pani wojewodzina Małachowska, pani Potulicka. O każdej z tych osób, muszę coś w tych wspomnieniach umieścić, zwłaszcza, że ich nazwiska zkadąd znane, nie mogą być dla czytelników obojętne.

Naprzód zacznę od księdza biskupa Woronicza, którego wizerunek tu podam, nie jak zwykle widzę go opisywanym w mnogich panegirykach; ale w całej prawdzie mojej młodzieńczej pamięci.

Pierwszym dawniejszym wypadkiem, jaki pamięcią objąć mogę, był wjazd Woronicza do Krakowa w roku 1816, gdy przybył obejmować stolicę biskupią, i jego processjonalny pochód na zamek.

Mieszkaliśmy wtenczas na ulicy Kononnej, i z okien mojego pokoju mogłam się przypatrzeć téj uroczystości. Wszystkie władze, instytuta i cechy wystąpili; baldachin nad głową biskupa przybranego w insygnia swojej godności, niesiony był przez obywateli i wyższych urzędników; towarzyszyli kanonicy, profesorowie uniwersytetu przybrani w togi, w assistencyi okiem niedościgłych tłumów ludu zebranego z miasta i dalekich okolic, bo obrzęd ten nabrął większego jeszcze blasku, głośném już w świecie Woronicza imieniem. Jego postać i powierzchowność nosiły cechę talentu i cnót, które go prawdziwie odznaczały. Był wzrostu średniego, tuszy niezbyt szczupłej; rysów twarzy okrągłych, cery bladéj, wyrazu oczu melancholicznego: był zwykle smutny, milczący, wszystko widział smutno i czarno. Był nieco dziwak, a nawet hipokondryk. Zwano go powszechnie *smętoszem*. Postać pasterza-poety, szlachetność i powaga malująca się w każdym poruszeniu; ta ręka unosząca się nad ludem i błogosławiąca mu, głęboką czią każdego przejmowała. W prywatném życiu widywałam go bardzo często. Jego fioletowy ubiór, duży krzyż złoty i gwiazda orderowa błyszcząca na piersiach, rozmowa i ruchy pełne godności i powagi, przejmowały mnie bojaźnią i uszanowaniem, zwłaszcza, że żadna jego wizyta nie obeszła się bez dość ścisłego egzaminu z katechizmu i Pisma świętego. Miłośnik nauk, a mianowicie dziejów polskich, pałac jego w Krakowie tak ze względu fresków, jak różnych pa-

miątek tam zgromadzonych, był prawdziwem muzeum. Budowa tego gmachu sięga jeszcze pierwszych wieków chrześcijaństwa w Polsce: architektura jest oczywiście ciężka, niezgrabna, bez śladu jakiegokolwiek sztuki, jak to bywało w czasach poprzedzających wiek odrodzenia. Woronicz wyrestaurował go swoim kosztem, a mury górnych mieszkań ozdobił freskami pędzla słynnego wówczas Stachowicza, wyobrażającemi główne wypadki i sceny z dziejów polskich. Nie mogę zapomnieć wrażenia, jakiego doznałam patrząc na te wierne obrazy stariej Polski z jej konfederacyami, sejmikami, elekcjami i bitwami; te malownicze ubiory, wasy zawiesziste, głowy ogolone, energiczne rysy fizjonomii dawnych Polaków, a razem ich postawa pełna powagi, dumy i szlachetności. Stoi mi jeszcze w żywej pamięci chwila, w której gospodarz wiodąc mię za rękę, oprowadzał po tych salach, kazawszy mi tłumaczyć sobie szczegółowo każdy ustęp dziejów ojczystych, który mieliśmy przed sobą.

Woronicz zawód swój zaczął od probostwa w Powsinie, i dla głębokiej nauki, znakomitego talentu poetycznego i rzadkiej kaznodziejskiej wymowy, wywyższony na wielkie w kraju tak cywilne jak duchowne godności; umarł w Wiedniu r. 1829, arcybiskupem warszawskim i prymasem Królestwa: godność, którą ostatni-aż dotąd piastował. Mówią, że w czasie jego pogrzebu, Wiedeńczycy pierwszy raz widzieli smutne ceremonie obrzędu tego, i pochodu processjonalnego z ciałem przez miasto. U nas najuboższe klasy ludu, sumiennie cześć publiczną zmarłym oddają; dla krewnych te powierzchowne oznaki ulgi czynią żalowi; dla ogółu są pożyteczne nauką, przypominając nieodzowny koniec człowieka, i marność żądz i uciech tego świata. W Wiedniu wszakże wywożą zmarłych najczęściej wieczorem, w karecie zamkniętej, nienoszącej żadnych powierzchownych oznak swojego przeznaczenia. W czasie śmierci Woronicza, Polacy w Wiedniu bawiący, pamiętni jego zasług, umyślili go pochować z całą okazałością i obrzędami u nas praktykowanymi: to też pogrzeb polskiego prymasa, dodziś dnia jest Wiedeńczykom pamiętnym. I jakże widok trumny nie miał zrobić wrażenia na ludności, która nigdy na ulicy trumny nie widziała?... Leczył wówczas Woronicza słynny Malfatty, lekarz europejskiej sławy; miał on za żonę Polkę, pannę Ostrowską, siostrę Władysława i Antoniego Ostrowskich, która będąc na

kuracyi u niego, tak go pokochała, że wbrew woli familii poszła za niego; ale niedługo się tym związkiem ciesząc, w lat kilka umarła. Malfatty leczył naszego wieszca na chorobę wątrobianą, jakoż się nie pomylił: była to choroba, która ledwie nie od lat młodzieńczych trapiła go prawie bez przerwy, i temu też przypisać należy humor melancholiczny i cierpiący arcybiskupa. Kto wie, czy nie w cierpieniu czerpał owe pełne uroku poezye, które w pismach jego uwielbiamy. Mimo wielkiego daru wyśpiewania wszystkich boleści i katuszy tęsknej za lepszym życiem duszy, nie było podobno człowieka, któryby mniej jak Woronicz talent swój cenil. Rzadko o pismach swoich mówił, jeszcze rzadziej je publicznie czytał. Miał on jedną słabość dość dziwną w człowieku tego usposobienia: od wstąpienia na stolicę biskupów krakowskich, nie przestawał żalić się i utyskiwać, nad czém?... oto nad upadkiem blasku, wielkości i bogactwa biskupów krakowskich. Nieraz w potocznych rozmowach przytaczał napamięć owe przywileje prawdziwie monarchiczne książąt siewierskich; wyliczał miliony złotych dochodu, będącego do ich rozrządania, powagę i blask do téj godności przywiązane; i stękał i płakał nieborak.

Raz w poufnej rozmowie, gdy go przyjaciele nazywali po tytule:

— Nie zwieście mię—wołał smutnie—nie zwieście biskupem, ale biskupiną; bo czemżeto ja jestem w godności i dostatkach w porównaniu z mojemu poprzednikami (1)?!

— Mości księżo biskupie — odezwał się na to jeden z obecnych—zawsze lepiej się masz od apostołów, których całém mieniem była torba i kij; a przecież jesteś dziś ich następcą i przedstawicielem.

Mimo téj słabości, pochodzącej podobno więcej z żalu za przeszłością, jak za osobistemi korzyściami o które niezbyt wiele dbał; Woronicz miał niezaprzeczone zasługi. Obok pra-

(1) Po drugim podziale kraju, księstwo siewierskie przeszło pod panowanie pruskie, a dochody biskupów krakowskich, zredukowane z dwóch milionów do złp. 60,000. Biskup Turski był ostatnim księciem siewierskim. Jak wiadomo, książęta siewierscy mieli przywileje wszystkie udzielnych książąt: mieli prawo łaski i miecza, udzielania szlachectwa, utrzymywali wojska na swym żoldzie, bili monety i t. p.

(Przypis. autor.).

wdziwie genialnych zdolności, był dobroczynnym, a w końcu życia rzetelnie pobożnym. Mówią, ale tego z pewnością zapewnić nie mogę, że przez jakiś czas podzielał błędy masonów, i był wielkim tej sekty zwolennikiem, z czego wszakże miał zrezygnować w późniejszych latach życia.

Ostatnio publicznie widziałam Woronicza, gdy na kilka miesięcy przed śmiercią, koronował Cesarza Mikołaja na króla polskiego, w maju 1829 roku; a widziałam go zblizka, bo z galerii sali koronacyjnej czyli senatorskiej, w zamku. Zachował w tym obrzędzie wiele godności i powagi jak zwykle, ale twarz bledsza jak zazwyczaj i chwiejące kroki, świadczyły o chorobie chronicznej, która nam go wkrótce zabrać miała.

Mówiąc o Woroniczu, uprzedziłam o wiele lat epokę w której się w tych pamiętnikach obecnie znajduje, a chciałabym się o ile możności porządku dat trzymać. Książk Woronicz, który mię nieco dłużej zatrzymał, zastał mnie w salonie mojej babki. Drugą z rzędu figurą pod względem wieku i znaczenia, była w nim pani starościna Olbromska, Dembińska, Morstynówna z domu. Posiadająca jeden z najznacniejszych majątków w Polsce, niepospolitego rozumu, i jak naówczas nauki; starościna trzęsła polityką i interesami województwa krakowskiego, gdzie miała obszerne dobra i w którego stolicy stale zamieszkiwała, w własnym domu na ulicy św. Jana. Przed rokiem 1794 wszystkie wybory urzędników, posłów na sejm, odbywały się pod jej wpływem, i powiedzmy z bolem serca, nie w sposób przynoszący chlubę naszej narodowej reprezentacji. Zaraz po rozestaniu uniwersałów zwołujących sejmiki na umówiony dzień, pani starościna posyłała swojego marszałka z krendensową i kuchenną służbą, do miasteczka powiatowego Proszowic, gdzie najmowano najobszerniejsze jakie można było znaleźć pokoje, zastawiano stoły, beczki stały otworem z winem dla wszystkich bez wyjątku obywateli. Te wspaniałe podejmowanie weszło w konieczny obyczaj: rachowano na niego z całą pewnością, to też nikt z jeżdżących do Proszowic na sejmiki, nie uznawał potrzeby zaopatrywania się w żywność i napoje. Mówiono: „chodźmy na obiad do pani starościny“ jak się zwykle mówi dziś w Warszawie: „chodźmy do hotelu Angielskiego.“ Dlatego pani starościna była pewna swoich kandydatów, i nikt nie pomyślał nawet walczyć z nimi o pierwszeństwo; ale też przyznać trzeba, że tej wziętości nie nadużywała, i najczęściej

wybór jej padał na ludzi ze wszech miar godnych zaszczytu zasiadania w sejmie. W rządach parlamentarnych partya ministerjalna, zwykle potrzeb ludu nieświadoma, kieruje wyborczemi intrygami: tu kierowała niemi, lubo sposobem niekoniecznie prawym, jedna z miejscowych obywaterek, która z konieczności lepiej obeznana była z potrzebami i interesem swoich współobywateli. Co bądź to bądź, pani starościńska nie była pospolitą kobietą. Książd Chołoniewski w dziełku swoim jej pamięci poświęconém („Dwa wieczory u starościny Olbromskiej“) wybornie odszkicował jej obywatelskie i towarzyskie cnoty, uprzejmość, gościnność, szczególnież też opiekę, pomoc i uprzejme przyjęcie, jakich doznawali u niej uczeni, których była przyjaciółką i znawczynią. Nizka, rysów twarzy nieco surowych, wzbudzała uszanowanie, a niekiedy bojaźń. Pamiętne mi są jej dziecinne wieczorki, które czasami dawać lubiła; mniej jednak swobodnie młode pokolenie u niej się bawiło, gdyż się jej powszechnie bano. Widzę ją jeszcze poważnie siedzącą przy kominku i robiącą siatkę, rozmawiającą z starszemi gośćmi, gdy jej ludzie ubrani w niebieską liberyą z kołnierzem amarantowym, kawę i ciastka roznosili. Otoczona zwykle bywała swojemi córkami i wnuczkami, i kilkoma osobami z dalszej rodziny lub przyjaciół, czasowo u niej przebywających. Miała dwie córki z których jedna była za generałem Wielhorskim, ministrem wojny za czasów księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego; a druga wydana została za słynnego Tadeusza Czackiego, o którego życiu prywatnem, a mianowicie sławnem roztargnieniu, wiele się nasłuchałam. Jego żywość i ruchliwość naturalna, wiele się do tego roztargnienia przyczyniały. Był obok tego powszechnie kochanym, a w rodzinie uwielbianym (1). Anegdota o jego roztargnieniu są powszechnie znane: ledwie nie więcej jak zasługi obywatelskie i uczona sława założyciela szkoły Krzemienieckiej. Wspomnę tu wszakże jeden przykład, który mi się nie zdarzyło nigdzie słyszeć ani czytać: opowiadała mi go pani wojewodzina Wielhorska, siostra jego żony. Bawiąc raz w Warszawie za czasów Stanisława Augusta, przyjmował króla u siebie. Wśród przygotowań tego przyjęcia, Czacki, który za-

(1) Pełen dobroci i słodczy w domowém pożyciu, miał trochę ułożenie oryginalne. Ubiór zaniedbany, włosy zawsze rozrzucione, i nadzwyczajna żywość odznaczały go od wszystkich.



wsze zamało miał czasu do zaspokojenia swojej namiętnej żądzы szperania w starych księgach i rękopismach, czytał w najlepsze według swojego zwyczaju wyciągnięty na podłodze twarzą na dół; gdy szwajcar zadyszany, przybiega oznajmić mu, że król się zbliża, i że czerwone mundury eskortującej go gwardyi mirowskiej ukazały się na rogu Miodowej ulicy. Czacki zrywa się czémprędzej z ulubionego swojego legowiska, zrzuca wygodne, acz niebardzo przyzwoite jak na przyjęcie króla ubranie, przyczesuje naprędce rozczochrane włosy, i w wielkim pośpiechu porywa za leżącą na stole wstęgę orderu Orła Białego, którą zawiesza sobie przez prawe ramię, i pewny będąc że jest w całym komplecie swojej tualety, gdy przywdział order, znika z oczu zdziwionego szwajcara i wybiega na schody na przyjęcie króla, którego sześciokonna kareta wjeżdżała właśnie w bramę pałacu. Wystawmy sobie zadumienie obecnych, gdy ujrzeli gospodarza całego w bieli, tojest w koszuli, w sukienkach białych *indispensablach*, ze wstęgą orderową na wierzchu. Król, który znał roztargnienie Czackiego i nieraz się z niego uśmiał, widząc go w tym stroju, wstrzymał duszący go śmiech, i ściskając go za rękę, którą mu podał, i wysadzając z karety:

— Jak się miéwasz mój starosto—rzekł monarcha—ale cóż u kęta dziwnie mi jakoś wyglądasz w tym niezwyčajnym stroju!

Ten żart króla przebudził biednego uczonego, który zobaczywszy się w obecności króla w takim negliżu, pomieszany i zrozpaczony, pobiegł do swojego pokoju dla wzięcia przyzwoitszego ubrania. Dziwnyżto ten rozum ludzki: jak blizki on jest upadku w chwili nawet, gdy zdaje się na najwyższym swęj doskonałości szczeblu! Jakie tu uderzające podobieństwo uczonego do waryata!...

Ten błąd organiczny Czackiego nie odejmował mu w niczém szacunku i powszechnęj czci, jakiej używał wpośród wdzięcznych rodaków. Oprócz powszechnego uwielbienia dla jego cnót i zasług, ceniono w nim może więcéj i powszechnięj tę wadę, bo ludzie mają słabość dla roztargnionych, nie przypuszczają w nich fałszu, udawania, kłamstwa; bo jakże ma kłamać i udawać ten, co połowę swojego życia nie wie sam co robi?...Mówiąc o Czackim nie mogę nie przytoczyć tu powszechnie znanęj o nim powieści, którą słyszałam i czytałam w różnych wersjach najmniej zbliżonych do prawdy. Stosunek familijny

Łączący rodzinę moję z domem starościny Olbromskiej, dał mi sposobność kilkakrotnie słyszeć ją opowiadaną przez samych niemal aktorów téj sceny. Czacki przebywał czasami z żoną w Szczekocinach u pani starościny, matki samej pani Czackiej. Jednego ranku, gdy wszyscy zeszli się na kawę do pokoju pani domu, przyszedł i nasz pan Tadeusz, ale tak blady, drżący i pomieszany, że uwagę a nawet przestрах obecnych na siebie zwrócił.

— Co tobie jest panie Tadeuszu?—zapytała pani starościna—zdajesz z mi się być mizerny: czyś czasem nie słaby?..

— Złe spałem—odręcze Czacki—a przytém miałem zdarzenie tak osobliwe, tak niesłychane, że go nawet opowiedzieć nie umiem, nie śmiem i nie mogę.

To powiedziawszy wstał od stołu i poszedł do swojego pokoju. Proszę sobie wystawić ciekawość wszystkich obecnych. Pani starościna niebawem wstała także od kawy: poszła do siebie i pełna trwogi i niespokojności, zadzwoniła i kazała zięcia poprosić do siebie. Przyszedł Czacki; drzwi zamknął za sobą na klucz, rzucił się na krzesło, a zasłaniając sobie oczy rękami, chwil kilka w głębokim zostawał zadumieniu. Pani starościna siedziała w krześle przy kominku; długo nieprzerywała, ale w końcu nie mogąc zataić swojej niespokojności:

— Trwożysz mnie! jesteś w niezwykłym sobie stanie: coś się dzieje z tobą nadzwyczajnego, co tobie jest?..

— Co mi jest? rzecze Czacki, co mi jest?.. Oto ojca mego dziś w nocy widziałem,..tak, ojca mego zmarłego; widziałem go, mówiłem z nim, dotykałem się go. Nie był to sen, gdyż doskonale pamiętam, że to się działo na jawie. O jakież okropne jego przepowiednie!...Czegoż je mam powtarzać; czyż nie dosyć nieszczęścia gdy przyjdzie!... O jakżebym chciał oddalić trapiącą mię myśl!... Jakoś wczoraj z wieczora—ciągnął dalej Czacki—długo nie mogłem zasnąć: napróżno przewracałem się, oczy zamykałem, gdy nagle zaszeleściła firanka mego łóżka. Pełen trwogi porywam się, i widzę przed sobą wyraźną postać ojca mego. Ubrany był jak go zwykle za życia widywałem; mówił do mnie i mówił dość długo..—Czacki domawiając tych słów umilkł; starościna patrzyła na niego ze współuczuciem mieszaném z trwogą i zadumieniem, ale mu nie przerywała. W końcu Czacki wstał z krzesła, i począł chodzić po pokoju. Twarz blada, oczy czerwone łzami zaszele, nosiły ślady wzruszenia i bo-

leści. W końcu jakby nie mógł przewyciężyć miotających nim uczuć:

— Wątpić nie mogę—rzekł przystanąwszy trochę przed starościna—wątpić nie mogę, że to on, że duch jego zszedł z krain wieczności, aby mi straszne wypowiedzieć proroctwo.

Tu starościna przez traszona, poczęła go zaklinać, aby jój objawił przepowiednie ojca.

— Chceszże wiedzieć malko, dowiesz się, ale uzbrój się w odwagę: *oto wnuk twój ukochany Felix, w przeciągu roku żyć przestanie!*

To wyjąknąwszy nieszczęśliwy ojciec, padł prawie bez przytomności na krzesło. Po krótkiej chwili otrzeźwiwszy się trochę i przebudziwszy jakby ze snu, ciągnął dalej swoje opowiadanie.

Tu Czacki powiedział staroście, że ojciec jego wzięwszy za życia od żyda w Porycku zamieszkałego 500 dukatów, umarł wkrótce niedawszy na tę summę rewersu, i nie zostawiwszy żadnego śladu tego długu ani w papierach, ani w notatkach swoich. Naprózno żyd poszukiwał swojej należyłości u massy, żądającej dowodu, którego tamten nie mógł jój okazać. Otóż owój pamiętnej nocy, starosta Czacki upomniął syna o oddanie tego długu. Jak wielu uczonych, wyłącznie oddających się jednemu przedmiotowi, Czacki nie był pietystą, ale bynajmniej nie dzielił niewiary i bezbożności, tak w modzie między uczonymi owych czasów będącej; wierzył w Boga, w nieśmiertelność duszy, miał religią w poszanowaniu. Głęboko przekonany o prawdzie swojego widzenia, żyda zaspokoił, ale nie lubił mówić o téj nadzwyczajności, bo jój sobie racjonalnie wytłumaczyć nie mógł. Okoliczność ta wpłynęła mocno na humor i swobodę szanownej téj rodziny: czarny ją dręczył smutek, który zamienił się w rozpacz, gdy rzeczywiście według słów proroctwa, Felix Czacki syn pierworodny Tadeusza, ukochany od rodziny, pełen nadziei młodzieniec, w rok później żyć przestał!

Pani Czacka była jedną z najpiękniejszych kobiet swojego czasu. Wielkiej dobroci i słodczy charakteru, pełna uprzejmości, przyjemności i talentu, była prawdziwą ozdobą salonów. Po utracie męża, zamieszkała przy matce w Krakowie, z kąd już prawie nie wyjeżdżała. W roku 1813 zawarła tajne śluby z panem Z.... swym nadwornym lekarzem, z którym później

miała syna. Nikt oprócz państwa W.... obecnych temu aktowi nie był przypuszczony do tajemnicy, i nikt też jęj się nie domyślał: aż do śmierci pani Czackiej, która w testamencie dopiero oświadczyła, że od lat kilkunastu rękę swoją oddała panu Z.... i syna jego przyznała. Co może przesąd nazwiska i związków?! Pani Czacka, która miała dość cnoty, aby się nie usidlić w niedozwolone związki, i miłość swą małżeńskim uświęcić węzłem; nie miała odwagi poświęcić dawne a świeżo zasługami pierwszego męża uświetnione imię, kobiecej sławie i koniecznym pozorom moralności i przyzwoitości. Jęj związki z panem Z. nie były nikomu tajne, a świat nie przypuszczony do tajemnicy ich świętości, miał je słusznie prawo potępić. Takto przesąd, czasowe wyobrażenia, pycha i słabe pojęcie o tém, co stanowi rzeczywisty honor, kładą nas często w najfałszywszem położeniu i w sprzeczności samym z sobą. Powiedzmy na obronę pani Czackiej, że żyła w epoce zbliżka pamiętającej czasy Stanisławowskie, a zatém mającej wyobrażenia o moralności nieco przekrzywione; że zapomniała o tęg ważnęg maxymie: że niedosyć jest czynić dobrze w własnęg przekonaniu, że potrzeba jeszcze nie dać z siebie żadnego pozorug zgorzenia. Inna jeszcze okoliczność zastanawiająca w tym epizodzie jest ta moc duszy i umiejętność panowania nad sobą, w kobiecie słabęg i hołdującęg uczuciu, którego nie mogła przewyciężyć, a która przecięż znalazła dość odwagi, aby się przez lat przeszło 20 tacić, nietylko z miłością, ale z obowiązkiem: boć pani Czacka, albo raczej pani Z. była żoną i matką. Pojmuję, że można zachować cudzą tajemnicę, tęg bardziej pojmuję zachowanie jęj tam, gdzie honor i życie ukochanego przedmiotu może być narażone: nie pojmuję jak czasowe wyobrażenia mogą mieć tyle mocy, aby nietylko nakazać sercu tyloletnie milczenie, ale nawet zastąpić pozorną obojętnością uczucie dość silne, aby też same pozory przemogło.

Synowa pani starościny Olbromskiej, pani Katarzyna, najstarsza z siostr mojeg ojca, poszedłszy za mąż, pojechała do Wiednia, gdzie lat kilkanaście mieszkała. Córka jęj Zofia umarła na suchoty. Przecudnęg urody, była co to nazywają *une beauté magnifique*; rzadko bowiem znaleźć regularniejsze rysy twarzy, połączone z figurą pełną gracyi i majestatyczności. Przed parą jeszcze laty znajdował się w album mojeg matki jęj portret, olówkiem przez nią samą w zwierciadle rysowany, gdzie

się wystawiła trzymającą na rękę prześlicznego baranka. Nie wiem jakim sposobem psotna ręka niewiadomój osoby, drogą tę pamiątkę z księgi, z niewypowiedzianym żalem moim, wydarła. Amelia, trzecia siostra, żyje jeszcze. Jest to jedna z tych anielskich istot, które natura od czasu do czasu skąpo i oględnie stwarza dla szczęścia i pociechy rodzin. Pełna poświęcenia i uległości dla sędziwej babki, nie odstępowała jej do zawarcia powiek, z nosząc nieporównaną cierpliwością marudztwa i zmienny humor schorzałej już w końcu życia staruszki. Bóg przedłużył życie Amelii, aby dał jej do dna wyczerpać wszystkie gorycze tego życia, przez najdolegliwsze straty. Najprzód skończył prawie w jej oczach, bo w domu pani starościny Olbromskiej, ten, z którym dozgonnym miała się połączyć węzłem, Konarski, stryja tego, który ożenił się w Krakowie z córką najstarszą autora słynnego dzieła o Ogrodach, Katarzyną Wodzicką; umarł na rękę rodziny swjej narzeczonej w Szczekocinach. W rok później sama pani starościna wśród łez i starań wnuczki, ostatnie oddała tchnienie. W skutku wyraźnej jej woli na łożu śmierci objawionej, Amelia będąc jeszcze w żałobie, oddała rękę swoję znanemu z zdolności i dowcipu Ludwikowi Dembińskiemu, a synowi pani chorążyny Dembińskiej, którą często w dzieciństwie mojem widywałam. Pamiętny mi jest ten ślub i piękna mowa, którą Woronicz powiedział z tej okazji, łącząc państwa-młodych 1825 roku w kaplicy pałacu biskupiego w Krakowie. Niedługo Amelia cieszyła się mężem swojego serca i wyboru. W lat kilka utraciła go najokropniejszym wypadkiem. Było to w lecie, w którym Ludwik Dembiński miał zwyczaj pić wodę salcerską. Przyjechawszy ze wsi do Krakowa na czas krótki, mieli oboje zrobić tegoż wieczora kilka wizyt. Amelia poszła ubierać się do swojego pokoju, a jej mąż pobiegł na górę wypić szklankę ulubionego napoju. Niebawem daje się słyszeć niezwykajny ruch na schodach, i okrzyk „*Pan umiera!*“ rozlega się po domu. Nieszczęśliwa żona, bezprzytomna wypada ze swego pokoju, leci na górę, i widzi męża leżącego na kanapie, miotającego się wśród śmiertelnych konwulsyi, i oddającego ostatnie tchnienie. Ta chwila jest nie do opisanania, i ona jedna zastąpićby mogła wieki ka uszy. Szczególną jakąś igraszką natury, mąż Amelii był prawie, zupełnie pozbawiony zmysłu węchu. Gdy kamerdyner jego Francuz Detrais odkorkował butelkę

dopiero co przyniesioną ze sklepu, i nalał owęj niby salcerskiej wody w szklankę, poczuł niezwykły zapach i przestrzegł pana; lecz ten nieszczęśliwy z zwykłą sobie żywością porwał za szklankę i wychylił do dna... Niestety! byłato najzjadliwsza trucizna, ekstrakt z gorzkich migdałów, który subjekt sklepowy przysłał mu przez pomyłkę, myśląc, że to woda salcerska!... Ale nie na tém koniec cierpien biednej kobiety. Bóg przedłużył jeszcze jęj żywota, aby widziała w krótkich po sobie odstępach śmierć matki, szesnasto-letniej córki, i dwudziesto-letniego syna, który zginął śmiercią tém okropniejszą, że zginął w pojedynku (1).

Takto: są istoty błakające się po tej ziemi jedynie, aby życie swoje przepłakały, lub je drugim w ofierze niosły. Cała ich pociecha jest pamięć śmierci i nadzieja lepszego życia.

(1) Nie mogąc znieść ani wsi, ani Krakowa, gdzie wszystko jęj przypominało dolegliwą stratę; pojechała na mieszkanie do Drezna, jako będącego niedaleko miasteczka Frejburga, gdzie nieszczęśliwy młodzieniec kształcił się w górnictwie. Mało znacząca przygoda na balu, pozbawiła go życia!... Bóg pocieszył Amelią, zostawiwszy jęj jeszcze dwoje dobrych dzieci, ze wszech miar mogących uszczęśliwić ją; ale na zranione serce nie ma lekarstwa... „Czyż uwierzysz, (pisała do mnie niedawno), że w Górach (jęj majątność) gdzie 20 lat przepłakałam, bawiono się! Cóż robić, nie żyjemy dla siebie, my matki: niech się dzieci nasze bawią póki mogą...”! I święta kobieta, przez dni kilka 70 przeszło osób miała u siebie, tłumiąc łzy i tęsknotę, i uśmiech anielski mając dla gości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KRONIKA LITERACKA.

### Przegląd muzykalny.

- I. Pani Gruszczyńska—Precyoza.—Lalka norymberska.  
II. Czwarty Śpiewnik Moniuszki.—Kujawiak Ig. Komorowskiego.

#### I.

Miesiąc wrzesień obfitym był w nowości na polu sztuki muzycznej. Miłośnicy sceny naszej w tym krótkim przeciągu czasu mieli sposobność podziwiać piękny śpiew pani Gruszczyńskiej, poraz pierwszy na naszej scenie słyszeć się dający, w *Napoju Miłosnym*, najpiękniejszej może operze Donizettego; oceniać niepospolity talent dramatyczny panny Palińskiej, powtórnie po kilku-letniej przerwie w *Precyozie* występującej; a nakoniec usłyszeć nową operetkę komiczną Adama, pod tytułem: *Lalka Norymberska*.

To też teatr bywał przepełniony: wiadome jest bowiem zamiłowanie naszej publiczności do teatru, szczególnie do opery. Wykształcenie muzykalne dosyć u nas rozwinięte jest przyczyną, że na każdą nową operę, publiczność tłumnie się zgromadza. Jestto jedyne miejsce, gdzie muzyka najwszechwładniej panuje. Skutkiem tego, w miarę pojawiających się wyższego rzędu utworów lub artystów, i smak publiczności się kształci. Czém jest pod wielą względami salon dla towarzystwa, tém teatr dla mass. Salon kształci indywidualum: teatr ogół.

Wieleżto spoczywa ukrytych w łonie człowieka uczuć, które tylko czarodziejska moc sztuki poruszyć i do życia wywołać może. Dlatego smutne i twarde jest życie narodów, które sztuk pięknych nie znają, lub ich nie uprawiają; tak jak i człowieka, do którego nie przemówi ten jedyny język, łączący duszę jego z światem nadzmysłowym.

Niepodobna z pierwszych wystąpień sądzić bezwarunkowo o śpiewaku lub śpiewacze; tyle rzeczy jest do obszcrowania już w metodzie śpiewu, już w samej grze artysty na scenie! Bo ażeby śpiewać, niedosyć posiadać głos piękny, chociaż jest to największym przymiotem śpiewaka; lecz kto prawdziwie posiada sztukę śpiewania, ten nieraz z mizernym głosem więcej dokaże od tego, który lubo z pięknym, a należyście użyć go nie umie.

Porpora, jeden z najlepszych nauczycieli w pierwszej połowie zeszłego wieku we Włoszech, zajął się serdecznie jednym młodym uczniem; a widząc w nim niepospolite zdolności, zapytał go: czy czuje w sobie dosyć odwagi i wytrwałości do pójścia sumiennie drogą, jaką on mu wskaże, jakkolwiek przykrą i nudną? Gdy ten przyrzekł święcie słuchać we wszystkiem rad nauczyciela, Porpora dał mu jeden arkusz papieru, na którym były wypisane gammy diatoniczne i chromatyczne, odległości przez tercye, kwarty, kwinty i t. d. trylle, appogiatury i innego rodzaju wokalizacye. Przez cały rok uczeń pod okiem swego nauczyciela z tego tylko arkusza śpiewał; na drugi rok to samo; na trzeci nie myślano o zmianie: uczeń zaczął się niecierpliwic, lecz nauczyciel przypominał mu jego przyrzeczenie. Przeszedł rok czwarty i piąty, a ciągle ten sam arkusz w robocie. Szóstego roku nie porzucono go jeszcze, lecz dodano lekcyje artykulacyi, wymowy i deklamacyi; w końcu tego roku uczeń, który myślał że jeszcze jest w początkach nauki, został ogromnie zdziwionym, gdy mu nauczyciel powiedział „Dosyć mój synu, już wszystko umiesz; jesteś najpierwszym śpiewakiem nie tylko we Włoszech, lecz na świecie całym.” I prawdę powiedział, bo tym śpiewakiem był Caffarelli (1).

Nie takto się teraz dzieje. Dzisiaj jeżeli uczeń przychodzi do nauczyciela, to tylko dlatego, ażeby go nauczył arii, duettu, tercettu, lub téj a téj roli. W niewielu stolicach Europy są szkoły, gdzieby się przez lat sześć uczono śpiewu; za to też tak mało Caffarelich. To prawda, że chcąc téj jednéj nauce tyle lat poświęcić, potrzebaby brać uczniów bardzo młodych, a peryod mutacyi tak krytyczny, może w niwecz obrócić owoce kilko-letniéj pracy.

Na sto młodzieńców, którzy mają piękny głos w dzieciństwie, dziewięćdziesięciu tracą go w mutacyi, lub zaledwie z poslednim dźwiękiem odzyskują. Więc na dziesięciu szczęśliwszych może się znaleźć tylko jeden, co przy pięknym organie posiadać będzie o tyle żywe i głębokie uczucie, ażeby mógł zostać prawdziwie dobrym śpiewakiem.

Lecz jeżeli epoka mutacyi u mężczyzn trudniejszą, za to u kobiet jest bez porównania łatwiejszą, a tém samém mniej nie-

(1) *Curiosités historique, par Fétis.*



bezpieczną. Przez kilka lat tylko daje się dostrzegać pewne zmniejszenie w dźwięku głosowym, lecz później głos odzyskuje całą swą świetność, a nawet staje się piękniejszym aniżeli był przed zmianą. To nam tłumaczy, dlaczego stosunkowo więcej jest kobiet dobrze śpiewających.

Pani Gruszczyńska przy ujmującej powierzchowności, posiada głos sopranowy, miły, dźwięczno-metaliczny, niezbyt mocny, lubo skali szerokiej; naturalne jego cechy przypominają bardzo głos pani de La Grange. Ta sama natura, ten sam dźwięk i rozmiar, tylko że naszej śpiewaczki jest świeższy, a mniej spracowany. Lecz jeżeli tamtej traci na świeżości, za to zyskuje na nadzwyczajnym wykończeniu wszystkich zasobów mechanizmu, których p. Gruszczyńskiej idącej w jej ślady (lubobyśmy sobie tego nie życzyli), jeszcze wiele zbywa. Unikam dalszego porównania, by mię nie posądzono o chęć postawienia na równi tych dwóch śpiewaczek; zresztą p. de La Grange kończy swój zawód artystyczny, a pani Gruszczyńska dopiero go rozpoczyna: z czasem i to może nastąpić, a zatęm ograniczę się w sprawozdaniu li tylko do naszej artystki, jako więcej nas dzisiaj obchodzącej.

Nadzwyczajna giętkość i niepospolite już wykształcenie głosu pani Gruszczyńskiej, pozwala jej z łatwością pokonywać trudne zadania kadencyi, których wiele zastosowała w tej pierwszej roli. Dwa ustępy wsunięte w jej partya, jakoto: Mazurek Nowakowskiego i arya koncertowa dyrektora opery Quatryniego, napisane w celu wykazania mechanicznej biegłości śpiewaczki, lubo dobrze i szczęśliwie odśpiewane, przecięz jasność i czystość pokonanych trudności nie była jeszcze taką, jakiej sobie życzyć należy, i jaka jest koniecznie potrzebną w tego rodzaju utworach. Zapewne, że wypada mieć wzgląd na pierwsze dopiero wystąpienia przed publicznością, a ztąd obawę, brak oswojenia się scenicznego, niedoświadczenie stosunku akustycznego do miejsca i towarzyszącej orkiestry i t. d.: są to ważne przyczyny, których pomijać nie należy, gdy się ocenia artystkę w podobnym położeniu zostającą. Lecz jak strój najozdobniejszego nawet, jest tylko środkiem przypodobania się: tak i trylle, passażę, fioritury i wszelkiego rodzaju wykonane trudności przez śpiewaka, powinny być środkiem, a nie celem śpiewu. Śpiew, owo *Cantabile*, jak Włosi nazywają, ma inne zadanie: idący z pełnej piersi lub delikatnie modulowany, a ogrzany czuciem duszy i serca, jak na wosku odbije się w duszy i sercu słuchacza. W czasie jednej reprezentacji dworskiej za Napoleona I, dawano *Romeo i Julia*; *Crescentini* śpiewając w tej operze, zrobił tak silne wrażenie na słuchaczach, że widziano Napoleona i cały dwór jego płaczących ze wzruszenia, a wiadomo, że wielki ten monarcha, który cały zajęty był burzeniem

i wznoszeniem tronów, nie grzeszył zbytnią czułością. U nas ci, co słyszeli pannę Sontag, z rozkoszą i zachwyceniem do dnia dzisiejszego o niej wspominają, gdy tymczasem trudności jakie de La Grange z instrumentalną prawie dokładnością głosem swym wykonywała, przesliznęły się przez uszy nasze, zostawiwszy krótko-trwałe zdziwienie: zaledwie wyborną a pełną uczucia grą dramatyczną w Normie, cokolwiek o niej pamięci zostało. Dlaczego publiczność nasza tak chętnie spieszy do teatru, gdy Dobrski występuje, a zapal jej do entuzjazmu dochodzi? Oto w śpiewie tego znakomitego artysty jest taka siła ognia, głębokiego uczucia i z taką artystycznością objawiona, że porusza najskrytsze tajniki duszy naszej.

Użycie głosu najlepsze, oddychanie najdoskonalej uregulowane, wszelkie ozdoby najdokładniej wykonane, i co jest rzeczą najrzadszą—intonacya najczystsza, to jeszcze nie wszystko: prawdziwie wielkim artystą jest ten, co potrafi się przejąć charakterem jaki przedstawia, ogniem swój duszy ogrzać i wywołać w nas uczucia, i wnieść je do wysokości, do jakiej się w nim wnieść zdołały.

Takim śpiew być powinien, według naszego przekonania, i po tej drodze pójdzie zapewne p. Gruszczyńska; szeroko albowiem przed nią roztwiera się horyzont sztuki, a posiada wiele do tego warunków. Głos jej, jak już powiedziałem, piękny, obszerny, a chociaż w *Napoju Miłosnym*, jako w komicznej operze, mało było sposobności okazać silniejsze uczucie; to bez zapreczenia obficie je posiada, czego był dowód choć krótko i przelotnie, w akcie drugim téjże opery.

Publiczność nasza, która jest nadzwyczajnie pobłażająca dla debiutantów, poraz pierwszy na scenie występujących, dla pani Gruszczyńskiej była sprawiedliwą: bo rzeczywiście talent jej jest niepospolitym; a gdy nabierze pewniejszej i właściwszej akcji, tudzież gdy wykształci gammę do stopnia jakiego mamy prawo po niej się spodziewać, a pozbędzie się zbytecznego drzenia w głosie: niezawodnie pani Gruszczyńska będzie znakomitą artystką.

Precyoza, melodramat znany od lat wielu na tutejszej scenie, nowy miał powab dla lubowników sztuki dramatycznej z okoliczności wystąpienia panny Palińskiej. Muzyka do niego napisana przez twórcę Frejszyca, zostanie nazawsze wzorem dla wszystkich piszących tego rodzaju dzieła. Największą ozdobą Precyozy są chóry; w sposobie ich tworzenia Weber jest prawdziwie wielkim kompozytorem. W Niemczech są one tak popularne, iż gdzie tylko się zbierze pewna liczba osób śpiewających, niezawodnie chóry Webera muszą być wykonane, a ów sławny strzelców z Frejszyca, nawet u nas powszechnie jest śpiewanym. Dawniejsi włoscy kompozytorowie zaniebdywali w swoich utworach scenicznych tak ważną dzisiaj ozdobę oper

nowszych; pochodziło to z tego, że publiczność włoska nie przywiązywała do nich żadnej wagi, a nawet i do dnia dzisiejszego tak samo się dzieje. Dopiero pierwszy Rameau kompozytor francuzki, w swoich operach dał im większe znaczenie: w jego też ślady poszli Gluck Mehul, Cherubini i Rossini. Ten ostatni w Wilhelmie Tellu podniósł je do najwyższej potęgi. W Niemczech Weber najpiękniejsze w swoim czasie chóry pisał, a te co się w Precyozie znajdują, do arcydzieł tego rodzaju policzone być mogą.

Czy nadzieje powzięte w tych pierwszych wystąpieniach panny Palińskiej, w obecnym u nas stanie sztuki dramatycznej ziszczą się: tego nie wiem; to tylko pewna, że panna Palińska więcej jak ktokolwiek do tego ma prawo.

Trzecią a zarazem ostatnią nowością była operatka komiczna Adama, pod tytułem Lalka Norymberska. Celem jej wystawienia było wystąpienie poraz pierwszy pp. Dutkiewicza i Borawskiego, uczniów szkoły dramatycznej i śpiewu. Czysto francuzki ten utwor. miał wielkie powodzenie przed dwoma laty w Paryżu: jest w nim dowcip, wesołość, życie, muzyczka miła, lekka, zręczna, maskaradowe stroje, tańce, musztra i tak miły Francuzom bęben wojskowy, bez którego rzadko która opera komiczna się obejdzie: jednem słowem wszystko, co tylko w podobnych sztuczkach wymagają. A jeżeli do tego dodamy wyborną grę artystów, nie zadziwi nas wcale, jeżeli takie operetki lubę są Paryżanom.

Oto jej treść. Stary fabrykant zabawek (p. Dutkiewicz) zrobił lalkę, a ufny w zakłęcie doktora Fausta, miał nadzieję dać jej życie, przeznaczwszy ją na żonę swemu synowi (p. Borawski), który natarczywie ojca o to upomina. Potrzeba do tego było tylko burzliwej nocy, w której „puszczyk i sowa krzyczy.“ Chociaż ta lalka robiona była w największej tajemnicy, jednakże Henryk, siostrzeniec starego (p. Ziolkowski), co mu tenże zatrzymał niesłusznie spadek po ojcu, a u którego zajmował się robotą zabawek w fabryce, dopatrzył starego z lalką, i korzystając z oddalenia się majstra z synem na bal w ostatni wtorek, gdy narzeczona jego Berta (panna M. Fruzińska) nie miała się w co ubrać na maskaradę, bo pieniądze pracą oszczędzone, a przeznaczone na kostium biednej umierającej z nędzy kobiecie, oddała; radzi jej wdziać na siebie strój lalki, a sam przebrany po diabelsku, oczekuje, robiąc przygotowania do kolacyi, po której mieli razem pójść na ostatnią maskaradę. Lecz na nieszczęście stary z synem zwrócony z drogi ulewną burzą, powraca do domu; Berta tylko co zaczęła się przebierać, więc wyjść nie może, Henryk zaledwie miał czas naprędce schować się do komina. Stary uradowany z burzy, chcąc pocieszyć zmarłego syna, wyjawia mu nareszcie tajemnicę, że przygo-

ował dla niego żonę bez niczyjój pomocy, i teraz właśnie nadszedł czas do przywołania jój do życia. W chwili gdy wymawia fatalne zaklęcie doktora Fausta, wyskakuje diabeł z komina, na którym w ciągu tej sceny, syn zziębnięty, dla ogrzania się ogień rozpalil. Henryk nie tracąc przytomności korzysta z stroju diabelskiego i z roli do jakiej ogień i dym duszący go zmusiły: oznajmia przestraszonym iż jest szatanem, zesłanym na skutek zaklęcia dla dokonania tego wielkiego dzieła. Tu się zaczyna szereg scen najpocieszniejszych, do których należy i Berta, lalkę udająca. Nakoniec, gdy znudzona tą komedią, dokuczyszwy starem i młodemu, narozbijawszy kosztownych naczyń, mebli i t. d. ucieka do gabinetu, gdzie się przebierała, ażeby wziąć swój własny ubiór i wymknąć się ztamtąd oknem jak najprędzej; stary postanawia zniszczyć lalkę, co mu się tak źle udało, a później zrobić inną słodszeo, łagodniejszego charakteru, i właściwszą dla syna. Syn go wstrzymuje, bo mu się pomimo tylu psot bardzo podobała; lecz ojciec nie słucha, a uzbrojony pałaszem, idzie zabójstwa dokonać. Tutaj potrzeba wspomnieć o ślicznym ustępie muzyki przez same smyczkowe instrumenta wykonanym, wśród którego słyhać łoskot niszczonej lalki. Gdy takowe spełnionem zostało, wchodzi siostrzeniec, lecz już w zwyczajnem odzieniu, i wyjawia struchlałemu wujowi, że przed kilką dniami będąc z natury ciekawym zbliżył się do lalki potajemnie i rozbił ją przez nieostrożność, a obawiając się gniewu wuja, w jej miejsce żywą dzisiaj kobietę posadził. Przerażony tém wyznaniem stary, zaklina siostrzeńca, ażeby milczał, nikomu o tém co zaszło nic nie mówił; lecz ten kładzie za warunek, by mu wuj oddał pieniądze po ojcu do niego należące, a które nieprawnie zatrzymuje. Stary nie chce, Henryk już ma wezwać patrol pod oknem przechodzący, gdy na prośby i przedstawienia syna, oddaje wreszcie pieniądze z zastrzeżeniem, aby uszedł z tych miejsc nazawsze. Henryk woła Bertę, oznajmia jój że ma pieniądze i że się z nią ożeni: stary poznaje w niej owę lalkę, dowiaduje się że go oszukali, i tak się kończy ta pełna wesołego humoru operetka.

Panna Fruzińska posiada wiele bardzo zdolności do ról podobnego rodzaju; w akcji wiele życia, głos mezzo-sopranowy lubo ładny i miłego dźwięku, nieśmiało użyty, zdradza brak wprawy i wyrobienia. Jeżeli panna Fruzińska zechce szczerze nad nim popracować, to szczególnież w podobnych rolach będzie bardzo przyjemną i pożądaną śpiewaczką.

Pan Ziolkowski dobrze wywiązał się z swój roli: grał ją z życiem i swobodą; mianowicie w pierwszej arii „Niech żyje czas młodości“ śpiew był tak śmiały, pełny, dobrze i z werwą poprowadzony, że nic do życzenia nie pozostaje; tylko wszystkie miejsca, gdzie pan Z. mówi na stronie, tak cicho,

prędko, niewyraźnie wymawia, że spektatorowie nie dostyszczą nie mogą, a są bardzo ważne, i nieraz cały bieg intrygi wyjaśniają.

Pan Dutkiewicz posiada zdolności do niższego rzędu ról komicznych; tego rodzaju ról jedyna trudność spoczywa we właściwem zrozumieniu prawdziwej komiczności, i pojęciu, gdzie są jej granice. Otóż panu Dutkiewiczowi jeszcze tego brakuje. Nie tak bo to łatwo być dobrym komicznym artystą, a na pociechę pana Dutkiewicza powiem, iż także nie odrazu Kraków zbudowano. I p. Dutkiewicz takim zostać może: jedyna do tego droga przez pracę i rozważne zapatrywanie się na wzory, których chwała Bogu u nas nie brakuje. Jak wszędzie na świecie, tak i komika ma swoje granice, poza któremi sztuka przestaje być sztuką. Niech pan Dutkiewicz studjuje Żółkowskiego, a przekona się, że w niższego nawet rzędu rolach komicznych, wielki ten artysta umie się zachować na stanowisku godności sztuki. Zresztą, de sublime au ridicule, il n'y a qu'un pas: każdy z artystów miłujących swą sztukę, powinien zawsze o tém pamiętać.

Pan Borawski z czasem może być użytecznym scenie, posiada bowiem przy korzystnej powierzchowności przyjemny głos tenorowy. Lecz intonacja niepewna, brak widoczny wokalizacyi, a ztąd i umiejętnego wydobycia głosu. Są to zarzuty, które pana Borawskiego powinny tylko zachęcić do pracy, a pewnie sam później uzna dzisiejszą ich słuszność.

## II.

O muzyce salonowej czyli prywatnej, wiele możnaby powiedzieć, bo jest kilka miejsc, gdzie liczniej zebrani artyści i amatorowie, wykonywają starannie i z zamiłowaniem utwory najznakomitszych klassycznych mistrzów; lecz mając wzgląd na wiele przyczyn miejscowych, załedwie na tej małej wzmiance nateraz poprzestaną.

Zapowiedziano nam kilka koncertów przeznaczonych na cele dobroczynne; zapewne wielu amatorów i amatek słyszeć się na nich dadzą: więc później damy o nich wiadomość, a teraz przystąpimy do czwartego Śpiewnika Moniuszki, który się nam niedawno okazał.

Moniuszko w dziedzinie muzyki u nas ma ogromne znaczenie. Liczne utwory jego cenione są najwyżej przez artystów, lecz na nieszczęście, nie są tak upowszechnione pomiędzy publicznością tutejszą, jak na to zasługują, i jak do tego mają prawo. Kompozytor, który sam nie śpiewa w towarzystwach

swych pieśni, z trudnością może być znanym: jest to ważna droga do popularności, dlatego prowincye będące bliżej siedliska Moniuszki, więcej korzystają z jego utworów jak Warszawa i jej okolice. Dodać do tego potrzeba jeszcze wysokie ceny śpiewników, i stosunkowo innych pieśni, po większej części zagranicą wydawanych. Kilkanaście naprzykład najlepszych włoskich lub francuzkich romansów, zaledwie takż kilkanaście złotych u nas kosztować będą, gdy tymczasem za podobną liczbę krajowych utworów, kilkadziesiąt zapłacić potrzeba. Wydawcy powiedzą „że to nic dziwnego. bo tam jedną pieśń wybijają w kilku-tysiącach lub więcej egzemplarzy, gdy tutaj zaledwie dwieście lub trzysta sprzedać można.“ Lecz właśnie w wysokięj u nas cenie najmniejszej nawet piosnki, leży przyczyna małego pokopu. Nie każdy może dać trzydzieści złotych za śpiewnik, ale bardzo wielu nabywając każdą pieśń z niego za złotówkę mniej lub więcej, w krótkim czasie i o małym koszcie cały posiadać będą. To dziwna, że tak prostęj i jasnej rzeczy nasi wydawcy zrozumieć nie mogą. Już to zauważała gwiazdka w nrz. 271 Gazety Warszawskiej, która od pewnego czasu nie przestaje kołatać do okrytych pancierzem obojętności naszych wydawców: onato swém piórem potrafiła skruszyć twarde ich zbroje. Można już dostrzedz pewien ruch pomiędzy tutejszemi wydawcami: pp. Friedlein, Sennewald i Bernstein, okazują chęci podniesienia naszej literatury muzycznej; może nakoniec czego się doczekamy, co daj Boże! Bo my tylko jedni na tęg drodze pozostalimy tak daleko. Dotąd polki, mazurki i kontredanse, jedynie miały nabywców; p. Friedlein może cokolwiek więcej od innych uczynił, wydając niektóre mniejsze dzieła Dobrzyńskiego, Nowakowskiego, Lubomirskiego, Komorowskiego, lecz wielu innych niemogąc uzyskać nakładców, zmuszeni są starać się z wielkim trudem o wydanie dzieł swoich za granicą, gdyż tutaj nietylko że z pracy swojej żadnej nagrody ani korzyści obiecywać sobie nie mogą, lecz nawet chcąc cokolwiek wydać, musi się każdy na znaczne wydatki narażać. Ztąd powszechna stagnacya w sztuce i zniechęcenie pomiędzy artystami; a to jest rzeczą niezawodną, że ludzie największemi talentami obdarzeni, potrzebują sprzyjających okoliczności: inaczej zginą nieznani lub zrażeni trudnościami niepodobnemi do przełamania.

Czwarty Śpiewnik St. Moniuszki, wydany nakładem J. Zawadzkiego (cena złp. 30), zawiera w sobie wiele pięknych melodyj, łatwo mogących być upowszechnionemi, wiele bogactwa harmonii, jako też wiele dobrych wzorów za przykład innym służyć mogących.

Aniołek, dosyć dużego rozmiaru pieśń: melodia łatwa, płynna, dobrze obmyślana; akkompaniament jak w wszystkich pieśniach M. staranny, urozmaicony i obfity w piękne zwroty.

Zosia (wiersz Goethego), krótka lecz prześliczna; ta piosnka, jako też Kwiaty i Dary również wielkiej prostoty i wdzięku, najudatniejsze są może z wszystkich w tym Spiewniku. Te trzy pieśni przystępne dla wszystkich, którzy cokolwiek śpiewać umieją, powinnyby się jak najprędzej stać popularnemi.

Nad Rzeką: mniej udatna, pomimo starannego opracowania w akkompaniamencie, niższą jest od poprzednich.

Czary, piosneczka mała, miła i oryginalna. To samo można powiedzieć o następnej Dumce, tylko że melodia jej wydaje się być niedość oryginalną.

Następne, jakoto: Groźna Dziewczyna; Do Pączka; Piosnka Dziada; Marzenie; Rybaczka; Entuzyasta; Znaszli ten kraj? Dzieweczka nad rzeką; Wędrowna ptaszyna: są mniej-więcej ładne, lecz najpiękniejszą z nich jest Miłość, (słowa Walter-Scota, przekład A. Odyńca), w niczem nieustępująca ślicznym swym poprzednikom, jakoto: Zosia, kwiaty i dary.

Najślabszą z wszystkich wydaje mi się być do słów J. B. Zaleskiego: Śpiewak Tęskniący. Kompozytor niewszystkie nawet strofy dopisał do muzyki, bo jest ich sześć, a tutaj tylko trzy znajdujemy; więc każdej należało dać właściwy charakter i koloryt muzyczny. Melodia w niej błada, bez wyrazu, nie posiada żadnej oryginalności: wtedy to najwięcej czuć można, gdy się ją śpiewa bez akompaniamentu. Prawda, że dobry i piękny akkompaniament o wiele podnosi wartość melodi, lecz w pieśniach tego rodzaju, których przeznaczeniem jest jak największe upowszechnienie, melodia powinna łatwo wpływać do ucha, a piękność jej budząc większą sympatyą, snadniej wniknie w tajniki duszy naszej. Nie pojmuję, dlaczego Moniuszko, który nawet dla posledniej wartości tekstów tyle potrafi zlać piękności muzycznych, tak mało miał dla tej pieśni Zaleskiego? A przecież ona warta jest staranniejszego i głębszego opracowania: zdaje mi się nawet, że potężny talent autora Trenów Kochanowskiego, najzdolniejszym jest do jej wyspiewania.

Ostatnie duettino z operetki Cyganie, miła i charakterystyczna kompozycja, podoba się w salonie, a na scenie z towarzyszeniem orkiestry, malującą w właściwszym kolorycie sytuacje dramatyczne, więcej zapewne jeszcze zyskać musi.

Ignacy Komorowski obdarzył nas Kujawiakiem (słowa Gregorowicza, nakład Friedleina). Komu w Warszawie nie znane są pieśni tego młodego kompozytora? Melodye ich tak sympatyczne, rzewne, tyle mają w sobie żywiołu narodowego, że nawet pomimo usterków w formie, jakim niektóre z nich ulegają, piękne są. A i cudzoziemcy pochlebnie się o nich wyrażają. Kujawiak jest ostatniem wydanem dziełem Komorowskiego,

posiada wszystkie zalety poprzednich, a nawet w formie jest więcej artystycznego wykończenia. Ale nie jest on łatwym do wykonania: potrzeba mieć dar autora do śpiewania podobnej pieśni, potrzeba się wsłuchać w sposób w jaki on to wykonywa, tём więcej, że i akkompaniament jest dosyć trudnym.

Lecz co to za życie w tym pełnym właściwego charakteru Kujawiaku! Jest tam rubaszność mazura, gwar karczemnej gawiedzi; a owe miejsce, gdzie starzy wrzekomo młodym przy-  
mawiają:

Co tam młodzież: to junaki,  
Niewarta niucha tabaki.  
My młodemi także byli,  
I śpiewali i tańczyli.  
A że nogi nie statkują,  
Ino w miejscu przytupują,  
Toć niedziw, bo spracowane,  
I zmęczone, sturbowane i t. d.

lub:—Patrzcie kumie! hej! sąsiedzie! Górą nasza! o mój Boże!... z taką prawdą i uczuciem oddane, stawia tę pieśń na czele wszystkich kompozycy Komorowskiego.

Spodziewamy się wkrótce powitać poloneza tegoż kompozytora; jak tylko wyjdzie, nie omieszkamy dać o nim sprawozdania.

M. K.

---

*Obraz słowa polskiego i jego odmian, przez X. P. Semenenke. Poznań. 1852.*

Nikt dotąd nie ocenił pisma wydanego pod powyższym napisem w Poznaniu, jako przedruk z *Przeglądu Poznańskiego* (drukem W. Deckera i spółki, w 4-ce str. 57 z dodaniem tablicy arkuszowej, przedstawiającej obraz odmian słowa polskiego); w szeregu przecież rozpraw o słowie w ostatnich czasach wydanych, lub ocenianych: nie zajmuje ona ostatniego miejsca, bo autor objawia myśl własną i nową, nie kompiluje innych, chociaż może zażył w powagę obcych języków względem naszego wiery. Takim myśлом należy się ocena, jakkolwiek teoria tu podana ani na chwilę nie może być przyjęta; jakkolwiek zapatrzenie się na obowiązki oceny takiej pracy, od zabrania się do oceny odstręcza. Nie na faktach i szczegółach zbudowaną jest nauka języka, lecz na nieodmiennych zasadach, na których jak na podwalinach wznosi się budowa mówni. Dosyć więc różnić się w zasadzie, aby być pewnym, że i rozwój zasad różnić się będzie. W nauce



dwie teorie stać obok siebie nie mogą: waląc zasadę, walimy teorią; cóż na jej miejsce postawi recenzent, wskazany wiecznem przeczeniem przyjmować prace cudze, które się różnią z jego zasadami? Łatwo jest przeczyć, ale smutno przeczyć. W dziele sztuki, po naganieniu ogółu, można odkryć szczególne piękności oddzielnych części; a ganiąc szczegóły, można uznać myśl całości. Tu przeciwnie; po obaleniu zasady, nie nie zostaje autorowi za możliwą pracę, za poświęcenie się przedmiotowi, za myśl własną, i krew i życie, które w swą pracę przelęwa. Ale myśl, wprzód nim w pewnik się rozwinie; prawda, nim do jej poznania ludzie dojdą, w tysiącu faz, w tysiącu kształtów oczom ludzkim przedstawiać się musi: umiemy więc uznać zasługę tych nawet, których błędy potrafimy wykryć, bo oni prawdzie torują drogę, którą nam dalej ubijać przeznaczono; bo człowieka udziałem nie jest nieomyślność.

Uważając za przesadę mówniczy mniemanie, że źródłem słowa jest tryb bezokoliczny, autor przeciwstawi pewnik, że źródło słowa leży w czasie terażniejszym, bo w innych językach każde słowo ma dwa tryby bezokoliczne: dokonany i niedokonany; bo „śmianoby się za czasów Kwintyliana lub Warrona z gramatyka, któryby poważnie dowodził, że słowo: *amavisse* jest słowem osobnem, dokonaniem, a słowo *amare* innem słowem niedokonanem, jak to się u nas ciągle powtarza“ (str. 5). Nie można więc za cechę słowa brać rzeczy, która w niem nie jest pojedynczą. Z pewnika przyjętego przez autora wypływa, że każde słowo, które ma czas terażniejszy, jest odrębnem słowem; te zaś, które nie mają czasu terażniejszego, są odmianami tegoż samego słowa. Drugą prawdą, którą autor za oddzielny pewnik uważa, a która jest tylko prostym wnioskiem z poprzedzającego, jest, że te tylko *przedstawki* („malutkie cząstki mowy dodawane na początku słowa“) (str. 6) zmieniają słowo na inne słowo, które stać mogą w czasie terażniejszym trybu oznajmującego. *Rzucam, rzucę, porzucę*, są więc odmianami tegoż samego słowa; zaś *rzucam, porzucam, przerzucam*, są to różne słowa.

Z tych zasad, czyli z tej zasady wysnuwa się cała praca ks. Semeneńki; aby ocenić ją, a raczej odpowiedzieć na nią, musimy, odstępując na chwilę od przedmiotu rzeczy obecnej, przedstawić szczegół, który nam usprawiedliwienie zdania swojego ułatwi.

Liczba wyjątków przytaczanych w celu obalenia pomysłu p F. Żochowskiego o stopniowaniu rzeczowników, nie jest go w stanie obalić, bo pomysł ten ma zasadę w duchu języka. Pan Żochowski uznaje pięć stopni rzeczownych: *koń, konik, koniczek, konisko, konina*. Ta liczba nie może objąć w sobie całego rozwoju rzeczownika na tej drodze, dlatego przedstawiamy tutaj własne rozwinięcie tej myśli.

Na oznaczenie względów, wyrażanych przez tak zwane stopniowanie imion, używa się trzech końcówek 1) *k*, z samogłoską jakoto: *ek, ik, ak, ka, ko*, na oznaczenie zdrobniałości; 2) *isko*, na oznaczenie zgrubiałości; 3) *ina*, na oznaczenie zniszczałości.

Każdy więc rzeczownik prócz siebie może mieć trzy stopnie, tworzące się przez dodanie powyższych końcówek, a mianowicie: 1) *stolek, stolik, pniak, pieniek, chłopak, dziewczka, szyk, lko*; 2) *stolisko, pniisko, chłopisko, szydlisko*; 3) *stolina, pnina, chłopina (nędzny chłop), szydlina*; ale znowu każdy z tych stopni może z siebie trzy takie stopnie tworzyć, jakoto: *stoleczek, stołeczysko, stołeczyna*; *stoliczek, stoliczysko, stoliczyna*; *pniaček, pniaczysko, pniaczyna, pienieček, pienczysko, pienczyna*; *chłopaczek, chłopaczysko, chłopaczyna*; *dzieweczka, dziewczysko, dziewczyna*; *szydeleczek, szydełczysko, szydełczyna*; *kobiecinka, kobiecinisko, kobiecinina* i t. d.

Idąc dalej powiedzieliśmy, że każdy ze stopni o tak podwojonej końcówce może tworzyć trzy stopnie w tenże sam sposób; np. *dziewczynka, dziewczynisko, dziewczynina*. Przykłady na to są dość rzadkie, albowiem powtarzająca się spółgłoska *k*, mięgcząc (1) się na *cz*, czyni wyrazy nadto szczebiotliwymi, a prócz tego kombinacje znaczeń nie są i nie mogą być tak liczne, jak są kombinacje końcówek. W ustach też chyba matek, do dzieci swoich mówiących, usłyszeć można, ze szczególną pieśczołliwością wymawiane, imiona o potrójonej końcówce *ek*, np. *Janecczek* i t. p. Używalniejsze za to są kombinacje końcówki *ina* z końcówką *ka* lub *ek*, np. *dziewczyninka* i t. p.

Na poważną mowę naszą zbyt może wiele pieśczołliwości jest w tych rzeczownikach: wyraz rozplywa się nieledwie w ustach. Zawsze to bogactwo, którego nam Francuzi, mimo całej delikatności, i Włosi, mimo całej pieśczołliwości mowy swojej, mogą pozazdrościć. Wyraz *dziewczyninka*, nie rażącego nie zawierający, ma aż poczwórną końcówkę stopniową: *dziewka, dziewczka, dziewczyna, dziewczynina, dziewczyninka*. Któż nam bogactwa mowy i zasobów zaprzeczy? Nikt zaprawdę; oby tylko nikt umiejętności korzystania z nich przeczyć nie chciał. Cudzoziemcy uboższe mają mowy od naszej, a do nas po rozstrzygnięciu swych wątpliwości nie spieszą: dlaczegoż dla nas mają być powagą? Czyż dlatego, że w żadnej obcej gramatyce stopniowania rzeczowników nie przyjęto, a przynajmniej nie oznaczono oddzielną nazwą, bo nigdzie tak nie jest rozległe jak u nas: mamy i my nie przyjmować go u siebie, gdy u nas stopniowanie rzeczowników jest najogólniejszym prawem? gdyż przymiotnik w stopniu wyższym lub najwyższym przez stopnie odmieniać się już nie może: rzeczownik przeciwnie: chociaż jest stopniem względem innego, sam z siebie nowe trzy stopnie snuć zdolny.

Najogólniejsze tedy prawo na tworzenie się stopni rzeczownych jest takie: każdy rzeczownik bez względu na końcówkę przybierać może trzy końcówki, nadające mu znaczenie: *zdrobniałości, zgrubiałości* lub *zniszczalności*, t. j. *ek, ik, ak, ka* lub *ko* w pierwszym razie, *isko* w drugim, *ina* w trzecim. Skoro w prawie powieździeliśmy, że przybieranie końcówki dzieje się bez żadnego

(1) Pisownia autora, którą tenże usprawiedliwiał w *Uwagach Mówniczych* umieszczanych w Gazecie Godziennej i Dzienniku Warszawskim, zachowaną została w całym artykule. P. R.

względu na poprzednie zakończenie rzeczownika, mogą się więc na zasadzie tego pravidła stopniować i takie rzeczowniki, które już raz lub więcej przybierały którą z stopniowych końcówek.

Nie zgadzamy się na pewnik autora ocenianej rozprawy, że źródłem słowa jest czas terażniejszy trybu oznajmującego; nie potrzebując obszernie wyjaśniać powodów tej sprzeczności zdania, bo w ostatnich czasach udowodniono dostatecznie, że źródłem wszystkich odmian słownych jest trzecia osoba czasu przeszłego l. pojed., że czas terażniejszy od czasu przeszłego się tworzy. Nie zgadzamy się także na to, co autor osobnemi słowami nazywa, a ku udowodnieniu że mamy zasadę nie zgadzać się, jako jeden z pomocniczych środków posłuży nam wyżej rozwinięta teoria stopniowania rzeczowników, której poświęciliśmy obszerniejszy ustęp, bo w ten sposób żadna gramatyka jej nie rozwija.

Podział na części mowy więcej ciała zapewne, niż ducha języka się tyczy. Dowodem tego, między innymi, jest przedstawiony wyżej, a stopniowaniem nazwany rozwój rzeczowników. Żadna z odmian tam wskazanych nie jest połączoną ze zmianą istoty rzeczy, którą pierwotnie wyobraża rzeczownik; a przecież *stół* i *stolik* uważamy za odrębne rzeczowniki. z których każdy ma swoją odmianę. Rzeczownik może się rozwinąć na stopnie, i otrzymamy z niego kilkanaście innych rzeczowników, z których każdy zarówno jak pierwotny stać może w pierwszym przypadku. W rzeczowniku więc jednym może być tak samo kilkanaście przypadków pierwszych liczby pojedynczej, jak w słowie trybów bezokolicznych; a jak w rzeczowniku istota rzeczy przy żadnej odmianie się nie zmienia, tylko przypadkowy względ tejże jest różnym: tak i w słowie, istota czynności przez odmianę stosowną trybu bezokolicznego się nie zmieni, ale jej sposób się zmienia. Czemuz za różne części i mowy mamy *dobroć* i *dobry*, *czyn*, *czynny* i *czynić*, *słodycz*, *słodki* i *słodko*, kiedy tu duch, istota rzeczy w pierwiastku leżąca, zawsze też sama, tylko względ różny? Odpowiedź na to pytanie leży w twierdzeniu naszym, że podział na części mowy więcej ciała niż ducha języka się tyczy; twierdzeniu prawdziwem wtedy, jeżeli przez wewnętrzną część wyrazu rozumiéć będziemy znaczenie w jego pierwiastku leżące, a przez zewnętrzną względy w jakie to znaczenie końcówka przyodzięwa.

W przymiotnikach *biały* i *białawy* istotą przymiotu jest *białość*; pierwszy w większym, drugi w mniejszym stopniu ją posiada, i to także różnica powierzchowna i przypadkowa: istota rzeczy też sama. W słowach *czernieć* i *czernić* istotą czynności jest *czernienie*; w pierwszym tylko podlegamy mu, i wola nasza nie ma na nie wpływu, w drugim zaś sami jesteśmy działaczami. I to przecież względ przypadkowy, który istoty rzeczy się nie tyczy, bo czy bez swojego współdziałania *zczerniałem*, czy też mnie kto *po-czernił*. skutek jest jeden, bom *czarny*.

Ztąd też nie zgadzamy się z mównikiem, który chce widziéć nietylko zewnętrzną część mowy, ale i głębiej sięga badaniem,

a przecież twierdzi, że słowa *rzucam* i *przerzucam* są zupełnie odrębne. Nigdy nie powiemy, żeby odrębnymi były te wszystkie rzeczowniki, któreśmy mówiąc o stopniowaniu imion rzeczownych z jednego wyprowadzali. Odmiany więc dzielą się także na rodzaje, i tak: przymiotnik odmieniać się może: 1) przez stopnie: *długi, dłuższy, najdłuższy*; następnie: 2) każdy stopień przez rodzaje, wreszcie 3) każdy rodzaj każdego stopnia przez liczby i przypadki. W ten sposób od jednego przymiotnika *długi* tworzy się 126 odmian, których na żaden sposób mównik za odrębne uważać nie może; bo pojęcia stopnia wyższego bez równego nie ma; bo we wszystkich tych odmianach jeden wspólny pierwiastek do jednego sprowadza je źródła. I czyż dlatego, że z każdego prawie przymiotnika 126 się ich rozradza, ma mównik wszystkie te względy w jeden splecać i twierdzić, że wszystkie razem jedną przymiotnikową odmianę stanowią? Tak nigdybyśmy do ładu nie doszli.

Rzecz sama nicby na tém nie straciła, ale straciłaby nauka, straciłby systemat. To, cośmy wspomnieli o stopniowaniu rzeczowników, o stopniowaniu i rodzajowaniu przymiotników, rzucamy tylko jako echo swojej myśli zasadniczej, przez którą, gdyby ją tu obszernie rozwinąć było można, i gdybyśmy do jej rozwinięcia byli zupełnie przygotowani, doszlibyśmy do przekonania, że przytoczona wyżej odmiana rzeczownika przez stopnie, liczby i przypadki, lub przymiotnika przez stopnie, rodzaje, liczby i przypadki, jeszcze w rzędzie odmian mówniczych za oddzielną i skończoną w sobie samą uchodzić nie może.

Aby choć pobieżne mieć o tém przekonanie, dość spojrzeć na jakibądź pierwiastek, jak on wszedłszy w mowę razem z jej początkiem, rozrodził się w niej, przyjął wszelkie możebne końcówki, lub do ich przyjęcia zdolnym się okazał; jak scharakteryzował się różnemi odcieniami znaczeń, tak dalece, że nieraz podobieństwa dwóch wyrazów tej samej rodziny trudno dostrzedz. Naprzykład wyrazy: *serce* i *środek* mają wspólny pierwiastek, pokrewną końcówkę, a przecież różnią się tak dalece postacią! Komu trudno dostać się do źródła, ten widząc że *serce* zmienia się na *serduszko* a nie na *sercuszko*, gotówby ten wyraz za bardzo nieprawidłowy uważać, albo też zawioskować z niego, że mównicy się mylą twierdząc, że *c* na *d* się nie zamienia, tak jak z wyrażenia: *świeca świeci świetnie* wnoszono, że zamiana *c* na *é* i *t* jest właściwą językowi polskiemu; kto zaś z wyrazów *serdeczny, serduszko* i t. p. będzie umiał poznać, że *serdem* etymologicznie *serce* pisaćbyśmy powinni, i że tylko dla trudności wymawiania do opuszczenia *d* przyszło; że *serd* to *śred, śród*: przekona się, że *serce* i *środek* tę tylko mówniczą mają różnicę, że pierwsze z końcówką *ce*, drugie z *ek* się łączy, że w pierwszym w skutek połączenia jedna głoska się opuszcza, że w *sercu* pierwiastek w innym istoty swojej jest objawie.

Nie mamy powodu błąkać się po labiryncie odmian i odmianek. bo wszystkie odmiany spojć można w jedną wielką odmianę pierwiastku przez końcówki z nim się łączące, a w tój dopiéro odmianie dostrzegając bliskości związków jednych końcówek z drugimi, różne postanowić działy. Jak w układzie roślin za błądzićbyśmy musieli, przechodząc bez systematu od rośliny do rośliny, bez rozłożenia ich na rodzaje i klasy; tak błądzimy i w mówni. W odmianie pierwiastku przez końcówki leżycyły, systematyczny łańcuch odmian, leżą nby pokolenia tego pierwiastku, całe jego drzewo rodowe (genealogiczne). a ostatniem ogniwem tego łańcucha, liściami tego drzewa są dziś żyjące istoty, dzisiajsze nasze, różne postacią i za odrębem części mowy uważane, wyrazy.

I znowu rozwijając pomysł Żochowskiego, nim swój o odmianie pierwiastku przez końcówki z dostateczną jasnością i ścisłością przedstawić będziemy mogli; wskażemy, że ten ród, z pokolenia pierwiastku wyszły, biorący za wspólny objaw czynność lub stan, oddzielną część mowy, słowem zwaną, stanowiący, rozwija się w mowie naszej z niezwykłym innym językiem bogactwem: że chcąc spleść wszystkie odmiany naszego słowa, inaczej mówiąc: wszystkie słowa z jednego pierwiastku wyszłe, w jedną odmianę. i podać wzór tój odmiany, niepodobnych rzeczy chcemy. Autor ocenianej rozprawy byłby tój chęci, której urzeczywistnienie za niepodobne mamy, gdyby nie wyminał się z myślą, że słowa *rzucam* i *przerzucam*, chociaż mają czasy terażniejsze, jako z jednego powstałe pierwiastku, nie są obcemi sobie słowami.

Autor *Mówni* słowa polskie podzielił na 4 rodzaje, t. j. na słowa pierwotne, różnokierunkowe, częstotliwe i jednochwilowe; np.

siedzieć, siadać, siadywać, siaść,  
drgać, drygać, drygiwać, drgnąć.

W tym podziale nie mieści się to wszystko, co się mieścić powinno: obok słowa *siedzieć* nie ma słów: *sadzić, sadzać, sadowić, sadawiać* i t. d.; obok *drgać* nie ma *drzcć, drygnąć, drgiwać* i t. p. a miejsca na te słowa brakuje. Nie pomysłu to wina, ale systematu. My podzielimy słowa polskie podług końcówek na 4 działy:

1) Słowa *nijakie*, końcówka główna *ć*: *siedzieć, drzcć, widzieć, bielć*. Tych więc słów są dwa rodzaje, jedne *nijakie* stanu, drugie przejścia w stan. Stan oznaczają: *siedzę, drzę, widzę* (trzecia osoba *widział*, liczba mnoga *widziemy*): przejście w stan: *bieleję*.

2) Słowa *czynne*, pierwotna końcówka główna *ić*: *sadzić, bielić, widzić (odwidzić), sadowić*.

3) *Jednotłowe*, końcówka główna *ąć*: *siaść, drgnąć, drygnąć*.

4) *Wielotłowe*, końcówka główna *ać*. Te dzielą się znowu na dwa rodzaje:

a) *Wielotłowe* o tle kierunkowém, czyli *różnokierunkowe*, końcówka główna *ać* i *wać*: *siadać, sadzać, sadawiać, drgać, drygać, bielać (pobielać), widzać (odwidzać) bielować, drzewać*.

b) Wielotłowe o tle czasowem, czyli częstotliwe, końcówka główna *ywać, iwać: siadywać, drgiwać, drygiwać, widywać, a wreszcie jako wzór tworzenia przytaczamy nieużywane: bielewywać.*

Ostrzegamy, że nie miejsce tutaj wspominać o wyjątkach od ogólnego prawa, o słowach o odrębnej końcówce do któregoś bądź z powyższych działów należących, a należących dla właściwej przyczyny, którą nietrudno będzie, przy rozwijaniu tej myśli, gdy do tego przyjdzie, wykazać: albowiem zwykle leży ona w zewnętrznej słowa budowie.

Każdy z tych działów, różnych znaczeniem i końcówką, ma wiele poddziałów, ze względu na tworzenie się słów weń wchodzących; nie można twierdzić, że słowa: *drżać, drgnąć, drgać, drygać, drgiwać, drygiwać* są różnymi słowami, skoro istota czynności lub stanu zawsze w nich jedna; nie można przecież spleść ich w jedną konjugację, bo chaotyczna taka konjugacja by była.

Jak więc w każdym systemacie naukowym, tak i tutaj ostatnie ogniwo łańcucha odmian za ostatni i odrębny objaw brane być powinno. Każde słowo mające tryb bezokoliczny, każdy przymiotnik lub rzeczownik mający pierwszy przypadek, uważamy za oddzielne słowo, za oddzielny przymiotnik lub rzeczownik, jak ciała kopalne w układzie Wernera, jak rośliny w układzie Linneusza lub Jusieu'go. I tu i tam wolno nam przyznać, że ten ostatni objaw ma jeszcze odmiany; ale tak już podobne, że ich ani na chwilę rozłączyć niemożna. Tak więc rzeczowniki odrębne odmieniają się jeszcze przez przypadki, słowa przez czasy i osoby.

Tu leży źródło opozycji naszej przeciw konjugacji ks. S. wyprowadzonej z zasad, że źródłem słowa jest czas terażniejszy, i że przedstawki, które nie mogą znajdować się w czasie terażniejszym, słowa danego na inne słowo nie zamieniają.

Autor dostrzegł, że przedstawki *po* i *na* najrzadziej stoją w czasie terażniejszym, i ztąd, prócz formy czasów dokonanych i niedokonanych, wprowadził czasy pełne, przez przybranie *po* i *na* się tworzące. Ubóstwo mowy naszej widziałby w tej okoliczności, że w konjugacji greckiej są czasy tworzące się za pomocą przedstawków (używamy słownictwa autora), a w naszej takich czasów nie ma; a że przekonany o bogactwie tej mowy, musi więc tej okoliczności zaprzeczyć. To prawdziwy przesąd mówniczy, bo i różnica jednych od drugich, jednych lub drugich bogactwem jeszcze nie jest, i brak tego, co nam niepotrzebne, ubóstwem nazywać się nie może.

Wszystkie słowa dzieli autor na dwa wielkie działy: na te, które czas przeszły dokonany tworzą przez dodanie przedstawka, i inne, które go tworzą przez wewnętrzne skrócenie samogłoski.

Czas tedy terażniejszy jest: czynię strzelam

Czas przeszły niedokonany: czyniłem strzelałem.

Po czasie przeszłym niedokonanym nie idzie zaraz czas przeszły dokonany: *uczyniłem, strzeliłem*, lecz następują, owe wspomniane wyżej, czasy pełne.

Pierwszy z nich, który nazywa autor przeszłym pełnym pierwszym czyli *przedsobnym* (*objectivum*), jest: *poczynilem, postrzelałem*; drugi, tworzący się przez przybranie przedśłówka *na*, nazywa się przeszłym pełnym wtórym czyli *wsobnym* (*subjectivum*) (1) i ten jest: *naczynilem, nastrzelałem*.

Nakoniec czas przeszły dokonany: *uczynilem, strzeliłem*. Słowo według autora ma po 4 takie objawy każdego czasu, t. j. zaprzeszłego i przyszłego w trybie oznajmującym, trybu rozkazującego, czasów przeszłego i przyszłego w trybie łącznym, który autor tak nazywa dlatego, że on sam raczej łączy się z innymi zamiast inne łączyć ze sobą (str. 14). Takież same 4 objawy ma tryb bezokoliczny, i tryb nieosobisty oznajmujący i łączny. Zbiór tych odmian razem z imiesłowami stanowi formę czynną. Końjugacja, jak z opisu widzimy, ogromna.

Każdy czas autora, prócz terażniejszego jest czworaki; zmienmy tylko porządek czasów w jego wzorze, a otrzymamy najprzód końjugacją niedokonaną z czasem terażniejszym, później pełną pierwszą i drugą, a wreszcie dokonaną. Nie będą to bezgłówki, jak chce autor, bo głową i źródłem wszystkich odmian słowa jest trzecia osoba czasu przeszłego, a czas przeszły w każdym znajdować się będzie; nie będą słowa oddzielne, skoro jeden mają pierwiastek, ale będą różne odmiany słowa: tak jak *piękny* i *piękniejszy* nie są różnymi przymiotnikami, bo tylko większą lub mniejszą moc jednego wyrażają przymiotu, a przecież mają oddzielne odmiany.

Ale języki, jako wszystkie ludzkie, i wszystkie z jednego źródła początek biorą, wszystkie też są do siebie nawzajem podobne. To też i w obcych językach o wiele ułatwiłaby się nauka gramatyki, gdyby w niej końjugacja niedokonaną oddzielono od dokonanej. Obce języki w większej części mniej są bogate od naszego; przetwarzanie się pierwiastków nigdzie nie przedstawia tylu odmian, tyle różności, co u nas; końcówki nigdzie nie są tak

(1) Powodem do takiego przetłómaczenia *objectivum* i *subjectivum*, ma być niesmak jaki rodzą wyrazy: *przedmiotowy* i *podmiotowy*, lub *miotowy*, zapewne przez przypomnienie *wymiotów*. Za panowania klasycyzmu w epejach i tragedjach, pisanych zawsze górnym, deklamatorskim, traicznym stylem, wstawionych łączeniem wyrazów w najdziwniejsze zbiegi, aby górno lotność słodko-płynnych rymopłotów, jeżeli nie natchnieniem, to zimną, mechaniczną szluczką wydobyć: Jowisz *miotali* pioruny swojego gniewu, a bohaterowie, *miotani* burzą nieszczęść, upadali pod gromami Zeuksa, — i nie przypominało to *wymiotów*. Dziś, kiedy język książkowy zgasł niepowrotnie, kiedy w mowie zapanowała prostota, kiedy przekonano się że każdy wyraz jest dobrym, byle był dobrze użytym: na co się przyda ta odrażająca swem wymuszeniem nerwowość, spazmatyczność uszów naszych? Pojawiła się ona nie w porę: strzegący się *miotów*, *przymiotów* i *przedmiotów* przestarzałości przekonani dowodzą; pieniądz to już wyarty i wyszły z obiegu. *Miot* jest pierwiastkiem w mowie naszej, jest rodzicem mnóstwa wyrazów polskich, które najwybredniejszego nie obrażą ucha, i nie wolno nim *pomiatać*.

bogate i tak możliwe do składania. Nauka ich mowy jest prostszą od nauki mowy naszej, o ile są jednorodne, o ile, nie będąc zbiorem mów różnych, różnorodnymi prawami się nie rządzą: to też zastosowanie tej myśli byłoby daleko widoczniej ważne w innych językach, jak w mowie naszej. Dziś rzucamy tu myśl tylko, zostawiając jej obrobienie nieodległej może przyszłości; a teraz pilno nam dalej.

Nie bez przyczyny powstajemy na zbytęcną obszerność formy czasowania, jakiej wzór ks. S. przedstawia, oprócz trudności zachodzących bezpośrednio w jej nauczaniu się, wiedzie ona za sobą mnóstwo trudności w składni, wymaga mnóstwa drobnych prawidełek, a nieskończoną prawie trudność w ustanowieniu następstwa czasów przedstawia. Weźmy za przykład słowa, które w czasie terażniejszym mogą się składać z przedstawkami *po* i *na*, np. *wstaje* i *powstaje*, *daje*, *podaje* i *nadaje*. Są to słowa różne, obce sobie, podług teorii autora, a przecież czasy przeszłe pełne słów *wstaje*, *daje* są: *powstawałem*, *podawałem*, *nadawałem*, a czasy przeszłe niedokonane słów *powstaje*, *podaje*, *nadaje* są takie: *powstawałem*, *podawałem*, *nadawałem*. W jakież subtelne rozgraniczenia odcieni znaczeń wdawać by się musiała składnia, gdyby na takim wzorze czasowania się oparła, kiedy sam autor czyniąc o tym zbiegu nawiasową uwagę (str. 31 i 32) różnicy tych znaczeń nie określa.

Ale i czas zaprzeszły pełny 1-szy od słów *wstaje* i *daje*, zbiega się z czasem zaprzeszłym niedokonanym słów: *powstaje*, *podaje*, i brzmią oba: *powstawałem był*, *podawałem był*. Tak samo i zaprzeszły pełny 2-gi słowa *daje*, będzie taki sam jak zaprzeszły niedokonany słowa *nadaje*. Ten sam zbieg powtórzy się w czasie przyszłym, powtarzać się będzie i dalej; a po cóż składnia rozróżniać ma rzeczy, ani na jotę nie różniące się między sobą?

W przywiedzionej wyżej uwadze swojej o tym nie zwraca autor bacności na to, że takie zbiegi aż nadto wyraźnie wykazują dowolność, a więc i bezzasadność stanowiska obranego przez niego.

Byt czasu zaprzeszłego w języku polskim uznaje ks. Semeńko, i to jest jeden z ważniejszych jego błędów mówniczych. Zkąd ten błąd powstał, że go tak powszechnie przyjęli mównicy, poznać i wskazać nie trudno. Jest w słowie naszym czas warunkowy, złożony ze słowa posiłkowego i czasu przeszłego: *byłbym robił*, *byłbym zrobił*, ale czasu *robił był*, *zrobił był*, *był był* nie ma. Tej sztucznej z obcej mowy naśladowanej formy nie usłyszcicie w ustach ludu: znana jest ona gramatykom i ich uczniom tylko. Swoboda języka naszego pozwala zamiast *byłbym robił*, mówić *robiłbym był*, ale trzeba pamiętać, że dla utworzenia tego czasu łączymy z trzecią osobą czasu przeszłego, czas warunkowy słowa posiłkowego, a chcąc na wzór tego (jak postąpiono) utworzyć czas zaprzeszły *był był*, *robił był* musimy łączyć czas przeszły z przeszłym. Nie rozprawiam o tym jak się to wyda w językach obcych, lecz w naszym będzie to *masło maślane* i nic więcej.



Na bierną postać naszego słowa przedstawia autor podobną co do obszerności i układu konjugacją, lubo przyznaje, że najczęściej używamy sposobu biernego, bo *łatwiej i zgrabniej* inaczej go nam wyrazić. (str. 22). Jednoznaczne to wyrażenie z tém twierdzeniem, że słowa nasze nie mają oddzielnój formy biernój, tylko imiesłowem biernym i słowem posiłkowym ją zastępują. Chętnie zgodzilibyśmy się z autorem na zdanie, którego nie wyjawil wprawdzie, ale które jak z pracy ocenionėj widac, podziela, że cokolwiek w naszej mowie jest niełatwem i niezgrabnem, to niepotrzebnie sztucznie wprowadzono w nią. Te czasy zaprzęszłe wszystkich prawie mówników, ta strona bierna autora, należą do tych sztucznie wprowadzonych szczegółów. To zaszczipiona ospa, która jak ospa jest chorobą: ale tę ma tutaj słabą stronę, że od chorób przyszłości nie zabezpiecza. Czasu zaprzęszłego prawie nigdy, a strony biernój, odrębnej, jaką ks. Semeneńko uznaje, nigdy nie usłyszecie z ust ludu: to też i w wykształconych mowie wyglądają jak owe z zamorza południowe rośliny w naszej zimnej strzefie. lub jak nasze cieplarniowe owoce, otrzymane wysileniem ogrodniczėj sztuki, pozbawione dojrz łości i smaku. Obcy to przybysze, co ani naszego stroju, ani naszych zwyczajów przejąć nie chcą; nie wiemy też do czego zdalni, gdzie się nimi posługiwać i wyręczać: lepiej doprawdy byłoby im bez nas, ale nie gorzej nam bez nich.

Chociaż śmiech współczesnych Kwintyljana lub Warrona nie doszedł jeszcze do powagi dowodu, użyję przecież tego wyrażenia, którego autor ocenianėj broszury używa; tak, śmianoby się zapewne za owych czasów z gramatyka, któryby przyznał, że jaki szczegół, jaka odmiana jest niełatwą, niezgrabną, barbarzyńską w łacinie, a później był tój odmiany za jedno z bogactw mowy uważał. A śmianoby się i dziś, bo gdzież tu loika?

Bierną postać naszego słowa w czasie terażniejszym tak autor przedstawia:

palonym, palonam, palonem,

palonyś, palonaś, paloneś.

palony, palona, palone i t. d.

Odmiana powyższa (mówi autor) nie jest przypadkowym złożeniem imiesłowu *palony* i słowa *jestem*, ale jest złożeniem organicznem, żywotnem: tak jak *byłem, kochałem* i t. d. czemu bynajmniej nie przeszkadza sposobność oderwania zakończenia właściwego tym odmianom, i postawienia go gdzieindziej; i jak te ostatnie odmiany są dokładnemi formami czasów przeszłych, tak: *palonym, palony* i t. d. jest dokładną formą bierną słowa (str. 23 i 24).

Najłatwiej nam przekonać autora, jak dalece się myli, biorąc: *palonym, palonyś, palony* i t. d. za postać bierną naszego słowa. Nie usprawiedliwi go tu przykład sposobu mówienia biernego w dalszym ciągu przytoczony: *Adam zgrzeszył i cały rodzaj ludzki potępiony; dopiero krwią Chrystusa zgladzona wino i odkupieni wszyscy*. Nie są to bynajmniej imiesłowy, jak twierdzi autor, lecz

trzecie osoby czasu przeszłego biernego: *potępionym, potępionys, potępiony; zgladzonym, zgladzonyś, zgladzony* i t. d.; gdyby to były imiesłowy, zdanie nie miałyby żadnego sensu, jak o tem łatwo się przekonać, tłómacząc to polskiezdanie na inny język (str. 26). Dalej tłómaczeniem francuzkiem dowodzi autor tego co wyrzekł, i twierdzi, że próżno ktoby chciał odpowiedzieć, że w naszym języku domyśla się przy tych imiesłowach słowa *jestem*, a w innych językach nie domyśla, bo dlaczegóż ta różnica? Oto odpowiedź: domyśla się u nas, bo to nie są imiesłowy, ale czasy biernie: nie domyśla się w innych językach, bo tam nie są czasy biernie, ale imiesłowy (str. 26) My przeciwnie sądzimy, że gdy potrzeba (a to rzadko) nam używać formy bierniej, używamy zawsze imiesłowu i słowa posilkowego *być*; że końcówka tego słowa z imiesłowem łączy się przypadkowo tylko, a żadnej organicznej, żywotnej całości nie stanowi: bo gdyby przyjęta przez autora odmiana była osobną, organiczną całością, w takichże samych prawach znalazłoby się i:

pięknym, pięknam, pięknem,  
pięknyś, pięknaś, piękneś.  
piękny, piękna, piękne i t. d.

a jakiegoż to słowa bierną będzie postać?

Imiesłów jest tu w prawach i przywilejach przymiotnika, bo jest przymiotnikiem, lubo od słowa pochodzi: może nawet stać w szóstym przypadku, tak jak przymiotnik:

palonym'em palona'm palonem'em  
palonym'esz palonaś palonem'es i t. d.

jakkolwiek ta odmiana nie jest wcale z harmonją mowy naszej zgodną; i nie dziw też, że ją słyszeć można tylko w ustach silących się na obdarzenie naszej mowy formą bierną: tak też samo może być i w przymiotniku: np. *bardzo pięknaś*, i *bardzoś piękną*.

Kiedy więc zarówno przymiotnik jak imiesłów może się łączyć ze słowem posilkowym w ten sposób, że po opuszczeniu *jest*, końcówka przystanie do przymiotnika lub imiesłowu: czy można za oddzielną żywotną, organiczną formę bierną słowa polskiego, które z tych połączeń uważać?

Co nam po tej organicznej niby i doskonałej samej w sobie stronie bierniej, skoro bez niej łatwiej i zgrabniej obejść się możemy? skoro wszystkie względy jakie ona wyraża za pomocą słowa posilkowego i imiesłowu wyrazić umiemy.

W osobnym ustępie rozróżnia autor jeszcze dwie postacie naszego słowa, z których jedną nazywa *samodzielną*, drugą *zaimkową*. Przytaczamy tu ich określenia słowami autora: w postaci *zaimkowej*, którą możnaby równie nazwać *czynno-bierną*, osoba słowa jest najprzód czynnikiem, a potem swoim własnym biernikiem, to jest, że swoją czynność jako *wsób* działający wywiera na siebie samą, jako na *przedsób* też samą czynność znoszący. W postaci przeciwnie *samodzielną*, którąby równie nazwać można *biernoczynną*, osoba jest najprzód biernikiem znoszącym jakąś

czynność, ale wnet tę czynność odebraną przemienia na własną, i staje się teź czynności odebraną czynnikiem, *wsobem* działającym tą odebraną i bierną czynnością (str. 28). Kiedy mówię *palę siebie* jest to samo, co inne języki zaimkowo wyrażają: *je me brûle, ich brenne mich, comburo me* i t. d. Osoba czynna obraca swą czynność na siebie samą. Ale kiedy mówię: *palę się*, wyrażam nie czynność która przechodzi w bierność, ale bierność przechodzącą w czynność, czynność przezemnie przyjętą, coś, co się ze mną dzieje, a nie co sam sobie robię (str. 28 i 29).

Zgadamy się na różnicę znaczeń przez autora podaną, a usprawiedliwioną (str. 27) licznymi przykładami; nie przystajemy jednak na to, aby z zaimkiem: *siebie* słowa polskie tworzyły oddzielną formę. Wzór tej formy musiałby chyba być taki:

albo tak:

biję siebie, ciebie, go,  
bijesz mnie, siebie, go  
biję mnie, ciebie, siebie  
bijemy siebie, was, ich  
bijecie nas, siebie, ich  
biją nas, was, siebie,

biję siebie  
bijesz siebie  
biję siebie  
bijemy siebie  
bijecie siebie  
biją siebie.

a takim nie jest, bo każda taka odmiana odrębne zdanie stanowi. Zdanie w którym *miotnik* się domyśla *biję siebie* jest zdaniem oddzielnem, tak samo jak *biję konia, chwale ciebie*, zdanie skończone; tak samo jak *chwale Władysława*, zaimek więc *siebie* zastępuje tutaj rzeczownik (1), a że to jest czynność zaimkowi właściwa, odrębnej więc formy wcale nie stanowi. Mamy tylko oddzielną słowa polskiego postać: *kocham się w kim, biję się z kim* i t. d. tę właśnie którą autor samodzielnie nazywa. Jak powiedzieliśmy, zgadzamy się na rozróżnienie znaczeń tych dwóch postaci, choć nie zgadzamy się na to, żeby druga z nich, t. j. podług autora *zaimkowa*, była oddzielną formą w naszym języku; ale na wspomnianą różnicę znaczeń zgadzamy się tylko z tem zastrzeżeniem, że często *siebie* zastąpionem być może bez błędu przez *się*, choć w takim razie nie stanowi jeszcze formy, którą autor samodzielnie nazywa. Nie ma na przykład błędu w wyrażeniu: przez rozmyślnie czytanie złych książek *zepsujesz się* i zgubisz na zawsze, (str. 29) chociaż autor każe pod obawą błędu wyrażać tę myśl przez *siebie*. *Się* nie stanowi tu formy samodzielnej, jest to skrócenie *siebie*, i pełni czynność tego zaimka, zastępując imię osoby i będąc przedmiotem zdania.

Ostatni a najdłuższy ustęp swojej rozprawy (str. 33—54) przeznaczają autor na objaśnienie tworzenia się czasów. W tym

(1) Często się trafia czytać lub słyszeć błędny sposób mówienia, który jak tutaj brzmiałby: *zastępuje rzeczownika*. Błąd ten poszedł z z mylnego wzięcia przyp. 4 za 2gi. Dobrze mówimy: *zastępuje Władysława*, ale źle: *zastępuje rzeczownika*, bo w pierwszym razie jest przyp. 4 jak być powinno, w drugim 2gi bez zasady. Dowód na to w rzeczownikach żeńskich: nie mówi się przez drugi przypadek *zastępuje pani*, ale przez 4ty *zastępuje panią*.

celu w tej osobie liczby pojedynczej czasu teraźniejszego wynajduje pierwiastek słowa. i na otrzymanie go potrzebuje aż 4 prawidel; tak więc słowa *kocham* pierwiastek jest *kocha*. słowa *leję*—*le*, słowa *ciekę* *ciek*, *kraję*—*kraj*, *leczę*—*lecz*. Cały ten wykład mimo skutecznych po części usiłowań w celu uczynienia go jasnym i łatwym. dość jest zawikłany, a prawa, któremi się rządzi, dość dowolne.

Nie znaleźlibyśmy tutaj objaśnienia różnicy słów częstotliwych na *ywać* i *iwać* zakończonych, od słów na *ać* się kończących, ani różnicy słów *widzieć* i *widzić*. Pisownia autora nie rozróżnia *musiemy* od *musimy*, *gnieć* od *gnij* i t. d. Autor nie korzystał z gramatycznych prac polskich, pod względem więc pisowni—czym w teorii słowa pozostał w tyle, mało się za Kopczyńskiego wysuwając, pod względem teorycznym wznosił swoją teorią zbyt zawikłaną i trudną, przepelnioną przesadami mówniczymi o czasach zaprzeczonych i stronie biernej; wznosił teorią, która się przyjąć nie może, bo jej systemat mylny, zamiast upojedniania, upraszczania roboty, w ogromną pracę ją zamienia. Są szczegóły, które autor widział jasno i dobrze, które mu zaszczyt przynoszą. Że teoria autora w jego pojęciach jest prostą i jasną, nie dziwimy się, bo to jego myśl własna; że ją przedstawił, o ile przy jej zagmatwaniu można było, najjaśniej, za zaszczytny dlań szczegół chętnie uznajemy. Ale tego nie dosyć. by teorią przyjąć.

Teoria słowa polskiego dziwnie jest prosta i łatwa. Nieporządek jaki w tej części grammatyki autor dostrzega (str. 1) jest urojonym. jeżeli rzecz względnie do innych części mowy brać będziemy. Owszem słowo nasze po rozprawach, jakie nad niem w ostatnich czasach stoczono, przedstawia się dziś jasno i świetnie, w pełnej prostoty teorii; choć i dziś zaprawdę różnobarwna obwódka połamanych światła otacza brzegi obrazu i dokładnie ich dopatrzeć nie daje, ale winą tego jest, że nie mamy jeszcze lunety zupełnie achromatycznej do uważania zjawisk mówniczych. Przyjdzie czas, że w znajomości innych słowiańskich języków, w dokładnem oznaczeniu mówniczego stosunku cudzoziemców do nas, znajdziemy to szkło, przez które wszystkie światła i cienie językowej naszej dziedziny, wszystkie jej brzegi i granice z obczyzną dokładnie będziemy mogli ujrzyć. I codziennieśmy bliżej tego czasu.

Jedno z prawidel na tworzenie się imiesłowów wywołuje uwagi autora nad tłómaczeniem na język polski przymiotników łacińskich zakończonych na *bilis*, *ivus* lub *osus*: na przykład *amabilis*, *activus*, *odiosus*. Na tworzenie się odpowiednich polskich podaje następne prawidło: „przymiotniki możności, właściwości, tworzą się zwykle od słowa w jak najkrótszej postaci wziętego, do jakiej je można przyprowadzić, przez dodanie zakończenia *ny*. Za takie więc przymiotniki uważa autor: *bacnyj*, *śmiesznyj*, *czujnyj*, *strasznyj*, *palnyj*, *skocznyj*, *chwytnyj*, *spójnyj*, *budownyj*, *czarownyj*, *kosztownyj*, *pokutnyj*, *ślubnyj*, *pilnyj*, *kupnyj*, (str. 52 i 53); za wyjątko-

we co do zakończenia uważa autor: *jadalny, mieszkalny, czytelny, pociéralny, namaszczalny, wybieralny, dotykalny, krzykliwy, płacziwy, jąkliwy, piskliwy, chrapliwy, wrzaskliwy, gadatliwy, fukliwy, tkliwy, życziwy, pogardliwy, popędliwy, żarliwy, burzliwy, cierpliwy, uszczypliwy, lekliwy, mściwy, kryjomy, znikomy, widomy, znajomy, rodzinny, twórczy, śledczy, badawczy, zachowawczy, pojednawczy* i t. d. Zaprawdę wyjątki liczniejsze będą od prawidła.

*Amabilis* na zasadzie swego prawidła radzi autor przetłómaczyć przez *ukoszny*, na wzór *rozkoszny*.

Nie wdając się w porównywanie znaczeń wymienionych łańciskich przymiotników z naszymi, boby to zadaleko nas zaprowadziło, powiemy tylko, że autor zgrzeszył przez połączenie pod jednym prawem wszystkich tych końcówek, które każdy prawie pierwiastek w większej części pojedynczo przybierać może, bo każda inne nadaje znaczenie. Każdy czuje różnicę między *jadalny* i *(z)jadliwy*, między *czujny* i *czuwalny*, *chwytny*, *chwytalny* i *chwytliwy*, *kupny* (t. j. ten, który kupiono) i *kupowalny* (ten, który można kupić, którego istota nie sprzeciwia się temu) *widny*, *widzialny* i *widomy*, *twórczy*, *(s)twarzalny* i *(cudo)twórny*, *znajomy*, *(roz)znawalny*, *straszny* i *straszliwy* i t. d. Od *kochać* trzy takie przymiotniki się tworzą *(roz)koszny*, *kochalny* i *(roz)koszliwy*. Różnica znaczeń tych przymiotników jest tyle jasna i widoczna, że uwagi nad nią dla skrócenia, i tak już zaobszerniej rzeczy, pomijamy.

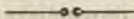
W końcu oceny podnieśćby i nam wypadło sprawę, którą autor w *domówieniu* (str. 54) do swojej rozprawy podnosi. Idzie tu o powstanie języków. Autora szczególniej obraża myśl, że już po stworzeniu ludzi, i z ich łona, bez gwałtownego współdziałania zewnętrznego, języki wyszły, bo w pomieszaniu języków na wieży Babel, widzi nietylko poetyczną legendę, ale najczystsza i najświętsza prawda. Ale każda prawda, każda zdobycz ludzka w dziedzinie wiedzy, wyda się nam tak dziwaczna, jak autorowi myśl naturalistów o powstaniu języków, jeżeli do jej przyjęcia przystąpimy bez należytego przygotowania, jeżeli nie rozumiejąc jej zechcemy sądzić o niej. Legendę o wieży Babel obalić najłatwiej, nie potrzebując do tego wielkiej rozumowania siły. Jak wszyscy ludzie od jednego człowieka, tak wszystkie języki od jednego języka pochodzą; im dawniejszą weźmiemy epokę, tym podobniejszymi się staną narzecza jednych szczepów językowych, naprzykład języki słowiańskie. Był czas, kiedy Słowianie wszyscy jedną mówili mową, kiedy inne plemiona, dziś różnemi mówiące narzecza, jednego także używały języka. Z rozrodzeniem się ludzi, rozrasta się mowa, bo z każdego języka tworzą się prowincjonalne narzecza. Im głębiej spojrzymy w starożytność, tym mniej znajdziemy języków, tym podobniejsze jedne do drugich, aż nakoniec dojdziemy do przekonania, że naonczas ziemia cała miała jeden język i jedną mowę (Gen. XI. 1.), że ta jedna mowa z rozmnożeniem się ludzi i obraniem odległych siedlisk, wpływem klimatu i innych okoliczności, jak sposobu życia naprzy-

kład, musiała się rozwinąć na oddzielne narzecza. Gdyby wola boża pomieszała języki na wieży Babel, nie tak rozwijałyby się mowy, bo różnica między językiem polskim a ruskim naprzykład od onego czasuby datowała; czyż na to rozum pozwala?

Rozum zaprawdę przyjąć każe, że Bóg tworząc człowieka, nie stworzył pierwszego języka, tej matki mów ludzkich, nie wlał z wyrazami pojęć o czynnościach i rzeczach, jakich ów człowiek nie widział i przez całe swe życie nie miał widzieć, ani też bezdusznych, bo pozbawionych znaczenia dźwięków mu nie dał, na oznaczenie rzeczy, które z lat upływem miał poznać. Bóg rozmawiał z pierwszym człowiekiem nie ludzką mową, lecz językiem ducha, głosem sumienia: kto inaczej twierdzi, ten materyalnie pismo tłumaczy. Podług tegoż Pisma Sgo, człowiek pierwotnie był sam, po cóż mu mowa kiedy był sam? Mowa jest wpływem towarzystwa i począć się musiała pomiędzy pierwszą parą ludzi, i wyrażać najpierw uczucia. Miłość jest matką mowy, jak matką śpiewu słowika, mówią naturaliści; my dodajemy ze swojego mówniczego stanowiska patrząc, że rozum jest ojcem mowy. Mowa powstała pomiędzy ludźmi, i powstać mogła bez zewnętrznych przyczyn, bo Stwórca obdarzając człowieka organami głosu, w budowie ich i całego jego ciała umieścił prawa niezienne, z których płynie to, że na wydanie pewnych uczuć, pewnych wrażeń głos ludzki podobne zawsze wydaje dźwięki. Porządnym zbiorem takich dźwięków jest mowa ludzka, która, jako mowa istoty obdarzonej rozumem, od wyrażania uczuć przysię musiała do oznaczenia nazw rozmaitych rzeczy, a wreszcie do nazwania oderwanych pojęć i czynności.

Tyle tylko o tej rzeczy uważamy za stosowne powiedzieć, prosząc o przebaczenie, że tym krótkim ustępem poważaliśmy się wyjść z granic swojej specjalności.

*Wł. Sabowski.*



## ROZMAITOŚCI.

---

### *Legenda o ucieczce Samuela Koreckiego z niewoli tureckiej.*

(Wyjątek z tomu XV Roczników kościelnych Baroniusza, dopełnionych przez Abrahama Bzowskiego, i z tacińskiego na język polski przełożony.)

Niktby się nie domyślił, że dochodząc źródła branego na świadectwo pewnych faktów z wieku XVIIgo, to, co miałyby znaleźć w porządku chronologicznym pod r. 1617 lub 1618, napotka daleko wyżej opowiedziane, bo pod r. 1383, i to nie z powołania, ale jakby nawiasem, jakby zdarzenie pobożną wiarą jedynie wsparte. Tak gdybyśmy idąc za wskazówką Niesieckiego lub Siarczyńskiego, szukali potwierdzenia owych faktów w naszym Bzowskim pod epoką właściwą, odeszlibyśmy z niezaspokojoną ciekawością: traf ledwie naprowadza nas na wiadomość, gdyśmy może pragnęli pewnego światła co do zdarzeń pod rokiem 1383, albo latami blizkiemi. Taką systematycznością źródeł naszych w istocie więcej się zaciemniają, niż wyjaśniają dzieje. Gdyby przynajmniej bez względu na porządek w latach, można poledz bezpiecznie na opisach, jakoby z ust samegoż działacza czerpanych; ale i co do wiarogodności tych opisów, ujrzymy w zamieszczającym się tu niżej wyjątku z Roczników Bzowskiego wiele do powiedzenia. Nie śmiemy nawet owemu świadectwu historycznemu innego nadać tytułu jak pobożnej legendy, jużto że Bzowski z powodu fundacyi księży Paulinów w Częstochowie i przeniesienia obrazu Panny Maryi z Bełzu na Jasną Górę, wylicza cuda w tém miejscu od kilku wieków doznanawane, a za 26 cud kładzie wyzwolenie księcia Samuela Koreckiego z niewoli Carogrodzkiej w r. 1618; już że wszystkie cechy wewnętrzne tego opisu, legendy tylko mogą nosić charakter. W zamknięciu więcej o tém świadectwie historycznym powiemy. Te-

raz przedewszystki<sup>em</sup> ów ustę<sup>p</sup> z R<sup>o</sup>cznik<sup>o</sup>w dajemy w dosł<sup>o</sup>wnym przekładzie:

„Ze wszech miar na obszerniejsze zasługuje opowiedzenie“ mówi Bzowski „co się w roku 1617 zdarzyło księciu Samuelowi Koreckiemu, potomkowi wielkich książąt litewskich na Rusi, z niewoli carogrodzkiej więc<sup>ej</sup> za pomocą Najświętsz<sup>ej</sup> Panny, do któr<sup>ej</sup> prog<sup>o</sup>w w Lorecie i na Jasnej G<sup>o</sup>rze się ofiarował, nizeli przemysłem ludzkim w wigili<sup>ę</sup> ś. Katarzyny męczenniczki, wyzwolonemu. Powód niewoli był następujący.

„Dwaj książęta, rzadkich przymiotów młodzieńce, synowie Jeremiasza Mohiły wojewody wołoskiego, te<sup>ż</sup>e prowincyi prawni dziedzice, dwie rodzone siostry dwom wslawionym bohaterom (1): księciu Michałowi Wiśniowieckiemu i księciu Samuelowi Koreckiemu, na towarzyszki życia w związek dozgonny oddali; to mając g<sup>ł</sup>ównie na celu (jak wieść powszechna niosła), ażeby księztwo dziedziczne, przez Turków sobie wydarte, za wdaniem się krewnych, w sztuce marsowej biegłych, odzyskać. Nie omyliły ich te<sup>ż</sup> nadzieje. Książęta bowiem krwią i sposobem myślenia zbliżeni (choć mimo woli króla) spisawszy liczne wojsko, pomyślnie w mnogich bitwach z Turkami się zwarli, zamków i miast wiele na wrogu zdobyli, a w 21 spotkaniach więc<sup>ej</sup> jak 100,000 Turków i Tatarów (2) na placu położyli. Wkrótce pot<sup>em</sup> Wiśniowiecki morow<sup>ą</sup> gorączką (febre pestifera) dotknięty, z niezmiernym swoich i całej Wołoszczyzny żalem, życie zakończył, i dalszy ciąg wojny na barkach Koreckiego oparł. Ten przecie<sup>ż</sup> nie zrażony zgonem towarzysza, ruszył na nieprzyjaciela i tak dalece go przycisnął, iż w rozpaczającym położeniu poseł od Turków (c<sup>h</sup>auszcaduceator) do Koreckiego wyprawiony został, z obietnic<sup>ą</sup> pozostawienia m<sup>ł</sup>odych książąt przy dziedzictwie, jeśli tylko on (Korecki) broń włoży do pochwy, a wojsko rozpuści. Nie do-

(1) Podług Bzowskiego, małżeństwo książąt naszych wołyńskich, należałoby datować po zgonie Jeremiasza Mohiły, zatem po r. 1608. Każąc jednak dwom braciom stanować o wyborze dla sióstr swoich związków, zapomina o dwóch innych siostrach: o najstarsz<sup>ej</sup> zwłaszcza Marvi, za Stefanem Potockim będąc<sup>ej</sup>, o któr<sup>ej</sup> wiedząc, osnowę textu swego musiałby zmienić. Lecz genealogii domu Mohiły nie znał oczywiście.

(2) Wolelibyśmy tu racz<sup>ej</sup> imiona owych miast i zamków mieć wyszczególnione, jak owe hyperboliczne liczby trupów. cięciem pałasza położonych, w które uwierzyć trudno. Ale to była metoda liczenia, nie jednemu tylko Bzowskiemu w onym wieku właściwa. Nikt się te<sup>ż</sup> może z czytelników spóczesnych nad temi hyperbolami nie zdumiewał. Byłoby echo leśne w skałach łamane; ale bez znaczenia. Gdyby był jednak Bzowski miał tę powieść od samegoż Koreckiego rzeczywiście, wskazałby nam przynajmniej drogę jego pochod<sup>u</sup>, na któr<sup>ej</sup> owe zamki leżały, a przy których 21 bitew zwycięzkich stoczyć można było. Do poświadczenia przecie<sup>ż</sup> te<sup>j</sup> liczby bitew, zdają się heraldycy nasi mianowicie wywoływać Bzowskiego.



trzymał jednak obietnicy Turek. Za ledwie bowiem (1) książę dozwolił rozejść się wojsku, w nieprzeliczoną cęgę, albowiem w sześćdziesiąt i więcej tysięcy Turków, Tatarów i zdrajnej Wołoszy, na rozbrojonego prawie uderzyli. Można jeszcze było do trzech tysięcy rachować tych, co przy Koreckim zostali. Szlachetny jednak i dzielny umysł w najtrudniejszych nawet razach rozpaczając nieumiejący, przeciw takiemu nawałowi dziczy stanął odważnie: owszem upomniawszy swą garstkę, by raczej śmierć ponieść, a niżeli wpaść w ręce nieprzyjaciela, dał hasło od bitwy. Walczono przez trzy dni całe z najpotężniejszym oporem, nie bez nadziei nawet zwycięstwa. I zwycięstwo to byłoby się przeważało niewątpliwie, gdyby wróg w tej chwili dział ciężkich nie sprowadził, które poczęły rwać tabor i okopy nasze. Gdy nie została w końcu żadna droga do ocalenia, Korecki, który dla niepoznaki wdział był na siebie odzież prostego żołnierza, pojmany został, a wspaniałością marsowej postaci zdradzony, zawiedzion do Carogrodu w tryumfie, i do najgłębszej turmy wrzucony. Za zbliżeniem się do stolicy, chcąc okazać prowadzonego w tryumfie tak znamienitego jeńca, włożono nań odzież dostatnią, na pysznego rumaka go wsadzono, a przydawszy dla przepychu znamiona książęce, jako wspaniałego jeźdźca (choćby niektórzy pieszo prowadzonego widzieć woleli), przywiedziono z uroczystą pompą przed krużganki pałacu sultańskiego, a całe miasto, baszowie i sam sułtan w oknach dających widok na zewnątrz, zbiegli się dla ujrzania nieulekłego bohatera, z dobrą myślą postępującego. Zapytywali go baszowie i inni dostojnicy dworu, z czyjego umysłu zbrojny wtargnął do Wołoszczyzny: czy z polecenia senatu królewskiego wojnę wydał Turkom; ile i jakich żołnierzy w swoich szeregach przed walką liczył; co mu obiecywano, gdyby pomyślny skutek był jego zamiary uwieńczył? Na te wszystkie pytania odpowiadając z twarzą nieustraszoną, wspomniawsze pokrewieństwo, w którego obronie stanął, zaprzeczył wiadomości króla i senatu polskiego o przedsięwzięciu swoim, owszem rzekł śmiało, iż bez rozkazu, bez rady i przyzwolenia niczyjego do Wołoszczyzny wkroczył. Na to cała prawie starszyzna turecka okrzyknęła, pochlebnych przytęp nie szczędząc wyrazów, aby się wyrzekł wiary katolickiej (2). Ale gdy nadto

(1) Skrócenie wojny do tak małego obrębu czasu, jest może największym niedostatkim w opowiadaniu kronikarza naszego. Tyle innych świadectw, i zresztą samo podobieństwo do prawdy, walczy przeciw temu. Lecz znajdują się po nim pisarze, którzy w ciasniejszych jeszcze ramach zawrą ten obraz.

(2) Najważniejszy może interes co do osoby Koreckiego ginie w tem opowiadaniu kronikarskiem, to jest zmiana wyznania, jako skutek rozmyślań samotnych w turmie, może wspomnienie naprzykład nawrócenia brata swego Jana Karola w więzieniu sztokolmskiem, albo skutek wpły-

poczęli obiecywać bogactwa, zaszczyty oraz godności, tak dla niego, jak dla następców jego: odparł z oburzeniem, iż woli zginąć, niżeli Bogu i ojczyźnie się przeniwić. Dodał owszem, iż dziwno mu słyszeć podobne namowy z ust dygnitarzy, tak wysoko u swego pana postawionych, którzy nawzajem, gdyby ich los podobny spotkał, aniby wyrzec sobie nie dozwolili rady, wyrzeczenia się przesądu swego. Odmawiającego przyjęcia wiary Mahometa, cesarz turecki, lubo nie mógł utaić podziwu stałości, odprowadzić kazał do zamku, o szóstą staję (szósty kamień) od Carogrodu nad Bosforem położonego, i wtrącić do więzienia, które tak dalece pośledniem zwać się nie mogło, gdzie polecił go zakuć w pęta żelazne, 60 funtów wążące. Nakazując przez swego przystawę czuwanie nad bezpieczeństwem jego życia, miał nadzieję Turek złamania go wreszcie długotrwałością czasu i niewoli, i nakłonienia do islamizmu. Od niczego dalszym nie mógł być Korecki, lecz dla utwierdzenia w tej swęj przygodzie umysłu, prosił o dozwolecie sobie godzinek do Matki Boskiej, różańca i obrazu Bogarodzicy, oprócz ksiąg innych pobożności chrześcijańskiej, czego mu nie odmówiono, i dziennymi oraz nocnymi modłami myśl swoją rozrywał, a z najmocniejszą ufnością w pomoc owęj Matki Boga, ślubował pielgrzymkę do Loretu i Jasnej Góry, miejsce poświęconych Orędownicze i Oswobodziciele więźniów, jeśli go uchowa od niebezpieczeństwa duszy i ciała. Wysłuchała go ta Pani, niezwykłą mocą krzepiąc jego serce, ażeby albo nie upadł, albo się rodu swego nie zaparł, Natchnęła postanowieniem szukania rad i obmyślenia środków, na rozbrojenie zjadłości barbarzyńskiej, zuchem z pęt nie wyjdzie. Radą było, owe dziwnęj grubości kraty żelazne, troistym rzędem w oknach ustawione, przełamać i z wierzchołka wieży się spuścić. Pomoc miał mieć od pewnego Francuza (1), od dziewięciu już lat w niewoli zostającego, któremu Turek, względ mając na znamienitość więźnia, pełnić przy nim posługi dozwolił. Dopomogły pieniądze, których dostarczył za wiedzą

wów katolickich duchownych, którzy z nim między kratami więzienia mogli mieć styczność. Bzowski posuwa zapomnienie swe dalej, jak z następnego ciągu i żądań ksiąg do nabożeństwa widzimy. Wszystko to złane dziwnym sposobem w całość, podobnie jak tyleż innych szczegółów, jednostajnym kolorytem powleczonej. A przecieżyby z tego, chociażby dla wiadomości dawniejszych i późniejszych polemików się okazało, że nie było *ostatni z Koreckich*, ów brat Samuela, Jan Karol, (jak ktoś dzisiaj jeszcze twierdzi), który przyjmował za panowania Zygmunta III wiarę katolicką.

(1) Proszę uważać, iż Francuz z Grekiem u naszego opowiadacza nieraz się w czynności mieszają. Jestto rzeczywiście niedbałość pisarska i nie objęcie ogółu w postępie, przed wzięciem pióra do ręki. Ale to są rzeczy łatwiejsze do dostrzeżenia: oby w główniejszych zarysach nie ściągął tego zarzutu na siebie!

Turków jakiś Francuz od żony jego z Polski przysłany (1). Dopomógł także przezacny Adam Hieronim Sieniawski, podczasy wielki koronny, który ulitowawszy się niedoli w jakiej ów mąż zostawał, wysłał ze dworu swego pewnego Greka, świadomego dobrze mowy, obyczajów i miejscowości tureckiej, opatrzonego w narzędzia i przedmioty niezbędne, do Carogrodu, dla jego wyzwolenia. Ten Grek ująwszy sobie stróżów pieniędzmi i będąc do Koreckiego dopuszczony, podał mu list, i winem na wierzchu nalaną, z dnem dwoistém flaszę (wewnątrz której znajdował się ukryty sznur długi, jakiego do spuszczenia się z wieży było potrzeba i kilka pilników zwanych głucheni); o godzinę téż nocną z Koreckim się umówił, w której miał pracować u ścian téj wieży, a naradzać się względem środków dalszych. Więc szło podług umowy: co było potrzebne do przepiłowania prętów żelaznych i zakrywania poczętych, ów pomocnik dostarczał, na sznurku spuszczoneym zawieszał listy od swoich nadsyłane, pocieszał i wyzwolenie niedługo nastąpić mające obiecywał, Wszystko to Grek czynił, choć niegreckiej wiary. Korecki zażądał mieć gęsę, chcąc nią już nie tak umysł zabawiać i zabijać czas długi, jak łoskot zagłuszać, jaki z tarcia krat pilnikiem mógł się rozchodzić. Dostawszy ją, zwykle u drzwi więzienia przygrywał, wówczas gdy Francuz (?) kraty piłował. Praca ta nietylko w nocy, ale częstokroć i we dnie się odbywała, a dla zakrycia tego, co się zrobiło, brał okruch chleba z kurzem zmieszany, rdzę cudnie naśladowający, i nim przecięte miejsca zalepiał. Co piątek z kolci, dozorca więzienia, z początku zwłaszcza nieomylnie, później ze ścisłością już mniejszą, wszystkie skrytości więzienia oglądał: podczas tego przeglądu książe starał się go rozmową zabawiać: jakoż ani mu na myśl przyjsć mogło, ażeby wewnątrz flaszy co innego prócz wina znajdować się miało, nie dopieroż pomocnicze do oswobodzenia narzędzia. Byłto gąsior szklany, żywicą na wierzchu powleczoney, w środku którego inny się znajdował, napełniony winem, trudny do rozpoznania. Wino zwykle Turcy przed podaniem księciu odlęwali, niedomyślając się, ażeby między dwoma gąsiorami stycznymi ukrywało się co innego; zwłaszcza, iż Korecki na to się oburzał, że sprośnemi i nieczystymi rękami plondrowali po naczyniu, z którego miał pić wino, pozorem tym gniewu odwracając ich bacność od ważniejszego przedmiotu w ukryciu. Miękczełi przeto siepacze i w następnych razach mniej ciekawie przeglądali; wiedząc

(1) Miałzby o tém powiadać mu Korecki? Przecież spółcześni (jak Maszkiewicz, Gorczyn i t. p.) mówią co innego, a w najnowszym czasie odkryte listy księżny matki Samuela, najdowodniej walczą przeciwko temu twierdzeniu, jak o tém mieliśmy już powód mówienia na inném miejscu.

o tém już z góry, że baszowie dozwolili Koreckiemu, choćby trupem położyć, wyrządzającego krzywdę sobie. Ułatwiała téż Koreckiemu pokonanie barbarzyńców już ta swoboda, jaką się odznaczał zawsze w postępowaniu, już ponawiane z nimi spolem bankietowanie, co oboje ich wstrzymywało od ściślejszego zbadania wewnątrz dwoistej flaszki. Ten, który był ujęty datkiem pieniężnym, odwoził drugich, a nadzieję pomysłnego skutku czynił. Korecki prócz tego wziął się na sposób, iż w dniu przeglądu więzienia u krawędzi okna siadał, a nikt się nie ważył z miejsca go poruszać, wstrzymywany powagą męża majestaty-czną.

„Po przepiłowaniu troistej kraty, powleczonój mięksizem chleba zakurzonym dla utajenia, gdy już zamyślał dzieło swe kończyć, a byłoto w wigilię św. Katarzyny męczenniczki, przyrządził sobie ów sznur zdolny pod ciężarem ciała nie prysnąć, a rozmyślnie jął obficie niż zwykle stróżów swych częstować; co tak do późnej nocy na wesołem bankietowaniu potrwało, dopóki snem i opilością znużeni, wszyscy nie ustąpili. Nie dowierzał jednak, i chcąc po chwili doświadczyć czyli spią rzeczywiście, zaczął wołać o podanie wody: tę podał mu przezedrzwi Turek z widoczną niecierpliwością; a inny, jakoby mu dobrej nocy chciał życzyć, wszedł nagle i tém go przeraził. Pozbył się go jednak wkrótce, rzucając się na łożę, i udając snem mocnym zdjętego. Był jeszcze na przeszkodzie we drzwiach otwór, przez który stróże w progu będący, co chwila zamiar uciezki dostrzedz byli zdolni. Dla jego zasłonięcia, Korecki następniego użył sposobu. O zwyczajnej prawie godzinie nocnej właził przez ten otwór do ciemnicy kot, znęcany resztkami jadła, które Korecki z umyśłu dla niego porzucił. I téj nocy właził podobnie, ale nie znalazł jadła; począł więc niauczyć coraz przeraźliwiej, dopóki śpiących u drzwi nie pobudził; odpędzany, właził na nowo, i snem znużonych stróżów tak wreszcie zniecierpliwil, iż ze wściekłością precz go wyrzucili. Korecki w czasie téj wrzawy jął także niemiłosiernie przeklinać. więc zaradzając stanowczo, otwór ów we drzwiach szmatami zatkali, ażeby i Korecki, i oni następnie mogli snu użyć. O północy, gdy już słychać było chrapanie uspiionych, więzień nasz powstawszy z łoża padł na kolana, Bogu, Maryi w Lorecie, oraz na Jasnej Górze cudami słynącej, wszystkim także świętym patronom. życie i całość swą na nowo polecił, a nawiedzić progi świątyni książećcia Apostołów ślubował: poczem ufnością zagrzany, obwinawszy wprzód pęta swe szatą, ażeby brzęku nie wydawały, kraty żelazne rozerwał, sznur przysposobiony do szczątku kraty w murze uwiązał, i po nim szczęśliwie na dół się spuścił. Francuz podobnymże wyszedł sposobem, przy pomocy owego Greka i jednego z Turków, stu czerwonymi złotemi przekupionego, którzy

u góry sznur przytrzymywali. Nader sprzyjająca była noc do wyjścia i ucieczki: albowiem wicher i deszcz ulewny, oraz grzmoty i pioruny z niezwykłym łoskotem się ponawiające (6), tak dalece dokoła wszystko wstrząsały, iż w tym huk ogólnym niepodobna było, ażeby jakikolwiek łoskot inny był dosłyszany. Nastąpiła potem taka nawalność deszczowa, iż na krok prawie nie przed sobą dojrzyć nie można było. Z burzy tej i ciemności korzystając, mógł być pewny, iż przez nikogo spotkany nie będzie. Napotkał jednak Turka jednego pędzącego konno; więc z drogi do rowu głębokiego, napełnionego wodą skoczył, i w nim się ukrył, dopóki go po niej jakim czasie, Grek, który umiał natrętnego jeźdźca pozbyć się sztucznie, z tego niebezpieczeństwa nie wydobyl. Większej doznali trwogi od psów i pasterzy, trzody samego wielkiego Turka strzegących. Mało brakowało, ażeby od psów owych nie byli poszarpani, lub rozpoznani od stróżów trzody i na nowo pojmani. Pasterzy złagodzone daktiem pieniężnym, od psów uratowała pomoc Maryi Panny, która go razem z towarzyszami na miejsce bezpieczne wprowadziła; schronili się bowiem do pewnej lepianki ziemnej, pod miastem leżącej, którą już przedtém Greczyn przezorny upatrzył. Korcecki zaledwie do niej w kajdanach dowlec się zdołał, uchodzić jednak znowu dalej był zmuszony, jak tylko na niebie brzask pierwszy jutrzeński świtać począł. Greczyn z miejscowością obeznany, wskazał mu drogę do pewnej winnicy: tam w dole go ukrył, osłoniwszy to schronienie żerdziami i odłamkami desek, jakie mógł wynaleźć: sam na chwilę udać się musiał do miasta. Lecz i to schronienie znów pewne nie było, z porankiem bowiem rozwidniającym się, gospodarz tej winnicy począł się po niej przechadzać, a z miejsca na miejsce postępując, do dołu onego się zbliżył; co gdy dostrzegł przez szpary swego zakrycia, księżę już prawie struchlał. W tém przeto niebezpieczeństwie, raz jeszcze gorąco westchnął do nieba, i opieka Maryi zrządziła, że człek ten mimo przechodząc nie dojrzał.

Podówczas gdy się to dzieje, wieść nagła gruchnęła po mieście, iż księżę z więzienia uciekł. Powstał rozruch wielki, i jak najsurowsze po wszystkich miejscach trzęsienie. Niektórzy z dworzan poselstwa francuzkiego, przez których ów Francuz niewolnik pieniądze dla księcia swego otrzymywał, podejrzani prócz tego, iż jeden z nich także razem uszedł z księciem, pojmani zostali i do więzienia wtrąceni. Wszystkich posłów, wyjąwszy jednego weneckiego, domy strażami zostały otoczone i przetrzęsione. Przejrzano wszystkie domostwa, miejsca

(1) Gromadząc do nadzwyczajności i to zjawisko natury około d. 25 listopada, zapomina o niem Bzowski po chwili, i w obrębie jedykuły je zostawia. Później cichość.

uczęszczane, najskrytsze zakamarki, nie pomijając okrętów, czołen, świątyń, klasztorów, ba! grobów nawet bardzo wielu. Po wszystkich drogach czaty stanęły. Obsadzono porty morskie, szpiegowie na rozmaite strony rozesłani; wyznaczona nagroda sto tysięcy dukatów temu, co go odkryje! Wszelkich nakoniec, jakie są w mocy ludzkiej sposobów szukano: wszystko nadaremnie. Albowiem Marya Orędowniczka w opiece go miała i chroniła, dopóki wieczorem nie nadszedł do niego Greczyn. Posiliwszy go przyniesioném jadłem, korzystał z ciemności nocy i znowu go do owej znajomej chatki zaprowadził. Ztąd się udać mieli na schadzkę umówioną z przełożonym pewnego klasztoru, który przysięgą do zachowania najgłębszej tajemnicy obowiązany został. Przez tego miał być wynaleziony kowal chrościanin, i do zdjęcia lub przepiłowania kajdan wezwany. Jakoż ksiązę i towarzysz jego ucieczki Francuz, nie wprzód do owego przełożonego byli przeprowadzeni, aż obaj oni, pieczęcią sekretu związani, stanęli przed ołtarzem, a w obec Chrystusa ukrzyżowanego, przysięgą na dochowanie tajemnicy stwierdzili. Wtenczas też dopiero Grek umówione pieniądze im obu wyliczył. Dzień prawie cały upłynął. zaczęł kowal pęta na nogach ksiązęcych przepiłować zdołał; przez ten przeciąg czasu przełożony stał ciągle na warcie u furty klasztornej, i czuwał nad odwróceniem niebezpieczeństwa, jakieby zająć mogło. Potém jeszcze przez dni kilka ksiązę przebył w klasztorze, nim zmienił kryjówkę, a z nią twarz i odzienie z kolei: narreszcie się odważył po tylu niezmiernych obawach i trudach, do Carogrodu się udać. W nim strawił dni 40 całych (1) na obejrzeniu miejsc rozmaitych: dopiero wysławszy na zwiady przed sobą ludzi pewnych, puścił się w drogę. Krążąc po szlakach ubocznych i wracając nieraz, gdy niebezpieczeństwo zagrażać się zdawało: dostał się na górę świętą zwaną Athos (2), a tam dziwne mnóstwo zakonników spotkał. Wiele niebezpieczeństw miał jeszcze do przebycia, nim w Raguzie stanął. Z tego mia-

(1) Nie naznacza Bzowski celu tego powrotu i narażania się Koreckiego przez dni 40. Albo o tem, o czém inne świadectwa mówią, nie wiedział, albo wziął sobie za zasadę wygodną, i podobnego jemu widzenia pisarzem właściwą, *certe si quod nescias, fingas*. Przecież chociażby rodzinę Mohiłków zturzonych winien był odwiedzić.

(2) Prowadząc widocznie naszego zbiega brzegami morza Marmora, ku którym od Złotego Kogu się udał, gdyby też choć parę wyrazów był powiedział dla objaśnienia, iż od tylu wieków sławna ta góra w dziejach chrześcijaństwa na Wschodzie, przez swych mieszkańców mogła mieć związek z ocaleniem chrześcijańskiego tułacza. Góra Atońska przez Słowian zwana, od trzech stron przegładając się w wodach Archipelagu greckiego, od północo-zachodu dotykała lądu Macedonii. Przewróć jej na długość do 80 wiorst rossyjskich rachują, na szerokość do 20. Znana była ludom północy już od czasów Olgi, a przynajmniej Jarosława. A co do mnóstwa w niej cel pustynnych i jaskiń, w tych rachowano niekiedy do 50,000 zakonników. Cóż tam porabiał Korecki?

sta wypłynąwszy do Sycylii, w roli kupca, omal w ręce tureckiego rozbójnika morskiego nie wpadł, który na tém morzu się ukazawszy. takim przeraził strachem dowódcę okrętu, że już zamysłać począł o podaniu; ale opieką Maryi, Korecki ocalony został. Gdy bowiem dowódca ów zaskoczony nagle przez Turka, upadł na duchu, Korecki, to co mu przedtém utaił będąc przez niego pytany, wyznał mu w chwili jego zatrwożenia i oświadczył, że ów więzień, o którym mu wprzód dla dodania otuchy mówił, jakoby z takim loskotem szukany, odkryty i na nowo do więzienia zawleczony został, z łaski Bożej ocalał. Tym więźniem jest on sam, więc niechaj odwagi nie traci, wszystkim jej owszem doda. Korecki ducha tego mężstwa i w całej załodze obudził, działa umiejętnie skierował, broń ręczną pomiędzy wszystkich rozdał: i ci, którzy przed chwilą mieli się za straconych, pod takim przewodzący okrzyknęli jednogłośnie, że woła umrzeć, niżeli się poddać. Więc uszykowawszy towarzyszków swoich do boju, okręt naprzeciw Turkom skierowa rozkazał. Ozwały się działa: loskotem ich albo raczej postrachem na siebie z niebios rzuconym, przerażony rozbójnik, wręcz się nawrócił z swym statkiem, i wkrótce na widokregu zniknął. Od tak oczywistego niebezpieczeństwa ocalony, stanął na brzegach Sycylii, zkąd do Naapolu, później do Rzymu w d. 18 maja 1618 r. przybył: gdzie u pomnika św. apostołów z rąk moich kolumną św. przyjąwszy, i od Ojca św. Pawła V słowy życzliwości i błogosławieństwa odprawiony, po spełnieniu ślubów, jakie Bogu uczynił, pełen sił, zdrowia i czerstwości, naprzód się udał z podziękowaniem do Loretańskiej Panny Maryi, następnie do Polski wrócił. To opowiadanie mam z ust wysoko urodzonego i przezacnego księcia samego.“

Czegożby więc zdaje się do pewności tego opowiadania potrzeba? Główny działacz był znany z osoby historykowi, i to, co opisuje nam jego powieść, winno być niewątpliwe, jako swobodnie, ze świeżych wrażeń i z żywej pamięci zebrane. Ale co krok, jak widzieliśmy w przytoczonej legiendzie, niezgodność jakaś i sprzeczność widoczna. Duchowny nasz pisarz miał jeszcze obecny przykład, co z podobnych założeń otrzymywała literatura, pod piórem takiego Piotra Skargi albo podobnej jemu znamienitości historycznej. Skarga z kazalnicy opowiadał tryumfalnie o czynach naszych bohaterów multańskich; o wielkim Zamojskim i innych. Bzowski może rozważał, iż chociaż niepospolite czyny ma do opowiedzenia, bohater jego nie co do wszystkich okoliczności, w takim rzesistém świetle publiczném winien być okazywany. Więc oblokł cieniem rozliczne przejścia w jego dziejach i sprawach. Zakrótki jest

rzeczywiście i niedokładny w miejscach, na którebyśmy najwięcej zwracali uwagi: obszerniejszy jest, niekiedy zbyt obszerny, w szczególach jedynie do swego własnego założenia, to jest cudu spełnionego, przydatnych więcej. Nie jestto pod żadnym względem rzecz ściśle historyczna i według zwyczajnego biegu rzeczy ludzkich widziana. Pole dla imaginacyi przestronne: następuje i zapiska, więcej dla powieścio-pisarza na tle zmyśleń zamierzona, niżeli dla badacza, któremu jedynie rzeczywistości potrzeba. Temu to jednak źródłu winniśmy mianowicie szczegóły o usiłowaniach przyjaźni Sieniawskiego, o sztucznym gąsiorze, o pojeniu stróżów i t. p. powtarzane już odtąd za rzecz autentyczną, bądź przez heraldyków, bądź przez szperaczy innych. Nam szło tu głównie, w przepolszczeniu zawieruszonej pod r. 1383 legendy, o pokazanie, jak mało nam przeszłość ułatwiła rzeczywistość. przechowując nawet opisy świadków obecnych: sądziliśmy bowiem, iż równoczesność wiele mówi na stronę pisarza, ale nie każdy pisarz równoczesny jest już najpewniejszym źródłem.

Pisałem w Skempem,  
d. 6 października 1855 r.

*Zygmunt Komarnicki.*

---

## KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

---

1855.

46. Baka odrodzony. Uwagi o śmierci niechybnej wszystkim pospolitej, wierszem wyrażone przez ks. Bakę, S. J. profesora poetyki. Najprzód: Sumptem Imci pana Xawerego Stefaniego, obywatela miasta Wilna, do druku na użytek duchowny podane r. 1776; powtórnie: nakładem amatorów z przedmowami Rajmunda Korsaka i Leona Borowskiego na nowo przedrukowane r. 1806; po trzecie: w Warszawie przez niewiadomego amatora w r. 1828 ponowione; teraz z obojga temi przedmowami, życiorysem ks. Baki i zdaniem o ks. Bacę J. I. Kraśzewskiego po raz czwarty ogłosił, własną przedmowę dodał i nowo odszukanemi w rękopiśmie rytmami ks. Baki, uzupełnił Władysław Syrokomla. 12-ka. Wilno. 1855. Nakład Maurycego Orgelbranda, (druk S. Orgelbranda w Warszawie). Kart VI, str. 199. (Z ryciną). Rsr. 1 kop. 20.

47. Margier. Poemat z dziejów Litwy, przez Władysława Syrokomlę. 8-ka. Wilno. 1855. Nakładem Rubena Rafałowicza (druk Breitkopfa i Haertla w Lipsku). Napisów i przedmowy str. VIII i 136. Rsr. 2 kop. 25.

48. O przeznaczeniu dziewicy jako kochanki i narzeczonej, oraz zasady przyzwoitego ułożenia, uprzejmości i godności, które dziewica w zakresie domowym, w obcowaniu z przyjaciółkami i w towarzystwie młodzieży zachować powinna. Przez Matyldę R. 12-ka. Warszawa. 1855. Nakładem Bernstejna (druk J. Jąworskiego). Napisów kart 3, rejestru str. II i 204. Kop. 75.



49. Słownik niemiecko-polski ułożony podług najlepszych i najnowszych źródeł przez Henryka Liebkina. 16-ka. Warszawa. 1855. (Nakład autora), druk J. Jaworskiego. Str. X i 1530 podwójnie liczonych. Kop. 75.

50. Wnuczęta. Powieść współczesna, przez Zygmunta Kaczkowskiego. 16-ka. 4 tomy. Petersburg i Mohylew. 1855. Nakład B. M. Wolffa, (druk Korolewa i komp.). Tom I, str. 260. II, 321. III, 280. IV, 271. Rsr. 5.

51. Wyrabianie spirytusu z buraków jako najpewniejszy środek produkowania tanio mięsa, a zarazem znacznego powiększenia zbioru zboża. Rzecz zebrana z najnowszych doświadczeń za granicą i w kraju naszym w tej fabrykacji poczynionych, przez Jana Nepomucena Kurowskiego. Z dwiema tablicami rycin. 8-ka. Warszawa. 1855. Nakład autora (druk Ungra). Kart 2 str. XIV i 215. Rejestru kart 2. Rsr. 2.

## Doniesienia literackie.

### WARSZAWA.

Professor prawa przy serbskiem liceum w Belgradzie, Mikołaj Krestye, ogłosił prospekt na przekład dzieła W. A. Maciejowskiego: „Historya prawodawstw słowiańskich“, na język serbski.

— Nakładem S. Orgelbranda i w tegoż typografii, kończy się tom IX Historji powszechnj C. Kantu.

— Dr. Teodor Triplin wykończył obecnie dzieło obszerne we 2 sporych tomach p. n.: „Hygienu polska.“ Przedmiot ten, który naszemu autorowi zabrał sześć lat pracy, przez wykład popularny i zajmujący, obchodzić będzie cały ogół czytelników. Ma wyjść nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu.

— J. I. Kraszewski przygotował dla naszego pisma powieść p. n.: „Jermoła“ obrazki wiejskie. Powieść tę wkrótce ogłosimy. W pisanyh liście o swych pracach do K. Wł. W. między innymi wyraża: Ja zawsze myślę o historyi Zygmunta Augusta, układam Ikonothekę moję, a w wolnych chwilach powieściuję.

— Włodzimierz Plater, o którego „Ikonotece polskiej“ jużśmy donieśli, zbogaca ją coraz nowemi zdobyczami. Do takowych policzyć należy: Pamiętnik z wyprawy pskowskiej, z górą 300 arkuszy obejmujący; księga listów łacińskich z czasów ostatnich Jagiellończyków, własność niegdyś księgozbioru króla Stanisława Augusta; obszerny zbiór listów Wydzgi; korespondencye hetmana Zamojskiego z wojewodą wendeńskim Korffem i wiele innych.

— Gazety nasze już ogłosiły dalsze wychodzenie swoje na r. 1856. Gazeta Warszawska za stałych swoich współpracowników podaje: J. I. Kraszewskiego, Józefa Korzeniowskiego, Zygmunta Kaczkowskiego, Władysława Syrokomlę, Antoniego Nowosielskiego, Antoniego Pietkiewicza (Pługa) i Tadeusza Padalicę (Zenona Fisch).

Gazeta Codzienna w części belletrystycznej, tegoż Z. Kaczkowskiego, Dra T. Triplina, Sewerynę Pruszkową, Ad. Pługa (A. Pietkiewicza) i Włodzimierza Wolskiego; w części krytycznej: Henryka Lewstama i Józefa Sikorskiego. Gazeta Rolnicza jak i dawniej będzie wychodzić pod główną redakcją J. K. Gregorowicza.

Dziennik Warszawski nie wymienił żadnego współpracownika; redaktor Julian Bartoszewicz w ogłoszeniu swojem pisze: „Ważne są zmiany co do samego redagowania. Dzisiaj, kiedy przebywszy pierwsze trudności nowego pisma, możemy prace nasze szczerze poświęcić literaturze: zaczniemy od Nowego Roku okres nowy dla Dziennika, i spodziewamy się tego nieplonnie, okres dla pisma naszego najświetniejszy. Roz-

pisaliśmy listy do wszystkich cenniejszych autorów, żeby nam chętną pomoc literacką nieśli, a co rzecz główna, pomyśleliśmy o zaprowadzeniu stałej peryodycznej korespondencji Warszawy z prowincją. Redakcja, której dobrym chęciom zasoby materialne przysły w pomoc, przyjmie na siebie wyłącznie wszelką odpowiedzialność za wartość pisma, które postara się jak najpiękniej, jak najpożyteczniej dla ogółu rozwinać."

Kuryer Warszawski swój zwykły format i treść zachowuje.

— Jużesmy otrzymali cztery zeszyty „Biblioteki polskiej“, która w Sanoku (w Galicyi) nakładem księgarza Karola Pollaka, pod redakcją K. J. Turowskiego wychodzi. Zeszyty te obejmują przedruk: Maryi Malczeskiego, Barbary Radziwiłłówny, tragedyi Pełińskiego, i Żywot Jana Tarnowskiego W. H. K. Przy Maryi redaktor umieścił życiorys Malczeskiego, czerpiąc głównie z błędnej biografii, która była ogłoszona przy przedruku lwowskim. Żałować potrzeba, że wydawca nie korzystał z nowych a autentycznych źródeł, ze skreślonego życiorysu tego poety w Cmentarzu powązkowskim, a który był poprzednio ogłoszony w naszym piśmie: po cóż stare błędy i niedokładne, fałszywe nawet wieści powtarzać? Musimy wszakże wspomnieć, że list hr. Załuskiego podany tu w całości, daje nam kilka szczegółów nowych, a przy nich zarazem błędne podania. Dziś już życiorys Malczeskiego może być z całą prawdą skreślony. Biblioteka polska ma obejmować 1000 zeszytów: czy dojdzie do tej liczby, zobaczymy. Myśl to dobra i użyteczna, upowszechnienia najpiękniejszych utworów literatury naszej w taniem wydaniu, i zrobienia przystępnemi; co tém więcej zasługuje na poparcie, bacząc na niesłychanie drogą cenę książek polskich.

— Młody a pełen talentu i poświęcenia dla sztuki rzeźbiarz Święcki, którego duża grobowiec dla Józefa Elsnera już zdobi cmentarz Powązkowski, wykończy obecnie na wystawę krakowską postać naszego lirnika. W pracowni tego rzeźbiarza oglądaliśmy wyrobione z gliny dwie postaci, na łokieć wysokości, przedstawiające owę sławną w dziejach naszych chwilę, gdy Kącki generał artylerji, porywa lont załony, który rzucił w uniesieniu fanatycznem basza, na beczkę prochu, przy oddawaniu Kamieńca Podolskiego, i trzyma spokojnie w ręku, ażeby do ostatka się wylił. Oblicze Turka, równie jak Kąckiego, wiele mówi. Widzieliśmy prócz tego w całej postaci (wysokość mało co więcej nad łokieć) dwie figury przedstawiające literata młodziej generacyi, autora „Ojca Hilarego“ i młodego malarza, którego imię nabrało rozgłosu obrazem: „Pogrzeb kmiołka“. I postaci i oblicza są wielce trafione.

— P. Dazziaro właściciel nowego składu rycin w Warszawie, zamierza wydawać pismo zeszytowe z ilustracyami, ale nie drzeworytami, tylko litografiami. Mają być tu portrety wszystkich więcej u nas znanych, czyto w literaturze, czy w sztukach, czy w teatrach naszych, wraz ze stosownym tekstem, przytém widokami miejscowemi, nie przepominając zarazem o znakomościach zagranicznych. Text ma być wyłącznie francuzki.

— Nakładem tegoż p. Dazziaro wyszły u Lemerciera w Paryżu kostiumy włościan naszych, podług rysunku naszego artysty Gersona. Dwańście tablic przedstawia stroje Krakowiaków, Lublinianów, Kaliszian, Podlasiaków, Mazurów i Litwinów. Żałować potrzeba, że kostiumy te nie wykonano w kraju, mając odpowiedni zakład M. Fajansa; bo nietylko Francuzi po swojemu jak zwyczajnie odstępując od oryginału, nie oddali fizynomii właściwych, ale w podpisach grube popełniono myłki. Tak zamiast Galicyjanie, powianno być Kaliszanie; zamiast Krakowiacy, Lublinianie; zamiast Lublinianie, Krakowiacy. Wydanie piękne.

— Kiedy coraz nowe prace już się zjawiają, już są zapowiedziane: p. M. Fajans, wydawszy VIII poszyt „Wizerunków polskich“, pomimo ogłoszenia, że co miesiąc dalsze zeszyty wydawać będzie, ani jednego nie wydał. Przypominamy dane przyrzeczenie publiczności, które tém skwapliwiej powinno być dotrzymane, gdy wielu prenumeratorów złożyło już dawno przedpłatę na zbiór cały, mający się składać z 15 zeszytów.

— Zeszyt 3-ci dzieła: „Kościoły warszawskie rzymsko-katolickie“ nakładem i z drzeworytami Michała Starkmana, a textem Juliana Bartoszewicza, wyszedł z druku i zawiera: Kościół św. Anny księży Bernardynów, i Wniebowzięcia N. Panny Maryi. księży Karmelitów bosych. Drzeworyty o wiele są staranniejsze od poprzednich i rysunek kościołów jest lepszy.

— Julian Bartoszewicz przełożył wierszem miarowym dramat Oehlenschlegera „Hagbart i Sygna“. Pracę tę, niepoślednich zalet, ogłosimy w piśmie naszym.

— Władysław Syrokomla ukończył część 2-gą „Chatki w lesie“ działwa dramatycznego. jak sam nazwał ten utwór. Wkrótce ma być on ogłoszony w Wilnie.

— Wiadomo, że autor „Rysu historii i statystyki Warszawy“, któryśmy ogłosili dawniej w piśmie naszym, pracował ciągle i zbierał materiały, ażeby odpowiednio przedmiotowi wykończyć i udokładnić historią Warszawy. Jakoż w ciągu lat kilkunastu ogromne zasoby zgromadził, i to rzeczy nieznanych, bo ukrytych w rękopismach i w rozmaitych archiwach. Przed nim jeszcze znany i szanowany powszechnie kapłan zgromadzenia księży Pijarów, wymowny kaznodzieja i mąż znany chlubnie w literaturze naszej, na wiele lat wprzód zebrał i ułożył dzieło „Pamiętki historyczne Warszawy“. Wyjątki z tej szacownej pracy mieliśmy po wielekroć ogłaszane drukiem. Obecnie dotknięty ciężką niemocą, rękopism swój powierzył i oddał autorowi „Rysu historii Warszawy“. ażeby go wcielił do swojej pracy. Rzadki to, szlachetny a piękny przykład w dziejach literatury naszej. Spodziewamy się więc, że gdy tym nabytkiem powiększone zostały zbiory pierwszego badacza, wkrótce będziemy się cieszyć mogli dokładną historią starego Mazowsza grodu. Praca ta, o ile nam wiadomo, będzie się składać z 3 lub 4 dużych tomów, w których autor rozwinie obszernie cały skarbiec zebranych zasobów, gdzie wcielonym zostanie i rękopism: „Pamiętek historycznych Warszawy“.

— W Wrocławiu, nakładem księgarni K. Flemminga w Głogowie. pod redakcją Pauliny Kolbe, zaczął wychodzić „Nowy żurnal deseniowy robót i mód damskich“, z wzorami deseni i modami stroju. Text tylko objaśnia ryciny. Prenumerata na kwartał kosztuje 45 kop.

*Praga Czeska.* (Z listu). Wychodzące pismo literackie „Obzor“ pod redakcją Jarosława Pospieszyla, w pierwszym zeszycie zawiera życiorys zmarłego w samej sile wieku Jana Prawosława Koubka profesora literatury słowiańskiej w uniwersytecie pragskim. Koubek przeżywał długi czas w Galicyi, poznał tam nietylko wszystkich tamecznych literatów, ale i bawiącego wówczas wydawcę „Przysłów narodowych“. Bywał u niego często, a zostając w stosunkach przyjaźni, miał sposobność poznania głębiej literatury polskiej, przysłuchując się w jego domu rozprawom w tym przedmiocie, jakie wiodli z sobą literaci zbierający się tam często. Koubek gruntownie znał język polski i niektóre ustępy najpierwszego naszego wieszca szczęśliwie na język czeski przekładał.—Towarzystwo uczone: Matica czeska od r. z. wydaje archeologiczno-topograficzny dziennik: „Pamatky archeologicke“, pod redakcją prof. Zap.—Smitt Antoni, w stalorytach wydał: „Starożytne budowle w Czechach“ rytowane przez F. Lorenza, zdejmowane z natury przez wydawcę.—Palacky w r. z. wydał III-go tomu część trzecią: „Historii Czech“. Część ta obejmuje: Czechy i Bazylejskie konsylium, Zygmunt i Albrecht od r. 1431—1439. (Str. 337, 8-ka).—W drukarni Pospisila wyszły „Novelly“ Józefa Korzeniowskiego, z polskiego przełożone przez F. L. Vorlicck'a. 12-ka, str. 76. 1854.—Krejci Jan wydał: „Przewodnik historii naturalnej“ w okolicy Pragi. Część pierwsza obejmuje ornitologią i geologią okolic Pragi z jedną kartą. W 16 str. 125. 1854.—Dr. Gustaw Reuss wydał w tymże roku „Florę słowacką“ w słoweńskim narzeczu. W 8ce str. 496.—Stulc Waclaw ogłosił w czeskim języku pieśni na cześć SS. Cyrylla i Metodego wraz z ich życiorysami.—Wspomnę tu choć jeszcze z 1853 r. pracę Sztura Ludwika: „o narodowych

pieśniach i powieściach ludowych słowiańskich szczepów. Nakładem Maticy Czeskiej w 8-ce str. 146.—Od r. 1853 zawiązało się w Pradze Czeskiej towarzystwo numizmatyczne i wydaje własny czasopis, poświęcony tej umiejętności p. n. Beschreibung der bisher bekannten böhmischen Privatmunzen und Medalien. Herausgegeben von dem Vereine fuer Numismatik zu Prag. W 8-ce, wychodzi zeszytami.—K. Schwenk wydał

„Die Mitologie der Slaven für Gebildete und die studierende Jugend. W 8-ce we Frankfurcie nad Menem.—Volksmüt doktor prawa wydał w Halli: Gervinus und die Zukunft der Slaven, w 8-ce.—W miesiącu kwietniu (1855 r.) grano tu tragedya w języku czeskim Dymitr Jowanowicz (Dymitr samozwaniec) dramat napisany przez Franciszka Milowca.—Mówiąc co tu w Pradze wydano, lub co tu mamy z zagranicy nie mogę pominąć o usiłowaniach i pracach w innych plemionach słowiańskich. W piśmie czeskiem *Nowen* wyczytuje o łużyckich Serbach żyjących na Sasko-Pruskim pograniczu czyli Wendach, jak gorliwie starają się oni o swój rozwój narodowy. Mieszkają w 739 gminach, liczą 164,000 dusz, w 95 kościołach 114 duchownych głosi im słowo Boże w języku słowiańskim, a w 190 szkołach 210 nauczycieli rozszerza światło w tymże języku. W roku 1847 założyli „Maticę łużycką-serbską“ która dotąd 12,900 odcisków różnych dzieł wydała i rozesała, a oprócz tego 22,500 odcisków swego czasopisma, z których 10,106 exemplarzy na członków Maticy przypada. Najlepszymi u Łużyczan pisarzami są: Jakób, Kuczaneek, Buk, Muczniak, Fuhl, Somer, Smolar i wielu innych. Odkąd Matica łużycko-serbska istnieje i działa, wszyscy krajowcy nie tylko miłośnicy literatury, ale i urzędnicy przystąpili do niej i wspierają uczestnictwem swoim dążności jej, mające na celu oświatę narodową. Na dworze królewskim ma swego opiekuna w dostojnej osobie królewicza Alberta, który przyjął opiekę nad nią i uczył się języka łużyckiego. W innej stronie słowiańszczyzny: towarzystwo Mohora przygotowuje przekład Biblii: dzieło to zasługuje tem więcej na uwagę, gdy słowienicy zamieszkujący południową Styryą, Karyntyą, Krainę, i całą Illiryą aż do Adryatyckiego morza, od czasu wydania ewangelickiej biblii słow. w XVI stuleciu, żadnego innego przekładu Pisma Św. w języku swoim nie posiadają.

—Zeszyt VI „Cinentarza Powązkowskiego kończy się w druku, i obejmuje siedem arkuszy druku. Życiorysy w nim są następujące: Ziemięcki Franciszek mecenas; Wejnerł Antoni muzyk; Bazyli Jackowski, legionista; Teofil Janikowski kupiec; Ludwik Osiński literat; Zuzanna Wilczyńska ochmistrzyni pensyi; Jakób Tatarkiewicz rzeźbiarz; Jan Kuźma konfederat barski. Z tym zeszytem kończy się tom pierwszy: w zamknięciu tego tomu, wydawca wskazuje źródła z kąd czerpał swoje wiadomości. Na końcu dodane są przypisy i dodatki do tomu Igo; w nich znajdujemy nieznane szczegóły do życiorysów Trembeckiego, Malczeskiego, własnoręczne listy tegoż poety rzucające wielkie światło na jego biografią, dodatki do ogłoszonych w tomie I życiorysów: autobiografia własnoręczna W. Skorochoda Majewskiego; życiorys Antoniego Białkowskiego pułkownika b. wojsk polskich i wielu innych. Zeszyt ten skoro ryciny należne wykończone zostaną, wydany będzie, a zaraz rozpocznie się druk tomu drugiego, złożonego z sześciu zeszytów, który zamknie całe dzieło.

† D. 16 sierpnia 1855 r. zakończył życie na Podolu we wsi Kuryłówce Józef Jezowski b. professor języka i literatury greckiej uniwersytetu moskiewskiego, biegły filolog, tłumacz Od Horacyusza z komentarzami do nich, i innych prac. Pochowany na parafialnym cmentarzu w mieście Chmielniku.



# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Listopad, 1855.





	m.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	754.614	27	10.517
Najwyżej barometr dochodził d. 11 o g. 10 w.	767.40	28	4.185
Najniżej — — — d. 27 o g. 4 w.	734.52	27	1.610
Średnia zmiana dzienna barometru	4.067		1.802
Największa zmiana dzienna barometru d. 26—27 o g. 10 rano	20.14		8.928
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 29 lat	4.526		2.007
poprzedzających	750.088	27	8.510
Średnia temperatura listopada wynosi:	+ 0°.50 C.	=	0°.40 R.
i ta jest niższa o	0.96 „		0.77 „
od stanu normalnego z 29 lat			
poprzedzających	+ 1.46 „	+	1.17 „
Największe ciepło było d. 2 o g. 4 w.	+ 13.4 „	+	10.72 „
Największe zimno — d. 16 o g. 6 r.	— 12.0 „	—	9.60 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.378 „		1.902 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 25—26 o g. 6 rano	9.3 „		7.44 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: +11°.7 R. d. 2 po połud.

Minimum: —9°.7 „ d. 26 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 89.8, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.99 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.02 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 18.4 mil. czyli 8.15 lin. par.; z śniegu 6.2 mil. czyli 2.75 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 24.6 mil. czyli 10.90 lin. par.; ilość ta wody jest o 10.02 lin. par. mniejsza od tej, jaka średnio u nas w listopadzie spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 1, pochmurnych 23.

— deszczu 5 (d. 3, 4, 5, 24, 30).

— śniegu 4 (d. 20, 23, 25, 27).

— mgły 3 (d. 3, 23).

Wichrów było 1 (PdZ).

Wiatrów mocnych 7 (3 PdW., 2 PdZ., 1 W., 1 Z.).

Wiatr panujący: południowo-wschodni.

Listopad zwykle bywa niepogodny wilgotny i słotny; w tym roku przeciwnie, osobliwie w pierwszej połowie był pogodny i suchy, lecz o pół stopnia przeszło zimniejszy niż zwykle. Pierwsze czternaście dni były łagodne, przyjemne i suche; w drugiej połowie miesiąc ten był niepogodny i mroźny. Od d. 5 do 20 ani razu deszcz lub śnieg nie padał; najcieplejsze dni były: 1, 2, 3, 4, 5, 7; najzimniejsze d. 18, 19, 20, 21, 22, 23, 25, 26; dni: 2, 3, 10, 12 były osobliwie łagodne i przyjemne. Barometr utrzymywał się bardzo wysoko; zmiany barometru były znaczne. Wiatr południowo-wschodni panujący, był przyczyną łagodnego stanu powietrza. W stanie normalnym, stosunek dni pogodnych do na pół pogodnych i pochmurnych, jest jak 2,8:6,3:20,9; w r. b. stosunek tychże dni jest: 6:1:23, co pokazuje, że dni zupełnie pogodnych było więcej niż zwykle. Wody z deszczu i śniegu spadło wysoko na 10.9 lin. par., to jest o połowę mniej niż w stanie normalnym. Pierwszy mróz tej jesieni był dnia 11 wieczorem; pierwszy śnieg przuszył d. 20.

# SŁOWO

## O DZISIEJSZYCH ŁUŻYCACH I ŁUŻYCANACH.

PRZEZ

*Oskara Flatt.*

Prócz Arabów, których władztwo rozciągało się niegdyś od Malaki do Lizbony, nie masz na całej kuli ziemskiej ludu, którego język, potęga i kolonie w tak zadziwiającym rozlały się obszary, jak Słowianie. Od Raguzy nad Adryatykiem, ku północy aż po wybrzeża Lodowatego morza, na prawo aż do Kamczatki i Japonii, na lewo do Bałtyku, wszędzie spotykamy słowiańskie ludy, bądź władające, bądź zhołdowane.

*Schloezer.*

Jednym z najciekawszych zjawisk dla badacza słowiańszczyzny jest rozwój i odradzanie się w oczach naszych piśmiennictwa serbsko-łużyckiego, a nagłość i bujność tego rozwoju, obok powszechnego zajęcia, tém szerszą budzą sympatyą dla plemienia, które wśród najniekorzystniejszych dla siebie warunków, dobija się imienia i samodzielności na polu literatury słowiańskiej. Ochoce to krzątanie się koło umysłowości swojej, godne wszelkiego społecznego poparcia i zachęty, znajdzie już łatwiej godne ocenienie dziś, gdy rozprysnięte różno-plemiennych uczonych badania, skupiać się zaczynają w jedno ognisko, ogólniej literatury słowiańskiej.

Zaszczytne miejsce zajmie piśmiennictwo serbsko-łużyckie w spodziewanej kiedyś historii rozwoju narzeczy słowiańskich, ku czemu, oprócz uczonych u nas źródłowych prac Lelewela, W. A. Maciejowskiego, i młodsze pokolenie znosić zaczyna przygotowawcze cegiełki.

Nie od dziś to wprawdzie datują pierwsze serbsko-łużyckiego piśmiennictwa pomniki: sięgają one już XVI wieku, ale



przez dwa pierwsze stulecia charakter religijny był wyłączną tego piśmiennictwa cechą, a zabytkami jego są: przekłady katechizmu Lutera, agendy kościelnej, nowego testamentu i psalterza. Piśmiennictwo świeckie w XVIII zaledwie zaczęło się wieku: a choć mamy z owych czasów grammatyczne próby Ticinusa i Piotra Schirach, przełożoną z niemieckiego książkę lekarską, a nawet, jako ważny dowód bogactwa języka, przekład kilku pieśni Messyady przez Jerzego Moehn, który i samoistnym także był rymotwórcą: to przecież wszystkie te usiłowania nie wyrobiły dla mowy Łużycan samodzielnego jeszcze stanowiska w ogólnym rozwoju piśmienności narzeczy słowiańskich.

Po usiłowaniach tych nastąpiła długa przerwa w literaturze serbsko-łużyckiej. Wolny poprzedni postęp wstrzymał się, i Łużycanie znajdowali się na niebezpiecznej drodze zatarcia narodowości swojej pod przeważnym napływem niemieczyzny. W ostatnich dopiero szesnastu latach bieżącego wieku, nowa iskra życia ożywiła uspięny organizm literatury serbskiej, i jakby nabrawszy sił po długim spoczynku, rącho wzięła się do dzieła uprawy zaległego pola, a siew umiejętną ręką, w szczęśliwą chwilę, w plenną rzucony glebę, wypuścił dziś już kłos, coraz bardziej mężniejący samowiedzą wewnętrznego swego bogactwa. Trzem mężom najwyższe należą się zasługi w tej sprawie odrodzenia; to Andrzej *Łubieński*, kaznodzieja zboru budyszynskiego, Jan Ernest *Smoler*, kandydat teologii ewangelickiej i członek górno-łużyckiego towarzystwa pastorów w Lipsku (1) i *Jordan*, lektor języka słowiańskiego w Lipsku, niegdyś wydawca wysoko bardzo cenionego pisma peryodycznego: *Slawische Jahrbuecher*, które dalej Smoler kontynuuje i redaktor wychodzącego w r. 1842 czasopisma p. t. *Jutnicka*. Tenże Jordan założył księgarnię w Budyszynie i redaguje obecnie pismo *Nowiny Serbskie*, które ma przeszło 1,000 prenumeratorów, co jest rzadkiem zjawiskiem wśród tak małej ludności. Łubieński w przedruku dawnego kancyonału podał nowe prawa piso-

(1) Łużycko-serbskie towarzystwo pastorów w Lipsku zawiązało się przed 25 laty i wydało z grona swego wielu mężów, wysoce zasłużonych dla piśmiennictwa serbskiego, jak np. Frenzel, Möhn, Hänich, a zwłaszcza też Seiler. Towarzystwo to składa się z następujących szczegółowych wydziałów: filologicznego, psychologicznego, exegetycznego, homiletycznego i czysto serbskiego.

wni, ale odstąpił od nich znowu Smoler, ubiwszy sobie własny tor w pieśniach ludu, wydanych od 1841 do 1843 r. łącznie z Leopoldem Hauptem, sekretarzem i bibliotekarzem górno-łużyckiego towarzystwa umiejętności w Gerlicach, (*Pjesnicki hornych a delnych Lužiskich Serbów*, w Grimma, u Gebhardta, 2 tomy in 4to). Jest to prawdziwy pomnik literatury ludowej u Łużycan, dzieło usilnej pracy, szczerego zamiłowania przedmiotu, kosztownego nakładu: słowem, dzieło, którego pozazdrościć mogą Serbom wszystkie pokolenia słowiańskie (1). Dla możliwego upowszechnienia dzieła, text jego jest dwoisty: w języku niemieckim i łużyckim. Przy każdej pieśni oznaczona jest melodia ludowego śpiewu. Pierwszy tom obejmuje pieśni górnych Łużycan; drugi zaś dolnych. Do zbioru pieśni dołączony został i skrzętnie na miejscu ułożony zbiór klechd, legend i przysłów łużyckich, o których niżej kilka słów jeszcze powiemy. Dzieło to, na którym głównie uwagi nasze w artykule niniejszym oparliśmy, stało się szeroką podwaliną dla przyszłego gmachu piśmiennictwa łużyckiego. Text jego wykazał nowe zasoby giętkości i bogactwa języka, i praktycznie wykształcił jego formy. Jaki zaś wpływ wyrzecć musiało to dzieło Smolera, i w ogóle wszystkie prace jego, na język łużycki, jak naukowo urobić i uzdolnić go musiały, dowód tego najlepszy, że już w pięć lat po ukazaniu się pieśni ludu, to jest w r. 1848 zaczął J. E. Smoler wydawać pismo zbiorowe w Budyszynie (Bautzen) *Casopis towarstwa Maćicy serbskijeje*. To już nie początkowe, nieśmiałe kroki na widowni literatury, to ważny zwrot od piśmiennictwa treści duchownej, do piśmiennictwa świeckiego; zwrot przygotowany przez wydawnictwo pieśni ludu. W Czasopiśmie tem ukazują się nagle takie piśmiennicze proby, które w każdym narodzie bywają dopiero owocem długiego przetrwania myśli. Jest tu i historia narodu, jest historia jego cywilizacyi, jest teoria języka, teoria poezyi i t. d. Czasopis Smolera, podnosi już do pewnej powagi piśmiennictwo łużyckie,

(1) Niezaprzeczone wprawdzie, powszechnie uznane są zasługi, położone około naszej pieśni ludowej przez szacowne prace Waclawa z Oleska, Żegoty Pauli, K. W. Wójcickiego i innych; podobnym jednak jak Łużycanie dziełem wtedy dopiero może pochlubić się będziemy mogli, gdy pożądane wydawnictwo Pieśni ludowych, przez p. Oskara Kolberga w rzeczywistość przejdzie.

samym zaś Serbom nadaje prawo do żywego zajęcia ogółu. Boć i oni nie obojętni są na sprawę ogólną słowiańszczyzny: obok krzątania się około uprawy własnego języka, uczeni łużyccy wydawać zaczęli w r. 1849 w Budyszynie pismo zbiorowe *Stadło*, rzeczom polskim i słowiańskim poświęcone; a jeśli wydawnictwo jego musiało być w późniejszym czasie wstrzymane, to pewnie nie dla braku dobrych chęci wydawców. Wprzód jeszcze Polska interesować się zaczęła znaczeniem Łużycan i ich piśmiennictwa, i w tym celu w r. 1845 wyjechał z Warszawy do Budyszyna professor Kucharski, poświęcając kilka-miesięczną tam bytność swoją wyłącznie badaniom nad łużyckim narzeczem.

Dziś już nie sam tylko uczony badacz dochodzi dziejów Łużycan, śledzi rozwój ich mowy i znaczenie w systemacie ludów słowiańskich: kto są Łużycanie, jaka ich przeszłość, jaka tarażniejszość? to pytanie, coraz częściej, coraz głośniej rozlegające się w tych licznych kołach, dla których nie obojętną jest sprawa całej słowiańszczyzny i które z poczciwą sympatyą spoglądają na duchowy rozwój i postęp pobratymczych słowiańskich plemion, tysiącem nitkami powiązanych z przeszłością, a przez język i zwyczajami z terażniejszością naszą.

Nazwa *Łużycan* nadana jest ludowi temu przez obcych, oni zaś sami nazywają się *Serbami*, i niewątpliwie mają pokrewieństwo z dzisiejszemi naddunajskimi Serbami. Prawdopodobnym jest, że w czasach przedhistorycznych, Serbowie z nad Dunaju przeniosłszy się do Germanii, stale się tam osiedlili, zwani przez obcych, nawet przez Rzymian, Swewami. Nazwa Łużycan już im jest później nadana i oznacza lud wśród łąk (łąki, ługi, łużycy) mieszkający. Podobnie wywodzi się nazwa *Paługi* (zamiast poługi), nadawana krajom Notecjańskim.

Zajawszy ziemię pomiędzy Nysą (Neisse), Sprewą (Spree) i Elsterą, Łużycanie stanowili jakby przednią straż Słowiańszczyzny, najdalej w łono germańskie zapuszczoną, jakby pograniczne między słowiańskim i niemieckim żywiołem. I pozostali też wierni tej dwoistości wpływu, która wydatnie odbija się w dziejach tego ludu. Równocześnie z pierwszymi promieniami chrześcijaństwa padającymi na Polskę, objawiło się pierwsze rozszczepienie między Serbami nadsprewiańskimi. Część północna, około Kociobuża (Kottbus), dzięki bliższemu sąsiedztwu, zwracała się z sympatyą do Polski; południowa zaś część, około Budyszyna (Bautzen) ulegała więcj wpływowi czeskiemu.

Wyroczą to była ta chwila pierwszego rozdwojenia, bo choć z czasem ustała działalność atrakcyjna Polski i Czech na Łuczycą, rozdział ten jednak trwa i podziśdzień, a stanowią różnicę już nie linie graniczne władających państw, ale najżywotniejsze warunki samego ludu: język, religia i zwyczaje prawie.

Krótkie było panowanie Polski nad północną częścią Łuczyci, czyli nad dzielnicą dolnych dzisiejszych Łużycan, a krótsze jeszcze nad górnymi Łużycami, które sięgały aż po Elstere; zaczęło się ono zaledwie za Mieczysława Igo i trwało pod Bolesławem Chrobrym, z mocy traktatu Budyszyńskiego, zawartego w r. 1015. Dłuższe wprawdzie były rządy Czechów nad południową częścią, czyli, jak dziś zowią, dzielnicą górnych Serbów, ale zwolna Niemcy zajęli tę ziemię pod swoje władztwo, i mimo zmiennych tyfolicznych kolei, dodziśdnia je dzierżą.

Zdawałoby się, że różnice, dzielące szczupłą przestrzeń Łużyckiej ziemi, skutkiem atrakcyi, wywieranej przez Polskę i Czechy, powinny były zblednąć, a w końcu zniknąć, przy zjednoczeniu się pod władztwem niemieckim; tymczasem inaczej zupełnie się stało.

Lud łużycki w krew i kość przerosły Słowiańszczyzną, zasklepiony w sobie, bronił się długo i zwycięzko wpływowi niemieckiemu; a choć górna warstwa Łużycan, to jest szlachta, pod oddziaływaniem Germanizmu wolnieć i topnieć zaczęła w jędrnej swojej samodzielności: to przecież warstwy ludowe przedstawiały jedną okrzeplą masę, po której tylko z góry pływały wynarodowione szumowiny. Przystępniejsza dla reform szlachta, przyłgnęła też niebawem w pierwszej ćwierci XVI wieku do nowej nauki Lutra; ale tu już przejrzała jasno konieczność zjednania sobie ludu. Umiał lud łużycki korzystać z tego okolicznościowego poparcia, i do owéjto epoki odnoszą się pierwsze piśmiennicze pomniki łużyckiego języka. Opieka ta ze strony szlachty, będąca głównie wpływem własnego jej interesu, obmyślona jako środek i droga do zaszczepienia w Łużycanach zasad protestantyzmu i idei niemieckich, jakkolwiek uchylona następnie przez szlachtę i wyrodzona w jawny ucisk i prześladowanie: mimo to wszystko, chwilowa nawet ta opieka stała się najważniejszym momentem w duchowym życiu łużyckiego plemienia, a raz rzucone ziarno, tak szczęśliwie się

przyjąwszy, wyplenione już być zupełnie nie mogło, bo mimo tamowanego rozkwitu, ziarno ziarnem pozostało.

Pokój Westfalski stanowi jakby epokę zmienionej polityki szlachty. Zająwszy w dzierżenie obszerne dobra duchowne, szlachta wywierany dotąd wpływ swój zwróciła do jednego głównie punktu: do apostołowania protestantyzmu; a opowiadanie nowej nauki w niemieckim tylko języku, służebniczyło drugiemu zarazem celowi, zagładzie łużyckiego języka. Dwoiste te jednak cele nie dały się osiągnąć w całej rozciągłości.

Wprawdzie część Łużycan przyległa Niemcom przyłączyła do protestantyzmu i trudniej im było bronić czystości mowy i tradycyjnych zwyczajów swoich pod przeważnym żywiołem niemieckim; ale za to druga część Łużycan, bliższa pobratymczych słowiańskich granic, pozostała wierną kościołowi katolickiemu i wszystkim samoistnym własnościom narodowym. Ci też Łużycanie katolicy w ciągu kilku ubiegłych wieków byli przechowawcami czystego ziarna Łużyckiej mowy i piśmiennictwa. Szlachta zaś, natrafiwszy u górnych Łużycan na tak żwawy i wytrwały opór, zrozumiała też własny interes i zaniechała dzieła prześladownictwa. Nie idzie zatem, aby rozwojowi piśmiennictwa czysto łużyckiego miała wrócić pierwotną, przez krótki czas tak żarliwie udzielaną opiekę; ale stała się powolną i pobłażliwą, a to wystarczyło na przechowanie do pomyślniejszych czasów narzecza, które miało już samowiedzę swego bogactwa. Jedyném niebezpieczeństwem dla czystości języka pozostała dążność u Łużycan protestanckich do zbliżenia wedle możliwości form i pisma łużyckiego, do wzorów niemieckich.

Dziś cała dzielnica łużyckich Serbów, przez Niemców zwanych *Wendami*, zajmuje przestrzeń około 70 mil kwadratowych, między 31°32', a 32°30' długości wschodniej, i 51°59' a 51°06' szerokości północnej, i liczy 170,000 mieszkańców. Dzielnica ta rozsiadła się na pograniczu Prus i Saksonii. W Prusach zajmuje północną część rejencji lignickiej, tojest okręg Gierlicki; w Saksonii zaś okręg Luzacyi z miastem Budyszynem.

Bez względu na granice różnorządowe, dzieli się Luzacya na dwie części, odmienne licznemi warunkami towarzyskiego życia, religią i narzeczem.

*Łużyce górne* obejmują całą Luzacyą saską, tojest okręg Budyszynski i część Miśnii, oraz południowy pas Luzacyi pru-

skięj, mianowicie części obwodów Hoyerswerdskiego (Wojerecy), Rotenburgskiego (Rotenbórk) i Gierlickiego (Zbórelc). Na rozległości 38 mil kwadratowych, obejmuje 518 miasteczek i wsi. W części saskiej, zostając w dzierzeniu niegdy elektorów, dziś królów saskich od r. 1635, liczyć można słowiańskięj ludności 53,000. W tęg liczbie 45,000 ewangelików i 8,000 katolików. W części pruskięj zaś 39,500 ludności słowiańskięj; w tęg liczbie 36,000 ewangelików, a 3,500 katolików. Ogólna więc ludność w górnych Łużycach wynosi 92,500, rozstosunkowane na 81,000 ewangelików, i 11,500 katolików. Znaczniejsze tu miasta są; Budyszyn (Bautzen), Kamieniec (Kameńc), Kulow, Lubow (Lubij, Libij, Löbau), (Mużakow) Muskau, Hoyerswerda (Wojerecy), Weissenberg (Wóspork).

*Łużyce dolne* obejmują 32 mile kwadratowe i rozciągają się w samych tylko Prusach, obejmują zaś okręgi: Kociobużski (Kottbus-Chośebuz) i Sprembergski (Gródk) oraz części obwodów: Kalawskiego (Kalau) i Sorawskiego (Sorau-Żarow). Ludność słowiańska wynosi do 72,000; wszyscy są wyznania ewangelickiego. Znaczniejsze tu miasta są: Drebkau (Drjowk), Spremberg (Gródk, Hródk), Kociobuż (Kottbus-Chośebuz), Zły Komorów (Senftenberg), Peitz (Picń), Vetschau (Wietośow).

Szeroko rozwinięty jest w obu Luzacyach system hydrograficzny; wzdłuż i wszereż przereżynają je rzeki i strumienie; i tak: Nysa (Neisse), do której wpadają; Redlica pod Kreba, Luknica pod Mużakowem (Muskau) i Radosznica, Sprewa (Sprewja, Sprowja, Spree), wpadającemi do nięj rzeczkami: Biały Szepc, Czarny Szepc (Schöps), Wołsínka (Oelse); Li.ła i Czarna Elstera (Bjały i Córny Halstrow), nakoniec Małksa i Trzysocha, oraz wiele pomniejszych.

Powierzeżnia kraju w ogóle płaska, tylko południowa część Luzacyi saskięj jest więcęj górzystą. Godniejsze uwagi (choć niezbyt wysokie) są góry poniżęj Budyszyna: Rubeżny hród, Córny boh i przeciwegły, już na terrtoryum nieśnieckięm Bięly-bóh, Hromadnik, Praśica, Lubin, Pichow, Dubrawa i o półtoręj mili wyżęj Budyszyna, Kapłonica. Wreszeżcie koło Welkowa (Klein-Welka) wznosi się wzgórze Wiwalca, z którego rozkoszny na daleką okolicę roztacza się widok.

Z lasów godny jest uwagi w Luzacyi saskięj tak zwany Tuchor, las nurków.

Język Serbów łużyckich, jak powiedzieliśmy wyżej, dzieli się na dwie główne odnogi, dwa główne narzecza: górno i dolno łużycki. Choć dziś już przestrzeń przez Łużycan zajmowana bardzo jest szczupła, choć wpływ niemieczyny potężnie bardzo oddziaływa na czystość słowiańskiego narzecza, zwłaszcza też w pobliżu pruskiej i saskiej granicy; oraz w sąsiedztwie miast: dotąd jednak dwa główne łużyckie narzecza nie stopiły się w całość; co większa, tak wybitne oddzielności swojej zachowały cechy, że dziś nawet górny Łużycanin z trudnością dolnego Łużycanina zrozumie.

Mowa górno-łużycka najwięcej ma podobieństwa z czeską; dolno-łużycka zaś z polską: to więc tłumaczy nam istotny charakter różnicy, zachodzącej między dwoma narzeczami. Pod względem zaś wokalizacyi, obadwa przedstawiają wyraźne pokrewieństwo z rosyjskim językiem. Wszystkie staro-słowiańskie formy językowe, jakie znajdujemy np. w Krółodworskim rękopiśmie, zachowały się u Łużycan czystiej i zupełniej niż w innych słowiańskich narzeczach; skażenie zaś germanizmem widne więcej w mowie dolnych Łużycan. Najczystiej przechowała się mowa w pieśniach ludu.

Każde z głównych narzeczy łużyckich dzieli się jeszcze na różne dyalekty, dotychczas utrzymujące się, choć w tak bardzo szczupłych już granicach. I tak:

Mowa górno-łużycka rozkłada się na 5 dyalektów: dyalektem piśmiennym jest *Budyszyński*, środkowy, najczęściej powinowactwa mający ze wszystkimi innemi. Najdźwięczniejszy jest dyalekt południowo-wschodni, *lubijski* (Löbauer dialekt) do którego zbliża się dyalekt *holański* (Haide-dialekt), a ponieważ i zachodni, czyli *kamieński*, zwany także *podjańskim* (katolickim). Drogę przejścia od górno do dolno-łużyckiego narzecza stanowi dyalekt *poграниczny* (namjezny), odbijający w sobie wspólny wpływ obudwu głównych narzeczy.

W mowie dolno-łużyckiej, najważniejszym piśmiennym dyalektem jest *Kociobużski* (Kottbus-Chošebuz). Godniejsze zaś uwagi odcienia dyalektowe znajdujemy w Grodku, Borkowie (Burk), Jasieniu (Jessen)-Niabożkojcach (Naundorf). Najpierwszą grammatykę tego narzecza wydał w r. 1761 pastor Hauptmann, który zebrał także materyały do słownika narzecza dolno-łużyckiego. Z materyałów tych korzystał następnie pastor Zwahr w Stradowie, przy układzie podręcznego słownika

dolno-łużycko-wendyjsko-niemieckiego. Słownik ten wyszedł w Sprembergu 1847 r.

Pieśni ludu łużyckiego wiele przedstawiają podobieństwa z pieśniami naszego ludu: znajdują się nawet w zbiorze takie pieśni łużyckie, które jasną tożsamością treści przypominają wyraźnie wspólność słowiańskiego pierwiastku. Te pieśni są to jakby owe nitki, wśród burz wiekowych pozostałe, wiążące myśli i uczucia Słowian z nad Łaby i Elstery, z pobratymcami nad Wisłą i Wartą. Uczony zaś autor *Piśmiennictwa*, najwymowniej określił ważność łużyckich pieśni ludowych, twierdząc (1), że zpośród znanych pieśni ludowych, te właśnie są najdawniejsze i za polsko-rodzime uważa, które są wspólne Polakom i nadłabańskim Słowianom.

Melodye najstarożytniejszych pieśni łużyckich w rodzaju kościelnym, mają charakter czysto słowiański i wydatnie różnią się od późniejszych pieśni, zdradzających już niemieckie pochodzenie. Melodya starodawnych pieśni łużyckich żywo przypomina pieśni ludu Wielkorosyjskiego. Wyjąwszy pieśni do tańca, wszystkie inne śpiewają Serbowie Łużyccy wolno, drżącym głosem. Każdy takt zwykł zaczynać i kończyć się trylem. Te przejścia w tonach pieśni z *decrescendo* do *morendo*, i potem nagle znowu do *forte*, wiele mają podobieństwa ze śpiewami Ukraińców. Podobieństwo to i w tém jeszcze istnieje, że Serbowie rozmiłowani są przy śpiewach pieśni swoich w dźwiękach *Ha* i *Hale*, od których nietylko zaczynają każdą pieśń swoje, ale wciskają jedno z tych słów, bez względu na sens do textu pieśni, nawet wśród wyrazów, jeśli im zgłoski lub miary jakiej zabraknie. Toż samo znajdujemy u Małorossyan, wplatających gęsto w ludowe pieśni swoje: *hoj* lub *ha*; u Wielkorossyan zaś znowu wiele bardzo pieśni zaczyna się od *ach!* lub *oj!*

Dodatki te znajdujemy u Serbów katolików nawet w pieśniach kościelnych, gdzie dziwne wprawdzie czynią wrażenie, ale religijnej powagi nie rozstrajają. Odmienne są zupełnie śpiewy u Serbów ewangelików: przebija tam już wpływ germański i wtrącone dźwięki nie mogą znaleźć miejsca przy towarzyszeniu organów.

Co do pieśni serbsko-łużyckich, tę jeszcze uczyniłoby należało uwagę, że górno-łużyckie wydatnie różnią się od dolno-

(1) *Polska*, IV, 229; *Piśmiennictwo* I, 122.



łużyckich wznioślejszą poezją i wyższym polotem. W ich pieśniach tu i owdzie domacać się jeszcze można oddźwięków przebrzmiałego bohaterstwa. Tę wyższość poetyczną uplastyczniła niejako natura w tych gęsto usianych wzgórzach, jakimi górne Łużyce ku dolnym spływają.

Smoler w wydanych przez siebie pieśniach ludu łużyckiego, podzielił je na 7 oddziałów:

1) *Pszepólna*, pieśni w polu (*carmina peragraria*) osnowy romantyczno-elegijnej, ulubione dla pasterzy i pasterek.

2) *Rónčka* (zdrobniałe od *rono*, zdanie, peryod) są to śpiewy, jakie przodownik tańca, po jego skończeniu, wykonywa w takt muzyki, z chórem obecnych, jakby na podziękę swojej tanecznicy.

3) *Reje*, śpiewy przy muzyce do tańca.

4) *Wużeńenja* korowody, do których wplata się za każdym powtórzeniem imię jednego z uczestników chóru.

5) *Kwasne spiewy*, śpiewy weselne.

6) *Stonanje*, śpiewy błagalne, jakich zwykły używać deputacye przątek, dla zyskania podarunków, jeśli w chacie chleb świeżo pieczono lub karmnika zabito. Tych jest najmniejsza liczba.

7) *Podkhyrluśje*, legendy śpiewane, czyli raczej klechdy, dla odróżnienia od legend opowieściowych, prozą pisanych, które Serbowie nazywają *bamzički*. Podkhyrlušie (skrótowe od *Kyrye Elejson*), są to owe pierwotne podania i legendy, które kolejną czasu na poetyczny ład nastrojone, w klechdy się zamieniły. Takich klechd wylicza Smoler u górnych Łużycan 15, u dolnych Łużycan tylko 6, a z tych 3 wspólne z górnymi Serbami.

Legendy powieściowe zawarł Smoler w zbiorze swoim następujące:

a) Trzy kozy i wilk (*Tsi kozy a welk*).

b) Żwawa żaba (*Spieśna zaba*).

c) Jednemu szkoda, drugiemu śmiech (*Niećeje horu, ujeceji smjch*).

d) Szczęśliwy dzień wilka (*Welkowy zbożomny dzień*).

e) Bity niesie niebitego (*Bity nebiteho nese*).

f) Nieszczęśliwe rybołówstwo wilka (*Welkowe nezbożomne rybołojenje*).

g) Wojna wilka z lisem (*Welkowa a liścyna wójna*).

h) Zaspana kobieta i jej mocny syn (*Zasparna zona a jejny sylny syn*).

i) Janek i Hanka (*Jank a Hanka*).

k) Im większy łotr, tém więcj szczęścia (*Wetsi šelma, wetsé zbožje*).

l) Krótki len (*Krótki len*).

m) Nabożni śpiewacy (*Nutyrrni spjewarjo*).

n) O biednym czleku, co miał wiele dzieci (*Wot khudeho muža kiž ma wele džjeći*).

o) Lipskulianowe łoże (*Lipskulijanowe łožo*).

p) Kumostwo N. Maryi Panny (*Swjateje Marje Kmótsi-stwo*).

r) Prawda zawsze prawdą (*Prawo pšeco prawo wostańe*).

s) Dyter Bernard (*Dyterbérnat*).

Wszystkie te prawie legendy wiele mają podobieństwa do legend naszych krajowych; niektóre tylko późniejsze są już niemieckiego pochodzenia, a na innych, choć słowiańskiego rodowodu, znać niekiedy wybitnie wpływ Niemczyzny. Najżywiej przypominają się pamięci naszej legendy: Janek i Hanka, i Lipskulianowe łoże, będące wierném odbiciem legendy naszej o Madejowém łożu. Madej jest imponującą postacią w podaniach gminnych: z pewnemi dodatkami lub odmianami, legenda o nim znana była: Polakom i Ukraińcom, i Pomorzanom, Łużycanom, na Czerwonéj Rusi, na Żmudzi i Litwie. Łużycka legenda najwięcej zbliżona jest do polskiej: a autor *Piśmiennictwa* dostrzegając w tém podaniu tło chrześcijańskie, uważa zarazem, że geograficzném następstwem, kolebką jego być musiały podnóża Tatrów, zkąd dopięro poszła śladem Wisły, a od jej brzegów przeniosła się w prawo nad Dniepr, w lewo nad Łabę (1) i ku północy nad Wilią.

Pieśni ludu, klechdy i legendy stanowią rdzeń rozwoju umysłowości serbskiej, w głębokiej zanurzony przeszłości. Przeszedłszy najrozmaitszych doświadczeń szkołę, Łużycanie nic nie uронili z tego, co im prace i badania ich rodaków w zeszłych wiekach przekazały, i na tych pierwotnych oparci probach, jeli się teraz rączo krzątać około piśmienniczéj sprawy, i bez przejść pośrednich, odrazu stanęli na zaszczytném miejscu. Bo téz

(1) *Piśmiennictwo polskie* i t. d. Wacł. Alex. Maciejowskiego T. I, str. 214.

dziwnym jakimś, natchnionym jakby wiedzeni instynktem, zęcznie bardzo Łużycanie wzięli się do rzeczy. Prace swoje, nie już około dzwignienia, ale około stworzenia własnego piśmiennictwa, nie ograniczyli Łużycanie na samych badaniach naukowych i dziełach poważnej treści: odgadli oni uczuciem potrzebę poezyi i ku niej się zwrócili. A właśnie to owe ucieleśnienie poetycznych myśli i uczuć, to najwymowniejsze zawsze świadectwo: czy naród biegle i jędrnie włada językiem swoim, czy wyrobił a przynajmniej wyrabia w nim wszystkie dane od natury cechy piękna, siły, giętkości, harmonii i bogactwa, czy czuje piękność swego języka: słowem, czy ma samopoznanie własnego życia.

We wspomnionym przez nas wyżej Czasopiśmie Smolera (*Casopis towarstwa Maćicy serbskieje*) często spotykamy się z poezją: a już to nie piosnki ludowe: i duch Łużycan i język ich zmęźniał, to już utwory idealizujące myśli narodu.

Wyjąwszy tłumaczeń, wszystkie te zresztą poezye są treści lirycznej i dydaktycznej, a charakter ich elegijny. I to właśnie charakterystyczną ich barwę stanowi. Dumka jest rodzinnym płodem słowiańskiej poezyi. W niej więc Serbowie odbili pierwsze swoje dążenia poetyczne i nie zawiódł ich instynkt, że elegia będzie najszcześniejszą formą dla pierwszych poetycznych prób lużyckiego ludu.

Od roku 1848 do końca 1852 wychodził Czasopism pod redakcją J. E. Smolera, zeszyt zaś z roku 185<sup>3</sup>/<sub>4</sub> wyszedł już pod redakcją Jakóba Buk. W ogóle po koniec roku 1854 ukazało się 10 zeszytów Czasopisma, mianowicie: z 1 roku t. j. 1848, zeszytów 4; z 2 i 3 roku t. j. 1849—1850 zeszytów 3; z 4 i 5 roku, t. j. 1851—1852 zeszytów 2; z 6 i 7 roku, t. j. 1853—1854 zeszyt 1.

Zbiór ten zawiera szacowne prace uczonych serbskich w wielostronnych kierunkach poważnej i lżejszej literatury; i tak: na niwie *poetycznej* spotykamy się z imionami J. E. Wjelana, skrzętnego zbieracza południowo-serbskich pieśni; H. Sejlera, autora 50 bajek i zbieracza pieśni górno-lużyckich; Cyża, autora krytycznego rozbioru pieśni południowo-serbskich, zwłaszcza też poematu Omar i Mjerima; wreszcie prace Dr. Pful o teoryi poezyi. W dziedzinie *historyi* uwagi godne są artykuły: J. A. Jencza o dawnych królach serbskich i o pomnikach pi-

śmiennictwa i narodowości serbskiej, oraz rozprawa J. E. Smolera o mitologii łużyckiej.

W oddziale *badan językowych* stoją na czele uwagi gramatyczne J. E. Smolera, Dr. Pfuła i Jakóba Buka, oraz ułożony przez ostatniego z nich zbiór przysłówiów serbskich. Do *nauk przyrodzonych* odnoszą się próby botaniki serbskiej z własną terminologią, przez M. Rostoka.

Nie zapomniano w Czasopiśmie i o przekładach klasyków starożytnego Rzymu; znajdujemy tam bowiem List z Pontu, pisany przez Publiusza Owidiusza Nasona, przełożony na język łużycki przez Dr. Pfuła wreszcie bajki Fedra, tłumaczone przez Chr. Fr. Stempla.

Nie zadziwia nas w Czasopiśmie bogactwo treści, zasadność nauki, i dojrzałość głębokiego poglądu. Imiona uczonych Serbów są nam dostateczną rękojmią nauki i światła: ale to, zdaniem naszym, podziwienia godne, że wzięwszy od ludu język, za ledwie w kolebkowym rozwoju bogactwa, umieli z niego wysnuć wszystkie formy i obroty do wypowiedzenia przetrawionej wprzód myśli i wiedzy, zebranej nie w łużyckich szkołach. Uczni serbscy stworzyli język naukowy, a obok niego z całym wdziękiem dziewiczym pojawił się język poezyi. Język dawniej znany tylko w piśmiennictwie z pieśni ludu i dzieł duchownej treści, z zadziwiającą łatwością dał się nagiąć do tłumaczenia każdej nauki i umiejętności. Ten postęp Serbów, to stworzenie prawie przez nich własnej literatury w najobszerniejszym znaczeniu, tém godniejsze jest uwagi, że Łużycanie dotąd całe umysłowe wykształcenie swoje, poczynwszy od szkół elementarnych aż do uniwersytetu, rozwijali w niemieckim języku.

Całej sympatyi i bliższego poznania godzien naród, tak szczerze pracujący nad duchowym swoim rozwojem i stanowiący dziś jakby drobną wyspę słowiańską wśród szeroko rozlanego morza żywiołów germańskich. Do powyższych więc uwag geograficzno-statystycznych i językowych o dzisiejszym stanie Łuzacy, dołączymy jeszcze szerszy nieco pogląd na wewnętrzne ich życie: na Serba łużyckiego przy domowym jego ognisku. Oprzemy się tu na dziele Smolera i Haupta, a to tém chętniej, że słowiański typ ludności łużyckiej już teraz nie blednie i nie zamyka się w coraz ciasniejszym zakresie, ale owszem, coraz pełniejszej dobija się samodzielności.

Nagła, niespodziewana, a wielce pomyślna dla narodowości serbskiej zaszła w kilku ubiegłych latach odmiana. Ponieważ w zawichrzeniach zakłócających Saksonią w czasach ostatnich, nie brali udziału Serbowie; rząd więc bardzo łaskawém dziś na nich pogląda okiem. Teraźniejszy król Jan, będąc jeszcze następcą tronu, przyjął protektorat nad towarzystwem uczoném Budyszyńskiem, a królem zostawszy i sam dokładnie obznajmiony z łużyckim językiem, kazał synowi swemu, następcy tronu, majorowi w kawaleryi saskiej (1) stać załogą w Budyszynie i pobierać lekcye u Smolera. Rozkazał nadto, aby sądownictwo odbywało się w języku narodowym, władze administracyjne wydawały rozporządzenia swoje w języku niemieckim i serbskim i aby po szkołach, a nawet w gimnazyach, zaprowadzono wykład języka serbskiego.

Niekiedy téż wyprawia dla Serbów obiady urzędowe, na które wieśniacy łużyccy posyłają swoich deputatów, a król upomina każdym razem, aby przybywali koniecznie w ubiorach narodowych, bynajmniej zaś nie we frakach. Wieśniacy ci, bardzo gospodarni i bogaci, rządnością swoją przewyższają i zadziwiają Niemców.

W obrazie dawnych Serbów, kreślonym w kronikach, widzimy lud silnej budowy ciała, jasnego włosa, ogorzałej cery; i dziś znajdziemy go jeszcze takim, jeśli go nie będziemy szukać w okolicach, gdzie wszczepiający się jad opilstwa nurtuje zdrowe siły, lub téż gdzie zbyt jałowe grunta, brakiem pierwszych potrzeb wysuszają żywotne źródła. Wogóle plemię Serbów słygnęło i słynie pełnią zdrowia i żywotnych sił, a od połowy zeszłego wieku kobiety łużyckie nader są poszukiwane w całej Saksonii za mamki. Nawet wielu potomków rodziny królewskiej wykarmiła słowiańska pierś serbskiej niewiasty: tę wziętość zaś zawdzięczają pewnej damie szwedzkiej, pani Stenn, która około 1750 r. utraciwszy męża i pozostawszy chorobą złożona w Dreźnie, oddała niemowlę swoje łużyckiej karmicielce, a ta obdarzyła je czerstwem zdrowiem i siłą.

Wierny słowiańskim tradycjom, charakter Łużycan określiła się na wydatném religijném tle. Religijność ta nie jest u nich formą, ani téż wyrobieniem: to wiernie po naddziadach

(1) Książę Albert Fryderyk August ur. 23 kwietnia 1828 r. zaślubiony z księżniczką Waza.

przechowana puścizna, w krew ludową przeszła, a żywym jój pomnikiem są dodziśdnia przysłowia, jakie lud w każdej chwili ma na ustach: Boże dopomóż! Bóg z nami! Idźcie z Bogiem! Boże daj! Szczęść Boże! A wszystko co piękne, zwą instynktem ludowym: z Boha (od Boga). Zamiast zwykłych wyrażen: słońce wschodzi, księżyc zaszedł, deszcz pada; Łużyczanin mówi: słońce Boże wschodzi, słońce zaszło do Boga, Boży księżyc świeci, Boży deszcz pada i t. p.; żebrak nawet błaga bliźnich o kawałek Bożego chleba, a gdy paraliż kogo dotknie, Serb mówi: Boża go ręka dotknęła. I pomyślność i przeciwność do tegoż początku odnoszą. Świątynie Pańskie pełne są zawsze pobożnego ludu, a rzadko bardzo się zdarza, aby Serb znieważył ciężką pracą dzień odpoczynku, który podobnie jak my Niedzielą nazywa. Pobożne nauki w rodziáném kole, rozbiory kazań, czytanie wspólne ewangelii, jeszcze nie pierzchnęły z pod serbskiej chaty, a gdy w południe lub w wieczór rozlegnie się dzwon modlitwy, każdy Serb oderwie się od pracy, odsłoni głowę, i ręce do pobożnych w ciszy serca złoży modłów.

Z wiary i religii idzie odwaga i męstwo, więc one téż wspólne Serbowi z całą słowiańską rodziną. W niejednej ciężkiej potrzebie dowiódł Serb odwagi ducha i siły ramienia: jest w nim i hart i wytrwałość i zręczność, a znany pułk dragonów księcia Jana, z samych złożony Serbów, rozgłośne w kampanii francuzkiej 1812 — 1815, zjednał sobie imię, i znany był powszechnie pod nazwą: *les bouchers Saxons*.

W ogóle jednak wojna nie jest jego żywiołem, a siły swoje woli raczój w pokoju tchnacém usposobieniu zwracać do pola i roli, albo téż własnej obrony, niż do zaczepki i waśni. Nawet teraz już rzadko tu znaleźć awanturników, haraburdów, i napastników. Serb lubi pokój i zgodę pod rodzinną strzechą, i w tradycyjném ma poszanowaniu powagę prawa.

Herder usposobienie ogólne Słowian określił niegdys w tych słowach, dających się wybornie zastosować i do łuzycyckich Serbów (1). „Mimo głośnych czynów swoich, nigdy Słowianie nie byli, na wzór Niemców, wojowniczym i awanturnicznym ludem; posuwali się oni raczój za niemi, a zasiedlając opuszczone od innych ludów przestrzenie, starali się uprawiać i upożyteczniać je, jako koloniści, pasterze i rolnicy. Po wszystkich więc zni-

(1) *Pomysły do filozofii dziejów rodzaju ludzkiego* tom IV.

szczeniach, jakich doświadczały kraje skutkiem wędrowki narodów, cicha i wytrwała praca Słowian pożytek im szczerzy niosła.“

I jest też praca żywiołem łrzyckiego Serba, a rolnictwo i przemysł rolniczy głównem i ulubionem całego ludu zajęciem. Niewdzięczne wydmy i jałowe sapy zamieniają się pod ich pracowitą ręką w uprawne pola. Wytrwałość i zamiłowanie pracy cuda tu tworzą: nie widać gnuśności ani zobojętnienia: kto nie ma roli, idzie do rzemiosła lub wyrobku. Mało tu więc żebractwa, a mniej jeszcze kradzieży. Drzewo w lesie lub owoc w sadzie, to jedyne prawie cele kradzieży, wynikające z zakorzenionego i tu przesądu, jakoby Bóg kazał tym drzewom i owocom rósć zarówno dla wszystkich ludzi i przywłaszczając je sobie żadnym nie było grzechem, zwłaszcza gdy pierwotnie ziemia i wszystko co na niej rośnie, składało powszechną własność całej gminy; każdy co się w tej gminie rodził, miał prawo do wspólnego użytku. Nieznane jest prawie Łrzyccanom ostrożne zamykanie domów i izb, ogrodów i dziedzińców: kto żyje wylega w pole, zwłaszcza w czasie żniwa, a cały dobytek zostaje bez stróża, tylko pod okiem ogólnego sumienia. I tu wprawdzie znajdzie się dziś już niejeden oszust, podstępnie na cudze mienie dybiący, ale wśród masy bardzo to jeszcze rzadkie wyjątki. Dane słowo, obietnica, w wielkiej są tu jeszcze cenie i nieraz Łrzyccanin ważne nawet czynności załatwia, podając rękę ziomkowi w obec sąsiada i na stwierdzenie pewności mówiąc tylko: „Bóg widzi“ lub „Bóg słyszy.“ Trwałe związki przyjaźni i to pełne uczucia przywiązanie i wierność czeladki do swojego pana, są to dziwnie ujmujące zalety charakteru Łrzyccan.

Jak wierność tak i gościnność jest dziedzicznym Serbów przymiotem. „Gość w dom, Bóg w dom“ i u nich jest zasadą; grzech przeciw prawu gościnności, niesławę ściąga na grzesznika. Z serdeczną radością przyjmują gościa i w towarzyskim zapędie swoim nagadać się dość nie mogą. I jest też cała budowa i harmonia ich języka dziwnie uzdolniona do lekkiej pogadanki. Swoboda i wesołość panują w chacie Serba i wylewają się na zewnątrz, czy to w polu, czy przy rodzinnej jakiej uroczystości, czy na kiermaszu, czy u prządek, czy na taneczniczej sali. Ich pieśni są odbiciem tej wesołości, tego zapomnienia o dręczącej myśli, tej gonitwy za osłodą trosk życia. I któż w tym zarysie charakteru nadłabańskiego Serba nie dopatry cech

wielkiej wspólnej słowiańskiej rodziny? kto nie dopatrzy, a raczej nie uczuje wspólnych znamion, pomiędzy chatą i ludem z nad Nissy i Elstery, a typami chaty i ludu Gregorowicza? bo jedni są wszędzie duchem i sercem Słowianie, wszędzie odznacza ich jedność plemiennych zalet: „duch religijny, zamiłowanie pracy, spokojna, dobroduszna swoboda myśli, miłość do rodzinnej mowy i duch pojednawczy“ (1).

Są i dziś jeszcze widoczne, dotykalne cechy, wyróżniające Łużycan wśród oblewającej ich dokoła powodzi Germanizmu. Różni ich nawet utrzymujący się dotąd w wielu miejscach odrębny strój, od niemieckiego zupełnie różny. Czarny kapelusz (*kłobuk*) pokrywa zwykle głowę Łużycanina, z tą tylko odmianą, że u Serba z okolic Mużakowa (*Muskau*) skrzydła bywają dość szerokie; u katolika zaś w okolicy Budyszyna wąskie. W ostatnich dopiero czasach pojawiać się zaczęły czapki. Na szyi zawiązana zwykle ciemna kolorowa chustka, dalej długa kamizelka (*lac*) niekiedy czerwona sukienka, jedwabna, a z złotem naszym. Gruba koszula (*kosta*) z długimi rękawami, skórzane, sukienne lub płócienne spodnie (*kholawy*), długie lub dokolan, na szelkach (*slje* albo *heńki*), a w butach (*skórnye* lub *črije*) zwykle onuczami lub słomą obwinięte nogi. Przy codzienniej pracy noszą bekieszę (*pikesa*) płócienną lub sukienną, i tak zwaną kapę czyli *kabat*, długi surdut płócienny. Na zimę kozuch owczy lub szubę (*pelc*).

Dziewczęta noszą na głowie pokrycia z białego w pasy płócienka, obszytego w ząbki (*kapa*, *mjeca* lub *hawba*). Mężatki noszą siatkowe czapki (*čjepc*), obszyte zwykle czarną jedwabną wstążką, której końce spadają na plecy. W niektórych okolicach widywać można haftowane różnofarbne czepki, lub też naszyte perełkami i szychem. W czasie upałów lub mrozów zarzucają nadto na głowę chustki, których związanie, ze spływającymi w tył końcami przypomina malowniczy strój krakowskich naszych dziewczeczek. Niegdyś serbskie dziewczęta występowały z gołą głową, z potrójnie splecionym warkoczem; dziś chyba druchna tylko w katolickich Łużycach pokaże się na chwilę z gołą głową, w czasie sprawowania ważnych swo-

(1) *Szafarzyk*, Dzieje języka i literatury słowiańskiej wszelkich narzeczy.



ich obowiązków; zresztą podrastająca zaledwie dziewczynka już tu czepkiem pokrywa głowę.

Wyjątkową strojnością i wystawą odznaczają się tu festyny, uroczystości i obchody rodzinne, jako to: wesela, chrzciny i pogrzeby. Dla przykładu opiszemy tu tylko strój panny młodej na Łużycach, pomijając już same szczegóły weselnych, chrzestnych i pogrzebowych obchodów; bo teby nas za obręb zamierzenia naszego uniosły. Główną, odznaczającą część stroju panny młodej stanowi *borta*. Jest to kołpaczek czarny, aksamitny 9 do 10 cali wysoki, w kształcie ściętego ostrokręgu. Ścięty brzeg zwierzchni obwiedzony jest zwykle złoczoną obręczą, do której przytwierdzono 12 srebrnych wyłaczanych gwiazd. Wierzch borty przystrajany bywa dziewiczym wiankiem rucianym, do którego wplatają sztuczne kwiaty. Sute pod bortą upięcie ze wstążek, kokard i warkocza zwie się *hładzenje*; do niego przyczepiają złocistą opaskę włosów gwiazdkami świecąca, czyli tak zwany *sljebornik*, opaski te bywały bowiem niegdyś srebrne, ztąd pochodzenie nazwy. Zielona wstążka okala czoło panny młodej, wysuwając się z pod borty, a nadmieniamy zarazem na chlubę obyczajów łużyckich, że tylko uczciwym dziewczętom (*česna holca*) nosić tu bortę przystało. Szyja panny młodej obwieszona jest mnóstwem perełek, a niekiedy i sznurkami nanizanych srebrnych lub złotych blaszek. Niebieski jedwabny kaftanik, biała haftowana chustka (*tykane rubisko*) i niby podwójna biała kryza, obszyta zieloną jedwabną wstążką, opasująca piersi, ramiona i plecy, a zwana zwykle *fli-zurem* lub *frizurem*, zielona przepaska; wreszcie dwa fartuszki: otózi i skończony strój panny młodej, do którego pod żadnym pozorem czerwony kolor wchodzić nie może; wszystkie wstążki powinny być zielone, albo też przynajmniej białe i zielone.

W okolicach Mużakowa panny młode obwijają zielonemi wstęgami cały wierzch włosów, na głowie mieszczą ruciany wianek, od którego zielone i białe końce do pasa spadają. Kaftanik czarny z czerwonymi wyłogami i ciemnym sznurowaniem. W jednej ręce trzymają gałązkę rozmarynu, w drugiej długą białą chustkę, zwaną *podbok* czyli *powjesenje*.

Druchny ubierają się podobnie jak panny młode, tylko że noszą czerwone wstęgi, bez wianka rucianego i sljebornika.

Skromne, drewniane zwykle i szczytami do frontu zwrócone są domy łużyckich Serbów; nie mają oni zamięłowania do

murów, tam nawet, gdzie z łatwością dostatek materiału do kamiennych budowli znaleźćby mogli. Niskimi drzwiami (*durje*), obwarowanemi, jak za błogich bezpieczeństwa czasów, prostym zamkiem (*zauk*) i drewnianą wewnątrz zasuwą (*zasuwak*), przejdziesz wysoki próg (*próh*), i szczupłą sienią (*khjeża*) dostaniesz się do izby (*stwa*), jedyne zwykle pomieszczenia dla rodziny: w dodatku tylko bywają, jak zwykle po wsiach, komórki. Jako właściwość miejscowa łużyckiej izby wpada naprzód w oczy wielki kaflowy piec (*khachlje*), kwadratowy lub podłużny, ze dworu opalany i wmurowany weń kociołek miedziany lub żelazny (*khachleńk*). Na piecu suszarnia, a przestrzeń między nim a ścianą, stanowi ów tylekroć w bajkach i legendach sławiony zapiecek. Obok pieca bywa zwykle i komin. Wewnętrzne zaś zresztą urządzenie i pozór łużyckiej chaty opisywać nie będziemy, bo zna je każdy, kto zajrzał do wnętrza chaty zamożniejszego naszego włościanina.

W tej chacie z dawien dawna Serb bywał gospodarzem (*hospodar*) i panem (*kńez*), niewiasta, dzieci i czeladź posłuszne były jego zarządzeniom, i każda chatka łużycka była przykładem dobrze uorganizowanego rządu patryarchalnego. Tak bywało niegdyś, tak jest i dzisiaj, tam, gdzie tradycja niezagłuszona jeszcze napływem świeżych wyobrażeń. Ale wyjątków coraz więcej. Niewstrzeźliwość i rozpusta i tu już coraz głębiej zazierać zaczynają, a duch postępowych pojęć coraz głębiej wszczepiający się przez zetknięcie z Saksonią i Prussami, zwłaszcza przez żywotną arterję służby wojskowej, coraz bardziej zaciera wyłączny Łużycan charakter, jakim wyróżniali się nad poziomem jednoplemienności germańskiej.

Rolnictwo jest głównem i ulubionem zatrudnieniem Łużycan, a dziś, gdy stosunki włościan i panów uregulowane już zostały, zyskał Serb więcej swobody i ujrzał się w posiadaniu tych praw, jakich poprzednio z utęsknieniem zazdrościł włościanom dóbr rządowych i duchownych; z rzemioł najwięcej tu jest uprawiana ciesielka i mularka, a tkactwem zajmują się po większej części kobiety. Nieznane są Łużycaninowi przywileje rodu i krwi; ulegać jednak musi szlachcicowi niemieckiemu (*zemjan*), a z własnego popędu poważa duchownych (*duchowny, póp, popoc, kńez*) wspólnego z sobą pochodzenia; bakałarza (*wucer*), który dzieci jego naucza; dzierżawcę (*najuk pachman*), a wreszcie sołtysa (*sołta*), który zwykle bywa zara-

zem i karczmarzem (*korcmér*), i zajmuje najwyższy szczebel dobrego bytu, do jakiego włościanin łużycki w marzeniach tylko swoich wznieść się kiedy pragnie.

Pierwszém ogniwem administracyi są gromady włościańskie, odbywające narady pod przewodnictwem sołtysa, latem zwykle pod cieniem lipy, a zimą w karczmie. Nie masz prawie takiej narady, na którejby głośnie nie objawiły się opozycye. Serb dumny jest z prawa swojego głosu, i dane veto, choćby przekonany o jego niesłuszności, nie wprzód odwoła, aż przez dobę jaką przynajmniej oporem się swoim nacieszy. „Mimo sprzecznego ducha, ruchliwości i żwawości swojej, ma jednak Serb wrodzone zamiłowanie do przestrzegania zewnętrznych form, jak niemniej poważanie dla prawa i porządku. Każda wieś jest tu niby oddzielném państwem, gdzie wszystkie kółka chwytają się wzajemnie trybami; niby ulem, gdzie w zamętym nieładzie pełno brzęku, szumu i krzątania, a jednak wszystko zwykłą, uświęconą toczy się rutyną: jeśli zaś przypadkiem rój kogoś ukluje, to już chyba jakiego intruza rzeczypospolitej“ (1).

Karczma jest i tu jakby radną izbą, jakby giełdą i resursą Łużycan; bez karczmy nie obejdzie się żadna sprawa, żadne kupno, ani festyn żaden. Piwo ulubionym z dawien było napojem, posilnym i zdrowym: dziś i tu już wódka zgubnie upowszechniać się zaczyna. Nie tyle jednak trunek, ile raczej taniec jest namiętnością Łużycan; i to znów taniec charakterystyczny, niepodobny pod żadną ze znanych reguł, tak zwany taniec serbski (*serska reja*): zawodzony zwykle na tempo poloneza, a zbliżony może najwięcej do menueta. Dziś jednak przejęli Łużycanie już od Niemców walc, galopadę i schottisch; podobnież jak i samą muzykę na skrzypkach, klarynecie, trąbce i t. d., wyjąwszy mało tu znanego fletu. Właściwych łużyckich narzędzi muzycznych wypadłoby chyba szukać jedynie tylko w okolicy Mużakowa. Spotkać tam można po dziś dzień jeszcze gęśl serbską (*husla*), tarakawę, rodzaj oboi; kobzę i cymbały.

Dość długi jest poczet zabaw i uroczystości ludowych u łużyckich Serbów: *okrężne* czyli *dożynki*, *kiermasz* (*kermusa*), po ukończonych żniwach, zwykle trzy lub cztery dni wśród karczemnej hulanki spędzany: Boże Narodzenie z wielką

(1) *Próznicki Serskego ludu* i t. d. J. E. Smolerja, T. II, str. 217 (Grimma 1843 r.).

obchodzone tam jest uroczystością. Na podobieństwo wyobrażenia o gwiazdce naszej, dziecko boże (*boże dziecko*) w białej szacie roznosi po domach kolendy, obdarzając dobre i grzeczne dzieci, a karząc różgą niegrzeczne. Upowszechniające się od pewnego czasu i u nas drzewka kolendowe oddawna przystrajane bywają u Łużycan w wieczór świętej wigilii. Po uczczeniu Nowego Roku i Trzech Króli wypiekiem ciasta w postaciach krów, owiec, gęsi, utrzymał się jeszcze w niektórych okolicach jak np. w Welze, okręgu Spremberskim obchód wypędzania czyli wynoszenia śmierci, przypadający zwykle na niedzielę Laetare.

W Wielki Czwartek (*zeleny stwórtek*) wszędzie tu jadają bułki z miodem, jako prezerwatywę przeciwko pchłom na rok cały.

Przez post w niedzielę i święta młodzież wiejska pod otwartym niebem śpiewa chórem nabożne pieśni. Najważniejszą jednak uroczystością dla towarzystw śpiewających, których tu istnieje wielka liczba, jest Wielkanoc. Od północy już, pierwszej chwili Zmartwychwstania, zaczynają się rozlegać chóry nabożnych pieśni, i nie ustają prawie dzień cały: czy to w drodze do kościoła, czy w kościele samym, czy też w powrocie do domu.

Strzelanie do tarczy, dyngus i różnofarbne jajka (*pisane jeyka*) należą stale do programu Wielkanocnego u łuzycyckich Serbów.

Noc 30 kwietnia, poprzedzająca według niemieckiego kalendarza dzień św. Walpurgi (1), patronki przeciw czarom i czarownicom, także głośno z licznymi obrzędami obchodzona jest w Łuzycy. Drzwi do stajen i obór znaczą wtedy krzyżami, chłopcy z płonącymi miotłami (niby godła spalonych czaro-

(1) Święta Walpurga córka Ryszarda króla angielskiego, siostra św. Wilibalda, siostrzenica św. Bonifacego, w VIII wieku ery naszej była księżką w klasztorze Hejdenhejmskim w Frankonii. Zwłoki jej spoczywają w grocie klasztoru Benedyktynów w Eichstädt. Jako główna pogromicielka czarów, kanonizowana została w IX wieku. 1 maja, t. j. dzień apostołów Filipa i Jakóba na jej obchód przeznaczony został. Odtąd noc wili na 30 kwietnia uważana była w Niemczech za czas schadzki czarownic i czarowników na sławnym Brokenie, jak u nas schadzki w noc św. Jana na Łysej górze.

wnic) obiegają po wsi, Wreszcie ustawiają drzewo majowe, które stoi zwykle do Wniebowstąpienia. W sam dzień św. Walpurgi chłopcy wiejscy skaczą przez szubieniczki z gałęzi wierzbowych, zwiastując zręczniejszemu szereg pomysłności. Obchód ten, odpowiadający niby świętojańskim naszym sobótkom, jest przecież nie rodzimy łuzicki, ale napływowy; przejęty od Niemców z wyobrażeniem o Walpurdze. I to też może jedyny nie swojski żywioł w ludowych uroczystościach Nadłabańskich Serbów.

W Zielone świątki stroją domy i kościoły, jak u nas, zielonemi gałęzmi i tatarakiem; a rodzice wiążą w tym dniu różeczki, które w ciągu roku wielce pożyteczną pełnią mają służbę.

Dla uzupełnienia pasma uroczystości ludowych, wspomnieć wreszcie należy dzień św. Jana Chrzciciela; dni apostołów, zwłaszcza też św. Piotra w okowach, i Boże Ciało (*brosma*), obchodzone świątecznie nawet przez protestantów w okolicach Spremberga i Kociobuża.

W zakończeniu krótkiego zarysu naszego, nie godzi się pominąć stowarzyszeń, a raczej kółek prądniczych, które u Łuzycan ważną odgrywają rolę. Przędzenie lnu jest jedném z głównych zatrudnień wiejskiego ludu: od wczesnej młodości siadają dzieci przy kądzieli, a starcy i zgrzybiałe babki przez rok cały od rana do wieczora, od warczącego nie powstają kółka. Jest jednak pewna w roku epoka, szczególniej przedziałnym poświęcona zatrudnieniom: to czas od d. 11 października t. j. od św. Burckhardta aż do Popielca. To epoka wieczornic. Przędki wiejskie zbierają się w kółka najwięcej po 12 osób, i po uroczystém otwarciu wieczornic odpowiednim festynem, na którym pieczona gęś zwykle rej wodzi, zasiadają do kołowrotków. Zwyczajna wieczornica trwa od godziny 7 do 10 wieczorem, przędki pracują niezmqdowanie i bez przerwy; tylko w Sobotę dozwolony jest o 9 wypoczynek kwadransowy. Choć jednak ręce zatrudnione i kółka warczą, nie próżnują przecież i usta. Po wyczerpaniu kwestyj dziennych, całe koło przędek zawodzi śpiew za głosem przodownicy (*zanoserka, kantorka*), która musi mieć w pamięci obfity zasób piosnek i melodyj. W poście śpiewane są nabożne pieśni. Resztę czasu wypełnia opowiadanie klechd, bajek, anegdota lub też rozwiązywanie zagadek. Trzy razy zwykle w ciągu kilkomiesięcznej epoki prądniczej wyprawiane bywają wieczorne zabawy, z zachowaniem orygi-

nalnych obchodów. W Popielec wreszcie (*sazna sreda*), wśród wesołych wyskoków humoru przebijają kądziel (*psazu zakalać*); i od tego dnia, przez całą wiosnę znów i lato tylko dzieci i starcy wyłącznie zajmują się przędzeniem (1).

(1) Ten obraz żwawego krzątania się Łużycan około lnianych wyrobów, przykre budzi wspomnienie owego zaniedbania i upadku, w jakie samowolnie tę gałąź przemysłu w kraju naszym wtraciliśmy.

Przed wieki już ona u nas kwitnęła, przed wieki prababki nasze słęły ze znawstwa i zabięgliwości około przędzy i kądzie-li. I nie dziw, boż to nasz, rodzimy, swojski przemysł: przed in-ne-mi od Boga do hodowania nam dany. Ale nam wygodniej kupo-wać pruskie i holenderskie płótna, choć przeplacić wyrób i len własny, niż pomyśleć o płóciennictwie krajowém (\*). Dziś epoka przemysłowych przedsięwzięć, duch stowarzyszeń coraz szerzej rozplata swą siatkę, i w kilku ostatnich latach przez akcyę dźwi-gnęło się kilka znakomitszych w kraju przedsięwzięć. Wszak już jedwabnictwo znalazło orędowników i mecenasów: dowie-dziono, że możemy i będziemy mieć własny jedwab; czyżbyśmy więc nie mogli i nie powinni o własnem też pomyśleć płótnie? Wszak to tak łatwe zadanie, a jednak warte zachodu, byśmy kie-dyś odpowiedzieć umieli, gdy nas zapytają: cośmy zrobili z wzię-tym po ojcach dziedzictwem; a przemysł płócienniczy wielkimi tam zapisany jest głoskami w tym inwentarzu pośmiertnym. Nie-długo może my i zapomnimy dlaczego Oktober u nas Październi-kiem zwie się, zkąd idą nazwy: Krośniewic, Moczydłowa, Bli-chowa, Linowa, Tkaczewa i t. d; dlaczego rozgłośnie znane płótna żaglowe podziśdzień Polacos nazywają: pewnie nie dla szcu-płych zapasów naszych zgrzebných płócien, ani dla mniejszj je-szcze ilości staranniejszego nieco wyrobu, jaką nam Augustowska gubernia dostarcza. Nie, innem życiem warczeć musiały koło-wrotki po naszych wioskach, gdy je temi nazwy chrzciono. Po-wszednie i u nas wtedy były takie, jak łuzycckich przątek wie-czornice.

(\*) Mamy np. w tym względzie szacowne bardzo dzieło, oryginalnie przez uczonego profesora Bernhardta napisane: (Płóciennictwo i t. d. p. Augu-sta F. Bernhardta. Warszawa. 1842); a iluż między nami znajdzie się takich, co je przeczytali, a przeczytawszy, korzystać zeń pomyśleli?

## PAMIĘTNIKI

*Sabiny z G. G.*

(Ciąg dalszy).

Jedną z pamiętnych mi postaci salonu mojej babki był ksiądz referendarz Sołtyk. Połączony z nią związkami powinowactwa, często dom jej nawiedzał. Wysoki, chudy, ubrany nieodmiennie w długi prawie do kolan czarny frak, i złoty łańcuch z emaliowanym białym krzyżem, jako znakiem kościelnej jego godności; miał pełne kieszenie zegarków grających, tabakierek grających, dewizek różnego kalibru, a palce jego przykryte były pierścieniami, antykami i nie antykami. Mieszkanie jego literackie było przepelnione różnemi osobliwościami, drogiemi kamieniami, klejnotami, więcej bogactwem i sztuką, niż dawnością zalecającemi się. Wszedłszy do niego razu jednego z moją matką, zdumiałam na widok tylu i tak obficie porozrzucanych cacek i świecideł; a ksiądz referendarz, który lubił dzieci, a bardziej jeszcze rad widział wrażenie, choćby na młodych umysłach spowodowane widokiem bogatego zbioru, powiedział do mnie z uśmiechem zadowolenia: „Coś bardzo oczki na wszystkie strony strzelają?“ Ale jakże strzelać nie miały, kiedy tyle świecących przedmiotów walczyło z sobą o pierwszeństwo do mojej dziecińskiej admiracji. Tu misternie wyrobiony kanarek, który śpiewał; tam złote, z prawdziwego złota wyrabiane, pływające rybki; to znów ogromnej wielkości naczynia złote i srebrne; brzozy, mozaiki i tym podobne przedmioty. Mówią, że najtrafniejsza krytyka jest w ustach ludu i dzieci: otóż ksiądz referendarz znalazł krytykę swojego zbioru w ustach siedmioletniego

W... W..., który zapytany przez niego: jak mu się te wszystkie bogactwa wydają? odpowiedział niewiele myśląc: „O! bardzo mi się wszystko podoba: tak napchane i różne, jak w sklepie zabawek.“

Pamiętni mi także byli, jako prawie codzienni u mojej babki goście, margrabstwo Wielopolscy; sama, Bielińska z domu, siostra słynnej z rozumu ministrowej Łubieńskiej, była wzorem kobiet, żon i matek. Miała córkę Krystynę, pełną także cnót i talentów, która poszła za pana Bontani (1). Sam margrabia, potomek starodawniej w Polsce rodziny, i posiadacz znacznego majątku (majoratu), skutkiem okoliczności nieprzyjaznych zaciągnąwszy długi, prosił króla saskiego, wówczas księcia warszawskiego, aby wbrew istniejącemu prawu o fideikomisie dóbr margrabstwa, wolno mu było spłacić wierzycieli przez sprzedaż dwóch-trzecich części dóbr margrabstwa, a majorat nowy erygować na trzeciej. Margrabia nie miał potomka płci męskiej, ani nawet bliskich bardzo krewnych. Król Niemiec, nieznający rzeczy, z łatwością pozwolił. Ale w lat kilka wraca z zagranicy potomek, na którego głowę spaść miał nowo erygowany z trzeciej części dóbr margrabskich majorat. Wychowany nadzwyczaj starannie, wyćwiczony w naukach, objawiający wielką do interesów zdolność, słuchał kursów filozoficznych i prawnych na uniwersytecie w Getyndze. Ledwie powrócił do kraju, jął się do rozpoznania interesów majoratu i praw swoich do niego; i wytoczył stryjowi, staremu margrabiemu proces, o niewłaściwą sprzedaż dóbr margrabskich: dowodził, że król saski nie miał prawa rozwiązywać erekcyi, od wieków na swęj nietykalności istniejącej. Trybunały wszystkich instancyi, głównie zajęte były obustronnemi skargami: z jednej strony staje stary margrabia, otoczony właścicielami nowo nabytych dóbr margrabskich, którzy je w dobrej wierze, opierając się na dekrete królewskim kupili, których znaczna liczba całe swe mienie w te majątki włożyła i zagrożoną jest utratą wszystkiego; z drugiej staje młody margrabia, mający prawo i tradycyę za sobą, i obstający za nimi z energią lat młodzieńczych, i pewno-

(1) Jest w Album mojej matki piękna akwarella, wyobrażająca gałązkę z jabłkami rajskimi przesłicznej roboty, ręką Krystyny Wielopolskiej, dzisiejszej pani Bontani wykonana, a obok ośmiowiersz *O przyjaźni*, w języku włoskim. (Przyp. aut.).



ścią że wygra. Proces ten o ile wiem, gdyż opuściwszy w roku 1826 nazawsze krakowskie, przerwałam stosunki z osobami dobrze mogącemi mię zainformować, został rozstrzygnięty o ile tylko słuszność z prawem zgodzić się mogła. Wierzyciele i posiadacze dóbr margrabskich wynagrodzeni, a margrabia wrócił do posiadania głównej stolicy majoratu, miasta Pińczowa (1). W bardzo młodym wieku, często przejeżdżałam z moją matką przez Pińczów; pamiętne mi jest jeszcze miasteczko dość duże, ale źle zabudowane, rodzinami żydów zapchane, rozłożone na ogromnych i piaszczystych bagnach, mające stromą górę, na której widać jeszcze zwaliska starego zamku; tu owdzie porozrzucane ciosy, marmury, mozaiki, które kiedyś służyły za ozdobę temu przybytkowi, a dziś leżą bez użytku, jakby na świadectwo znikomości rzeczy ludzkich. Tradycja niesie, że zamek ten był rozwalony przez matkę przedostatniego margrabiego, która w napadzie umysłowej choroby, kazała go zburzyć aż do podwalin, niby dla szukania ukrytych w nich skarbów; a w jego miejsce u stóp góry, nowy, niezbyt duży, o jednem pięttrze pałac, który do dziś dnia istnieje, postawić kazała. Odwiedzałam w nim starych margrabstwa, którzy tu czasowo zamieszkali. Później odwiedzałam ich już nie w pałacu, ale w niskim pod strzechą domku, gdzie wraz z nimi zawitała ich szczerą i staropolską gościnność, ich dobroć i uprzejmość; zawitały także dzieła sztuki, obrazy, rzeźby, zabytki starożytności, które z pałacu pińczowskiego, niestałość losów i rzeczy ludzkich, aż pod ten skromny dach wraz z niemi zagnała. Przykry to zaiste był widok dwojga tych szanownych starców, chylących głowy swoje, przywykłe do wspaniałych pałacowych sklepień, pod niskie drzwi folwarcznego budynku; przykrzejszy stokroć jeszcze widok tych zabytków dawniej wytworkności i zbytku, spojonych z niedostatkiem chwil obecnych!... Gdy margrabstwa już nie było w Pińczowie, zatrzymywaliśmy się zwykle u Chrobberskiego, żyda utrzymującego zajazd. Był to typ owych poczciwych żydów, których czasami napotkać można: potulny, przychylny, rzetelny, i bez krzywdy ludzkiej proceder swój prowadzący. Ubrany w watowany kaftan perkalikowy, w kwiaty czerwone duże, na tle czarném, w ogromnej futra-

(1) Czy też kupił na własność, tego dobrze nie wiem.

(Przyp. aut.).

nój naksztalt bermycy czapce, pan Chroberski (tak go zwykle wszyscy obywatele i okoliczni sąsiedzi zwali), wychodził aż za bramę swojego zajazdu na nasze przyjęcie; i tak nas witał, jakby swoich najlepszych przyjaciół. Poczém zaprowadzał nas do izby niby gościnnój, z którój na łeb na szyję żydowskie bety jego synowój i jój dzieci, i kolebki wyrzucali. Przed trzydziestą laty nie było jeszcze po wsiach i małych miasteczkach, owych wspaniałych zajazdów, pałaców z kolumnami i pięknymi w guście włoskim wystawami, w których, mówiąc nawiasem, i dziś często bardzo, ani jednój szyby w oknach nie ma: mury poobtlukane, brak tu i owdzie dachówek i gontów, a pokoje tak zwane gościnne, o jednym kulawym stołku, sofie obdartój i drgającym stole, z którego za przybyciem podróżnych wymiatają co tchu pajęczyny, palą w dymnym piecu, i skostniałego od zimna gościa, pod wiejącem sadzają oknem. Wprawdzie łatwiej to jest na wzór zagranicy stawiać pałacowe zajazdy, jak ludowi naszemu odrazu wmówić niemiecką systematyczność, czystość i porządek. Ale wróćmy się na chwilę do zajazdu pana Chroberskiego. Że zwykle przejazdy nasze zdarzały się w lecie, trudno nam było wiedzieć, czy jego piece i kominy dymiły; ale choćby i tak było, jego serdeczna i szczerza gościnność, na wszelkie niedogodności i brak, pobłażającemi być kazały. Kiedyśmy się już rozgościli, i pan Chroberski starannie dopilnował, aby dano wygodę koniom i ludziom; przychodził zwykle do mojej matki na pogadankę, którą niezmiernie lubił, niby pod pozorem dowiedzenia się czy jój czego nie brakuje. W czasie téj wizyty, wszystkie nowinki okoliczne na stół wychodziły. Naprzód cena zboża, wełny, okowity; narzekanie na brak handlu, taniość ziarna, ciężkie czasy: bo za czasów pana Chroberskiego, Polska nie przestała być jeszcze tą ziemią, która kiedyś całej Europie chleba dostarczała, i jeżeli na co narzekano, to na taniość: nigdy, jak teraz, na głód, brak i drogość ziarna. Prawda, że dawniej nie było słyhać jak dziś o chorobie kartolli, która równie jak wiele chorób ludzi, znaną nie była. Jak tedy pan Chroberski narzekał na ciężkie czasy, tak téż jak ja dziś, chwalił dawne i już niepowrotne: wszystkich nieboszczyków wspominał, aby wychwalać ich zamożność i hojność. Znał wszystkie stosunki, wiedział o stanie majątkowym obywateli nietylko okolicznych, ale całego województwa: o długach, processach, kompromi-

sach, układach, imieninach, zjazdach. O każdym mówił jak o swoim najlepszym znajomym. Dla mojej matki był z wielkim szacunkiem, a mnie głaskał po brodzie, nazywając zdrobniale po imieniu; tak samo i mojego brata, którego *Floruniem* nazywał, gdy już mężczyzną pod wąsem z żoną i dwoma najstarszemi synami przez Pińczów przejeżdżał i u niego na nocleg zatrzymał się. Z rana wyprawiając gości, nigdy nie omieszkiał staruszek, gdy już moja matka siedziała w karecie, napominać powożących, aby wyjeżdżając pod ogromną stromą górę, omijali bagna i kamienie; nastęczał im nowe, nieznane jeszcze boczne drogi, i tym podobne dobroczynne dawał przestrogi: bo moja matka, jak wiele kobiet dawniej, a czasem i dziś jeszcze, niezmiernie się drogi bała. Ale znów zrobiłam wycieczkę z salonu mojej babki aż do Pińczowa i żyda Chrobberskiego: niech mi ją czytelnik przebaczy, albo niech porzuci te wspomnienia, bo ich tu więcej takich będzie. Mimo całej chęci trzymania się porządku dat w mojem opowiadaniu, niepodobna jest uniknąć tych wycieczek: już dlatego samego, aby nie urywać interesu i ciągu w opowiadaniu wypadków.

W liczbie bliższych przyjaciół mojej babki były dwie panie G... które tu zwać będą po tytule jaki im dawano. Obie rodzone siostry, poszły za dwóch rodzonych braci, panów: szambelana i prezesa Gostkowskich. Byli oni stryjecznie rodzonymi braćmi mojego ojca (1), nadto pan szambelan był jego od serca przyjacielem, opiekunem jego młodości i ojcem chrzestnym mojego brata. Nosił się po polsku, u szyi błyszcząca prześlizczna, cudnej wody brylantowa spinka; nosił perukę krojem starych Polaków, to jest żydowskich mycek, tylko nie tyle na czoło zachodzącą. Kiedy pisał do mego ojca, nigdy inaczej, tylko: „Jaśnie Wielmożny Bratuniu Dobrodzieju!” na wierzchu listu tytułował go; a kończąc list, nie zaniedbał dodać tej formy: „JWW. Pana Dobrodzieja życzliwy brat i sługa.“ Gdy przejeżdżał w czasie feryj sądowych do Opatkowic (majątku mojego ojca), miał zwyczaj mojemu bratu, jako swemu chrzestnemu synowi, dawać dukata holenderskiego, których, jak kronika opie-

(1) Szambelan i prezes Gostkowscy mieli jeszcze trzeciego brata starostę cichowskiego, który mieszkał w Galicyi. Ich ojciec miał sobie nadany tytuł barona państwa rzymskiego, którego jednak brat jego a mój dziadek, generał Gostkowski, nosić nie chciał.

wała, miał podostatkiem; i nie zapomniał nigdy dodać te słowa „Na bułkę papieru“. Mój brat, który nigdy nie miał tyle pieniędzy razem, był niezmiernie ucieszony, a ja trochę zazdrościłam, mówiąc do siebie: „O! jaka to szkoda, że to nie mój chrzestny ojciec!“ Oboje państwo szambelaństwo mieli dom otwarty; utrzymywali się bardzo przyzwoicie, a przytém byli niezmiernie gościnni. Jak drudzy ludzie obierają sobie w życiu jakiś cel lub zamiłowanie: jeden skupuje obrazy i posągi; inny kładzie niezmierne kapitały w ogrody, oranżerye, budynki; inny w zażytki starożytności: tak szambelaństwo tracili znaczne dochody na przyjmowanie gości. Ona szczególnie, która o lat kilkanaście męża przeżyła, posunęła umiejętność życia aż do sztuki, a czasem aż do pedanteryi. Równie uprzejma dla wszystkich, każdemu umiała wynaleźć w swoim domu odpowiednie dla niego przyjęcie, towarzystwo, rozmowę i zajęcie. Miała tę rzadką bardzo dogodność, że posiadała majątek; a dochody i wydatki tak uregulowane, że jój zawsze na wszystko wystarczało, i przez lat czterdzieści niezmiennie, lato przepędzała na wsi, zimę w Krakowie, gdzie miała sobie po mężu dom w dożywocie pozostawiony. Zajmowała go cały, a resztę mieszkań przeznaczała dla przyjaciół i przyjezdnych. Na wsi, co niedziela, były u niój zjazdy z całego sąsiedztwa; w mieście przyjmowała codzień wieczorem, a dwa razy na tydzień bywały u niój obiady proszone. Na obiady uczęszczało całe krakowskie towarzystwo, zaczawszy od najwyższych do średnich warstw; ale tak gości swoich spraszała, i tak ich sztucznie dobięrała: że nie było między nimi żadnej mieszaniny, i wszyscy z sobą urodzeniem, majątkiem, usposobieniem, a nawet wyobrażeniami i wiekiem harmonizowali.

Jest sztuka, którą nasi przodkowie daleko w wyższym stopniu posiadali jak my: to jest ten takt połączenia względów światowej przyzwoitości i harmonii, z koniecznymi stosunkami pokrewieństwa i dawnój przyjaźni, których zrywać nigdy nie ważyli się. Dziś, jeżeli kto się z bogaci, lub na wyższy awansuje urząd, już się pnie do salonów wyższego społeczeństwa: zapomina o dawnych znajomościach, któreby rad już nigdy nie widział, bo mu przypominają chwilę jego młuczkości i niedostatku. Przodkowie nasi nie zrywali z uboższymi: znaleźli oni czas i sposobność i do nowych znajomości, i do szanowania starych. Listy osób zaproszonych na obiady do pani szambelanowej, były przez nią samą starannie układane

i przeglądane. Potomek historycznego nazwiska, i prosty szlachcic na zagrodzie; uczony i artysta, podupadły magnat i spanoszony bankier; obywatel i skromny urzędnik, podstarzała matrona i wymuskana lwica; elegant i długo-frakowy doktor: wszystko to znalazło miejsce u stołu, zawsze i równie obficie i wykwintnie zastawionego. Każdy doznał równie gościnnego i serdecznego przyjęcia, wyszedł z tego domu nawpół uszczęśliwiony i w własnym przekonaniu wywyższony. Cała sztuka tych obiadów zależała na harmonii zaproszonych, i na tém, aby jedni z drugich byli kontenci. Proszeni więc byli albo koteryami, albo tak, aby wszyscy goście o ile można było zbliżeni byli pozycją w świecie, majątkiem, rozumem i talentami; aby nikt w własnym ani cudzym wyobrażeniu nie czuł się upokorzonym. Żaden malarz z dokonanego arcydzieła, żaden autor gdy mu się uda wydać książkę, która narobiła w świecie hałasu; żadna matka patrząca na urodziwą córkę, nie mogą być więcej uradowani, jak pani szambelanowa patrząc się na swoich gości i błogie skutki swój salonowej dyplomacji. Gdym przepędzała już po zameściu mojem zimę w Krakowie, i zdarzało mi się być na którym z tych obiadów, nieraz pani szambelanowa zaszczycająca mię swą łaską i zaufaniem, siadała przy mnie, i tłumaczyła mi z całą powagą dyplomacji: dlaczego zaprosiła tego dnia tę, a nie inną osobę; dlaczego syn jój starszy, który robił honory domu, podał z jój rozkazu rękę pani P... a nie pani W...; dlaczego umieściła obok siebie przy stole starego pułkownika z czasów księstwa warszawskiego, i podupadłego księcia, dawnego z owych czasów prefekta; dlaczego panu Z. młodemu człowiekowi, pełnemu życia i elegancyi, kazała usiąść obok stariej pani P.... matki dwóch młodych i bogatych panien. To wszystko rozповідаła mi z takim uśmiechem zadowolenia z siebie, takim przekonaniem o swojej umiejętności życia i przyjmowania: że wlała we mnie toż samo przekonanie, i winnowałam jój tej umiejętności.

Oprócz zamiłowania gości, wieczorów i proszonych obiadów, pani szambelanowa miała jeszcze inne zamiłowanie: lubiła kojarzyć małżeństwa. Przez lat niemal czterdzieści nie było łączącej się pary, którejby była pośrednio lub bezpośrednio, wpływem swoim, stosunkami i znajomościami nie połączyła. Jeżeli się znalazł w mieście lub okolicy kawaler z pewną sytuacją i wieku stosownym na męża: już on miał wybraną sobie żonę w my-

śli pani szambelanowej. Przywoływała go do siebie, do zielonego zaraz obok salonu gabinetu, gdzie z całą względnością, umiarkowaniem i taktem dała mu do zrozumienia: że dla niego czas się już żenić, że dobra jego są zadłużone, i że właśnie ma dla niego żonę, która mu wniesie posag wystarczający na zaspokojenie wierzycieli, spłacenie młodszego rodzeństwa lub dożywocia matki: i niebawem zaprasza młodzieńca na obiad, na którym ma się znajdować panna z rodzicami. Pani szambelanowa nie miała wad zwyczajnych swatom płci obojg: nie była ani ruchliwą, ani gadatliwą, ani zbyt ciekawą i mieszającą się w cudze sprawy. Ta przyjemność w kojarzeniu małżeństw, pochodziła z serca chcącego wszystkim usłużyć i dogodzić; a może też (ale niech to będzie tylko wiadome czytelnikowi i mnie), trochę z próżności doprowadzenia do skutku każdej czynności, do której trzeba zwykle taktu, sprytu, trafności, oraz znajomości świata i ludzi. Życie pani szambelanowej tyle było zespolonem z życiem towarzystwa krakowskiego i sąsiadów z *Kuchar* (1), że się zdawało: że jój strata, widoczną im zrządził szkodę. Nie wiem z jakiego powodu, ale ta, która osobę swoją, czas, znaczne dochody drugim poświęcała, w niewielu bardzo sercach pozostawiła po sobie długą i rzewną pamięć. Nic łatwiej nie zapomina się, jak uciechy i przyjemności życia, kiedy silne uczucie ważnej w nich nie odgrywa roli; ale co nie powinno się było zapomnieć, to hojność pani szambelanowej dla ubogich, którym niezawodnie jedną szóstą część dochodów swoich w ofierze niosta; to jój dobroć i poświęcenie dla krewnych, przyjaciół i przyjezdnych do Krakowa. Żadna z jój młodych krewnych nie szła za mąż, żeby ją drogim upominkiem, a co miłszem jest, współczuciem i pamięcią nie obdarzyła. Ktoś z obcych przyjeżdżał do miasta, brakło mu stosunków, a chciał się bawić: pani szambelanowa dawała obiad lub wieczór, w celu prezentowania przybyłego towarzystwu; na drugi zaś lub trzeci dzień, obwoziła go po poważniejszych domach. W końcu życia nie bywała w teatrze, ale szło jój głównie o to, aby aktorowie mieli dochód, a przyjaciele i cudzoziemcy lożę; abonowała więc lożę w teatrze. Mało wyjeżdżała, ale jój karetą była na zawołanie wszystkich bez wyjątku znajomych, którzy własnej nie mieli. Jeżeli ktoś z młodszych przyjaciół lub kre-

(1) Jój majątek, gdzie lato przepędzała. (Przyp. aut.).

wnych dawał wieczór, a mało był doświadczony w formach przyjęcia: szambelanowa przyjeżdżała na kilka godzin naprzód, i tyle się utrudziła uorganizowaniem balu, jak gdyby to o nią samą chodziło. Jak my wszyscy, miała swoje słabostki: lubiła naprzykład stroje i wykwiń w przyjmowaniu; ubierała się zbyt kowo; u siebie i na wsi bywała co dzień ubrana w róż, pióra i atłasy; miała po kilkanaście kaszmirowych szalów, a co raz inne skupowała. Sprowadzała z Czech pakami bażanty, miała w Kucharach sztuczną kuropatwiarnię, i zawsze podostatkiem zwierzyny. Ten zbytek, który dziś zdaje się niczem, bo któż nie je trulli i bażantów, i nie wymaga ich przy staranniejszym obiedzie, przed laty 25-ciu, a tém bardziej 30-stu, był osobliwością. Zresztą łatwo się zdobyć na jeden kosztowny obiad w czasie zimy; ale u pani szabelanowej, bądź w mieście, bądź na wsi, bywało ich kilkadziesiąt na rok, oprócz codziennego bardzo przyzwoitego życia. Wszakże na wszystko jej wystarczało: była rządna, oszczędna, niezmiernie w domu czynna; miała wszystkich ludzi dawnych, wiernych i bardzo do pani przychylnych. Szambelanowa wydała starszą swoje wnuczkę i wychowankę, Stefanią Walewską, za Józefa Gurowskiego, brata owego Ignacego, który wychowując się w Paryżu, miał sposobność poznać i ożenić z infantką hiszpańską, siostrą dzisiejszego króla hiszpańskiego. Zdarzyło mi się widzieć listy infantki pisane do rodziny męża, a mianowicie do Stefanii Gurowskiej: są proste, uczuciowe, serdeczne, jak gdyby je pisała każda inna krewna za granicą przebywająca. Ta sama prostota daje się spostrzedz w układzie infantki i w całym jej domu w Brukseli, gdy kto z krewnych lub rodaków jej męża, odwiedzi młodą parę, a rada ich bardzo przyjmuje.

Szabelanowa Gostkowska (1) miała, jak to wyżej powiedziałam, starszą siostrę, panią prezesową, którą powszechnie w rodzinie, a nawet w towarzystwie, *panią Wincentą* zwano. Obie te panie były charakterem, gustami i nawyknięciami, dwa polarne przeciwieństwa. O ile młodsza lubiła ludzi i była im duszą i sercem oddaną; o tyle starsza stroniła od nich, i z male-

(1) Biédaczka tragicznie pocziwy żywot swój skończyła. Siedzący, upuściła kluczyk na ziemię: szukając go ze świecą, zapaliła sobie czépek: mocno się w głowę poparzyła i w dni kilka z przestrachu umarła.  
(Przyp. aut.)

go kółka, doktora, domowych i kilku od wiecznych znajomych, nie wychodziła. Zwykle bywała ponura i milcząca, uchodziła za *savantkę*, jak mówiono w owych czasach: co w téj epoce zaniedbania umysłowego wychowania kobiet, było osobliwością. Opiniami swojemi była *Wolterzystką*, czemu przypisać należy jój charakter nieco zimny i samolubny; bo kobiéta która o Bogu wątpi, niezawodnie nikogo prawdziwie nie kocha. Jój wyłącznym zamiłowaniem były książki, które w kilku językach starannie i z wielkim kosztem zbierała. Zbiór swój z kilkunastu tysięcy tomów, Akademii krakowskiej, testamentem zapisała. Ci, którzy ją bliżej znali, utrzymywali, że była rzeczywiście wysoko ukształconą, że miała wiele nauki i światła: nie przeczę temu, ale jój obejście, mowa i cała powierzchowność nie odpowiadały bynajmniej temu zamiłowaniu. Kiedy się ją widziało w wielkim, jasnym pokoju przepelnionym szafami z księgami, mappami, globusami, rękopismami, które zwykła pokazywać wybranym swoim: wyjść nie można było z podziwienia, jakim cudem to wszystko tam znaleźć się mogło. Z natury podejrzliwa, zwykle ani pożyczać, ani pokazywać swych literackich skarbów nie lubiła. Panna Cecylia D... znana z dowcipu jak jój bracia i siostry, zwróciła raz uwagę naszej literatki na szkodę wyrządzaną ogółowi przez jój trudność w udzielaniu książek, i nakłaniała, aby reformę swoją zaczęła od pożyczania jój samej pewnej upragnionej książki.

— Kiedy chorążanka chcesz czytać książki, to je sobie kupuj! — było jedyną odpowiedzią nieużytej kobiety.

Życia swojego smutnie dokonała: cała prawie sparaliżowana, umarła w krześle, z którego nie wstawała przez lat sześć, i w którym ją wożono, karmiono, bo żadnej władzy w rękach i nogach nie miała. W ostatnich dwóch latach nawróciła się zupełnie; mszy słuchała w swoim pokoju, i życia po chrześcijańsku dokonała.

Do liczby osób więcej mi pamiętnych w ówczasowém (1818 r.) poważném krakowskiem towarzystwie, należeli na-przód: ksiądz Sierakowski, kustosz katedralny (brat wojewody, którego później w Warszawie poznałam). Ksiądz Sierakowski miał wielkie zamiłowanie w budownictwie, a kieszenie nosił przepelnione planami na rozmaite budowy. Przez lat wiele nikt nie postawił kościoła, domu, stodoły, obory nawet, żeby się nie radził księdza kustosza, i nie brał od niego planu. Ksiądz Łań-



cucki, prałat-infułat kościoła Panny Maryi, odczytany i światły, ale poeta dość mierny, napisał wiersz do *Kluski*, która go trochę przypomina: bo był jak kluska gruby, krępy, biały, jak nalany. Jego postać jest mi pamiętną, a to z wielu względów. Bywał na wszystkich mniejszych i większych zgromadzeniach; on zwykle śluby dawał, umarłych, w infule z pastorałem exportował, w oktawę Bożego Ciała na Maryackich processyach (processyach z kościoła Panny Maryi) celebrował, a w Wielki Czwartek dwunastom klerykom nogi umywał. Pan Stanisław Wodzicki, ówczasowy prezes senatu Rzeczypospolitej krakowskiej, znany botanik, zbieracz roślin, autor znamienitego dzieła O ogrodnictwie, i założyciel słynnego w okolicy ogrodu botanicznego w własnych dobrach *Niedźwiedziu*. Chudy, miernego wzrostu, postać jego odznaczała się umbrellką na oczy, którą zawsze nosił. Żona jego z domu Jabłonowska, była jedna z tych rzadkich kobiet, co to zamilowanie świata i ludzi umieją godzić z obowiązkami domowymi skrupulatnie wykonywanymi. Była najlepszą żoną, matką; sama doskonale administrowała znacznym bardzo majątkiem. Miała pięć córek i dwóch synów. Najmłodsza z córek Emilia, moja rówiennica, poszła za szwagra swojego, wdowca po jej siostrze Anieli, Zygmunta Działyńskiego. Pamiętny jest wiersz Woronicza z okazji ślubu Anieli Działyńskiej. Franciszek, starszy syn zimował w Warszawie w roku 182<sup>6</sup>/<sub>9</sub>. Coto są pierwsze wrażenia dziecięcego wieku: chowaliśmy się prawie razem w Krakowie, widując się ledwie nie co dzień to na spacerach, to na balikach dziecińczych, to wzajem odwiedzając się z bonami i nauczycielami. W owym roku 182<sup>8</sup>/<sub>9</sub> mieszkałam z moim ojcem w Warszawie. Jednego wieczoru byłam na małym zebraniu u księżnej Tekli Czetyrtyńskiej, gdzie w gronie młodzieży zobaczyłam Franciszka Wodzickiego; poznałam go odrazu, choć lat jedenaście upłynęło od ostatniego naszego widzenia: a lat jedenaście w młodości, stanowił wiek cały. Od lat ośmiu do dwudziestu, ulega się zupełnemu przeobrażeniu. On mnie poznał, przywitaliśmy się jak starzy znajomi. Nie mogę tego powiedzieć o siostrze jego Emilii Działyńskiej, którą będąc chwilowo w Krakowie w roku 1833, spotkałam na balu u Laurensa rezydenta austriackiego. Siadła obok mnie, długo mi się przypatrywała nie mówiąc ani słowa. Wprawdzie miała do tego powód: była już mężatką, a ja tylko panną. Nie mogę przypuścić innego, gdyż

musiała przecież wiedzieć, kto jestem, skoro przyjechałam na ten wieczór z Mikołajową Gostkowską, w towarzystwie jej rodziców, prezesostwa Wodzickich, i w ich ogromnej jak arka Noego karecie. Ten wieczór jest mi z wielu względów pamiętnym: znajdzie on może miejsce w tych pamiętnikach, ale później, gdyż nie chcę uprzedzać daty, o co mnie już i tak nieraz czytelnik zapewne oskarża.

W roku 18<sup>17</sup>/<sub>18</sub>, na tę zimę, rodzice moi najęli całe pierwsze piętro i dół domu, dawniej Komorowskich, przy ulicy Różanej. Na górze było kilkanaście pokoi i salon o sześciu oknach, jeden z najobszerniejszych w Krakowie, w którym osób dwieście wygodnie mieścić się i tańcować mogło. W tym roku bywało bardzo wiele balów i wieczorów dziecinnych prywatnych, i trzy kinderbale, które rok rocznie dawali nauczyciele tańców, państwo Kuder, Francuzi z Alzacyi, dość złym akcentem mówiący po francuzku; sami w nieskończonych entreszatach i lansadach wyginający nasze nogi bez miłosierdzia, i narzucający gwałtem bilety. Bale te bywały w sali Knotza na ich korzyść, i składały się z ich uczniów i tychże rodzin. Broń Boże, żeby kto się nie stawił; byłby to grzech nie do darowania w oczach państwa Kuder. Były zwykle dwa koła tańca, w których państwo Kuder przewodniczyli, bijąc w takt i krzycząc do rozdarcia gardła *chassé croisé*, *balancé* i t. p.: termina używane w tańcu. Wśród przerw tańca, faworytalni uczniowie lub uczennice państwa Kuder, zwykli się byli popisywać jakim tańcem *solo*; co wówczas było bardzo w modzie, z wielką dumą nauczycieli, a radością matek. Były to zwykle: szal, gawot i inne, których uczono dla układania nóg i figury. Na pierwszym z tych balów, na którym byłam, pocieszny mi się wydarzył wypadek. W bocznym pokoju był przyrządzony bufet, zdobny w kwiaty i napełniony łakociami, które tak mile dziecinne podniebienie łechcą. Ujrzawszy zdaleka, przechodząc, te stopy pomarańcz, cukrów, ciasteczek różnego kalibru, tak poważnie do siebie wabiących; nie mogąc przewyciężyć pokusy, zdołałam się wyrwać mojej matce i guwernantce, prowadzących mnie za rękę, i przesunąć się niepostrzeżona przez tłum osób zapelniających salę. Przybiegłszy do bufetu, zaczęłam w najlepsze wybierać, co mnie najwięcej pociągało: kiedy pani buffetowa w pióra i kwiaty strojna, widząc mnie zabierającą się do odejścia ze zdobyczą, bardzo grzecznie upomniała się o zapłatę. Przy-

zwyczajona do prywatnych wieczorów, a nieznając jeszcze zgoła balów i zgromadzeń publicznych, nie mogło mi się w głowie pomieścić, żeby się płaciło za chłodniki. Łatwo sobie można wystawić moje zadumienie i pomieszenie, gdym się raptem ujrzała przyaresztowaną za dług. Onieniałam, zaczerwieniłam się, łzy już były za pasem; kiedy przecie weszła moja guwernantka do bufetu, i z tego kłopotu mię wybawiła. Ten wypadek przypomina mi inny, niemniej nauczający dzieci, aby nie robiły bez namysłu i zastanowienia. Na jednym dziecinnym wieczorku u krewniej mojej matki, pani Popielowej, rozbawiona i roztańcowana, przyszło mi do głowy, zabawę, która mię bardzo zajęła, powtórzyć nazajutrz; i niewiele myśląc, wszystkich młodych moich znajomych i znajome, nie uprzedziwszy mojej matki, pospraszalam na wieczór dnia następnego. Wstawszy rano szczęśliwie o owych zaprosinach zapomniałam, i proszę sobie wystawić moje zmartwienie i zadumienie mojej matki, która się właśnie gdzieś na wieczór ubierała, kiedy o godzinie siódmej zajeżdża kareta po karecie, i sypią się do nieoświetlonego salonu dzieci postrojone z guwernantkami, guwernerami, bonami i matkami. Biedna moja matka nie wiedząc o niczem, gubiła się w domysłach, co spowodować mogło nadzwyczajny zjazd gości; goście byli pomieszani, nie widząc żadnego na ich przyjęcie przygotowania: i nie wiem, jakby wszyscy byli wyszli z tego przykrego położenia, gdyby moja matka, domyśliwszy się w końcu wszystkiego, nie była poprostu opowiedziała przybyłym swoje niewiadomość, a moje niedorzeczność. Rzecz się przecie szczęśliwiej skończyła, jak na to zasłużyłam. Moja matka na wieczór nie pojechała, porozsyłano wszystkich, kto żył w domu, do cukierników i sklepów korzennych; kucharz nasz jak mógł, gniewając się i klnąc na czém świat stoi, z pomocą kucharza mojej babki sporządził kolacją: bawiono się do drugiej po północy, co jest nadzwyczajnością na dziecinnych balach. Ta wina mi jednak na sucho nie przeszła: moja matka dawszy mi napomnienie, skazała mię na siedzenie w domu przez resztę karnawału, co było dla mnie umartwieniem nie do opisania; żadne prośby, łzy i płacze, tego postanowienia matki zmienić nie mogły.

Moi rodzice mający wiele krewnych w krakowskiem towarzystwie, musieli przyjmować u siebie liczne zgromadzenia, a w ciągu zimy dawali wieczór tańczący jak mówiono, na cały Kraków: co było koniecznym obowiązkiem każdego, kto miał

dom otwarty, albowiem nie można było posłać zapraszającego biletu do jednych, z wyłączeniem drugich. W owym czasie, to jest w latach 1817 i 1818, krakowskie towarzystwo nie było rozdzielone na familijne kółka i koterye, jak to później, będąc tam w latach 1845 i 1846 uważałam. Stanowiło ono w téj oddalonej epoce, którą dziś opisuję, łańcuch rodzin połączonych z sobą związkami krwi lub powinowactwa; i to w tym stopniu, że niewiele było domów, któreby jakimkolwiek stosunkiem nie były ze wszystkimi innemi spokrewnione. Starodawne uszanowanie ojców naszych dla związków rodzinnych, choćby najdalszych, a obok niego serdeczna gościnność, najdłużej utrzymywały się w poważnym Jagiełłów grodzie. Jego towarzystwo składało się z kilkudziesięciu rodzin przyjeżdżających do miasta na zimę, aby się rozerwać po trudach zmuśnionego i kłopotliwego gospodarstwa, przy wistowym stoliku, lub patrząc na wirujące pary walca, lub rzeńskiego mazurka. O ile mi wiadomo, towarzystwo to do roku 1822 złożone było z jednolitych żywiołów. Była to dawna zamożna szlachta, w której zawadziło się gdzieś nazwisko, mające prawo do dziewięciu galek, tak szczerze przez rząd austryacki rozdawanych; co mu wszakże nie przeszkadzało żyć z drugimi w stosunkach towarzyskiej równości. Ta szlachta w braku historycznej i zamożniejszej, stanowiła miejscową arystokracją, i oddzielała się w zupełności od koteryi tak zwanéj miejskiej, czyli kupców. Te dwa towarzystwa były sobie obce, nie spotykając się nigdzie; a jeżeli rzadkiem zdarzeniem jakieś *kassyno*, które się nigdy w Krakowie nie udawało, lub jaki bal publiczny na ubogich, połączył je; to dlatego, aby tém wyraźniej wystąpiła wzajemna obu stron przeciw sobie niechęć i zazdrość. Zdarzały się wypadki, że tańcząca młodzież, tak daleko te manifestacye posuwała: że przychodziło do żywych sporów i kłótni. I tak: jednego wieczora młodzież szlachecka, tańcząc po jednéj stronie obszernej sali Knotza, wyciągnęła niby z niechcenia i przypadkowo, linią demarkacyjną stołkami, zmusiwszy niewiadome jéj celu damy usiąść na nich, a tém samém każdemu nienależącemu do jéj grona profanowi, zagroziła przystęp do swego koła.

Takie wypadki zawsze gorszące, wiele krzywdy ubogim robiły: gdyż miasto nie chcąc się narażać na podobne sceny, na następnym balu nie ukazało się, i sala była prawie pusta.

Do roku zatém 1822 nic nie zmieniło szlacheckiej równości, istniejącej między członkami krakowskiego towarzystwa, kiedy jakoś około tego czasu, przybyły do Krakowa dwa domy, Ar. i Al... P..., które z czasem przywabiły i inne z sobą spokrewnione Lu... S... i t. d. Artur Potocki, syn Jana i Julii z Lubomirskich, dawny adjutant i nieodstępny towarzysz księcia Józefa Poniatowskiego, jeden z najpiękniejszych, najwaleczniejszych i najdowcipniejszych ludzi swojego czasu, posiadający olbrzymi majątek jużto z siebie, już téż przez ożenienie z Zofią Branicką; znudzwszy się i światem i podróżami, upodobawszy sobie wolne od wszelkiej etykiety i spokojne życie staropolskiego grodu: zapragnął w nim zamieszkać. Wszystko tu mu się podobało: odwieczne pomniki przypominały mu przeszłość tyle drogą, pięknej Potockiego duszy; przepyszne okolice wabiły oko; górzyste położenie, powietrze zdrowém czyniły: a on już czuł w sobie zaród choroby, której w lat kilka uległ. Przedewszystkiém przynęciły znudzonego hałasem i zgiełkiem wielkich miast puste ulice Krakowa, jego samotne mury, brak dworu, książąt, panujących, ministrów i ambassadorów. Osiadłszy więc w Krakowie, kupił pałac zwany *pod baranami*, znacznie powiększył go, przyozdobił, i na swoją stałą rezydencyą przeznaczył. Żona jego Zofia Branicka, niezmierne bogactwa w dom jego wniosła. Córka owéj słynnéj z olbrzymiego majątku pani Branickiej, była jedną z piérwszych w kraju naszym partyi. Cesarz Alexander, który wielce poważał panią Branicką, protegował małżeństwo Artura Potockiego, ówczasowego swojego adjutanta, z panną Zofią. O pani Branickiej, różne krążyły anegdoty. Jéj kassą był obszerny pokój, którego wysokie a wężkie w stylu gotyckim okna, były kratą obwiedzione: dokoła stały beczki różnéj wielkości przepełnione workami złota i srebra; po kątach leżały duże tychże metali sztaby, po kilkadziesiąt grzywien wążące. U drzwi wchodowych stała warta nadwornych kozaków, których pani Branicka trzymała kilka tysięcy na swoim koszcie. Posiadała dobra w ziemi, których rozległość niezawodnie przechodziła niejedno niemieckie księztwo piérwszego i drugiego rzędu, a była skąpa aż do śmieszności. Powiadano mi, że były na jéj dworze dwie panny respektowe, których całém zajęciem było skrzętnie zbierać kawalki pozostałych świec woskowych; i odsełać je do fabryki, aby się broń Boże

najmniejsza ich cząsteczka nie zmarnowała. Pan Artur Potocki był tym z jój zięciów, którego pani hetmanowa najbardziej lubiła. Gdy ją razu jednego odwiedzał w jój dobrach na Białorusi, kazała potajemnie przed nim powymować z jego podróżnych kufrów suknie i bieliznę, a na ich miejsce włożyć worki z pieniędzmi. Niespodzianka prawdziwie Krezusowska! Nie wiem, czy przypadła do smaku panu Arturowi Potockiemu, ceniącemu podobno więcej swoje wygodki niż pieniądze, których i swoich miał podostatkiem. Powiedzieliśmy wyżej, że został on adjutantem Cesarza Alexandra, który po ogłoszeniu królestwa Polskiego rad był otaczać się dawnym sztabem księcia Józefa Poniatowskiego; i że ten monarcha się przyczynił do jego ożenienia z panną Zofią Branicką. Można powiedzieć o tém małżeństwie, że się połączyły dobroć z dobroczynnością. Lud krakowski nie przestaje opowiadać mnogich przykładów dobroczynności téj szlachetnej pary. Gdzie tylko głód, nędza, niedostatek, straszne swe rozpostrzały rządy, już można ją było widzieć niosącą pomoc i pociechę; słowem, ogromny majątek, nie mógł się w lepsze i uczynniejsze dostać ręce. W uczynkach chrześcijańskiej miłości Potockiego, przebijały wesołość, oryginalność i dowcip trochę excentryczny, byłego adjutanta księcia Józefa. Doniesiono mu jednego wieczora o biednym stanie przekupki, która utraciwszy dość młodo męża, pozostała sama z sześciorgiem dzieci i sparaliżowanym ojcem; liczną tę rodzinę, pracą rąk swoich wyżywić nie mogła, i potrzebą przynaglona, wyprzedala się do ostatniej poduszki. Rozczulony Potocki tém opowiadaniem wśród peregrynacyi, które co wieczór niepoznany odbywał po Krakowie; zwrócił się ku jednej z bram ulicy św. Jana, gdzie nasza przekupka z hułkami siadywała. Przybywszy na miejsce, widzi rzeczywiście kobietę młodą jeszcze, której twarz blada i znędzniała, straszniej jeszcze przy słabém świetle wiszącej nad straganem latarki wyglądała. Jój ubiór ubogi ale czysty, zwiastował uczciwe i skrzętne ubóstwo; nie miała wyzywających ruchów, i swarliwego oblicza przekupek krakowskich: owszem, dobroć, szlachetność i pokora, malowały się na jój twarzy. Nieznajomy zbliża się do niej, i nie mówiąc powodu przybycia, zapytuje, czyby nie mogła mu maleńkiej zrobić przysługi.

— Oto, rzecze nieznajomy — mam interes do tych państwa, co tu mieszkają na piérwszém piętrze; a że niewiadomy,

boje się po nocy zbłądzić: bądź pani tak dobrą zapytać się, czy są w domu.

— Dobrzebyto było — odrzeczę przekupka — ale któż mi będzie straganu pilnował?

— Oczywiście ja; ale zawieryszże mi pani?

Kobięta pociągnawszy oczami po nieznanym, którego powierzchowność jakoś zdawała się jęj zadawalniająca, odpowiedziała:

— A dlaczegoż nie? zostań pan przy straganie; tylko pilnuj, żeby te ladaco chłopcy bułek mi nie porozrzucali: to takie nicponie!

— Nie bój się pani, już ja tu będę pilnował.

Kobięta zaspokojona szybko pobiegła na górę, gdy tym czasem jęj dobroczyńca cichaczem rzucił rulonik do koszyka, w którym były druty, kłębek grubych nici i napół zrobiona pończocha. Niebawem też niespokojna o swój towar przekupka, zatrzasnąwszy drzwi od przedpokoju pierwszego piętra, krętemi wróciła schodami, z oznajmieniem, że państwa nie ma w domu. Nieznajomy wiedząc o tém dobrze, zwłaszcza, że właśnie ci państwo w najlepsze w jego własnych salonach wywijali mazurka; podziękowawszy grzecznie, szybkim oddalił się krokiem. Wszakże przekupka, której ten ubożuchny stragan całęm był mieniem, jęła się do rachowania bułek, ażali która w czasie jęj nieobecności nie znikła; kiedy przypadkiem ujęła za koszyk, i poczuła w nim jakiś niezwyčajny ciężar. Otwiera go machinalnie: i jakież było jęj zdumienie, gdy widzi dość znacznej objętości rulonik.... Nie zastanowiwszy się zkąd ten skarb pochodzi, pierwszą jęj myślą było, że jest pewna jutrzejszego obiadu dla starego ojca i młodziutkich dzieci. Pada na kolana i serdeczną modlitwą Bogu dziękuje. Ochłonawszy wszakże z pierwszego wrażenia, przypomina sobie nieznanomego; domyśla się, że on jest niezawodnie jęj dobroczyńcą, i w uniesieniu swoim, zawołała akcentem ludu krakowskiego: „To on! *haniol, haniol!*” i od tęj chwili nie można jęj było wyperswadować, że nieznanomy, który się jęj nigdy nie dał poznać, nie był jedną z tych nadziemskich istot, o których biedni i nieszczęśliwi tak nieustannie marzą. Artur Potocki łączył do wzorowęj i nader rzadkięj u bogatych dobroczynności, francuzką żywość w odpowiedzi, i angielską oryginalność. Był czasami nader

wesoły i dowcipny: cytują mnóstwo jego żartów, przycinków, dwuznaczników, które jeżeli niezawsze odznaczają się dobrym gustem, nigdy im nie braknie oryginalności, soli i dowcipu. Miał swoje dnie *spleenu*, w których unikał widoku świata, był smutny, ponury, milczący. Jeżeli go to napadało w towarzystwie, zwyczajnie wcześniej wracał do siebie, albo siadał w oknie za firanką, gdzie ukryty i samotny, całe przepędzał godziny. Najczęściej się zdarzało, że w chwili, gdy się wesoło u jego żony bawiono, on wyniósł się cichaczem z pokoju, zarzucał płaszcz i kaptur na głowę, i przebiegał ulice miasta, szukając oryginałów na karm rozumu, ubogich i wstydzających się żebrac, jako karm serca. Nie można się dziwić żadnej jego excentryczności: było człowiek szczęściem i dostatkiem zepsuty, zbytkiem i życiem przesycony, światem znudzony. Wszystko, co w sferach średnich sprawia rozkosz i pociechę życia: nadzieja, powodzenie, dobre uważanie między ludźmi, miał sobie już zapewnione; na nie zarabiać, o nie starać się nie potrzebował. Był znudzony ludźmi i światem, bo churmem się do niego cisnęli, nikczemnie, podle mu schlebiali: widział głupotę, próżność, interesowność, lub czezą tylko chęć przyjaźnienia się dla oka z wielkim panem; widział te różne ludzkie słabości ukryte pod niezręcznie noszoną maską, lub nawet bez niej, i w całej swój nagości i szpetności. Jakże się dziwić, że ludzka głupota, na którą był nieustannie wystawiony, nudziła go, i że ile mógł unikał jej w większych zgromadzeniach. Jedną z jego przyjemności było bawić Krakowian, którym w czasie zimy dawał kilka balów, zalecających się więcej gościnnością, przepychem, wystawnością, niż doborem towarzystwa. Zwykle na te bale nietylko szlachta, ale i kupcy zapraszani bywali: był to podobno pierwszy dom prywatny w Krakowie, który oko w oko dwie te od tyłu lat przeciwne kasty, pod jednym dachem zgromadzał. Imię historyczne gospodarza, jego ogromne dostatki, a nade wszystko rozum i znajomość świata i ludzi, czyniły go wyższym nad te drobiazgowość próżności, komeraże i miasteczkowe pretensye, które przebijają poza blanszem i różem balowych toalet; bawiły go niezmiernie, urozmaicały nudną monotoność dużych zgromadzeń; serce zaś znalazło karm w ugoszczeniu i ubawieniu Krakowian, których serdecznie kochał. Jednej zimy, zrobił towarzystwu krakowskiemu niespodziankę, która długo była



celem ogólnego zajęcia i rozmów. W sali Knotza dał bal maskowy, na który proszony był kto żył i kto chciał. Zalecał się ten bal bardzo bogatymi ubiorami i pięknymi kadrylami; między innymi zwrócił uwagę kadryl Polek w dawnych malowniczych ubiorach narodowych, do którego wchodziły cztery uroczych wdzięków i świeżości dziewice, mające na sobie sobole kołpaki, bogato klejnotami naszywane, jubki atłasowe amarantowe, misternie haftowane i całe bogactwo prababek naszych. Z szczegółami tego balu odsyłam czytelnika do ówczasowych dzienników, opisujących go obszernie i nader drobiazgowo. Przypomina mi się tu anegdota, która w owym czasie bardzo po salonach kursowała, i jak to zwykle, była textem niejednych rozmów owego *nazajutrz balu*; który bądź co bądź, odgrywa bardzo znaczącą rolę w rzędzie karnawałowych przyjemności i rozrywek. Gospodarz balu ubrany w skromne domino, chodził niepostrzeżony po ogromnej sali balowej, zaczepiając tu i owdzie snujące się maski, które jak mogły broniły się od dowcipnych jego przycin-ków. Było wówczas w krakowskiem towarzystwie dwóch braci Molów, o których kronika mówi, że słyngli wielkiem w salonach krakowskich powodzeniem, które po dzisiejszemu *furore* nazwaćby można. Niektóre panie, jakto panie robią, gdy przedmiot jaki żywy lub martwy wejdzie w modę, wabiły tych panów do swojego grona, a nawet jedną z nich obwiniano, zapewne bardzo niesłusznie, o uczucia dość przyjazne dla któregoś z tych szczęśliwych braci. Owego zatem wieczoru Artur Potocki zbliżył się do nieświadomego miejskich ploteczek męża pani..... i te słowa rzucił mu w ucho:

— Maseczko! ty się bawisz, a nie wiesz może, że *mól* wkrada się do twojej szopy — czyniąc tu alluzyą do nazwiska młodego człowieka.

Z zwyczajną sobie oryginalnością, połączoną z staropolską hojnością, Artur Potocki, który póki mieszkał w Krakowie, nieustannie bawił Krakowian; umyślił im dać bal w ciągu pewnej zimy, w której go tam nie było. Listem datowanym z Wiednia, gdzie zimować był zmuszony dla kuracyi, uprosił brata Al... będącego w Krakowie z żoną, aby w jego imieniu dał bal w apartamentach na pierwszym piętrze w pałacu dawniej zwanym *pod baranami*. Na biletach zapraszających wy-litografowano: „Alfredowie Potoccy, w imieniu Arturów Po-

tockich, mają zaszczyt i t. d". Poczciwi Krakowianie równie przepadający za życiem towarzyskiem i zabawami, jak ceniący drogie swojego miasta pamiątki, chętnie zgromadzili się na te zaprosiny, gdzie ich z całą przyjmowano serdecznością.

Były adjutant księcia Józefa, napisał powieść w języku francuzkim „*Maryna Mniszchówna*” epizod znany w dziejach, niejednokrotnie obrabiany; ale jeżeli wolno powiedzieć, niezawsze szczęśliwie pomyślany. W powieści pana Artura Potockiego nie ma tej świeżości imaginacji, żywości spostrzeżeń, iskrzącego dowcipu i oryginalności, któremi się autor w salonie odznaczał; co jest nowym dowodem, że talent pisarski a dowcip towarzyski, niezawsze idą z sobą w parze. O żonie jego pani Zofii Potockiej, jako żyjącej, nie mam prawa pisać; wszakże jej stanowisko w Krakowie, wpływ jaki tam wywiera na towarzystwo, literaturę i sztuki, należą do rzędu faktów, które duch pamiętników sam z siebie uważający, przenikliwy i nieco gadażliwy, pominąć nie może. Przepraszam najmocniej szanowną i ze wszech miar czcigodną matkę Adama Potockiego, jeżeli czasami w tém tu miejscu jak i w inném moich pamiętników, uchylę zasłonę jej prywatnego życia, aby zbudować się wraz z czytelnikiem, widokiem jej cnót domowych, wzorami jej dobroci, gościnności, dobroczynności i towarzyskości. Któż jakiś czas przebywając w Krakowie nie zasłyszał o niej przynajmniej; komu nie obily się o uszy pochwały idące wprost z serca bogatych, ubogich, ubogich szczególnie, których równie jak jej mąż jest widoczną na ziemi Opatrznością.

W szeregu osób, które widywałam w pierwszej mojej młodości, nie wspominałam jeszcze o dwóch braciach mojej babki: Stanisławie rejencie koronnym, i Marcynie wojewodzie Badenich (1). Stanisław Badeni najstarszy z rodzeństwa, poznany i polubiony od króla Stanisława Augusta, zyskał poufne miejsce przybocznego sekretarza, któryto urząd piastował do ostatniego wyjazdu tego króla z Warszawy do Grodna. Następujące wiersze, które tu z oryginału dosłownie przepisuję, bo ich nigdzie drukowanych nie widziałam, dadzą wyobrażenie o stosunkach łatwych i przyjaznych, niezawistnych dworzan Sta-

(1) Stanisław Badeni, ojciec Ignacego tłumacza dzieła pana Nicolas: O chrystyanizmie, oraz innych płodów literackich autora.

(Przyp. aut.).

niśława Augusta między sobą; malują one także trafnie i treściwie charakter dobry, łagodny, nikomu nieszkodzący, młodego sekretarza królewskiego. W tej fraszce, drobnej zresztą wartości, przebija się już owe rozczarowanie i przedrzeźnianie przesady dawniej szkoły francuzkiej, tak w poezyi i sztuce w ogólności, jak we wszystkich odcieniach obyczajów i etykiety dworskiej; przesady przypominającej wymuskaną maniery czasów Ludwika XIV i hotel Rambouillet, a tak wyśmiewanej przez dworzan jego następcy, a później przez malujący wszystkie wersalskie przemiany, francuzko-polski dwór Poniatowskiego. Wysoce satyryczny, dowcipny i ironiczny humor Naruszewicza, równie jak jego niezmyślona przychylność i szacunek dla młodego w faworach królewskich kolegi, okazuje się w tym wierszyku improwizowanym na pokojach królewskich w dzień imienin Stanisława Badeniego, a potem na usilną jego prośbę, ręką biskupa na prostym listowym papierze spisany:

„Jeszcze mi sztycharz nie wyrzył na miedzi,  
 Miły mój Stasiu, modnego biletu,  
 Gdzie uwinione imię w kwiatku siedzi,  
 Togi, płaszczyka, fraczka i kornetu.  
 Bez powierzchownych ozdób, prosto, szczerze,  
 Jak myślę, tak ci piszę na papierze.  
 Pędzisz wiek pięknie na usługach dworu,  
 Słodki, nikomu nie przykry na świecie;  
 Blizkość ci tronu nie zmienia humoru,  
 Choć po sto razy bywasz w gabinecie;  
 Każdy cię kocha, ufa, wielbi, ceni:  
 Złość nawet szepce: „wart tego Badenii!”

Zasługiwał najzupełniej Stanisław na tę pochwałę, bo jakkolwiek jego stosunki z królem były codzienne, każdochwilowe; jakkolwiek wszystkie łaski i nominacje przez jego ręce przechodziły: wiele drugim usłużył, nikomu wszakże nie zaszkodził. U dworu, gdzie gra namiętności jest pod każdym względem jak najbardziej podniecona, taki przykład rzadko się trafia: to też poznali się na tej cnocie otaczający króla, i nietylko nie zazdrościli mu względów pańskich, ale sami bardzo kochali i cenili Badeniego, i w każdym trudnym zdarzeniu, gdzie trzeba było pobłażania, wyrozumiałości lub łaski królewskiej, u niego szukali ratunku i pomocy, i nigdy się nie zawiedli. Król wielce lu-

bił i kochał Badeniego: podobała mu się jego wesołość i prostota, cenił w nim bezinteresowność posuniętą aż do przesady, bo nie było przykładu, aby go o coś dla siebie prosił: co panującym, nieustannie wprost lub bezpośrednio nękanym obcemi wymaganiami i pretensjami, bardzo się podoba. Badeni mieszkał w zamku na drugiem pięttrze w pawilonie bocznym; główne wschody były te same, któremi się wchodzi dziś na pokoje do J.O. księcia feldmarszałka; ale były jeszcze inne ukryte, służące za przejście komunikacyjne między pokojem sypialnym sekretarza przybocznego, a gabinetem króla, tak, że Badeni mógł się co chwila znajdować przy osobie Jego Królewskiej Mości; i jak się wyraził Naruszewicz, po sto razy dziennie znajdował się w gabinecie; ale też często od króla w swoim własnym mieszkaniu odwiedzany bywał. Nieraz się zdarzało, że ten monarcha, którego korona więcej niż inne kolcami najeżoną była, biegł na górę powierzyć mu chwilową troskę, a może i wypłakać się przed wiernym i nieodstępnym przyjacielem. Czasami, gdy Badeni czytał jakieś przedstawienie lub mniej zajmujący raport, król zasypiał na jego rękę, i tym sposobem przez parę godzin wskazał go na zupełną nieruchomość, gdyż biedny sekretarz nie śmiał zrobić najmniejszego poruszenia, bojąc się go przebudzić. W czasie tych częstych królewskich odwiedzin, drzwi pokoju szczelnie były zamknięte: nie wolno było nikomu choćby w najgwałtowniejszej potrzebie wchodzić nawet do przyległego pokoju.

Jednego wszakże poranku, gdy król dłużej niż zwykle u Badeniego się zatrzymał, synek jego ośmioletni, czy nie wiedział że król był w pokoju, czy też bliżej mu chciał się przypatrzeć; przystawił sobie stołka, drzwi z hukiem otworzył, i nie bacząc na nieukontentowaną twarz ojca, leci wprost do króla, bierze go za rękę, i nuż przypatrywać się małemu, wielkości dwuzłotówki zegarkowi, który monarcha miał na lewym rękawie swojego munduru (1). Ojciec zmieszany rubaszością syna, chciał go z pokoju wyprowadzić; ale Stanisław August,

(1) Mundur ten był zwykły uniform korpusu kadetów, granatowy z amarantowym, ze złotymi szlifami. Nie wiem, dlaczego prawie na wszystkich portretach wyobrażają króla w stroju dworskim francuzkim (habit de cour), kiedy on go prawie codziennie używał.

(Przyp. aut.).

który z natury nie lubił etykiety, i unikał jój ile mógł, znudzony jednostajnością wystudyowanych dworskich fizyonomii, rad był przypatrywać się niewinnemu i naiwnemu zaciekawieniu dziecka: przytrzymał je przy sobie mówiąc z właściwym sobie łagodnym uśmiechem: — „Dajżeż pokój panie Stanisławie, czyż i z niego chcesz już zrobić zawczasu dworaka?.. Od téj chwili malec miał *ses entrés* do pokoju w obecności króla, który go za każdą razą zabawkami i cukierkami obdarzał.

Wśród tych wynurzeń króla z wiernym sobie przyjacielem, zaszły przykre, nader przykre dla tego światłego, dobrego, ale zbyt słabego i nie energicznego monarchy, okoliczności. Zostawał on osamotniony w swym pustym zamku, którego Badeni nie opuścił, tylko wraz z królem udając się za nim do Grodna. Nareszcie Badeni nie chcąc mu być ciężarem przy uszczuplonych dochodach, ze łzami prosił o uwolnienie od obowiązków, i niebawem się téż udał do majątku swojego Rożnowa w Galicyi Austryackiej, gdzie w zaciszu i oddaleniu od publicznych spraw, prawego i pocziwego żywota w późnej starości dokonał. Jednym z charakterystycznych dworskiej Badeniego kariery zarysów, była ta okoliczność, że człowiek ten kochany od króla, który tyle u niego łask wypraszał, opuszczając dwór i znakomity urząd, nie uniósł z sobą ani krzesła w senacie, ani orderu Orła Białego, ani żadnego z tych za jego czasów tak szczerze rozdawanych starostw. Przystawał na godności reagenta koronnego, bo go ta do ukochanego przez siebie króla zbliżała, i skromnym świętego Stanisława orderem, którego prawie nigdy nie nosił.

Rożnow był tylko o mil kilka od Proszówek odległy: łatwo się domyślić, że odwiedziny obojga rodzeństwa były częste, mniej wszakże częste ze strony starościny Olszańskiej dla słabego zdrowia, które jój rzadko kiedy z domu wyjeżdżać pozwalało. Starościna kochała Stanisława i szanowała go jako starszego brata; to téż jak się tylko pokazał bądź w Krakowie, bądź w Proszówkach, jój radość była wielka, a dzień przyjazdu prawdziwą uroczystością. Skoro się tylko zjawiała w bramie żółta kolaska czterma gniademi końmi zaprzężona, twarz mojej babki zwykle poważna rozjaśniała się, uśmiech igrał na jój twarzy: cała jój rodzina wychodziła na jego spotkanie, a on ją witał zwykle temi słowy:

-- Jak się macie, wy nic dobrego! Weselość nie opu-  
szczała go do śmierci; mimo wieku już podeszłego, był żywy,  
ruchliwy: wszędzie w pokojach, w ogrodzie pełno go było.  
Miał szczególniejsze upodobanie bawić się z dziećmi, gonić ich,  
sprzeciwiać im się; nieraz mnie należycie po sukni wytrzepał,  
palcem nakiwał, a jam się śmiała do rozpuku; tak, że mnie cza-  
sami za zbyt głośną weselość z pokoju wypraszano, i klęczyć  
kazano (oczywiście w sekrecie przed panem rejentem). Dzi-  
siejsza generacya arcy-mądra i poważna, nie zrozumie może tej  
żywości i humoru w ośmdziesięcioletnim starcu: bo téż lu-  
dzie ówczesni nie tyle może byli poważni i myślący có my, ale  
niezawodnie lepsi i szczęśliwsi. Prawda, że każdemu było lżej  
na tym bożym świecie, łatwiej mu jakoś było po nim pielgrzy-  
mować, bo czuł gdzieś tam wysoko nad sobą ojca dobrego i tro-  
skliwego, kochał go i ufał mu; a sam ani poczuwał się bóstwem,  
ani się jego częstką mienił. Jeżeli mu się coś niekoniecznie  
dobrego przytrafiło, pomodlił i się wypłakał; a pokrzepiwszy się  
u prawdziwego źródła życia, dalejże pchać znów taczkę, która  
mu się potem lżejszą być zdała. Pan rejent (tak go zwykle  
nazywano) był wzrostu miernego, nosił się jak mówiono da-  
wniej, po francuzku, to jest ubierał się w długi surdut lub frak  
granatowy z kołnierzem stojącym wywijanym, z szerokim stanem  
i długimi połami, wbrew zwyczajowi dworzan Stanisławow-  
skich, nie nosił ani peruki ani harcapa: włos długi srebrzysty  
spadał mu na twarz pełną wyrazu, dobroci, żywości i weselości,  
Przyjeżdżał zwykle do Proszówek z córką swoją najmłodszą Jó-  
zefą (dzisiejszą Michałową Walewską), którą nazywał swoją  
Benjaminką. Wówczas ośmnastoletnia dziewczica, cienka, wy-  
smukła, rysów nieregularnych, ale nadzwyczaj wdzięcznych, cery  
bladój i zajmującej, w kapeluszu ryżowym lekką przezroczystą  
gazą okrytym, siedząc w powozie obok poważnego starca,  
wielki dla mnie miała urok, i niezatarty w dziecięcej mojej wy-  
obraźni ślad zostawiła. Za niemi w drugim powozie zwykła  
przyjeżdżać pani rejentowa z panną służąca od lat wielu zaufa-  
ną. Katarzyna z Stadnickich, córka Antoniego burgrabiego  
krakowskiego, najlepsza żona i matka, będąc na zepsutym dworze  
Stanisława Augusta, żyła zewnątrz dworskich intryg, odda-  
na obowiązkom i mężowi, z którym w wzorowej cnocie i zgo-  
dzie lat czterdzieści przeszło przeżyła. Żyła równie długo jak  
mąż, od którego o lat kilkanaście była młodszą, i wszystkich

z swojej generacji przeżyła. Zimując w Krakowie roku 1845, zastałam ją jeszcze w jej mieszkaniu na Floryańskiej ulicy, po to, abym ją wkrótce pochowała, bo w ciągu tej zimy świat ten opuściła. Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie, starzy ludzie, starzy krewni, mieli zawsze niepojęty urok. Jest jakiś wieniec świętości który ich otacza; zdaje się będąc już jedną nogą w grobie, mniej są ludźmi jak obywatelami innego, długo przez nich oczekiwanego świata, a zatem lepsi, czulsi, więcej familijni i uczuciowi. Żeby byli wszakże kochanemi i szanowanemi, potrzeba, aby ich dawne życie usprawiedliwiało wrażenie, które w późnej starości sprawiają; aby nie odpychali egoizmem, przywidzeniami, przesądami i zrzędnością, co się także czasem im zdarza. Pani rejentowa z pewnością nie liczyła się do rzędu tych ostatnich. Obok form poważnych i uszanowanie wzbudzających, była uprzejma dla wszystkich, familijna dla swoich, towarzyska, jacto umieją być ludzie jej czasu i położenia w świecie. Przez szczególny zbieg okoliczności, nie widziałam pani rejentowej przez lat dwadzieścia kilka, to jest od dwunastego roku życia mojego. Po różnych przejażdżkach, podróżach, burzach życia, zmianie stanu, ujrzałam się przed nią nagle, z owęj trzpiotowatej, gadatliwej dziewczynki, której nadaremnie spokojność i milczenie nakazywano, dojrzałą kobietą, matką szczęciorga dzieci. Przyjęła mnie staruszka jak gdyby mnie była wczoraj dopiero widziała, mimo że wiekiem i niemocą przyciśniona nie wychodziła już i wcale, i zaraz nazajutrz odwiedziła dom mój i dzieci mi pobłogosławiła. W tej mojej ostatniej bytności w Krakowie (rok 1845) wszystko się tam odmieniło, zacząwszy od powierzchownej postaci miasta, do osób i rzeczy, które w niem przebywały. Ona jedna zdawała mi się tą samą, którą widywałam w Proszówkach, a później w domu Rzuchowskiego na Floryańskiej ulicy; bo ludzie gdy przyjdą do pewnego wieku, a w nim zdrowie i czerstwość zachować zdołają, przez długi lat szereg nie odmieniają się. Ten tu właśnie był wypadek. Pani rejentowa była dla mnie zawsze miłym i upragnionym anachronizmem owych szczęśliwych dzieciństwa mego czasów; i gdy ją widziałam, zdało mi się widzieć tuż obok niej szanowne grono osób, których już niestety, w Krakowie nie zastałam..... Ostatnie jej wyjście z domu było jak corocznie w dzień św. Katarzyny, kiedy otoczona gromadką dzieci i wnuków w liczbie 56 osób z prostej linii, wsparta na ręku dwóch synów, już szronem wieku

i trudów życia pokrytych, szła przytępym nieco krokiem z mieszkania swojego do najbliższego kościoła Panny Maryi. We dwa miesiące po tej uroczystości, na którą corocznie zbiegało się liczne jej potomstwo z wszystkich stron kraju; w tymże samym kierunku, po téjże samej ulicy włókł się smutno i ponuro karawan unoszący jej zwłoki. Gdym wraz z drugimi postępowała za jej trumną, zdało mi się, że o kilkanaście lat starsza! Była ona ostatnią z owęj ukochanej generacji babek naszych; zapamiętała czasy Stanisława Augusta, wielkiego sejmu. O Boże, czegoż ona nie pamiętała!?

Mówiąc o rejentostwie Badenich, muszę tu dodać, że oni byli jedni z pierwszych, którzy zaprowadzili w wioskach swoich znaczne ulepszenia w smutnym stanie chłopków naszych. Los tej klasy najliczniejszej i najużyteczniejszej, a tak srodze w kraju uciśnionej, zajmował Stanisława Badeniego jeszcze wówczas, gdy się znajdował na czele kancelaryi królewskiej, i wówczas też jeszcze powstał projekt owęj kommissyi włościańskiej, później starannie przez brata jego Marcina dokonanej, która jeżeli nie przyniosła w zupełności pożądanego skutku, to pewnie nie z winy jej fundatorów. Osiadłszy stale na mieszkanie w Roźnowie, całą obojga zacnych rejentostwa usilnością było ile można osłodzić dolę chłopków. Kto nie mieszkał na wsi nie ma wyobrażenia co to jest tak zwany *przednówek* u chłopca. *Przednówek* jest to obchodzić się przynajmniej przez miesiący trzy bez chleba, bez kartolli, bez żadnego zbożowego pokarmu; jest to żyć jakąś szczególną mieszanią otrąb, zielenin polnych drobno posiekanych, z których się wyrabiają kluski, na które najnędrniejszy mieszkaniec miasta aniby spojrział. O! bolesny to widok patrzeć, jak właśnie ci co prują wnętrzości ziemi, aby z niej wydobyć pokarm dla drugich i siebie, najczęściej są go pozbawieni; a przecież tak jest dziś jeszcze przy tylu rozmaitego rodzaju zakładach i stowarzyszeniach filantropijnych: a cóż dopiero dźiać się mogło przed laty trzydziestą, gdzie daleko mniej o doli klass ubogich i robotnych, a szczególnie włościan myślano? Otóż Badeniom założyli w Roźnowie i Branicach pod Krakowem, swoich majątnościach, wiejskie śpichlerze, wysypawszy w nie pierwsze zasoby dla włościan dotkniętych niedostatkiem, a prędkięj i pewnięj potrzebujących pomocy. Ofiarowali złotych polskich cztery ty-



siące na wieczny dar na kasę zapomogi, z którejby kmiotki potrzebnych sobie funduszków na podatki, z łatwością dostać mogli za opłatą małego procentu, ku pomnożeniu tegoż samego banku obracanego. Otóż podobne instytucje wcale jeszcze dzisiaj nie upowszechnione, a z których przecie my się tak chlubiemy, mieniąc je być dziełem postępowej cywilizacji wieku, wówczas już istniały, i kto wie nawet, czy nie w warunkach praktyczniejszych i lepszy owoc wydających. Wypadnie mi tu jeszcze coś powiedzieć o młodszym bracie Stanisława Badeniego i starościny Olszańskiej. Marcin Badeni znacznie młodszy od brata, przetrwał na usługach kraju wszystkie burze, które nim od epoki wyjazdu króla do Grodna, tak nieszczęśliwie miały, przeszedł okres księstwa Warszawskiego, a rok 1824 śmierci jego, widział go jeszcze zajmującego jeden z naczelnych urzędów w administracji Królestwa. Była to jedna z tych postaci wyraziście odznaczających się na tle swojego czasu, a której żaden kronikarz pominąć nie może. Posłuchajmy co mówi o Marcynie Badenim, Kajetan Koźmian, w mowie na jego pogrzebie u księży Kapucynów mianej. Przebiega mówca bieg kariery zmarłego, określa znaczniejsze w jego życiu publicznym momenta, stosunki jego z królem i rodziną Poniatowskich, a mianowicie z księciem Józefem, z którym najściślejsza go przyjaźń łączyła; i tak dalej prawi: „z tą związki przychylnie, z tą poważanie, szacunek, z tą ufność wzajemna, z tą spuszczenie się na niego w sprawach prywatnych i publicznych, z tą niepodejrzana między młodym księciem a doświadczonym przyjacielem zażyłość; z tą nad oswobodzeniem ludu wiejskiego namowy i nara dy; z tą wzajemna nauka; z tą początek znaczenia, z tą początek fortuny szlacheckiej, pracą nabytej, trudami zasłużonej, rządnością własną powiększonej, gospodarnie uporządkowanej, rozporządzonej ojcowskiem sercem: fortuny tém dla jego rodu droższej, że mu zasługi ojca przypomina; fortuny, której ani krzywda kraju, ani grosz cudzy, jakim bądź sposobem przywłaszczony, nie szpeci.“ Kto znał gruntownie Marcina Badeniego, łatwo przyzna, że w całym tym ustępie nie ma słowa jednego przesady. Wierny przyjaciel domu Poniatowskich, których publiczne i prywatne interesa miał sobie powierzone, wywiązał się z długoletniej z nimi zażyłości i obowiązków przyjaźni, nieraz z trudnego bardzo położenia, tak, że ani złość, ani zawiść, ani potwarz sama swém jadowitým żądłem doścignąć go nie zdoła-

ły. Kochał ich sercem, długoletniem nawykniem; niezawsze podzielał zdania, a swoje z otwartością, prawością i nieposzlakowaną cnotą wypowiedzieć nie wahał się.

Król saski wysoce Marcina Badeniego poważał, a wiekopomnej pamięci Cesarz Alexander, orderem Orła Białego ozdobił, i senatorem wojewodą, a później ministrem sprawiedliwości mianował, któryto urząd zachował aż do śmierci. Był powierchowności odznaczającej: wysoki, barczysty, rysów twarzy wydatnych, spojrzenie dowcipne i bystre, nosił się po polsku, i do śmierci tego stroju nie zrzucił.

Jak ubiór, tak rozum miał *szczeropolski*, czysty, prosty, obcemi teoryjami nie obalamucony; słowem, Badeni byłto typ człowieka pełnego dowcipu, taktu, wysoko praktycznego, z wielką znajomością ludzi, rzeczy, potrzeb swojego czasu i kraju, sądu nieporównanej loiki i trafności. Miał on dar jednym wyrazem odmalować człowieka lub jakiś fakt. Jego odpowiedzi, porównania, definicye, pamiętne są dodziśdnia, a niektóre z nich przeszły w przysłowie. Badeni miał w sobie jedną osobliwość, którą oceni każdy, kto zna sferę towarzystwa kraju naszego, do której on z położenia swojego należał: — nie mówił po francuzku, a ta nieumiejętność czy też wstręt do obcego języka, nie szkodziły mu w biegu jego urzędowej i światowej karyery. Takto rozum bez cudzej pomocy, bez dodatków i błyskotek, sam sobie starczy. W częstych posłuchaniach które miewał u Cesarza Alexandra, wyrażał się po łacinie, bo tym językiem biegle mówił. Wiele anegdot podziśdzien krąży o dowcipie Marcina Badeniego; ja tu kilka przytoczę, jako malujące jużto człowieka, już też czasy w których żył.

Miał Badeni znajomość z niejakim O... człowiekiem wielkich zdolności, rzadkiego rozsądku, a przytém rzetelnej sumiennosci; ale form w obejściu rubasznych, a czasami i przykrych. Dnia jednego namiestnik Zajączek w początkach jakoś swojego kierownictwa krajową administracją, znudzony i strudzony natarczywością mnóstwa osób codziennie oblegających jego biuro, z żądaniemi czasem niemożliwemi do wykonania: prosił Badeniego, aby mu wybrał urzędnika zdolnego, któryby w jego imieniu żądania odbierał, oceniał je, i z właściwemi uwagami do zatwierdzenia podawał. Wojewoda wymienił mu pana O... który też niebawem rozpoczął swoje zatrudnienie przy boku namiestnika. Charaktery ich długo zgodzić się nie mo-

gły: ksiązę Zajączek przywykły widzieć w otaczających go obejście pełne względności, uszanowania i dobrego tonu, nie mógł znieść w nowym urzędniku powierzchowności pospolitej i przysurowej. W dni kilka zjawia się Marcin Badeni w namiestnikowskim pałacu.

— Ach jakżeś mnie téż ubrał, panie wojewodo — rzecze Zajączek — w człowieka, z którego nie mogę nic zrobić, ni w prawo, ni w lewo.

— Mój kochany ksiązę — odpowie Badeni, który odrazu pojął czego im obu trzeba było — jam ci dał brytana, aby cię oganiał na dziedzińcu od natrętów; a podobało ci się z niego zrobić pokojowego muzyka. Brytan został brytanem i powalał ci meble: jam temu nie winien.

Książę Zajączek, z natury wesoły i lubiący wszelkie dowcipne odpowiedzi, uśmieł się, zatrzymał urzędnika, którego zresztą zdolności oceniał, a nawet w późniejszych latach na znakomity urząd posunął (1); a Badeniego już o niego nie nastował.

Badeni często mawiał, że istnieją trzy rodzaje ludzi, których się najbardziej obawiał; a nawet w testamencie synowi nakaze, aby o ile możności najmniej się z nimi wdawał, a temi są: adwokaci, budowniczkowie i doktorzy.

Żałuję, że nie mogę tu powtórzyć mnóstwa jego odpowiedzi i porównań nader trafnych. Wiele z nich są tylko interesu ściśle rodzinnego, inne zaś ściągające się do ludzi publicznych, mężów stanu w swoim czasie niepoślednią grających rolę, są powszechnie znane. Umarł w listopadzie 1824 roku, ciało jego pochowane w ziemi rodzinnej krakowskiej, którą on tak kochał, choć mało w niej przebywał, i gdzie miał dobra, Biejsce i Kołaczkowice. W Janinie, wiosce do tych ostatnich należącej, wystawił kościół i tam téż pragnął być pochowany, wpośród swoich włościan, których jak własne kochał dzieci. Po śmierci starosty olszańskiego, która w roku 1801 nastąpiła,

(1) Tenże sam O... nie wiem już z jakiego powodu, wyzwany był na pojedynek. Był olbrzymiej postawy, wysoki nad miarę, a przytém niezwyčajnej tuszy; przeciwnik zaś jego cienki i wysmukły jak świeca. Gdy sekundanci przyszli: „powieďte mu, rzecze O... że mu się chce niezłej szansy. Ja strzelałbym do kija, i oczywiście nie trafił; on do beczki, i ubiłby mię jak psa.”

(Przyp. autor.).

Marcin Badeni był wyznaczony opiekunem mojej matki, jako najmłodszej z rodzeństwa, i z prawdziwie staropolską sumiennością wywiązał się z tego obowiązku; to też matka moja kochała go i szanowała jak ojca. Ja go tylko raz w życiu widziałam i to na kilka miesięcy przed jego śmiercią. Rzadko bywał w Krakowskiem, a my wcale nie bywaliśmy w Warszawie, której nie znaliśmy. Jak to zazwyczaj u nas bywa, odwiedzaliśmy z kwapliwością obce stolice, o poznanie swojej niewiele się troszcząc. Widzenie go moje miało miejsce w Kielcach, w lecie r. 1824, w czasie kilkodniowego jego tam pobytu. Zamieszkał częścią w zamku u mojego wuja Wielogłowskiego; częścią w gmachu *Leonarda*, u mojego ojca, i z tego powodu przypominam sobie dość charakterystyczną anegdotę. Był dany dla niego obiad, na który sprowadzono z Warszawy wszystko co było potrzeba, nawet bułki siedleckie. Właśnie było to w czasie rządów namiestnika Zajączka, kiedy kraj korzystając z dość długiego pokoju, począł się urządzać, miasteczka podnosić, fabryki, drogi publiczne zakładać lub naprawiać: w ogóle był to czas popędu przez rząd danego do administracyjnych i statystycznych ulepszeń, posuwających się stopniowo i stawiających kraj w stanie porządku, w którym dziś go widzimy. Otóż namiestnik Zajączek, który w własnych dobrach Opatówku pozakładał wielkie fabryki i miasteczko znacznie podniósł, dobrodziejstwo to zapragnął rozciągnąć do całego Królestwa. Posprowadzał z zagranicy ludzi fachowych, mianowicie górników, którym powierzył główny nad naszymi kopalniami nadzór; ustanowił w Kielcach dyrekcją i szkołę górniczą, gdzie się młodzież nasza w tym tak użytecznym kształciła zawodzie. Wznosiły się miasta, miasteczka, nowe zakłady; stare powiększały i porządkowały. Kommissye wojewódzkie, będące wówczas tém, czém dziś są rządy gubernialne, idąc w myśl naczelnika rządu, skwapliwie się krzątały koło tych zbawiennych planów, których jak najspieszniejsze rozwinięcie im powierzone było. Nie dziw przeto, że każdy przejazd wyższego urzędnika przez prowincjonalne miasteczko, był niejako czasem popisu dla miejscowej władzy. W czasie pobytu Marcina Badeniego w Kielcach, obwożono go po okolicznych górniczych fabrykach, okazywano z chlubą nowo wznoszące się budowy, szczycono się nawet kilku sklepami miejscowemi świeżo założonemi. Minister to wszystko pochwalał, wszakże gdy usiedli do stołu:

— Moi panowie—rzecze—jak widzę macie tu wszystko co my mamy w Warszawie: doskonale wino, piwo nie ustępuje warszawskiemu, jednej wam rzeczy brak: nie macie siedleckich bułek, boć te co tu mamy przy stole, niepiérwszój są już młodości, co wyraźnie dalekie ich pochodzenie zdradza.

Słowa te niebardzo poszły w smak Stokowskiemu kommissarzowi policyi; a chcąc utrzymać honor swojego miasta, kazał cichaczem włożyć w piec piekarski bułki warszawskie, aby je odświeżyć, co mu się tak szczęśliwie udało, że nazajutrz rano podane do kawy Badeniemu jako miejscowy wyrób, zupełne jego zyskały zadowolenie i wiarę, że się w wczorajszym swym sądzie omylił. Kommissarz odebrał pochwałę i zapewne pochlebną u namiestnika Zajączka rekomendacją; a bułki siedleckie, dopiéro w rok potém, naprawdę w Kielcach wypiekać się zaczęły.

Żona Marcina Badeniego była z domu Wawrzecka, siostra generała tegoż nazwiska. Pani wojewodzina słyneła w swoim czasie z wielkiego rozumu, ale niemniejszój oryginalności: wyrobiła sobie w świecie przywilój bycia jak nikt, mówienia i robienia jak nikt, ubierania się jak nikt; a że miała, jak powiadano, rozum niepospolity, bardzo wiele żywości i dowcipu, nieposzlakowaną reputacją, niezależne w świecie stanowisko, a obok tego posiadała talenta i wiele nauki, co w jej czasie było w kobiecie rzadkością: nieśmiano jój się dziwić ani krytykować. Jój oryginalność zależała na tém, że mało ważyła przyjęte w świecie zwyczaje, które nazywała przesądami; że tu i owdzie dawała małe nauczki, których rzeczywiście potrzebowano, ale które niekażdemu i niezawsze przypadły do smaku. Sama była chodzącą nauką życia przez kontrasty. I tak: jeżeli ktoś w Krakowie, gdzie zwykle mieszkała, miał pretensją do dystynkeji i holdów; przyjechała do niego na wieczór w raném ubrańiu; jeżeli zauważała, że czyjeś dziecko było zanadto psute i do zbytków przyzwyczajane, przywoziła mu na imieniny do jego kolekcji najwytworniejszych cacek, gliniane naczynie, wartości jeden grosz polski; pedantowi najgrzeczniej dowiodła, że mu jednéj klepki brak; a lakotnisią i gastronomą prosiła do siebie, jak się wyrażała, *na krupnik*, co nie przeszkadzało, że miała dobrego kucharza, i nieraz doskonały obiad zjeść u niój można było. Młodzieńcowi pełnemu elegancyi i dobrego tonu, ale w którym bystre i wprawne jój oko dojrzało pewną

przesadzoną dozę miłości własnej i drobiazgowej próżności, kazała nieść za sobą parę sztuk drobiu, który chodząc z nim po rynku, przypadkiem kupiła. Zostawiła pod Krakowem piękną *willę* nazwaną przez nią *Pocieszka*, a której pałacyk pełen gustu i wygody w wewnętrznym urządzeniu, jej planem był stawiany. Willę tę testamentem zapisała wnuczce swój Maryi Borowskiej, która świat ten zawczasie opuściła.

Czas już zaznajomić czytelnika z moimi najbliższymi krewnymi. Mój ojciec, Michał Gostkowski, prezes trybunału i kilkakrotnie poseł na sejm Królestwa Polskiego, rodził się roku 1773. W roku 1791 skończył szkoły, tak jak później na sześć klass dzielące się a następnie uczęszczał na kwitnący wówczas uniwersytet krakowski. Słuchał pod słynnemi professorami, Sniadeckim, Sołtykowiczem, Przybylskim i innemi, matematyki, teorii prawa, dziejów i literatury; a jednocześnie aplikował w sądownictwie. Od wyjścia z uniwersytetu począł mieć czynny udział w sejmikach, schadzkach, obywatelskich zjazdach, i do spraw krajowych mieszać się. W roku 1794 w marcu, w czasie powstania Kościuszki, wszedł w służbę jako prosty żołnierz, a następnie jako oficer ordynansowy przy boku naczelnika siły zbrojnej. W 1795 roku, wybrał się już do legionów włoskich, kiedy przypadkowo poznał moją matkę, i pozostał w kraju. Mając tuż pod ręką notatki mojego ojca, pozwoli czytelnik, że z nich wypiszę kilka ustępów, które mu dadzą wyobrażenie o moralnym stanie i obyczajach kraju naszego w czasach, które on pamięcią mógł objąć.

— Naród nasz—opowiada mój ojciec—już przez wykształcenie jakie mu dały nauki za ostatniego króla Stanisława Augusta zaprowadzone; już przez napływ cudzoziemców, którzy po rozbiórce kraju nim rządili, tak nagle charakter i obyczaje zmienił, tyle się w nich od przodków swoich oddalił, że gdyby Polak kraj swój w czasach konfederacyi barskiej opuścił, a wrócił do niego po dwudziestu pięciu latach, ledwieby go poznał: dziś zaś (r. 1832) nie wierzyłby, że jest wpośród dzieci i wnuków swoich.

— Jeszcze między r. 1780 i 1790 nietrudno było znaleźć obywatela ze wszystkimi starodawnymi przodków naszych obyczajami. Ubrany w żupan srebrną kłamrą zapięty, na który za przybyciem gością brał czamarę lub kontusz: głowę miał ogoloną z małym tylko promykiem włosów we środku. Dom

jego z gankiem ozdobiony czterema narożnikami, musiał mieć wewnątrz wielką salę, w której jadano, bawiono się i tańczono. W jednym z jej bocznych kątów stał stół kobiercem nakryty, a przy ścianach gdańskie krzesła złoconą skórą wybite, lub ławy suknem pokryte, które do obiadu i wieczerzy przysuwano, wszystko zaś tak na moc robione, aby do użytku dalszych pokoleń służyć jeszcze mogło. Ściany pospolicie były gołe, lub okryte tylko obiciem domowej tyfeniowej starożytniej roboty, a na nich u niektórych tylko, rozmaita broń, pomiędzy którą była tarcza, pancerze, hełmy, drogiemi nasadzone kamieniami, koszule drucziane, rzędy i strzelba turecka pod Wiedniem przez przodków zdobyta.

— W domach obywatelskich z wyjątkiem zamożniejszych, którzy jeżdżąc za granicę, zamiłowanie do sztuk i gust wykształceńszych narodów ztamtąd przywozili, w domach obywatelskich niewiele jeszcze znano pod ten czas mebli mahoniowych, angielskich powozów na resorach; ale za to lamusy, piwnice i apteczka, napełnione były zapasami żywności, wina, miodu i wybornych likierów rozmaitego gatunku; dzielne konie z własnego stada, kosztowne, srebrem kute, choć najczęściej w domu robione szory, w gumnach styrtły zboża czekające lepszej sprzedaży, zapasy materiałów do budowli, dobra bez grosza długu, srebra stołowe starożytniej roboty, w szkatułce znaczny zapas pieniędzy, u każdego znaleźć można było obywatela.

— Jeszcze w tym czasie (1780—1790 r.) nikt nie poważał się wyjść na ulicę, a tém bardziej, bądź na wsi, bądź w mieście, odwiedzić znajomego bez szabli. Obywatele odwiedzali się najczęściej konno, i dlatego ledwie niekażdy miał srebrne pozłacane kulbaki, strzemiona, rzędy i popiersia, często drogiemi nasadzone kamieniami. Moźniejsi otaczali się młodzieżą szlachecką, ułanami, kozakami i hajdukami, których niektórzy znaczną trzymali liczbę.

— Na lato rozbijano na podwórzu namioty, często rozmaitym haftem nabijane, w których pospolicie młodzież i goście sypiali; a we dnie pod nimi bawiono się i rozmawiano.

— Dom obywatela, dla każdego znajomego lub nie, był zawsze otwarty, i dlatego tak po wsiach jak po miastach, nie znano gospód i publicznych zajazdów. Gdy gość przejeżdżał, po uprzejmych przywitaniach i odpasaniu karabelli, rozmowa zaczynała się pospolicie od rzeczy publicznych. Opowiadano

sobie zdarzenia wojenne niedawno ukończonj konfederacyi barskiej, oceniano zastugi i błędy wodzów, głośno narzekano na niektóre działania króla, oskarżano go o słabość, trwożliwość, opieszalność i niedołęztwo. Ale jeżeli przy tych rozprawach często głośnych i energicznych, młodzi życzyli poprawy, rządu, powiększenia regularnego wojska i uchwalenia na niego podatków, starzy ofuknęli ich, lękali się kaźdej nowości i zmiany, radzili jedynie powściągnąć marnowanie publicznego skarbu, dokładniejsze zlustrowanie starostw, podwyższenie z nich podatku tak zwanego kwarcianego, uproporcjonowanie stęplowego papieru i upomnienie się o summy neapolitańskie. Narzekali także na zepsucie obyczajów, miętkość młodzieży, osłabienie ducha religijnego. Kochali bowiem starzy kraj namiętnie, ale niemniej się bali domowj rządu przewagi, i dlatego do powiększenia wojska, podatków, ani do kaźdnych nowych zasad publicznego porządku nakłonić się nie dali.

— Kaźdy obywatel samowładny w swoich posiadłościach pan, władzę swoję miarkował jedynie powagą wrodzonj sprawiedliwosci i prawidłami religii. Od żony i dzieci, aż do sług i poddanych, wszystko samowładnej jego było uległe władzy. Syn nie śmiał usiąść przy ojcu, a w kościele stać musiał przy jego ławie lecz ojciec i pan zarządał wszystkimi jak patriarchy i dobry ojciec rodziny, słudzy starzeli się u niego, pewni spokojnego przytułku i wygody w starosci, włościanie doznawali pomocy i wsparcia w potrzebach.

— Atoli obok takich obywateli, zdarzali się i tacy, co tēj władzy nieograniczonj nadużywali przez okrutne i tyrańskie obchodzenie się, przez zajazdy, bitwy, gwałty i nieskończone procesa z sąsiadami, którzy rozpędziwszy przez tyranią swoich włościan, pozostałych zamykali na noc, a w dzień pilnowanych do roboty używali. Wszakże takich wytykano i ze zgrozą unikano. Nie było kaźdnej w kraju władzy, przed którą włościanin mógłby skarżyć dziedzica o krzywdy sobie wyrządzone; wyjąwszy szlachtę, żydów i cudzoziemców, wszystko co było w dobrach, ulegało samowładnej i arbitralnej dziedzica jurysdykcji. Nie było w kraju kaźdnej administracynej władzy, która by porządku i publicznego bezpieczeństwa pilnowała. Władza starostw grodowych i wojewodów ustała oddawna i zamieniła się w tytuł jedynie honorowy. Sądy grodzkie były wprawdzie pod



jój dozorem, sędziowie od ich zależeli wyboru, pozwy i wyroki w ich imieniu wydawali; ale te sądy zawsze złożone z obywateli osiadłych i bezpłatne, zjeżdżały się tylko trzy razy do roku na kadencye, a po osądzeniu spraw do rejestru zapisanych zaraz się do domów swoich rozjeżdżały. Skazanych na kary, instygator lub magistrat expedyował, a obywatel na więzę skazany przez samo uszanowanie dla prawa, zjechał sam na miejsce kary, wszedł na więzę, i czas wyrokiem naznaczony odsiedział.

— Dla żydów były sądy *wojewódzkie*, dla mieszkańców dóbr rządowych *wielkorządowe i referendarskie*, wszystkie z obywateli szlachty złożone. W stolicy kraju, lub gdzie się król znajdował były sądy marszałkowskie, ustanowione dla bezpieczeństwa osoby królewskiej; te sądy mogły skazać i na gardło, ale ich jurysdykcya jedynie rozciągała się o jedną milę na około stolicy. Na prowincyi magistraty w miastach królewskich, starostowie w dobrach im przez króla nadanych, a na wsi dziedzic, jego dzierżawca, komisarz, lub nawet ekonom, byli jedyną władzą sądową i policyjną, której wolno było karać grzywnami, chłostą, za słownym nawet wyrokiem bez apelacyi, byle tylko nie na śmierć: ależ niestety, ileż te kary, więzy i udręczenia, ofiar pozbyć mogły życia!

— Jeszcze około roku 1780 pełno w Polsce było szlachty jeżdżącój po kraju, której nikt spytać się nie śmiał o cel podróży, a tém bardziej o paszport; wszędzie ich z gościnnością przyjmowano, w potrzebie pieniądzu lub zbożem zasilano. Były to niedobitki konfederatów barskich, którzy szukali przygód, służyli czasem do zajazdów, jakie obywatele sobie nawzajem wyrządzali. W lat kilka po ukończonej konfederacyi barskiej, książę Marcin Lubomirski straciwszy swój majątek na zbytki, z zebraną bandą w różnych okolicach kraju na wielkich traktach zatrzymywał przejeżdżających, zabiérał pieniądze, srebra, klejnoty jakie przy sobie mieli. Pełno było chłopów i mieszczan trudniących się rozbojem; przychodzili oni czasem do wsi i miasteczek: ale że pili, częstowali i za wszystko płacili, a w miejscu nikomu krzywdy nie czynili, nikomu też nie chciało się ich do sądu odsyłać.

— Obywatel miał sobie za największy zaszczyt, kiedy publiczne zaufanie powołało go na urząd, pełnił go bezpłatnie, i jeszcze dla utrzymania powagi urzędu, chojnie częstował. Wierni potomkowie starożytnych Scytów i Sarmatów, Polacy

lubili nieustannie podróże: jeździli już w interesach urzędów swoich, lub też częstych i licznych procesów i spraw, które mie wali po trybunałach, już nakoniec na sejmiki, sejmy, konfederacye; a jeżeli od tych zbyło im czasu, to na imieniny, wesela i święta, odbywane zwykle przy licznych zjazdach. Tańce, polowania, gry w kości, moryasza, družbarta, były ich ulubioną zabawą; a lasy obszerne, dawały im do łowów pole. O ochę dóstwo w domu i około siebie, wiele nie dbali, i śmieli się kiedy kto lepiej wychowany, mył sobie nogi i szczoteczki do zębów używał.

— Zajazdy, gwałtowne wycinania lasów, i wypasanie łąk przy granicy będących i tém podobne napady z bronią i kupą, często się jeszcze między rokiem 1780 a 1792 zdarzały; przy czém, bez bitwy i krwi rozlewu nie obeszło się, a wszelako gościnność tak była w ówczasowych zwyczajach zakorzeniona, że kiedy sąsiad po uczynionym gwałcie, przyjechał do domu pokrzywdzonego, przyjęto go grzecznie, i nawzajem odwiedzono. W każdej niemal successyi, zanim przyszło do formalnego działu, każdy successor ubiegał się przed innemi do zajechania dóbr, a jeżeli je zastał zajęte, siłą wypierał.

— Chociaż poczty były ustanowione przynajmniej między miastami znaczniejszemi, i niedrogo kosztowały, rzadko jednak pisywano przez pocztę: była od wieków włożona na niektórych włościan powinność chodzenia z listami: wyprawiano ich o mil kilkanaście a czasami kilkadziesiąt, i tylko z łaski kilka groszy dawano. Posłaniec konny nie dostając lub nie mając własnego obroku, musiał konia popaść na cudzej łące. Kozak wysłany z Ukrainy do Wielkopolski, na koniu z listem, dostawał dwa złote na drogę. W rzeczy samej pieniądze pod ten czas były rzadkie; w stosunku żywności drogie. Bułka za szeląg ( $\frac{1}{3}$  część grosza) dosyć była wielka; w Krakowie sprzedawano duże święce, i bochenki żytnego chleba po szelągu sztuka.

— Chociaż przesady już podtenczas ustawać zaczęły, byli jeszcze koło roku 1780 ludzie, którzy po wsiach prawili gminowi o duchach, exorcyzmach, opętanych i t. p. a w każdej wsi musiała być jedna lub więcej czarownica. Gromili z ambon księża podobne gminne wyobrażenia, a nawet niektórzy grozili odmówieniem rozgrzeszenia przy spowiedzi. W owym czasie duchowni używali wielkiej powagi jeszcze; jednał im ją nietylko ich stan, ale urodzenie, ogromne dochody, jak równie

nauki i podróże do Rzymu, które prawie każdy z lepszego domu duchowny, odbyć był obowiązany, niemniej także ich moralne prowadzenie, pobożność i cnoty chrześcijańskie, które wówczas z małemi wyjątkami w łonie naszego duchowieństwa kwitnęły. Biskupi i prałaci podnosili wprawdzie swoje rodziny, ale razem odbywali bezpłatnie publiczne posługi, wspierali ubogich i uposażali szpitale. Co tylko było i jest jeszcze w Krakowie instytutów dobroczynnych, szpitalnych, stypendyalnych i naukowych, te po większej części byt swój otrzymały z ręki duchownych. Względem włościan byli oni również sprawiedliwymi jak dobroczynnemi; ich dobra odznaczały się w całej Polsce zamożnością i dobrym bytem włościan, którzy zagród swych używali jak właściciele i nigdy z nich ruszaniem nie byli.

— Z reformą wychowania publicznego, szlachta średniej klasy zaczęła przybierać charakter poważniejszy i więcej z europejską cywilizacją zgodny. Przed laty kilkudziesiąt pamiętną mi epoki, zwyczajem jeszcze było w Polsce, że młodzi obywatele, nawet tacy których rodzice mieli po kilka wiosek dziedzicznych, zaciągali się do dworu wyższej szlachty za dworzan pokojowców, jak mówiono wówczas *dla nabywania poloru i znajomości świata*. Służbę tę odbywali z całą uległością i upodleniem; jadali u stołu marszałka, który całym zarządzał dworem, i mógł ich dowolnie plagami na kobiercu ukarać. Assystowali panu stojąc w kościele przy jego ławce, podając pani rękę przy wsiadaniu do karety, w podróży choćby jak najdalszej, tuż przy drzwiczkach powozu konno jechali; posyłani bywali z ważniejszymi listami i ekspedycjami, towarzyszyli panu na elekcyą, sejmiki i publiczne zjazdy: zawsze gotowi wypełnić każdy jego rozkaz i rąbać się za jego honor, interes, a nawet fantazyą.

— Już około roku 1780 ten zwyczaj ustawał; zaciągali się w taką służbę tylko ludzie ubodzy, z potrzeby; a obywatel posiadający choć mierny dziedziczny majątek, wstydziłby się być dać do niej swojego syna, i ten nie byłby się już poddał karności i obowiązkowi tyle stan jego poniżającym. Szlachta zaczęła już wtenczas postrzegać, że owa szlachecka równość o której tyle prawiono, była dotąd tylko pozorną i w słowach: w istocie szlachta nie była jak tylko podłóm narzędziem przewagi panów, którzy ją przez nią samą uciskali. Potrzebni królowi, wymuszali na nim wielkie godności i bogate starostwa dla siebie, dla swoich zaś niby klientów, wyrabiali nic nieznaczące tytuły stol-

ników, mieczników, cześniaków i t. p. a niekiedy też jakie małe folwarki, *wójtostwami* zwane, lub na sejmikach urzędy rejentów, komorników, pisarzy, sędziów, deputowanych i posłów. Ale między rokiem 1780 a 1792, drobna nawet jak ją nazywano szlachta, chciała już używać równości i powagi, już nie w samych tylko czezych słowach będącej. Kiedy raz dumny regimentarz i wojewoda kijowski, jednemu towarzyszowi (1) kazał sobie podać ognia do fajki; ten otworzył okno i wystrzelił z pistoletu, mówiąc: że posłuszny rozkazom swojego wodza dał ognia w sposób, jaki jego randze przystoi.

— Wychowanie młodzieży w Polsce było przez dwa wieki bardzo zaniedbane: rząd wcale się niemi nie opiekował, akademia krakowska i wileńska, nie mając dostatecznych funduszków i żadnego nad sobą dozoru, upadały coraz bardziej i utrzymać się nie mogły obok przebiegłego zakonu Jezuitów, który kierując umysłami, szczególnie też Zygmunta III-go, i wielu wielkich panów, gromadziło coraz większe skarby, jednało sobie u powszechności zaufanie i znaczenie, i całą edukacją młodzieży do siebie zagarnęło.

— Zaprzeczyć nie można, aby zakon ten nie posiadał nauk i światła w wysokim bardzo stopniu; ale ucząc się młodzieży tak ich skąpo udzielał, że młodzieniec po latach dziesięciu z ich szkół wychodzący, prócz łacińskiego języka, rachunków, nieco dziejów starożytnych, mnóstwa tak zwanych *karminów* czyli łacińskich poezyi, których się uczył napamięć, nic więcej nie umiał. Z upadkiem dopiero tego zakonu, zaczęły się u nas podnosić nauki; z dóbr po nich zabranych uposażono krajowe uniwersytety i założono szkoły prowincjonalne, a ustanowienie kommissyi edukacyjnej, wzięcie pod dozór rządu publicznego wychowania; zawdzięczamy dopiero, jak wiadomo, panowaniu Stanisława Augusta.

— Polacy wychowani pod okiem Stanisława Leszczyńskiego w Lunevillu, a później nieco młodzież wychodząca ze

(1) Kawaleria polska zwana narodową, składała się z towarzyszków i szeregowych. Towarzysze formowali pierwszy szereg, szeregowi drugi. Towarzyszem nie mógł być tylko szlachcic, który musiał się wyekwipować swoim kosztem, przystawić najmniej jednego szeregowego, niektórzy przystawiali po kilku i kilkunastu, a to jednało im zasługę i prawo do późniejszego awansu na oficera.

szkół krajowych i świeżo założonego korpusu kadetów, lepiej oświeceni, poczeli już inaczej i z innego stanowiska uważać dobroć ojczyzny: poznawali oni wady organiczne wiekami zakorzenione, instytucye i nałogi najszkodliwsze; widzieli całą zgubę nierządu i anarchii. Gęsto już wówczas wychodzące pisma i broszury, ostrzegały naród o tych wadach konstytucyi i prędko przepowiadały upadek, jeżeli skuteczna nie nastąpi reforma, lecz taka była moc zadawnionych przesądów, taka obawa w szlachcie utracenia swobód, przywilejów i samowładności, że reformatorem wiele mieli trudności do zwalczenia, nim ją do zmiany naklonić zdołali. . . . .

— Do wszystkich klęsk, które spodobało się Opatrzności w owym czasie dotknąć kraj nasz, przybyła jeszcze upadłość bankierów. Był pomiędzy nimi znany Prot Potocki, który mając na widoku olbrzymie plany handlu na morzu Czarném, pozaciągał od obywateli wielkie summy. Prot Potocki, Tepper i inni, przez rzetelne wypłacanie się na każde zawołanie, w przeciągu lat kilkanastu taki sobie byli zjednali kredyt, że kto tylko sobie wielką lub małą summkę zebrał i od bieżących wydatków oszczędził, jechał na kontrakty do Dubna i Krakowa, aby im na procenta oddawał; zkład poszło, że gotowizna prawie całego kraju w ich zostawała rękach. Różne naznaczano przyczyny temu upadkowi.... Płacili nieco za wysokie procenta, niektórzy żyli bardzo zbytkownie, trzymali wielką liczbę buchalterów, którym wielkie ponaszczali pensye, rzucali się na wielkie i niepewne projekta handlowe. Wielki był płacz i narzekanie w kraju z tego powodu: wielu obywateli straciło większą część mienia, inni zaś, którzy całe majątki powierzyli, stracili wszystko. . . . .

— Po ukończonej kampanii 1794 roku, wielu z ziomeków naszych rozsypało się po różnych stronach świata, a wielka liczba udała się do Włoch, gdzie, jak wiadomo formowały się legiony, które Francya utrzymywała na swym żołdzie, a które zbiegowiskiem żołnierzy austriackich rodem z Galicyi nieustannie się powiększały. Inni zaś wracali do domów, gdzie oddawali się staraniom koło gospodarstwa i własnych interesów. Jak to zawsze bywa, Opatrzność obok wielkiej klęski, którą na kraj zesłała, pozwoliła aby się z niej jaka taka dla niego korzyść wywiązała. Czas tylo-letnich cierpień nie był ze wszystkim stracony. Zaprowadzone przez Niemców prawa i urządzenia,

lepiej i praktyczniej Polaków obeznały z prawami dobrego rządu i ekonomii politycznej, natchnęły ich delikatniejszymi względem włościń uczuciami, nauczyli się lepiej pojmovać wady przodków, gotujących oddawna ich zgubę, a wolni od zjazdów publicznych, dla których nieustannie odbywać musieli podróże, więcej przywiązywać się zaczęli do rolnictwa, które ich bogaciło; bo dla ciągłych nad Renem wojen, zboże poszło do niesłychanej ceny: płacono od dwóch do trzech dukatów korzec pszenicy, a w tej proporcji zboże i inne produkta (1). Z dostatkiem przychodził przemysł, gust i zbytek, zaczęto stawiać porządniejsze folwarki, owczarnie, stajnie, gorzelnie, zaprowadzono szlachetniejsze gatunki owiec i bydła, rudowano lasy, osuszano rowami łąki i pastwiska, w miejscu szpalerów z strzyżonej grabiny i regularnych kwater w ogrodach, zapełniano je klombami, kanałami i łączkami. Domy gotyckiej architektury, przekształcono na styl gładki z opartą na kolumnach facyatą i wewnątrz zrobiono podział pokoi wygodniejszy. Apartamenta napełniono mahoniowemi sprzętami sprowadzonymi z Berlina i Wiednia, albo robionemi w kraju przez rzemieślników, których tysiące z zagranicy przywędrowało. Strój polski coraz stawał się radszym, i tylko go na obywatelach podeszłych i mieszkańcach miast widzieć można było. W miejscu karet i kolas na pasach w domu robionych, nastaly powozy z Wiednia lub z Anglii sprowadzane, które po wawozach, bagnach i trzęsawiskach kraju naszego, psuły się i łamały. W każdym domu obywatelskim musiała być guwernantka francuzka lub angielfka, guwerner Niemiec lub Francuz. Słowem, naród nasz w przeciągu lat dziesięciu inną wcale przybrał postać. Tytuły nawet starodawne polskie znikły, a nastaly zagraniczne ksiąząt, hrabiów i baronów, albowiem rząd austryacki, schlebiając szlachcie, obsypywał niemi dawnych senatorów i dygnitarzy; urzędnicy pruscy i austryaccy, mieli rozkaz głaskania jej ambicyi i najgrzeczniejszego się z nią obchodzenia. Ze wszystkich dawnych staropolskich obyczajów, pozostała tylko gościnność, która w niczem nienaruszona, długo w zwyczajach naszych zostawała.

(1) Coby piszący te notatki powiedział, że bez wojny bliższej i tak nadzwyczajnego nieurodzaju, dziś płacimy w owym dawnym europejskim śpichlerzu, pszenicę po złotych polskich 60, a żyto po złp. 40 korzec?

(Przyp. aut.).

— Mruczeli na te wszystkie reformy starzy, narzekali na ustającą prostotę obyczajów, otwartość i wesołość; ubolewali nad tém, co nazywali w młodzieży wykwintnością i zniewieściałością. Być może, że pod niektórymi względami, starzy mieli słuszność; to pewna wszakże, że Polacy nowego pokolenia przybrali charakter łagodniejszy, obejście więcéj zbliżone do zwyczajów środka Europy. Pijaństwo ustawało, a kobiety lepiej same wychowane i w obowiązkach płci swojej oświecone, więcéj się zajmować poczęły wychowaniem dzieci, które dawniej w oddzielnej officynie lub na folwarku chowane, mało widywały.

— Obok korzyści, jakie obywatele w pomysłnych dla rolnictwa czasach ciągnęli; przykre im były podatki, których dawniej nie znali. Austria ciśniona nieustannemi z Francją wojnami, podwoiła podatek dziesiątego grosza, a oprócz tego tytułem pożyczki wojennej, drugie tyle na właścicieli nałożyła. Rząd pruski oprócz powiększenia podatków, zaprowadził akcyzy po miastach i browarach, przez które niesłychane dotąd opłaty wyciskał. Poodbięrał posiadaczom starostwa czyli dobra narodowe za przywilejem królewskim posiadane, lub na lat pięćdziesiąt dane, a wyznaczył im kompetencye wyrównywające polowie dochodów, jaką do skarbu wedle lustracyi opłacać byli obowiązani. Toż samo nieco późniéj uczynił rząd austriacki. Obywatele nie znając ich praw, manipulacyi, języka, drogo im się opłacać musieli, aby zyskali radę i pomoc w interesie. Mnóstwo wychodziło rozporządzeń, mandatów, a wszystko w niemieckim języku; każde niedopełnienie pociągało za sobą exekucyą lub karę pieniężną, albo tłumaczenia, do których trzeba było znów porozumiewać się z samemi władzami, które so-witego wymagały wynagrodzenia; a nadto miały satysfakcyą wyśmiewać i pogardzać narodowe polskie zwyczaje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

### WSPÓŁCZESNA LITERATURA ANGIELSKA.

#### I.

(Longfellow, Arnold, Smith).

Któż dziś odważy się zaprzeczyć, że w sprawie wszech postępu ludzkości, każde plemię ma zaszczyt być samem sobą; że pod bezwzględnością prawdy i powszechnego piękna, każdy naród musi zachować familijne rysy we wszelkich objawach życia, nie wyłączając sztuki, a nawet i filozofii. To święte piętno, nie wyrobione, lecz wrodzone, ta idealna fizyonomia narodowości jest istotnym prawem bożem, z pod którego również niepodobna wyłamać się, jak z pod praw wyłącznych pewnym miejscom, klimatom i organizacyi fizycznej. To, co geniusz zuchwały nazywa samodzielnością, jakoby wbrew owym odwiecznym prawom ducha miejscowego, jest właśnie samodzielnością, w imię tego ducha miejscowego; jest poczuciem i uznaniem jednego z tych wielkich przeznaczeń, które Bóg rozdał między rodziny człowieczeństwa. Dla pospolitego oka widoczną jest tylko różnica cery i rysów w plemienu kaukazkiem, malajskiem i t. p.; lecz pochwycenie typu plemienia, abstrakcyja rysów i budowy organizmu, jest już zadaniem badacza. Nierównie trudniejszym jest, iż się tak wyrażę, odróżnienie cery rasowej i rysów w utworach umysłu, fantazyi, czucia, filozofii, sztuki, religii. Ale te indywidualne cechy istnieją niewątpliwie, choć mniej doty-



kalnie. „Cała Grecya jest pełną Homera” mówi Ampère. Poznajemy Indyą w jej poematach olbrzymich, w jej hymnach panteistycznych; Oceanią w jej krwawych legendach; Arabią w płomieniach jej pieśni przyćmionych tęsknotą; Persyą w uroczystym spokoju jej epos; Grecyą w jej naiwném spoufaleniu z Olimpem. Takie zdanie o narodach wyrzeka się śmiało, stanowczo: bo same te narody już siebie wyraziły.

Lecz niełatwo coś wyrzec o plemionach, które istnieją w całej jeszcze świeżości życia, pracy i postępu, które jeszcze siebie wyrażają. Zwłaszcza jeżeli wśród natłoku zaledwie utwory wyminąć się mogą.

Wielostronność samego postępu, zdumiewająca przewaga pewnych ogólnych dążeń, a zład mimowolne naśladownictwo, starły były na długo znamię rodowe z literatury angielskiej. Między Szekspirem a Byronem ciągną się właśnie owe długie lata bezbarwności, w których piśmiennictwo angielskie różni się niemal tylko językiem od francuzkiego i klassycznego. Materialna doskonałość życia, apoteoza bytu publicznego, wielka karta, bil przywilejów: były to sprężyny silne, lecz wyłączością swoją przeważnie ujęły miejsca rzeczy żywiołów. Byron uczuł pod sobą tę wielką próżnię, przeto jego utwory pokazują bolesne zerwanie z podaniem, z narodem, ze sobą samém, z natrętném widmem swojego wieku, z wynarodowieniem. Odzywa się on do współczesnych pisarzy słowami Juwenalisa: „Cóż to? czyliż zawsze będę słuchaczem tylko, a nigdy nie odpowiem. Wolno pisać niedorzeczności temu i temu poecie, a ja mam nie pisać?” „Szekspir, jak powiada Ulrici, był uroczystym wieszczem protestantyzmu;” Byron... ponurym wieszczem zaprzeczenia. W Koryncie swoim wystawia odstępce, bez wstrętu; w Faliero poświęca igrzę dla sprawcy niepokoju publicznego: w bandytach, niemal przyciska zbrodniarza do swego serca, nakoniec w Child-Haroldzie pod przezroczywą maską ukazuje się sam, z rozpaczą, znudzeniem, nienawiścią, wzgardą dla człowieka. Po tém wszystkiém jednak śmiemy powiedzieć: Byron był cnotliwym, lecz dodajmy: był nieszczęśliwym. Nie miał on szczęścia ukochać dobra w postaci dodatniej, los przeznaczył mu gorzki, lecz wielki udział: spotwarzenie złego własném

cierpieniem wewnętrznym. Na tém ujemnym stanowisku zakończył Byron swoje życie i zawód.

Ogólny bieg współczesnej literatury znany czytelnikom przedstawia ów zamęt, w którym trudno się nie zbłąkać. Utwory jednego miesiąca, zdaje się, iż dostarczyłyby zajęcia na całe życie. Bezmiar i różnorodność, potwornie długi łańcuch, którego pierwsze ogniwo tworzą najidealniejsze pienia Alexandra Smith, a ostatnie „teorya perfum i wszelkich pachnidel!” Srodek zajmują dzieła historyczne, polityka, (1) opisy podróży już to wokoło świata, już wycieczki do oddzielnych części ziemi i krajów; ekonomia i statystyka, nakoniec powieści. Najstabiiej reprezentowaną jest filozofia, a przedewszystkiem spekulacyjna. Zamocno rozwinięty instynkt empiryczności, świetnie niegdyś rozpoczęty przez Bakona, a stanowiący tu jedną z cech wydatnych, nie dozwolił im jeszcze „ze swoich bark usunąć głowy Arystotelesa” Niedawno pokazano tam probkę „pojęcia o nieskończoności” jakoby po raz pierwszy. Za to filozofia religii liczy wielu sławnych pracowników. Nauki techniczne z natury rzeczy, szczycą się wielu znakomitemi utworami, których tu oceniać nie będziemy.

Mimo różnorodności i liczby utworów w literaturze pięknej, dostrzedz jednak można, przedewszystkiem zaś w poezyi, jeżeli nie dążność określoną, przynajmniej zwrot ku pewnej stronie. Rzekłbym, iż to jest zwrot w kierunku przedmiotowym: kierunekto nam znany, bo i wokoło nas od pewnego czasu dający się wskazać. Nie nazwiemy go wypadkiem naśladownictwa, gdyż przychodzą nam na pamięć wielkie imiona współczesne; ale wypadkiem jakiegoś wyższego, ogólniejszego ciążenia umysłów do ducha czasu. Jeżeli dotąd duch był bohaterem poezyi, z kolei wypadki winne być podniesione do godności ducha, tak

(1) *Historya kobiety ze względu na religią, cywilizacya i byt domowy od czasów najdawniejszych*, przez S. W. Fullom. 1855.  
*Historya Filipa II króla hiszpańskiego*, p. Prescott. 1855.  
*Życie Mahometa podług źródeł oryginalnych*, p. Sprengera. 1855.  
*Podróż wokoło świata, odbyta przez artystę Roberta Elwes*, 1854.  
*Mitologia i historia ludów Polinezyi*, p. Greja. 1855.

jednak, iż on wyzierać będzie zpoza zdarzeń. Na czele nowój szkoły stoją uczniowie Shelleya: Arnold, Smith i Yendys.

Z pomiędzy tworów lirycznych Alexandra Smith przytaczamy mały wyjątek. Zdaje się on dobitnie charakteryzować ducha poety, który chce się wyrwać z więzów materji.

„Patrzcie! oto niby morski przyptyw i odpływ życia ludzkiego na ulicy. Ach! jakże rośnie fala i jak się rozwija. Boże! ileż tu twarzy bezmyślnych! Boże, ile ciał bez duszy! Wśród tego prądu, wysokimi i czarnymi murami spartego, stoję błądliwy wzdychając do lasów, do słodkiego deszczu co szczebiocze, i świeżo skropionych liści. Niechże się widzę z błyskawicą, igrającą niby jaskółka wśród ciężkich chmur brzemiennych piorunem. Niechże się wyrwę z wrzawy, niech ze szczytu gór zacinanych wiatrem, popatrzę na nieba pełne płasząt i pola obszerne, wytkane kwiatem, strumieniami, niby nitką srebrną. Chcę skąpać czoło w słońcu zachodniem i czekać na wszechwładny cień nocy, co już kroczy zwolna. Dajcie mi poczuć owe niezmierne i powszechne życie we wszystkiem: w myśli, żyłach i w naturze wkoło mnie! Tak! zobaczę jak to życie nieskończone rozwija się w kwiatach pod stopami i w gwiazdach nademną! Niestety! cóż robimy tu dla duszy nieśmiertelnej? Dusza opuszczona, zamknięta, nieznana, jak ów król w chacie biednego Saksona; w ciemnicy ciała uwięziona, pochłonięta w grube żywioły zapalające ziemski płomień: bogini niepoznana, skazana na poddaństwo poziomym żądom natury. I dziwne to, bracia, że z jej ust już nie płynie objawienie? Ucisnęliśmy ją, uciskamy, dusza téż zachowuje majestatyczne milczenie. Stwórcu! wszak dusze nasze, to służebnice; wszak dusze nasze to tajemnice! Ukryjmyż się bracia od życia, ukryjmy się do grobu. Czemuż tak plamić świętą naszą niemowlęcą, wszystko zaprzedać za wino i mięso, i upadać tak nisko! aż do podobieństwa owym dziś starym śmieciom ulic, a niegdyś siedzibom królów i wielkich mężów, pełnym złota i jedwabiu, gdzie dźwięk trąb się rozlegał, a dziś.... dziś w brudnym zakątku wśród łat i chorób przesuwają się ohydne widma na nędzę i zbrodnie wskazane.”

Drugim z współczesnej konstelacji jest wspomniany już Matthew Arnold, marzący, tajemniczy Arnold, wielbiciel Antygony, Sofoklesa i starożytności. Ta półklasycyzność zjednała mu łaskawy głos nawet w konserwatywistowskiej Gazecie piśmienniczej. Atoli klasycyzm Arnolda nie jest owym ślepym juravi in verba magistri, to jest zabobonną wiarą w nieomylność gustu grecko-rzymskiego. Arnold uwielbia Homera jako świętą starość, której główny urok tworzy osłaniająca ją mgła trzydziestu wieków. Nie tytułuje on Tamizy Cefizem, ale słowik na tle nocy rozsnuwający rzewne dźwięki, napomyka jego duszy o odwiecznych i zawsze jednakich cierpieniach człowieka. Wszystkie prawie jego powieści biorą przedmiot z dziejów starożytnych. Do najpiękniejszych policzyć można powieści: Micerynus i Rustum. Cześć dla Szekspira posuwa Arnold do ubóstwienia. Zmierzając do znanego w Hamlecie monologu: „być lub nie być, oto zapytanie”

Arnold tak mówi:

Nas dreczy zapytanie, a ty jesteś wolna.

My badamy i badamy. Ty się śmiejesz i milczysz

Szlachetna wiedzo! bo najwyższa góra co w gwiazdach gubi

majestat korony, co w morzu silną stoi stopą, a ma swój przybytek w niebach nad niebami: o! ta dla szalonych badań śmiertelnika zostawia ledwie tylko mglisty brzeg swego podnóża. A ty! coś gwiazdy, coś znał promienie słońca, sam sobie będąc źródłem, wiedzą, zaszczytem, ochroną, mój pielgrzymie! nie przeszedłeś po tej ziemi nieogadnionej? Tém lepiej, tém lepiej. Bo wszystkie męki, jakie duch nieśmiertelny wycierpieć musi: i słabość co nęka, i ból co pochyła, tam tylko znajdują echo na szczycie zwycięstwa.”

Tuż obok Arnolda, jeżeli nie wyżej, spostrzegamy dzikie, fantastyczne oblicze, na którym wyciśnięte godło zwątpienia, jakby podjęte na śmiertelnym łożu Byrona. To autor dwóch dzieł; Balder i Roman. Anglicy mówią, że to głos trąby sądu, ogłaszający światu zatopionemu w materii straszliwą myśl: „cóż ci zład przyjdzie, że posiędziesz świat cały, jeżeli duszę zagubiesz!” O tym poecie powiemy obszerniej w przyszłości; nadmienię tylko, że zapal wywołany przez te utwory wy-

równał wrażeniu, jakie w nowej Anglii wzbudziła sławna H. Beecher Stowe.

Ci trzej poeci z amerykańskim wieszczem Longfellow stanowią głośną reakcją przeciw tak zwanemu be-fend beeryzmowi (1). Longfellow należy do przeciwników szkoły ujemnej w nowym świecie, która na czele Emersona liczy wielu stronników. Nietyle samorodność, która w przekładzie mogła wiele utracić, jak raczej dziwne pokrewieństwo z nowoczesnym typem naszej poezji, spowodowało nas do zajęcia się nim bliżej, w nadziei, że czytelnikowi przyjdzie na myśl imię, którego nie wymówiliśmy. Powieść, a przede wszystkim powieść romantyczna jest jego polem. Nazywając pióro Longfellow'a romantycznym, nie nadużyliśmy wyrazu. Pokazuje on zerwanie z tą powagą, jaką dotąd szczyty się za oceanem prawidła gustu europejskiego; powrót do siebie, do swoich gór, do swojej Missisipi, po której Ren mógłby śmiało przepływać jak prąd mały widoczny.

Nie mając szczęścia, raczej nie mając przeznaczenia być synem starego ładu, to jest tej tradycyjnej Europy, gdzie na tle myłów już narosło kilkanaście pokładów historycznych: Longfellow poczuł potrzebę i możliwość wyszukania przeszłości w swojej dziwnej ojczyźnie bez wczoraj. Wynałazł ją rzeczywiście pod warstwą anglo-saksońskiej rasy, w owym niedogaśnym plemienu Indyan, z którego ubywaniem i śmiercią zmierza do grobu reszta przedwiecznej cywilizacji Azteków. Podnosząc ów święty typ z jego łoża śmierci, gotując mu żywot wieczny na karcie poezji, w chwili gdy on kończy byt ziemski, jakże głęboką daje naukę Longfellow; jak nakazujący dowód, że wszędzie jest przeszłość, że każda góra jest dawniejszą od piramid, każda rzeka dawniejszą od Iliady; że pod wszelką szerokością spotkać się można z poetycznymi grobami ubiegłych wieków, gdzie władza natrętnej prawdy historycznej ustaje, a poczyna się natchnienie! Longfellow, jak powiedzieliśmy, jest głównie poetą powieścio-

(1) Aby nie zostać dłużnemi, tłumaczymy z przymusem tytuł tej dziwnej, prawie cynicznej szkoły materialistów praktycznych. Znaczy on: szkołę piwa i pieczeni!

wym. Zdarzenia, które opowiada opierają się na podaniach czerwonego plemienia. Poemat, który mamy w tej chwili pod ręką, ma nazwę: Hiawata, od swego bohatera. Hiawata sławny w legendach Indian amerykańskich, uosabia nam jeden z tych wielkich charakterów, jakieśmy poznali w Siawuszu perskim, Witoldzie litewskim, a które leżą w tajemniczym okresie przesilenia pomiędzy nocą mytu, a porankiem pierwszych dziejów. Hiawata, którego kolebkę ośłania cudowność, jest mistrzem dla Indian: wprowadza do nich byt familijny, rolnictwo, pismo, godzi i jednoczy walczące z sobą szczepy, przepowiada przyszłość, napływ obcego plemienia z za oceanu, walkę niezgody i smutny ich koniec.

Śpiew Hiawata napisany jest wierszem miarowym, rzadko rymowanym. Niewątpliwie jest, iż poeta mając powieść na tle ludowym, przedstawił nam swoje kształty z poetyczną prawdą, to jest, że w jego bohaterach, siedzących wśród lasu na progu chaty (wigwamu), robiących strzały, puszczających kłęby dymu z ust wśród dumań o dawnych czasach, poznajemy dogorywającą patryarchalność Azteków, w koniecznej dla sztuki perspektywie.

W następującym wyjątku Hiawata puszcza się w obcą ziemię, do kraju Dakotach, z którym niedawno jego ziomkowie krwawy bój toczyli. Stary jego opiekun Nokomis, odwołuje go od wędrówki; lecz napróżno, bo serce Hiawaty tęskni do obcej ziemi.

### PIEŚŃ O HIAWACIE *(wyjatek)* (1).

„Czém lukowi własna strona,  
 Tém mężowi własna żona:  
 Niby wiąże, a związana,  
 Niby rządzi a poddana:  
 Jedno marne bez drugiego.  
 Tak młodzieniec, Hiawata  
 Mówi, marzy z samym z sobą;  
 Mnogie myśli głowę trudzą,  
 Mnogie czucia w sercu budzą  
 Łez, pokoju, wiary, strachu,

(1) The Song of Hiawatha, wydane u Bogue 1855.

A i dumy co ulata  
Do nieznanej Minnehaa,  
Gdzieś daleko w Dakotahu.

Lecz Nokomis mu powiada:  
Hiawato! moja rada,  
Pojmij żonę z twego rodu,  
Nie ze wschodu, nie z zachodu,  
Nam nieznaną, niesłychaną.  
Swojska żona choć pokorna  
Ma blask ognia, ma blask słońca;  
Ale obca, najpiękniejsza,  
Tylko gwiazdy lub księżyc.

Nokomisa taka rada.  
Hiawata odpowiada:  
Piękny, piękny ognia płomień,  
Piękny, piękny słońca promień,  
Lecz piękniejsze światło gwiazdy,  
Lecz piękniejszy blask księżyc.

Na przysionku od wigwamu (1).  
Siedział starzec strzało-dzieja,  
W kraju plemion Dakotahu,  
Robił ostrze strzał z jaspisu,  
Robił ostrza z chalcedonu.  
Tuż przy ojcu, śliczna, śliczna  
Siedzi córka Mimehaa,  
Siedzi córka Zródło-śmiechu,  
Z prętów głogu las uplata:  
Myśli ojca w przeszłość idą,  
Myśli córki w przyszłość lecą.

Ojciec дума o dniach owych  
Niepowrotnych, gdy te strzały,  
Łanie, żubra były w kniei,  
Na rozłogach Muskodei;  
Dzikiе gęsi zabijały,  
Gdy leciały na południe  
Skrzydły swemi głośnie Wawa.  
Gdy mężowie przyjeżdżali  
I te strzały kupowali:  
Walczyć bez nich nie umieli.  
Już ich nie ma! jak bywali  
Na tej ziemi męże śmieli;  
Dziś kobietom równi męże,  
Język mają za oręże.

Córka дума o myśliwym  
Z obcej ziemi i plemienia:

(1) Chaty.

Młodym, smętym i rośliwym.  
 Co tu kiedyś rankiem wiosny  
 Przybył kupić ojca strzały.  
 Długo, w chacie siedział z niemi,  
 Potém tęskny, tęskny jechał  
 Wciąż oglądał się na chatę,  
 Odjeżdżając do swęj ziemi.  
 Nieraz ojciec chwalił jego  
 Męskie serce, mądrą głowę.  
 Czy téż kiedy przyjdzie jeszcze  
 Po te strzały; czy téż kiedy  
 Zwiedzi chatkę Minnehay ?

I na matę położyła  
 Dłoń bezczynną, znów marzyła.  
 Wśród dumań słuchają, słyszą,  
 Szelest liści grał pod ciszą,  
 Aż tu z ogniem na spojrzeniu,  
 Z siercią zwierza na ramieniu,  
 Z głębi lasu niespodziany  
 Hiawata ich nawiedza.  
 Wnet strzałodziej pochylony  
 Wpół skończony łuk odkłada  
 I pod strzechę gościa prosi.  
 A gdy prosi, tak przemawia,  
 Rad oczami, rad ustami:  
 „Witaj, witaj Hiawato!”

U stóp pięknej Minnehay  
 Gość, podróźny ciężar składa,  
 Zrzuca z ramion płaszcz jeleni;  
 A już dawno, gdy szedł z sieni,  
 Minnehaa siedząc zdala  
 Nad nedorobioną matą,  
 Spoglądała, pozdrawiała,  
 I oczami i ustami:  
 „Witaj, witaj Hiawato!”  
 Duży wigwam Indyanina  
 Z skór jelenich, w głębi biały  
 Malowany, a przy ścianach  
 Dakotahów bogi stały;  
 Drzwi wysokie miała chata,  
 Lecz gdy wchodził Hiawata  
 Ledwie zmieścił szczytną głowę,  
 I na głowie orle piora.  
 Tedy wstając Źródło-śmiechu,  
 Najpiękniejsza Minnehaa  
 Wpół zrobioną matę składa;  
 Stół zastawia bożym darem,



W czarach z gliny pokarm dała,  
 Wody z źródła zaczerpała,  
 Kubel z kory był puharem.  
 A i gościa słówka śledzi  
 I ojcowskie odpowiedzi;  
 Lecz ust swoich nie otwiera,  
 Razu słowa nie wyrzekła.  
 Niby śpiąca, nadśluchuje,  
 Jak rozprawia Hiawata  
 O staruszku Nohomisie,  
 Co go żywił w ranne lata,  
 Jak o swoich towarzyszach  
 Dzielnych grajkach Chibiados,  
 O Kwazyndzie arcy-mężnym,  
 O bujności i pełności  
 Ziemi szczęścia i pokoju,  
 Cnego kraju Ozybwaiss.  
 Gdzie po wielu latach boju,  
 Szczęku broni, krwi strumieniu:  
 Wreszcie pokój padł w pleminiu  
 Ozybwaiss i Dakotach.  
 I tak jeszcze mówił dalej,  
 Ale skromniej nieprzytomniej:  
 „By już mogły być ostatnie,  
 Boje plemion, wiecznie cisza,  
 Nasze serca wiecznie bratnie,  
 Nasze ręce zawsze spojne;  
 Niech twa córka będzie moją,  
 Źródło-śmiechu Minnehaha  
 Najpiękniejsza w Dakotahu”.

Dobrą chwilę był w milczeniu,  
 Nim odrzeknął Strzałodzieja;  
 Dym wypuszczał z ust a milczał,  
 Dumnie patrzył na Hiawatę,  
 Słodko patrzył na swe dziecko.  
 Wreszcie rzekł statecznym głosem:  
 „Jój spytajmy, co téż powie  
 Minnehaa i jej serce?”

A ta miła gdy tam stała,  
 Jeszcze miłszą się zdawała,  
 Ni się skłania, ni się wzbrania.  
 Wreszcie zmierza ku gościowi,  
 Siadła przy nim i mówiła,  
 Lecz się twarz jój rumieniła:  
 „Mój małżonku pojedź z tobą.”

Tak to kochał Hiawata,  
 Tak starego wyrobnika  
 Pojął córkę Minnehaę,  
 Z cudzej ziemi Dakotahu.

## WIOSNA I ZIMA.

W swoim wigwamie podle brzegu,  
 Podle brzegu zamarzłej rzeki  
 Siedział starzec tęskny, samotny;  
 Włos miał biały jak szmaty śniegu.  
 Ciemnym światłem szczapy gorzały,  
 Tulił się starzec i drżał cały.  
 W swój waubeuwion obwinięty,  
 W płaszcz poszarpany z białej skóry,  
 Nic nie słuchając tylko burzy,  
 Jak gdzieś z rykiem w lasy ciągnęła;  
 Nic nie widząc tylko prąd śniegu,  
 Jak wirował, syczał, zawiewał.  
 Już popiół barwę z węgla ścierał,  
 Już ogień jego zwolna zamierał,  
 Kiedy z podwórza cichym krokiem  
 W drzwi otwarte wstąpił młodzieniec.  
 W twarzy młodzieńca krew kwitnęła,  
 Oko słodkie, jak gwiazda wiosną.  
 A z pod przepaski w okrąg czoła  
 Pióra i z liściem wonne zioła.  
 Usta wdzięcznym śmiechem się śmiały,  
 Blask słoneczny niosły w dom cały.  
 W rękę zwinięte w wiązkę kwiaty,  
 Woń wiosenną niosły do chaty.  
 Ach! mój synu, starzec zawoła,  
 Wzrok mój szczęśliwy że cię widzi,  
 Tu obok mnie na macie siadaj,  
 Gdzie konający płomień świeci;  
 Tu niech nam wspólnie na powieści  
 O twych przygodach noc uleci,  
 O przejrzanym ziemiach odległych,  
 A! i mojej wielkiej sile,  
 Czynach wielmożnych i cudownych.  
 Rzekł i wyciąga dymkę z pochwy,  
 Dymkę pokoju, dziworodną,  
 Z wierzchu czerwony krył ją kamień,

A trzcina w piórach ją trzymała.  
 Dymkę nakłada korą wierzby  
 Na nią zarzący węgiel kładzie,  
 Daje gościowi, przychodniowi,  
 I tak zaczyna pogadankę:  
 „Gdy ja z mych piersi zionę wkoło  
 Oddech puszczoney w świat daleki:  
 W kamień obraca żywe płyny  
 I w lód bezwładny ścina rzeki”.  
 Syn mu z uśmiechem odpowiada:  
 „A moja pierś gdy zionie wkoło,  
 Gdy puszcze oddech w świat daleki,  
 Ze wszech łąk kwiaty wytryskają,  
 Ze śpiewem rzeki się ruszają”.  
 „Gdy ja potrząsnę gęstym włosom,  
 Rzekł zimny starzec, marszcząc brwiami  
 Wnet szron i śniegi pędzą zgrają,  
 Z każdej gałązki liście lecą,  
 Tula się, wędna, umierają:  
 Bom ja odetchnął, ot i znikły!  
 Tam z wód jeziora, z trzęsawicy,  
 Zrywa się czapla, dzikie gęsi,  
 Ciągną w odległe okolice:  
 Bom ja rzekł sobie: ot i znikły!  
 A niechże pójdę w czarne bory  
 Chować się będzie, gdy mię zoczy  
 Wszelki zwierz w jamy, w zimne nory,  
 Ziemia się w krzemień przeistoczy”.  
 „A moje włosy gdy powioną  
 Śmiejąc się, młody odpowiada,  
 Wnet bryły w ciepłych strugach toną.  
 Trawa podnosi świeżą głowę,  
 Na staw, jeziora, trzęsawiska  
 Wracają czaple, dzikie gęsi;  
 Powraca nurek, lotna łyska,  
 Jaskółka w pędzie równa strzale.  
 Niechże od wody zwrócę stopę,  
 Wnet łąki kwiatem się kołyszą,  
 Od gęstych liści las mroczeje,  
 Muzyka zwierząt gra pod ciszą.”

Gdy tak mówili, noc ubiegła;  
 Z dalekich królestw od Wabunu  
 Swojej stolicy, srebrem, lśniące,  
 Jak rycerz zbrojny idzie światło,  
 I woła: patrzcie! to ja, słońce,  
 Patrzcie, jam z Gizys, wielkie słońce!

Tu język starca już zaniemiał,  
 Powietrze rosło ciepłym, siłą,  
 Ponad wigwamem wolno, miło,  
 Gil czerwony z szczygłem śpiewały.  
 Strumień rozpoczął gwar wiosenny,  
 Tam od zbudzonej świeżo trawy  
 Wonność pryskała w głąb wigwamu.

Lecz młody Segwam z blaskiem zorzy  
 Wzrok załapiając w twarz pielgrzyma,  
 Dojrzał twarz jakąś lodowatą.  
 Ów starzec był Peboan—Zima.

---

Z dzieł historycznych wspomniemy: Życie Mahometa ze źródeł pierwotnych, napisane przez A. Sprenger, 1855.

Azja i Europa, natchnienie i racjonalizm, myt i historia, owóz dwie wieczne antytezy ludzkości, uosobione w ludach. Wszelka myśl zawiązuje się w Azji, w tój, iż tak powiem ojczyźnie nieustających wieków średnich. Ale zawiązuje się tylko, czyli jest tylko przeczuciem, wiarą: tu dopiero wzrasta do godności pojęcia. Nad kolóbką każdej wielkiej myśli świeci cud, dlatego, że to jeszcze nie pojęcie, nie zasada oparta na dowodach, lecz pierwsze zamarzenie, dla którego poezya jest konieczną formą i jedynie przystępną. Romulus, Jao, Zoroaster ukazują się w dziejach tajemniczo; poza mgłą romantyczną giną ich rysy ludzkie, ich budowa i wielkość naturalna.

Wielu z nich doszło do najpóźniejszej potomności nie straciwszy nic z swojej nadprzyrodzonej natury. Ale założyciel Islamu ukazał się zapóźno, jak na osobę mytową, bo już w owym bliżkiem dnia zaraniu, które zdzięra fantastyczną draperyą z obrazu ludzi i zdarzeń. Niniejsze dzieło przedstawi czytelnikowi w żywych barwach charakter, prawdziwą rolę i historyczne stanowisko prawodawcy, warunki postępów jego nauki, i wytłumaczy zagadkę szybkiego jój wzrostu na zewnątrz i szybszego jeszcze upadku wewnętrznego.

*Mitologia ludów Polinezyi i dzieje plemion Nowej Zelandyi, z podań ludowych zebrane przez Greya byłego gubernatora Nowej Zelandyi. 1855 r.*

Dzieło nader ważne i zajmujące; przeto nieobojętnem będzie ukazanie się téj książki dla czytelników, którzy zechcą śledzić historią człowieka wewnętrzną. Znajdą tu oni trudny do poznania swój własny obraz w niemowlęcém szczebiotaniu i dziwacznej dzikości téj trzeciój rodziny, która mimowolnie przypomina trzeciego syna Noego. Znajdą tu swój obraz jak dumnie rozwinięty, świetnobarwny motyl winien poznać siebie w brudnej poczwarce, którą zostawił, ulatując, z której się wysnuł, wyrobił. Wpatrzmyż się w te potworne kształty z głową upstrzoną piórami, jakby z szyi ptaka na kark ludzki włożoną, w te oczy z pod ciemnej cery żarzące blaskiem srogości, w tę religią krwi (1) i mięsa drewnianym bogom poświęconą, w tę śmieszoną apoteozę jadła i napoju, w ich czary i zaklęcia duchów, w ich twarz misternie pokarbowaną, lub naciętą dla ozdoby; w ich zwyczaje, obyczaje, w cudowną potęgę ich zmysłów, ich podróże do nieba piechotą, ich raj zastawiony dzbankami: zgoła w ten cały brudny byt bez uznania; wpatrzmy się i nie powstydzmy się swojej poczwar-ki. Tu dla badawczego oka znajdzie się punkt do zmierzania długości cywilizacyi, jaką świat wysnuł, a ile wysnuć jeszcze może.

Grey czerpał podania z ust kapłanów i naczelników plemion, zyskawszy poprzednio ich życzliwość i zaufanie. Zauważał w ich prośbach do niego podawanych, w ich zażaleniach niejedną legendę dodaną, niejeden myt, lub wiersz, podanie poetyczne albo religijne, które nieraz utrudzało zrozumienie głównego

(1) Jeżeli przypuścimy, mówi Grey 2000 lat istnienia ofiar ludzkich na wyspach Polinezyi „i że podług zasad służących za podstawę ich religii, około 2000 głów poświęcono bogom: wnioskować można, że przynajmniej cztery miliony ludzi oddano na ofiarę drapieżnym bogom, nie licząc przerażającej liczby dzieci zabijanych pod wpływem systemu *dzieciobójstwa*, pewnemi podaniami uświęconego!”

przedmiotu. Grey przekonał się z czasem, że to były alluzye, albo allegorye, w które proszący ośłaniał swe skargi przez skromność lub obawę. W niniejszym zbiorze napotykamy powieści mitologiczne, historią przesiedlenia się plemion oceanickich od zachodu na wschód; powieści historyczne, w szczególném znaczeniu wyrazu i legendy. Kosmogonia ich, jak wszystkich ludów współfamilijnych im jest kosmogonią materyi. Z właściwą zmysłowym narodom obojętnością przyjmują oni dokonany fakt istnienia świata, i nie zadając sobie pracy uduchownienia materyi, zostawiają nocy proces utworzenia żyjących rodzajów. „Synowie nieba i ziemi (Rawgi Papa) znudzeni ciemnością, zgadzają się jednomyślnie na rozdzielenie swych rodziców. Jeden tylko z nich, władca wichrów, sprzeciwia się przymuszonemu rozwodowi dwojga pierwszych rodziców, i zład długie wojny przeciwko braciom, reprezentującym wody, lasy, góry i t. p. Niebo Polinezyan przedstawia nam pierwszy zaród pojęć o nieśmiertelności. Pierwszy przodek, czyli pra-ojciec rodziny nieraz zstępuje na ziemię; i w chwili niebezpieczeństwa podaje ratunek żyjącym na ziemi potomkom swoim.

Tak ocala on małe dziecię Maui, rzucone w bałwany morskie, i odchowane, cudownie powraca matce. Między rozumem bożym a niedołężnością ludzką pośredniczy magia: ta, jak powiedzieliśmy gdzieindziej, metafizyka pierwotnego człowieka. Zaklęcia są zostawioną w rękach ludzi nitką od téj cudownej potęgi. Wiara w dziwy (czary) pokazuje tu, jak i we wszystkich narodach, albo wrodzony ludom pierwotnym popęd do uosobienia sił natury, albo stanowi, co niemniej prawdopodobne uzmysłowienie pewnych, zatraconych w historii epok, lub odznaczających się indywidualności, albo na koniec, jak w wiekach średnich, rozważne ukrywanie pewnych pojęć w symbole. Tym sposobem dwa ostateczne ogniwa rozwinięcia się myśli: zabobon i spekulacya, natrafiają na jedną i téż samą formę: na symbol.

Na wzór rodzaju powiastkowego, przytaczamy najkrótszą legendę, z historii wojen między plemionami Nowej Zelandyi.

*Miłość Takarangi i Raumahory (1).*

Na kilkanaście pokoleń przed nami żył naczelnik plemienia Taranaki, imieniem Rangirunga. Miał on Pa, czyli twierdzę zwaną Wakarewa. Była to ogromna Pa, słynna mocą swoich wałów. Miał on także córkę nieśtychanię piękną, której imię było Raumahora. Piękność tak ją wstawiła, że jej imię głośne na okolicznych wyspach, doszło do uszu naczelnika plemion Ngati-awa, również mocną posiadającego twierdzę na wzgórzu, gdzie dziś wznosi się dom gubernatora. Ten naczelnik był ojcem młodego Takarangi, bohatera w swoim plemieniu. On także zastyszał o wdziękach księżniczki i uczuł gwałtowną ku niej miłość w swoim sercu.

Otóż w owych dawno minionych wiekach, wszczęła się wojna między dwoma plemionami, których naczelnikami byli ojciec Takarangi i ojciec Raumahory. Zwycięzkie wojsko Ngati-awa szło wprost na przeciwnika, w celu uderzenia na twierdzę ojca pięknej Raumahory. Oblężono warownię i w tym stanie trzymano ją kilka dni i nocy. Lecz bezskutecznie. Jednak po kilku natarciach i bitwach z załogą, mieszkańcy zostali osłabieni brakiem żywności i wody, a niektórzy z nich już prawie konali z pragnienia.

Wreszcie złożony laty dowódzca, ojciec Takarangi, zmorzony pragnieniem ukazał się na szczycie wałów swojej twierdzy, i zawołał do stojących przed nią żołnierzy nieprzyjacielskich: „Błagam was, dajcie mi kropkę wody.” Niektórzy tedy z szeregów nieprzyjacielskich, ulitowawszy się nad starcem, rzekli „Zgoda” i pobiegli z wiadrem podać mu wody. Lecz większość, mając twarde serce, obraziła się na nich, stłuczono im dzban, tak, że ani kropelki dla biednego starca nie zostało.

Ten czyn niemiłosierny powtarzał się kilka razy, a w wraz z nim żywa sprzeczka pomiędzy nieprzyjaciołmi.

(1) Dosłownie z ust mieszkańców.

Stary naczelnik stał ciągle na wałach twierdzy, usypanych z ziemi, i widział dowódcę nieprzyjacielskiej siły z oznakami godności na głowie. Było biały grzebień, wyrobiony z kości wieloryba i długie pióro czapli, jako godła jego naczelnictwa. Naraz wszyscy usłyszeli głos starca, zwrócony ku niemu ze szczytu wałów: Kto ty jesteś? A młodzieniec odrzekł mu: „Ten, który stoi przed tobą jest Takarangi.” Stary naczelnik, władca Pa zawołał ze szczytu:

„Młody rycerzu! czyli jesteś mocen uciszyć rozniewane fale, pieniące się nad skrytymi skałami?” Co znaczyło: „czyli zdołasz, jakkolwiek jesteś naczelnikiem, uśmierzyć wściekłość tych dzikich ludzi?” Na to młodzieniec odrzekł dumnie: „Gniewne fale będą uśmierzone. To wojsko moje jest takiem, że go żaden pies nie śmie ukąsić”, a przez to rozumiał, że żadna ręka niewolnicza nie odważy się tknąć jego żołnierza, uświęconego czynami i sławą, ani sprzeciwić się jego woli. Ale w głębi serca tak raczej myślał Takarangi: „Ten umierający z pragnienia starzec jest ojcem Raumahory, ukochanej dziewczicy. Ach! jakżebym się smucił, gdyby tak młoda i niewinna umierała wśród mąk pragnienia!” Poczem pobiegł przynieść wody dla starca i jego miłej córki; napełnił dzbanek, zanurzając go w głębi zimnego źródła, zwanego źródło Oryngi. Ani słowa nie rzekła, ani żadnego poruszenia nie zrobiła dzika tłuszcza, lecz stała pod bronią patrząc i milcząc z podziwienia. Uciszyło się morze, przed chwilą tak wzburzone, czcią i bojaźnią przejęte na widok zakochanego bohatera. Takarangi sam dźwigał wodę i ulżył mąk starremu księciu. Wówczas wszystkich doszedł głos Takarangi, wołającego do starca w te słowa: „Czyliż nie powiedziałem ci, że żaden pies nie ośmieli się ukąsić tej ręki! Weź wodę dla siebie, i dla młodej córki twojej”. Wzięli więc i napili się oboje, a Takarangi z zapalem spoglądał na młodą dziewczycę, a ona z zapalem patrzyła na bohatera. Długo oboje patrzyli na siebie, a gdy i wojsko Takarangi patrzyło, on wspiął się na szczyt wałów i usiadł obok Raumahory. Żołnierze zaś mówili między sobą: „O! towarzysze! nasz władca miłuje wojnę, lecz możnaby teraz pomyśleć, że miłuje Raumahorę prawie tak samo”.



W końcu nagła myśl powstała w sercu starego ksiąźęcia i rzekł do swojej córki; „O! moje dziecko, czy nie byłoby ci miłem mieć tego młodzieńca za męża.” Dziewica odpowiedziała: „Kocham go.” Zgodził się staruszek na oddanie mu jęj za żonę, i bohater pojął Raumahorę. Wojna wzięta koniec, rozpierzchło się wojsko Takarangi, każdy wrócił do swego domu, i już więcj nie napadano na twierdzę, ponieważ pokój był nazawsze zawarty. Potomkowie Raumahory i Takarangi mieszkają dotąd w Wellingtonie.”

Inne legendy przedstawiają mieszanię treści religijnej, pół-historycznej, obrazy dzikości, okrucieństwa, zabobonów i poezyi. Najciekawszym ze wszystkich jest dołączony w końcu wzorek muzyki! Pięknę ryciny stanowią nauczające i miłe dopełnienie dzieła.

Powieść właściwa liczy w Anglii wielu znakomych pisarzy. Przy wygórowanej nieco barwie miejscowej, jaka szczególniej odznacza utwory humorystyczne, i wraz z przystępnością ogranicza ich wpływ na literaturę powszechną; powieść angielska zaszczytnie jest reprezentowaną przez p. Beecher Stowe, Bulwera, Dickensa (1), Cavanagh i Fulloma (2).

*Felix Jezierski.*

## II.

### *O powieściach ludowych w Niemczech.*

Przy dzisiejszym rozwoju i kierunku powieści ludowej w Polsce, wiadomość o tęg samej gałęzi piśmienia

(1) Pierwszy humorysta w naszym wieku, najwięcej znany ze swoich *American Notes*, o których mowiliśmy przed kilką laty; dzisiejszym jego utworem jest: *Little Dorrit*. Staral się on przeniknąć i dolne warstwy społeczeństwa angielskiego. Pióro jego łączy wdzięk opowiadania, z żywością pędzla i dążeniem postępowém.

(2) Autor wspomnianego wyżej dzieła „*Historia kobiety*” napisał niedawno głośną w świecie powieść „*Córka nocy*.”

nictwa sąsiednich Niemiec, może mieć swoje korzyści. Poznawanie bowiem tak w całości jak i w pojedynczych częściach naszego na polu umysłowém, do téj lub owéj cudzoziemczyzny—stosunku, i śledzenie porównawcze za osobnemi dziełami literatury, wskazuje nam: czy z prac podejmowanych u obcych, może przez umiejętne zastosowanie spłynąć dla nas jaki pożytek lub nie.

Pisarze niemieccy rzucili się do powieści ludowych, zupełnie dla innych przyczyn, jak nasi. Początkowe ich w tym rodzaju utwory miały bowiem na celu przeciwstawienie nowego żywiołu powieści salonowej, która na wzór francuzkiej naśladowana, licznych w Niemczech znalazła zwolenników i wielu téż chlubi się pracownikami. Dziwna to jednak, że tak powieść salonowa jak i ludowa, utrzymują się tam w pewnej wyłączości, i że zwolenników téj ostatniej nie wpośród ludu, ale raczój w salonach szukać należy. Tak zwane romanse ludowe i powiastki wiejskie, o tyle nie są czysto ludowemi, o ile także nie były niemi sławne w swoim czasie, przez romantyków odgrzywane dzieła ludowe. Bo i czegoż się miał lud z tych powieści nauczyć? Wié on sam bardzo dobrze bez książki, o strachach lub upiorach, w które wierzył i wierzy. Moralność wielu powiastek wiejskich Auerbacha dość jest okolicznościową i trafunkową; z pism zaś Gotthelfa, chociaż nieraz wprawdzie można otrzymać w wypadku pewną praktyczną zasadę życia, znać w nich jednak także i dosyć naciągania, zdradzającego pasterskie powołanie tego autora. Brak zupełnie tym powieściom praktycznego pożytku; i z tego téż powodu dają się one sądzić ze stanowiska piękna, to jest estetycznego, i uważać pod pewnym względem za nowoczesne idylle. Lecz idylla nabiera kunsztowności dopiéro przez kontrast, jaki tworzy z odległemi poglądami historycznemi; w czém za dowód służy Goethe w Hermanie i Dorotei (1).

(1) Sam Göthe tak pisze o téj epicznej idylli: „Ich habe das Reinmenschliche der Existenz einer kleinen deutschen Stadt in dem epischen Tiegel von seinen Schlacken abzuschneiden gesucht, und zugleich die grossen Bewegungen und Veränderungen des Welttheaters, aus einem kleinen Spicgel zurückzuwerfen getrachtet.”

Życie zaś wzięte i uważane w pewnym ograniczeniu, bez swobodnego w okół rzutu oka, wystarcza ledwo dla lada jakiej zaściankowej poezyi. Trudno także pojąć, dlaczego powieściarze ludowi niemieccy szukają najczęściej w ludziach średniego wykształcenia bohaterów do swoich powieści; gdyż ci ich bohaterowie, krom swego nizkiego stanu, co do reszty, w całym życiu, tak jak je powieścio-pisarze przedstawiają, w niczem się tak dalece wybitnie od zwykłych ucywilizowanych ludzi nie różnią. Dzieci natury są w dzisiejszych czasach rzadkiem, w każdym społeczeństwie stanie zjawiskiem; mimo to znaleźć je można tak dobrze w wyższej jak i w niższej sferze: z tą tylko różnicą, iż w tej ostatniej podnoszą się one zwykle daleko wydatniej po nad ogół. Znającemu bliżej Niemców, łatwo się przekonać, że powieści ludowe były tam przed kilką latami w modzie; podobnie jak kiedyś idylle Gessnera i kolorowane widoki Arkadyi, stanowiły także łakomy kęs dla gustu niemieckiej publiczności. Chociaż idylle Gessnera były poprawdzie tylko wymarzonemi frazesami, miały jednak przynajmniej piękny pozór i nosiły na sobie cechę jakiejś czystości. Nowe powiastki wiejskie prawdziwsze od nich, ale w tém też i cała ich zaleta, do Auerbacha nawet z trudnością dająca się zastosować. Powieści ludowe niemieckie wyglądają zupełnie jak holenderska szkoła van Ostadów i Teniersów; z tą tylko różnicą, że to, co w malarstwie stanowi rodzaj, to jest manierę, nie może jeszcze za takowy uchodzić w poezyi. Za opisy licznych obór i stajni, z nieodłącznemi od nich stertami nierzwy, pewna arkadyjska czystość i prostota obyczajów winnaby wynagrodzić zawód, którego niewątpliwie musi doznawać wyobraźnia czytelnika: a to tém bardziej, że myśl dająca się wycisnąć z tej całej sfery, arcy biedna. Przeciwnie się jednak dzieje. Spotykamy tu tyle niezgrabnych i przebiegłych intryg, tyle sobkostwa szeroko wszędy rozpierającego się łokciami, tyle zepsucia, co i w wyższych stanach; a zepsucie to tém więcej nagością razi, im mniej walczy duchową bronią.

Z powieścio-pisarzy ludowych, w Niemczech najbardziej na swoim miejscu jest Jeremiasz Gotthelf. (ksiądz Albert Bitzius z Lützelflüh, w kantonie berneńskim). Styl jego odziany, że tak powiemy, w wodo-

trwałe juchtowe buty i drewniane sandały, a wyobraźnia stoi na równi z chłopskim sposobem widzenia rzeczy. Pisze on korzystając z wiejskiej parafialnej praktyki. Jego książkowi chłopy nie mędrsi od rzeczywistych, umieją należycie szanować duchowne napomnienia, któremi pan pastor szczerze na wszystkie szafuje strony. Niektórzy krytycy niemieccy uwielbiali te obrazy ludowe, podziwiając w nich prawdę, moc i siłę przedstawienia. Tę krytykę przepełniały liczne ekscentryczności literackie: poglądy jej były niepraktyczne, romansowe, a cały zastęp wielbicieli ludowych powieści, na oślep uciekał się do tej jakoby zimnowodnej kuracji, uginając pokornie karku przed kroplistemi tuszami Gotthelfa i pod szumiącym strumieniowym tuszem Auerbacha. Innym znów podobał się duch pobożności więcej z pism Gotthelfa, jako lekarstwo przeciw terażniejszemu niemieckiemu religijnemu niedowiarstwu. Jednym słowem, krytyka i publiczność podobnemi pochwałami dali dowód, że idą raczej za popędem upodobań czasu, niż za głosem prawdy.

Dzieła Gotthelfa, jak np. „Uli der Pächter”, (Bern, 1849) „Uli der Knecht”, (Zür; 1841) „Ein Silvester Traum”, (1842) „Bilder und Sagen aus der Schweiz” (1852), są w istocie dobrym praktycznej rzeczywistości utworem; nigdzie nie występują z poza sfery sobie właściwej i dlatego mają pewną wewnętrzną plastyczność i naturalne rozwinięcie. Szczególnie pierwsze z wymienionych dzieł, żywot parobka Uli, z pomiędzy innych najgłówniejsze, jest doskonałym zwierciadłem chłopa, w którym się lud z korzyścią przeglądać może; nadto jako wierny zarys obyczajów ludu w kantonie berneńskim, i dla innych też stanów wiele ciekawych zawiera szczegółów. Jednak i to zwierciadło czasem fałszywie pokazuje. Gotthelf korzysta z najmniejszej sposobności, aby tylko rozwinąć groźną polemikę przeciw duchowi czasu, obyczajom, różnorodności wiar i filozoficznych stronnictw. Mniemamy, że podobnemi filippikami, autor daje najlepsze testimonium paupertatis swego ducha. Szczupłe rozwinięcie tego, że się z niemiecka wyrazim pozytywnego umysłu, dosadniej daje się jeszcze postrzegać w nowszych jego utworach. („Die Käserej

in der Vehfreude" Berlin 1850 i „Erzählungen und Bilder aus dem Volksleben der Schweiz" (1852).

Niejednen może podobać sobie w poetycznym obrazku, malującym handlującego mlekiem i serem pachciarza; lecz wątpić należy, aby coś podobnego można było podawać za mistrzowską pracę. Gotthelfa wprowadzają do niemieckich salonów z pewną oględnością: widno z obawy, żeby jego ordynarne buciska nie podeptały kobiercami wybitych podłóg, i aby wraz z niemi nie zaleciały tam zbyt narkotyczne wyziewy stajenne, któreby aż wodą de mille fleurs łagodzić i zobojełniać było trzeba. Natomiast Berthold Auerbach jest prawdziwie fashionablowym dandym wsi i galanteryjnym powieścio pisarzem ludowym. Potrafi on zaduszną atmosferę idylli tysiącem modnych perfum odświeżyć i wyśpiewywać z całym wdziękiem przed pięknym światem, owę tak powszechnie znaną piosenkę ludową Götthego: „Liebes Mädchen lass uns waten, waten noch durch diesen Quark". Gotthelf jest tylko kalendarzowym powieściarzem wiejskim; w Auerbachu zaś spotykamy zręcznego i niezaprzeczoną zdolność posiadającego pisarza, który się już zresztą poprzedniemi swemi odznaczył pismami: „Spinoza" (t. 2, Stuttgart, 1837) i „Dichter und Kaufmann" (2 t. Stutt. 1840)}. Jak Gotthelf z pomiędzy ludu, tak Auerbach znów pisze do ludu, chociaż duchowy rozwój tego autora uczynił go właśnie nieprzystępnym, a ztąd téż i obcym dla tego ludu. Łacniej pisać pastorowi Bitius dla ludu i o ludzie hukając i piorunując jakby z kazalnicy, aniżeli Auerbachowi przesiąkniętemu systematem Spinozy; przeplata on bowiem mimowolnie dość często swoje uwagi i rozumowania myślami, będąceni właśnie dalszém wspomnionego systematu rozwinięciem. Z tójto przyczyny, obok łatwości, prawdy i prostoty, znachodzim nieraz w stylu Auerbacha liczne i kunsztowne przydatki, jakieś manierowanie, naiwną słodycz: słowem postrzeżenia i poglądy, które autor widocznie z całkiem innego zaczerpnął świata.

Sądząc ogół, postrzeżem wprowadzie, jak z pism Auerbacha wieje myśl zdrowej dzielności, jak jego charaktery mają świeże, w całym rozwoju naturalne życie; jak jego powieści są jednolitę prostoty, wolnej od

wszelkiego niesłusownego dowcipkowania. W szczególności zaś musimy przyznać, że wiązanka z kwiatów duchowego światła, którą Auerbach swym kmiociom zakłada w pełnię, najoczywściej rwana w cieplarniach wykształcenia; gdyż często gęsto wykształcenie to przeziera z poza wiejskiego żywota, który nam autor maluje. Jego czarnoleskie powiastki (*Schwartzwälder Dorfgeschichten* (1843—48—53) są to skromne szkice typów i charakterów, nie odznaczające się atoli szczególnym wynalezieniem i zaciekawieniem powieściowem. Pły nie tam świeża krynica życia i uczuć, ale znać także niejedną cedzoną uwagę. Autor nie wdaje się w poglądy polityczne; raz tylko pozwolił sobie rozprawić o bezpożytecznie rozgałęzionej w Niemczech biurokracji. To złe jest prawie tak powszechnem w Europie, iż całkiem usprawiedliwiamy Auerbacha za powstawanie na wielourzędnictwo. Ilekroć wypadnie w zarysie porównawczym wykazywać odrębność cech cywilizacji a prostego naturalnego żywota; powieści Auerbacha nabierają pewien połot wzniosły: autor z całą swobodą rozwija swoje duchowe zasoby i z nieporównanym talentem dramatyzuje akcją. Najlepszym tego dowodem są powieści: „Ivo der Harle, Frau Professorin i Lauterbacher. Każda nowa serya powiastek wiejskich Auerbacha odznacza się kunsztownie obrobioną formą i jest nierównie wyższej literackiej wartości, od jego poprzednich dorywczych szkiców. Jedną z ostatnich powieści tego autora p. t. „*Neues Leben* (1852, t. 3) mimo pięknych myśli i plastyczności, przekonywa, że Auerbach nie ma daru do kompozycji rozleglejszego wymiaru.

Dalej z tej samej gałęzi powieściopisarzy, wymienić należy Józefa Ranka. Stoi on prawie na równi z Auerbachem pod względem daru postrzegania i zdrowego a głębszego sądu; w ogóle jednak jest rozwlekły, urywkowy, a nadto lubi powieściom ludowym nadawać zawsze pewne polityczne dążenia. Jak Auerbach za główne tło do powieści obrał Czarny las; tak ten odzworowuje znów życie chłopów czeskich, które przez pewną właściwą sobie tęskliwość, niewypowiedzianym odznacza się wdziękiem. U Auerbacha miejscowość jest czasem w powieści rzeczą przypadkową; u Ranka

przeciwnie: on stara się zawsze malować obrazki miejscowe i ujmować w obszerne ramy charakteru danej okolicy. Jego powiastki wiejskie nie są pojedynczymi typami charakterów, lecz mają za cel wykazać w całości zwyczaje i obyczaje czeskiego ludu. Dlatego też w pismach jego, pierwiastek powieściowy jest tylko obłoną przychodzącą w pomoc praktycznemu, albo raczej naukowemu celowi. Pisma Ranka są następujące: „Aus dem Böhmerwalde” (Lipsk, 1843) i „Neue Geschichten aus dem B. W.” (Wiedeń, 1847) połączone w dzieło: „Aus dem Böhmer Walde” (t. 3. Lipsk 1851) (1) „Die Brüder aus dem Volke” (Lipsk 1844); wreszcie: „Waldmeister” (t. 3, 1846 *ibid*). To ostatnie dzieło pokazuje najwyraźniej zakres talentu autora; Rank skoro się tylko pokusi tworzyć co nazbyt wielkiego, wnet wpada w zamęt, w fantastyczność, w czezość, a raz z przed oczu utraciwszy czeską ziemię, inną sobie trwałą podstawę wyszukać nie umie.

Bardziej obrazowemi, choć mniej ludowo typowemi, są „Wioski czeskie” Uffa Horn (Lipsk 1847 t. 2). Lecz czarnoleskie i czeskie powieści wiejskie, nie same jedne tylko w niemieckiej występują literaturze. W pojedynczych ustępach malowali także życie ludu pisarze: Immermann („Münchhausen” Düsseldorf, 1844 „Hofschulzen” „Oberhoff”) który się z zadania wyśmienicie wywiązał. Levin Schücking także w urywkach tylko podaje wiejskie zarysy z Westfalii. Ernst Willkomm opisywał okolice wyższej Luzacyi, nacechowane zawsze jakąś osobliwszą dążnością. („Trompetermarie, Das Pascher-Leben”). Zbierał on również wiadomości o zwyczajach pewnych okolic i wydał w dziełku: „Grenzern, Narven und Lootsen”. A. Wejl szkicował pobieżnie życie ludu w Luzacyi; Lentner południowo bawarskiego (Geschichten aus den Bergen,

(1) Rozmaite ostatniemi czasy miewaliśmy po pismach warszawskich sprawozdania o ruchu literackim w pobratymczych Czechach; a o ich powieściach ludowych podobno dotąd tyle, co nie wiemy. O najlepszym przeto dziele Ranka, udzielimy później czytelnikom naszym osobną wiadomość, i wyjątkami celniejszymi z tego autora, postaramy się dać dokładniej poznać stanowisko, jakie lud czeski zajmuje w powieściarstwie niemieckiem.

Magdeburg, 1851). Powieść tego ostatniego p. n. „Ritter und Bauer” (Magdeb: 1844) odznacza się wielu szczęśliwemi poglądami; lecz jest nieco za rozwlekła, a przez użycie w wielu miejscach staroniemieckiego stylu, niebardzo przystępna. Do tego samego działu powieści dadzą się także zaliczyć: Spindlera, „Der Vogelhändler von Imst” (Stuttgart, 1846, t. 4), następnie Ernsta: „Die Norddeutschen Bauergeschichten” (Lipsk 1850—51 t. 6); Schirgesa: „Der Bälgentreter von Ejlersrode” (Hamb: 1845); Pröhlega gadki i szkice „Aus dem Harze” (Lipsk, 1851) i „Waldrossel” (Dess: 1851) które już bardziej wkraczają w zakres poezyi wędrownój, są jednak sownie wypełnione właściwą życiu wiejskiemu czerstwością. Waldau’a wiejskie powiastki „Nach der Natur,” należą do rzędu najprawdziwszych zarysów wiejskich w Niemczech, wolnych od wszelkiej wymuszoności i niepotrzebnych przydatków.

Powieść ludowa, która powstała w Niemczech z reakcyi wywołanej przeciw bladėj powieści salonowej, z dążenia ku obrazowaniu pełnej i świeżej przyrody, w miejsce sztucznego życia, nie przedstawiającego całości organicznej; wyszedłszy nareszcie z zakresu rzetelnej potrzeby, stała się celem mody, a pochwycona przez pisarków, licznie fabrykowaną była na jednostajny ład. Małą jest wartość artystyczną tych literackich płodów, jeśli je weźmiem w przecięciu wszystkie razem; są one o tyle tylko ciekawe, o ile wierne przedstawiają obraz obyczajów i wewnętrznego życia niemieckiego ludu. Co do kierunku tego rodzaju powieści, dodać jeszcze musimy i to: że żądza Niemców do ciągłych po obczyźnie wędrowek, zwróciła się nareszcie do pielgrzymek po własnym kraju; a ten powrót do swojskości i do życia niemieckiego, stał się nawet nieodzownie potrzebnym, jako środek uzdrawiający od cudzoziemczyzny. Jeżeli zaś kierunek ten nie potrafił zupełnie wpłynąć na wyrugowanie z powieści przesady i wszystkiego tego, co nie może być pięknem; to w samém już dążeniu swoim jak najlepsze i najpiękniejsze objawił zamiary.

Są pewne cechy wspólne tak niemieckim, jako też i naszym powieściom ludowym, mianowicie: że te i tamte



rozpadają się na dwa główne działy, to jest: 1) na powieści dla ludu, o ludzie lub narodzie; 2) na powieści o ludzie nie dla ludu.

Piérwszych posiadamy stosunkowo więcej niż drugich, a nawet posiadamy je dawniej: gdyż początkowe w tym rodzaju próby, przed kilkunastą nawet laty, w naszym pojawiły się już piśmiennictwie. Autorzy téj gałęzi powieściowej obrali sobie za przedmiot rozpedzać mrok rozlegający się pomiędzy ludem; by zaś tego celu łatwiej dosięgnąć, zniżali się oni do swoich czytelników i zstępowali pośród nich, tłumacząc rzecz swoją jasno i zrozumiale. „Pod skromną powiastek obstoną, (powiada nasz K. L.) wykładali im nieraz najzawilsze i najgłębsze prawdy. Lecz najlepsze zamiary pracujących na téj niwie, rozbiły się częstokroć o samą nieumiejętność ludu. Powiastki takie, przeznaczone dla czytelników, którzy po większej części czytać nie umieli, albo się dopiero głosek uczyć poczynali, potrzebowały obcego starania, aby przez umiejętnych w czytaniu, rozlewały się korzyści jego na nieumiejętnych. Opieszałość i niedbalstwo tych, których się to najbardziej tyczy, jest wielką winą”.

Ku końcowi zeszłego roku, kilkakrotnie dwie autorki nasze p. J. i p. L. w „Gazecie Codziennéj” wygłaszały nad tym działem powieści swoje praktyczne uwagi i postrzeżenia; artykuły te bytynamaszczone miłością bliźniego, dążeniem do prawdy i chrześcijańskim przejęciem się obowiązkami ciężącemi ludzi wykształconych w uczeniu nieumiejętnych, jak to nakazuje zakon Boży; nadto wyliczano tam z dat i tytułów, rozmaitemi czasy w tym rodzaju po polsku drukowane prace. To nas uwalnia od bliższego zastanawiania się obecnie nad tém rozczłoniem powieści. Chociaż zaś w samej Warszawie przybyło niedawno kilka w téj mierze nowości, to takowe osobno roztrząśnione zostaną, przy zachowaniu względu na całość gałęzi. Korzystając atoli ze sposobności, winniśmy objawić w tém miejscu całą radość naszą, będącą odbiciem się wierném radości powszechnéj, z pojawienia się od początku bieżącego roku nowego pisma ludowego, p. n.: „Czytelnia niedzielna”. Pismo to powinno połączyć i niewątpliwie połączy rozstrzelone dotąd u nas usiłowania w kształ-

ceniu ludu. Nowy to dla nas temat do postrzeżeń, które nieraz obiecujemy sobie czynić w Bibliotece.

Drugi rodzaj powieści o której mowa, to jest powieści o ludzie, dla nie ludu, dwóch głównie u nas zajmuje pisarzy: Gregorowicza i Kraszewskiego. W pojedynczych zaś ustępach, bądź w drobnych osobną całość składających szkicach, zasłużyli się u nas jeszcze na tej niwie: Berwiński, Chodźko, Dzierzkowski, Fisz, Kunicki, Marcinkiewicz, Nowosielski i Wojcicki (1). Nad kierunkiem i rodzajem prac tych powieściopisarzy, zastanawiać się tu nie będziemy: wymagają one szczegółowego a do tego obszernego rozbioru, który jeśli Bóg da spełnić zamiary, również w Bibliotece kiedy zamieścimy, wyłuszczając zarazem źródłowo przyczyny, jakie mogły spowodować powstanie, a następnie szybkie rozwinięcie się w polskim piśmiennictwie powieści ludowej, wreszcie zastanawiając się nad przyjęciem, jakiego ona doznała i doznaje u czytającej powszechności. W chwili jednak gdy nam przychodzi zakończyć niniejsze o niemieckiej powieści ludowej słówko, musimy wyznać chlubną dla nas prawdę: że w tym rodzaju rozwijaliśmy się i rozwijamy sami, bez żadnych obcych wzorów, tak wspaniale i obiecująco, iż nam to jedno chyba do życzenia pozostaje: abyśmy w połowie drogi nie ustając, i później, coraz to obszerniej z dotychczasowych prac i usiłowań zbierać mogli owoce.

I. Z.

(1) Nazwiska wymieniamy zawsze porządkiem Jiter.

# GENTILE BELLINI.

OBRAZ DRAMATYCZNY.

PRZEZ

J. Korzeniowskiego.

---

(Sala wielka w pałacu Mahometa II-go w Konstantynopolu. Ułamki posągów i biusta stoją po kątach, a rysunki głów, rąk i torsów porozwieszane na ścianach. Kilka sztalug próżnych i inne przybory malarskie w różnych miejscach. Z lewej strony wielkie okno, przy którym na sztaludze duży obraz wyobrażający ścięcie św. Jana Chrzciciela; z przeciwnej strony na drugiej sztaludze portret naturalnej wielkości Mahometa II-go. W głębi wielkie drzwi zastonięte franką. Bellini, w weneckim kostiumie, składa pędzle i paletę i staje przed swoim obrazem przypatrując się. Niewolnik grecki, Marko, który dotąd siedział w głębi i rozcierał farby, kładzie kuranta na kamieniu, staje za Bellinim, i także przypatruje się).

**Bellini.** (prostując się).

Ha! niech już będzie koniec. Zbytek pracy  
Zaciera śmielsze rysy, a zanadto  
Wiele ogłady niszczy ślad natchnienia.

(obraca się do niewolnika).

Cóż Marko?

**Marko.**

A cóż! dziw mię tylko bierzę,  
Jakto tak można wszystko, co chcieć, udać.

**Bellini** (z uśmiechem).

Więc dobrze?

**Marko.**

Pięknie, aż popatrzeć miło!  
Twarze tych ludzi patrzą bez litości  
Na krew, co płynie z szyi tego więźnia;  
I jak zwierzynę kładą na tój tacy

Głowę, na której złych nie widać myśli.  
Co to za człowiek, mistrzu: chciałbym wiedzieć  
Za co go ścięli.

**Bellini.**

Czyś ty chrześcianin?

**Marko.**

Nie wiem sam, jak ci odpowiedzieć na to.  
Jestem Grek rodem. We wsi, gdzie był dom nasz,  
Stał nieopodal kościół chrześciański,  
Którego dzwony ze snu mię budziły.  
Tam ja chodziłem zwykle co niedzieli  
Z matką, gdym jeszcze małym był chłopięciem.  
Raz jakoś dzwony głośnieję się ozwały;  
I wtedy matka wzięła mię za rękę  
I biegła naprzód, a ja biegłem za nią.  
Kościół na rozcież stał otworem. Zewsząd  
Szli już tam ludzie trwogą przerażeni;  
A wśrodku widać było wiele światła,  
A w głębi wielkie drzwi, na których były,  
Jak dziś pamiętam, piękne malowania  
I złota dużo; a za niemi starzec  
Przy białym stole stał w srebrzystej sukni,  
I z wielkiej księgi czytał. Wtedy mistrzu!  
W kościele takim byłem raz ostatni.

**Bellini.**

A potem?

**Marko** (*ponuro*).

Potém?... potem miecz turecki  
Przeszył pierś matki, która mię uczyła.  
Ojciec już dawniej legł pod ich orężem;  
Ogień ich spalił dom nasz, wieś, i kościół  
Jak świeca zażęł się od ich płomienia.  
Złote drzwi znikły, księgi poszły z dymem,  
I owe dzwony, których głos dziś jeszcze  
Pamiętam dobrze, spadły i umilkły.  
Zrosłem w niewoli, i nikt mię nie spytał  
Jak chwałę Boga. Toż się nie dziw mistrzu,  
Ze nie wiem, co twój obraz wyobraża.

**Bellini**

(*spojrzawszy na niego ze współczuciem, mówi ukazując na obrazie*),

Ten ścięty człowiek, to syn Zacharyasza.  
Janem go nazwał Anioł Gabryel wtedy,  
Kiedy przed starcem stanął i objawił,  
Ze z woli bożej syn mu się narodzi.

Jan żył na puszczy i pokutę głosił.  
 A gdy lud przyszedł słuchać jego nauk,  
 Chrzczył go w Jordanie. Wtedy Chrystus także  
 Przyszedł na puszcze i chciał być ochrzczonym.  
 Jan czuł się niższym, ale był posłusznym.  
 I gdy Zbawiciel świata wszedł do rzeki,  
 Oblał jój zdrojem i boskiego syna.  
 Ztąd go Chrzczicielem zowią.

**Marko.** (który słuchał z uwagą).

Za cóż tedy

Ci ludzie śmieli dotknąć takiej głowy?

**Bellini.**

Wtedy panował w Palestynie Herod,  
 Człowiek rozpustny, który z żoną brata  
 Żył kazirodnie. Jan go upominał,  
 Że gwałci zakon; a król rozgniewany  
 Świętego męża wtrącił do więzienia.  
 Kochanka króla, Herodyada, miała  
 Córkę, piękniejszą jeszcze niżli matka.  
 I raz na uczcie córka ta tańczyła;  
 I tak swym tańcem rozbudziła niecne  
 Chuci Heroda, że jój przyrzekł wszystko,  
 Czegoby chciała, nawet pół królestwa.  
 Córka spytała matki czego żądać;  
 A Herodyada pomna swojej krzywdy,  
 Chciała mieć głowę Jana. I król Herod  
 Przyrzekł ją córce, posłał do więzienia  
 Swoich oprawców; i ci ścięli głowę,  
 Na której widzisz prawdę i niewinność.

**Marko.**

Teraz rozumiem, mistrzu! Teraz jakoś  
 Na twym obrazie jaśniej mi i widniej.  
 Ciemnemu człeku słowo dopowiada,  
 Czego nie pojmie okiem. Teraz jakbym  
 Słyszał, co z sobą ludzie ci gadają.  
 Ten pewnie starszy, i do innych mówi:  
 „Nieścież tę głowę, a nagroda dobra  
 Będzie dla wszystkich”. Biedny Jan! nie wiedział,  
 Co u nas dobrze wie niewolnik każdy,  
 Że lepiej przyciąć język, niż wygadać  
 Co widzą oczy. Powiedz, mistrzu, u was  
 Obrazów takich musi być немало?

**Bellini**

Jest mistrzów dosyć, i w kościołach naszych  
 Wszędzie na ścianach tajemnice wiary,

I świętych mężów dzieje wypisane  
W żywych obrazach.

**Marko** (*wzdychając*).

Jakbym to ja pragnął  
Widzieć Wenecyą. Mówią, że to miasto  
Jakby kamienna flota na kotwicy  
Stoi wód morza, i na falach ulic  
Lud się na łodziach roi, jakby mrowie.  
Weź mię ztąd, mistrzu, z sobą, gdy opuścisz  
Konstantynopol i Sultana służbę.  
Ja z tobą chodzić będę do kościołów,  
I przypatrywać się obrazom świętym.  
A jeśli jeszcze powiesz mi, co znaczą:  
To się rozwidni pewnie i w mój głowie.  
Sultan na ciebie łaskaw. Jak mu rzekniesz:  
„Daruj mi Marka,” pewnie ci daruje.

**Bellini** (*z uśmiechem*).

Obaczę, kto wie, może mi się uda.  
Mahomet drugi wielkim jest monarchą.

**Marko** (*uradowany*).

Dzięki ci mistrzu! Jak mi teraz lekko!  
I jak mi dobrze będzie z takim panem!  
Będę cię słuchał, i co tylko powiesz  
Spamiętam wiernie i zapiszę w sercu.  
A jak wszystkiego dobrze się nauczę,  
Iż rzeknę sobie: Tyś już chrześcjanin:  
Wtedy upadnę do nóg twych, i powiem:  
Patrzaj! tam z niebios Matka ci dziękuje.

(*nachyla się i całuje jego suknię*).

**Bellini**

(*kładzie rękę na jego głowie*).

Daj Boże! niech ci anioł twój pomaga!  
Lecz słuchaj Marko! tam ktoś do drzwi stuka.

(*Marko idzie ku drzwiom, podnosi zasłonę, otwiera drzwi, i przyknuw-  
szy je, powraca*).

Któż tam jest?

**Marko.**

Jakiś młody Wenecyanin  
Pragnie cię widzieć, mistrzu.

**Bellini** (*prędko*).

Niechże przyjdzie.

(*postępuje ku drzwiom, których zasłonę Marko podnosi, i wchodzi Girolamo Mocetto. Bellini uradowany mówi*).

Cóż to ja widzę! Girolamo!

**Mocetto** (*wyciąga ku niemu ręce*).

Mistrzu!

**Bellini** (*ściska go*).

Najmilszy uczeń mego brata Jana  
Tu! przy mnie! Ledwie oczom moim wierzę.  
Kiedyżeś przybył? co cię sprowadziło?  
Mów, mów Mocetto! Złego nic, nieprawdaż?  
Ojciec nasz żyje!

**Mocetto.**

Żyje, mistrzu, żyje.

**Bellini.**

A Jan zdrów także!

**Mocetto.**

Mistrz Jan zdrów zupełnie,  
I biegłą ręką wydobywa z płótna  
Postaci żywe i oddychające,  
Których widokiem cieszy się Wenecya.

**Bellini** (*ocierając łzę*).

O! jakbym pragnął widzieć go, i ręce  
Ojca uściskać!

**Mocetto.**

Po toż mię przysłali,  
Abym cię, mistrzu, skłonił do powrotu.  
Ojca pochylił znacznie wiek sędziwy,  
A mistrz Jan tęskni już za twym obliczem,  
I twojej rady w pracach swych wygląda.

**Bellini** (*ze skromnością*).

On mojej rady? W porównaniu z Janem  
Czemże ja jestem?—rzemieślnikiem tylko,  
Który z mozołem lepi. Życie, prawda,  
Błyśnie mi czasem, jak błękitna wstęga  
Na niebie, które chmury zasunęły.  
Pracą wynajdę czasem wyraz, w którym  
Ludzie czytają to, com ja pomyślał.  
Lecz wieleż razy sam nie kontent z siebie,  
Nie mogąc duszy w moje wlać postaci,  
Stałem przed świętym Zacharyaszem Jana,  
Lub przed Madoną, którą otaczają  
Sebastyan, Hiob i Augustyn święty,  
Aby z nich w pierś mą zlało się natchnienie,  
I myśl nad ziemię trochę się podniosła.  
Wieleżto razy czciłem jego sztukę

W cudnym dzieciątku, co śpi na kolanach  
 Najświętszej Matki, a z dwóch stron anieli  
 Strzegą snu dziecka, co ma świat wybawić!  
 Jan to mistrz wielki; jego pędzel umie  
 Na czole każdym utkwic myśl, a w oczy  
 Przywołać promień, którym dusza żyje.  
 Ja muszę widzieć, abym coś odtworzył,  
 A on naturę całą ma w swęj piersi.

**Mocetto.**

Nie mów tak mistrzu! Nikt zapewne nie czci  
 Więcej odemnie brata twego Jana;  
 Ale on widzi lepiej twe zalety,  
 Niż ty sam w sobie. I Wenecya cała  
 Ceni was obu równo; a twój wielki  
 Obraz, na którym znalezienie drzewa  
 Krzyża świętego z taką dziwną sztuką,  
 Z takim bogactwem myśli przedstawiłeś,  
 Swoim i obcym z dumą pokazuje.

**Bellini**

(*siadając z uśmiechem*).

Dajmy więc temu pokój. Siądź Mocetto  
 I mów mi więcej o Wenecyi. Jużto  
 Dziesięć miesięcy długich upłynęło,  
 Jak na wezwanie tureckiego władcy  
 Rzeczpospolita tu mnie naznaczyła;  
 I myśl stęskniona rwie się do ojczyzny.  
 Mahomet wprowadzie łaskaw na mnie; chwali  
 Swojego mistrza i dogadzać każe;  
 A jednak w cichych dumach, kiedy wieczór  
 Zmrokiem obwiedzie pałac ten cesarski,  
 I w swe objęcia ujmie go milczenie,  
 Słyszę plusk wiosel i śpiew barkaroli,  
 Widzę krążące tłumy, i na placu  
 Świętego Marka, wśród wesolych masek,  
 Żyję tём życiem sztuki i miłości,  
 Które równego w całym świecie niema.  
 Smutno mi potem ocknąć się i spojrzeć  
 Na półksiężycę, co tu z czoła świątyń  
 Zepchnęły krzyże.

**Mocetto.**

To też mistrzu, trzeba  
 Wrócić co prędzej. Sława i znaczenie  
 W ojczyźnie tylko mile. Bołą laury,  
 Gdy je na czoło mistrza lub rycerza  
 Nie ręka ziomeków kładzie. Między nami  
 Lepiej ci będzie, i ten piękny wieniec,



Który was obu z bratem Janem czeka,  
Wdzięczna Wenecya spleta już oddawna.

**Bellini** (*ścisnąwszy jego rękę*).

Miłoś się nazwać synem takiej matki,  
Do której serca z trzech potężnych źródeł  
Spływa to życie, którym dziś oddycha.  
Mądrość jój władców, daje jój przewagę,  
Handel bogactwo; a te obie siły  
Z łona jój jeszcze wywołały sztukę,  
Co jest koroną bogactw i potęgi.  
Da Bóg, że źródła te pierwszeństwa długo  
Bie dla nas będą. Głos nasz w radzie królów  
Nie straci mocy; flaga nasza z krańców  
Ziemi pozwozi złoto na laguny;  
A zastęp mistrzów te tryumfy nasze  
Utkwi na płótnie, i ku podziwieniu  
Potomków poda.—Powiedz mi, Mocetto!  
Którzyż tam teraz przed innymi słyną?

**Mocetto.**

Mistrz Jan jest zawsze pierwszym. Dotąd jeszcze  
Zdobi dziełami swęj cudownęj sztuki  
Salę najwyższęj rady. Na przeciwnęj  
Ścianie, gdzie twoje dzieła z podziwieniem  
Wielbi Wenecya, kończy właśnie obraz,  
Na którym papież Alexander, Cesarz  
I Doża ścisłem łączą się przymierzem.  
Tych trzech potężnych władców w bramach Rzymu  
Spotyka świetny orszak kardynałów,  
I lud tłumami ciśnie się wokoło.  
Osiem szlandarów różnokolorowych  
I osiem srebrnych trąb oddaje papież  
Doży, a dalej widać Rzym, i z jego  
Okien radości znaki powiewają.  
Wielkie to dzieło, mistrzu! wszystko żyje,  
I tylko głosu braknie tym postaciom.

**Bellini.**

Janowi słusznie chwala ta należy.  
On nas nauczył twarze brać z natury.  
I tak jak w życiu czucie, myśl i czynność  
Daje każdemu inny ruch i miejsce,  
Tak na obrazie życie to malować.  
A cóż Squarcione robi? To mistrz biegły,  
Wielki rysownik.

**Mocetto.**

Przestał już malować.

W podróżach swoich przerysował wszystko,  
Cokolwiek warte było jego ręki;  
Z Grecyi pozwoził torsy i posagi,  
I na tych wzorach uczy swoich uczniów.  
Dziś stu trzydziestu siedmiu ma w swój szkole.

**Bellini.**

Dobra to będzie szkoła. Fundamentem  
Sztuki rysunek. Farba nie pomoże,  
Gdy ręka nie śmie i nie może skreślić  
Od razu tego, co pojęła głowa.  
A Ludwik Vivarini?—To rodzina  
Zdolnych malarzy. Ludwik na ich czele  
Najpierwszy przejął sposób nasz olejny.

**Mocetto.**

I płótno także, któreś ty wprowadził  
Na miejscu drzewa. Vivarini razem  
Z Janem maluje salę wielkiej rady.

**Bellini.** *(z uśmiechem).*

A cóż Carpacio?

**Mocetto.**

Zawsze jednakowy.

Zazdrośnóm okiem patrzy na każdego,  
Kto wyżej staje. Gani to, co wszyscy  
Chwala, i wszelki poklask i cześć każda,  
Jaką szczególniej brat twój Jan odbiera,  
Boleśnie w sercu jego się rozlega.

**Bellini.**

Biedny! tą żółcią zabił swe zdolności.

**Mocetto.**

Zrobił on teraz obraz Simeona  
W świątyni Pańskiej przy obrzędzie świętym.  
Lecz arcykapłan ma dwóch pomocników,  
Którzy mu służą w kardynalskich sukniach.

**Bellini** *(ruszając ramionami).*

Zawsze coś nie tak, jakby należało.  
Chociaż w postaciach pewnie pełno życia,  
I ruchy wierne.

**Mocetto.**

Prawda, ale ciała  
Jak gdyby z wosku; kropli krwi w nich nie ma.

**Bellini.**

A Antonello?—czy się zawsze gniewa  
Na brata Jana, że podejściem poznał  
Sekret, jak olej miesza się z farbami.

**Mocetto.**

Mistrz Jan uwiecznił pędzlem to zdarzenie,  
Które rozniosło między malarzami  
Van-Eycka piękny wynalazek. Zrobił  
Obraz, na którym siedzi Antonello  
I miesza farby; a mistrz Jan przebrany  
W bogate suknie, jak patrycyusz młody,  
Przychodzi prosić go o portret. Obraz  
Cudny. Obiedwie twarze jakby żywe;  
A w oczach Jana taka jest ciekawość,  
Tak bystro patrzą na robotę mistrza,  
Ze łatwo zgadnąć w jakim celu przyszedł.  
To malowidło Jan mu podarował,  
I tak podali sobie ręce.

**Bellini** (*z ukotentowaniem*).

- To mi

Zgoda szlachetna, godna takich ludzi.  
Więc wynalazek już się upowszechnił?

**Mocetto.**

Wszyscy dziś prawie sposób ten przejęli.  
Ale szczególnież dwóch jest młodych mistrzów,  
Co na paletrze swój znajdują takie  
Tony i barwy, jakich nikt nie znalazł.  
A osobliwie jeden...

**Bellini.**

Wiem, Mocetto!

I ja ci powiem który. To Tyciano,  
To ów młodzieniec z orlim wzrokiem, co się  
Z całą naturą dziwnie porozumiał.  
To będzie mistrz nad mistrze. I jeżeli  
Szkola wenecka ma mieć wiek swój złoty,  
Będzie go miała przy nim i przez niego.

*(po chwili i powstawszy).*

Przy jego chwale zgaśnie nasza chwala,  
I wszystko, cośmy dotąd wykonali,  
Nazwą początkiem i kolebką sztuki,  
A jego prace będą jój koroną.

**Mocetto** (*powstawszy*).

O! mistrzu! znamy skromność twą oddawna.  
Każdy w twój myśli lepszym jest od ciebie.  
A jednak dzieła twoje w sali rady  
Mówią inaczej; a i tu postrzegam  
Piękne świadectwo dziwnej twojej sztuki.

(*staje przed obrazem, który Bellini podsuwa do światła*).

**Bellini.**

Tylko com skończył. Jeszcze tu i owdzie  
Dotknę, jak wyschnie, i odwykną oczy  
Od tych form, w których błędów już nie widzą.

**Mocetto** (*kierując głową*).

Ile tu myśli w mądrym tym układzie!  
Świętością błyska czoło to grożące,  
A usta, które śmierć zamknęła, jeszcze  
Zdają się mówić prawdę. Jakie światło  
Pada na plecy sztucznie obnażone!  
Nie mistrzu, choćbyś spojrział za lat dziesięć,  
Nie znajdziesz błędów, których dziś nie widzisz.

(*przechodzi do drugiej sztalugi, Bellini z uśmiechem za nim*).

A to zapewne portret. Tak, niedawno  
Widziałem piękny medal, który u nas  
Z rysunku twego, mistrzu, wyciśnięto.  
Na jednej stronie lice Mahometa,  
A z drugiej trzy korony, które zdobył.  
To twarz ta sama, żywa i mówiąca.  
Pewnie podobny.

**Bellini.**

Tak tu mówią. Chociaż  
Turcy niechętnie patrzą, bo ich zakon  
Przeciwny sztuce; ale co monarcha  
Chwali, to chwala. A Mahomet kontent  
I łaską swoją ciągle mię obdarza.

**Mocetto.**

Dziwnyż to człowiek! Całe chrześcijaństwo  
Ze drzeniem mówi o nim. W dniach niewielu  
Konstantynopol padł pod jego mieczem;  
Trebizond bramy swoje mu otworzył;  
Szybko jak pożar, schłonał resztę państwa  
Wschodnich cesarzów i na wielkich gruzach  
Groźną potęgę swoją ufundował.  
Strach nie ustaje u nas, i Mahomet  
Jak potwór jaki myśli się przedstawia.  
Tymczasem twarz ta dumna, ale piękna;

W oczach tli ogień, ale okrucieństwa  
Nie ma w nich weale; a na ustach uśmiech,  
Jak gdyby dobroć serca go natchnęła.

**Bellini.**

Bo téż on straszny tylko z mieczem w rękę.  
Póki zdobywał, był okrutnym. Skoro  
Zasiadł spokojnie na zdobytym tronie,  
Surowym tylko stał się dla swych rządców.  
A choć doraźną czyni sprawiedliwość,  
I tu i owdzie spadnie jaka głowa,  
Umie i goić rany, które zadał.  
Łaski się leją z jego szcudrej ręki;  
Konstantynopol podniósł i ozdobił;  
Pokochał sztukę; i choć Alkoranu  
Przesąd zabrania czcić, co jest najwyższém  
W ludzkiej naturze, on sam oświecony,  
Szczałki greckiego gieniuszu zbiera,  
I niemi zdobi swe mieszkanie. Czasem  
Każe mnie wołać, chwali się zdobyczą,  
Jaką mu zwożą, i o zdanie pyta.  
Czasem rozmawia o przedmiotach, które  
Mistrzowie nasi z dziejów świętych biorą.  
Rad wszystko wiedzieć, nawet księgi stare,  
Macedońskiego bohatera dzieje,  
I rzymskie sprawy czytać sobie każe.  
Pod jego okiem ziomek nasz z Vincenzy,  
Angiolello pisze jego życie  
I sąd i mądrość jego słów podziwia.

*(słuchać głosy za sceną).*

Lecz co to? Marko! obacz.

**Marko**

*(podnosi zasłonę, odchyła drzwi i cofając się z przestrachem mówi).*

Mistrzu! Sultan!

**Bellini** *(zmiészany).*

Łaska to niespodziana, aż przeraża.  
Stój tu Mocetto skromnie i w milczeniu.

*(Zasłona się podnosi, drzwi otwierają się na rozcież, wchodzi świetny orszak i szykuje się z lewej strony, potem wchodzi czterech murzynów, a jeden z nich z dobytym mieczem, którzy stają z prawej; nakoniec pokazuje się Mahomet).*

**Mahomet**

*(zbliża się szybko, z uśmiechem patrzy na Belliniego, bystrém okiem mierzy Mocetta i staje przed swym portretem. Po chwili mówi)*

Już więc skończony?

**Bellini** (z pokorą).

Najjaśniejszy panie!  
Na ile stało sztukę, jaką władam,  
Wypracowany i skończony.

**Mahomet.**

Dobrze

Mistrzu! i wiernie. Widzę tu sam siebie.  
Jeżeli kiedy potomkowie moi  
Zechcą obaczyć, jakim był ich przodek,  
Którego ręka dała im potęgę,  
Znajdą mię żywym na twém piękném płótnie.  
Dlatego lubię sztukę, że nie ginie.  
Odgłos zwycięstwa miją; na swe łono  
Prorok przyzywa tego, co orężem  
Rozniósł po świecie jego wielkie imię;  
A malowidło trwa, a marmur żyje,  
I zmarłe czyny opowiada wiekom.  
Przesąd nam wprawdzie wzbrania wizerunków;  
Lecz wierni wiedzą, że to, com ja uznał  
Za dobre, dobrem jest i prawem będzie.  
Kontent więc jestem mistrzu z twój biegłości,  
I z twego dzieła. A na znak mój łaski,  
Przyjm na pamiątkę, co mi w podarunku  
Rzeczpospolita wasza nadesłała.  
(Zdejmuje z siebie medal na złotym łańcuchu i wkłada go na szyję  
Belliniego).

**Bellini.**

O! Najjaśniejszy panie! daruj jeśli  
Słów mam zamało za dobroci tyle.

**Mahomet**

(przystępuje do drugiego obrazu; przypatruje się z uwagą i po  
niejakim czasie mówi).

A to jest ścięcie tego pustelnika,  
Którego pismo wasze zwie Chrzycielem.  
Kto zna te dzieje, obraz twój pochwali.  
Oko swobodnie wchodzi w głąb więzienia,  
I każdą postać i jej ruch pojmuje.  
Twarze tych ludzi mówią, tak są żywe.  
W postawie każdój, w nachyleniu, w rękach  
Uderza prawda i natura. Światła  
Jest tyle tylko, że rozwidnia wszystko,  
A na tym głównym punkcie tak zebrane,  
Że ściąga oko na to, na co chciałeś.  
(kładzie z uśmiechem rękę na ramieniu Belliniego).

Dziwna twa sztuka mistrzu! A jednakże  
W tak piękném dziele jeden jest błąd wielki.

**Bellini.**

Racz go ukazać, Najjaśniejszy panie!

**Mahomet.**

Szyja zadługa. Nie ma w niej natury:  
To kłoc, nie ciało. Takby wyglądała  
Gałąź topora ostrzem odrąbana,  
Ale nie szyja, gdy z niej spadła głowa.

*(ogląda się i daje znak Markowi, aby się zbliżył).*

Zbliż się i nachyl

*(Marko drząc przystępuje, przykłęka ze złożonemi na piersiach rękami i nachyla się ku niemu, on odgarnia jego włosy i ukazując Belliniemu mówi).*

Przypatrz się mistrzu!

Tu żyły idą w górę za uszami;  
Skórę rozciąga kość, dlatego szyja  
Grubsza przy głowie, niżli przy ramionach.  
Wcale jest nie tak, kiedy głowy nie ma.

*(Daje znak murzynom; ci przystępują).*

Odetnij.

*(dwaj murzyni trzymają Marka, ten, co miał miecz dobytej, odcina mu głowę, którą czwarty bierze i odkłada na bok; Mahomet mówi dalej spokojnie).*

Teraz przypatrz się naturze:

Jak się ten okrąg zmniejszył; jak się zbiegły  
Do kupy mięsa bolem pokurczone.  
Z innych miejsc także trysła krew, i cała  
Szyja daleko krótszą się zrobiła.

*(z uśmiechem).*

Bywaj zdrów mistrzu!... popraw jak tu widzisz,  
A dzieło twoje będzie doskonałem.

*(wychodzi, orszak za nim, murzyni składają Marka na ziemi i spieszą także).*

**Mocetto**

*(po niejakiem czasie patrząc z przerażeniem).*

Mistrzu! na Boga! powiedz, co to było?  
Aleś ty zdrętwał; w twarzy twojej nie ma  
Kropki krwi, coby życie objawiała.  
Bo téż to straszny widok. Serce stygnie,  
I mimowolnie oko się odwraca.  
O barbarzyniec! z jakim on pokojem  
Kazał zdjąć z karku tę niewinną głowę!  
Mówił tak pięknie, a nie wiedział o tém,  
Że to nie bydle, że to człowiek z duszą.  
W obliczu Boga równą jego własnej.  
O mistrzu! w jakież się dostałeś ręce!

**Bellini**

(przychodząc do siebie, zbliża się do leżącego Marka i zatając ręce, mówi).

Biedny mój Marko! Niedaremnie chciałeś  
 Uciec ztąd ze mną. Anioł twój ci szeptał,  
 Że droga twoja krótka na tej ziemi.  
 Niedawnom trzymał rękę na twój głowie  
 I błogosławił twój pobożnej chęci;  
 Echo dziecinnych wspomnień cię wołało  
 Na łono wiary i do stóp ołtarza.  
 A teraz głowa twoja oddzielona,  
 Leży bez myśli, jak naczynie z gliny,  
 A w twojém sercu cicho, jak w mogile!  
 I to się stało przy mnie i przezemnie?  
 Wybacz! ja płaczę, i te łzy niech będą  
 Chrztem dla twój duszy, co cię złączy z matką.

(poglądu na swój obraz i odwraca się).

Precz z tym obrazem Patrę nań ze zgrozą!  
 Chciałbym zapomnieć, że to moje dzieło,  
 Ale daremnie z oczu je usunę,  
 Po wielu latach chwila ta straszliwa  
 Stanie w pamięci, i ta szyja, z której  
 Żywa krew tryśnie, ze snu mię obudzi.

(bierze za rękę Mocetta).

Mocetto! pójdźmy. Do Włoch, do ojczyzny,  
 Chęć, jak rozpięty żagiel, mię unosi.  
 Skoro przybędę, wprzódę niż do ojca,  
 Wprzód nim do brata, pójdę do kościoła,  
 I padnę na twarz płacząc i dziękując,  
 Żem chrześcianin. Z krzyża tylko bije  
 Na twarze bliźnich światło, co w nich każe  
 Uznawać braci. Mądrość i nauka,  
 Odwaga w boju, rozum w radzie, biegłość  
 W kierunku władzy, sprawiedliwość nawet,  
 Bez tego światła dziką są ciemnością.  
 Na czyjś piersi nie legł krzyż zshawienia,  
 I z niego miłość w serce nie spłynęła,  
 Może być wielkim—lecz człowiekiem nie jest.

(odchodzi).





# KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

## WYSTAWA POWSZECHNA.

### IX.

Wystawa przemysłowa: Wiadomości ogólne.—Lampy i świece.—Konserwy.—Wystawa sztuk pięknych: Cornelius.—Wilhelm i Fryderyk Kaulbach.—Hübner.—Knauss.—Malarze belgijscy.—Malarze hiszpańscy.—Wiadomości literackie.

Pierwszego grudnia zakończyła się wystawa powszechna. Dziś już tylko resztki przedmiotów, które błyszczały na uniwersalnym popisie wyjeżdżają wszystkimi bramami pałacu na wszystkie strony świata. Jest pora zastanowić się i obrachować: czy ten bazar pracy ludzkiej, dając sposobność do porównania sił, środków, rozwoju umysłowego i przemysłowego krajów, które w nim udział wzięły, może mieć na postęp produkcji wpływ tak wielki, jak go sobie obiecywano. Czas to pokaże, a ekonomiści i statystycy sformułują. Tymczasem już jest widocznym, że wystawa produktów rolniczych, przemysłowych i handlowych większej połowy świata, nie jest interesem samej tylko ciekawości, lub celem otrzymania nagrody. Dla tych, co by tak sądzili, nie pozostało z wystawy innego śladu prócz czterech murów, wspaniałego pałacu, który ją obejmował. Innym, co głębiej rzeczy biorą, wystawa posłużyła do wyświecenia: gdzie i jakich, naturalnych lub przerobionych należy szukać produktów; a skążówka ta jest wielkiej wagi dla ruchu handlowego i wymiany między-narodowej; innym nakoniec posłużyła ona do rozpowszechnienia nowych sposobów produkcji, które bez pokazania się na

tym świeczniku byłyby pożytkowały tylko okolice, w których się zrodziły. W szczególności zaś kraj, który to wielkie przedsięwzięcie doprowadził do skutku, miał zadowolenie widzieć, że nie upadły gałęzie przemysłu w których dotąd celował, że podniosły się nowe, i że te nawet, których wprowadzeniu lub postępowi stał na zawadzie brak produktów surowych, przy łatwiejszej wymianie z pożytkiem uprawiać się dadzą.

Tych z czytelników naszych, którychby encyklopedia wystawy bliżej obchodziła, odsyłamy do dzieła pana Tresca, pod tytułem: *Wizyta na wystawę powszechną w Paryżu r. 1855*, drukowana w piśmie zbiorowém pod napisem: *Biblioteka kolei żelaznych*. Dzieło to napisane przez ludzi specjalnych pod dyrekcją pana Treski, ocenia należycie przemysł francuzki, a porównywając go z bliżnim przemysłem innych narodów, dopełnia sprawozdanie, i mimo szczupłego zarysu czyni je godnym wystawy powszechnéj.

My, nie mogąc traktować wielu ważnych przedmiotów, których w zwykłym sprawozdaniu wyczerpać niepodobna, musimy poprzestać na dorzuceniu do poprzednich kartek jeszcze kilku ogólnych wiadomości.

Francya nie ma wełny długo-włoséj; wełny takiej dostarcza jéj Algierya.

Guano sprowadzane z Peru, zastępuje korzystnie nawozem rybim, i fosforkiem wapna, którego wielkie pokłady znajdują się w północnéj Francyi.

Między maszynami rolniczemi, Anglia zajmuje najpiérwsze miejsce, które zawdzięcza swéj racjonalnéj kulturze.

Maszyny do przedzenia bawełny także Anglii zapewniają pierwszeństwo. Warsztaty używane do przedzenia lnu, Francya sama sobie dostarcza, a próby przedzenia jedwabiu, najprzód w tym kraju podjęte, dziś już wiele obiecują. Materye gładkie dotąd lepiej robią Anglicy; za to w materyach deseniowych pierwszeństwo niezaprzeczone jest przy Francuzach.

Kraje w których opał jest drogi, starają się zużytkować proch węglany, który marnieje i zawadza w kopalniach, robiąc z niego masę równie dobrą do opału, jak sam węgiel. We Francyi używają z wielką oszczędnością torfu prasowanego, suszonego lub zwęglonego.

Austrya sama wyrabia na wielką skalę zapalki chemiczne bez siarki.

Niemcy i Anglia trzymają podziśdzień berło chemii umiętnęj; Francya stoi na czele chemii przemysłowej: najlepsze farby ona produkuje.

Anglicy, Francuzi i Niemcy równie dobrze używają surowcu; w siodlarstwie Francya dobiega już Anglii; obuwie z cielęcej skóry wyrabia najlepsze; rękawiczek z jagnięcej skóry wysła na zewnątrz za 33 do 35 milionów rocznie.

Anglicy wyrabiają najlepszy papier, a jednak materiał sprowadzają z zagranicy. Prawda, że konsumpcya papieru w Anglii jest największa: przypada bowiem przeszło cztery funty rocznie na każdego mieszkańca, gdy tymczasem we Francyi dwa funty wystarczają.

W konstrukcyach cywilnych to jest charakterystyczném, że Anglicy przygotowują kwestye, Francuzi je zgłębiają, mając sobie podane już gotowe rezultaty doświadczenia. Francuzkie budowy są więcéj monumentalne, trwalsze, ale mniej na czasie; dlatego mniej jest budynków użytecznych, a więcéj pomników. Wszakże we Francyi wprowadzono do budowy żelazo w formie T: pomysł był tak szczęśliwy, że w przeciągu kilku lat ostatnich żaden budynek nie stanął, któryby z wielką oszczędnością nie używał żelaza zamiast ciesiołki, a w części zamiast mularskiej roboty. Świeższa forma **II** (podwójne T) rozpowszechnia jeszcze bardziej żelazo: najszczelniejsze spojenie między tałami posadzki, wiązania dachowe, podłogi, mosty, tunele, przy téj formie blachy z niesłychaną łatwością i pośpiechem się budują. Blacha w formie jest dziś pierwszym elementem konstrukcyj cywilnych i rządowych, wprowadzono ją nawet do budowy gotyckiej.

Widoczném jest na wystawie, że umysły wytężają się na wynalezienie ekonomicznych sposobów budowania. Pan Coignet robi beton z szabru, tłustej gliny i wapna, za pomocą skrzyń układa go w bloki, i buduje zeń mury i sklepienia o dwa razy tańsze od zwyczajnych, a równie trwałe. Inny beton tegoż fabrykanta złożony z krzemionki, piasku, wypalanej gliny, popiołu, węgla i wapna hydraulicznego, używany jest do ozdób architektonicznych, w kształcie łuków zastępuje ciesiołkę, na której gonty lub dachówka spoczywają. Ten beton kosztuje ośm razy mniej od ciosu.

Pan Borie wystawił *cegły wydrążone*, trwalsze od zwyczajnych, bo jako puste, mogą być lepiej wypalane i są daleko

lżejsze, a oprócz tego tańsze. W domach, które się od roku budują, belkowanie podłóg jest żelazne, a przestrzeń między belkami wypełnia się cegłami wydrążonemi: ztąd bezpieczeństwo od ognia zupełne. Lekkie ściany między-pokojowe są robione z tych cegieł. Podobnym sposobem wyrabiają tu od lat wielu rury do kominów, wentyllacyi, do ścieków nieczystości kuchennych i innych. Cegły wydrążone i kamienie sztuczne robią także z gipsu.

Wielu garncarzy wystawiło probki cymentów angielskich, które najdoskonalej naśladowują różne rodzaje marmuru i tanie a ozdobnie mogą służyć do tynkowania domów.

Różnokolorowe asfalty pozwalają mozaikować place publiczne lub podwórza i sienie, bez wielkiego kosztu.

Przez nastrykiwanie drzewa siarczanem miedzi, przez pociąganie kamienia sokami żywicznymi i nasycanie jego por krzemionką potażu, można drzewo ustrzedz od butwienia, a kamień od zmiennych wpływów atmosfery.

Wyroby stolarskie i tokarskie tanieją bardzo szybko od czasu, jak piła poruszana parą, wrzyna się z niesłychaną łatwością w żywiec najtwardszego dębu, a piła cienka jak niteczka, wykrawa najdelikatniejsze esy i floresy tak szybko, że myśl robotnika, który je komponuje, ledwie jęj nastarczyć może.

Do pokrywania dachów używają blachy żelaznej fałdowanej jak dawne dachówki. Na pokrycia tymczasowe wozowni, składów i t. d. używają płótna pociągniętego żywicą na zimno.

Prusy, Austria, Francya wyścigają się w zastosowaniu cyny, cynku, ołowiu i miedzi do ozdoby budowli wewnątrz i zewnątrz, do robienia lamperyi, ram, lamowań, statuetek: słowem do wszystkiego, co dawniej kute z kruszcu lub kamienia było tylko dziełem sztuki, a dziś jest przedmiotem najczynniejszego handlu.

Wszystkie te wynalazki lub zastosowania prowadzą do nowego stylu architektury. Grecy i Rzymianie budowali z kamienia i drzewa; naśladowanie proporcji od nich pożyczanych ustać musi koniecznie, skoro zamiast drzewa wchodzi do budowli żelazo, które będąc kilkanaście razy wytrzymalszém, pozwala w tym stosunku zredukować rozmiary. Mieszkania zyskają na przestrzeni i lepszém oświetleniu, a lubownicy odmiany ujrzą coś nowego.

Hutnicze wyroby, jak łamane osie, koła i t. p. do kolei żelaznych, stalowe blachy, wyroby ze stali lanéj, jedynie jeszcze dlatego najlepiej są robione w Anglii, że kraj ten posiada olbrzymie walcownie i ogromne w téj gałęzi przemysłu doświadczenie.

— Wszystkie sposoby oświetlania były na wystawie obficie przedstawiane.

- 1) Oświetlanie *lampami*, za pomocą cieczy tłustych;
- 2) — — — *stearyną*, czyli za pomocą stałych tłustości;
- 3) — — — za pomocą *gazu*;
- 4) — — — za pomocą *wodo-węglanu ciekłego*, czyli tłustości mineralnych i roślinnych;
- 5) — — — *elektryczne*.

Pierwszy sposób oświetlania postąpił mianowicie od czasu, kiedy Argand wymyślił kominek szklany i knoty koliste. Rezerwoar oliwy wyżej położony od płomienia miał atoli tę niedogodność, że rzucał cień, przez co nie dawał jednostajnego światła; cień odpowiedni był wielkości rezerwoaru.

Potrzeba było utrzymać powierzchnię oliwy na wysokości stałej, a zarazem wypadło umieścić rezerwoar u spodu lampy i podnieść oliwę aż do knota. Zegarmistrz Carcel rozwiązał zadanie: za pomocą przyrządu zegarowego, który pcha pompę tłoczącą, tłok pompy wypycha oliwę aż do knota.

Później zamiast jednej poczęto używać dwóch pomp, przez co przyływ oliwy do knota jest regularniejszy. Lampy tego rodzaju mają mechanizm delikatny i drogo kosztują. Po wielorakich probach zastąpiono je lampami z *moderatore*m, w których nie ma aparatu zegarowego: sprężyna zniża tłok: ten przez ciśnienie podnosi oliwę w rurce, której jeden koniec nurza się w rezerwoarze: tłok jest ze skóry, sprężyna ma formę wężykową i jest przytwierdzoną do tłoka. Sprężyna nakręcona za pomocą klucza, rozpręża się i popycha tłok, który przez parcie zmusza oliwę do podnoszenia się w rurce.

Ponieważ sprężyna im bardziej jest rozprężoną, tém mniej ciśnienie na oliwę, która właśnie wtedy coraz to mocniejszego parcia potrzebuje, bo coraz wyżej wznosić się musi: dlatego wewnątrz kanału, którym olej się wznosi, umieszczony jest pręcik metalowy, przytwierdzony jednym końcem do tłoka, a który dlatego razem z tłokiem się porusza. Kiedy sprężyna jest świeżo nakręcona, pręcik wypełnia rurkę prawie w całej wy-

sokości; w miarę jak tłok się zniża, zniża się i pręcik i rurkę coraz mocniej zatyka, przez co wznoszenie się oliwy w większej ilości jest coraz łatwiejsze. Pręcik nazywają *moderatore*m. Ten rodzaj lampy zastąpił dziś wszystkie inne. Regularność chodu, łatwość roboty, oraz niska cena, zalecają ją szczególnie.

Dzięki postępowi chemii, świece woskowe już tylko do służby kościelnej są używane. Niewiele czasu upłynie, a świece stearynowe sprzedawać się będą po tej cenie, jak dzisiaj łójki. Potrzeba nam przypomnieć różnicę tych dwóch gatunków świec, aby ocenić należyście ile prób i odkryć porobili chemicy zanim doszli do tego rezultatu.

Stearyna różni się od łoju swoją konsystencją: jest mniej topliwą od niego, z kąd wypada, że nie rozlewa się tak jak łój, że nie płami tak jak inne tłustości. Wszakże stearyna jest tą samą tłustością, z wyjątkiem, że zmieniono jej konsystencją fizyczną: części *ciekłe* tłustości oddzielono od części *stałych*, których stopień topienia jest daleko wyższy.

Knot świecy stearynowej nie potrzebuje być ucinany, jest on spleciony z trzech bawełnianych sznureczków z których każdy kręcony w odwrotnym kierunku. W miarę jak świeca się pali, skręcenie ustaje; skutkiem większego prężenia jednej nici knot pochyła się tak, że jego koniec wchodzi w część zewnętrzną (białą) płomienia; tam przez zetknięcie się z powietrzem, węgiel formowany przez knot pali się i zamienia w popiół, a ta okoliczność uwalnia od przycinania go, czyli objaśniania świecy. Sposób ten nie da się zastosować do świecy łojuwej, bo pochylanie knota stopiłoby ją prędko.

Ale najważniejszą rzeczą jest przemiana łoju na ciało suche i nietopne. Kilka uwag z praktycznej chemii wyjaśnia, w jaki sposób otrzymuje się ten fabrykat.

Bez wyjątku wszystkie ciała tłuste, pochodzenia roślinnego czy zwierzęcego, składają się z materii płynnej i stałej. Według tego, która z tych części przemaga, mieszanina jest miękka jak łój, pół-ciekła jak masło, lub ciekła jak oliwa. Brannonot, znakomity chemik, piérwszy powziął tę myśl i udowodnił ją bardzo prostém doświadczeniem. Za pomocą mocnej prasy ścisnął łój barani między dwiema tekturami, i otrzymał dwa produkta: jeden stale płynny przy zwykłej temperaturze, drugi zawsze stały. Powtarzając tę operacyę na oliwie zamrożonej poprzednio, dochodzi się do tegoż samego rezultatu. Część

płynna, która wchodzi w skład prawie wszystkich tłustości, dostała nazwę *oleiny*, część stała *stearyny*. Inny jeszcze produkt stały, który tę samą gra rolę co stearyna, i obok niej napotyka się w wielu tłustościach, nazwano *margaryną*.

Ażeby to spostrzeżenie zastosować w przemyśle, i świecę łożową pozbawić niedogodnego płynu, Braconnot nie podał praktycznego sposobu. Inny dopiero chemik, pan Chevreul dał sposoby łatwego i niekosztownego oddzielania stearyny od oleiny, za pomocą alkaliu, jak potaż i soda. Pan Chevreul dowiódł, że stearynę, oleinę, margarynę i im podobne produkty, można uważać jako rodzaj soli organicznej, zawierającej *zasadę* zawsze jedną, którą jest *gliceryna* w związku z jakim kwasem tłuszczym: na przykład z kwasem stearynowym dla stearyny, lub kwasem olejowym dla oleiny. Stearyna jest więc stearynkiem gliceryny, oleina, olejkiem gliceryny. Łatwo się przekonać warząc np. stearynę ze sodą kaustyczną, że nastąpi rozkład stearyny: gliceryna oswoobodzona roztopi się w wodzie, a kwas stearynowy kombinując się z sodą, uformuje stearynek-sody, który się oddzieli od płynu.

Operacja zasadzająca się na rozkładaniu tłustości za pomocą alkaliu była już dobrze znaną w przemyśle przy fabrykacji mydła: wszakże dopiero poszukiwania pana Chevreul odsłoniły skład chemiczny mydła, które chociaż od wieków było używane, nieznano jego natury ani sposobu formacji. W tym razie praktyka wyprzedziła o wiele teorię.

Skoro pokazało się, że można oddzielać kwas stearynowy, to jest pierwiastek stały łożu, wydawało się już łatwą rzeczą zastosować go w przemyśle. Ługując łój za pomocą alkaliu, jak potaż, soda albo wapno, i mydło ztąd pochodzące rozkładając jakim kwasem mineralnym, można wyswoobodzić kwas stearynowy i olejowy, to jest oddzielić część stałą łożu od części ciekłej. Z części stałej robią się świece stearynowe. Taki jest początek nowego przemysłu.

Na nieszczęście, to, co jest najoczywistniej dowiedzione *à priori*, jest jeszcze bardzo dalekiem od praktycznego zastosowania. Największe przymioty uczonego nie są rękojmią powodzenia w dziedzinie przemysłu. Dowodem, że sam Gay-Lussac fabrykując stearynę z panem Chevreul, zwątpił w końcu o jej praktycznym użyciu: używał bowiem alkoholu do oczyszczenia stearyny.

Później Cambađeres podjął przedsięwzięcie i wiele nań wyłożył; porzucił je wszakże otrzymawszy świece żółte, tłuste w dotknięciu, słowem gorsze od łojowych. Ale jego proba nie była bezowocną: wprowadził najprzód knoty wydrażone, a później wymyślił knoty plecione z bawełny, takie, jakie dziś używają.

Dopiero w kilka lat później 1831 roku, znowu pan Milly zaczął zajmować się produkcją kwasów tłustych, i udało mu się. Fabrykę założył przy rogatce paryzkiej *de l'Etoile*, ztąd pierwiastkowa nazwa świec stearynowych we Francyi.

Pan Milly zamiast sody użył wapna do swojej fabrykacji, a ta jedna okoliczność dozwoliła mu zmniejszyć piętnaście razy cenę stearyny. Łój traktowany wapnem daje mydło wapienne, które rozłożone przez kwas siarczany, odosabia stearynę od oleiny, następnie mechaniczny rozdział tych dwóch materii skutecznia się za pomocą prasy, najprzód na zimno, potem na gorąco.

Ażeby wapno, którego drobna część zostawała w stearynie, gromadząc się podczas palenia świecy na knocie nie zatykało jego porów i nie niweczyło włoskowatości knota; pan Milly maczał knot w roztworze kwasu borowego. Podczas palenia się świecy, kwas borowy, którego powinowactwo chemiczne jest wielkie przy wysokiej temperaturze, łączy się z wapnem i popiołem knota, tworzy borek, który jest topliwy, (samo wapno nie topi się), wznosi się porami knota aż na jego wierzch, tworzy punkcik świetny, który opada dopiero przy skończeniu świecy. Każdy zauważał ten jaskrawy globek na knocie palącej się świecy stearynowej.

Widzimy więc, że świeca stearynowa jest wynikiem całego szeregu prac teoretycznych i praktycznych.

Wyrabianie świec między innemi trudnościami napotkało i tę, że stearyna przy laniu krystalizowała się w igielki, przez co materia nie była dość zbitą. Kwas arsenikowy w małej ilości zapobiegał krystalizacji, ale go rząd dla bezpieczeństwa używać zakazał. Ztąd nowa przerwa w produkcji. Odkryto później, że dodanie wosku do roztopionej stearyny także zapobiega krystalizacji. Ten środek był jeszcze zadrogi. Doświadczone nareszcie, że dostatecznym jest studzić stearynę dopóty, aż się zacznie ścinać, potem wstrząsając nią mocno, wlewać do roz-



grzanych form: przez wstrząśnienia, pedantyczny porządek krystalizacji niweczy się zupełnie.

Ażeby stearynę tanio sprzedawać, potrzeba jeszcze było znaleźć łatwy upust handlowy dla pozostałego oleju. Użyto go więc do roboty mydła.

Wszystkie powyżej wymienione odkrycia i ulepszenia sprawiły, że na wystawie paryzkiej 1839 roku, dziewięć już fabryk popisywało się ze swemi wyrobami; na wystawę powszechną ze samej Francji, trzydzieści fabryk nadeszło swoje produkty. Niemcy, a szczególnie Bawaryja, poukładały ze stearyny łuki tryumfalne, piramidy i kilkopiętrowe stogi.

O trzech innych rodzajach oświetlenia nie będziemy mówić, bo w nazbyt ścisłym związku pozostając z chemią i fizyką, wymagają specjalnego sprawozdawcy i specjalnych czytelników.

— Cała jedna klasa na wystawie obejmuje przyprawę i konserwacją pokarmów. Francya sama może rywalizować z Włochami co do piękności i dobroci ciast różnych, nie wyłączając zwyczajnego chleba i suchara. Tutaj najprzód zaczęto suszyć warzywa, aby je przechowywać. Dom handlowy Chollet et comp. posiada 7 ogromnych fabryk w różnych częściach Francji, z których jedne zasuszają kartolle, inne buraki, marchew, kapustę, groch i t. d. Admirał francuzki w urzędowym raporcie powiada, że od czasu jak te pokarmy wprowadzono na flotę, skorbut prawie zupełnie ustał. Oprócz konserwacji jarzyn, inna ich zaleta jest jeszcze ta, że ściśnione pod prasą hydrauliczną, bardzo mało zajmują miejsca: w furgonie można zmieścić jedną racyą dla 200,000 ludzi. Tenże dom handlowy przygotowuje także konserwy warzywne, gotując je poprzednio, potem je suszy; przed użyciem potrzebują tylko odgrzania.

Mięso przeznaczone na konserwy zamyka się szczelnie w pudełku z białej blachy, a pudełko to kładzie się do kotła wrzącej wody; po jakimś czasie wyjęte, przechowuje mięso zdrowe i świeże przez kilka miesięcy. Ale ten pokarm sprzykrzy się łatwo: dlatego myślą o innych sposobach konserwowania mięsa, ale te nie są jeszcze wyprobowane. Wszakże zadanie jest ważne, bo niezawsze i nie wszędzie można sobie sprokurować pokarmu mięsnego. Tymczasem już historia nas uczy, że bajeczne atlety starożytności, siłę swoją zawdzięczali ćwiczeniu i pokarmowi. Kogoby historia nie przekonała, tego przekona następujący wypadek:

W roku 1841 do roboty kolei żelaznej z Paryża do Rouen sprowadzono robotników z Anglii; ci razem pracując z Francuzami, robili od nich dwa razy więcej. Inżynierowie francuzcy zaczęli się zastanawiać nad tym fenomenem: dali robotnikom swym takie same narzędzia jakie mieli Anglicy, ale i to nie przyspieszyło roboty. Sprobowałszy naprózno rozmaitych sposobów, w końcu wpadli na myśl żywienia ich tak samo, i poczeli łożyć na rooast-beef. Po kilku tygodniach pokazało się, że robotnicy francuzcy prześcignęli swoich angielskich rywali. Doświadczenie powtórzono potem na więźniach w Riom i innych, a zawsze najwidoczniejszym skutkiem uwięzione było. Negr w Luzyannie jada cztery razy na dzień, z których dwa razy z mięsem: ztąd jego czarny kolega z Antyllów mniej dobrze żywiony, nie może wytrzymać z nim konkurencyi w ciężkiej pracy około bawelny.

## WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

### VIII.

Cornelius, Wilhelm i Fryderyk Kaulbach, Hübner, Knauss. Malarze belgijscy.  
Malarze hiszpańscy.

Szkoła niemiecka bardzo niekompletnie była reprezentowana na wystawie. Overbeck, jeden z najznakomitszych jej mistrzów nic nie nadesłał; również szkoła Duesseldorfska. Kartony Corneliusa i Kaulbacha same jedne mogły godnie stawić czoło arcydziełom francuzkim. Monumentalny sposób malowania *al fresco* od kilku lat niezmiernie się rozwinął w Niemczech, a mianowicie w Prusach.

Piotr Cornelius, podobnie jak ulubiony mistrz jego Michał Anioł, gardzi malowaniem olejnym, jako robotą wymyśloną dla zabawy kobiet lub próżniaków; cały zapas nauki, siły i natchnienia włożył we freski, których styl surowy i nieograniczone rozmiary uznał za jedynie godne pole dla swego pędzla. Nader rzadko się zdarza, żeby artysta doszedł za życia do takiej sławy, jak Cornelius; cały świat zna dzieła jego: Niemcy stawiają mu przed śmiercią pomniki, jak Anglicy Wellingtonowi; najslawniejsi pisarze w ojczyźnie wybijają mu pokłony w swych dziełach;

ogromna szkoła naśladuje go i wielbi jak Boga; król pruski ceni go i osłania swą monarszą opieką, jak Karol V-ty Tyciana, lub Leon X-ty Rafaela.

Cornelius daleko wcześniej niż malarze francuzcy zerwał z tradycją klasyków XVIII-go wieku; bardzo młodo uczuł pragnienie czystych wzorów sztuki, i w tym celu jeszcze w 1825 roku udał się do Rzymu, gdzie w towarzystwie artystów niemieckich: Overbecka, Schnorra, Vogla, Hessa i innych, spędzał dni całe na studyowaniu wielkich mistrzów, a wieczory na długich rozprawach o estetyce. Ludwik książę bawarski słuchał ich rozpraw i podziwiał dzieła; później zaś z monarszą hojnością dostarczył adeptom nowój szkoły środków urzeczywistnienia wzniosłych teoryj. Pobudował im bazyliki, katedry, mnogie pałace i galerie: nieomal miasto całe wystawił, i dał im do malowania, dając zarazem godny genialnych artystów sposób rozwijania talentu bez marnowania go na nędzną pracę, mającą dostarczyć chleba powszedniego. Piękne musiało być życie tych ludzi, zwłaszcza wtedy, kiedy jeszcze każdy wierzył w swe posłannictwo, a wspólność celu nie dozwalała się odosabniać, nawet najwięcej zakochanym w sobie.

Żaden zapewne z nowoczesnych artystów, wznioślejszego ani surowszego nie nakreślił sobie ideału jak Cornelius; tak dalece, że go o przesadę w tym względzie obwinić można. Malarstwo, jakkolwiek szerokie otwiera pole myśli, nie może być wszakże abstrakcją: w umyśle rodzi się dzieło, ale ręka je wykonywa. Jeżeli ręka jest niezręczna, myśl tak wiele traci na wartości, że lepiej było ją wypisać zamiast odmalować.

Cornelius rysuje tylko szkice, które uczniowie jego przenoszą na mury; biorąc do ręki pędzel lub paletę, obawiałby się ubliżyć sobie. Otóż co nazywamy przesadą idealizmu! Michał Anioł najgłębszy myśliciel z grona malarzy, nie spuszczał się na nikogo, ani wyręczał w wykonaniu tych drobiazgów błahych na pozór, a ważnych rzeczywiście; nietylko sam malował, ale sam sobie robił pędzle, i sam farby rozcierał: bo w dziele sztuki oceniał znaczenie indywidualności. W *Sądzie ostatecznym*, albo na suficie kaplicy Sykstyńskiej, duch mistrza ożywia nietylko ludzkie postaci, ale każdy najdrobniejszy szczegół. Wcielił on się niejako w dzieło swoje, krew jego krąży w żyłach obrazu. Po rozpaczonym wyrazie niektórych twarzy, poznasz, że musiał być nieszczęśliwy dnia tego; po dumnej a swobodnej postawie

innych, zgadujesz, że odwaga do duszy mistrza powróciła. Patrząc na jego obraz widzi się samego Michała Anioła.

Najznakomitsze dzieło Corneliusa jest *Historya bogów i bohaterów*, fresk zdobiący ściany Glyptoteki w Monachium. Nadzwyczaj mądra kompozycja, głębokie poczucie filozofii historyi i sztuki, bogactwo symbolów, w podziwienie wtrącają widza; ale ten obraz działa tylko na umysł—entuzjazmu nie budzi wcale. Rzecz dziwna, dopiero straciwszy z oczu to wielkie dzieło, i rozbierając je w pamięci, a mianowicie opisując takowe, uderza nas, jak pod piórem ów obraz pięknieje, jak w opowiadaniu zajmujący jest, jak w końcu w słowach na olbrzyma urasta: i mimowolnie nasuwa się pytanie, czy nie właściwiejby było, żeby Cornelius zamiast ołówka, pióro wziął do ręki? Każdy program jego obrazu jest poematem, historyą, lub filozoficznym traktatem, któremu nie zarzucić nie można; rysunek jest dlań pismem hieroglificzném: raz wypisawszy myśl, o resztę nie pyta. Koloryt, jako zabawkę dzieciom, zostawia uczniom: ztąd pochodzi, że w dziełach jego znać tylko intencją malarza, jego myśl, nie jego sztukę; nie charakter, ale naukę. Efekt zaś ogólny nieskończenie jest niższy od idei.

Francuzi, którzy tak wielką wagę przywiązują do wykonania, którzy śledzą bacznie i gatunek farby, i dobór kolorów, i układ draperyi: z pewnym wstrętem przypatrywali się tym ogromnym szkicom, na których sztuka zdaje się unikać najmniejszej dla oka przyjemności, jakoby koncessyi dla gminu.

Kartony przysłane na wystawę są przeznaczone na freski, mające zdobić portyki cmentarza *Campo Santo*, budującego się obok katedry berlińskiej.

Treść ich wziął artysta z biblijnego poematu pełnego czarnych cieni i błyskawic, piekielnej grozy i tęczowych myśli sięgających aż do stóp Przedwiecznego: z *Apokalipsy* świętego Jana. Wybór przedmiotu nie wydaje nam się szczęśliwy. Pierwszą zaletą fresku, najsurowszego, a zarazem najprostszego sposobu malowania, jest jasność i zgodność z duchem swego czasu. Fresk przez to samo, że stanowi niejaką część architektury, że jest wystawiony prawie zawsze na widok publiczny, winien być zrozumiały dla każdego. Rafael ściśle trzymał się tej zasady: w sławnej *Dyskussyi świętego Sakramentu* dotknął i poruszył wszystkie naówczas żywotne kwestye; malując *Szkolę Ateńską* uwiecznił zapał, z jakim epoka odrodzenia ukochała bohaterów

i arcydzieła starożytności. Słowem, był zawsze w zgodzie z myślą swego wieku; i właśnie ta zgodność tworzenia, i ten dostrój pojęć jego z dążnością ogólną stanowią wieczną piękność i wieczną młodość Rafaela.

Wyjątki z Apokalipsy uplastycznione na murze przez pruskiego mistrza nie tylko nie odpowiadają powyższym warunkom, ale im są wprost przeciwne. Śmiało rzec można, że nie ma dwóch idei sprzeczniejszych jak duch XIX wieku z duchem Apokalipsy: chcieć tłumaczyć dzisiejszym ludziom tajemnice wizji Chrystusowego ucznia jest toż samo, co prawić ślepemu o kolorach. Nie wychodząc z zakresu sztuki monumentalnej, ani pojęć religijnych, można było wyszukać w Piśmie świętym daleko przystępniejszego przedmiotu, niż mistyczny poemat św. Jana, w którym każda religia przepowiednią swoich dziejów upatruje: Anglikanie krwawe wstrząśnienia swego kraju; protestanci niemieccy średniowieczne dzieje Niemiec; Hugonoci panowanie Karola IX i regencyą Katarzyny Medycejskiej; a każda z nich może mieć słusność. Po tej ogólnej uwadze wróćmy do kartonów Corneliusa.

Pierwsza kompozycja przedstawia siedmiu aniołów wylewających siedm puharów gniewu bożego na lądy, morza i powietrze. Szkoła Michała Anioła mocno przebija w tym obrazie.

Zniszczenie rodu ludzkiego przez czterech jeźdźców: *Zarazę, Głód, Wojnę i Śmierć*, jest treścią drugiego obrazu, najpiękniejszego z wystawionych kartonów Corneliusa. Dość powiedzieć, że straszną tę scenę oddał z apokaliptyczną zgrozą. Stary pierwiastek germański pochłonął tu wszelkie naśladowanie włoskie: w obrazie tym Cornelius jest prawdziwie oryginalny i potężny.

Pierwszy jeździec pędzi na białym koniu, w ubiorze podobnym do tego, w jaki tradycya odziewa dzicz wschodnią: rysy jego spłaszczone łamie uśmiech fatalny; napina zatrutą strzałę i pochyla się naprzód, jakby wietrzył ofiary, które wydał mu gniew Boży—to zaraza.

Drugi goniec na czarnym jedzie koniu: stary, łysy i okropnie wychudły, kościaną nogą nagli konia do biegu, a w rękę trzyma wagi: co znaczy, że chleb sprzedawany będzie na wagę złota. Ten zamorzony starzec—to głód.

Trzeci na płowym koniu, oburącz ogromny miecz ujawszy, rąbie nim na wszystkie strony. Z pod płaszcza, który wiatr unosi

z ramion rycerza, widać atletyczne jego kształty: najeżone włosy, usta zacięte, brwi zmarszczone, dają twarzy jego wyraz nienawiści, której nie przebłaga ani niemy ból mężki, ani płacz niewieści—to wojna.

Czwarty jeździec na siwym koniu bladą świeci twarzą, na której biega sarkastyczny uśmiech trupiiej głowy: w rękę trzyma kosę, na ramionach szkieletu wisi kawał całunu—to śmierć.

Ci czterej gońcy wpadają jak huragan na tłum ludzi, roztrącając go, łamiąc i gnąc w rozmaite pozy, wyrażające postrach, błaganie i rozpacz. Powietrze przcinają szybkim lotem niedoperze i fatalniejsze od Dantowskich szatanów larwy, któremi św. Jan apokaliptyczne zmroki załadnił. W tym przedmiocie fantazyja niemiecka jest mistrzynią: nikt jój nie zrówna w katalalkowej kombinacyi brzydoty, strachu, przesądu i żaloby.

Obok tej strasznej sceny, w trzech cichych grupach, które dziwnie od niej odbijają, uosobił artysta trzy uczynki chrześcijańskiego miłosierdzia: odwiedzenie więźniów, pocieszenie strapionego, wskazanie drogi błędzającemu.

Drugi obraz odpowiedni *Czterem posłannikom gniewu Bożego*, wyobraża dwóch archaniołów: jeden strąca w przepaść szatana, drugi pokazuje apostołowi *Nową Jerozolimę*; która w postaci niewiasty z wieżami na głowie, jak Cybela, spływa z góry w powłoczystej szacie, niesiona przez dwunastu aniołów na wybrzeża, gdzie zgromadzone tłumy ludu czekają jój z utęsknieniem.

Następny karton przedstawiający uczynki pobożne: nakarmić głodnych i napoić spragnionych, wydał nam się nadto podobny do starożytniej uczyty. Poboczny jest daleko lepszy: piękna niewiasta na pustelni otoczona dziećmi, uosabia słowa apostoła: „Szczęśliwi, którzy są głodni i spragnieni sprawiedliwości.“

W każdym z tych sześciu kartonów jest nadzwyczaj wiele imaginacyi i podniosłości myśli; ale są to raczej tezy filozoficzne, nie obrazy: wszystko co dotyczy rzeczywistości, systematycznie z nich usunięto, a umysł artysty widocznie sili się na pokazanie myśli czystej, wolnej od wszelkiego pierwiastku ziemskiego. Wylącznie w krainie abstrakcyi żyjący Cornelius, jest nieodrodnym synem marzycielki Germanii.

Dyrektor Akademii munichskiej, Wilhelm Kaulbach dał na wystawę ułamek ogromnej kompozycji, przedstawiającej *historję ludzkości*, która zdobi przedsionek i schody nowego Muzeum berlińskiego. Składa się ona z sześciu obrazów: *wieża Babel*, *Homer i Grecy*, *zniszczenie Jerozolimy*, *bitwa Hunnów*, *odzyskanie grobu świętego*, i *czasy nowożytne*. Wystawiony karton przedstawia tylko wieżę Babelską.

Widzimy potworną wieżycę z potrząskanym szczytem, który rozpada się dotknięty palcem Jehowy. Przestraszeni robotnicy, nie rozumiejąc już mowy swojej, pierzchają mimo zakazu dozorca, który ich siłą chce zmusić do pracy.

Pośród grona przelekłych dworzan i kobiet, otoczony długim rzędem swych bezsilnych bożyszczy, Ninus patrzy na tę scenę z pałacowego dachu: zżyma się, marszczy brwi, zgrzyta zębami, klnąc potęgę nieznanego Boga i niepojętą moc jego, która jednem cięciem obaliła ogromne dzieło tyłu wysień, zdmuchnęła owę niebotyczną budowę, mającą urągać się przyszłym potopom, a stała się kupą gruzów, które wkrótce piasek pustyni zasypie.

Poznawszy niemoc władcy, ludzka rodzina rozłamuje się na trzy karawany, uosabiające pokolenia Chama, Sema i Jafeta; i długim szlakiem ciągnie ku *przyszłości*.

Pokolenie Chama, które się naśmiewało z ojca swego, w rysach nosi szkaradę swój zbrodni: rodzicielskie przekleństwo przyłgnęło do jego czoła i zaczerpiło twarz na wieki. Szczep przeklęty, jakby pchany wstydem swego czynu, posuwa się zwolna, i idzie ukryć swą brzydotę i nierozum w tajemniczych zakątach Afryki.

Potomki Sema wiozą na wozie ciągnionym wołami swego patryarchę, otaczając go oznakami troskliwości i uszanowania: mężowie niosą pasterskie kije, niewiasty wrzeciona: dwa godła pierwotnego przemysłu. Matki uśmiechają się do dzieci, które na szerokim grzbiecie wołów siedząc wygodnie, jedzą winogrona. Za ludźmi idą liczne trzody owiec i bydła.

Pokolenie Jafeta wiezie nadobny młodzian na koniu. Artysta najpiękniejsze typy rasy ludzkiej zgromadził w tym szczepie, który po wielu wiekach miał całą Europę zaludnić. W rogu obrazu, z planem w ręku stoi budowniczy babiloński wieży, usiłując daremnie wymownym gestem zatrzymać rozchodzących się robotników.

Takie są główne zarysy tej olbrzymiej sceny, której pomysł i wykonanie przynosi zaszczyt Kaulbachowi, dowodząc w nim zarazem potężnej wyobraźni, głębokiego poczucia sztuki i biegłości wykonania: trzech przymiotów, które razem połączone stanowią dopiero prawdziwego artystę. Cornelius w wyższym stopniu od Kaulbacha posiada dwie pierwsze zalety, ale że zbywa mu zupełnie na ostatniej, dlatego dzieła jego, chociaż bardzo wzniosłe, nie tyle przemawiają do duszy.

Drugi karton Kaulbacha mniejszych rozmiarów, pod tytułem *Tradycya*, nader szczęśliwie pomyślany, przypomina autora niezrównanych ilustracyj *Reineke Fuchsa*. Na ruinach zamczyska siedzi stara niewiasta, uosobienie *podania*, i słucha, co jej szepczą do ucha dwa kruki Odyna: z których jeden ma wiedzę dobrego, drugi wiedzę złego. Wiedźma zapadły wzrok topi w przestrzeni, jakby nim chciała z pośrodku ziemi coś wydoستاć: roztargniona jej ręka bawi się z okruciami przeszłości. Przy niej leżą pordzewiałe zbroje, starożytne korony, i czaszki legiendowych bohaterów napół wygrzebane z ziemi. Za *tradycją* idzie *historja*, której ta pierwsze dyktowała rozdziały: postać jej wyniosłą i rozumną nakreślił artysta na wzór muzy starożytnej. W ślad za nią postępują dwaj starcy, pełni dostojęstwa i powagi: Mojżesz i Solon; pierwszy uosabia prawo boskie, drugi prawo ludzkie. Powyższy karton rozumny i piękny, jest także malowany al fresco na ścianach berlińskiego Muzeum.

Z pomiędzy malarzy rodzajowych, o ile mogliśmy sądzić z nadesłanych probek, najwyżej stoją: Fryderyk Kaulbach, Huebner i Knauss. Fryderyk Kaulbach bardzo znakomity malarz, chociaż nieco zaćmiony sławą brata, wystawił portret *Wilhelma Kaulbacha*. Prócz uderzającego podobieństwa, wizerunek Kaulbacha posiada rzadkie przymioty wykonania w takim stopniu, że jest jednym z najlepszych portretów na wystawie. Sławny artysta oddany jest *en face*: stoi przed rozpoczętym obrazem. W jednej ręce trzyma ołówki, w drugiej zapalone cygare: dodatek nieco dwuznacznego gustu, który atoli znika w obec tyłu przeważnych zalet portretu. Cała postawa, a mianowicie ruch głowy, dobrze jest obmyślona; twarz zupełnie jak żywa, oddana z uderzającą doskonałością.

Tegoż samego pędzla był jeszcze portret kobiety wśród ogrodu. Z twarzy i stroju znać, że to jakaś wielka dama: wy-



smukła i powiewna jak trzcina, blada, czarno-oka, z wyrazem godności na czole, a nudy czy tęsknoty w oczach, które patrzą jak przez gazowy obłok. Ciągnie za sobą czarne aksamity, i otulając starannie przepyszny szalem urocze ramiona, zagłębia się w zielone ulice parku, jakby mówiła: nie godniście podziwiać moich wdzięków.

*Pożegnanie rodzinnej wioski* bardzo rzewnie oddał pan Hübner. Biędna emigrująca do Ameryki niemiecka rodzina, zanim się puści w niepowrotną podróż przez zdradne fale oceanu, które ku nieznannej przyszłości ponieść ją mają, przychodzi na cmentarz pożegnać na zawsze groby, w których spoczywają szczęśliwsi od nich krewni i przyjaciele. Niestety! już nikt tych drogich grobów nie ubierze w kwiaty, nikt nie podniesie czarnego krzyża, co próchnieje prędko; gesta trawa wnet wyrówna wzgórek grobowy, a ojcowie, którzy pod nim leżą, już nie poczują sączących się przez ziemię gorących łez swych dzieci. Sędziwa niewiasta, zapewne matka odjeżdżającej rodziny, modli się klęcząc na mogile; przy niej dwie dorodne dziewczęta trzymając się za ręce płaczą rzewnie, a młodzieniec z workiem na plecach stoi przy krzyżu, i zakrywszy dłonią mężkie rysy, duma, pogrążony w kole smutnych myśli. Obok na murze leży rozwartą biblia, księga pociechy, którą tułacze czytać będą chciwie gdzieś w nieznanym kraju pod niską strzechą dymnej lepianki, zbudowanej własnymi rękoma pośród świeżo wyciętego lasu; a przypominając sobie rodzinną wioskę i ojcowską chatę, tęsknić będą za nią i płakać: bo wszystko co się tam przeżyło, sama nawet w niej doznana nędza, w słodkie przemieni się wspomnienie.

Badeńczyk Knauss weselszy wystawił obraz. Wśród dębowego lasu obozują cyganie. Biała, jasno-koścista szkapa, skazana na bezustanne ciągnięcie po świecie wędrujących kuglarzy, zmordowana całodziennym biegiem i wyprężona narreszcie, skubie trawę melancholicznie głowę zwiesiwszy. Młoda cyganka, w której oczach błyszczą wszystkie pokusy erebu, szczerbatym grzebieniem usiłuje rozczesać krucze włosy, co jej aż do stóp spadają; obok śpiącego młodzieńca nagie dzieciaki tarzają się po ziemi. Ani twarze, ani zajęcia koczującej rodziny nie zdradzają żadnych niegodziwych zamiarów: mimo to, chłopci, którzy zawsze z niedowierzaniem i trwogą patrzą na cyganów, posądzając ich o złodziejstwo i czary, sprowadzili miejscowe władze dla przejrzenia paszportów; a sami stoją opodal uzbrojeni w kije, które

za najmniejszą nieformalność gotowi są połamać na grzbiecie podróżnych.

Wójt tymczasem włożywszy okulary na nos, przegląda pomięte paszporta, podawane sobie przez starą czarownicę, która wymownie objaśnia niektóre wątpliwe wizy. Opodal oparty o drzewo w postawie świadczącej o nadzwyczajnym wylamaniu kości, stoi ogromny drab, filar całej trupy, w wypłowiałej sukmanie i czapce wypranej deszczem całego świata: u pasa jego wisi zając i kura, które z niechcenia zaślania przed okiem widzów, chcąc uniknąć natrętnych zapytań o pochodzeniu owych prowiantów, zapewne nie na targu nabytych.

Obok téj sceny odgrywanéj przez ludzi, drugą odgrywają zwierzęta: pies wójtowski naśladując pana, przybliża się do małpy siedzącej w ponsowym kubraczku, i z miną badawczą warczy, jakby jéj zapytywał o paszport. Małpa nie usposobiona do poddania się władzy zwierchności, wytrzeszcza oczy i zgrzyta zębami z wielkiem zgorszeniem cywilizowanego zwierza.

Obraz ten wzięty żywcem z natury, i wykonany umiejętnie, zdradza wielkie rozmiłowanie artysty w cyganach; na pewne ręczyć można, że się rozplakał, jeżeli mu modele do więzienia zabrali.

Peizażyści niemieccy biegli w kopiowaniu natury, grzeszą zbytniém ubieganiem się za tak zwaną malowniczością okolic, co nadaje ich dziełom przesadną a niemiłą jednostajność. Mianowicie téż pruscy malarze wyszukują swych wzorów tylko w Szwajcaryi, Norwegii i najgórzystych włoskich okolicach; mniemając, że widok natury przeniesiony na płótno, im więcej olbrzymich jest rozmiarów, tém mocniejsze winien czynić wrażenie. Wszakże rzecz dzieje się odwrotnie: widok gór niebotycznych, czarne przepaści sięgające gdzieś aż do głębi ziemi, ogromne głązy wyrzucone ogniem wulkanów, lub obnażone nurtami potopu, dziwnie karłowacieją na obrazie; ogromem swoim przygniatając pierwsze plany, nadają drzewom, ludziom i zwierzętom rozmiary dziecięcej zabawki. Alpy mogą niezawodnie dostarczyć artyście wzniosłych widoków, ale najprostsze prawo sztuki sprzeciwia się malowaniu ogólnego na nie poglądu, czyli robieniu ich portretów od stóp do głowy. Jedna jodła Bellela, jedna łąka Roussa, dlatego że oddanie jéj wdzięku nie przechodzi możności człowieka, ani nie rozsadza ciasnych roz-

miarów ramy, więcej przemawia do duszy, niż ten świat zamknięty w łupinie orzecha. Kto chce wyrazić zawiele, zwykle nic nie wyrazi.

Malarze belgijscy dzielą się na dwie kategorie: jedni mieszkają w Bruxelli, Antwerpii lub w Gandawie, i naśladują Steena, Van-der-Velda, Ommeganka, Ostada, Teniersa i t. d.; drudzy osiedleni w Paryżu idą za nowoczesną szkołą francuzką. Jedni i drudzy w tém są do siebie podobni, że mało studyują naturę: co tłumaczy brak oryginalności i brak życia, uderzający w obrazach belgijskich. Leys naprzykład wziął scenę z Fausta Goethego „przechadzka za miastem” i oddał bez duszy ten charakterystyczny ustęp, w który poeta wlał tyle koloru miejscowego i znajomości ludzi, chociaż malował nie pędzlem, ale prostemi słowy, które każdy rad sobie przypomni:

„Przez ciemne sklepienie miejskiej bramy cisną się różnobarwne tłumy; każdy chce dziś oglądać słońce. Obchodząc Zmartwychwstanie Pańskie, sami z martwych powstają, bo porzuciwszy nudną pracę powszednią, wymknąwszy się ze swych mieszkań niejasnych, z pod dachów i sufitów, które ich przygniatają, z wązkich i nieczystych ulic, z zamierzchłych kościołów, wszyscy są powróceni światłu”.

Monolog filozofa przerywa spacerujący mieszczanin, zwracając mowę do towarzysza: „Nie ma dla mnie przyjemiejszej rzeczy, jak w niedzielę lub święto rozmawiać o wojnach i rzeziach, kiedy tam gdzieś daleko w Turcyi, ludzie się zabijają. Wypiwszy kieliszek jeden i drugi, nagadawszy się do syta, wieczorem wraca człowiek do siebie błogosławiąc pokój, którego używamy. — Ja téż tak sędzę, jak wy kumie, — odpowiada drugi, — niech sobie tam łby rozbijają, i niech wszystko biorą kaci, abym ja był spokojny.“

Nie jestże to obrazek gotowy, który tak łatwo było oprawić w złote ramy? Ten tłum, który krąży, gestykułuje, raduje się słońcu; te rozsiane tu i owdzie mieszczańskie typy, które malują się same w rozmowach; te kwietne łąki rozesłane pod ich nogami, a w głębi starożytne miasto niemieckie z piętrzącemi się dachami, opasane murem, z wieżą gotycką we środku i tysiącem okien o drobnych szybkach, pałających jak brylanty przy zachodzącém słońcu. Jednak Leys, że nigdy nie studyował natury, nie zrozumiał wcale tego ustępu: płótno swoje zappełnił figurami wyjętymi żywcem z obrazów Dürera, których twarze złowrogie,

ciemne draperye i processjonalny pochód, raczej rzeź św. Bartłomieja, nie wiosenną przechadzkę przypominają.

Ten brak poczucia naturalnych piękności, a zastępowanie ich manieryzmem, jeszcze mocniej uderza w obrazach przedstawiających zwierzęta. *Owce i jagnięta* pana Vorboekheven malowane są w sposób tak sielankowy, że raczej w buduarze, nie w owczarni mieszkańcy powinny. Nie można przypuścić, żeby te pieszczone główki miały na pastwisku szukać pożywienia, żeby ta śnieżna i systematycznie fryzowana wełna kiedykolwiek otarła się o krzaki lub ciernie. Artysta tak daleko porządek posunął, że jego *śmiećisko* mogłoby być ozdobą serwantki lub gotowalni jakiej pięknej damy. Nie można opisać tych dwóch obrazów, bo nic podobnego nie istnieje w naturze, nie ma więc punktu porównania; ale jeżeli cierpliwe wypracowanie najmniejszego szczegółu jest ostatniem słowem sztuki: natenczas *owce i śmiećisko* pana Vorboekheven są arcydziełem.

Józef Stevens znakomity malarz zwierząt, jest wyjątkiem w przyjętej przez belgijskich artystów zasadzie. Stevens rozumiał, że prostota stanowi ozdobę każdego obrazu, w przedstawieniu zaś zwierząt jest najpierwszym warunkiem. Wystawione obrazy jego, których kompozycyją zajmowała się widocznie sama natura, mogą rywalizować z dziełami artystów angielskich, których nikt w malowaniu zwierząt nie prześcignął.

Najpierw wpada w oczy wyborny obrazek Stevensa *Wspomnienie ulic Bruxelli*, który na tej i dawniejszych wystawach paryzkich zjednał artyście liczne pochwały i medale. Pięciu psów zaprzężono do małego wózka na dwóch kołach; pomęczone psiska korzystając z wypoczynku, ugrupowały się rozmaicie: najsilniejszy dyszłowy stoi ze spuszczoną głową, dwa poboczne usiadły i dyszą wywiesiwszy języki, lejcowe pokładły się na brzuchach i wsparły głowy na łapach, śpią smacznie. Biedne brytany: znać że przybiegły zdaleka, i że im woźnica nieczęsto wypoczywać dozwala; smutne, wychudłe, z rozczochraną siercią robią bokami, zawistnie patrząc na legawca, który wolny i z kością w zębach, do budy na obiad pospiesza.

Obrazów historycznych bardzo mało dostarczyli belgijscy malarze: *Krzysztof Kolumb* Hammana do najlepszych się liczy. Artysta przedstawił Kolumba na pokładzie okrętu Santa-Marya, kiedy po długiej żegludze 11 października 1492 roku o wscho-

dzie słońca, spostrzega odlamek amerykańskiego lądu, wyspę Guanahani.

Przeczcucia nie zawiodły wielkiego męża: widzi nareszcie owę dziewiczą ziemię, równoważącą ciężar starego świata, która jak kwiat wodny wytryska pomiędzy niebieskim a morskim błękitem. Bunt ustał, ustała niewiara, załoga padła na kolana wielbiąc genialnego sternika, który do nowego dopłynął świata.

Obraz Thomasa: *Judasz błędzący w noc skazania na śmierć Chrystusa*, zupełnie nową zaleca się myślą. Potwór który wydał katom boskiego mistrza, zaprzędając zdradzie pocałunek przyjaciela, dręczony wyrzutami, krąży jak zwierz dziki po zamiejskich manowcach... Przy niepewnym blasku księżyca spostrzega leżący na ziemi krzyż, zgotowany na jutrzejszą mękę. Świder tkwi jeszcze w spojeniu, a robotnicy zmęczeni pracą, posnęli czekając świtu. Na ten widok twarz zbrodniarza mieni się strasznie, łamana piekielną katuszą, co mu szarpie wnętrzości. Jest wiele poezji w tém zestawieniu zdrajcy z narzędziem męczarni.

Stara szkoła hiszpańska mniej rozpowszechniona po zagranicznych galeryach niż włoska i flamandzka, sama jedna jest rzeczywiście katolicka i oryginalna, bo sama jedna nie wzięła nic od starożytnych mistrzów. Velasquez, Murillo, Zurbaran na jęj czele stojący, natchnienie czerpali w gorącej wierze i najpopularniejszych ówczesnych pojęciach swego kraju. Velasquez chociaż był dwa razy w Rzymie, pozostał wiernym malarzem czasów rycerskich. Murillo nigdy nie wyjeżdżał z Hiszpanii: geniusz jego nie znający obcych wzorów nosi wybitną cechę miejscową. Stary, zakapturzony Zurbaran, jak szkielet wychudły i ponury, nie mógł żyć gdzieindziej tylko w kraju inkwizycji świętej, a chociaż Caravaglia za mistrza swego uważał, pozostał Hiszpanem aż do szpiku kości. Goya, ostatni z tej potężnej rasy artystów, w wysokim stopniu posiada jęj siłę, śmiałość, energią i dziwactwo.

Od Goya naśladownictwo francuzkie bierze górę w Hiszpanii; dzisiaj zaś, gdyby nie napisy, nie możnaby rozróżnić obrazów hiszpańskich od francuzkich.

W wystawionych obrazach pana Madrazo, jednego z najznakomitszych dzisiejszych malarzy hiszpańskich, nie ma śladu potęgi ani kolorytu Velasqueza, chociaż wzory jego miał przed oczyma; za to w elegancyi i lekkości pześcignął Paryżanów.

Kobiety maluje znakomicie. Portret księżny Medina-Coeli nadzwyczaj wydał nam się powabny: ubrana w różową baskinę, obszywaną czarnemi frendzlami, śniada, czarno-oka, z uśmiechem na ustach purpurowych jak kwiat granatu: księżna ma zachwycający wyraz wdzięku i dumy swego rodu. Oprócz tego Madrazo wystawił portret królowej Izabelli, księżny d'Albe, księżny Sevilli i księżny Velches. Przy tych wielkich damach, jako próbkę kolorytu miejscowego, dał portret mamki księżny Asturyi, prawdziwy typ Hiszpanki w narodowym ubiorze, to jest: w zielonym aksamitnym gorsecie, wyszywanym szklaną sieczką i krótkiej różowej spodnicy z koronkowemi falbanami.

Było jeszcze kilka ładnych obrazów hiszpańskich, jakoto: *Ustęp ze zdobycia Grenady w 1491 r.* (Galofra); *Torrero i amatorowie przed rozpoczęciem walki byków* (Manuela), *i pasterze Wirgiliusza Murilla*, (młody malarz tego imienia). Krytykę reszty malarzów hiszpańskich przez wzgląd na wielkiego Murilla i Velasqueza odkładamy do przyszłej wystawy powszechniej.

Thiers wydał dwunasty tom *Historji konsulatu i cesarstwa*.

— Wyszedł drugi tom *Notice Scientifique* Franciszka Arago: mówi o maszynach parowych, kolejach żelaznych, telegrafach, i tém podobnych rzeczach. Trzeci tom *Astronomii ludowej* jest już w druku.

— Wyszła także bardzo ozdobna książka: *Raj utracony* Milтона, w przekładzie Chateaubrianda. Jeden angielski i trzech francuzcy artyści podzielili pomiędzy siebie ilustracją tego religijnego poematu, którego treść ogromna rozłamana na dwanaście pieśni, obejmuje ziemię, niebo i piekło, doczesne i przyszłe życie. Anglik Flatters illustrował piekło; rysunki jego są bardzo znakomite, mianowicie téż: *Upadek anioła; Szatan przychodzący po radę do Belzebuba; Potępienicy pływający w Styxie; Narady ciemnych duchów z grzechem i śmiercią* i t. d. P.P. Richomme, Benouville i Melin, przedstawili wdzięczne obrazy raju ziemskiego, jakoto: *Przebudzenie Ewy pośród czarownych ogrodów; pokusa i upadek Adama; przebaczenie niewieście która go zgubiła; wygnanie z raju* i t. d. Wszystkie te obrazy, a jest ich 25, są sztychowane na stali z precyzją

i wykończeniem godnym angielskiego rylca. Format książki *in-folio*. Zbytecznie mówić, że przekład Chateaubrianda najlepszy jest ze wszystkich tłumaczeń tego poematu; słowem, że to wydanie jest najpiękniejszą literacką i typograficzną kopią *raju utraconego* ze wszystkich, jakie dotąd w różnych pojawiły się językach.

— Niemniej piękna w swoim rodzaju, a niezawodnie rzadsza, jest świeżo wydana przez pana Didot mikroskopiczna edycja *Horacego*. Jestto prawdziwe cacko odpowiadające całkowicie swojej nazwie: *edition Diamant*. Wiadomość ta ucieszy zapewne niejednego z łacinników, pomiędzy którymi miłość *Horacego* jest powszechna, bo kto raz przytknął usta do tego puhara poezji, którego każda kropla ma swoją wartość i upoił się jej wonią, już podobno nigdy nie wytrzeźwiał. Gdyby kto w męzkiem towarzystwie zapytał każdego z kolei, jaką książkę zabrałby z sobą na pustynię, większość głosowałaby pewnie za biblią, ale po biblii, *Horacy* miałby niezawodnie najwięcej głosów.

Ze wszystkich poetów *Horacy* najprzyjaźniej przemawia do człowieka: z kąd pochodzi, że tak ściśle z nim pobratać się można. Wiersz jego trafny, rozumny, a ze wszech stron przystępny, możnaby przyrównać do owych pięknych klimatów, których niebo błękitne przelotna tylko burza mąci, gdzie chłód wieczorny rzeźwi po dziennym skwarze, a żyć tak łatwo jak z zielonego pagórka sunąć na dół po murawie, zamknawszy oczy. Są wyżsi poeci od *Horacego*, ale miłszych nie ma. Nie ma on może skrzydeł, ale ma rękę co prowadzi i wspiera czytelnika, wskazuje mu najcieniste drzewo, pod którym spocząć miło po znoju, a gdzieś daleko, daleko, grobowiec... kres wędrówki wielkich i małych, którego widok nie przeraża, bo życie nakreślone przez *Horacego* jest tak harmonijne, że grób nie zasępia, ale raczej zdoła krańce jego horyzontów. Sama nawet śmierć pięknieje przeglądając się w wyobraźni rzymskiego piewcy; nie jestto już ów fatalny szkielet, co podcina kosą życie człowieka, ale geniusz potężny i poważny, który łamie klepsydre i zdmuchuje pochodnie.

Poezje *Horacego* są klejnotem, który nie można za pięknem oprawić. Dotąd ze wszystkich edycji najpiękniejsze było wydanie Elzevira z 1676 roku. Didot toż samo wydanie przedrukował ozdobnie, gromadząc w tym małym tomiku całą dzi-

siejszą umiejętność sztuki drukarskiej, wezwawszy na pomoc nawet fotografii. Format książki małej, druk wyraźny choć drobny, papier twardy i gładki jak kość słoniowa. Za tekstem idzie krok w krok komentarz odpowiadający na wszystkie zapytania. Fotografowane drobne obrazki starożytne, rozpoczynają każdy rozdział; prócz tego są sztychowane widoki miejsc, gdzie wedle tradycji przebywał poeta. Krótko mówiąc, nowe wydanie *Horacego* jest arcydziełem, którego przechwalić nie można.

— Przed rokiem autor Jocelyna zaczął wydawać w Paryżu pismo tygodniowe, nieznanéj przedtém tanioci, pod tytułem: *Journal pour Tous*. Przedpłata roczna kosztowała 8 fr. pojedynczy numer 2 sous. Teraz pojawiło się drugie tego rodzaju pismo o połowę tańsze. Nowy tygodnik pod napisem: *Les cinq Centimes illustrés* zawiera w każdym numerze pięć drzeworytów i 24 szpalty druku na pięknym papierze; kosztuje cztery franki rocznie, pojedynczy zaś numer jeden sous, to jest każdy drzeworyt po centimie, a druk w dodatku. Nie było dotąd we Francyi równie taniéj publikacji, tém więcéj, że obrazki są wcale niezłe, a tekst nieraz zajmujący.

— George Sand wydaje w feiletonie dziennika *la Presse* nowy romans pod napisem: *Evenor et Leucippe*; wyszło dopiero kilka rozdziałów.



# DON KARLOS.

POEMAT DRAMATYCZNY SZYLLERA.

TLUMACZENIE

*Waleryana Tomaszewicza.*

(Wyjątki).

## OD TLUMACZA.

Nie ma, zdaje się żadnego utworu w literaturze europejskiej, któryby oceniony wszechstronnie, nie okazał jakichś niedostatków, i pod każdym względem uznanym był za doskonały. Być może, nie ma jeszcze normalnych zasad estetyki; być może, każde piękno, jak krajobraz, coraz inném się wydaje dla każdego z widzów, choć obdarzonych artystycznym poglądem, lecz coraz z innego punktu patrzących. Któż teraz zaprzeczy zaszczytnego stanowiska w literaturze europejskiej Szekspirowi, który je zajął od tak dawna: a przecież i najbardziej oślepieni jego genialnością, czyż nie krzyczą na liczne wady jego utworów? Któż się prawdziwie nie zachwyci czytając Szyllera, a przecież któż mu oddał należną sprawiedliwość w dramatycznym zawodzie? Słusznie powiedział nasz poeta:

Co czuję, inni ucuć chcieliby daremnie!..

Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.

Przedstawiając niniejsze tłumaczenie, nie mogłem zataić myśli, jakie we mnie zrodziło dotychczasowe cenie utworów Szyllera. Wszyscy prawie zachwyceni Szekspirem, na polu

dramatycznej literatury widzą go jedyne, i unosząc się nad tępym olbrzymim zjawiskiem, w pracach późniejszych dramaturgów postrzegają tylko naśladownictwo i nic więcej. W ich rozumieniu i na innej drodze kolosalność Walter-Skotta nieprzebytą stanowi tamę. Zgadzam się, że Szyller był większym historykiem niż medykiem, większym dramaturgiem, niż historykiem, większym lirykiem niż dramaturgiem; lecz pomimo całej liryczności, rozlanej w jego tragediach, nie tylko nie ustępuje autorowi Hamleta, lecz na równi z nim cenionym być winien. Naśladownictwa w niemieckim poecie nie widać wcale: każdy przyzna, że jedna jakaś prawda, np. prawda typicznego charakteru potężne wywiera wrażenie; nie dziw więc, że stając się przedmiotem sztuki dla wielu, swem echem przez kilka genialnych ust się odzywa. W utworach naszego Adama niekiedy się Bajronizm niby przejawia, a któż go o naśladownictwo posądzi? Któżby w Szekspirze śmiał mdłe ślady Sofoklesa upatrywać? A jednak, z jakimże uwłaczaniem talentowi Szyllera, jego tragedye porównywiają z twórcami angielskiego poety, jak te wyżej cenią? Mnie się zdaje, że o ile Szekspir jest wielkim znawcą ludzkiego serca, o ile jest głębokim w zazieraniu w tajniki duszy ludzkiej, trafnym w jednoczeniu z sobą najsprzecznijszych kontrastów potocznego życia, by rzucić jakąś myśl wielką, co się już *Szekspiryzmem* zowie; o tyle Szyller jest wielkim zgadywaczem myśli niektórych wybrańszych istot, podsłuchiawczem utajonych uczuć, zuchwałym sędzią społecznych błędów, tęskniącym wiecznie ku lepszej przyszłości na ziemi, wykazującym jakimi mogą i powinni być ludzie, lecz nie chcą, i to w jak uroczej, w jak idealnej formie! O! jak on umie wznieść do ideału poszczególne cnoty, jak umie odlać w słowach całą potęgę passyj, malować rażącemi nikczemne postęпки, osłonięte kłamaną prawością! A zarzucana mu niekiedy przesada i zaniedbanie przyzwoitości w wysłowieniu się, jest tylko dźwiękiem zbyt wysoko nastrojonej duszy, bo tym rażącym niby dźwiękiem silniejsze czucie chciało się ozwać. O! trzeba się przejąć całym wstrętem do błędów dzisiejszego socjalnego życia, by mu oddać pełną sprawiedliwość, by go uniewinnić w *die Raeuber*, w *die Verschoerung des Fiesko*, w *Cabale und Liebe*.

Powszechném zdaniem przyznają pierwszeństwo z tragedj Szyllera *Dziewicy Orleańskiej*; nasz ucichły dziś krytyk

i estetyk M. Grabowski najwyżej ceni *Wilhelma Tella*, gdzie autor wzgardził wszelkimi wzorami, gdzie bohaterem, myślą, życiem całej tragedyi jest Szwajcarya, gdzie »jak w historii Millera wionie powietrze gór Alpejskich«. Pojedyncze zdania przenoszą nad inne twory to *Maryą Stuart*, to trylogium *Wallenszteina*; mnie się jednak zdaje, że wieńcem scenicznych prac Szyllera jest *Don Karlos*. Nie mówię, aby temu dramatowi nie już zarzucić nie było można; owszem, zbyt-czna niekiedy rozwlekłość, wodnistość scen niektórych, wklą-nie się intryg niezbyt dobrze obmyślane, na pozór nie nadają mu prawa do pierwszeństwa; lecz mistrzowskie oddanie cha-rakterów, te kilka cudnie pięknie narysowanych scenicznych sytuacji, te wzniosłe obrazy Karlosa i Elżbiety, ten nareszcie ideał, jaki tylko w duszy Szyllera mógł się zrodzić, uosobiony w Markizie Pozie: aż nadto wynagradzając wady, winny w spra-wiedliwej krytyce wyższe miejsce téj tragedyi naznaczyć (1). Niepotrzeba tu żadnych komentarzów i objaśnień, bo co się prawdziwie z duszy leje, to dusze innych łatwo pojmują. Szekspira tragedye budzą zdrémione myśli; Szyllera sercem miotają. Tamte zawładną umysłem; te w duszy czytelnika lub widza na długo wryją swe sceny.

(1) Ś. p. Kazimierz Bujnicki zasłużony zkadinał nasz pisarz prozą, lecz niefortunny tłumacz, w artykule swym: *O moralności dramatu Szyllera Don-Karlos*, umieszczonym w piśmie p. Ziemię-ckiej *Pielgrzym* za r. 1841, dziwne nader zdanie wypowiedział o tym utworze. Przypisując mu znaczenie wysokiej chrześciań-skiej moralności, mniemał, że Markiz Poza bynajmniej nie był ideałem Szyllera, lecz wyobrażał sobą całą niedorzeczność egzal-towanych marzeń o postępie ludzkości, które dla zbudowania wszystkich skarciły się na nim przykładowie „chrześciańskim rygo-ryzmem” króla Filipa i W. inkwizytora. A przecież sam Markiz Poza powiada do króla:

. . . . . wszystkie me życzenia  
Nie są strasznemi. . . . .  
Jeszcze nie dojrzał w moich ideałach  
Złoty wiek ludów. Jam współobywatel  
Tych, co żyć mają jeszcze kiedyś—później:  
Czyliż ten obraz może ciebie trwożyć i t. d.

Przytém rojenia niby szalone Pozy urzeczywistniają się już, chociaż powoli; mówił on bowiem:

. . . . . Łagodniejsze  
Nastąpią wieki po Filipa czasach,

Co do tłumaczenia teraz. Przekonano się przecież, że obowiązkiem jest tłumacza z całą dosłownością myśli, z całym oddaniem wszystkich zalet i nawet wad oryginału, przedstawić go w rodzinnym języku takim, jakim go autor w swoim przedstawił. Tłumaczenie powinno być tak wierne, jak daguerotypem odbity wizerunek. Pora podrzyźnień, naśladowań, przekrecań podług swego widzimisie, co zwano tłumaczeniami, już przeszła. Lecz, im bliżej trzymamy się oryginału, tém więcej trudności w przekładaniu. Dosłowność myśli nie pozwala jakąś piękność, nie dającą się bez straty przelać na inny język, zastąpić nową pięknoscią, a język często się opiera dosłowności myśli. Wielką jest zasługa tłumacza, gdy swemi twórczemi myślami zastępuje i bogaci oryginał, gdy jego tłumaczenie jest jakby tą samą temą, a tylko z innéj nuty, z innego tonu przewaryowaną. Takimi są wszystkie przekłady p. Odyńca, *Dziwica Orleańska* na ruski p. Żukowskiego, *Undina* p. tegoż. Lecz nieoceniony jest trud tłumacza, gdy przesiąkłszy się oryginałem, tak go wypowie w swym języku, jakby sam autor nie mógł wypowiedzieć inaczej; gdy przekład, przy zachowaniu całego życia, całej siły pierwotworu, tak mu jest razem wiernym i równym, jak trafnem jest i podobném popiersie gipsowe, gdy formę na nie ulepiono dotykalnie na rysach osoby, by każdą naturalną wypukłość i wklęsłość zachować. Takimi są prace D. Minasowicza, mianowicie przekład *Precyozy*, *Kain* z Bajrona, p. J. Paszkowskiego, i nareszcie Szekspir p. Hołowińskiego, gdyby w tym ostatnim niestosowność oddawania miarami pol-

Lepszą przywiodą mądrość. Władze królów  
Z szczęściem narodów zgodniej się zespolą,  
Rządy przestaną lać krew swoich dzieci i t. d.

Że Szyller namiętnie sympatyzował ze swą kreacją, Markizem Pozą, można na to znaleźć liczne dowody w jego listach estetycznych, w literackiej korespondencyi z Getem i t. d. Przed tym zimnym, analitycznym gieniuszem, zeznał jednego razu, że *Zbójcy* były grzechem jego młodości; bo téż przy najszlachetniejszej dążności tego dramatu, trafiają się tam frazy i opowiadania zbyt już nieogłędne. Za niniejszy zaś utwór żarliwie obstawał, łubił rozpisywać się o nim szeroko, nie wyrzekał się wypowiedzianych w nim uczuć i myśli, bolał kiedy go okrawano dla sceny, a osobistości: Pozy, Elżbiety, Karlosa, jako pokrewne pięknej duszy poety, były mu nader drogiemi.

skiem i angielskiego wiersza, nie stanowiła wielkiej różnicy od oryginału, co do poetycznej wartości.

Staralem się więc o dosłowność myśli, i jeśli się zdarzą małe odstępstwa, czytelnik porównawszy je z oryginałem, łatwo ich znajdzie przyczynę (1).

Użyty przezemnie rodzaj wiersza, każe mi o tém kilka słów powiedzieć.

Język polski, dziwnym wpływem różnej obczyzny, wykluwając się ze słowiańskiego, zatracił zarazem swą słowiańską śpiewność i stał się *syllabicznym z tonicznym*, a może i *metrycznym* języka. Konieczność przedłużania w wyrazach przedostatniej zgłoski, niezdolnym go czyni do oddania wszystkich form miarowości wierszy starożytnych. W rymach zaś szukał powierzchownej szaty dla swęj poezyi, rymowanemi tylko wierszami, jak francuzki, mógł przekładać świetne hexametry Homera. Lecz o ile, z nowożytnych języków, niemiecki i ruski wyższemi są od innych, że przy bogactwie rymów, posiadają sposobną giętkość do wszelkich znanych miar wierszowych; o tyle polski wyższym jest np. od francuzkiego, że może niekiedy układem wyrazów niektóre z nich sztucznie naśladować. Najśposowniejszą miarą polskich wierszy są 4ro stopowe trocheje, tak szczęśliwie używane w dumkach Bohdana Zaleskiego, w poezyach Olizarowskiego, w Precyozie Minasowicza, u Winc. Pola, gdy jeszcze upiększone krzyżującemi się rymami. Przykład, o ile znam, jedyny dość trafnego użycia trochejów w długich wierszach z rymami, mamy na wyjątku z *Undiny*, tłumaczenia Romana, umieszczonym w *Rimembranza*. Bez rymów nawet nieźle w naszym języku 4ro stopowe trocheje się wydają, jak to można widzieć na kilku scenach z *Cyda Rodryga w Dzienniku domowym Poznańskim z r. 1842*. Mimowolne mieszanie się daktyłów i amfibrachiów z chorejami, lub spondejami, często się daje postrzegać w naszych lirycznych poezyach, np. *Śpiewające Jezioro*, *Rapsod*, Bohd. Zaleskiego.

(1) Dziewicza wstydlivość, że tak powiem, naszęj literatury, nie pozwala czasem dosłownie tłumaczyć niektórych dosadniejszych miejsc Szyllera, np. owego wyrażenia się księcia Alby (w scenie 5, aktu II), po którém Karlos się odzywa:

O, na mój honor! słusznie: w krótkich słowach  
Wszystko zawarto, co zasługi duma  
Może postawić przeciw dumie szczęścia i t. d.

W wielu miejscach ballad naszych przejawiają się te miary mimochętnie. Chcieć zaś jakąś starożytną formą, jakąś miarą np. alcejską, saficką coś napisać po polsku, byłoby to niedorzecznym studyowaniem nad układem wyrazów, szukaniem mozolnym niewłaściwej językowi harmonii. Próby pentametrów mamy w *Witoloraudzie* p. Kraszewskiego. Lecz niedostatek u nas czystych spondejów, chyba tworząc je z dwóch jednozłogkowych wyrazów, co nigdy nie jest dobrem, a ztąd ten niedostatek różnaitości daktylów z chorejami i spondejami, która ze ścisłym zachowaniem cezury stanowi całą piękność hexametrów: robi sztuczne naśladowanie téj budowy wiersza u nas o wiele niższem od hexametrów Homera, Klopsztoka i Gniedicza (1).

(1) Bogatszym i rozmaitszym okazał się ten rodzaj wiersza (hexametr) w probach innych, np.

(*Początek Odyssei Homera*).

Wymień mi męża, o muzo, chytrego, który zburzywszy  
Świątą Troję, po tylekroć błądzić po świecie znaglony,  
Widział i ludzkie mieszkania i obyczaje rozliczne;  
Wiele od morskich bałwanów poniósł bolesnych utrapień,  
Pragnąc i siebie ocalić, i ziomków wrócić do domu.  
Ale daremne zabiegi: ziomków swych nie mógł ocalić,  
Zgubę i śmierć przez własną ściągęli zbrodnię na siebie.  
Przygotowali niebaczni ucztę z trzód Hiperyona,  
Który ziemię oświeca: ztąd Bóg ich powrotu pozbawił.

Alb. Litt.

(*Z Messyady Klopsztoka pieśni 7*).

..... Ludu tłoczące się mnóstwo  
Mimowoli ją w stronę uniosło i syna zakryło.  
Z tłumu się przecież wyrwała—staje—spogląda dokoła,  
Szuka oczyma, daremnie: z uczniów już nie ma żadnego.  
Płaszczem więc lica zakrywszy, łzami gorzkimi plakała.  
Ledwo po chwili wzrok swój podnosząc, zdziwiona się widzi  
Wspartą o filar jakiegoś świętego Rzymian pałacu.  
Może tu ludzie mieszkają, pomyśli, może w tym gmachu,  
Gnieździe rozkoszy i zbytku, matka się jaka znajduje,  
Co macierzyńską miłość mogłaby poczuć w swém łoniu.  
O! jeśli prawdę o tobie tyle mi matek mówiło,  
Porcyo! żeś będąc Rzymianką, serce litośne posiadasz:  
O aniołowie! coście nad małym moim dziecięciem  
Wzniosłe śpiewali hymny, zrządźcie, by prawdą to było!..  
I ucieszona tą myślą, przez marmurowe galerye  
W sale przepyszne Marya chwiejącym krokiem pospiesza.

Alex. Eisenblätter.

Jambami niepodobna pisać po polsku. Tylko język niemiecki, gdzie tyle jednozgłoskowych przedimków, przyrostków, przyimków, spójników, które zawsze poprzedzają długie zgłoski, najwięcej się skłania do jambów. Dziwnie piękne są 4ro-stopowe jamby w niemieckiej poezji, tak często używane kiedyś przez Klejsta, że się *Jambische oder Kleists-Verse* nazwały. Język także ruski, w którym przy mnogości jednozgłoskowych wyrazów, w wielozgłoskowych iloczias pada niekiedy na ostatnią zgłoskę, może szczęśliwie władać jambami, jak to poezye Puszkina i innych pokazują.

Lecz jakkolwiek nasza mowa pod względem metryczności tak ubogą się wydaje, nie żalmy się na nią: aż nadto ona jest bogatą do odlania wszystkich uczuć, wszystkich pomysłów, do obleczenia w słowo najszczytniejszych natchnień poety. Znane formy nie są koniecznym warunkiem, cechą poezji. Często nawet rymy, te jakby brzęczące dzwonki, ostrzegające co chwila, że to są wiersze, nie mogą dostatecznie przekonać o bytności poezji w tych wierszach. Opowiadania Michała Czajkowskiego są prawdziwą poezją, niż tyle natytułowanych tém godłem rymowych i nierymowych wierszydeł. Starożytni daleko skromniejszemi byli od nas: oni swe wierszowane prace zwali tylko prostém imieniem *carmina*. Niechby przynajmniej i dziś zamiast *poezji*, *poematów*, zwano swe twory jak inaczej, ale za to niechby w nich było więcej wartości wewnętrznej, więcej pomysłów, natchnienia i więcej poezji pod jakimkolwiek kształtem.

Tłumaczenie, nie będąc wcale literalnym przekładem (mot à mot) nie powinno być również i naśladowaniem. Ono musi być wierném co do myśli, wierném co do formy, bo forma jest jakby pewnym tonem w muzyce, jakby światłowieniem w malowidle. Lecz gdy dla dwóch różnych języków jedna i taż sama forma nie jest wspólną: to obowiązkiem tłumacza, formę jednego oddać formą najwłaściwszą drugiemu językowi, najparalelniejszą zarazem tamtéj. Dla dyalogu najstosowniejszą jest proza; w scenicznych więc utworach, gdzie się powinno mówić zupełnie mową potoczną żyjących ludzi, lub tych, co żyli kiedyś, wierszowanie nie w miejscu. Lecz jeśli pozwolone w dramatycznych tworach monologi, liryczne tyrady i inne odstępiania od zwykłego wysłowiania się: to nie można winić pisarza, jeśli całe swe sceniczne dzieło w szatę poetyczną oblecze. To i tłuma-

czenie tegoż dzieła nie w inną zjawić się musi. 13to-zgłoskowe rymowe wiersze niezbyt dobrze u nas w dyalogu się wydają. Deklamacya ich staje się mimowolnie patetyczną, wymuszoną. Tylko francuzkie *aleksandryny* wykwintnych tragedyi Woltera, Kornela, Rasyna, najstosowniej tym rodzajem podłużnych wierszy się przekładają. Tylko w komedjach rymowanych, jak Zablockiego, Fredra, Stanisł. Bogusławskiego, gdzie śmieszność i przesada w formie się nawet wyraża, mogą one uchodzić. Już lepiej jest w dramacie i tragedyi użyć 11-zgłoskowych z rymami, nie wciąż po sobie następującemi, lub przynajmniej niezbyt często dźwięczącemi, jak użyto w tłumaczeniach *Wallensztejna* p. Kamińskiego, *Dziewicy Orleańskiej* p. Odyńca, *die Braut von Messina* p. Bielowskiego. Wszakże nie jest to bynajmniej odpowiednie oddanie potocznych 5-miarowych jambów Szyllera, tak giętkich, tak właściwych dla dyalogu, któremi pisana większa część nowszych dramatów niemieckich, któremi w ruskim tak dobrze się piszą niektóre fantazyje dramatyczne Nestora Kukolnika.

Niepodobnem jest w przekładzie zachowanie całego piętna oryginału. Nie ubliżając wcale znakomitemu mężowi, z tylu prac znanemu w naszej literaturze, zasługującemu na wdzięczność za spolszczenie Szekspira, sądzę, że użyte przez niego rozmaitego rodzaju wiersze, nie są odpowiednie w powadze oryginałowi. np. w *Hamlecie*, w *Romeo i Julia*, jakkolwiek wiersz płynny, gładki, lecz nazbyt skoczny dla tragedyi. W *śnie w wigilią św. Jana*, oprócz śpiewów, wiersz nieco mniej skoczny i stosowny do przedmiotu. W *Makbecie* dobrym jest dla śpiewów czarownic 8 zgłoskowy z chorejów, lecz dziwnym a nawet śmiesznym tam się wydaje 11-zgłoskowy z chorejów zdłużą na końcu. Podobnież i w królu *Lirze* (1).

(1) Dla udowodnienia naszego sądu przywodziśmy wyjątki:

**Hamlet.**

Pani, w tobie?

**Królowa.**

Raczej w tobie, że się wpatrujesz  
Z taką pilnością w próżne to miejsce,  
I że do czczego mówisz powietrza.  
Dusza z twych oczu dziko wygląda,  
Jako na trwożę, śpiący żołnierze.



Jeżeli więc i „światny tłumacz Szekspira“ p. Hołowiński nie trafił na taki powierzchowny krój swego przekładu, co by będąc najodpowiedniejszy oryginałowi, był razem najstosowniejszym do przedmiotu i do języka na jaki się przekłada: nie bądźmy zbyt srodzy w sądzeniu innych tłumaczeń.

Tak i leżący włos twój, jak żywy,  
Budzi się, wstaje. Synu kochany,  
Rzuć na pożary twój wyobraźni  
Lód i cierpliwość: kogóż to widzisz?  
*Hamlet, akt III, sc. 4.*

**Julia.**

Dobrze, z twój rady dziwnie się cieszę.  
Idźże do matki, odemnie powiedz,  
Że do Wawrzyńca celi pospieszę,  
Aby odprawić u niego spowiedź,  
Że się z obrazy ojca rozgrzeszę.  
*Rom. i Julia akt III, sc. 5.*

Jeżeli można anatomizować pracę p. Hołowińskiego i dochodzić miar, jakich tu zapewne mimowoli się trzymał, sądzę, że wzorem skandowania było: - o o | - o || - o - o | - o

**Malcolm.**

Znam ja pagórek, gdzie kwitnie tymianek,  
Rośnie z drzemiącym fiołkiem sen-kwiecie,  
Kędy powoju, jak pawilon, wianek  
Z różą, z jaśminem, sklep zielony plecie.  
*Sen w wigilią św. Jana akt II sc. 2.*

A oweż sławne monologi lady Makbet i króla Lira do burzy i wiatrów, jak wyglądają po polsku w obec Szekspirowskiej poezyi:

. . . . Nawet ochrzypł kruk  
Krażąc straszny wchód, królu, w nasze progi  
Chodźcie duchy wlać w moją myśl mord srogi,  
Rozeplćcie mię, precz pleć białogłowy,  
Napelnijcie mię od stóp aż do głowy  
Straszném okrucieństwem! Zgęście moją krew  
I zgryzoty wszelkie odpędzajcie precz,  
Bo natury z żalem czule nawiedziny  
Krwawy cel zachwieją, albo cofną wstecz!  
Chodźcie w pierś kobiety, zróbcie z mleka żółć,  
Chodźcie duchy złe, posługacze mordu,  
Kędykolwiek wy, w niewidzialnej mocy  
Chcecie robić złe! i t. d.

*Makbet akt I sc. 5.*

Podług mego zdania, najwłaściwszym wierszem w scenicznych poetycznych tworach, najzgodniejszym z naszą mową, najpodobniejszym jambom niemieckim jest wiersz użyty przez p. Korzeniowskiego w *Mnichu*, *Anieli*, *Bianko Orsino*. i innych. Zdaje się, że ten pisarz odgadł naręszcie wyszukiwany daremnie dotąd przez drugich wzór miarowych polskich wierszy, i ściśle pilnując się tego wzoru, nie przestąpił go nigdzie w swych wierszowanych dramatach.

Wichrze wściekle dmij! aż ci pękną pyski;  
 Lejcie wodospady i wy nawałnice, i t. d.  
 Wy siarczane ognie, szybkie jak myśl błyski,  
 Dębołomcy gromu gońce i zwiastuny,  
 Włos mój biały smalcie! A straszne pioruny  
 W środek sam krągłego świata niech ugodzą,  
 Niech kształt przyrodzenia zniszczą i zarody,  
 Które w skład człowieka niewdzięcznego wchodzą.  
 Wyj, co siła! Płyńcie ognia z deszczem zdroje!  
 Deszcz, wiatr, ogień i grom nie są córki moje!  
 Was żywioly nie śmiem skarżyć o niewdzięczność:  
 Kraju wam nie dałem, dziećmi was nie znałem,  
 Ni powinność macie słuchać mojej woli;  
 Więc wyrzycie na mnie straszną rozkosz swoję:  
 Oto wasz niewolnik opuszczony stoję,  
 Starzec pogardzony, chory i w niedoli. i t. d.

*Król Lir*, akt III sc. 2.

Widzimy z tych przykładów, że pozorne zachowanie zupełnej niby formy oryginału, niekiedy w tłumaczeniu dziwny jakiś koloryt nadaje myślom antora. Bo czyż na nas takie robi wrażenie ten monolog Lira, jak na Anglików owe:

Blow wind... rage, blow!

You cataracts, and hurricanoes, spout  
 Till you have drench'd our steeples, drown'd the cocks!  
 You sulphurous and thought-executing fires,  
 Vaunt-couriers to oak-cleaving thunderbolts,  
 Singe my white head! And thou, all-shaking thunder,  
 Strike flat the thick rotundity o'the world!  
 Crack nature's moulds, all germens spill at once,  
 That make ingrateful man!  
 I tax not you, you elements, with unkindness,  
 I never gave you knigdom, call'd you children,  
 . . . . . Then let fall  
 Your horrible pleasure; here I stand, your slave,  
 A poor, infirm, weak and despis'd old man.

Skandowanie jest takie:

— — — | — — — || — — — || — — — | — — — . Weźmy przykłady:

Przeszła już młodość, z nią swoboda moja.

Przymus jest królem dojrzałego wieku.

Powinność zimna z kajdanami w rękę

Wita wędrowca, co z krainy marzeń

Na ziemię schodzi. Znam jój potężną.

*Aniela*, akt I sc. I.

Przed drzwiami tyłu świątyń jużem błagał

Nieba o łaskę, świat o przebaczenie.

Okryty twardym włosem, leżąc w prochu,

Przynajmniej płakać mogłem i płakałem.

Dzisiaj zamiast ulgi, łzy mi odebrano!

Dawniej widziałem litość. Nieraz nędzarz,

Który wyciągał rękę pod kościołem,

Nie pomny własnej doli, że łą w oku

Na mój stan patrzył. Dzisiaj postrzegam tylko, i t. d.

*Mnich*, akt II sc. 3.

Przy całej powadze, miara ta zachowuje łatwość przerywanego dyalogu i sposobność wyrażenia krótkich, nie peryodowanych myśli. Nigdy mi się nie zdarzyło czytać po polsku piękniejszych nierymowanych wierszy. Tłumaczenia z Ossyana przez Książną, we względzie miarowej budowy, mają swoje wartość, lecz częste tam użycie daktyłów rodzi skoczność i nieużyteczność tej miary do dramatycznego dyalogu. Wszystkie próby innych, np. wiersz nierymowy I. Krzeczковского w przekładzie z Silvio Pellico *Franceska di Rimini*, P. Maryana w *Torquato Tasso*, Johna of Dycalp'a we fragmencie z *Krzysztofa Arciszewskiego*, i t. p. nie mogą iść w porównanie z wierszem P. Korzeniowskiego. Nasz genialny dramaturg i powieściopisarz pojął muzykalność polskiej mowy i świetnie pokazał w swych twórcach całą piękność nierymowych polskich wierszy, jedyny, śmiem powiedzieć, wzór ich miarowości w dramatach i tragediach. Jednym słowem, raz jeszcze powtarzam, jeśli chcemy w scenicznych utworach rzucić zbyt brzęczące rymy, lub oddać jamby niemieckie, wreszcie jakiegobądź języka wiersz poważny, nierymowy, to iść należy nie inną drogą, jak wskazaną nam przez autora *Mnicha i Anieli*. Dziwna, że ta miara nie była dotąd ani odgadnioną przed p. Korzeniowskim, ani naśladowaną po nim; a przecież najwłaściwsza w naszym polskim dramacie, bo aż w Janie Kochanowskim przejawiającą się po-

strzegamy (1). Dziwna, że obliczenie 11 zgłosek, przestanek po 6 lub 5 (jak to widać np. na wyjątkach z przekładu Don Karlosa przez Kaz. Bujnickiego, który dodał, że miarą oryginału tłumaczy, choć po polsku tego dokazać, to jest jambami coś napisać nie można), dotąd są jedynymi zasadami nierymowanych polskich wierszy. Możnaż je ztąd zwać miarowemi? Cóż mówić o samej poezyi, jeśli w tém tylko pojmują jej zewnętrzną formę przejawiania się?

W przekładzie Don Karlosa starałem się naśladować wiersz P. Korzeniowskiego. I gdzie musiałem odstąpić, tam snać dosłowność myśli mię kępowała. Zboczenia moje zmieniają wzór obrany na taką miarę  $\overset{\circ}{-} \overset{\circ}{-} \overset{\circ}{-} | - \overset{\circ}{\circ} \overset{\circ}{\circ} | - \overset{\circ}{\circ} \overset{\circ}{\circ} | - \overset{\circ}{\circ}$ , na przykład:

Widziałem kiedyś, jak w Toledy murach  
*Poddańcze hołdy Don Karlos odbierał,*  
*Jak się gromadnie cisnęli książęta,*  
 By jego groźną ucałować rękę i t. p.

Następne imiona własne z tego dramatu tak się powinny wymawiać:

$\overset{\circ}{-} \overset{\circ}{-} \overset{\circ}{-} \overset{\circ}{-} | - \overset{\circ}{\circ} \overset{\circ}{\circ} \overset{\circ}{\circ} | - \overset{\circ}{\circ} \overset{\circ}{\circ}$   
 Eboli, Mondekar, Aranchuec.

Niektóre sceny z Don Karlosa były tłumaczone oddzielnie. Dwie początkowe przez A. M. pomieszczone w *Zniczu*, nowo-

(1) (*Z Odprawy posłów*).

**Alexander.**

Wymówki nie masz, gdy przyjaciel prosi.

**Antenor.**

Przyzwalam, kiedy o rzecz słuszną prosi.

**Alexander.**

Obcemu więcej życzyć niż swojemu,  
 Coś niedaleko zda się od zazdrości.

**Antenor.**

Przyjacielowi więcej niżli prawdzie  
 Chcieć służyć, zda się przeciw przystojności.

**Alexander.**

Ręka umywa rękę, noga nogę  
 Wspiera. Przyjaciel post przyjacielowi.

**Antenor.**

Wielbić przyjaciół zwie się przystojnością.  
 Rozkazać służyć, nie jest przyjacielska i t. d.

*Jan Kochan.*

roczniku na rok 1835 i 1836. Też same jako wyjątek z niniejszego przekładu, drukowały się w piśmie zbiorowém *Lud i czas*. Kilka przez Jul. Paszkowskiego w *Bibliotece Warszawskiej*, kilka przez Kazimierza Bujnickiego w wydawaném przez niego piśmie *Rubonie*. Cały zaś dramat przetłumaczył, lecz nie publikował jeden ze zmarłych hr. Borkowskich. Znakomity nasz filozof Br. Trentowski także podobno spolszczał Don Karlosa, jak to widać z przemowy do jego przekładu *Oblubienicy Messyńskiej*. Nie było to zapewne tłumaczenie, jak raczej przekształcenie na polski, według własnego jego widzenia rzeczy, Szyllerowskiej tragedyi. Bo tak się stało z *die Braut von Messina*. Jednocześnie z naszą pracą p. Augustyn Bielowski we Lwowie, w rzędzie wielu innych dramatów Szyllera, ogłosił i przekład Don Karlosa. Nie śmiemy naszej pracy porównywać z dziełami tyle zasłużonego u nas i tak wielostronnego męża. *Pieśń o pułku Igora* (ze staro-słowiańskiego), wykazała dowodnie ogromny talent p. Bielowskiego i jako tłumacza. On, Minasowicz, Lucyan Siemiński i A. Odyniec nie umiają przekładać inaczej, jak doskonale. Postrzegamy jednak w Don-Karlosie p. Bielowskiego, że chęć przełożenia rymami tej tragedyi, o ile ozdobiła ją cudnym liryzmem, o tyle osłabiła jędrność dobitniejszych myśli Szyllera.

Zostawując sąd o méj pracy światłym czytelnikom, powtórzę na końcu z p. Hołowińskim zdanie A. W. Szlegla, że: „tłumaczenie jest wprawdzie dobrowolna, ale niemniej ciężka niewola, w krwawym pocie gorzki kawałek chleba, niewdzięczne rzemiosło.“

Wilno.

## SCENA II.

KARLOS, MARKIZ POZA.

**Karlos.**

Co widzę? któż to idzie? Wielki Boże!  
Mój Roderyk!

**Poza.**

Mój Karlos!

**Karlos.**

Byćże może?  
Tyś to w istocie? O! ja się nie mylę!

Cisnę cię do mej duszy, czuję twoje  
Potężnie, silnie, ku mnie tak bijącą.  
O! znowu wszystko dobrze! W tym uścisku  
Chore me serce nagle się uzdrawia:  
Jużem w objęciach mego Roderyka!

**Poza.**

Two chore serce? znowu wszystko dobrze?  
Cóż się znów dobrem ma w tej chwili stawać?  
To mię zdumiewa.

**Karlos.**

I cóż cię z Bruxelli  
Sprowadza znowu do nas niespodzianie?  
Komuż mam dzięki składać za te chwile?  
Komuż? O przebac boska Opatrzności  
Za to bluźnierstwo, radością pijanemu!  
Najdobrotliwsza! komuż, jak nie tobie?  
Widziałaś, że był Karlos bez anioła:  
Tyś go zesłała i ja pytam jeszcze!

**Poza.**

Przebac, mój książę, że na tak gwałtowne  
Two zachwycenie trwogą odpowiadam.  
O! wcale nie tak Don-Filipa syna  
Oczekiwałem. Jakiś niezwyčajny  
Rumieniec blade two policzki krasi,  
A twoje usta drżą tak gorączkowie.  
I cóż mam wnosić, książę? Nie jestże to  
Ów z sercem lwiem młodzieniec, do którego  
Nie ujarzmiony naród mię posyła?  
Bo nie jak Rodryk swego przyjaciela,  
Nie jak Karlosa dziecka współtowarzysz,  
Lecz jak ludzkości obrażonej poseł  
Uściskam. Ciebieto prowincye Flandryi  
Łzami niedoli na twój szyi płaczą  
I uroczyście proszą o zbawienie.  
Zaginie drogi kraj wasz, jeśli Alba,  
Ów z fanatyzmu wylegniony siepacz,  
Zjawi się znowu śród Bruxelli murów,  
Niosąc hiszpańskie prawa i okowy.  
Na godnym wnuku Wielkiego Karola  
Ostatnia leży kraju tych nadzieja.  
Ona upadnie, jeśli dla ludzkości  
Już jego wzniosłe serce bić przestało.

**Karlos.**

Ona upadnie!

**Poza.**

Od wasze to słyszę?

**Karlos.**

Mówisz o czasach, które już minęły.  
I mnie się kiedyś Karlos jakiś marzył,  
Któremu ognie przebiegały lica,  
Na samą tylko wzmiankę o wolności;  
Lecz on już dawno, dawno pogrzebiony!  
Którego widzisz, nie jestto ów Karlos,  
Co się w Alkali czule z tobą zęgnął,  
Co się tak chlubił w słodkiem upojeniu  
Że kiedyś twórcą złotych czasów stanie  
W swojej ojczyźnie. O! dziecinne były  
Owe pomysły.

**Poza.**

Co, marzenia tylko?

Miałoby, książę, to marzeniem zostać?

**Karlos.**

Dozwól mi płakać, dozwól na twém sercu  
Wrzęcemi łzami płakać, o jedyny  
Mój przyjacielu! Nie mam już nikogo,  
Nikogo na tej wielkiej, ludnej ziemi.  
I jak daleko berło ojca sięga  
I jak daleko flagi nasze lecą:  
Nie znajduję miejsca, ni jednego miejsca,  
Gdziebym łzom wolniej płynąć śmiało dozwolić,  
Jak na twém łonie. O mój Roderyku!  
Na wszystko czego poza grobem, w niebie  
Kiedyś spodziewać razem się możemy,  
Ach nie odpychaj mnie, zaklinam!  
(*Markiz schyla się nad nim w niemém rozczuleniu*) Wyznaj,  
Żeś mię sierotę blisko tronu znalazł  
I ze współczuciem podjął. Nie wiem wcale  
Nazwiska ojca; wiem, żeś syn królewski.  
O! jeśli prawda, co mi serce mówi,  
Jeśli ty jeden wśród miliona ludzi  
Jesteś wybranym poznać mię, zrozumieć,  
I jeśli chciało twórcze przyrodzenie  
Rodryka kiedyś w Karlosie powtórzyć,  
I do harmonii dźwięcznej nasze dusze  
W poranku życia zgodnie nastroiło;  
Jeśli łza jedna, co mi ulgę niesie,  
Droższą jest tobie, niżli króla łaska....

**Poza.**

O droższą jak świat cały!

**Karlos.**

Tak głęboko  
 Upadłem teraz, stałem się tak biednym,  
 Że ci o naszych młodocianych latach  
 Przypomnieć muszę, że cię prosić muszę,  
 Już zapomniane długi na myśl przywieść,  
 Co jeszcze w sukniach majtka zaciągnąłeś,  
 Gdyśmy, natury dzikięj dwaj młodzieńce,  
 Razem wzrastali w lata tak bratersko.  
 O! nic mię wtedy mocniej nie bolało,  
 Jak to, że duch twój nazbyt mię zaciaśniał.  
 Powziąłem wreszcie śmiałe przedsięwzięcie  
 Pokochać cię bez granic: bo wytrwania  
 Już mi zabrakło, stać się tobie równym.  
 Zacząłem wówczas tysiącami pieśczęt,  
 Wierną, braterską dręczyć cię miłością,  
 Za którą dumne serce twe płaciło  
 Zimnem sprzyjaniem. Często stał przy tobie,  
 A w oczach tego nie postrzegłeś nigdy!  
 Gorące, ciężkie krople łez wisiały,  
 Kiedyś przyciskał z uczuciem do swych piersi  
 Wesole dzieci, wkoło nas skaczące.  
 Czemuż ich tylko—wykrzykałem z żalem—  
 Nie jestem równie miły twemu sercu?  
 Wtedy poważnie kłękając przedemną:  
 Synowi króla—rzekłeś—to należy.

**Poza.**

O! dosyć, książę, tych dziecinnych przygód,  
 Co jeszcze dzisiaj wstydem mię rumienia.

**Karlos.**

Na tom u ciebie nigdy nie zasłużył.  
 Pogardzić, zranić mogłeś moje serce,  
 Lecz nie oddalić. Trzykroć odtrącałeś  
 Od siebie księcia, trzykroć wracał znowu  
 Jako proszący, błagać cię o miłość,  
 I miłość swoją gwałtem ci narzucić.  
 Traf przecie zdziałał, czego Karlos nie mógł.  
 Raz się zdarzyło, w czasie naszych zabaw,  
 Że ktoś z grających w samą twarz, wolantem  
 Królowej czeskiej, ciotce méj uderzył.  
 Ona mniemając, że to czyn rozmyslny,  
 Ze łzami w oczach żali się królowi  
 I całą młodzież nasza pałacowa  
 Stanąć musiała, by winnego odkryć.  
 Król poprzysięga, że czyn tak zuchwały,



Chociażby nawet na dziecięciu własnym  
 Jak najsurowiej skarże. Wtém postrzegam  
 Ciebie ze drzeniem stojącego w dali.  
 Wychodzę naprzód, i królowi do nóg  
 Padając, wołam: ja to uczynilem!  
 Na twoim synie okaż twoję zemstę!

**Poza.**

Ach! pocóż mi to przypominasz, książe!

**Karlos.**

Spełniono ją w obliczu zgromadzonój  
 Z całego dworu służby, co litośnie  
 Dokoła stała. Jak na niewolniku,  
 Na twym Karlosie srodze ją spełniono.  
 Z bólu mi zęby tłukły się, zgrzytały,  
 Lecz nie płakałem. Moja krew króleska  
 Haniebnie ciekła z pod okrutnych razów:  
 Patrzałem na cię, ale nie płakałem.  
 Idziesz, ze łkaniem rzucasz mi się do nóg,  
 Mówiąc nieśmiało: tak jest, moja duma  
 Już pokonana. Ja odwzięczę tobie  
 Gdy królem będziesz.

**Poza.**

*(wyciągając ku niemu rękę):*

Tak, odwzięczę, książe!

Śluby dziecięcia, jako mąż ponawiam.  
 Odwzięczę tobie, i godzina moja  
 Wybije może kiedyś.

**Karlos.**

Teraz, teraz,  
 Ach nie odwlekaj, teraz właśnie bije  
 Czas wzajemnego nadszedł uiszczenia:  
 Ja potrzebuję twój miłości. Straszna  
 Wrzy tajemnica w piersiach: ona musi  
 Wylać się w słowach. W białych twoich rysach  
 Wyrok mój śmierci chcę przeczytać. Słuchaj,  
 Dziw się, zdumiewaj, lecz nie odpowiadaj:—  
 Ja kocham moję matkę.

**Poza.**

O mój Boże!

**Karlos.**

O litość cię nie proszę! Powiedz raczěj,  
 Że na tym całym wielkim kręgu świata  
 Żadna niedola mojej nie zrównywa.  
 Co masz powiedziéć, już zgaduję wcześniej.

Syn kocha matkę. Skłonność tę występna  
 Prawa natury, obyczaje świata  
 I władza Rzymu srodze potępiają.  
 Straszliwie godzi to roszczenie serca  
 Na mego ojca prawa; ja to czuję,  
 A jednak Kocham: droga ta prowadzi  
 W dzikie szaleństwo, lub na rusztowanie.  
 Kocham występnie, bez nadziei, celu  
 Z obawą śmierci, pod utratą życia:  
 Znam to i Kocham....

**Poza.**

Więź królowa

O tych uczuciach?

**Karlos.**

Mogłemże ja kiedy  
 Z tém się jej odkryć? Jest Filipa żoną.  
 Królową kraju, a ten kraj—Hiszpanią.  
 Przez zawiść króla tak strzeżony wszędzie  
 I otoczony ścisłą etykietą,  
 Mógłżem bez świadków do niej się przybliżyć?  
 Już ośm męczeńskich kończy się miesiące,  
 Jak mię od wyższych nauk odwołano,  
 Jak osądzono codzien ją oglądać,  
 I oglądając, jak mogiła milczeć.  
 Ośm już miesięcy, jak ten zgubny płomień  
 Pierś moję pali, jak po tysiąc razy  
 Straszne wyznanie drżało na mych ustach  
 I znów lękliwie w serce się cofało.  
 O Roderyku! tylko jedną chwilę  
 Tajemnej z nią rozmowy!....

**Poza.**

A twój ojciec?

**Karlos.**

Nieszczęsny! po cóż mi go przypominasz?  
 Mów mi o wszystkich okropnościach piekła,  
 Lecz mi o ojcu nie wspominaj.

**Poza.**

Jakto?

Ty nienawidzisz ojca?

**Karlos.**

O nie, nigdy!  
 Jednakże jakaś zgroza, jakiś przestрах,  
 Niby zbrodniarza przed występnyim czynem  
 Mnie ogarniają na to straszne imie,

I cóżem winien, jeśli wychowanie  
 Zbyt niewolnicze już w mém młódem sercu  
 Wcześnie roztarło piérwsze źdźbła miłości?  
 Sześć już lat miałem, kiedym po raz piérwszy  
 Zobaczył ojca, okrutnego króla,  
 Jakim go ciągle mnie wyobrażano.  
 Było to właśnie, kiedy w jednéj chwili  
 Cztery wyroki śmierci podpisywał.  
 Odtąd go tylko widywałem wtedy,  
 Gdy mi ogłaszał karę za me błędy.  
 O Boże! czuje, jakim biedny! Dosyć,  
 Dosyć tych opowiadań.

**Poza.**

O, nie! książę,  
 Teraz się możesz odkryć. Przez wyrazy  
 Zmniejsza się ciężar, co uciska łono.

**Karlos.**

O! ja się często pasowałem z sobą,  
 I o północy, gdy me strażę spały,  
 Często ze łzami gorącemi w oczach  
 Padał przed obraz Nieskalanéj Matki,  
 Błagając świętą o dziecięce serce;  
 Ale daremno. O mój Roderyku!  
 Rozwiąż mi losu dziwną tę zagadkę:  
 Dlaczego z ojców tylekroć tysięcy  
 Ten moim stał się ojcem, i dlaczego  
 Z tylu tysięcy lepszych niż ja synów,  
 Ten syn koniecznie jemu się nadarzył?  
 Nigdy natura w całym kręgu stworzeń  
 Nie mogła znaleźć dwóch sprzeczności większych,  
 Jak potrafiła dwa ostatnie krańce  
 W zwykłym rodzeństwie ludzi, mnie i jego,  
 W jedno tak święte skuć ogniwo razem!  
 Dziwne zrządzenie! Pocóż to się stało?  
 POCO dwaj ludzie tak od siebie różni,  
 W jedném życzeniu zgubnie się spotkali?  
 Tak dwa niebieskie nieprzyjazne ciała,  
 Co po orbitach przeciwległych lecąc  
 Przez całą wieczność raz się tylko zetkną,  
 Będą od siebie już uciekać zawsze,  
 Raz się straszliwie roztrąciwszy z sobą.

**Poza.**

Okropne mam przeczucia.

**Karlos.**

I ja również.

Jak furye piekła ciągle mnie ścigają  
 Potworne mary; duch mój opiekuńczy  
 Krwawych pomysłów zwalczyć nie jest w stanie.  
 Po labiryncie rozumowań pełza  
 Błędny rozsądek, aż się ujrzy nagle  
 Nad stromym brzegiem przepaścistej głębi.  
 O mój Rodryku! jeśli mogłem kiedy  
 W nim zapominać ojca; — przyjacielu,  
 Widzę, już martwy wzrok twój mię pojmuje.

**Poza** (po niejakiem milczeniu).

Czyliż mogę

Mego Karlosa jedną prośbą trudzić?  
 Przrzecz mi, proszę, że co zechcesz czynić,  
 Nic bez porady twego przyjaciela  
 Nie przedsięweźmiesz. Możeż mnie to przrzec?

**Karlos.**

O! wszystko, wszystko, czego twoja miłość  
 Po mnie wymaga. Rządź mną Roderyku!

**Poza.**

Mówią, że król chce dzisiaj w mieście stanąć.  
 Czas nazbyt krótki. Jeśli potajemnie  
 Mówić z królową żadasz, tylko stać się  
 W Aranchuec to może. Cichość miejsca,  
 I okolicy proste obyczaje  
 Sprzyjają temu.

**Karlos.**

I ja tak mniemałem,

Ale napróżno!

**Poza.**

Nie napróżno, książę.

Ide natychmiast stawić się królowej.  
 Jeśli w Hiszpanii jeszcze jest tą samą,  
 Jaką widziałem na Henryka dworze:  
 Znajdę otwartość. Niech nadzieję twoję  
 Zdołam wyczytać w jój nadobnym oku;  
 Już do rozmowy z tobą usposobię,  
 Niech tylko można damy jój oddalić.

**Karlos.**

Większa ich część mnie sprzyja; mianowicie  
 Markizę Mondekar umiałem zjednać,  
 Darząc jój syna, który paziem u mnie.

**Poza.**

Tém lepiej. Bądź więc niedaleko, książę,  
 Abyś za danym znakiem mógł się zjawić.

**Karlos.**

O! dobrze, dobrze! Spiesz się, przyjacielu!

**Poza.**

I jednej chwili nie utracę darmo.

Tam się mój książę, zobaczymy znowu.

*(Rozchodzą się w przeciwnne strony).*

*Dwór królowy w Aranchuec. Prosta wiejska okolica przetrzygnięta aleją, w końcu której widać dwór wiejski królowy.*

### SCENA III.

KRÓLOWA, KSIĘŻNA OLIVAREZ, KSIĘŻNA EBOLI  
I MARKIZA MONDEKAR.

*(Zbliżają się aleją).*

**Królowa** *(do markizy).*

Markizo, chcę cię bliżej mieć przy sobie.  
Nazbyt wesołe oczy mojej księżny  
Męczą mię cały ranek. Czy postrzegasz,  
Jak ledwo może ukryć swoją radość,  
Że się już ze wsią żegna.

**Eboli.**

Nie chcę przeczyć,  
Łaskawa pani, że z radością wielką  
Ujrzę znów luby Madryt.

**Mondekar.**

Czyż nie również  
Wasza Królewska Mość do miasta wraca?  
I czyż Aranchuec niechętnie rzuca?

**Królowa.**

O! niezbyt chętnie lubą okolicę.  
Jestem tu jak w mym świecie. To ustronie  
Wybrałam dawno za najmiłsze sobie.  
Tu mię pozdrowia sielskie przyrodzenie,  
Lat mych dziecięcych droga przyjaciółka;  
Tu znowu igram, jak igrałam kiedyś,  
I mojej Francyi wionie tu powietrze.  
Nie bierzcie mi to za złe. Do ojczyzny  
Pomimowoli tęsknią wszystkich serca.

**Eboli.**

Lecz jak samotnie, jakże martwo tutaj!

Zda się Trapistów klasztor.

**Królowa.**

O! przeciwnie:  
Madryt mi tylko martwym się wydaje.  
Cóż o tém sądzi moja Oliwarez?

**Oliwarez.**

Mojem jest zdaniem, Najjaśniejsza Pani,  
Ze jak oddawna są w Hiszpanii króle,  
Przyjęto zwyczaj, jeden miesiąc tutaj,  
Niektóre w Prado, a zaś zimę całą  
W stolicy pędzić.

**Królowa.**

Tak jest—wiesz to dobrze.  
Z tobą, nazawszem zaniechała sporów.

**Mondekar.**

I jakże miło z bliźnim być w Madrycie!  
Wkrótce urządzi piękne plaza-major  
Na walkę byków, i już Auto-da-Fe  
Nam przyrzeczono.

**Królowa.**

Już nam przyrzeczono!  
Czyż mi łagodna Mondekar to mówi?

**Mondekar.**

Dlaczegoż, pani? Tam kacerzy wiele,  
Których publicznie pałą.

**Królowa.**

Mnie się zdaje,  
Że moja Eboli inaczej mniema?

**Eboli.**

Proszę nie sądzić, Najjaśniejsza Pani,  
Żem od markizy gorszą chrześcianką.

**Królowa.**

Przebacz mi księżno, wiecznie zapominam  
Gdzie się znajduję. Mówmy o czem inném.  
O wsi rozmowa zdaje się toczyła?  
Dla mnie ten miesiąc dziwnie szybko przebiegł.  
Obiecywałam wiele przyjemności  
Z tego pobytu, wiele sobie pociech,  
I nie znalazłam, com obiecywała.  
Czyliżto z każdą tak nadzieją bywa?  
Nie mogę znaleźć jednego życzenia,  
Coby mnie potem srodze nie zawiodło.

**Oliwarez.**

A, co do życzeń, chciej powiedzieć, księżno,  
Czy hrabia Gomez jeszcze ma nadzieję?  
Może już wkrótce jego narzeczoną  
Witać będziemy?

**Królowa.**

Właśnie w samą porę  
Wspomniałaś o tém.

*(do księżny Eboli).*

Bardzo mię proszono  
Przemówić za nim kilka słów do ciebie.  
Lecz to zbyt cennie. Mąż, którego mają  
Moją najmilszą Eboli nagrodzić,  
Jest widać nader godnym tej zasługi.

**Oliwarez.**

Tak, Najjaśniejsza Pani, jest to zacny  
I znakomity mąż, którego król nasz  
Swemi laskami tak zaszczyca hojnie.

**Królowa.**

To go szczęśliwym kiedyś zrobi; jednak  
Chciałabym wiedzieć, czy on kochać umie,  
I czy na miłość zdolnym jest zasłużyć?  
Na to mnie Eboli odpowie.

**Eboli.**

*(zmieszana stoi w milczeniu z oczyma w dół spuszczonemi, nakoniec  
pada do nóg królowej):*

Pani!

Ulituj się nademną! Ach, nie dozwól,  
Na miłość Boga błagam cię, królowo!  
Nie dozwól mię poświęcić.

**Królowa.**

Co? poświęcić?

Nie potrzebuję więcej: powstań, księżno.  
O! to okropny los być poświęconą!  
Wierzę ci bardzo, powstań!—Jakże dawno  
Hrabiemu Gomez ręki swój odmawiasz?

**Eboli** *(wstając).*

Od kilku już miesięcy. Książę Karlos  
Jeszcze był w wyższej szkole.

**Królowa.**

*(dziwi się i śledzącym wzrokiem pogląda na nią):*

Czyś zbadała

W sobie przyczynę tego odmawiania?

**Eboli** (*z niejakim pośpiechem*).

To się nie stanie, najłaskawsza pani,  
Z tysiąca przyczyn nigdy się nie stanie.

**Królowa** (*poważnie*).

Nad jedną już zawiele. Dosyć dla mnie  
Ze go nie kochasz. Lecz przestańmy o tém.

(*do innych dam*).

Jeszcze Infantki dzisiaj nie widziała.  
Markizo, przynieś mi ją.

**Oliwarez** (*patrzy na zegar*).

Lecz to nie jest  
Zwykła godzina, Najjaśniejsza Pani.

**Królowa**.

Nie jest godzina, w której śmiem być matką?

O! to boleśnie! Nie zapomnij, proszę,

Mnie oznajmywać zwykłą tę godzinę.

(*Wchodzi paź i cicho coś mówi mistrzyni dworu, która obraca się  
potem do królowej*):

**Oliwarez**.

Łaskawa pani, markiz Poza.

**Królowa**.

Poza!

**Oliwarez**.

Wracając z Francji i z Niderlandów,

Prosi o łaskę, by mu pozwolono

Waszją królewskiej Mości osobiście

Przedstawić listy od regentki matki.

**Królowa**.

Może nie wolno?

**Oliwarez** (*ze znaczeniem*).

W danęj mi instrukcyi,

O tak szczególnym trafie przepomniano:

Czy może listy od obcego dworu,

Kastylski grand przybyły do Hiszpanii

Wręczać królowej w jęj ogrodzie wiejskim?

**Królowa**.

A więc przymuję tę odpowiedzialność

Na siebie.

**Oliwarez**.

Raczy mi, łaskawa pani

Dozwolić odejść na tę porę.



**Królowa.**

Można,

Jak się podoba.

*(Mistrzyni dworu oddala się, a królowa daje znak paziowi, który natychmiast wychodzi).*

#### SCENA IV.

KRÓLOWA, KSIĘŻNA EBOLI, MARKIZA MONDEKAR,  
I MARKIZ POZA.

**Królowa.**

Mile was witamy

W hiszpańskiej ziemi, komandorze.

**Poza.**

Która

Nigdy z chlubniejszą dumą nie mógł nazwać  
Swoją ojczyzną, jak w tej chwili.

**Królowa** *(do obu dam).*

Markiz,

Który z mym ojcem na turniejach w Reimsie  
Kopije tak świetnie kruszył, i potrzykroć  
Zwycięstwo memu kolorowi zjednał,  
Był pierwszym z swego kraju, co dał uczuć,  
Że i hiszpańska chlubnie być królową.

*(obracając się do markiza).*

Gdyśmy się w Luvrze raz ostatni z sobą  
Widzieli, komandorze, czyś pomyślił,  
Że kiedyś będziesz gościem mym w Kastylji?

**Poza.**

Nigdy, królowo, bom nie myślał wtedy,  
Że Francya dla nas jeszcze miała stracić  
I to jedyne, czegośmy najbardziej  
Jej pozazdrościć mogli.

**Królowa.**

Dumny Hiszpan!

I to powiadasz córce z domu Valois?

**Poza.**

Łaskawa pani, teraz śmiem to wyrzec,  
Gdyż teraz jesteś naszą.

**Królowa.**

Mnie mówiono,  
 Żeście przez Francją podróż swoją wiedli.  
 Cóż przynosicie od dostojnej matki,  
 I od mych wielce ukochanych braci?

**Poza (oddając listy).**

Królowa matka była dość cierpiącą.  
 Wszelkim pociechom tego świata obca,  
 By tylko mogła córkę swą królewską  
 Widzieć szczęśliwą na hiszpańskim tronie.

**Królowa.**

Możeli ona ma być nią w tej chwili,  
 Przypominając sobie drogich krewnych  
 I lube czasy? Wyście w wielu dworach  
 I krajach byli, i zwyczajów różnych  
 Pomiedzy ludźmi wiele mogli widzieć;  
 A powiadają, żeście, komandorze,  
 Postanowili żyć w ojczyźnie swojej  
 Dla siebie tylko? O! daleko większy  
 Władca, niż Filip król na swoim tronie.  
 Swobodny i filozof, wątpię bardzo,  
 Abyś w Madrycie mógł podobać: nazbyt  
 W Madrycie tęskno.

**Poza.**

O! to więcej znaczy,  
 Niżeli radość wszystkich innych krajów  
 Reszty Europy.

**Królowa.**

Czy być może? Dla mnie  
 Teraz już wszystkie wydarzenia w świecie  
 Aż do wspomnienia stały się obcemi.

*(do księżny Eboli).*

Postrzegam, księżno, w dali tam kwitnący  
 Kwiat hijacyntu: przynieś mi go, proszę.

*(Księżna udaje się na to miejsce. Królowa nieco ciszej do markiza):*

Wasze przybycie jeśli się nie mylę,  
 Musiało pewnie kogoś na tym dworze  
 Weselszym zrobić.

**Poza.**

O! znalazłem tutaj  
 Bardzo smutnego, a którego tylko  
 Jedno w tym świecie zdolne jest poruszyć.

*(Księżna powraca nazad z kwiatem)*

**Eboli.**

Gdyś, komandorze, tyle kraju widział,  
Zapewne wiele nam ciekawych rzeczy  
Masz opowiedzieć.

**Poza.**

Tak jest, moja pani:  
Wszak obowiązkiem wiecznym jest rycerza  
Szukać niezwykłych przygód, a najświętszym  
Bronić płeć piękną.

**Mondekar.**

Może od olbrzymów?  
Ale olbrzymów nie ma już na ziemi.

**Poza.**

Przemoc dla słabych zawsze jest olbrzymem.

**Królowa.**

Słusznie, markizie. Są olbrzymi jeszcze,  
Ale rycerzy nie ma.

**Poza.**

Niezbyt dawno,  
Kiedym z Neapolu do kraju wracał,  
Poruszającej sceny byłem świadkiem,  
W której me serce wielki udział miało,  
Przyjaźni świętym węzłem połączone.  
Jeślibym nudzić Najjaśniejszej Pani  
Opowiadaniem mojem się lękał ....

**Królowa.**

Do mnież należy wybór? i przerywać  
Ciekawość księżny nie dozwala wcale.  
Tylko do rzeczy: o! ja lubię słuchać.

**Poza.**

Dwa wielkie, świetne domy w Mirandola,  
Strudzone długą, krwawą nieprzyjaźnią,  
Którą od Gwelfów i od Gibellinów  
Ku sobie z przodków wciąż odziedziczały,  
Postanowiły związkiem pokrewieństwa  
Na wieczną wreszcie zgodę się połączyć.  
Fernando siostrzan dumnego Pietro,  
Z boską Matyldą, dziedziczką Kolonnów  
Byli wybrani, piękne to przymierze  
Na sobie ziścić. Nigdy przyrodzenie  
Dwóch serc piękniejszych jedno dla drugiego  
Nie utworzyło wzajem: takiej pary  
Nigdy świat dotąd trafniej nie skojarzył.

Jeszcze Fernando lubą narzeczoną  
 Ubóstwiał tylko w słabym wizerunku,  
 Drżąc czekał chwili, kiedy sprawdzi wdzięki,  
 Które ognista jego niecierpliwość  
 Nie śmiała zbyt wierzyc obrazowi.  
 O! jak on pragnął skrócić czas swych nauk,  
 Co go więziły w Padwie, i ów błogi  
 Przyspieszyć moment, gdy mu wolno będzie  
 Swojej miłości pierwszy hołd wyjąkać  
 U nóg Matyldy.

*(Królowa słucha uważnie. Markiz po niejakiem milczeniu opowiada dalej, o ile obecność królowy pozwala, bardziej do księżny Eboli zwracając mowę):*

Wtém przez śmierć małżonki,  
 Pietro stał się wdowcem. Chciwie starzec,  
 Z młodzieńczym ogniem podchwytuje wieści,  
 Które Matyldy sławę rozgłaszały.  
 Przybył, zobaczył—i pokochał silnie.  
 Nowe uczucie, cichy głos natury  
 Wkrótce zagłusza: i wuj siostrzanowi  
 Zdradnie wydziera młodą narzeczoną,  
 Wydzierstwo swoje święcąc przed ołtarzem.

**Królowa.**

I cóż Fernando?

**Poza.**

Na miłości skrzydłach,  
 Nie wiedząc wcale o straszliwej zmianie,  
 Do Mirandola rozmarzony spieszy  
 I przy gwiazd świetle drogę swą przebiega.  
 Bachancki odgłos muzyki i tańców  
 Straszliwie grzmi mu z okien oświetlonych;  
 Trwożnie po wschodach stąpa, i nieznanym  
 Widzi się w hucznej biesiadników sali,  
 Gdzie pośród gości uczujących gwarnie,  
 Siedział Pietro, przy nim boski anioł:  
 Anioł, którego zna Fernando, który  
 Nigdy świetniejszym w snach mu się nie roił.  
 Jedno spojrzenie wykazało snadnie,  
 Co on posiadał i co już na wieki,  
 Na wieki miał utracić.

**Eboli.**

Nieszczęśliwy!

**Królowa.**

Czy już historii waszej koniec? Ona  
 Musi mieć koniec.

**Poza.**

Jeszcze nie ma.

**Królowa.**

Przecież powiecie nam, czy ów Fernando  
Był przyjacielem waszym.

**Poza.**

O! najdroższym!

**Eboli.**

Kończ nam historią, komandorze.

**Poza.**

Ona jest nader smutną, a wspomnienia  
Wznawiają moją boleść. Raczy pani  
Od jej kończenia mię uwolnić.

*(powszechnie milczenie)*

**Królowa**

*(obracając się do księżny Eboli).*

Kiedyż

Wolno mi będzie córkę mą uścisnąć?

Przyniesź ją, księżno.

*(Księżna oddala się. Markiz daje znak paziowi, który pokazuje się w głębi i natychmiast znika. Królowa otwiera listy dane jej przez markiza i czytając okazuje się bardzo zdumioną. Markiz cicho z zajęciem się rozmawia z markizą Mondekar. Królowa po przeczytaniu listów obraca się z bawącym spojrzeniem do niego).*

Nic nam o Matyldzie

Nie powiedziałaś? Może ona nie wie,

Ile Fernando cierpi?

**Poza.**

Nikt Matyldy

Jeszcze nie zbadał serca. Wielkie dusze

Boleją cicho.

**Królowa.**

Cóż się tak oglądasz?

Kogóżto wzrok wasz szuka?

**Poza.**

Myszę o tém,

Jakby szczęśliwym był na mojem miejscu

Ktoś, kogo nie śmiem nazwać.

**Królowa.**

Czyjaż wina,  
 Że go tu nie ma?

**Poza** (*nagle podchwytyując*).

Mamże się ośmielić  
 Pojąć to, jakbym żądał? Czyliż jemu  
 Byłoby przebaczone, gdyby się tu zjawił?

**Królowa** (*przestraszona*).

Tutaj, markizie, teraz? Co to znaczy?

**Poza.**

Byłoby przebaczone?

**Królowa** (*z rosnącym pomieszaniem*).

Ach markizie!  
 Przestraszasz: przecież go tu nie ma.

**Poza.**

Jest już.

**SCENA V.**

KROLOWA, KARLOS.

(*Markiz Poza i markiza Mondekar w głąb się oddalają*).

**Karlos**

(*rzucając się do nóg królowej*).

Nadszedł nareszcie pożądany moment  
 I Karlos drogą rękę tę dotyka!

**Królowa.**

Co za postępek! Godném ukarania  
 Zuchwale to podejście!—Powstań, proszę!  
 Was mogą odkryć: dwór mój jest w bliskości.

**Karlos.**

O! nie powstanę: tu chcę wiecznie klęczeć,  
 Wiecznie tu leżeć jak przyczarowany,  
 Jakby wrośnięty tutaj.

**Królowa.**

O! szalony!  
 Czyż moja dobroć tak cię ozuchwala?  
 Nie wiesz, że to królowa, że to matka,  
 Do której takie śmieś wyrazy zwracać?

Dowiedz się, że ja o tem wydarzeniu  
Królowi sama ..

**Karlos.**

Niech i umrzeć przyjdzie,  
Niech mię oderwą zład na rusztowanie:  
Przeżyta w raju jedna tylko chwila,  
Nie jest zbyt drogo opłacona śmiercią.

**Królowa.**

A cóż z królową wtedy?

**Karlos** (*wstając*).

Boże!—idę!  
Opuszczam cię: nie powinienem zostać,  
Gdy tak odemnie żądasz? Matko, matko!  
O jak straszliwie ze mną igrasz! Jedno  
Skinienie oka, jeden z ust twych wyraz  
Mnie nakazuje odejść—lub pozostać?  
Powiedz, co jeszcze zrobić mi należy?  
Cóż się pod słońcem znaleźć jeszcze może,  
Czego poświęcić nie chciałbym dla ciebie?  
Racz tylko wyrzec!

**Królowa.**

Ach uciekaj!

**Karlos.**

Boże!

**Królowa.**

To jest jedynem, o co śmiem ze łzami  
Zaklinać cię, Karlosie: ach uciekaj,  
Nim moje damy, nim te dozorczyńnie  
Mego więzienia razem nas postrzegą,  
I straszną wieść do króla nie zaniosą.

**Karlos.**

Czekam mojego losu—niech on będzie  
Życiem lub śmiercią. Na toż me nadzieje  
Stopilem wszystkie w tę jedyną chwilę,  
Którą nakoniec darzysz mię bez świadków,  
By mię u celu płonny strach przerażał?  
O nie, królowo! Świat na swojej osi  
Razy się stokroć, tysiąckroć obróci,  
Nim znów wypadek chwilę tę powtórzy.

**Królowa.**

Oby przez całą wieczność nigdy więcej!

**Karlos.**

Królowo! jakem długo z sobą walczył,  
Jak jeszcze nikt nie walczył ze śmiertelnych,  
Bóg moim świadkiem, lecz daremno. Słabnie  
Me bohaterskie męstwo: ja upadam.

**Królowa.**

Przestań już o tém, dla méj spokojności.

**Karlos.**

Ty byłaś moją przed obliczem świata,  
Mnie przyrzeczoną od dwóch wielkich tronów;  
Moją przyznały niebo i natura,  
A Filip, Filip wydarł...

**Królowa.**

    Który ci w puściznie  
Największe w świecie państwo ma zostawić.

**Karlos.**

Ciebie za matkę!

**Królowa.**

Ty w szaleństwo wpadasz.

**Karlos.**

Czy wie, jak jest bogatym? Czy posiada  
Czujące serce, by ocenił twoje?  
Nie chcę się żalić, nie, ja chcę zapomnieć,  
Jakie mnie szczęście niewypowiedziane  
Czekalo w tobie, jeśli on szczęśliwym.  
Lecz on nim nie jest, o męczarnie piekła!  
Nie jest szczęśliwym i nie będzie nigdy.  
Tyś mi wydarła tylko moje niebo,  
By je zniweczyć w uściskach Filipa.

**Królowa.**

Straszliwa myśl!

**Karlos.**

    O, wiem ja, kto skojarzył  
Zgubny ten związek; wiem, jak Filip kochał,  
I czy z miłości żądał twojej ręki.  
Kimże jesteście przecież w téj krainie?  
Może regentką? nigdy! Czyżby mogli  
Tacy jak Alba nękać? Czyżby Flandrye  
Mogły za wiarę tak się krwią oblewać,  
Tam gdzie ty rządysz? Snać małżonką króla?  
O niepodobna! nie chcę temu wierzyć:  
Małżonka włada sercem swego męża,



A jego serce tobież się należy?  
 Każda pieśczoła, co w gorączki szale  
 Jemu się wyrwie, czyż nie wymodlona  
 Nazbyt u władzy i u siwych włosów?

**Królowa.**

Któż ci powiedział, że mój los z Filipem  
 Godny litości?

**Karlos.**

To ogniste serce,  
 Co mocno czuje, jak on byłby ze mną  
 Godnym zazdrości.

**Królowa.**

O człowieku próżny!

A jeśli moje serce ci zaprzecza?  
 Jeśli Filipa ta poważna względność,  
 To jego nieme, ciche przywiązanie  
 Daleko silniej przemawiają do mnie,  
 Niżeli jego zbyt dumnego syna?  
 Zuchwała mowa! Jestli cześć dla starca?

**Karlos.**

A, to rzecz inna, jeśli tak, przebaczcie!  
 Ja nie wiedziałem, nie wiedziałem wcale,  
 Że kochasz króla.

**Królowa.**

Tak, poważać męża,  
 Jest mém życzeniem i pociechą całą.

**Karlos.**

Toś nie kochała?

**Królowa.**

Dziwne zapytanie!

**Karlos.**

Nigdyżto nie kochałaś?

**Królowa.**

Już nie kocham.

**Karlos.**

Czy to wam serce, czy przysięga wzbrania?

**Królowa.**

Zostaw mię, książę, i nie przychodź więcej  
 Mnie podobnemi męczyć pytaniami!

**Karlos.**

Czy to wam serce, czy przysięga wzbrania?

**Królowa.**

Moja powinność. O nieszczęsny! Po co  
Zda się ten smutny rozbiór przeznaczenia,  
Któremu zostać posłusznemi musim?

**Karlos.**

Co? posłusznemi? musim?

**Królowa.**

Cóż oznacza

Ten uroczysty ton wasz!

**Karlos.**

On oznacza,

Że Karlos nie zwykł wtedy być posłusznym,  
Kiedy chceć może; że nie myśli Karlos  
Najnieszczęśliwszym zostać w owém państwie,  
Gdzie mu kosztuje tylko prawa zwalić,  
By najszczęśliwszym stać się.

**Królowa.**

Czy pojmuję?

Chcesz się spodziewać, jeszcze masz nadzieję,  
Gdzie wszystko, wszystko zda się już straconem!

**Karlos.**

Tylko umarłych mają za straconych.

**Królowa.**

Mnie, twojej matki jeszcze się spodziewasz?  
*(długo patrzy nań przenikliwie; potem z godnością i po-  
wagą).*

O! czemuż pewno!—Nowy król jest w stanie  
I więcej działać. Wszystkie rozrządzenia  
Zeszłego władcy w ogień może rzucić,  
Zwalić obrazy jego; może nawet.....  
Bo cóż przeszkodzi zwłoki swoich przodków,  
Spoczywające w Eskuryalu dawno,  
Znowu na światło wywlec i rozproszyć,  
Na cztery wiatry ich zhańbiony popiół;  
Może nareszcie, by zakończyć godnie..

**Karlos.**

Na miłość Boga, przestań, nie domawiaj!

**Królowa.**

Może nareszcie z matką się ożenić.

**Karlos.**

Przeklęty syn!

*(przejęty zgrozą stoi przez chwilę w milczeniu).*

Zapóźno, już się stało.

Tak, teraz czuję, teraz widzę jasno,  
 Co dla mnie wiecznie ciemnem miało zostać.  
 Straciłem ciebie, los już jest rzucony.  
 Straciłem wiecznie, ach! umarłaś dla mnie,  
 Umarłaś już nazawsze! W tém uczuciu  
 Straszliwe leży piekło; również piekło  
 Leży w nadziei osiąść ciebie kiedy.  
 Biada mi! objąć to, już nie mam siły:  
 Serce mi pęka, głowa cięży strasznie.

**Królowa.**

Godnys litości, drogi mój Karlosie!  
 Czuję ten cały ogrom twojej męki,  
 Co szarpie teraz łono. Nieskończoną  
 Jak twoja miłość, jest i boleść; również  
 Jest nieskończoną chwałą ją pokonać.  
 Wspomnij to sobie młody bohaterze!  
 Nagroda godną jest tój wzniosłej walki,  
 Godną młodzieńca, po którego sercu  
 Zaszczytna cnota tylu przodków krąży.  
 Nabierzcie tylko ducha, zacny książę!  
 Niech tam poczyna walczyć wnuk wielkiego,  
 Gdzie trwożnie kończą innych ludzi dzieci.

**Karlos.**

Ach! już zapóźno!

**Królowa.**

Mężem się okazać,

Karlosie! jakże wielką będzie cnota,  
 Jeśli twe serce w walce tój ustąpi!  
 Wysoko, książę, o daleko wyżej,  
 Niżli miliony innych twoich braci  
 Opatrzność ciebie postawiła. Chciwie  
 Ujmując innym, swego ulubieńca  
 Wielkimi dary osypała szczerze.  
 Czemże zasłużył, wszyscy się pytają,  
 Jeden z pomiędzy tylu nas śmiertelnych  
 Na taką hojność matki, przyrodzenia?  
 Okaż na sobie sprawiedliwość nieba!  
 Zasłuż na godność przodkowania światu,  
 I poświęć, czego żaden nie poświęcił!

**Karlos.**

Ciebie wywalczę, mam olbrzymią siłę;  
Utracić, braknie mi już sił człowieka.

**Królowa.**

Wyznaj Karlosie, że zuchwałość, duma,  
I jakaś gorycz niezbadana życia,  
Pędzą tak wściekle żądze twe ku matce.  
Miłość i serce, co mnie tak skwapliwie  
Niesiesz w ofierze, państwu się należą,  
Którym masz rządzić kiedyś. Nie roztrwaniaj  
Powierzonego tobie sierot dobra.  
Miłość jest wielkim darem. Ona dotąd  
Obłądnie wiodła cię ku matce. Zwróć ją,  
Zwróć ją ku szczęściu przyszłych twoich krajów;  
Zamiast sumienia nieustannych ciosów,  
Uczuj pociechę być narodów bóstwem!  
Elżbieta była pierwszą twą miłością,  
Niechże więc drugą stanie się Hiszpania!  
O jakże chętnie, dobry mój Karlosie,  
Chcę najlepszego z kochanków poświęcić!

**Karlos**

*(pokonany uczuciem, rzuca się jej do nóg).*

Niebianko, jakżeś wielką! Tak jest, wszystko,  
Wszystko wykonam, czego tylko żądasz!

*(powstaje)*

Tu, przed potęgą Wszchemocnego Stwórcy,  
Przysięgam tobie, wiecznie poprzysięgam,  
Ale dla boga, tylko wiecznie milczeć,  
Bo cię zapomnieć wiecznie—nie przysięgnę!

**Królowa,**

Mogęż wymagać tego po Karlosie,  
Czegobym sama nigdy nie zdołała?

**Poza** *(pospiesza z alei).*

Król!

**Królowa.**

Boże!

**Poza.**

Prędzój, prędzój odchodź, książe!

**Królowa.**

Gdy cię postrzeże, straszne podejrzenia.

**Karlos.**

Zostaję.

**Królowa.**

Któż więc stanie się ofiarą?

**Karlos** (*ciągnąc markiza za rękę*).

Idźmy, Rodryku, idźmy!

(*odchodzi i znowu się wraca*).

I cóż z sobą

Śmiem ponieść?

**Królowa.**

Przyjaźń twojej matki.

**Karlos.**

Przyjaźń?

Matki!

**Królowa.**

I lży te z biednych Niderlandów.

(*daje mu niektóre listy. Karlos i markiz odchodzą. Królowa niespokojnym wzrokiem szuku dokoła swoich dam, które się nigdzie nie okazują. Gdy w głąb sceny chce się udać, wchodzi król*).



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Wieczorne rozrywki przy kominku, (z 3 stalorytami i 23 drzeworytami. Poznań. Nakładem i czcionkami Ludwika Merzbacha. 1855).*

**K**siążeczka pod powyższym tytułem, ze 182 składająca się stronic, ozdobiona cudzoziemskiego autoramentu sztychami i drzeworytami, jest luźnem dziełem treści zbiorowej, zakrawającym na wydanie peryodyczne, na podobieństwo dawnych warszawskich Noworoczników. Jest tu i powieść i poezji trochę, i opisy dorabiane do rycin, są wiadomości naukowe: słowem wszystkiego potrosze, dla zjednania snadź wszelkiego rodzaju czytelnika. Pomijając treść naukowo-popularnej rozprawki „O rachubie czasu“, skreślonej z wielką znajomością rzeczy, i takiegoż traktatu, „O wynalazku balonów“, zwrócić w tych rozrywkach winniśmy uwagę ogółu na powiastkę R. W. Berwińskiego, opowiadaną przy stole wirującym, p. t: „Dwa Kruki“. Dziwna to zaprawdę powiastka pod wielą względami. Jest w niej i mistyczność, i cudowność, i oryginalność, i tajemniczość; jest pewien stopień zaciekawienia czytelnika, zasadzający się naprzemiany: to na tragicznych, to znów na komicznych sytuacjach; jest moralność i niemoralność: są więc to wszystko cechy, których razem już nie napotykamy prawie w tegoczesnych powieściach.

Oto mniej więcej tło wspomnionego opowiadania: Hortensya córka jednego naszego magnata z ostatnich czasów, o duchu niespokojnym i górnej fantazyi, przymiotach dzieciznych w jej rodzinie, zostaje narzeczoną niejakiego Stanisława, młodzieńca również znakomitej familii, mającego uiszczyć jej młodociane o bohaterstwie i obywatelskiem poświęceniu się marzenia. Stało się jednak przeciwnie. Przedsięwzięcie w którym Stanisław czynny brał udział, skończyło się zupełną po-

rażką i klęską dla przedsiębiorców. Wiadomość o tém przywiodła Hortensyą do rozpacz. Kochając prawdziwie Stanisława, wolałaby raczej dowiedzieć się iż poległ, aniżeli, że z krytycznej katastrofy całe unosi życie. Dlatego, kiedy narzeczony ów, w dalekie udając się strony, przybył do domu jój rodzica z pożegnaniem, nie chciała widzieć się z nim, tylko krótkimi lecz gorzkiemi odpisała doń słowy. Mimowolna jednak obojętność niedługo trwała: zaledwo bowiem po jego oddaleniu kilka dni minęło, uczuła w sercu głęboki żal i tęsknotę. Wiadomości później o narzeczonym otrzymane, wypadające na jego stronę najkorzystniej, dały jój poznać wielkość krzywdy, jaką mu swém nielitosném sprawiła pożegnaniem, i przywiodły tę zapalenie kochającą istotę do smutnego stanu obłąkania. Chorobę Hortensyi przechodzącą niekiedy aż do szaleństwa, lekarze uznali za nieuleczoną. Wtém na dworze jój ojca zjawia się Francuz, przybłąda, zwolennik metody Mesmera; opatrzone listami rekomendacyjnemi, doznaje gościnnego przyjęcia; obserwując chorobliwe uosobienie Hortensyi, objawia zdanie, że takowe da się zupełnie uśmierzyć za pomocą magnetyzmu. Zropaczony oddawna nad zdrowiem córki, ojciec, w nadziei znalezienia w podawanym przez Francuza środku ulgi w jój cierpieniach, zezwała na kuracyą magnetyczną. Kuracya ta, po niejakiem czasie taki osiągnęła skutek, że Hortensya pewnego dnia pokazała się ojcu w żałobnych szatach i rzekła: „Ojcie drogi, Stanisław mąż mój, nie żyje; na polu sławy poległ śmiercią walecznych: przed tobą kłęczy nieutulona w żalu po nim wdowa“. Stary ojciec wziął te słowa za dowód obłąkania. Okazało się jednak, że Hortensya mówiła je na seryo: opowiadała bowiem później, z całą powagą i pogodą oblicza, jako raz usłyszała szum jakiś wokoło siebie; potem krzyk, wołanie i szczepek broni, tętent koni i kilka po sobie idących wystrzałów. Że zerwała się przerażona i chciała uciekać, aż oto u nóg swych widzi kłęczącego Stanisława. Wtedy upadła w jego objęcia. „Bogu niech będzie chwała, zawołał on, tuląc Hortensyą do serca, tyś moja, tyś moja!“ Potém Hortensya nie wiedziała co się z nią stało; później dopiero przypomniała sobie, że w obozowej kaplicy ksiądz Serafin dawał jój ślub ze Stanisławem; pokazywała obrączkę, którą jój przy błogosławieństwie na palec włożył; opisywała rozpacz swą, kiedy Stanisław wkrótce potem obskoczony przez nieprzyjaciół, kilku strzałami przeszyty, bez duszy padł na ziemię. To całe opowiadanie Hortensyi, połączone z pokazaniem tajemnego pierścionka ślubnego, wprawiło całą jój rodzinę w nieopisaną trwogę i zdumienie. Zdumienie to powiększyło się po upływie pewnego czasu, tém bardziej, skoro ją postrzeżono cieszącą się ze stanu macierzyństwa, które ona przypisywała owemu krótko trwałemu związkowi ze Stanisła-

wem. Na razie nie pora była szukać powodów złego. Brat Hortensyi obrażony postępkiem siostry, w którym winę tylko jęj, miastojakichs urojonych wpływów ze świata nadprzyrodzonego upatrywał; zagnił ojca, aby ją co rychlej wyprawił do Niemiec, na wieczne tamże w jakiejś miéscinie przebywanie: sam zaś zawczasu cieszył się myślą posiadania znacznej części przypadającego jęj w dziale majątku. Hortensya widząc się pomawianą o zbrodnię przeciw czci i wierze niewieściej, której nie popełniła, i w najbliższych członkach rodziny nie znajdując ulgi i pociechy w cierpieniach; dręczona nieludzkimi wyrzutami brata, który jęj hańbę familii i skalenie gniazda wyrzucał: piękną twarz swoją chcąc na wieki zmienić do niepoznania, w chwili ciężkiej rozpaczycy, połała ją witryolejem i zmieniła się tym sposobem w czarne, przerażające monstrum. W żalobnych szatach i z zapuszczonym welonem opuściła rodzinny kraj. Bankier znajomy ulokował ją w jakiejś niemieckiej miéscinie, ułatwił jęj zmianę nazwiska; a dla zaspokojenia dumy rodziny, podrobiony akt zejścia, ojcu Hortensyi przesłał. Rozgłoszono, że ta oddawna wążła i chora istota, w przejeździe do jakichs tam wód, umarła. Ojciec nieszczęśliwej bohaterki opowiadania, zaciągnął był od wzmiankowanego bankiera dług, najjednorazowe wyposażenie córki. Gotówki jednak nie odebrał, tylko zobowiązał bankiera, aby coroczny procent od kapitału przypadający, córce na utrzymanie wypłacał. Tak było czas niejaki. Stary magnat umarł: syn jego nie myślał o płaceniu siostrze prowizyi w ratach umówionych. Bankier z początku zastępował go: późnięj widząc bezskuteczne dalsze swe w tęg mierze kroki, zaniechał z nim korespondencyi, a pani Hortensyi, potrzebującej oprócz wyżywienia siebie, funduszu na wychowanie córki, którą miała przy sobie: poradził zajęcie się jakim uczciwym, chleb dającym procederem. Biedna kobięta znalazła się w ostateczności. Pozbawiona wszelkich materyalnych środków, zeszpecona na twarzy tak, że każdy odrazę na jęj widok doznawał, za namową bankiera, rzuciła się do okropnego zatrudnienia: — została trupiarką.

Przez długi czas trudniąc się tęg rzemiosłem, zawsze tajemnicza i zawoalowana, mając przy boku jedynie wierną jeszcze z lat dziecinnych pokojówkę: przy rzetelności zebrała ona znaczny majątek. Wiedząc atoli, że brat jęj żyje, że ma syna, i że całkiem o nięj zapomniał: zapragnęła naprzód zemścić się na nim, a potęm mu winę przebaczyć. Przez pośrednictwo więc owego bankiera, zażądała naraz wypłacenia sobie kapitału i narosłych od lat wielu procentów składanych; które gdyby rzeczywiście miały być w zupełności w gotowiznie wypłacone, zrujnowałyby pana brata ze szczętem. Hortensya przybrała nazwisko pani Rabe: na rzecz to tęg mniemanęj osoby posiadał



przelew jej praw, ów bankier. Cała więc sprawa przybrała pozór enigmatyczny, a to tém bardziej, że brat Hortensyi wysłał za temi interesami własnego syna za granicę, nic mu nigdy nie mówiąc, że miał kiedy siostrę, że takowa żyje, i że przezeń pokrzywdzoną została. Hilary (było to imię siostrzeńca Hortensyi), przybywa za granicę, i negocjuje z bankierem o zwłokę wypłaty długu, niewiadomego mu pochodzenia. Starania jego okazują się bezskutecznymi. Chodząc po mieście nieznaném, rzadko uczęszczaném od Polaków, w braku znajomości, trawiłny jakąś gorączką i niepokojem, rozrywa się w kłopotach, bliższém badaniem miejscowości. Głównie zastanawia go dom jakiś, na pozór opuszczony, położony na jednej z odległych ulic, wiecznie zawarty, z pozamykanymi okiennicami. W tym domu mieszkaly trupiarki, zwane od wszystkich „czarnymi krulkami“. Co do osób ich, Hilary żadnych u nikogo nie mógł zasięgnąć wiadomości. Nie udzielił mu ich nawet zapytywany o to bankier, choć dobrze wiedział całą prawdę.

Traf jednak zrządził, że Hilary poznał się z swoją ciotką, przy ciele zmarłego przyjaciela; który również pragnąc spojrzeć oko w oko niewidzialnym dla żywych trupiarkom, obstałował je na oznaczony termin do siebie; miał udać letarg, i przypatrzeć im się dokładnie niby po ocknieniu. Tymczasem nieszczęście mieć chciało, iż dniem wprzód udał się na polowanie: spadł z konia, zabił się; i kiedy go nieżywego do mieszkania zanesiono, trupiarki bez obstałunku obecnych, zamówione przez nieboszczyka, nieprzewidującego naturalnie nagłej swjej śmierci, same przybyły. Otóż z tym znajomym, Hilary umówił się, że go w ów dzień upozorowanej śmierci odwiedzi. Postrzegłszy na prawdę umarłego, krzyknął z przerażenia, i padł bez zmysłów prawie. Trupiarki poznały w nim podobieństwo familijne rysów twarzy; zoczyły w jego kieszeni list z adresem do ojca: po tym liście poznały kim był. Hilary wpadł w stan jakiś odrętwienia, podobny do letargu; przeniesiono go do jego mieszkania. Doktorzy zaopiniowali, że umarł. On zaś popadł w kilkodniowy sen magnetyczny. Trupiarki zamówiono. Pielęgnowały go one jako blizkiego sobie, miasto na śmiertelną wędrowkę go ubierać. Hortensya przywołała do łoża Hilarego swą córkę, także czarno przybraną i zakwefioną. Obecność tej młodej i pięknej istoty, przywiodła Hilarego do życia. W swym śnie bowiem widział on wszystko, tylko nie miał siły powstać, wydać głosu i otworzyć oczy. Chorego, skoro się przebudził, a tém samém dał poznać, że żyje, sprowadzono do trupiarek; napisano do ojca, i zwaśniona długo rodzina pogodziła się. O dalszym losie Hilarego i Krysi, córki Hortensyi, nic nie wiemy. O Francuzie zaś to musimy nadmienić, że skoro długi czas widać go nie było na dworze ojca Hortensyi, rzucono na niego podejrzenia, które w istocie były najprawdziwszemi. Nieszczęśliwa rodzina począła śledzić niktze-

mnika. Przydybała go aż na przeciwległym krańcu Polski, ciągle praktykującego swe magnetyczne doświadczenia. Brat pomścił siostrę i zabił go w pojedynku. Konając Francuz ów, wyznał, że nikczemnie nadużył chorobliwego stanu Hortensyi, że przez ciągle opowiadania o Stanisławie, którego niby znał, i z którym niby nieraz razem walczył w jednych szeregach, pozyskał jęj zaufanie: że magnetyzował ją, że ona do snu magnetycznego z natury była skłonna; że kazał jęj widzieć w tym śnie to wszystko, co później ojcu i bratu mówiła z wszelką pewnością i przekonaniem, że mówi prawdę; że wreszcie wywoławszy raz widzenie Stanisława, niewinną zhańbił. W treści tęg opuszczamy tysiące wydarzeń drobnych, niesłychanie wpływających na podniecenie ciekawości czytelnika, i podajemy wypadki w porządku niejako takim, w jakim pó sobie następowały; nie zaś jak je ów pan Hilary sam, pewnemu znajomemu swemu, w tém samém niemieckim miasteczku opowiadał. Magnetyzm gra przeważną rolę w całym opowiadaniu. Czytelniczki zwłaszcza do ostatniej kartki, wielkiemu mogą ulegać złudzeniu. Na końcu dopiero pokazuje się, że imaginacya tylko nasza, skłonna do marzeń i urojeń, śni sobie częstokroć rzeczy nie bywale, a najprostsze do stopnia cudowności podnosi. Cała ta historia, (pozwalamy sobie użyć tu tego wyrazu) nader jest zręcznie przez p. Berwińskiego napisana. Zdanie wyrzeczone o nięj wyżęj, to jest: że do współczesnych powieści niepodobna, podziela zdania czytelnicy. Gdyby żył Szlegel, wskazałby ją jako jeden dowód więcj na poparcie swych trafnych uwag nad charakterem chybionego romansu.

„Przedstawienie, pisze krytyk ten, póki tylko jest przedstawieniem, usiłuje ciągle wyzwać się z krępującej je rzeczywistości, i torować sobie zawsze drogę w dziedzinie, w której się fantazyja swobodnięj poruszać może; a wypadki podróży, pojedynki, uwiedzenia, bandy rozbójników lub przygody i stousunki jakiego towarzystwa wędrownych aktorów, wystarczającym nieraz ku temu bywają środkiem.

„Pojęcie romantyzmu w tych romansach schodzi się zwykle z zasadami antipolitycznymi. To mi przypomina następujące zdanie pewnego znakomitego myśliciela: że przy należycie uorganizowanej politycy (skoro państwa handlowe równo na granicach są strzeżone, a nawet paszporta podróźnych, szczegółowemi ich życiorysami i wizerunkami opatrzone będą), romans stałby się prostém niepodobieństwem; bo w życiu, nieby już wówczas nie zaszło takiego, coby mogło dać powód i stanowić jakikolwiek materyał do romansu.“ Zdanie to, dodaje Szlegel, śmieszne samo z siebie, nabiera pewnej zasady, skoro je odniesiem do chybionego rodzaju romansów“ (1).

(1) Geschichte der Alten u. Neu. Litt. str. 315.

Bulwer, Stowe, Bremerowa u obcych, Kraszewski i Korzeniowski u nas, potrafią zajmować, nie szukając nadzwyczajności. Wiedział o tém pewno dobrze sam p. Berwiński, skoro na czele swej powiastki napisał: że „Dwa kruki“ są opowiadaniem przy kręcących się stolikach.

I. Z.

*Karola X Gustawa, króla szwedzkiego trofea i sprzęty stołu, zdobyte przez Stefana Czarnieckiego w 1656 roku; opisane i ogłoszone przez hr. Eustachego Tyszkiewicza, członka korespondenta krakowskiej akademii, nauk wyzwolonych, historii i starożytności w Sztokholmie i t. d. Wilno. Nakładem księgarni pod firmą Rubena Rafałowicza. 1856. Tekst polski i francuzki. (W 4-ce podłużnej. Str. 17).*

Z czasów to pełnych chwały i zapasów bojowych, z przed 200 okrągło laty dochowały się te trofea pamiętnego zwycięstwa nad Karolem Gustawem. Sławny tych czasów nasz bohater Stefan Czarniecki, dwa razy zdobył bogate łupy na Karolu X. Uderzywszy nad Sanem pod Jarosławiem na Szwedów, rozproszył ich: „Wozy i ciężary (jak sam wyraża), właśnie wówczas na most zdążyły, w oczach samego króla w ręce naszych wpadły; w téj zdobyczy znalazło się i srebro stołowe królewskie“ (1). Następnie wysłał znanego dobrze z odwagi i poświęcenia rotmistrza Szandarowskiego, który tak nagle zaskoczył samego króla siadającego do stołu, w domu plebana wsi Rudnik w województwie sandomierskiem, że porzecz, szarfę królewską i srebro stołowe, odbieżane w popłochu, jako zdobyte wojenną zabrał, i odwiózł swojemu wodzowi. Te pamiątki przechowywane dawniej w Białymstoku u Jana Klemensa Branickiego, prawnuka Czarnieckiego, które prawem spadku przeszły później na własność hr. Felixa Potockiego, a obecnie w całości zachowane na Litwie w gubernii grodzieńskiej, w powiecie wołkowyskim, w majątności Roś zwanéj, u pani hr. Zofii z Paców Niesiołowskiej: Eustachy Tyszkiewicz opisał, i wedle rysunku z natury hr. Stanisława Soltana, w chromolitograficznych rysunkach w zakładzie M. Fajansa wydał.

Krajewski autor żywota Stefana Czarnieckiego znał te zażytki i oglądał, bo je opisał, lubo nie tak szczegółowo jak je teraz mamy. Cztery dołączone do opisu chromolitografie przedstawiają:

(1) List z daty 18 marca 1656 do księdza Fryderyka Alupeka kanonika przemyskiego.

1) Proporzec Karola Gustawa z białego jedwabnego adamaszku, złotem wypukło szyty. Przedstawia we środku ptaka (gołębia) w promieniach. Głoski C. G. R. S. oznaczają: „Carolus Gustavus Rex Sueciae“. Wielkość wynosi  $\frac{3}{4}$  łokcia litewskiego w kwadrat. U dolnego prawego rogu, łąta z takiegoż adamaszku. Przy głosce R plama od krwi zachowała się przez ciąg lat dwustu. Cały prawy brzeg od drzewca oderwany.

2) Szarfa królewska szyta na płask srebrem, na morelowej jedwabnej kitajce: haft bogaty, z trofeami rycerskimi, i literą S gęsto posianą. Długości ma łokci 4 cali 16, szerokości cali 17. Szarfa ta zupełnie dobrze zachowana dotąd.

3) Dwa talerze srebrne z cyframi króla Karola Gustawa (pod koroną litery C. G. R). Michał Krajewski w życiorysie Stefana Czarnieckiego wspomina: że najmiliej temu bohaterowi było jadać na nich (1).

4) Odrzewacz stołowy, naczynie srebrne do gotowania lub odgrzewania potraw, z wkładanym żelaznym kociołkiem. Odkręca się od podstawy; dno ma wycięte na wylot. Pas górny w arabeskach na wskrós rzniętych, Cyfry, herb i wieniec rylcem, lwie głowy z ozdobami przy nich (służące za uszy naczynia) wypukło zrobione.

Wydawca tych pomników przy końcu opisów zdobyczy, umieścił z dzieła *Theatrum Europaeum* (wychodziło w Frankfurcie nad Menem od r. 1635—1738 w 21 tomach: z tomu VII str. 934 i 937) dwa listy Stefana Czarnieckiego i jeden Jerzego Lubomirskiego, opisujące pod wrażeniem chwili zwycięstwa świeżego szczegóły ciekawe.

My dla uzupełnienia ogłoszonych w pracy E. hr. Tyszkiewicza zdarzeń, dodamy z rękopiśmu Jana Wardińskiego, obszerniejsze sprawozdanie dotyczące właśnie tych trofeów.

Wardiński nie wiedział nazwiska rotmistrza (Szandarowskiego) który napadł w Rudnikach Karola Gustawa; ale go nazywa wielce sprawnym rotmistrzem i prawą ręką Stefana Czarnieckiego. Opisuje, że gdy nasi wpadli, rotmistrz z dobranymi towarzyszami parł prosto na plebanią, w której wedle otrzymanego języka, sam Karol Gustaw do stołu siadał. Zerwali się od nakrytego stołu przestraszeni Szwedzi, król szwedzki rzucił się we drzwi, i tam go za szarfę ułapił jeden towarzysz; szarfa została mu tylko w ręku, król uszedł. Na ganku schwytał go drugi za rękę, ale rękawicę jeno przytrzymał. Karol Gustaw dosiadł konia i to nie swego; zmykał też potężnie: a byłby mimo to nie uszedł niewoli, gdyby się ci, co szli za rotmistrzem, nie zabawili, goniąc w pojedynku uciekających Szwed-

(1) Rysunek tych talerzy nie w całości, ale w części podany.

dów. Relacya ta Wardińskiego zgadza się zupełnie ze słowami listu Jerzego Lubomirskiego z Baranowa, d. 7 kwietnia 1656 pisanego do królowej (umieszczony jest na końcu niniejszego dziełka) „Nawet w Rudnikach sam król szwedzki byłby naszym wpadł w ręce, gdyby straż tylko cokolwiek się nie spóźniła”.

K. Wl. W.

### Przegląd muzyczny.

I. Teatr. II. Koncert na dochód ubogich: Marsz żalobny Chopina, instrumentowany przez Quattriniego. III. Nowakowski.—Ig. Komorowski.—Kania.—Krzyżanowski.—Sobański.—Kajetan Kraszewski.

#### I.

Warszawa nie bez słuszności posiada opinią miasta lubiącego muzykę. Stała opera włoska i polska licznie przez publiczność nawiedzana bywa, wieczorów muzycznych jest bez liku. Pominę zwolenników fortepianu, a zwrócę uwagę czytelnika na amatorów śpiewu, których liczba jest znaczna w naszym mieście. Ichto zamiłowaniem, w niedzielę i inne święta uroczyste, przybytki chwale Boga poświęcone, jakoto: Panny Maryi, Sakramentek, Bernardynów i Pijarów, rozlegają się pobożnymi pieniemi: szczególnież znaczna liczba osób zbierająca się na chórze Pijarskim pod przewodnictwem Prochaski, wykonywa z niepospolitą dokładnością kompozycyę obcych i swojskich kompozytorów, jakoto: Elsnera, Kurpińskiego, Dobrzyńskiego, Moniuszki, Komorowskiego, Brzowskiego, Mincheimera, Karasowskiego i innych. Chór ten jest niejako zawiązkiem i podstawą rozwijającej się coraz więcej muzyki wokально-salonowej. Często się zdarza na jednym nawet wieczorze słyszcć z wielką dokładnością po kilkanaście numerów, to jest romansów, duettów, tercettów, kwartettów i większego nawet rozmiaru finałów z najpiękniejszych oper, wykonanych z dokładnością przynoszącą zaszczyt utalentowanym amatorom i amatorkom; jestto kontyngens już gotowy czy do koncertów na cele dobroczynne dawanych, czy do muzyki licznego zbioru indywidualów wymagającej, jakeśmy to mieli przykład roku zeszłego przy wykonaniu Oratoryum Elsnera, pod kierunkiem Dobrzyńskiego. Jak widzimy, nie brak ani zamiłowania do muzyki, ani muzyki saméj. Nawet od pewnego czasu pojawia się bardzo wiele utworów muzycznych, nakładem Friedleina, Sennewalda i Bernsteina wy-

dawanych; a nietylko że nie mamy ani jednego pisma wyłącznie poświęconego muzyce, lecz zaledwie w jednej Gazecie Codziennej, i to co dwa tygodnie, wychodzą artykuły muzyczne. Wszystkie większe miasta zagraniczne i wiele pomniejszych, posiadają po kilka nawet organów czysto muzycznych, a w dziennikach chociaż politycznej treści, jest miejsce dla odcinków muzycznych. U nas wprawdzie Kuryer Warszawski, i od niedawnego czasu gwiazdka Gazety Warszawskiej, ogłaszają o wyjściu dzieł muzycznych, lecz są to raczej proste uwiadomienia wydawców, a nie rozbiory oceniające sumiennie ich wartość. Jedynie tylko artykuły w wyż wspomnianej Gazecie Codziennej, Sikorskiego, niepospolitém piórem, dobrze lubo niekiedy zbyt surowo pisane, zasługują na uwagę. Lecz niepodobna w drobnym odcinku być szczegółowym sprawozdawcą z ogólnego ruchu muzycznego naszego miasta i prowineyi; przy największym nawet talencie i dobrych chęciach, drobne ramy Gazety są główną do tego przeszkodą. Jakim więc sposobem formować i kształcić się może sąd publiczności o sztuce lub widowiskach, jeżeli nie przez dzienniki? Wszelkie rozrzucone sądy i rozumowania prywatne czyli osobiste, muszą się ulotnić jak para, gdy nikt nie pospieszy do ich zebrania, i że tak powiem skryształizowania w jedną całość sądu publicznego! Na ruchomej fali wód przestrzeni, z każdym uderzeniem wiosła dobry sternik zbliża się stopniowo do celu swój podróży: tak i w piśmiennictwie, jeżeli zanotujemy rozważnie pierwsze zdanie wyrobione z doznanych wrażeń w sztuce, służyć ono nam już będzie za punkt wyjścia do następnych, a tak stopniowo, ogół biorący codziennie pisma peryodyczne do ręki, wykształcić się może w sędzie o sztukach i widowiskach. Pojawiają się wprawdzie niekiedy artykuły niby muzyczne, zdające sprawę z koncertów lub oceniające prace kompozytorów w Gazecie Warszawskiej i w Dzienniku; lecz autorowie ich, mając cokolwiek estetycznego pojęcia o muzyce, najmniej o niej mówią: kołują dosyć zręcznie nie mając ani odwagi, ani zdolności do uchylenia zasłony tajemniczego jój przybytku przed okiem czytelnika, a częściej jeszcze, powodowani przyjacielskimi względami dla osób lub rzeczy o której piszą, tylko w błąd wprowadzają ogół łatwo-wierny.

Od wystąpienia pani Gruszczyńskiej w końcu r. 1855 w Napoju Miłosnym, i od wystawienia Lalki norymberskiej, nic nowego się nie ukazało. Z oper na wspomnienie zasługują: Marya di Rohau (Donizettego), il Trovatore i Rigoletto (Verdiego) przez włoskich; Lucya, Ernani, Lukrezia, Napój Miłosny wspólnie z polskimi, a Brawo, Marta i Marco Spada wyłącznie przez polskich artystów wykonane.

Z trzech koncertów zapowiedzianych przez pisma publiczne na korzyść ubogich, jeden tylko przyszedł do skutku ułożony staraniem panny Zofii Malhomme. Szlachetne to przedsięwzięcie wymagające wiele trudów i poświęcenia ze strony utalentowanej amatorki, najpomyślniej się udało. Licznym zebraniem publiczność dowiodła, że ceni piękny talent urzędzielski tego koncertu, (albowiem panna Malhomme największy udział w programie onego przyjęła), i że chętnie spieszy z pomocą dla cierpiącej ludzkości, jak tylko jakakolwiek sposobność się ku temu nadarzy.

Koncert albo raczej poranek ten, danym był dnia 30 października 1855 roku w sali Towarzystwa Dobroczynności.

Panna M. najwięcej zdaje się mieć upodobania w kompozycjach Chopina, i z niemi też najczęściej popisuje się publicznie. Piękny to talent! Główne zalety gry panny M. są: nadzwyczajna czystość, jasność i wyrazistość; dlatego utwory Chopina łatwiej są pojęte gdy je wykonywa panna M., lubo w niektórych miejscach czuć się daje brak *legato*, będącego niejako główną cechą kompozycyi tego mistrza. Lecz takiej dokładności w najtrudniejszych nawet ustępach, jaką widzimy w grze tej amatorki, zaprawdę trudno nie podziwiać.

Rondo Dobrzyńskiego i krakowiak Chopina z towarzyszeniem orkiestry, jako też kilka pomniejszych dzieł ostatniego, były największą ozdobą tego Poranku muzycznego.

Śpiew z chórem do Maryi Malczeskiego, z muzyką Ig. Komorowskiego:

Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie:

Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie, i t. d.

piękną przez pannę Cichorską odśpiewany, jak wszystkie utwory tego kompozytora, zaleca się głębokim przejęciem tekstu. Melodya poważna, rzewna, chór niepospolicie i umiejętnie prowadzony, przyjemne i głębokie na słuchaczach zrobił wrażenie. Miło jest widzieć, jak znaczne postępy w sztuce czyni talent p. Komorowskiego; mamy nadzieję, że pójdzie jeszcze dalej, gdyż praca nie może jak tylko rozwijać i wznosić do wyższej doskonałości to, co już natura tak hojnie uposażyła.

Główna melodya trzy razy się powtarza, co czyni tę kompozycyą cokolwiek monotonna; więc można temu łatwo zaradzić, powtarzając ją dwa razy tylko, a zyska nierównie więcej na zaokrągleniu i zwięzłości.

Ładne duettino *Versate mi del vino* (Schira) dobrze przez panów Roźnieckiego i Fryze odśpiewane, wzbudziło wiele zadowolenia pomiędzy słuchaczami i na żądanie powtórzonem zostało.

Mało jest amatorów, którzyby tak śpiewać umieli i chętnie zasilali wszystkie koncerty amatorskie, jak pp. Roźniecki i Fryze.

Od dawnego już czasu na nich zwykle w podobnym razie liczyć tylko można; a że posiadają niepospolitą wprawą i przyjemne głosy, więc też żaden koncert bez nich obejść się nie może. Szczególniej p. Fryze od lat kilkunastu jest podporą wszystkich zebrań muzykalnych w naszym mieście.

Dnia 12 listopada 1855 r. rodzina i przyjaciele obchodzili żałobne nabożeństwo w kościele Kapucynów za duszę s. p. Ludwika z Chopinów Jędrzejewiczowej. Zgon tej zacnej niewiasty dotknął boleśnie familią i zasmucił liczne grono przyjaciół. Wielki artysta a brat jej rodzony Fryderyk Chopin, na jej rękę ostatnie swe technienie wydał, a dusza jego ulatując z objęć ukochanej siostry w sfery Boskiej przestrzeni, buja zapewne w obłokach niebieskiej harmonii, której cząstkę nie małą w chwilach natchnienia krótkiego swego życia na tym świecie, podsłuchawszy u aniołów, zlał w uroczych tonach wdzięcznej muzyki. Artyści tutejszej opery pod przewodnictwem dyrektora Quattriniego, uczcili to żałobne nabożeństwo pięknie wykonaną mszą kompozycyi Tomaszka, i wykonaniem znanego marsza żałobnego nieśmiertelnego mistrza Fryderyka, a ułożonego na wielką orkiestrę i głosy przez Quattriniego. Komuż nie jest znane to pełne wzniosłego natchnienia dzieło, napisane na fortepian przez Chopina? Na kim te tony głębokiego smutku nie zrobiły, silnego i niczém nie zatartego wrażenia? Lecz jeżeli potężnie działa na duszę słuchacza wprawną i artystyczną ręką grany na samym fortepianie: stokroć potężniej wydać się musi wykonany przez wielką orkiestrę i liczne głosy śpiewaków.

Reber w Paryżu pierwszy ułożył ten marsz na orkiestrę i w kościele św. Magdaleny dnia 30 października 1849 r., na żałobnym nabożeństwie za Chopina, wśród requiem Mozarta wykonanym został. U nas, Quattriniemu należy się zasługa za instrumentowanie, tém większa, że ta praca najzupełniej mu się udała. Nielatwą jest rzeczą dzieło na tak popularnym instrumencie jak fortepian, i przez takiego mistrza jak Chopin napisane, instrumentować tak, ażeby wszyscy co je znają w oryginalnym układzie, zadowoleni z tego byli; a przecież na pochwałę pana Quattriniego trzeba przyznać, że tak jest w istocie. Wieloletnie oswojenie się z instrumentami składającymi dzisiejszą orkiestrę, szczegółowe zbadanie ich własności i charakteru, tudzież umiejętne zastosowanie różnostronnego ich kolorytu do tonu dominującego dzieła: ułatwiło bezwątpienia trudne zadanie, którego się podjął pan Quattrini.

Fagoty, altówki i bassy, łącznie z metalowemi instrumentami w tonie *B minor*, rozpoczynają pierwsze dwa takty tego marsza; w trzecim skrzypce intonują temat, a w jedenastym taktcie cała orkiestra wraz z chórem wchodzi i rozwija stopniowo w silniejszych miejscach fortissimo, łącznie z solowemi głosa-



mi, w których jednakże sopran chórowy przemaga, aż do delikatnego pianissimo, co służy za wejście do tonu *B* major. Cały ten ustęp szczęśliwie instrumentowany, szczególnie władanie trombonami i chórem, naprzykład w taktach 11 i 22, podnosi tę szczytną kompozycją do majestatu, którego jej brakować musi, gdy jest tylko na jednym fortepianie wykonaną. Wzniosłą i rzewną melodyą *B* major, którą twórca tego wielkiego dzieła jako balsam pociechy na stroskane pochodem żalobnym serca w pośrodku umieścił, rozpoczyna sopran solo z wielonczellami, mając za towarzyszków tylko smyczkowe instrumenta: w dziewiątym takcie flet i klarnet razem z altem solo wychodzące, zdają się mieć przeznaczenie łagodzić swym tonem wyrazistość naturalną *contr-altu*. Następnie dwa te głosy łączą się razem, będąc wspieranymi zlekka pierwszymi skrzypcami, wiolonczellami, waltorniami, obojami; i znów też same co z początku instrumenta, lecz już wraz z chórem, powtórnie marsz rozpoczynają. Ostatnie tylko cztery takty, jako przez autora w oryginale nie użyte, że nawet wyprowadzają zakończenie z właściwej toniki *B minor* na *des major*, nie zdają mi się być koniecznymi i przeciwko nim ośmielę się protestować. Lecz całemu układowi instrumentalnemu oddaję najzupełniejszą sprawiedliwość; bo nieuszkodziwszy w niczem pierwotnemu rysunkowi, przez dobre i szczęśliwe użycie koloru instrumentalnego, pan Quattrini umiał mu nadać wiele świetnój barwy, ożywczego ciepła i tony dominujące melodi i harmonii podniósł do potęgi olbrzymich rozmiarów. W pierwszych zaraz akkordach rozpoczynających marsza, Chopin chciał wyrazić odgłos dzwonów pogrzebowych; w orkiestrze to się nie da tak łatwo naśladować na powszechnie przyjętych i do jój składu zastosowanych instrumentach: ani smyczkowe, ani dęte, wymaganego w podobnym razie dźwięku nie posiadają. P. Quattrini nadwyzczaj szczęśliwie użył tamtamu, to jest dzwonu chińskiego. Znany jest zapewne czytelnikom ponuro brzmiący odgłos tego instrumentu: otóż w początkach każdego taktu pierwszej i ostatniej części, dźwięk tamtamu rozlewa swe brzmienia na wszystkie po sobie idące instrumenta, i nadaje im ton posępny, tak właściwy, i tak konieczny w wykonaniu tego grobowego dzieła.

Szczęśliwie dokonana próba ułożenia na orkiestrę tego pierwszego dzieła znakomitego naszego kompozytora, zachęcić powinna wszystkich do naśladowania Rebera i Quattriniego; tyle bowiem utworów stosownych do orkiestrowania zostaje, pomijam inne a przytoczę Polonezy... Tylko pracowników niech nie brakuje, a ta bogata kopalnia zaledwie dotknięta, może dostarczyć niesłychanych bogactw dla sztuki, i obdarzyć miłujących ją tysiącami rozkoszy: bo geniusz Chopina był tak uczuciowym, głębokim i pełnym wzruszeń, że go z żadnym porównać

nie można. Na jednym instrumencie, w kilku liniach, które dziecko wygrać może, potrafił się wznieść do niesłychanej potęgi poetycznej, do siły i energii dramatycznej bezprzykładnej. Umiał on się obejść bez wielkich i licznych zasobów materyalnych do wykazania całej świetności swego geniuszu; nie potrzebował potężnych mass instrumentów dla przerażenia duszy ludzkiej, ani organów kościelnych, ani też głosu ludzkiego, by napęlić duszę wiarą lub entuzjazmem. Od ogółu nie był i nie jest jeszcze poznanym. Potrzeba wielkich postępów w sztuce, w smaku i inteligencyi, ażeby jego dzieła stać się mogły popularnemi. Przyjdzie jednakże czas, gdy będą układać na orkiestry jego utwory muzyczne, nie zmieniając w niczem partycyi fortepianowej, a dopiero wtenczas wszyscy poznają, że ten geniusz tak w pomysłach szeroki, skończony, również uczony jak najwięksi mistrze w muzyce, zachował swą indywidualność więcej jeszcze wytworną jak Sebestyan Bach, potężniejszą jak Beethoven, dramatyczniejszą jak Weber. On sam jest tém wszystkiem, co ci trzej byli, i jest jeszcze samym sobą. To jest, więcej rozwiniętym w guście, surowszym i poważniejszym w wielkości, więcej rozdzierającym w boleści. Sam Mozart tylko od niego jest wyższym, bo Mozart w dodatku posiadał błogi spokój, pochodzący z organizmu fizycznie zdrowego, a tém samem używał całej wszechwładzy swego życia (1).

## II.

Panowie Friedlein i Sennewald obdarzyli nas w tych czasach kilku miłemi wydaniem krajowych kompozytorów: niektóre z nich za granicą wydane, odznaczają się starannem odbiciem. Ubolewać trzeba, że nie mamy zdolnych litografów ani dobrego papieru: dlatego i zachód i koszt większy być musi, a to jak wiadomo, nie ułatwia wcale pomysłności przedsiębiorczej nakładców naszych. Już o koniecznej potrzebie sprowadzenia dobrego litografa nut muzycznych, Gazeta Warszawska wspomniała; do jęj i my swoje życzenia przyłączamy, czując gwałtowną potrzebę tego środka. Zakład litograficzny Fajansa tak wzorowy i zamożny pod wielą względami, jest silnie za to odpowiedzialnym: do niego się też najsamprzód odwołujemy, a może głos nasz nie będzie głosem wołającego na puszczy.

Nowakowski wydał nakładem Friedleina mazurka do śpiewu pod tytułem: Nie patrz w inną stronę (słowa Chęcińskiego). Wykonany był po raz pierwszy przez panią Gruszczyńską w Napoju Miłosnym. Nie jest on tak przystępnym jak wiele

(1) Georges Sand w pamiętnikach swoich.

poprzednich śpiewów tego kompozytora, skomponowany dla śpiewaczki posiadającej głos obszerny, znacznie wyrobiony; i chociaż o dwa tony niżej przerobionym został, jednakże trudności wokalizacyjne są w nim jeszcze tak znaczne, że niełatwo popularnym stać się może. Kto go słyszał z towarzyszeniem orkiestry, przyzna, iż wiele traci śpiewany z fortepianem: tak dobrze i starannie, szczególnie w trzeciej części jest instrumentowanym. Melodya świeża i piękna, lubo niedosyć oryginalna, mile wpada do ucha, a trudności jakie się w nim znajdują, powinny tylko zachęcić nasze sopranistki do ich pokonania.

Chociaż to życie idzie po grudzie: polonez Ignacego Komorowskiego do słów W. Pola (u Friedleina), przystępny i łatwy dla każdego, jak wszystkie prawie utwory tego kompozytora, wymaga tylko półtóry oktawy, to jest tyle właśnie, ile wszyscy ludzie śpiewający lub nie, naturalnego głosu posiadają. A ponieważ charakter tego poloneza jest czysto narodowy, że melodya miła, wiele prostoty posiadająca, że i akkompaniament jest dosyć przystępny, co nie w każdej pieśni K. ma miejsce: więc powodzenie jego łatwo się da przewidzieć i usprawiedliwić. Liczni wielbiciele tego młodego kompozytora, co z taką sympatyą każdy jego utwór witają, zapewne i ten serdecznie przyjmą, i wdzięczni będą p. Friedleinowi za to nowe ogniwo w łańcuchu melodij rodzinnych, jakim imię Komorowskiego już oddawna jest otoczone.

**L a G r a z i o s a:** polka salonowa utworu Emanuela Kani, zgrabna i miła, każe nam się spodziewać przyjemnego i bardzo pożądanego kompozytora muzyki salonowej na fortepianie. Jest to już 7 dzieło; nie znamy poprzednich kompozycyj pana K., lecz można się spodziewać, że jako biegły pianista, znający dokładnie swój instrument, musi je starannie, sumiennie i dobrze opracowywać.

Mają wkrótce wyjść Etudy p. Kani u Sennewalda; o tych, jako i o Lubowskiego u tegoż wydanych, później damy sprawozdanie.

Krzyżanowski znany z wielu wyższej wartości utworów muzycznych na fortepianie, wydał u Friedleina śpiew do słów B. Zaleskiego pod tytułem: *S p o m n i e n i e*. Motyw mazurka ładny, lecz autor nie miał tego na uwadze, że potrzeba śpiewającemu dać choć chwilę odpoczynku; trudno, ażeby 54 takty mogły być bez wytchnienia odśpiewane. Jestto błąd, którego pan K. w późniejszych tego rodzaju utworach pewno z łatwością uniknie.

**J a n e k:** śpiew i muzyka ułożona przez Konstantego Sobkańskiego (u Friedleina). Metoda tej pieśni jest trywialną i bez oryginalności, akkompaniament nieśmiały i błady. W takcie siódmym niepotrzebna pauza, gdyż sylaba wiersza w owym

takcie przenosi się na ósmy; pomiędzy 15 i 16, 31 i 32, 39 i 40, też same błędy.

Kajetan Kraszewski wydał u Sennewalda *L'Absence, Valse caractéristique*, dzieło 104. Po liczbie dzieł wydanych widzimy, że p. Kraszewski jest bardzo płodnym, więc oczywiście nie brak mu zdolności do komponowania. Pięknie i chwalebnie jest, gdy amator ma tyle zamiłowania do muzyki, i wolne chwile swego czasu poświęca kompozycyi. Lecz ażeby jemu i ogółowi przyjemności pożytek z tego wypłynął, potrzeba cokolwiek więcej umieć. We wszystkich utworach pana Kraszewskiego przebija nieznanomość harmonii. Każda nauka ma swoje zasady i reguły, a przy najkorzystniejszym nawet od natury usposobieniu, tylko u źródła wiedzy zaczerpnąć je można. Środkiem do tego są: praca i wytrwałość, prowadzone pod dobrym przewodnikiem, a zdolności lub natchnienie takimi posiłkowane, mogą dopiero przynieść błogie owoce. Niechby p. Kraszewski przez rok chociaż przestał pisać, a przynajmniej drukować, i wziął się do poznania zasad kompozycyi lub tylko harmonii: jestem pewny, że przy wrodzonych zdolnościach, jakie posiada, sobie i innym prawdziwą przyjemność i pożytek sprawił.

M. K.

## ROZMAITOŚCI.

### *Józef Lompa i jego stanowisko na Szlązku.*

Podczas kiedy większe narodowości słowiańskie, pod wpływem sprzyjających okoliczności uprawiają swoją literaturę, podnoszą język i dążą do oświaty: ludność polska na Szlązku, już położeniem swoim geograficznym, już to politycznym stanowiskiem odcięta od innych narodów słowiańskich, pozostała w tyle pod względem oświaty i literatury! Język nawet, zaniechany przez wyższą warstwę społeczeństwa, chylić się począł ku upadkowi, gdy w ostatnich czasach znalazło się kilku pełnych zasług a mało znanych wskrzesicieli onegoż. Do tych bezprzecznie należy Józef Lompa, o którym pisma publiczne kilkakrotnie chlubnie wspominały.

Jeżeli uważamy szczypty zakres działania, wielką liczbę przeciwności i brak zupełny wszelkich widoków osobistych, jakie towarzyszyły Lompie od początku jego usiłowań: ocenimy tém więcej jego zaparcie się siebie, jego bezinteresowność i wyższe dążności; a chociaż nie odznaczył się świetnym talentem ani kwiecistym stylem, jednakże jego zawód literacki niezatarty ślad pozostawi wśród tej zaniedbanej ludności. W początkach prace jego wiodły się z większą dla niego pomyślnością: wielu obywateli W.K. Poznańskiego wspierało wydawnictwo jego dziełek, Obok tego posiada nauczyciela wiejskiego w Lubszy, powiecie lublinieckim, przynosiła mu dochody wystarczające na utrzymanie się wraz z rodziną; jednakże pośród zawikłań rozmaitego rodzaju, jakim rok 1848 dał początek, i los biednego Lompy uległ zmianom, od jakich jego ciche zasługi uchronić go były powinny. Dzisiaj oddalony od swjej posady ulubioniej, skazany na nędzę, nie przestaje pracować dla ludu górno-szląckiego.

Krótki rys życia autora naszego i kolei jakie przechodził, nie będzie, zdaje się, bez interesu.

Józef Lompa urodził się 1797 r. w powiatowém mieście Oleśnie (Rosenberg). Ojciec jego mieszczanin, szczupły majątek posiadający, prowadził handel kramarszczyzny i ogrodowizn. Nauki elementarne zaczął Lompa w mieście rodzinném. Licząc lat 12, był śpiewakiem na chórze i grał już na skrzypcach i na organach. W 14 roku życia oddał go ojciec jego do konwentu OO. Reformatów w Wieluniu, gdzie pełnił służbę organisty, przyczém miał chodzić do tamtejszych szkół pijarskich; ale przestraszony namowami Reformatów do życia zakonnego, do którego nie czuł w sobie powołania: wydalil się cichaczem z ich murów. Ojciec oddał go wtedy, wbrew jego chęci do kancelaryi sądu patrymonialnego w Oleśnie jako aplikanta, zkąd po dwóch latach dostał się na posadę protokulanta i tłumacza sądu miejskiego w Więckowicach, w pobliżu Gorzowa. Później wszedł w obowiązki prywatnego sekretarza u p. Jordana prezesa komisyyi glniej spraw ziemskich i włościąskich w Szywałdzie. Zebrawszy niejakié fundusze poświęcił się stanowi nauczycielskiemu. Wstąpił w lipcu 1815 do seminaryum w Wrocławiu, zkąd po dwóch latach osiągnąwszy najlepsze świadectwa, był wysłany na pomocnika nauczyciela we wsi Cieszynie powiecie sycowskim. W 1817 r. otrzymał posadę nauczyciela, organisty, pisarza gminnego i urzędnika akcyzy we wsi Łomnicy pow. oleskim, zkąd przeniósł się do Lublińca, a w końcu do Lubszy. Kiedy książę Württembergi (1) żądał, aby mu kanonik Kriiger, jako dyrektor seminaryum nauczycielskiego w Wrocławiu, polecił nauczyciela wiejskiego: przedstawił ten ostatni Lompę, który jednakże wolał zostać w Lublińcu, gdzie miał pole działania w ulubionym zawodzie.

Już w roku 1829 był Lompa znanym w Warszawie: książę Falkowski dyrektor zakładu głucho-niemych starał się o wysłanie go na koszt rządu królestwa polskiego do Wrocławia, w celu wydoskonalenia się na nauczyciela ciemnych, dla których w Częstochowie szkołę otworzyć zamysłał. Wypadki roku 1831 przecięły te zamiary. W tymże roku jako tłumacz przysięgły polskiego, czeskiego i niemieckiego języka, Lompa czynił co mógł dla Szlązka, przy regulacyi granic polsko-szlązkich. Wezwanie na katedrę nauczyciela przy seminaryum wrocławskiém, odrzucił w roku 1848, przekładając powtórnie ciszę wiejską i swoje prace dla ludu.

W Lubszy, gdzie Lompa najdłużej i ostatecznie przebywał, było 250 dzieci szkolnych, a szkoła zaledwie 100 pomieścić ich mogła. Za jego staraniem wystawiono nową szkołę, której ogród swojemi prawie rękami rozprzestrzeniony, zasadził Lompa drzewami owocowemi i przeszło 500 gatunkami roślin, z których każda miała tabliczkę z nazwiskiem botaniczném po łacinie, po niemiecku i po polsku. W kościele brakowało organów, w pół roku za staraniem Lompy stanęły organy. Kościół ciasny i ciemny przyozdobił i rozprzestrzenił piękną kaplicą, na którą składki

(1) Gwiazdka cieszyńska, nr. 11, rok 1855.

zbierał po fenigu, i swoich dołożył funduszów. Rozprzestrzenił cmentarz i opasał go murem. Swoim kosztem wykopać kazał studnię: słowem, nie zważając na prześladowania i zazdrości, nie szczędził trudów dla dobra i pożytku ludu. Będąc przez jakiś czas współpracownikiem wychodzącego w Bytomiu Tygodnika polskiego, ściągnął na siebie gniew niechętnych sobie ludzi, i takiego człowieka, który w Lubszy tyle zasług położył, uznano za dającego zły przykład i jako oddanego wszelkim złym nałogom, odsunięto.

Dzielać swój czas międzyszkółką i hodowaniem pszczół, napisał Lompa wiele pożytecznych książek i broszur w przedmiotach dokładnie przez niego zbadanych. Utrzymywał ciągle korespondencye w języku niemieckim z Büschingiem, Rendschmidtem, i Gizewiusem. Zasiłał licznemi artykułami czasopisma, jak: Schles. provinzialblätter, Oberschles. Bürgerfreund, Oberschles. Wanderer, Bergfreund, Kreuzburger Telegraf i inne. W Tygodniku polskim (Pszczyna), w Przyjacielu ludu (Leszno), w Dzienniku polskim (Bytom), w Szkole polskiej, w Ziemiannie, były drukowane jego rozprawy, klechdy i wiersze. Prócz tego Lompa wydał w osobnych książkach i broszurach:

1. Krótki rys historii Szlązka dla szkół elem: 1822.
2. Zbiór wierszy 1. 2. 3. zeszyt, 1843—44.
3. Zbiór pieśni nabożnych.
4. Książka do czytania dla średniej klasy szkół elemen: podług Rendschmidta, 1843.
5. Pielgrzym w Lubopolu.
6. Krótki rys historii naturalnej.
7. Historia o Gryzeldzie i margrabi Walterze.
8. Historia o szlachetnej Meluzynie.
9. Mały górnik.
10. Chłopiec niewidomy.
11. Krótki rys geografii Szlązka.
12. Krużce srebrne, w Bytomiu.
13. Wzory kaligraficzne.
14. Wzory rysunkowe.
15. Pieśni podczas oktawy Bożego Ciała.
16. Pieśni kościelne na dni świątalne.
17. Nowy pszczolarz ks. Dzierżona.
18. Nabożeństwo w postnym czasie.
19. Rachownik pamięciowy.
20. Złota rodzinna książka.
21. Nauka hodowania drzew owocowych.
22. Wskazówka do zakładania żywych płotów.
23. Wskazówka do zakładania korzystnego warzywnych ogrodów.
24. Kalendarz katolicki, 1850.

W ciągu swego zawodu nauczycielskiego tłumaczył Lompa wiele przywilejów czeskich na język niemiecki, dla król. pruskiej kom. delegowanej do regulacji granic z królestwem polskim, także dla państwa Zurowa w powiecie wielko-strzeleckim, dla miasteczka Woźnik, dla kancelaryi sądowych i dla wiejskich gospodarzy. Był często wzywany przez landraturę i władze sądowe za pisarza i tłumacza polskich protokołów. Jako członek grona literackiego w Gostyniu W. Ks. Pozn. otrzymywał ztamtąd zasiłki pieniężne, ale przesławszy temuż towarzystwu do przeglądu pisma swoje: *Oficjum def.*, *Geografia monarchii pruskiej*, *Sto powieści dla młodzieży*, *Klechdy*, *Przysłowia* i *Pieśni ludu szląz.* z melodjami i kostiumami, *krakowiaki*, *zabobony*, *obyczaje* i t. d., nie otrzymał tychże więcej. Ztąd rozgłosiło się jego imię w dziennikach.

Na tle literatury szlązkiej tak ciemnym dotąd, okazuje nam się Lompa jako bardzo ważne zjawisko. W czasach, kiedy obok upadającej narodowości, obyczajność się psuła, wiara słabnęła: powstaje wśród prostego ludu człowiek pełen teźje prostoty, a ożywiony jakby wyższym natchnieniem, wspierany jakby nadludzką siłą, poświęca się dla swoich współbraci, dźwiga ich moralnie potęgą swoich wielkich chęci. Zapomina o sobie w tych pracach dla ogółu, i starość zastaje go w nędzy.

Nakoniec w sierpniu 1855 ogłosił Lompa prenumeratę na dziełko pod napisem: Życiorysy biskupów szlązkich, z którego dochód przeznaczyl na odbudowanie spalonego kościoła w Smogorzewie na dolnym Szlązku. Dziwny zbieg okoliczności czyli zrządzenie Boże! Piérwszy niemal ubogi przybytek boski na Szlązku 900 lat przetrwawszy, zgorzał, i dziś w wieku, gdzie wiara rozszerzona i chrześcianizm panuje od końca do końca Europy, dziś ubogi piérwszą stawia cegielkę do odbudowania starój świątyni Pańskiej: bo jak sam pisze o sobie: „niepoznany i niby obcy między swojemi, choć nie posiadający złota ani srebra, a sam pomocy potrzebujący, chce ofiarować na co się w miarę sił swoich zdobyć może.”

W roku 1852 c. k. towarzystwo rolnicze krakowskie zważywszy zasługi, jakie Lompa oddał rolnictwu przez napisanie tylu ważnych dziełek w tym przedmiocie: mianowało go swoim członkiem korespondującym.

Obecnie mieszka Lompa w Lubszy pod Woźnikami w dol. Szlązku; za cały dochód pozostała mu posada przysięgłego tłumacza. Żona jego trudni się handlem, ale mimo pracowitego żywota obojga, liczna ich rodzina często cierpi niedostatek.

J. J.

*O gąsienicach, które w miesiącu styczniu b. r. wyszły na śnieg przed gmachem Instytutu Szlacheckiego w Warszawie.*

W niedzielę, d. 20 stycznia r. b. uwiadomiony zostałem, że plac rekreacyjny przed gmachem Instytutu Szlacheckiego w Warszawie, okrył się gąsienicami żywymi, z których jedne chodziły po śniegu, drugie w połowie do lodu były przymarzłe. Przyłączony do uwiadomienia okaz żywy, z największych wybrany, nie zostawiał mi żadnej wątpliwości, iż to są gąsienice chrząszczowatego owadu nazwanego omomilkim szarym (*Cantharis fusca* Lin.), to jest te same, o których już oddawna z różnych Europy okolic donoszono, że w znacznych ilościach wśród zimy ze śniegiem spadły, burzą uniesione; i których spadnienie takie w Prosopowie, wsi Litewskiej, przed kilką laty wydarzo-



ne, ciekawie i obszernie opisał naturalista nasz ś. p. Konstanty hr. Tyzenhauz, w Bibliotece Warszawskiej z r. 1849, w zeszytce za kwiecień, tom II od str. 189.

Udałem się natychmiast na plac rekreacyjny przed gmachem Instytutu Szlacheckiego, gdzie kilka świątłych osób należących do składu tego Instytutu, upewniły mnie, że były naoczniemi świadkami. jak znaczną przestrzeń na tym placu i w przyległym mu ogrodzie, okrywała tego dnia z rana mnogość pomienionych gąsienic żywych i chodzących; ukazały mi oraz na śniegu, a nawet dopomogły zebrać znaczną ilość takich, które jeszcze dotąd (po południu) błędziły, zwłaszcza po ścieżkach na placu i ulicach w ogrodzie.

Ucieszyłem się, że mam, chociaż nie całkowicie przedstawione, przed własnymi oczyma zjawisko, o którym w różnych czasach tak głośno opowiadały różne europejskie dzienniki: ale upewniłem się oraz, że nie było żadnej przyczyny do przypuszczenia, iż te gąsienice burza tam zaniosiła. W poblizkim gaju w zwykłych kryjówkach swoich, gdzie je każdego lata znajdować można, rozbudzone z zimowego letargu ciepłem atmosfery do + 2<sup>o</sup> R. dochodzącem, a razem wodą topniejącego śniegu z nich wyparte, wystąpiły na plac otworzysty, dokąd je światło dnia kierowało; a potem chroniąc się przed oziębieniem, wróciły do takichże lecz mniej zalewowi uległych kryjówek, jakoto: pod kupy liści w poblizu pozgarnianych, pod różne na ziemi leżące przedmioty, i pomiędzy trawę. Jakoż, znalazłem jedne już w takich miejscach spoczywające, drugie jeszcze do nich ciągnące po śniegu, i trzecie naostatek, które pozostały na drodze, to dla osłabienia iść dalej niezdolne, to stopami osób tamtędy przechodzących nadgnięcione, to nawet zupełnie martwe.

Wróciwszy do siebie wziąłem się zaraz do porównania dat, w których przedtęm spostrzegano takie same gąsienice wśród zimy, i znalazłem w swojej własnej wzmiance o nich, położonej na 188 stronicy Biblioteki Warszawskiej (*l. c.*), tojest przed artykułem hrabi Tyzenhauza, że w r. 1749 w Leufsta w Szwecyi spadły w styczniu; w r. 1806 w Anspach, spadły 14 stycznia; w r. 1847 przy wsi Noethen nad Renem, spadły 30 stycznia; nakoniec w r. 1849 w Prosopowie, spadły d. 24 stycznia. Z tych czterech zdarzeń, które w tak odległych od siebie miejscach i latach uważano i zapisano, wszystkie przypadły w styczniu a nawet w dniach siebie nie dalekich, bo zawsze między 14 a 30 stycznia, tojest równie jak i te gąsienice, które się dziś na placu rekreacyjnym przed Instytutem Szlacheckim zjawily. Gdybyśmy w tem widzieli, że meteor nazwany w fizyce trąbą powietrzną (bo tylko ten porwałby mógł wśród burzy i ponieść znaczną masę żywych gąsienic), który u nas wydarza się ale nie w styczniu, przez jakiś szczególny wyjątek cztery lub pięć ra-

zy powtórzył się w drugiej połowie stycznia: natenczas nie mogłoby nas zarazem i to nie uderzyć, że meteor ten ile razy przypadł w drugiej połowie stycznia, zawsze zastał masy gąsienic omomilka szarego na powierzchni ziemi, jakby sobie nagotowane do porwania i uniesienia. Słowem, byłby tu razem dowód, że w drugiej połowie stycznia u nas, i wydarzają się trąby powietrzne, i wychodzą na wierzch śniegu gąsienice omomilka szarego, porywane przez tamte. Gąsienice widzieliśmy na placu rekreacyjnym przy Instytucie Szlacheckim rzeczywiście chodzące po śniegu w dniu 20 stycznia, ale co do trąby powietrznej, któraby je tam zanieść mogła, do tej nie było w naszych okolicach żadnego usposobienia w atmosferze, ani w tym dniu, ani w najbliższych poprzedzających. Nastąpiła tylko w tym czasie odwilż, i w dniu 20 b. n. było ciepło  $+2^{\circ}$  R. przeszło (1), co trafia i w okoliczność wzmiankowaną przez hr. Tyzenhauza, podług którego odwilż (odliga) w Prosopowie spowodowaną została temperaturą  $3-4^{\circ}$  ciepła w okolicy.

Ktokolwiek zatem wszystkie te okoliczności i związek pomiędzy niemi z należytą rozważą oceni, ten przyzna, że daleko prawdopodobniejszą i zgodniejszą z ustawami natury jest rzeczą, iż gąsienice omomilka szarego (których w każdej okolicy tyle przynajmniej być musi w zimie, ile bywa tamże omomilków na wiosnę, zatem bardzo wiele), ogrzane ciepłem wśród zimy, występują na wierzch ziemi, tojest są gdzie były; niżeli, że je tam zanoszą burza, która sprawia w samym środku zimy jakiś przypuszczony meteor: *deszcz owadzi*, *Insectenregen*, *pluie d'insectes*, a któremu coś podobnego wydarza się tylko w porze vegetacyi. Podług nowej teoryi Peltiego, trąby morskie i powietrzne są skutkiem łączenia się dwóch elektryczności: w chmurach dodatniej, w ziemi odjemniej, i dlatego w gorących tylko dniach bywają. Przykład zaś stałego i z ustaw natury wynikającego wychodzenia na śnieg zimujących pod nim owadów, podaje nam prawie corocznie pchlica śniegowa (*Podura nivalis* Lin.), zwykle tak liczna, iż gdy wystąpi, znacznej rozległości przestrzenie śniegu zdają się być jakby gęsto prochem strzelniczym zasypane.

Już w przytoczonej wyżej wzmiance mojej (Bibl. Warsz. l. c.) powiedziałem, że „ktokolwiek uważał tę czarną gąsienicę zblizka, postrzegł, że natura ze szczególną troskliwością uzbroiła ją na dwa przypadki: wilgoć i zimno“. Uzbrojenie to stanowi

(1) Poprzedzającego dnia, tojest w sobotę 19 stycznia, o godz. 10 wieczór, było  $\frac{1}{2}$  stopnia R. ciepła. W nocy z dnia tego na 20sty, było  $-1\frac{3}{10}^{\circ}$  R. Dnia 20, tojest w niedzielę,  $-0\frac{7}{10}^{\circ}$  R., a w południe dnia tegoż  $+2\frac{3}{10}^{\circ}$  R. *Wyciąg z obserwacyj czynionych w Obserwatorium astronomicznem warszawskiem, zatem miejscu sąsiedniem Instytutu Szlacheckiego.*

aksamit, który ją odziewa: w drobnej i gęstej barwie jego jest razem i jej futro, i opatrzenie które zwykle tam natura daje, gdzie wody dopuścić nie chce. Zatrzymajmy się na tém, a tymczasem wyrozumiejmy, do jakich też natura przeznaczeń, aksamitem przyodzianą gąsienicę omomilka powołała.

Z nadchodzeniem ciepłej roku pory, nie naraz powstają wszystkie familie i gatunki owadów, tych krótkiego żywota zwierząt: lecz każdy ma swój termin, na który corocznie stawa, i wtedy najliczniej się zjawia. W takichto terminach widzimy wszędzie chrabąszcza w maju, po nim gryczana (*Melolontha horticola* Fab.) od początku czerwca, po tym czerwczyka (*Mel. solstitialis* Fab.). Widzimy majówki, kantarydy, świetliki, czyli świętojańskie robaczki, czerwiec, jętki i t. p. w ich tylko porach, które gdy przejdą, gatunków tych nie ma. Wziąłem przykłady z tych gatunków, które są powszechne, to jest w całej naturze rozsiane, tak że je spotyka i zna każdy; ale entomolog widzi to samo z krociami innych, jemu tylko znanych (1). Pory te nie są długie, często i trzech tygodni nie przechodzą; z czego nawet wynika, że niektórych familij owady, nigdy się z sobą żyjące spotkaćby nie mogły, jak np. majówka, która bywa w kwietniu i maju, nie spotka się ze ścięglicami (*Leptura*), które występują dopiero w lipcu i sierpniu. Utrzymanie tej kolei, która ma za cel różnorodność, wymaga, żeby wcześniejsze ustępowały dla późniejszych. Kolej ta jest jeszcze taką, że na początku, to jest z wiosny, najmniej występuje familij, potem coraz więcej; tak, że gdy znowu przybliży się zima, wtedy najwięcej znajdzie się owadów skazanych na zginienie, bo i wszystkie familie kończą się, jakich jest najwięcej, i ostatki niemałe wcześniejszych. Przed każdą zatem familiją musi ginać poprzedzająca, a do pomóżenia temu służą gatunki drapieżne, między którymi są także i czasowe, jak np. omomilki, które przez czerwiec tyle innych owadów pożerają. Wszakże takich pożerców potrzeba najwięcej w jesieni, kiedy wszystko musi ustąpić, a nic nastąpić przed zimą. Owóż w jakim celu powstają wtedy te miryady pajaków, których pajęczyny przynosimy z sobą na odzieży z ulicy miasta, z ogrodu, z pola i t. d.: słowem z każdego miejsca na które wyjdziemy, a co jest dowodem, że na każdym są wtedy pająki, na każdym mają swe pożywienie, to jest owady.

Lecz powie każdy: trzeba żeby i te nakoniec ustępowały. W rzeczy samej, w miarę jak się coraz zimniej robi, w późnej jesieni, one się chronią wszędzie tam, gdzie tylko roślin szcza-

(1) Poczytuję za rzecz prawie zbyteczną uprzedzić, że tu mowa tylko o tych czasowych czyli przechodnich familiach, które ukazują się w swoich porach i znikają, a nie mówi się nic o mnóstwie ciągłych, których osobniki w stanie dojrzałym żyją przez rok cały, a nawet przez lat kilka, jak np. owady szczypawkowate (*Carabiques*).

tki liczniej się zgromadzą: w kupy śmieci i barłogów, pomiędzy liście już wtenczas z drzew spadające; tam szukają przytulku, zwłaszcza na noc, tam są na końcu jesieni po większej części wygłodzone, chore, skaleczone, niezdatne już do służby na rok następny, choćby i zdołały przezimować. Takie więc wszystkie można poświęcić komu potrzebniejszemu życia.

Miejsca, w których je zaskakuje zima, są właśnie temi samemi, w których przebywają czarne gąsienice omomilka. Przeznaczone do zimowania w swoim gąsieniczym stanie, do samego końca niesniegowej pory, potrzebują te ostatnie żywności odpowiedniej żarłocztwu swojemu. Sprzątają więc naostatek wszystko co dotąd żyło, i na końcu życia zniedołężniało: ostatnie owady, ostatnie pająki. Oneby stokroć uszły przed nimi samą szybkością nóg swoich, którą je o wiele przewyższają, gdybyto nie były starzy aktorowie i spracowani na wielkiej scenie świata; inwalidzi pokaleczeni w całoletniej kolei walk i bitew. Gąsienice omomilka nie potrzebują zatem kryć się głęboko w ziemię, jak to czynią te, które się żywią roślin korzeniami. Dla nich, mających tęgą i nieprzemakalną odzież, dosyć schronienia na ziemi pod liśćmi lub pod czemkolwiek co porzucone: tam się im zgromadziła zdobycz na wszelki przypadek jej potrzeby wystarczająca. Ufne w swój nieprzemakalny aksamit nie lękają się tam przebyć całej dżdżystości jesienniej: woda, która je wtedy oblewa, zaraz i wsiąka w pragnącą jej ziemię. Nie lękają się i mrozów zimy, jak wszelkie zwierzę, które na tę roku porę drętwieje. A że nie idą głęboko w ziemię, ztąd i niebawem wychodzą na wierzch, skoro je ciepło wśród zimy ogarnie.

Lecz tak usposobionym istotom, twarda a zwłaszcza nadzwyczajna zima, może w pewnym zbiegu okoliczności dotkliwie dokuczyć. Jeśli się mrozy do tego stopnia wzmogą, że wszystka ziemia naokoło nich stale zlodowacieje, a potem śnieg je przywali, są one wprawdzie w całym bezpieczeństwie przed zimnem, i żyłyby w swoim miejscu, gdyby ten stan rzeczy trwał ciągle. Bywa jednak, że po takich mrozach następuje ogrzanie się atmosfery i do kilku (+ 2 do 4° R.) stopni ciepła, a wtedy śnieg na wierzchu leżący topnieje; woda zaś w którą się zamieni, nie mogąc wsiąkać w ziemię, która jest wtedy lodem, zatrzymuje się na wierzchu, tworzy chwilowe kałuże, i siedliska gąsienic zalewa. One zaś potrzebujące wprawdzie wilgoci, ale nie zdolne żyć w wodzie, muszą uciekać przed nią dokądkolwiek gdzie jej nie ma, obudzone z letargu témże samym ciepłem, które wodę sprawiło. Owoż z jakiej przyczyny wędrują niekiedy wśród zimy, nawet po śniegu.

Kto teraz przeczyta szczegółowy opis Tyzenhauza (Bibl. Warsz. l. c.) widzianych w Prosopowie, albo Brahma (Der Naturforscher. t. 29, str. 176) widzianych w r. 1799 w lasach Bingen

w Darmsztadzkiem, przekona się, że obydwu te zdarzenia wywołała odwilż, a nawet deszcze wśród tegiej zimy, jak to właśnie i u nas tego roku było. Że zaś taki stan niekoniecznie przydarzyć się może w styczniu, wędrówki tych gąsienic widywane były i w lutym, jakoto: w r. 1811 w Saxonii, i dawniej w 1799 w Darmsztadzkiem, gdzie, jak stwierdza autentycznymi poświadczzeniami Brahm (*l. c.*), zbierano je w różnych miejscowościach na śniegu, w dniach 11 i 12 lutego (1). Gąsienica oromiłka jest tak usposobiona do wytrzymywania zimna, że byleby otoczyła ją temperatura cokolwiek wyższa nad zero, zdolna już ruchy odbywać na śniegu, i słusznie też od Niemców robakiem śniegowym (*Schneewurm*) jest nazwana.

W Warszawie,  
d. 25 stycznia 1856 r.

Antoni Waga.

(1) We wzmiance mejj (Bibl. Warsz. *l. s. c.*), przywołując ten przykład, położyłem przez omyłkę nie tę datę lecz inną, podaną przez Brahma jako czas, od którego po rozpuszczeniu rzek, w okolicach Moguncyi zaczęły się na nowo mrozy, lecz przepłatane mgłami, deszczami, śniegiem, wśród których znajdowano te gąsienice koło połowy lutego. Zob. *Der Naturforscher*, vol. 29. pag. 177, 178.

## Doniesienia literackie.

### WARSZAWA.

Znany w piśmiennictwie naszym Felix Jeziński, wkrótce ogłosi drukiem swoją pracę p. n. „Nauka, sztuka, i społeczność”. Zajmuje się obecnie wykonaniem dzieła: „Przystępny wykład rozumowanej grammatyki”.

— Apolinary Zagórski skończył przekład 1-go tomu Astronomii popularnej Franciszka Arago.

— Kuryer Warszawski donosi, że p. Grzegorz Jachólkowski b. naczelnik kancelaryi Magistratu m. Warszawy, emeryt, spisuje oddawna przypomnienia z czasów obecnych, szczególnie obchodzące przeszłość Warszawy. Prostujemy tę wiadomość. Zaczyn ten obywatel chętnie udziela swych drogocennych wiadomości tak co do dziejów naszego miasta, jako też i z pola sztuki. Niemało notat dostarczył F. M. Sobieszczańskiemu, zajętemu obszernem dziełem opisu historycznego Warszawy: toż mówić o dziele E. Rastawieckiego, i o Cmentarzu Powązkowskim: ale są to notaty liczne, i dotąd jeszcze nie zabrał się p. Jachólkowski (choć naglony) do ułożenia w pewnym ładzie pamiętnika, któryby równie był szacowany jak rękopism Magiera, ale w lepszym ułożony porządku.

— Nakładem księgarni Ig. Klukowskiego i Walentego Rafalskiego wyszedł pierwszy zeszyt: „Bibliografii krajowej”. Treść tego pisma wyjaśnia prospekt. „Dokładnego katalogu książek polskich, któryby obejmował dzieła wydane tak w Warszawie, jak Petersburgu, Wilnie, Kijowie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu i w wielu innych miastach zagranicznych, nie posiadamy dotąd. Brak ten czuć się nietylko daje w handlu księgarskim, ale i dla czytającej powszechności. Statystyka taka literacka, przy obudzonem ruchu piśmiennictwa naszego niezaprzeczoną ma wartość, i wielkiego jest użytku: pojedyncze katalogi od czasu do czasu wydawane przez księgarzy, nie odpowiadają w zupełności tej potrzebie: bo tylko szczegółowe nakłady obejmują. Przekonani o konieczności zespolenia w jedną całość wiadomości rozrzuconych o wychodzących z druku książkach pol-

skich, zamierzylisny ogłaszać takowe zeszytami p. n.: „Bibliografia krajowa. Każdy zeszyt obejmie arkusz lub więcej ścisłego druku, ułożony porządkiem alfabetycznym. Przy końcu seryi złożonej z XII zeszytów, dodany zostanie spis szczegółowy, podług różnych gałęzi literatury, tak, aby czytelnik na pierwszy rzut oka mógł widzieć w każdym rodzaju nauki wydane dzieła. Bibliografia krajowa nietylko obejmie dokładnie to, co zawierały dotąd katalogi, ale nadto w oddzielnych rozprawach wiadomości o drukarniach, księgarniach, o handlu księgarskim i t. p. W miejscach właściwych dodane zostaną ogłoszenia o wydanych rycinach, nutach, i przypisy, w których podamy już całkowicie, już w treści ogłoszenia, i prospekta na ważniejsze dzieła”. Stosownie do tego prospektu, wydanym został pierwszy zeszyt w wielkiej ósemce str. 16 ścisłego druku (we dwie szpalty) obejmujący. Zawiera spis dzieł porządkiem alfabetycznym z roku 1855 i 1856; dalej idą nuty, ryciny, doniesienia literackie. Oddzielny ustęp stanowią drukarnie warszawskie, gdzie czytamy szczegółowy opis znakomitego niedawno zakładu Stanisława Strąbskiego. W rozprawie tej bezstronnie wykazano przeważne zasługi Strąbskiego, tak w podniesieniu i udoskonaleniu sztuki drukarskiej u nas w kraju, jak i w reformie naszych kalendarzy. Kończą ten zeszyt ogłoszenia księgarskie. Nizka cena prenumeraty, bo tylko rsr. 1 kop. 50 w Warszawie, a z przesyłką pocztową rsr. 2 wynosząca, i ważność przedmiotu, obchodzącego żywo zwolenników literatury ojczyściej, dają nadzieję, że przedsięwzięcie to znajdzie współzycie i poparcie.

— P. Leon Glücksberg wydał własnym nakładem komedye L. Niemojowskiego. Nie możemy zataić naszego podziwienia, dlaczego utwory te w tak niedbałej ogłoszono edycji. Papier brudny, korekta niedbała, choć cena wysoka, bo rsr. 1 kop. 50 wynosi.

— P. August Heylman wydał w poprawnym przedruku rozprawę, która już przed kilką laty w Bibliotece Warszawskiej była umieszczoną p. n. „Pogląd na prawnictwo krajowe co do spraw granicznych, między dobrami ziemskimi.” Wiadomo, że autor ten, różne przedmioty lub kwestye prawne z bieżącej praktyki sądownictwa krajowego zaczerpnięte naukowo traktował, ku bezpośredniemu użytkowi praktycznemu. I pogląd na prawnictwo graniczne jest owocem połączonej z długoletniemi doświadczeniem teorii. Autor rozróżnia trzy rodzaje spraw granicznych, a mianowicie: a) Sprawy o rozgraniczenie. b) Sprawy posesorsyjne, o naruszenie granic w ciągu roku. c) Sprawy graniczno-windykacyjne. Następnie po nader biegłym do rzymskiej akcyi *finium regiendorum*, i nader zręcznym powrocie do przepisów kodeksu cywilnego obowiązującego, zapatrując się w szczególności na sprawy graniczno-windykacyjne, a w ich rozbiore opierając się na historycznych wypadkach krajowych z zapadłych wieków, i na zasadach kodeksu cywilnego, oraz ustawy hypotecznej z r. 1818, zaprzecza możności początkowania spraw graniczno-windykacyjnych z zadawnionych dokumentów, i powstaje przeciwko nawykłej i przesądnej rutynie, tak w popieraniu, jak rozpoznawaniu spraw tego rodzaju. W miejsce zapadłych i spleśniałych dokumentów, oraz odpartej rutyny, kładzie za główną podstawę prawo posiadania, *ius possessionis*; jego prawność wedle granic naturalnych i używalnych utwierdza, a wnijkając w pierwotny wątek, i w wyradzające się z niego pobudki moralne *przedawnienia*, obok tego prostując komentatorów francuzkich, uzasadnia możność stosowania do spraw graniczno-windykacyjnych nietylko trzydziesto-letniego przedawnienia, lecz i przedawnienia dziesięcio lub dwudziestoletniego. Tym sposobem autor, jak sam nadmieniał, podaje dziedzicom dóbr ziemskich, między swęj granicznej troskliwie przestrzegającym, i rolnictwo lub przemysł nad pieniactwo przenoszącym, skuteczny środek obrony przeciwko nielegalnym powództwom, i zaborom gruntu. Pogląd ten, w osnowie swojej bardzo ściśwy, w założeniu swoim chwalebny, wielką zaiste reformę w rutynie dotychczasowego prawnictwa graniczno-zaborczego czyli windykacyjnego zrzadzając, nową zapewne epokę w zakresie tegoż prawnictwa stanowić będzie.

— Władysław Syrokomla, po wydaniu 3 i 4 tomu Gawęd swoich i rymów ulotnych, wykończył powieść nową, p. n. „Stare wrota”, gdzie wyprowadza na scenę postać ks. Piotra Skargi.

— Jużśmy donosili obszerniej o autentycznym obrazie Stefana Czarnieckiego, który się znalazł w rodzice dalszym i po kądzieli tego bohatera. Obraz

ten starannie i doskonale odnowiony przez znanego artystę Bonawenturę Dąbrowskiego, obecnie został skopiowany pastellami przez Tytusa Maleszewskiego, w zmniejszonym nieco formacie. Kopia ta zalecająca się trafnością i pięknem oddaniem charakteru starego wojownika, będzie na wystawie u p. Hirszel.

— Zygmunt Helcel pospiesza z wydaniem statutów, które zbiorem i opracowaniem należąc będą do pomnikowych dzieł w literaturze naszej. Dzieło całe ma być wykonane w druku na św. Jan bieżącego roku.

*Wiedeń.* (z listu) „Na posiedzeniu cesarskiej Akademii umiejętności w Wiedniu w r. z. Dr. Gindeli czytał rozprawę: „O życiu i pracach Jana Amosa Komeńskiego (Komeniusza) za granicą.” Materiały do tej pracy dostarczyły mu rękopisma i listy Komeniusza, zakupione niedawno dla Muzeum Czeskiego za 400 talarów w Polsce; wiadomo bowiem, że Komeński większą część żywota swego przebył w Wielkopolsce. Rozprawa ta zawiera między innymi szczegóły dotyczące się stosunków tego pedagoga czeskiego w Polsce, osobliwie zaś historyi innowierców w naszym kraju.”

„W tłoczni uniwersyteckiej wydaje zeszytami Stanisław Zarański nauczyciel języka i literatury polskiej w C. K. Akademii Maryi Teresy: „Dzieje powszechne zewnętrzne i wewnętrzne ułożone na wzór roczników, kronik, i właściwej historyi, z dziejobrazem powszechnym, przedstawiającym teatr wypadków pod względem czasu i miejsca.” Autor zastosował znaną metodę mnemoniczną Jaźwińskiego do historyi. Tu zaś metoda wykładu jest jeszcze ułatwiona, bo opatrzona dziejobrazem nakreślonym na chronologicznym czworokącie, który zapelniony portretami historycznych osób, oraz znakami symbolicznymi, przedstawia uczącym się żywe przed oczyma toczące się dzieje.”

— Znany w literaturze naszej i dobrze zasłużony Józef Lompa, wykończył w rękopiśmie nową pracę: „Żywoty biskupów szlązkich.” Zamierza wydawać zeszytami, a dochód z tego przeznaczył, szlachetny choć ubogi autor, na odbudowanie modrzewiowego kościoła w Smogorzewie, spalonego w r. 1854, a który przez IX wieków wytrzymał wszystkie burze czasu.

— E. Rastawiecki wykończył już trzeci i ostatni tom swego Słownika malarzów polskich. Oprócz tego przygotował obszerny i najdokładniejszy spis wszystkich prac Falka.

— Pisma nasze ogłosiły nadzwyczaj ważną wiadomość o odkryciu w archiwum Królewca rękopismu w języku polskim, obejmującego dzieje księztwa mazowieckiego przez Jarosława kanonika płockiego, pisanego słowiańskimi literami. Przejść on miał z archiwum metryki koronnej w Warszawie do Prus. August Bielowski w artykule, któryśmy dawniej ogłosili w piśmie naszym p. n. „Pierwsze pomniki języka polskiego” wspominał już o tej kronice. Dziś potrzeba tylko sprawdzenia tej wieści: byłby to skarb nieoceniony dla naszych dziejów. Ogłoszenie o tym odkryciu podał akademik Kunik w *Bulletin de la classe de sciences historiques, philologiques et politiques* (tom VIII nr. 13 i 14 str. 224) wydawanym w Petersburgu. Skoro dokładniejsze objaśnienia otrzymamy, zdamy obszerniejsze sprawozdanie o tym nadzwyczajnym odkryciu.

— Kaplica Najświętszej Panny Maryi w Częstochowie, jedna z najpiękniejszych pamiątek kraju naszego, znaną dotychczas była wyłącznie tym, którzy mieli szczęście zwiedzić święte miejsce. Obecnie dokładny wizerunek tej kaplicy i ołtarza z obrazem cudownym, wykonął sposobem chromolitograficznym Maksymilian Fajans, z rysunku na miejscu zdjętego. Wizerunek takowy w dużym formacie, dedykowany J. W. Maryi z hr. Tyzenhauzów hr. Przezdzieckiej, nabyć można w Warszawie w zakładzie artystyczno-litograficznym M. Fajansa przy ulicy Długiej pod nr. 550, po rubli 2 za egzemplarz, a na prowincyi i w Cesarstwie za zgłoszeniem się listownie do zakładu, z przesyłką i opakowaniem po r. 2 kop. 50.

† Dnia 5 czerwca 1855 r., umarł w Krakowie Zygmunt Anczyc, zasłużony artysta dramatyczny, znany i na scenie warszawskiej, a zarazem tłumacz wielu dzieł dramatycznych.

*Redukcja Biblioteki Warszawskiej.*









	m.	g.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.297	27	9.046
Najwyżej barometr dochodził d. 19 o g. 10 w.	773.75	28	7.000
Najniżej — — — d. 5 o g. 10 r.	733.67	27	1.233
Średnia zmiana dzienna barometru	5.456		2.418
Największa zmiana dzienna barometru d. 17—18 o g. 10 w.	25.11		11.131
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	0.268		0.120
Średnia temperatura grudnia wynosi: i ta jest niższa o	751.565	27	9.166
od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających	— 9 <sup>o</sup> .37 C.	—	7 <sup>o</sup> .50 R.
	7.10 „	„	5.68 „
	— 2.27 „	—	1.82 „
Największe ciepło było d. 24 o g. 10 w.	+ 2.2 „	+	1.76 „
Największe zimno — d. 4 o g. 6 r.	— 25.5 „	—	20.40 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	5.047 „		4.038 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 17—18 o g. 4 w.	29.8 „		16.64 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 2.0 R. d. 24 wiecz. \*

Minimum: —20<sup>o</sup>.4 „ d. 4 rano.

Ilość wody spadłej z śniegu wynosi co do wysokości: 35.2 mil. czyli 15.60 lin. par.; ilość ta wody jest o 0.84 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w grudniu spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 6, pochmurnych 19.

— deszczu 1 (d. 24.).

— śniegu 13 (d. 1, 6, 7, 8, 9, 12, 13, 14, 16, 17, 19, 21, 22).

— mgły 6 (d. 23, 24, 27, 29, 30, 31).

Wichrów było 2 (2 Z).

Wiatrów mocnych 9 (5 Z., 2 Pn., 1 PnZ., 1 PnW).

Wiatr panujący: południowo-wschodni.

Grudzień r. b. był pogodny, bardzo mroźny, w śnieg dosyć obfity, blisko o 6 stop. R. zimniejszy niż zwykle; wyjąwszy dwa dni 16 i 17 w których termometr wznosił się nieco nad zero, wszystkie inne dni były mroźne, osobliwie pierwsze 21 dni odznaczały się silnemi mrozami; ostatnie dziesięć dni były mniej mroźne. Lubo grudzień r. b. był bardzo mroźny, wszelako były lata w których miesiąc ten miał temperaturę średnią nierównie niższą. I tak: w r. 1788 był o 4.28 stop. R.; w r. 1812 o 1 stopień; w r. 1829 o 2.24 stop. R. zimniejszy niż r. b. Najcieplejsze dni były d. 16 i 17; najzimniejsze d. 2, 3, 4, 9, 10, 11, 12, 15, 18, 19, 20, 21. Po wielkich mrozach, w dniach 16 i 17 nastąpiła nagle zmiana temperatury i odwilż. D. 17 o godz. 4 wieczór, termometr pokazywał 0.24 stop. R. ciepła; d. 18 o godz. 6 rano, 11.6 stop. zimna, w nocy mróz dochodził do 19.6 stop. R., tak iż zmiana dzienna temperatury dochodziła 19.8 stop. R. Barometr niektórych dni, mianowicie d. 19, 20, 29, 30, 31 utrzymywał się bardzo wysoko; d. 19 z rana, wznosił się na 28 cali 7.0 lin. par. tylko o 0.71 lin. par. mniej od najwyższego stanu (28 cali 7.71 lin. par.) jaki przypadł w r. 1829 d. 6 grudnia. Pod względem stanu nieba, miesiąc ten pogodniejszy był niż zwykle. W stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 3,3:5,0:227; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 6:6:10 co pokazuje że liczba dni pogodnych i napół pogodnych jest większa niż zwykle. Elektryczność atmosferyczna przy niebie pogodnym i spokojnym powietrzu w dniach 10, 11, 12, a osobliwie d. 15 była silna.

D. 3 Wisła pod Warszawą stanęła.

D. 3 pokazywały się plamy na słońcu.

D. 18 o godz. 9 rano do godz. 1 z południa, dały się widzieć świetne słońca boczne i obręcz biała słońce otaczająca.

# Wypadki średnie dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwum Astronomicznym Warszawskim w roku 1855 robionych.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza; jego szerokość geograficzna 51° 35', długość w czasie 1<sup>g</sup> 14<sup>m</sup> 45<sup>s</sup>.7, czyli w łuku 18° 41' 25".5 na wschód względem południka paryzkiego.

ROK 1855	WYSOKOŚĆ BAROMETRU W MILIMETRACH SPROWADZONA DO 0°					TEMPERATURA PODLUG TERMOMIETROWIENIOWEGO				PSYCHROMETR Wilgotność średnia miesięczna biorąc 100 za zupełne nasyce- nie atmosfery parą wodną					STAN NIEBA							Ilość wodospad- kiej w milime- trach		KIERUNEK WIATRU																									
	ŚREDNIA					ŚREDNIA				ŚREDNIA					Dni pogodnych	Dni na pół po- godnych	Pochmurnych	Dobrze	Śniegu	Grądu	Mgły	Grzmotów	Rybaków bez grzmotów	Wichrów i wia- trów mocnych	dészczu	śniegu	Północny	Północno- Wschodni	Wschodni	Południowo- Wschodni	Południowy	Południowo- Zachodni	Zachodni	Północno- Zachodni															
	6 godz. rano	10 godz. rano	4 go. wieczór	10 go. wieczór	miesięczna	Najwyższa	Najniższa	6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wieczór	10 godz. wieczór	miesięczna	Najwyższa	Najniższa																					6 g. r.	10 g. r.	4 g. w.	10 g. w.	mie- siecz.	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
Styczeń.....	750.668	750.843	750.451	751.047	750.752	763.43 d. 7	718.80 d. 2	- 7° 76	- 6° 59	- 5° 41	- 6° 9	97.70	+ 4° 12 d. 8	- 25° 75 d. 31	94.9	93.5	91.7	93.5	93.4	5	3	23	4	16	2	1	-	-	17	15.6	54.9	12	7	7	19	2	6	28	32										
Luty.....	746.541	746.976	746.377	746.944	746.709	760.23 d. 20	727.23 d. 15	- 13.46	- 11.53	- 9.21	- 11.5	91.43	+ 2.75 d. 16.27	- 33.12 d. 11	-	-	-	-	-	6	5	17	1	12	1	2	-	-	35.2	-	19	18	9	11	8	4	22	11											
Marzec.....	743.784	744.096	743.714	744.436	744.008	764.95 d. 31	724.69 d. 23	- 1.50	+ 1.00	+ 1.86	+ 0.2	90.27	+ 11.63 d. 25	- 16.87 d. 1	96.9	86.7	84.7	94.6	90.7	1	3	27	14	14	1	4	-	-	5	45.4	54.1	17	19	9	23	14	7	23	8										
Kwiecień.....	749.762	750.014	749.200	749.492	749.617	767.58 d. 1	724.72 d. 10	+ 2.31	+ 6.35	+ 9.09	+ 4.5	95.57	+ 18.12 d. 15	- 2.38 d. 10	90.6	70.6	59.0	81.2	75.3	4	9	17	12	6	4	2	-	-	15	28.5	7.6	21	8	2	22	6	11	22	21										
Maj.....	747.223	747.422	746.748	747.256	747.162	753.12 d. 25	738.74 d. 15	+ 9.56	+ 14.11	+ 16.69	+ 10.8	92.80	+ 25.88 d. 31	+ 1.62 d. 8	87.1	65.3	56.3	83.7	73.1	3	14	14	18	-	1	2	4	3	14	60.9	-	15	11	5	14	14	20	16	11										
Czerwiec.....	751.255	751.361	750.617	751.041	751.069	757.24 d. 11	740.96 d. 16	+ 16.23	+ 20.76	+ 22.59	+ 16.8	99.10	+ 33.37 d. 3	+ 7.75 d. 26	81.4	61.4	55.0	80.1	69.5	5	16	9	15	-	1	1	5	5	8	101.4	-	21	16	3	16	7	6	14	17										
Lipiec.....	748.443	748.754	748.190	748.436	748.456	755.90 d. 14	740.16 d. 18	+ 16.53	+ 20.38	+ 22.88	+ 17.2	99.26	+ 31.38 d. 26	+ 10.50 d. 1	86.4	67.8	57.9	84.4	74.1	5	8	18	22	-	-	1	4	2	7	144.5	-	6	3	4	13	15	14	22	30										
Sierpień.....	751.499	751.707	751.152	751.488	751.461	758.55 d. 30	744.08 d. 15	+ 14.35	+ 19.14	+ 22.06	+ 16.0	97.89	+ 31.38 d. 3	+ 8.00 d. 18	88.5	69.2	57.4	81.5	74.1	10	10	11	10	-	-	1	3	7	78.9	-	7	10	6	18	6	5	29	24											
Wrzesień.....	753.458	753.876	752.956	753.571	753.464	764.56 d. 26	739.31 d. 5	+ 7.99	+ 13.56	+ 16.08	+ 10.1	91.94	+ 25.62 d. 4	+ 0.12 d. 27	93.7	71.7	59.8	87.1	78.1	11	8	11	10	-	-	3	-	1	32.2	-	10	3	-	25	7	6	31	20											
Październik....	745.947	746.456	746.024	746.406	746.208	759.44 d. 23	731.06 d. 11	+ 8.04	+ 10.84	+ 13.12	+ 9.5	90.38	+ 21.50 d. 7	+ 1.87 d. 18	94.7	84.7	77.6	90.9	87.0	6	7	18	16	-	-	6	-	1	8	114.9	-	3	-	33	23	11	45	2											
Listopad.....	754.437	754.915	754.413	754.691	754.614	767.40 d. 11	734.52 d. 27	- 0.54	+ 0.81	+ 1.57	+ 0.1	90.50	+ 14.62 d. 2	- 12.12 d. 26	94.4	86.6	85.8	92.4	89.8	6	1	23	5	4	-	-	2	-	8	18.4	6.2	4	9	8	55	13	12	13	4										
Grudzień.....	750.733	751.336	751.324	751.794	751.297	773.75 d. 19	733.67 d. 6	- 10.16	- 9.13	- 8.63	- 9.5	93.37	+ 2.50 d. 24	- 25.50 d. 4	-	-	-	-	-	6	6	19	1	13	-	-	6	-	35.2	13	4	2	41	22	14	20	7												
Średnia roczna.	749.479	749.813	749.264	749.717	749.568	773.75 d. 19 Grudnia	718.80 d. 2 Stycznia	+ 3° 46	+ 6° 64	+ 8° 56	+ 4° 7	90.85	+ 33° 37 d. 3 Czerwca	- 33° 12 d. 11 Lutego	90.9	75.8	68.5	86.9	80.5	68	90	207	128	65	9	31	16	18	95	640.7	193.2	145	111	53	290	137	116	285	187										

Średnia wysokość barometru roczna. 749.568 milimetr. c. 1. 27 8.281  
 Najwyższy barometr dochodził dnia 19 Grudnia..... 773.75 28 7.000  
 Najniższy dnia 2 Stycznia..... 718.80 26 6.642  
 Zmiana roczna barometru..... 54.97 2 0.358  
 Średnia zmiana miesięczna..... 4.120 1.826  
 Średnia zmiana dzienna..... 3.927 1.741  
 Największa zmiana dzienna przypadła d. 17—18 Grudnia o godz. 10 wieczór 25.11 11.131  
 Średnia wysokość barom. jest niższa o 0.349 0.154 od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających..... 749.917 27 8.435  
 Wysokość średnia barometru w miesiącach: Kwietniu, Czerwcu, Sierpniu, Wrześniu, Listopadzie była większa; przeciwnie w Styczniu, Lutym, Marcu, Maju, Lipcu, Październiku, Grudniu mniejsza niż w stanie normalnym.  
 W miesiącach: Kwietniu i Wrześniu barometr stał wyżej, w Styczniu zaś i Kwietniu niżej niż kiedykolwiek w tych miesiącach w 29 latach poprzednich.

Średnia temperatura roczna wynosi..... + 5° 85 C. = + 4° 68 R. i ta jest niższa o..... 1.49 „ 1.19 „ od stanu normalnego z 29 lat poprzedzających..... + 7.34 „ = + 5.87 „  
 Największe ciepło było d. 3 Czerw. + 33.37 „ = + 26.7 „  
 Największe zimno było d. 11 Lut. - 33.12 „ - 26.5 „  
 Zmiana roczna temperatury..... 66.49 „ 53.2 „  
 Średnia zmiana miesięcz. temper. 5.814 „ 4.651 „  
 Średnia zmiana dzienna temper. 2.870 „ 2.296 „  
 Największa zmiana dzienna temperatury, przypadła dnia 17—18 Grudnia o godzinie 4 wieczór... 20° 8 „ = 16° 64 „  
 Uważając miesiące: Grudzień (1854 r.), Styczeń, Luty, r. b., za miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień, Maj, za wiosenne; Czerwiec, Lipiec, Sierpień, za letnie; Wrzesień, Październik, Listopad za jesienne, wypadła: temperatura zimy... = - 6° 09 C. i ta jest niższa o 2° 52 C. wiosny = + 6.21 „ niższa o 0.88 „ lata... = + 18.75 „ wyższa o 0.65 „ jesieni = + 7.61 „ niższa o 0.15 „  
 od temperatury tychże pór w stanie normalnym.  
 Miesiące: Czerwiec, Lipiec, Październik były cieplejsze; przeciwnie: Styczeń, Luty, Marzec, Kwiecień, Maj, Sierpień, Wrzesień, Listopad, Grudzień zimniejsze niż w stanie normalnym.  
 Dotąd ani razu w Lutym nie było tak niskiej średniej temperatury i tak wielkiego mrozu jak w dniu 11 Lutego.

Wilgotność średnia jest 80.5, biorąc 100 za zupełne nasyce-  
 nie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru  
 6.15 gramów na 1 metrze sześciennym powie-  
 trza. Wilgotność ta jest 0.1 mniejsza od normalnej.  
 Miesiące: Styczeń, Luty, Marzec, Czerwiec, Lipiec, Wrzesień, Listopad, były suchsze; przeciwnie: Kwiecień, Maj, Sierpień, Październik, wilgotniejszą stan normalnym. Średnia wilgotność Sierpnia była normalnej.  
 Ilość wody spadłej co do wysokości w mil. czyli 23 c. 8.02 lin. p. 2 „ 7 „ 1.64 „  
 Razem z d. i śniegiem 9 mil. czyli 30 c. 9.66 lin. p. to jest o 221.7 mil. d. i 2.28 lin. par. więcej od ilości wody (612.2 mil. d. i 7.38 lin. par.) jaka zwykłe u nas w roku spada.  
 W miesiącach: Styczniu, Lutym, Marcu, Maju, Czerwcu, Lipcu, Sierpniu, Wrześniu, Grudniu, wody spadło więcej; przeciwnie: w kwietniu, maju, wrzesniu, listopadzie, grudniu, w styczniu, lutym. Najmniej wody spadło w listopadzie, gdyż w tym miesiącu spadło najmniej.  
 Dotąd ani razu w naszym kraju nie spadło tak znacznej ilości śniegu jak w r. b. i w tym roku w lutym woda, jaka w tym miesiącu spadła, w całem roku była w dniach pogodnych 68, na półpogodnych 90, pochmurnych 20, w deszczu 128, śniegu 65, gradów 9, mgły 31, grzmotów 20, rybaków bez grzmotów 18, wichrów i wiatrów mocnych 95; wiatr panujący południowo-wschodni i zachodni.  
 Wstanie normalny panujący u nas jest zachodni.

Jeżeli rok uważać będziemy jako całość podzieloną na 100 równych części, i w tych częściach wyrazimy dni pogodne, na półpogodne i pochmurne, wypadnie w średnim przecięciu z 29 lat poprzedzających (1826—1855) stosunek dni pogodnych, do na półpogodnych, pochmurnych 16.3 : 32.9 : 50.8. W roku 1855 stosunek tych dni jest 18.6 : 24.7 : 56.7, co pokazuje, że r. b. był mniej pogodny niż zwykle. Miesiące najpogodniejsze były: Luty i Wrzesień, niepogodne Marzec i Kwiecień.  
 W ogóle rok 1855 należy do lat mokrych, niepogodnych, chłodnych, w deszcz i śnieg obfitych.  
**Zima.** Pierwsza połowa tej pory była wilgotna, słotna, w deszcz obfita, dość ciepła; w drugiej połowie pogodna, w śnieg obfity, nie zwykle mroźna; szczególnie wielkimi mrozami odznaczał się miesiąc Luty, średnia bowiem jego temperatura była o 6.76 stop. R. niższa od normalnej, o 12.04 stop. R. od najcieplejszego Lutego jaki był w r. 1845, a o 0.97 stop. R. od najzimniejszego Lutego, jaki był w r. 1799. W ogóle pora ta była o 2.02 stop. R. zimniejsza niż zwykle. Największy mróz jaki dochodził w tej porze, był - 26.5 stop. R. i przewyższał wszystkie mrozy jakie były w tej porze w peryodzie 29 letnim, był jednak takż jak w r. 1799.  
**Wiosna.** Pora ta prawie cała wyjąwszy jej koniec, była niepogodna, wilgotna, słotna, w deszcz i śnieg obfity, chłodna; o 0.7 stop. R. chłodniejsza niż zwykle. W skutek mrozów długo trwających, roślinność była znacznie opóźniona.

**Lato.** Początek tej pory przy wysokim stanie barometru był pogodny, suchy, bardzo gorący; środek był niepogodny, wilgotny, słotny, w deszcz obfity, dość ciepły; koniec dość pogodny, chłodny, szczególniej noce i ranki były chłodne. W ogóle o 0.52 stop. R. cieplejsze niż zwykle.  
**Jesień.** Z początku pogodna, sucha lecz chłodna, szczególnie ranki były chłodne; środek tej pory był niepogodny, słotny, w deszcz obfity, lecz ciepły; koniec pogodny lecz mroźny. W ogóle o 0.12 stop. R. zimniejsza niż zwykle.  
 Ostatni mróz z wiosny - 1.5 stop. R. wynoszący, był dnia 25 Kwietnia.  
 Pierwszy mróz w jesieni - 0.2 stop. R. wynoszący, był dnia 11 Listopada.  
 Ostatni śnieg z wiosny przuszył dnia 28 Kwietnia, a pierwszy w jesieni dnia 20 Listopada.  
 Plamy na słońcu pokazywały się dnia 11, 13, 17, 18 Stycznia; d. 10, 11, 17 Lutego; d. 1 Marca; d. 7, 16 Maja; d. 3 Grudnia.  
 Koło białe otaczało słońce d. 8 Września.  
 Dwa boczne słońca były d. 18 Grudnia.  
 Koło białe otaczało księżyc d. 28 Stycznia; d. 29 Maja.  
 Zorza północna świeciła d. 12 Kwietnia.  
 Około środka miesiąca Czerwca pojawiła się w Warszawie epidemia cholery.  
 Wiały pod Warszawą stanęła d. 18 Stycznia.  
 Lody na Wiśle puściły d. 23 Marca.  
 Na początku zimy Wiśla stanęła powyżej mostu dnia 3 Grudnia.

## O DŁUGOWIECZNOŚCI LUDZKIEJ.

(Wyjątek z niedrukowanej jeszcze *Hygieny polskiej*.)

PRZEZ

Dra *T. Tripplina*.

1856

Ile lat natura wyznaczyła człowiekowi, jak długo mógłby żyć, gdyby wątku życia jego nie przerwały choroby lub przypadek, albo osłabienie z jego własnej winy pochodzące?—oto pytania, które rozbierać będziemy w tym ustępie dzieła naszego.

Buffon twierdzi, że człowiek przypadkowym chorobom nieuległy, żyje wszędzie lat 90 do 100. „Jeżeli się zastanowimy, mówi on, że Europejczyk, Murzyn, Chińczyk, Amerykanin, że człowiek oświecony, dziki, bogaty, ubogi, że mieszczanin, wieśniak, tak różni pomiędzy sobą co do reszty, pod tym względem do siebie są podobni, i że każdy z nich ma tylko tę samą miarę czasu do przebieżenia od urodzenia aż do śmierci; jeżeli zważymy, że różnica rasy, klimatu, pokarmów i wygod nie wywiera żadnego wpływu na długość życia: więc wyznaczyć musimy, że trwałość życia nie zależy ani od zwyczajów, ani od obyczajów, ani od jakości pokarmu, i że nie zmienić nie zdoła praw mechaniki, które ustanowiły liczbę lat naszych”. Buffon ma wielką słuszność, bo istotnie trwałość życia nie zależy ani od klimatu, ani od żywności, ani od rasy; nie zależy ona od niczego zewnętrznego, tylko od wewnętrznego ustroju i od rodzinnej dzielności naszych organów.



Wszystko w ekonomii zwierzęcej podlega prawom stałym.

Każdy rodzaj zwierząt ma osobną postać, osobny wzrost i ustrój. Kot i tygrys są dwa rodzaje spowinowaczone, bardzo do siebie podobne całkowitą swą organizacją, a jednakże kot pozostaje zawsze we wzroście kota, a tygrys zachowuje wielkość tygrysa.

Każdy rodzaj ma swój osobny i stały czas noszenia. Królik nosi dni 30, morska świnka dni 60, kot dni 56, suka dni 64, lwica 108.

Każdy rodzaj ma swój osobny czas wzrostu.

Jeżeli więc wielkość, noszenie i wzrost podlegają pewnej stałej mierze: czemużby i długość życia nie miała jej podlegać?

Słusznie powiedział Buffon, że długość życia ludzkiego przeciąga się do 90, a nawet do 100 lat. Codziennie widzieć możemy starców tego wieku. Wprawdzie wyznaczyć musimy, że liczba ludzi tak długo żyjących szczupłą jest w porównaniu z liczbą osób wcześniej umierających; ale to jest pewnem, że tego wieku dostąpić można. I częściejby się to wydarzało, jeśliby okoliczności przypadkowe temu się nie opierały.

Największa liczba ludzi umiera w skutek choroby, a mała liczba schodzi z tego świata prawidłowo w skutek starości. Człowiek ukształcił sobie rodzaj życia sztuczny, w którym umysłowość częściej jest chorą niżeli fizyczność, i w którym sama fizyczność częściej zapada na chorobę niżeli zapadała, gdy nasze życie było weselszem, spokojniejszym, i regularniej pracowitszem. Człowiek umiera w każdym wieku, zwierzę zaś przebiega regularniej i pewniej przestrzeń istności swojej. Namiętności i z nich wynikające nieszczęścia, wywierają wpływ niesłychany na zdrowie i rozstrajają siły ożywiające nas. Przypatrzwszy się bliżej ludziom uznać musimy, że prawie wszyscy wiedzą życie trwożliwe i pełne obawy, że prawie wszyscy padają ofiarami zmartwienia.

Haller znów utrzymuje, że człowiek jest jednym ze zwierząt najdłużej żyjących, i że wcale niesłusznie uzależmy się na krótkość naszego życia. Według jego zdania,

człowiek może dożyć do dwóch wieków. *Non citra alterum seculum ultimus terminus vitae humanae subsistit.*

*Elementa physiologiae Tom VIII, Lib. 30, pag. 95.*

Wielki ten fizyolog zgromadził znaczną liczbę przykładów długowieczności; dwa przykłady najdłużej przeciągniętego życia dochodzą do 152 i 169 lat.

Tomasz Parre dawny żołnierz, urodzony w hrabstwie Shrop w Anglii, na pograniczu Wallii, wślawił się w całym kraju z swego podeszłego wieku do tego stopnia, że go król Karol I chciał poznać. Sprowadzono go do dworu i przyjmowano bardzo hojnie. Biedny starzec ujęty grzecznością dworu jadł zanadto, dostał niestrawności i umarł 14 listopada 1635 roku. Harwey lekarz króla, sławny anatom, który odkrył cyrkulacją krwi, otwierał jego ciało i znalazł wszystkie trzewia w najzdrowszym stanie; chrząstki żeber nie były jeszcze skostniałe. Mógł być żyć jeszcze lat kilkanaście. Tomasza Parre pochowano w Westminsterze pomiędzy wielkimi ludźmi za to, że umiał przechować tak długo swe życie, wstrzemięźliwością, łagodnością charakteru i pracą.

Drugim z długowieczności sławnym i przez Hallera uznanym człowiekiem był także Anglik *Henryk Jerkins* z hrabstwa York, który umarł dnia 8 grudnia 1670 roku, mając lat 169. Jerkins bardzo biedny rybak, mając lat przeszło 100, przebywał rzeki wpław. Raz go powołano za świadka o czyn, który miał miejsce przed 140 laty. Jerkins przybył ze swemi dwoma synami, z których jeden miał lat 102, a drugi lat 100, i świadectwem swym poparł tak dobrze sprawę skrzywdzonych na majątku potomków bardzo dawnego przyjaciela, że ci prawie niespodzianie sprawę wygrali, i w 10 lat potem, gdy sędziwy Jerkins umarł, wystawili mu w Bolton pod Richemont w Yorkshirze dodziśdnia istniejący pomnik.

*Luiza Truxo*, Murzynka z Tukamanu, umarła, jak *London Chronicle* zaręcza, w roku 175 życia.

*Piotr Czartan* Węgier z pod Temeswaru, jak głosi naukowe czasopismo *Philosophical Transaction*, umarł w 185 roku życia. Jeszcze na kilka dni przed śmiercią chodził i żebrał.

*Saint Mungo Keutینگern*, założyciel biskupstwa w Glasgowie, żył także lat 185, jak świadczy następujący napis na jego grobowcu w katedrze glasgowskiej:

*Cum octogenos centum quoque quinque vir annos  
Complerat, sanctus est Glasgow munere functus.*

Biskup Keutینگern, jak się dowiadujemy z Spittswooda historyi kościoła szkockiego, wiódł życie skromne, czynne, dobroczynne i wesołe, i zwykł był powtarzać następującą sentencją szkoły lekarskiej Salerneńskiej:

*Si tibi deficiant medici, medici tibi fiant  
Haec tria: mens hilaris, requies, morderata diaeta.*  
Skoro zdrowym być pragniesz, a lekarz daleki,  
Ruch, wesołość, dyeta, zastąpią ci leki.

Niewiele też odpoczywał w swém długim życiu zasłużony biskup, tylko owszem odznaczał się żywością umysłu i bezprześcanną czynnością.

Hanow professor i lekarz w Gdańsku zaręcza, że widział w temeswarskim bannacie w Węgrzech starca mającego lat 190, i jeszcze wodzącego rej pomiędzy żebrakami.

Tenże sam uczony poznał *Jana Rowina* w Spartowie, także w temeswarskim bannacie, który w małżeństwie z żoną swoją *Sarą Desson* przeżył lat 147. Jan Rowin umarł później mając lat 172 w kilka dni po śmierci żony swojej, mającej lat 165. Ich najmłodsze dziecko miało wówczas lat 90. Hanow unosi się nad cnotami domowemi, humorem i szczerą religijnością madziarskiego *Philemona* i siedmiogrodzkiej *Baucis*, którzy w skostniałem już i pleśnią zarosłem ciele przechowali serce zdrowe i czułe, umysł pogodny i rzeźwy.

Cesarz austriacki Franciszek I zawiesić kazał w sypialni swojej portrety *Jana Rowina* i *Sary Desson*, i te portrety istnieją dodziśdnia w zamku wiedeńskim.

Doktor *Karol Wilhelm Ideler* professor kliniki psychiatrycznej w Halli zaręcza, że niedaleko Połocka i granicy inflanckiej żył jeszcze w roku 1804 inwalid rossyjski, który służył w wojnie 30-letniej pod *Gustawem Adolfem*. W bitwie pod Połtawą w roku 1709, mając wtenczas lat 86, postradał ramię, ale się wyleczył i wkrótce potem ożenił się po raz trzeci i płodził dzieci. W roku 1804, kiedy stary inwalid miał lat 184, rodzina jego składała się z 138 po-

tomków, pomiędzy którymi znajdowało się dwóch przeszło stoletnich wnuków. Wszyscy mieszkali w jednej wsi i trzymali się starego patryarchy, zawsze jeszcze wesołego i najzupełniej zdrowego.

Zdaje się, że długowieczność w blizkiem znajduje się powinowactwie z siłą płodności, i często jeden człowiek jest dowodem jednego i drugiego. Fedor Wasilew chłop moskiewski, w roku 1782 dostąpiwszy siedmdziesięcio-pięcioletniego wieku, miał z dwiema żonami 87 dzieci. Pierwsza żona rodziła 27 razy i 4 razy miała po 4 dzieci razem, siedm razy miała po troje naraz, a 16 razy bliźniaki. Druga żona urodziła Fedorowi Wasilewowi w ośmiu połogach 18 dzieci.

Na sam ostatek chowam najwięcej zdumiewający i najwiarogodniejszy przykład długowieczności.

Tomasz Carn, urodzony w Londynie dnia 28 stycznia 1588 roku żył lat 207, pod panowaniem 12 monarchów Anglii, i umarł 9 marca 1795 roku, także w Londynie. Nie śnielibyśmy tego przykładu niesłychanej, zdaje się wszelkie granice prawdopodobieństwa przechodzącej długowieczności tutaj umieszczać, gdybyśmy w archiwach kościoła św. Leonarda w Londynie nie mogli sprawdzić wiarygodności aktu urodzenia i zejścia tegoż *Tomasza Carn*, pochowanego na cmentarzu kościoła i zaszczyconego kamieniem grobowym przez samego króla Anglii. (Obacz *Vossische Zeitung* 1841, nr. 195 i *Allgemeine Dietetik von Dr. C. W. Ideler. Halle, 1848 pag. 424*).

Niedosyć na tém. Sławny podróżnik Jakób Rilley (autor przygód i podróży na brzegach zachodnich i w wnętrzu Afryki) widział pomiędzy Maurami najgorętszego wybrzeża Afryki zachodniej starców, którzy w 200 i w 210 roku życia cieszyli się zdrowiem, czerstwością i doskonałemi siłami. Pomiedzy starcami zdarzali się, zaręcza James Rilley, 300-letnie żywe mumie, ogołoczone z włosów i z zębów i tak zeschłe, że skóra przylegała do kości zupełnie jak pargamin. Owe żywe mumie były przedmiotem najczulszych względów ze strony potomków swoich i w ogóle wszystkich ludzi. W czasie głodu nieraz się wydarzającego w onych krajach, najprzód zawsze pamiętano o starcach, potem dopiero o dzieciach. Prawda, że cokolwiek mleka wiel-



blądziego wystarcza na utrzymanie tych zeszlęych staruszków przy życiu.

Sinclair (także Anglik) zaręcza, że w Indyach Wschodnich jeden Bramin żył lat 700 i dostawał co sto lat nowe zęby.

Humboldt wspomina Peruwianczyka, który żył 143 lat, A. Lichtenstein widział na przylądku Kap niewolnika, mającego 120 lat, pochodzącego z wyspy Jawy, a innego niewolnika który miał 107 lat, pochodzącego z wysp Malajskich; nareszcie trzeciego który żył 100, i pochodził także z wysp Malajskich.

Szczególniej obfite w ludzi dochodzących do patryarchalnego wieku są kraje północy, a oprócz tych pierwiej wymienionych z Anglii, możnaby jeszcze bardzo wiele znaleźć w Norwegii, Szwecyi, Rossyi i w bannacie ungryjskim. W roku 1733 król Krystyan z królową Zofią Magdaleną, zwiedzając Norwega, zatrzymali się w Fridrichshal u podpułkownika Kolnbiörsen. Ten dla uczczenia swych wysokich gości wyprawił tak zwane dyamentowe wesele czterech małżeństw wieśniaczych, zebranych z kraju górnego. Pomiędzy temi 8 ludźmi nie było żadnego mniej jak 100 lat mającego. Nazywali się: „*Sologsten*” który potem jeszcze żył 8 lat, a żona jego *Helia* żyła jeszcze 10 lat; *Oer* żył jeszcze 6 lat, a żona jego *Inger* żyła 10 lat; *Besseber* ze swoją żoną i *Torlaksen* z żoną *Joran* żyli jeszcze po 10 lat.”

J. Remus opowiada, że widział biskupa w Stawanger, który umarł w roku 1440; żył lat 210. Adryan Rotker był 70 lat radcą w Drontheim; umarł na początku XVII wieku, i żył 120 lat. J. Remus wspomina także jednego księdza w Holthalen w okręgu Drontheim, który żył w ciągu XVI wieku, a umarł mając 150 lat; przed śmiercią 30 lat był niewidomym. W 1722 r. wieśniaczka w bliskości Stawanger, Elżbieta Walewand żyła 137 lat, zostawiwszy męża mającego 110 lat. W roku 1838 żył jeszcze w Hildgansen na Szlaku starzec, mający 142 lat, który żył w trzech stuleciach; nazywał się Jan Hertz. Od 27 lat już nie wychodzi z pokoju, ale przechodzi się codziennie dwa do trzech razy po pokoju. Jeżeli pogoda jest na dworze, wtenczas przy otwartem oknie wypala swoje trzy fajki tytoniu. Od 6 lat

nie już nie mówi, i wydaje tylko niewyraźne głosy, które tylko jego domownicy mogą zrozumieć. Jego synowie już oddawna poumierali, a on jeszcze żył w roku 1842, pielęgnowany przez swych wnuków i prawnuków.

Pomiędzy chmarą Szkotów, Anglików, Szwedów, Duńczyków, Rossyan, Węgrów, Indyjan i Murzynów, wsławionych z długowieczności, i przez wielu autorów, którzy o życiu ich pisali wspomnianych, ledwo dwa nazwiska polskie nadmienione zostały.

*Hufeland* wspomina o obywatelu *Tabaczyńskim*, który w roku 1826 umarł w Radziejowie, mając lat 115. Człowiek ten, jak zaręcza *Hufeland*, nigdy nie chorował; żył w domu swojego syna tamtejszego aptekarza i przez cały dzień trudnił się robotą z ruchem ciała połączoną. Dzienniki czytywał bez okularów. Na dwa lata przed śmiercią popadł w ciężką gorączkę, nie chciał słyszeć ani o lekarzach, ani o lekarstwach i ozdrowiał dzięki źródlanej wodzie i obmywaniom octowym. Ale prawie zupełnie zaniewidział i ogłuchł, i w dwa lata potem zasnął sobie spokojnie snem wiecznym w krześle.

*Virey* w swém dziele *De la puissance vitale*, wyszłém w roku 1823, mówi o cnotliwej pannie *Rozynie Iwiwarowskiej*, Polce w Paryżu mieszkającej, która przeżyła lat 113. Bawiąc w Paryżu zasięgaliśmy bliższych wiadomości o tej sędziwej Westalce polskiej, ale niczego dowiedzieć się nie mogliśmy, pomimo najusilniejszych starań.

*Nawrocki* obywatel Warszawy miał lat 117, kiedy przyszedł powitać cesarza Napoleona bawiącego w styczniu roku 1807 w naszej stolicy. Historyograf cesarza Napoleona Laurent de l'Ardeche w dziele swoim przez Horacyusza Vernet illustrowaném, wspomina o tym ziomku naszym i przytacza nadzwyczaj pięknie redagowaną prośbę o wsparcie, którą zgrzybiały, z głodu umierający szlachcic podał cesarzowi Francuzów.

Podczas pobytu mojego na uniwersytecie królewieckim w r. 1832, Polacy tamże pobierający nauki, poznali starca nazwiskiem *Kondratowicz*, który zrodzony w gubernii mińskiej w r. 1722, dziwnym zbiegiem okoliczności dostał się do wojska pruskiego, i odbył pod Fryderykiem II zwanym Wielkim, wszystkie kampanie, mianowicie wojnę siedmioletnią od r. 1756, do r. 1763. Kilkakrotnie ranny, zawsze

odzyskał zdrowie i awansowawszy na podoficera, pozostał w wojsku całe lat 62, bił się jeszcze w r. 1806 pod Jeną, i wreszcie jako inwalida do wojska niezdatny, uzyskał dymissyą z prawem zebrania, a potem, gdy Prusy wyszły zwyciężko z wojen i finansowych trudności, będąc dziewięćdziesięcio-letnim starcem, uzyskał od rządu pruskiego 200 talarów rocznej emerytury w raz z ozdobą krzyża żelaznego.

Już w r. 1740 *Adam Kondratowicz* zawarł związki małżeńskie z jakąś młynarką w Królewcu, i z nią miał kilku synów, z których najstarszy nasłużywszy się także w wojsku pruskim, dzierżawił potem wiatrak pod Królewcem, i ożeniwszy się miał kilkoro dzieci, a nareszcie umarł w roku 1829 dziewięćdziesięcioletnim starcem, zostawiając własny wiatrak jednemu, liczną rodziną obarczonemu synowi. Nasz stary 106 lat liczący Kondratowicz pozostawał u wnuka swego, chował się razem z jego dziećmi i w chwili gdym go poznał, używał jeszcze pełności władz umysłowych. Nadzwyczaj lubił mówić po polsku, przestać z Polakami i rozpowiadać o dawnych wojnach. Codziennie odbywał, niewiele się pytając o pogodę, długie przechadzki, lubił się napić wódki, ale się nigdy nie upijał; jadł z dobrym apetytem, ale nigdy wiele naraz, żeby najlepszą potrawę. O zmarłym swym synu przemawiał z rzewnością, pocieszając się nadzieją zobaczenia go wkrótce na tamtym świecie. Wnuka swojego zniemczałego i surowego człowieka niebardzo lubił, a z prawnukami, których miał około tuzina różnego wieku żył na stopie równości, podzielał ich zabawy. Później, coś we dwa lata stary Kondratowicz zapadł na uderzenie krwi do głowy i już nigdy nie przyszedł do siebie, stracił wszelką pamięć, zaprzestał swych spacerów i zdzieciniał. Jego jedynem zatrudnieniem było bawić się w piasku ze swemi najmłodszymi prawnukami, których uważał za braci i siostry, wnuka zaś swego uważał za ojca, w rękę go całował; bał go się jak żak, zwłaszcza gdy coś zbroił, to jest gdy owoc jaki w ogrodzie skradł, lub gdy się pobił z prawnukami.

Słowem, starzec ten 112-stoletni, zeschły, zgrzybiały, ale jeszcze ruchawy, stał się co do rozumu dzieckiem; dzieckiem wesołym, ale bez pamięci, i niedoświadczwszy żadnych bólów usnął snem wiecznym, w setnym trzynastym roku życia, bawiąc się w piasku.

*Gołębiowski* urodził się w Lesznie, w Księstwie Poznańskim w r. 1740. Szczególnym zbiegiem okoliczności zarzuconym został do Francyi, tojest: dostał się w bardzo wczesnym wieku jako kuchcik na dwór Stanisława Leszczyńskiego byłego króla polskiego, księcia Lotaryngii; potem po wczesnej śmierci tego monarchy w Lunevillu w roku 1776, *Gołębiowski*, którego Francuzi przezwali *Colombeski* wstąpił do wojska francuzkiego i pozostał w niem aż do swęj śmierci, tojest lat 85. Dosłużył się rangi podoficera w straży pałacu luxemburskiego i ozdobionym został w ostatnich latach życia, za dobre sprawowanie się, krzyżem legii honorowej. Po polsku niezupełnie zapomniał, po francuzku nauczył się mówić biegle; żył skromnie, ale udzielać się nie lubił jak nasz Kondratowicz w Królewcu, i niewiele co miał do opowiedzenia o swoich kampaniach. Był w całym znaczeniu tego słowa żołnierz służbista, cokolwiek tępy na rozumie, ale nieugiętej uczciwości i prawdziwie szlachetnej godności w postawie.

Starosta *Zakrzewski* umarł pod Bochnią w Galicyi w r. 1827, mając lat 105, na raka w oku. Przez lat 60 należał ten dzielny i zacny, ale cokolwiek awanturniczy szlachcic do wszystkich spraw wojennych dawnęj rzeczypospolitej polskiej: rannym był razy kilka, w niewolę pojmany razem z Puławskim i Beniowskim. Przez tysiączne przechodził dziwne koleje, które kiedyś w osobnej książce spisać zamysłamy, i nareszcie umarł w okropnych męczarniach, świeżo przechowawszy pamięć i duszę.

*Bogorya Skotnicki* arcybiskup gnieźnieński za Jana Kazimierza, żył lat 103. Onto ustanowił prawa o dziesięcinie dodziśdnia szanowane, i odznaczał się nadzwyczajną jedrnością umysłu.

*Chajęcki* obywatel ziemski, ostatecznie żyjący w Warszawie w Łazienkach królewskich przy dzieciach swoich, dostąpił lat 111 życia. Umarł w r. 1848 mając wszystkie zęby, chodząc bez kija, czytając bez okularów. Lubiał mówić wierszami i dobrym był inprovizatorem.

*Falkiewiczowa* miała lat 111, kiedy umarła w Gródku pod Lwowem w r. 1838.

Pani *Krasnodębska* w Serocku przeżyła lat 102.

*Aloizy Sarnacki* rotmistrz za Kościuszki, mający dziś przeszło lat 100, żyje jeszcze w Warszawie na Lesznie.

*Czajkowska* żyła lat 103; umarła we wsi Kozłowie w Krakowskiem w r. 1843.

*Jabłońska* lat 107 mająca, dodziśdnia żyjąca w Jordanowicach w dobrach JW. Mokronowskiego Ewarysta, chodzi co dzień do kościoła i żali się, że jest sierotą bez ojca i bez matki.

*Czarnobój* gajowy żyjący pod Brodami, żyje do dziś dnia, ma lat 105, jest rzeźwym i mocnym.

*Paschalski* urodził się w okolicach Zamościa w r. 1745 (ojciec żyjącego jeszcze członka senatu). W 20-m roku życia ożenił się z 14-to letnią panią, żył z nią lat 62, miał 7 dzieci. Lubił namiętnie polowanie i uczęszczał na takowe regularnie co tydzień w sobotę; był rolnikiem do śmierci. Wstawał zawsze o godzinie 3 $\frac{1}{2}$  latem, a zimą godziną później, i zaraz wypijał mały kieliszek wódki i zakasał piórkiem czosnku z bułką. Do 9-tój objeżdżał gospodarstwo konno, a potem jadł śniadanie, zwykle złożone z 3 do 6 jaj na twardo z pieprzem i solą. Obiad jego był bardzo skromny; na wieczerzę często także jadał jaja. Charakteru był wesołego; skory do gniewu, ale ten prędko przemijał. Lubiał tańczyć i tańczył z wnukiem, mając lat 90 przeszło. Polował jeszcze i jeździł konno na 6 lat przed śmiercią. Rzadko chorował; raz tylko mocno zapadł na gorączkę nerwową, lecz się wyleczył najzupełniej. Wzrok miał dobry, pisał prawie do śmierci bez okularów ręką pewną i wcale nie osiwiiał. Umarł d. 5 września 1852 roku, mając lat 107.

*Jan Krzetowski*, 100 lat mając, wojsko do boju prowadził, i zwany był stryjem od całej chorągwi.

*Jakób Zagunt*, na Wołyniu harcował w tymże wieku na najdzikszym koniu.

*Stanisław Dobrzelewski*, podstoli sieradzki, w 120 roku życia pieszo do kościoła chodził.

*Mieleczko*, szlachcic piński, miał lat 95, matka jego 130, babka 140.

*Swinecka*, we wsi Miechowój w Braclawskiem, żyła 120 lat.

*Wołowska*, 128 lat mając, codzien o świcie na mszę o pół mili do Krakowa chodziła.

Pewien rolnik pod Krosną 115-letni, żadnej choroby nie znając, pracował za czterech parobków.

Krawiec *Pruchalski* w 102 roku życia szył jeszcze w najlepsze.

Kucharka urodz. 1742 roku w Kozielcu, mając lat 106 tak dobrze gotowała, że jej potrawy dawano i na senatorskie stoły.

Organista w Sierakowicach 107 lat mający, tak doskonale grał na organach, że aby go usłyszeć, zbierano się z Gdańska i Warmii.

*Pobowicki* woźny w Chełmnie, więcej niż 100 lat żyjący, gdy zawołał:—mości panowie! uciszcie się!—słysząc go było na drugiej ulicy.

Młynarz w Byńkowicach 112-letni, jedną ręką w biegu wstrzymywał koło młyńskie,

*Hanerowicz* szewc umarł w 115 roku, gdy prawnuczka jego urodziła syna.

Rodzina *Chożyckich* w Lichnowicach odznaczała się długowiecznością. Przez kilka wieków każdy z niej żył więcej jak 100 lat. Ubiegano się o związki ślubne z tą rodziną, ażeby obdarzyć potomstwo prawem do długiego życia.

*Stanisław Gil* wieśniak z okolic Święto-Krzyżkiej góry (znany K. W. Wójcickiemu) urodził się w 1696 roku, umarł w 1822, mając lat 126. Na dwie godziny przed śmiercią jeszcze luśnie zakładał do wozu, i siekierą kół dębowy ociosywał, gdy nagle zbladł i upadł. „Zawołajcie księdza” rzekł wtedy „Bóg już mnie wzywa”. Po spowiedzi i ostatniem namaszczeniu, pobłogosławiwszy wnuki i prawnuki, usnął spokojnie snem wiecznym.

*Wójcicka*, rodzona babka naszego Kazimierza Władysława, miała lat 103 i miesięcy 6, gdy umarła. „Patrząc na nią” mówi jej wnuk „ta myśl widocznie stawała, że Bóg w głębokiej starości zdziecinnia umysł, aby śmierć lekką była. Po skończonych latach 100 zaczęła dziecinnic; do gości nie wyszła, dopóki jej drobne dzieci w kwiatki po swojemu nie ubrały: wtedy z uśmiechem radości witała przybyłych. Łakoma na mięso, często słabowała nie-

mogąc zżuć go dobrze i strawić. Tak pamięć straciła, że z ulicy Podwale sama do kościoła Kapucynów trafić nie mogła.

Uparłszy się koniecznie wrócić do miasta Słupi pod Święto-Krzyżką górę, gdzie trzech mężów pochowała, w drodze niewstrzemięźliwością w jadle zgon sobie przyspieszyła. Oczy i nogi zdrowe aż do zgonu zachowała, jak rzeźwość i czerstwość w każdym ruchu.

*Maryanna Garska* umarła w r. 1821; żyła lat 115.

*Wojciech Sperski* zmarł w r. 1822, przeżywszy lat 105.

*Antoni Gozdowski*, obywatel Warszawy, umarł w roku 1823, mając lat 115. Rzecz godna uwagi, że słońca znieść nie mógł.

*Mateusz Kieleński*, 120-letni pasterz bytła w gminie Jeżów w obwodzie rawskim, umarł tegoż samego roku.

*Fryderyk Jabkowski* służył naprzód w wojsku saskim, a w siedmioletniej wojnie w pruskim. Miał trzy żony: ostatnią 80 lat mającą zostawił wdową. Żył skromnie, nigdy nie chorował, znał skuteczność ziół i zbierał je. Umarł w gminie Długie w obwodzie rawskim roku 1823, mając lat 140. (Z notatek Wójcickiego).

*Michał Korzeniowski*, obywatel z Wołynia, urodził się w r. 1755; w 22 życia wstąpił do wojska koronnego, lubił bardzo wino, a na starość wódkę.

W młodości żył nader wesoło, a w starości niewiele się usatkwował: żenił się trzykrotnie, ale dzieci nie miał. Przez całe życie brał osobisty udział w wypadkach stanowczych kraju w wieku zeszłym, i prowadził do śmierci nader czynny żywot, sprawując rozliczne i znakomite urzędy w gubernii wołyńskiej. Umarł rzeczywistym radcą stanu i kawalerem wielu orderów, dnia 23 kwietnia 1855 r.

Bracia *Kurkowie* wieśniacy żyjący dodziśdnia we wsi Lipie w gubernii radomskiej pod Iłżą. Jeden ma lat 111, drugi o 9 lat młodszy. Starszy zebrze, młodszy pracuje jeszcze za parobka, ale oba namiętnie piją wódkę i palą tytoń. Zawsze byli bardzo ubogimi, służyli za dawnych czasów w wojsku, i nigdy nie mieli dzieci, lubo każdy z nich po kilka razy był żonaty.

*Majewski Symforyn* szewc ze Starego-Miasta Warszawy umarł w r. 1828, mając lat 125. Pochowany na Po-

wązkach na starym cmentarzu, gdzie kamień grobowy świadczy o wiarogodności tej długowieczności.

*Katarzyna Deszner* umarła w r. 1843, mając lat 106. Była ona mamką a następnie piastunką, kucharką i gospodynią ś. p. Kluszewskiego, starosty brzegowskiego, czcigodnego męża, któremu miasto Kraków zawdzięcza swój pierwszy teatr, i kilka wielkich budynków jak Krysztofory.

*Librowski* szlachcic, właściciel Wielopola tuż pod Krakowem nad starą Wisłą, żył lat 126, umarł około r. 1830 (1).

W Krakowie umarł w 1724 roku 127-letni starzec, który spłodził z czterema żonami 125 dzieci, i pozostawił córkę 87-letnią, matkę 12 dzieci (obacz *Allgemeine Diæetik von Dr. Ideler. Halle 1848, pag. 434*).

Dzwonnik przy parafii Gaworowo w powiecie ostrołęckim ma lat 113 i zupełnie dobrém cieszy się zdrowiem.

*Wintoniak* podoficer inwalidów polskich w Wolborzu ma lat 112, dobrem jeszcze cieszy się zdrowiem i chodzi na wartę.

*Piotr Sosnowski* znakomity malarz umarł d. 20 września 1853 w Moskwie, licząc lat 122, 1 miesiąc i dni 25. Jego ojciec był ubogim szlachcicem w ziemi smoleńskiej i szwagrem pana Wiśniowieckiego.

Młody *Piotr Sosnowski* zostawszy w bardzo wczesnym wieku sierotą, uczuł w sobie zapał do sztuki malarskiej, i wpisał się w poczet uczniów akademii sztuk pięknych w Petersburgu. Jego prace i szkice napiętnowane wyższego talentu urokiem, zwróciły na siebie uwagę wszystkich znawców. Sosnowski został znakomitym malarzem i professorem w akademii sztuk pięknych; ale w roku 1788 mając lat 57 życia, idąc za namową swego wuja pana Wiśniowieckiego, wstąpił do wojska do sztabu księcia Potemkina, i odbył drugą wyprawę turecką: był nawet przy zdobyciu Oczakowa. W roku 1796 wystąpił z wojska, dośłużywszy się rangi kapitańskiej w gwardyi konnej przybocznej; a w roku 1812 walczył jako pułkownik milicyi, mając lat 80, pod Borodino. Potém wrócił znów do pędzla, i pozostał aż do śmierci wiernym sztuce, której był szcze-

(1) Żona tegoż samego Librowskiego, bardzo mało różniąca się od niego wiekiem, umarła wkrótce po śmierci męża.



rym czcicielem. Jeszcze w roku 120 życia trudnił się malarstwem, a pędzel jego nie stracił nic z żywości swojej. Jego krajobrazy malowane w tym wieku zdawały się być dziełem ognistej duszy młodzieńca.

Organizm jego był nadzwyczaj silnym: nigdy nie chorował i przechował aż do końca życia niezmacone zmysły. Słyszał dobrze i czytał bez okularów, apetyt miał dobry, jadł proste potrawy, ale nie pił nigdy wina, wódki, herbaty, kawy, czekolady, tylko piwo i kwas. Nie palił także tytoniu i ciągle był w ruchu. W dzień śmierci przechodził się, a czując osłabienie wszedł w łóżko dla wypoczęcia, i zasnął snem wiecznym bez cierpień i nie chorując. „*Medizinische Zeitung Russlands* z r. 1853 numer 49” dodaje: że Piotr Sosnowski chociaż tak podeszły, nie był wcale zwolennikiem przestarzałych opinii, i że przeciwnie szedł zawsze z postępem czasu, i ciągle zdumiewał świeżością młodocianą swego pogodnego, i w piękną przyszłość wierzącego umysłu.

Przeczytajmy, co nasz uczony i sumienny historyk Szajnocha mówi o długowieczności Polaków za czasów Jagielly:

„Niewielki folwark ziemi małopolskiej wydawał po 7,000 kóp żyta. Zamożni jej mieszkańcy, zwłaszcza trzeźwi, dochodzili lat stu i więcej, nie wiedząc co to choroba. W powszechności plemie ówczesne było mimo tylu kłesk klimatycznych dziwnie czerstwe i zdrowe: 70-letni ojcowie piastowali nowonarodzonych synaczków na swoim ręku. Siostra Kazimierza Wielkiego, Elżbieta „tańce stroiła, wesola była, chociaż babie było już przez 80 lat” mówi Bielski.

W tym samym czasie ślepy arcybiskup Jarosław kończył setny rok życia. Trzeci ich współczesnik Stanisław Szreński wojewoda mazowiecki, zwany Grad, przyszedłszy na świat w roku zabicia króla Przemysława, to jest przed laty 80, miał jeszcze żyć lat 60. Naliczył ich razem 140, jak to napis na grobie jego w Szreńsku opowiada. (Paprocki, herby ryc. 309; Bielski kronik. pols. Gałęz. IV 172) Przesłuchowanym w ważnych processach świadkom, mającym dać wiadomość o dawno minionych czasach, przy-

znawano sądownie po 150 lat życia (Narusz. Hist. wydanie lipskie, IX, 102).

Niejaka *Taranowska* dożywszy lat 156, umarła z przestachu w czasie oblężenia Torunia przez Szwedów (z notatek K. W. Wójcickiego).

Przytoczywszy najznakomitsze przykłady podeszłego wieku, zobaczymy teraz w jakim klimacie, w jakich okolicznościach, w jakim stanie, z jakimi usposobieniami ciała i duszy człowiek najwyższej osiągnął starości.

Powszechnem jest mniemaniem ludzi historii świata nieznających, że życie pierwszych mieszkańców ziemi było nieskończenie dłuższe, czerstwiejsze i doskonalsze, wzrost olbrzymi, a siła nadzwyczajna. Poeci i powieściopisarze żywili owe wyobrażenia, któremi się wielu ludzi podziśdzien zajmuje, jako obfitem źródłem nadzwyczaj przyjemnych marzeń. Ale kości owych olbrzymów nie doszły do nas, a to, co brano za kości ludzkie, okazało się kośćcami słoniów, nosorożców i owęj ogromnej przedpotopowej jaszczurki.

Co do długości życia, musimy to wyznać, że surowa i gruntowna krytyka nie pozwala wierzyć, że pierwszy człowiek żył lat 1000, a Matuzalem lat 900.

Od czasów Abrahama poczyną się epoka dziejów pewniejszych, i w nichto czerpać winniśmy pewniki nadające nam wiarę w długowieczność życia naszego, w nichto szukać możemy przykładów, któreśmy naśladować powinni, gdybyśmy żyjąc skromnie i patryarchalnie, chcieli dopiąć jak najdłuższego wieku.

*Abraham* człowiek dzielny, odważny, skromny i szczęśliwy żył tylko lat 175; o lat dziesięć mniej od zmarłego przed 300 laty biskupa Keutigern.

Syn *Abrahama Izaak*, człowiek nadzwyczaj spokojny i wstydlivy, żył lat 180, czyli o dziesięć lat krócej od Węgra z bannatu, o którym nam zaręcza professor Hannow z Gdańska, że żył lat 190.

Przebiegły *Jakób* żył lat tylko 147; wojowniczy *Ismael* tylko lat 137, a dobra *Sara* jedyna niewiasta o której długowieczności historia raczy wspominać, żyła lat 127. *Józef* biegły polityk a bardzo nieszczęśliwy w swęj młodości, żył

tylko lat 110, a Mojżesz człowiek z nadzwyczajnym geniuszem twórczym, z niesłychaną energią, naczelnik burzliwego i niestałego ludu żydowskiego, żył lat 120.

Wielki kapłan Eliasz, człowiek otyły, flegmatyczny i spokojny, żył tylko lat 90.

Pomiędzy starożytnymi Grekami nie było wielu znakomitych długo żyjących ludzi. Mądry Solon, wesoły Anakreon, genialny Sofokles, poetyczny Pindar, żyli po lat 80; ale za to Gorgias z Leontium, wielki mówca, podróżnik i nauczyciel, umarł przeżywszy lat 108; mniej od naszego Gołębiowskiego podoficera francuzkiego. Zeno, założyciel szkoły stoików, gardzących życiem, i wzdychających do śmierci, żył lat 100; mniej od naszego Paschalskiego, pragnącego jak najdłuższego życia i umiejącego go używać.

W starożytnym Rzymie stosunkowo dłużej żyły znakomite kobiety od znakomitych mężów. Valeryus Cervinus, przyjaciel ludu, zawsze dzielny i szczęśliwy, dosięgnął do lat 100; ale Terencya żona Cycerona pomimo zgryzot i podagry żyła lat 103, a Luceja aktorka bardzo młodo wstąpiwszy do teatru, pozostała w nim przez cały wiek, i okazała się jeszcze na scenie w 112 roku życia.

Wiarogodne tablice śmiertelności sławnego Ulpiana zgadzają się dziwnie z naszymi, mianowicie co do wielkich miast. Według nich, w dawnym Rzymie i w dzisiejszym Londynie stosunek długości życia był prawie jednakowy za czasów Hufelanda, i pozostał takim dodziśdnia (Statistics of Worsley, 1854). W zepsuciu wyrównały sobie obie stolice, i to jest pewną rzeczą.

Z tego cośmy o długowieczności rodu ludzkiego widzieli, czytali i słyszeli, wypływa: 1) że za czasów Mojżesza, Greków i Rzymian trwałość życia była też sama, co dzisiaj; 2) że mniejsza daleko w czasach naszych, mianowicie w kraju naszym znajduje się liczba ludzi podeszłych jak wówczas.

Jakaż tej przykrój różnicy przyczyna?

Utrzymują niektórzy uczeni, że ciepło wewnętrzne ziemi przebiega naprzemian wszystkie jej części, a zgromadzając się w większej sile na jednych, zmniejsza się tem samem na drugich. Więc od nas miało się oddalić ciepło!....

I nasi starzy wieśniacy utrzymują, że Polska stygnie od niejakiemu czasu, i zgadza się to niejako z prawdą historyczną, bo przed dwoma wiekami w Polsce zbierano i tłoczono wina: świadczą o tem prawa obowiązujące szynkujących winem krajowem, morawskiem i węgierskiem w osobnych kategoriach przez prawodawców pomieszczone. W ratuszu toruńskim dodziśdnia pozostają dowody piśmienne, że się cesarz niemiecki Rudolf upił w tem mieście winem, wytłoczonym i zebranem w obrębie miasta.

Ale znowu Pliniusz, sumienny naturalista powiada o zimach, podczas których wino w piwnicach Rzymu i wody Tybru aż do dna zamarznętemi były.

Dziś funt winogron kosztuje w Warszawie 4 złp. tyle ile funt lodu w Rzymie, a śmiertelność Warszawy ma się do śmiertelności dzisiejszego miasta Rzymu jak 100 do 97, i to podług obrachowań z ostatnich lat pięciu, podczas których panowała dwa razy cholera w Rzymie i u nas w Warszawie.

Weźmy teraz pod uwagę wiek życia z punktu widzenia rozmaitych stanów człowieka, a zawsze z szczególnym poglądem na terażniejsze czasy i na nasze położenie.

Zacznijmy od ludzi, którzy piastowali najwyższe godności ziemskie, którym położenie ułatwiało wszelkie korzyści i rozkosze życia: zacznijmy od monarchów. Czyli to wzniosłe położenie monarchy udzieliło im także przywilej długiego życia?—ani starożytna, ani nowsza historia za tem nie przemawia.

Dawid król żydów i prorok, urodzony w r. 1085 przed Chrystusem, żył lat 84, a panował samodzielnie lat 44. Wielki król, jeszcze większy poeta, ale namiętny, lubieżny, niekiedy nawet okrutny, przedłużał sobie życie wszelkimi możliwymi sposobami. Wszystko mu sprzyjało, i otoczony niesłychanym zbytkiem wiódł życie przyjemne; jednakże nie żył ani panował tak długo, jak nasz dzielny Władysław Jagiełło (król *Władysław Jagiełło* żył lat 86 (1348 † 1434), panował w Polsce lat 48, umarł w skutek zaziębnienia się w nocy przysłuchując się śpiewowi słowików). Pa-

nował tylko tak długo jak nasz mądry król Zygmunt Stary, i żył o rok krócej od naszego nieszczęśliwego króla Stanisława Leszczyńskiego, któremu nieubłagana Parka na cudzej ziemi skróciła okropnym zgonem dni pełne cnoty, dobroczynności i światła.

W dawnych czasach kilku tylko znamy monarchów, którzy tak długiego wieku dostąpili. Tylko jeden Aureng-Zeyb cesarz mongolski osiągnął prawie stoletniego wieku. Urodzony w r. 1607, umarł właśnie w sto lat potem podbiwszy Tybet, Dekan, Golkondę i Wisapur, zbiwszy Maratów w wielu walkach. Był to monarcha świetnych zdolności, lecz okrutny: kazał pozabawić życia kilku zbuntowanych braci i synów swoich. Pragnął żyć długo, zasięgał rady najślawniejszych lekarzy europejskich i wynagradzał ich wspaniale. Do późnej starości nie używał nigdy mięsnych potraw i żywił się tylko roślinami i mlékem. Dopiero w starości zaczął jeść mięso, a w wieku zgrzybiałym kapał się w mléku i w krwi młodych zwierząt.

Król pruski Fryderyk IIgi Wielkim zwany, był takim pod wieloma względami, a nawet pod względem fizycznym. Delikatnego zdrowia, nie silnej budowy, umiał zahartować się w wojnach, które przez lat 20 z przemagającym prowadził nieprzyjacielem, i dożył wieku lat 76.

Z trzystu papieżów, którzy od czasów Piotra Ś-go zasiadali na apostolskiej stolicy, pięciu tylko dożyło albo przeżyło lat 80, mimo tego, że tę wysoką godność w starości uzyskują.

Daleko częściej troski przywiązane do posiadania władzy, skracają ludziom, zresztą silnym i zdrowym życie, jak posiadanie rozumu.

Głęboko myślący filozofowie odznaczali się podeszłym wiekiem, zwłaszcza kiedy ich umysł zajmowały rozkosze wynikłe z badania natury. Górują pod tym względem Stoicy i Pitagorejczycy, uważający jako zasadę mądrości, ujarzmienie namiętności i chuci zmysłowych. Świetny Apoloniusz z Tyany, śmiały podróżnik który dotarł aż do Indyi Wschodnich, przyjaciel cesarza Wespazyana i taumaturga, to jest czarownik chociaż burzliwe prowadził życie, jednakże nigdy nie odstąpił surowych zasad Pythagora i żył przeszło lat 100. Xenophilan z Kolofonii, także Pytagorejczyk,

lekarz i założyciel sekty panteistów, żył lat 106; Zeno, *Demonax* i *Isokrates* żyli po lat 100; Demokryt głęboki badacz przyrody, przytém pełen wesołości człowiek żył lat 109; brudny ale wstrzemięzliwy *Dyogenes*, bijąc się z biedą i z zinnem, osiągnął lat 90, a Plato jeden z najszczytniejszych geniuszów, jakich Bóg na chlubę ziemi stworzył, najgorliwszy w nauczaniu professor, żył przy bardzo słabiej organizacyi jeszcze lat 81.

Nawet nowotniejsi filozofowie długiem cieszyli się życiem: Kepler, Bacon, Newton i Euler dożyli lat 90. Kant umarł w 81 roku życia. Göthe żył lat 92, a świetny Humboldt ma lat 89.

Pod względem długowieczności francuzcy filozofowie prawie się odznaczają nad wszystkich innych. Mądry, genialny, dowcipny i miły Fontenel żył lat 100, (1657 † 1757).

Formcy, który napisał historią prawa polskiego, żył lat 90, a Wolter pomimo złośliwości i słabości swojej żył jednak lat 84.

Pomiędzy uczonemi, umysłowemi i utalentowanemi Polakami, odznaczyci się długowiecznością najwięcej:

Ksiądz *Zygmunt Alexander Natęcz Włyński*, proboszcz parafii S-go Floryana na Kleparzu, professor uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomity tłumacz dzieł Orzechowskiego, który umarł r. 1831 w Krakowie, mając lat 99 i miesięcy 10. Życie jego nacechowane było rzadką dobrocią i niez mordowaną pracą: do samej śmierci zachował umysł przytomny, pogodny, a nawet wesoły.

*Stanisław Trembecki*, autor *Zofiówki*, jednego z najpiękniejszych poematów, jakiemi się szczyci literatura polska, pędził życie burzliwe; trzydzieści miał pojedynków o kobiety, namiętnie lubił grać w karty, a jednakże o mało co nie dożył setnych lat. Zachorowawszy mocno w pięćdziesiątym roku życia, i opuszczony przez lekarzy, sam się najściślej uratował dyetą, i od tego czasu nie używał na pokarm nic takiego, coby, jak mówił, żyło: pił tylko wodę, mleko i bardzo wiele kawy. Zwyczajną jego strawą były żółtka jaj, owoce i warzywa; nie dotknął przecież nigdy grochu ani fasoli. Przekonanym był, że zachowując tę dyetę, dojdzie do wieku wojewody Srzeńskiego, tojest

do 140 lat życia. Utrzymywał nawet, że gdyby był od dzieciństwa takich tylko używał pokarmów, z pewnością byłby dosięgnął lat trzechset, jako kresu, który natura wiekowi ludzkiemu oznaczyła. Wierzył zatem, jak kapitan Riley, w trzechwiekową długowieczność.

*Ludwik Kropiński*, dawny generał wojska polskiego, autor *Ludgardy* i niezmiernie tkliwego romansu, *Julii* i *Adolfa*, przeżył rok 90.

*Stefan Reczyński*, superintendent kościołów reformowanych w Litwie żył lat 99, i w ciągu swego sześćdziesięcio-kilko-letniego urzędowania był jednym z najpracowitszych uczonych i duchownych.

*Marcin Bielski*, *Franciszek Karpiński*, *Jan Śniadecki*, żyli przeszło po 80 lat; *Jan Nepomucen Kamiński*, *Józef Maksymilian Ossoliński*, *Jan Albertrandy* do lat ośmdziesięciu; ksiądz *Piotr Skarga Pawełski*, *Stanisław Staszyc*, *Szymon Syreniusz Syreński*, *Józef Jędrzej Załuski*, *Jacek Przybylski*, *Jan Paweł Woronicz*, *Szymon Szymonowicz Bendoński*, *Fabian Birkowski*, *Felix Bentkowski* przeżyli lat siedmdziesiąt i kilka.

A zatem zdaje nam się żeśmy dowiedli, iż rozum nie szkodzi ani życiu, ani zdrowiu: nie lękajmyż się tedy tak okropnie tego daru, najwięcej nas do Bóswa zbliżającego, i nie myślm, żeby w głupocie były jakieś zatajone i głębokie zasoby zdrowia i życia.

Wprawdzie między praktycznemi lekarzami, śmiertelność jest bardzo wielka, niestety! większa niż w każdym innym zawodzie!

Najmniej lekarze stosować się mogą do prawideł higieny, które przepisują innym; przytém nie ma prawie powołania, któreby za sobą pociągało tak wielkich wysileni ciała i duszy. Nawet nasz patryarcha *Hippokrates*, o którym *Hufeland* mówi, że żył lat 104, nie przewodniczył nam wcale pod względem długowieczności, bo jak się wykazało z nowo odkrytych przez profesora *Lallemand* źródeł historycznych, *boski ojciec Hippokrates* umarł w *Larissie* mając lat 80. Niejeden lekarz polski doświadczywszy tysięcy niesprawiedliwości i moralnych zgrzyzot, lekar-

skiemu powołaniu towarzyszących, żył i żyje jeszcze daleko dłużej.

Wprawdzie Dr *Broussonet* (margrabia, który tytułu swego nigdy nie używał) mój professor w Montpellier, do-  
stał lat 93 wieku, a całe życie swoje był czynnym jako  
podróżnik, naturalista, jako lekarz wojskowy podczas woj-  
ny i zarazy, jako professor kliniki i dziekan fakultetu lekar-  
skiego w Montpellier.

Na czele krajów pod względem długości życia stoją:  
Szkocya, Szwecya, Norwegia, Anglia, środkowa Rossya  
i bannat węgierski.

Człowiek w ogólności żyje dłużej w krajach zimnych  
jak gorących, ponieważ w gorącym klimacie roztworzenie  
odbywa się z większą siłą. Najwięcej przyczynia się do  
przedłużenia życia jednostajność atmosfery, szczególnie  
pod względem ciepła i zimna, lekkości i ciężkości powietrza,  
pod względem elektrycznym i magnetycznym. Ztądto  
kraje w których barometr, ciepłomierz, elektrometr i ma-  
gnetometr, nagłym i znacznym podlegają zmianom, nie są  
przyjazne trwałości życia. Pod tym względem szczególnie  
odznacza się terytoryum niemieckie, w którym położenie  
geograficzne utrzymuje ciągłą mieszaninę klimatów i ciągłą  
zmiennosc temperatury, gdzie częstokroć w jednym dniu  
mróz i największy upał bywa, i gdzie po pogodnym marcu  
w maju śniegi padają. Dlatego też lymfatycznym Niemcom  
zęby gniją a nogi tyją, brzuchy puchną a kości próchnieją.

I nasz klimat staje się niestety podobnym do klimatu  
niemieckiego, w miarę jak z obszaru krainy naszej znikają  
lasy czyszczące powietrze, zasłaniające od powiewu roz-  
kieżnanych wiatrów i zabezpieczające człowiekowi ubogiemu  
tanie paliwo. O wpływie lasów na klimat różne są  
zdania. Lasy odwieczne wiele obszaru zajmujące, gęste, na  
wzgórzach położone zachowując śniegi, mogą dać powód do  
zatrzymania zimna, wilgoci i niezdrowych wyziewów; ale  
takich lasów już u nas nie ma. Lasy dziś na równinach po-  
łożone, niezbyt gęste i wielkie nietylko złego wpływu na kli-  
mat kraju nie wywierają, lecz owszem zatrzymując i stępia-  
jąc siłę wiatrów, opierają się ziębnięciu atmosfery.

Ale jak nakłonić szlachcica naszego do ochrony lasów?—, Po mojej śmierci niech i potop przyjdzie! *après moi*



*le deluge*” — myśli sobie taki nieprzezorny szlachcic, czerpiący jedyny urok życia w szampanie, w kartach i w towarzystwie z wszetecznicami.

Mieszkańcy wsi i małych miasteczek cieszą się w ogólności dłuższem życiem jak mieszkańcy wielkich miast. W wielkich miastach rzadko kiedy ludność w dobrym jest stosunku do obrębu powierzchni i do higienicznie zbudowanych domów. Zresztą, jak to już wprzód powiedzieliśmy, nie wszystkie na pozór piękne, kosztownymi wodotryskami ozdobione miasta, mają kanały, któremi odchodzą nieczystości zarazę roznoszące.

Najstraszliwszy stopień ludzkiej śmiertelności napotykamy pomiędzy niewolnikami i w domach podrzutek, w których jedna *złe żywiona* mamka, karmi troje dzieci. A takie domy podrzutek istnieją w niejednym bardzo wytwornie wyglądającym mieście!!

Ale za to znów niejeden pustelnik i zakonnik przy najsurowszym sposobie życia, przy zupełnem wyrzeczeniu się siebie, przepędzając życie na rozmyślaniu, połączonem z ruchem ciała i użyciem świeżego powietrza, doszedł wieku bardzo podeszłego. I tak apostoł Jan żył lat. 93. Pustelnik Paweł, przy najsurowszej wstrzeźliwości i w głębi wilgotnej jaskini, żył jednak lat 113; św. Antoni założyciel pierwszych klasztorów, sprzedawszy dobra swoje, ukrywał się w ustroniach Tebaidy i walcząc z głodem i z wszelkimi niewygodami, oddał się całkiem najsurowszemu życiu zakonnemu. Żył jednakże lat 105. W nowszych czasach przykłady takiej długowieczności rzadko się wydarzają w klasztorach: zapewne dlatego, że już w nich nie pojmują owę świętą abstrakcyi umysłu, owego religijnego wyrzeczenia się wszelkiej światowości.

---

Ale czemuż wielu Bogu lub nauce oddanych mężów, którzy z sobą zabierają do grobu dziewiczość ciała swojego, (wielki Newton i świetny Kant długo należeli do rzędu tych ludzi) dostąpiło jednakże lat stu i więcej życia, kiedy żaden ze starych kawalerów, tak gęsto rozsianych po obszarze świata, nigdy nie dożyje podeszłego wieku?

Bo wielka jest różnica pomiędzy czynnym *wyrzeczeniem się*; pomiędzy ofiarą zrobioną na chwałę Boga lub na korzyść nauki, a owém biernym wyparciem się odpowiedzialności za szczęście bliźniego swojego, które starego kawalera powstrzymały od zawarcia ślubów małżeńskich.

Bo egoizm ściska serce człowiekowi tylko dla siebie samego żyjącemu, bo pod oddechem niecnego sobkostwa, wędnieje, marszczy, zrasta się i kostnieje serce, ów szlachetny organ tak potrzebny do życia jak do uczuć!..

Serce jest źródłem pierwotnym wszystkich ruchów żywotnych, głównym narzędziem do udzielania samego życia wszystkim organom; ale w miarę posuwającego się wieku i zwiększającego się egoizmu, serce się zmniejsza, ściska, kostnieje a zarazem wędnieje, i to tak dalece, że nakoniec 8 razy mniejszą przestrzeń względem ogólnej masy całego ciała zajmuje, niż na początku życia. Miąższość jego staje się coraz zbitszą i twardszą i w tym samym stosunku jak twardnieje powierzchnia, w podobnym stosunku osłabia się drażliwość, i nikną czucie, uczucia, miłosierdzie, przyjaźń a nawet miłość, owo ostatnie pospolicie jeszcze w każdej najstarszej poetycznej duszy drgające uczucie. Ubywają tedy coraz więcej działające siły, a siły opierające się postępowi życia wzmagają się. Toż samo dzieje się w całym systemie naczyniowym i we wszystkich organach ruchu. Wszystkie naczynia stają się coraz twardszemi, ciaśniejszemi, bardziej pomarszczonemi i coraz niezdolniejszymi do czynności swojej. Arterye kostnieją, naczynia włoskowe zrastają się, i przez to najdelikatniejsze środki odnowy, drogi przystępu i przyswojenia z zewnątrz stają się mniej przenikliwemi; a zatem tamuje się dopływ odżywiający z zewnątrz. Czułość tępieje, a z nią razem samodzielne siły nasze; w tym samym stopniu wzmagają się siły rozkładające, niszczące, siły mechaniczne i chemiczne, dybiące na owładnięcie atomów naszego ciała. W skutku ubytku sił nadających ruch, cierpią szczególnie sekrecye niezbędne do wydzielania cząstek zepsutych czyli do czyszczenia ciała. Skóra zamiast przepuszczać niewidzialnym potem, ciecze organizmowi już niepotrzebne, a zatem szkodliwe, staje się coraz tęższą, nieprzenikliwszą i niezdolniejszą

do pełnienia funkcyi swoich. Nerki i pęcherz zanadto się już natężywszy przez to samo że skóra działać przestała, odmawiają pomocy, odchody urynowe są utrudnione. W płucach zatrzymuje się nieczysty śluz i dusi starca, nakoniec naczynia wyziewające kanału kiszki drętwieją i odchody stolcowe stają się coraz trudniejszymi. Soki egoistycznego starca są nieczyste, ostre, gęste, i obfite w cząstki ziemne. Ziemne części, mianowicie fosforany wapna, najnieprzyjazniejsze wszelkim żywotnym ruchom, nabywają w ciele starca coraz więcej przewagi; nareszcie widzimy go jeszcze za życia zbliżającego się szybkim krokiem do ostatecznego przeznaczenia, wracającego w głąb tej ziemi, od której nigdy duchem oderwać się nie umiał.

Otóż zgubne skutki tego życia pająkowego, bezuczuciowego, bezlitościwego, które niejednym starym kawalerem otaczającym się miłością od siebie zależnych osób, wie dzie. Bóg pożytku z niego nie ma, bo egoista nie doznaje owych błogich religijnych wzruszeń, wykwitłych z wiedzy poświęcenia; ludzkość pożytku ze staroego kawalera nie ma, bo on nietylko się nie przyczynia do wzrostu pojęć i dążeń moralnych, ale częstokroć jeszcze godzi na moralność niejednej niezsputej istoty.

Biada temu starcowi kawalerowi, co przynajmniej w miłości nauk i sztuk pięknych nie umiał szukać rozkoszy, i nie zabezpieczył sobie w czemsiś szlachetnym i ludzkości pożytecznym odnowy dla uczuć serce poruszających: bo tego owładną przedwcześnie zimno ziemi i skamieniałości ziemskich cząstek.

A zatem wszędzie i zawsze mózg, władza myślenia, rozum, duch, ta wyższa i boska władza, którą człowiek w sobie sumienną pracą wyrobić zdoła, wpływa najwięcej nietylko na charakter, ale nawet na temperament i na konstytucyą człowieka, i najwięcej się przyczynia do udoskonalenia i trwałości życia ludzkiego.

Dlaczego człowiek, któremu natura nie udzieliła ani sierci, ani kopyt, ani kłów, ani rogów, lecz owszem organizacyą najdelikatniejszą i najwięcej złożoną; dlaczego człowiek u którego się wszystkie soki i części składowe najprędzej niszczą, przewyższa jednak trwałością wszystkie rodzaje doskonalszych zwierząt?

Oto dlatego, że ma mózg, władzę myślenia, rozum, ducha, który nietylko wystarcza na własną obronę i na wymyślenie środków przechowania się we wszystkich najgorętszych i najzimniejszych klimatach, ale nawet zdolny jest zabezpieczyć byt, wychowanie i szczęście słabszym od siebie, upośledzonym od przyrody, starym, zgrzybiałym, chorym i nieszczęsnym istotom.

Ów mózg jest darem Boga cudownym, a ludzie nieumiejący go cenić są niewdzięcznikami.

Żaden głupi, żaden nieokrzesany, żaden próżniak, (choćby należeli do rzędu najbogatszych), żaden z ziemskimi nagabywaniami walczyć nieumiejący lub niewprawiony człowiek, długo nie żył i żyć nie ma prawa. Gdzie prawo Boga i natury odmawia pomocy, tam odwołania do żadnych innych sił nie ma już, tam rozpacz, śmierć przedwczesna jest niestety koniecznym następstwem!!!

Wykazuje się tedy z przykładów wyżej wymienionych, że człowiek byleby nie był obciążony odpowiedzialnością za szczęście i byt zanadto wielkiej liczby bliźnich swoich, byleby nie pracował zanadto, zwłaszcza umysłowo, przy miernym nawet wyżywieniu, przy ciągłej, czasami nawet wytężonej pracy, może żyć we wszystkich strefach umiarkowanie zimnych lat 100, a niekiedy nawet daleko więcej.

Haller twierdzi i przekonywa, że człowiek zdolny jest dożyć do lat dwustu. Buffon dowodzi, wspierając się na prawach natury, analogią porównawczą stwierdzonych, że człowiek zdrowo urodzony ma prawo żyć przynajmniej lat 90 do 100; i że tak długo żyje, jeżeli choroby, przypadki, zmartwienia, głód, zimno i inne życiu zagrażające przypadkowości nie skrócą dni jego.

Tym prawem natury, według zdania najsumienniejszych i najtroskliwszych w badaniu przyrody fizyologów jest: że każde zwierze ssące żyje przynajmniej pięć razy dłużej niż potrzebuje czasu do wyrośnięcia wzdłuż, lub w górę. I tak potrzebują do wyrośnięcia w przecięciu: Wielbłąd lat 8; koń lat 5; wół lat 4; pies lat 2; kot miesięcy 18; królik miesięcy 12; świnka morska miesięcy 7.

Istotnie też doświadczenie wykazało, że: wielbłąd żyje lat 40; koń żyje lat 25; wół żyje lat 15; lew żyje lat 20; pies żyje lat 10; kot żyje do lat 9; królik żyje lat 8; świnka morska żyje lat 6.

Ale mogą żyć i dłużej o lat kilka, stosownie do długości czasu przez który rosły.

Człowiek, który w przecięciu potrzebuje lat 20 do zupełnego wyrosnięcia w górę, żyje w przecięciu pięć razy dwadzieścia lat, to jest lat 100.

Posiadamy zatem prawo wyraźne, które nam daje z przybliżoną pewnością miarę trwałości życia. Wszystkie fenomena życia czepiają się jedne o drugie ogniwami logicznymi i niezmiennymi; trwałość życia zależy od czasu, przez który trwa rośnięcie, a czas rośnięcia w niezmiennym zostaje stosunku z długością noszenia; długość znów noszenia zależy od wielkości wzrostu i t. d. i Bóg wie ile nieodgadnionych tajemnic natury, zależy jeszcze od niepojętych proporcji wzrostu, czasu i innych okoliczności fizycznych i chemicznych.

Ten sam Buffon, który odgadł prawa natury mierzące trwałość życia, opowiada nam jednakże z szczegółową starannością historią konia, który żył lat 50.

„Otóż, mówi Buffon, przykład konia, który żył lat 50, to jest dwa razy tyle ile zwyczajnie trwa życie tego zwierzęcia; a zatem analogia i tu potwierdza to, cośmy znali tylko dzięki niektórym faktom podobnego rodzaju, przytrafionym wyjątkowo ludziom. Tak jest, fenomenalne zwierzęta, tak jak fenomenalni ludzie mogą przedłużyć życie swoje w dwójnasób. Te przywileje natury wprawdzie tylko bardzo rzadko się zjawiają: są to wielkie losy w loteryi życia, wystarczają one jednakże do dania najsędziwszym starcom nadziei jeszcze dłuższego życia”.

Te słowa, w ustach tak genialnego i sumiennego badacza natury, nabywają nieocenionej wartości i wlewać powinny balsam pociechy w serca ludzi pragnących przynajmniej dla potomków swoich większego szczęścia niż to, które my na tym padole nędzy, rozrywani namiętnościami, nękani trwogą, doświadczamy.

W innem miejscu mówi tenże sam wielki naturalista, którego nazwisko często z takim ulubieniem wspominamy,

że łabędź najwstydlwszy, najłagodniejszy i najwspanialszy ze wszystkich ptaków, żyje dłużej niż każdy inny ptak, niewyjmując wsławionych z długowieczności kruków, orłów i papug. Już wiemy, co nam Hufeland opowiedział o krótkim życiu kłótlwego koguta i sprośnego wróbla: jakież przesłiczne wykwitają rady dla nas rozumnych istot z tego, co nam nierozumne zwierzęta przez swe życie i obyczaje przedstawiają? Natura jest skarbem niewyczerpanym mądrości, bardzo mało znanym przez tych, co się siłą na wyszukanie wykwinności, oddalających nas od wiecznie młodej, świeżej, dobroczynnej przyrody.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PAMIĘTNIKI

*Sabiny z G. G.*

(Ciąg dalszy).

Tu przerywam notatki mojego ojca, z których zrobiłam wypis w przekonaniu, że czytelnik z przyjemnością przejrzy te szczegóły, nigdzie mi się czytać niedające o stanie moralnym i politycznym kraju naszego w okresie od roku 1780 do roku 1809.

Powiedziałam już, że ojciec mój po kampanii 1794 roku, zapragnął jechać do Włoch, od czego odwiody go działy majątkowe i wczesne dość ożenienie z Teofilą Wielogłowską starościanką olszańską. Biskup krakowski Gwroński, krewny mojego ojca, dawał im ślub w Krakowie w biskupiej kaplicy, roku 1805. Po zwykłych uroczystościach weselnych, które się w owym czasie odbywały z całą staropolską gościnnością i dokładnością, rodzice moi pojechali na mieszkanie do dziedzicznego majątku, Marzęcina, w okolicach Pińczowa i Buska położonego. Marzęciński dworzec niewielki i niewydatny, stał na wznieśieniu dość znacznego wzgórza, u stóp którego na lewo ciągnął się ogród owocowy dość znacznej objętości. Opodal z okien domu dojrzeć można było jak za mgłą, ogołoczone z murów baszty pińczowskiego zamku. Niedaleko, bo tylko o półtóry mili leży Busk, o którego wodach uzdrowiających, z podania nawet w owym czasie słyhać nie było. Gdy w roku 1821, bawiąc dni kilka w Marzęcinie, przejeżdżałam przez Busk, jedno z najlichszych jakie mi się w Polsce widzieć dało miasteczek, zaiste

ani pomyślałam, że na tych smutnych koło niego zarosłach staną wspaniałe gmachy jednego z najpiękniejszych zakładów wód mineralnych w Europie, że na tych bagnach, na których się grzęzło, powozy będą wygodnie suwać po murowanej drodze; że te opasujące miasto wapienne wzgórza, na których chwasty tępo i leniwo rosły, tchnięte wszechwładną XIX wieku przemysłową róższką, uwienczą się kiedyś w zielone i różnobarwne ogrody i gaje.

Wieś Bogucice była wsią parafialną, do której się jeździło z Marzęcina, gdzie kościoła nie było. Kościół w Bogucicach po-aryański, jak bardzo wiele w okolicy kościołów, był czasem, i brakiem funduszków na częściowe reparacye zniszczony, probostwo zaś tak ubogie, że ledwie wystarczało na opłacenie podatków. Proboszcz, najbiedniejsze swe utrzymanie szukać był zmuszony u najuboższego ludu, przez opłaty od chrztu, ślubów i obrzędów pogrzebowych. Proboszczem w Bogucicach był w owym czasie ksiądz Jarzemski, który mi udzielił w marzęcińskim dworcu, w czasie trzaskających styczniowych mrozów, sakrament chrztu świętego. Mój ojciec wielce w dziejach zamiłowany, zatopiony właśnie w czytaniu i studyowaniu historii Rzymu, nazwał mnie *Sabiną*, imieniem wówczas tak niezwyčajnym, że poczciwy proboszcz, który go w marcieologii nie czytał, stanowczo odmówił mi niemi nazwać: musiano wchodzić w układy, to jest, że imię *Marya* było wpisane w akcie kościelnym, *Sabina* zaś zostało jako dodatnie, ale tém ostatniem imieniem mnie w rodzinie, a newet w urzędowych aktach nazywano. Trzymała mnie do chrztu starsza siostra mojej matki Ignacowa Wielogłowska ze Zborowa, z swym mężem, który był także jej stryjecznym bratem. W trzy dni po mojem urodzeniu zdarzył się zabawny wypadek, ale mogący się bardzo tragicznie skończyć. W czasie obiadu, gdy wszyscy siedzieli u stołu w sali jadalnej na drugim końcu domu, ja w dzieciennym pokoiku, tuż obok pokoju sypialnego mojej matki, leżałam w kołysce spoczywając tym snem kilkodniowego dziecka, który rzeczywiście snem nie jest, ani też życiem, tylko jakimś niedocieczonym stanem, środek trzymającym między zwierzęcem rośnięciem, a roślinną wegetacją. Bona francuzka od wigilii dnia tego przydana do moich usług, siedziała wraz z drugimi u stołu, a mamka



widząc mnie spokojną, wyszła na chwilę, zostawiwszy na stole przy kołyszce niedojedzoną potrawę z swojego obiadu. W tej chwili jam się przebudziła i zaczęłam kwilić, co usłyszawszy dwuletni brat mój, bawiący się w sąsiednim pokoju, przybiegł i przypisując mój płacz głodowi, szybko ujął za talerz i począł mnie karmić kartoflami, które z całej siły pakował w drobne dziecięce usteczka. Proszę sobie wystawić przestרח мамки, która przyskoczywszy, ujrzała mnie przykrytą i nawpół uduszoną wcale niestosownym pokarmem. Narobiła krzyku, cały dom był w poruszeniu, zaczęto mnie trzeć, trzeźwić, gdyż niemogąc oddychać, byłam już zupełnie sina. Szczęściem, skończyło się na tarciu, ulepku, oddaleniu nieroztropnej мамки, i rozesłaniu konnych posłańców na wszystkie strony po doktorów. Najniezszczęśliwszym był mój brat, który widząc tę wrzawę, rwetes, rozgardyas, stał przełękły, smutny i nieporuszony w kącie, czując instynktowo, że on tego wszystkiego przyczyną. Mój ojciec ochłonawszy z przestרחu, ulitował się nad nim, wziął go na ręce, zaczął pocieszać, i tak go dobrocią swoją rozkwilił, że długo utulić się nie mógł. Biedna dziecina: w zaraniu życia swego już doznał najdotkliwszego ze wszystkich zawodów, bo jakiegoś rodzaju kary za najświętsze intencje!... Mój nieoceniony Floryan, który chciał mię nakarmić, gdy miałam dni trzy, w późniejszych i ciężkich życia mego kolejach był moim aniołem opiekuńczym. Tracąc go przed 4-ma laty, straciłam najczynniejszego, najlepszego przyjaciela, i jedyną przedwczesnego wdowieństwa mego podporę! Ale nie uprzedzajmy wypadków i wróćmy do ciągu opowiadania mego.

W czasie pobytu rodziców moich w Marzęcinie, to jest roku 1805 — 1810, Europa i Polska szczególnie, ważnych doznały wstrząśnień. Francuzi przyszedłszy do kraju naszego, znaleźli go, jak wiadomo, bardzo wycieńczonym, już to przez dawniejsze zabory na rzecz rządu starostw i erpachtów, już przez redukcją bankocetli, przez którą mój ojciec, nie liczący się do najzamożniejszych, sam utracił około złp. 70,000 w gotowiznie. Że wszakże dla chcącego, jakto mówią, nie ma nic trudnego: znalazło się jeszcze u obywateli dość materyalnego zasobu i moralnej odwagi, do przyjęcia Francuzów. Mając w tych wspomnieniach przedewszyst-

kiem prawdę na celu, wyznać muszę, że stosunki bliższe z niemi, po wsiach szczególnie, były nader trudne i uciążliwe. Mieć było żołnierza francuzkiego pod dachem, było to samo, co mieć pana w domu, tém nieznośniejszego, że nietylko ogałacał właściciela z najpiérwszych do życia potrzeb, ale najdotkliwiej jego narodowe uczucie obrażał i drażnił. Nic dla żołnierza francuzkiego nie było świętego na kwaterze, gdzie się znajdował. Jeżeli przyszedł w nocy, kazał bez ceremonii ustępować sobie łóżka, lub pościel dla oficerów bez miłosierdzia zajmował. Do stołu wraz z państwem, niebacząc na stopień, nieproszony zasiadał, rozpierał się w najwytworniejszych salonach, i błoto stajenne na bogate sofy i dywany znosił. Zdarzyło się, że niezastawszy gotowego na opał drzewa, najrzadsze pokojowe meble łamał, kładł na ogień, i niemi prawdziwie piekielne ognisko utrzymywał.

W czasie przechodów nikt nie był pewnym ani swojego obiadu, ani swojego łóżka. Przez niepojęty jakiś kontrast, te niezwyčajne garnizonowe stosunki nie ujinowały bynajmniej wrodzonej Francuzom galanteryi. Nieraz zdarzyło się, że oficer francuzki na kwaterze będący, kazał ustąpić z pokoiów właścicielowi, który zmuszony był udać się spać na folwark, a nazajutrz zaprosił damy do ich własnych salonów na wieczorne zebranie, gdzie ich otoczył staraniami wyszukanėj i wytwornėj grzeczności: grał im na fortepianie i spiewał, a gdy było więcej osób, a szczególnie młodzież żeńska miejscowa, rozpoczynał się bal w całej formie, i trwał do rana; poczem znów wszystko do dawnego wracało trybu, tojest do łez, ucisku, i wszelkiego rodzaju uciemżenia. Napoleon, który w wojsku swoim wyexaltował uczucie punkt-honoru do najwyższego stopnia, nie umiał wpoić w niego potrzebnej w czasie pokoju i rozejmu karności, względności dla słabych i bezbronnych; zresztą różnicy jaka zachodzić powinna między nieprzyjacielem a sprzymierzeńcem. Zdaje się, że wada sobkostwa (egoizmu), która kaziła charakter tego wielkiego człowieka, zaraziła cały fanatycznie do niego przywiązany naród, przeobrażając się w zbiorowy egoizm, nie widzący nic oprócz Francyi i Francuzów, nie czujący nic, tylko własne narodowe życie i interes. Jest to bardzo piękne uczucie,

zdolne natchnąć do wielkich czynów męstwa, poświęcenia i wytrwałości, ale i to, gdy przejdzie odwieczne granice słuszności i sprawiedliwości, zamieni się w jakiś potworny monopol wsiąkając w siebie pomyślność nie tylko wrogów, ale i sprzymierzeńców. Tak się zrobiło z Francuzami za czasów Napoleona. W wielu krajach uważani za zbawców, stali się istnemi prześladowcami. Z bolem serca wyznać potrzeba, że nasze tworzące się wojsko, łagodnością i pobłażaniem księcia Józefa popsute, poczęło potrosze garnizonową rubasznosc żołnierzy Zachodu naśladować. Przejęte ważnością swego przeznaczenia, a nadewszystko sławą i rozgłosem wielkiego wodza i cesarza, otoczone uwielbieniem i pieśzcotami swojego kraju, psute przez kobiety, rade przyjmujące jego hołdy i gardzące wszystkiem, co nie szliła i pałasz: nie dziw, że do męstwa i nieustraszonosci przyplątało się nieco zarozumiałości, bo natura ludzka jest słaba, i rzadko w granicach przyjętego na się charakteru wytrwać umie. Ow tak zwany okres księztwa Warszawskiego był tak dla kraju naszego, jak dla całej Europy prawdziwą epopeją, w której nie wiedzieć co więcej podziwiać: czy geniusz wielkiego owęj epoki przedstawiciela, czy tę poezią energii, czynu, poświęcenia, którą umiał massy natchnąć.

Około roku 1810 zdarzył się wypadek doskonale ów stan społeczeństwa malujący.

W Sandomierskiem, w dobrach swoich Ocieski, mieszkał niejaki Skurzewski, dawny Kościuszkowski zastępów żołnierz. Po ukończonej kampanii 1794 roku, osiadł na wsi, oddał się wyłącznie rolnictwu, do którego tak był nawykł, że z trudnością przychodziło mu, i to tylko dla gwałtownego interesu wyjeżdzać z ulubionej sobie wioski, gdzie prawie pustelnicze prowadził życie. Skurzewski był jednym z tych ludzi, na których młodość, niedoświadczenie i zarozumiałość, najłatwiej omylić się mogą. Postać jego nieokazna, pospolita, powierzchowność pełna skromności a nawet i pokory, obejście proste i uniżone, wyłączne oddanie się swojemu zawodowi: zapowiadały zabitego hreczkosieja; ale pod temi nieobiecującemi pozorami Skurzewskiego, ukrywały się przymioty cechujące biegłego i nieustraszonego rycerza. W częstych przechodach wojska zda-

rzyło się, że skromne ustronie naszego szlachcica nawiedzone zostało przez oddział tak zwanych złotych huzarów, komendy pułkownika U..., który na dość długą kwaterę u niego stanął. Dworek w Ocieskach pod strzechą, drewniany, szczupły, zbudowany był nakształt wielu ówczesnych dworków, co to w środku między oknami na czterech słupach postawiony ganek, z dwiema pobocznymi ławkami, całą stanowiły ozdobę. Miał on wewnątrz sien, albo raczej wązki korytarz; na prawo od wchodu był pokój niby jadalny, ale służący do całodziennego użytku, gdyż w nim właściciel sam lub z przybyłym rzadkim gościem przebywał: tu sypiał, pisywał, i wieczorne swe dyspozycye włodarzom wydawał. W środku tego pokoju, albo raczej izby nie sufitowanej i mającej ściany drewniane, na wierzchu tylko wapnem przybielone, stał duży stół otoczony ławkami, czarną skórą obitemi: także ławki stały wzdłuż ścian. Na ścianach wisiało kilka sztuk zardzewiałej broni, trąbka myśliwska, torba i róg do prochu.

Przy drzwiach wchodowych od sieni wisiał po jednej stronie harapnik, a po drugiej klucze od stodół i spichlerza; opodal komin wysoki okrągławo-kanciasty z kapą, na którym zimą i latem nieustanny prażył się ogień; za kominem piec ceglany, tynkowany, nieproporcjonalnie w stosunku izby duży, i prawie zawsze zimny. W przeciwnych rogach pokoju po jednej stronie stały o mur oparte kilka długich cybuchów z bursztynami i przyczepionemi do nich stambułkami. Po drugiej między oknami, stół czarno bejcowany, zarzucony różnemi papierami i listami w bibulastych kopertach, kałamarz duży drewniany przymocowany do deszczułki, także piaseczniczka; obok mała owalowata herbowa pieczęć, lak, duża okrągła zakopcona pieczęć gminy, ogromne zardzewiałe nożyce do strzyżenia papieru, łojowa świeca w małym mosiężnym lichtarzyku, pół arkusza niebieskiego papieru przygotowanego na list, marmurowe chęcińskie dwie *presse papier*, pod któremi starannie ułożone były ostatnie numera Gazety Warszawskiej, wówczas na bibule wychodzącej. Nad stołem do muru przymocowane były przegródki, w których ułożono bardzo starannie i stosownie do kategorii: Dziennik departamentalny, akta prawne

gminne, okólniki, kwity wypłaconych podatków; dalej znów księgi praw, Kodexu cywilnego, Procedury sądowej i różne urzędowe druki. Obok wisiał na konopnym sznurku kalendarz krakowski, konieczny grat domowego inwentarza. Na jednym z dwóch okien stały większej lub mniejszej objętości flaszki, flaszeczki, z różnemi przyprawami lekarskimi, domowemi, na choroby ludu i zwierząt, tudzież atrament w butelce, oraz w dużym szklanym słoju żmija konserwująca się w spirytusie, którym nacieranie ciała lub członków zbolałych, ma być nieomylném lekarstwem na wszelkie reumatyczne bole. Na drugiem oknie stała uschnięta palma z Kwietniej Niedzieli, na kapie od komina pozawieszane wience z ostatniej uroczystości Bożego Ciała, które dane do połknięcia bydłu, w chorobie zwanój *paskudnikiem*, mają mieć uleczającą własność. Na piecu zaś stał duży wieniec z pszenicy uwity w kształcie kołpaka, ofiarowany przez przodownicę (pierwszą żniwiarkę) dziedzicowi w czasie ostatnich dożynków. W ostatnim kącie koło drzwi, stało żelazne łóżko Skurzewskiego, bez firanek, z skórzaną poduszką, włosianym materacem, przykryte prostą flanelową w czerwone muszki i kwiaty kołdrą. Nad łóżkiem wisiał zakopcony obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, zegarek kieszonkowy srebrny z trzema krwawnikami i mosiężnym kluczykiem, na tombakowym łańcuszku przyczepionemi, oraz kapciuszek niebieski jedwabny z dnem ponsowem safianowem. Na ścianie i nogach rozłożone były dwie wilcze skóry. Wprost drzwi wchodowych były drugie drzwi, prowadzące do innego pokoju osufitowanego i oszabrowanego. Był to rodzaj niby bawialnego pokoju najmniej zamieszkałego: kanapa, stół okrągły mahoniowy, jedyny szacowniejszy w nim sprzęt, którego nikt nie widział, bo był zawsze szarém płótnem nakryty, pół tuzina jesionowych wyplatanych stołków, w kącie komoda czerwono politurowana, i takież stolik do kart, stanowiły całe umeblowanie. W tym pokoju zwykle w lecie suszyły się gospodarskie zioła, porozsypywane były na spodkach od filiżanek rozmaite gatunki zboża; w zimie zaś i późnej jesieni, pokój ten ogrzewany piecem, służył za schowanie zimowym jabłkom i gruszkom, starannie na podłodze poukładanym. W znanėj nam już sieni za drewnianém prze-

forsztowaniem była spiżarnia, a za sienią izba czeladnia i kuchnia. Tych opisywać nie będę, bo któż z nas zapamiętających jeszcze pierwszy 25-letni XIX-go stulecia okres, nie przypomni sobie owych folwarcznych izb, pralni i kuchni, gdzie wrzask i pisk drobiu, dym, kopeć, przykre zapachy różnego rodzaju i niedocieczonego użytku graty, nieczystość i nieporządek, walczyły z sobą o pierwszeństwo. Dziedziniec obwiedziony chruścianym płotem, zakończony dwoma gołemi słupami, mającemi wcale niewłaściwie pretensją nazywania się bramą, zajęty był dwoma brudnemi i bagnistemi kałużami, w których się grzęzło, nim się do dworu zajęchało. Na płocie igrał swobodnie kot zaczajony na kurę wodzącą kurczęta. Opodal indyk najeżał pióra swoje i witał wściekle przybywających chłopków z interesem do pana; a psy niemiłosiernie czekały na obdarte go żydka, chodzącego za skórkami, z pod których ledwie go widać było. Ogród owocowy i warzywny był tam gdzieś daleko za gumnem; budynki murowane porządne a nawet wykwintne, czyniły kontrast z lichym dworem i dziedzińcem: przy każdym zabudowaniu była buda z psem brytanem na łańcuchu. Oto mniej więcej obraz siedziby naszego starego wojaka. Do niejto przybył na kwatere ze swoim sztabem pułkownik U....., którego w salonach nazywano *Monsieur Ducat*, przez aluzję do jego kapiącego od złota munduru złotych huzarów. Wzrostu średniego ale przystojny, ulubieniec kobiet, pełen honoru i odwagi, trochę junaka i zawadyak, zawsze gotowy do szabli i kieliszka, jakto bywała młodzież wojskowa za czasów księcia Józefa, a przytém wykwintny i elegancki: w odludnej i mizernej wioszczynie, nie mógł się znaleźć w swoim żywiole. Niebardo się też spieszył do niej, i dał się wyprzedzić swoim ludziom i ekwipażom, o których coś także powiedzieć trzeba, bo najlepsze o panu swoim i czasie dadzą wyobrażenie. Naprzód prowadzono konie wierzchowe, precudnej arabskiej rassy, okryte w eleganckie z wyszukanej tureckiej materyi koce; za nimi szedł kozyk pułkownika, w którym siedział, albo raczej leżał pies amerykański, prawdziwie zamorskiego pochodzenia; a na siedzeniu rozłożone były: poduszka skórzana, pudełko z pistoletami, mappa i perspektywa, a przytém wszyst-

kiem, stojący, oparty o tylną poduszkę powozu, portret Napoleona I, starannie w gruby papier obwinięty i obwiązany, ów konieczny sprzęt każdego wówczas oficera. Na koźle siedział kamerdyner pułkownika, Francuz, który się niemało zadziwił i skrzywił, widząc Ociesęcki dworek i pokoje na przyjęcie jego pana przygotowane. Mocno nie kontent, ale poddając się nieodwołalnemu prawu konieczności, starał się stosownie do zwyczajów i gustu U..... mieszkalnemi je zrobić. Pierwszy pokój, który już opisaliśmy, gdzie Skurzewski sypiał, przeznaczony był dla oficerów sztabu pułkownika; drugi zaś zowiący się bawialnym pokojem, kamerdyner zachował dla pana swego. Zwołano naprzód ludzi, kazano okna poroztwierać, aby wilgoci i stęchlizny zwyczajnej w pokoju niezamieszkanym pozbyć się. Starą kanapę nowym perskim dywanym nakryto, nad łóżkiem makatę i kotarę przybito, na komodzie ustawiono tualetę, zwierciadło i inne przybory do ubierania; wniesiono ogromną szkatułę mahoniową okutą w mosiądz i powleczoną oponą z łosiej skóry, w której były podróżne srebrne, niezbędne graciki: miednica z kubkiem, sztuciec, szklanka, kieliszek, parę talerzy i co potrzeba do ubierania. To wszystko porozstawiano na stole obok łóżka, ściany ozdobiono kosztowną i rzadką bronią; każdy kąt oczyszczono i okadzono. W końcu skromna izdebka szlacheckiego dworku, przybrała pozór sypialnego pokoju rycerza-sybaryty. Skurzewski, który sam wyniósł się na folwark, aby godnie przyjąć swoich gości, poprzyrządzał dla nich resztki zapasów domowych: powyciągał z piwnicy resztujące butelki pozostałych po Francuzach starych win węgierskich, które nadsekwańscy goście, bardzo jak wiadomo, polubili; ku wieczorowi kazał rozpaścić suty ogień na kominku, i czekał z przygotowaną doskonałą wieczerzą, kiedy usłyszano na dziedzińcu, trudno po błocie kałuży stąpające konie naszych rycerzy. Wyszedł na ich spotkanie do drzwi wchodowych skromny gospodarz. Pułkownik zawiedziony jego siwą kapotą i uniozoną miną, skłoniwszy się zlekka, nie mówiąc ani słowa, wszedł do swojego pokoju, gdzie się niebawem zamknął, kazawszy sobie poprzednio podać wieczerzę. Znalazłszy się sam, zrzucił swój służbowy mundur bogaty, ale ciężki: przywdział lek-

szy i wygodniejszy ubiór, i znużony kilkudniowym marszem, rzucił się jak długi na kanapę. Usłużny *François* podał mu elegancką fajkę (wtenczas cygara nie były w modzie), ustawił stolik, na którym postawił dwie woskowe świece, dzwonek, romans francuzki pani Cottin, wodę, cukier i butelkę czerwonego wina, i wyszedł. Pułkownik począł czytać, ale romans go jakoś nie bawił; i byłby może zasnął naprawdę, kiedy szelest jakiś zrobił się na dziedzińcu: psy poczęły czekać, ujadać, zrywać się, w czém im doskonale piękny amerykański *terre-neuve* U..... wtorował.

— Co to jest?! — zawołał zniecierpliwiony tym hałasem pułkownik. Na energiczny odgłos dzwonka, wpada zadyszany ordynans, stary huzar, legionista z krzyżem na piersiach i kresą na prawém policzku, i staje frontem.

— Zkąd ten hałas?

— Panie pułkowniku! oto idzie dziad, i psy na niego ujadają.

— Ale mi spać nie dają! Wołać gospodarza.

— Spi.

— To go obudź!

Wychodzi huzar, i w kilka minut przychodzi z oznajmieniem, że gospodarz wyjechał konno na nocny objazd łąk i pól.

— To wołać ekonoma!

— Ekonoma we dworze nie ma.

— To karbowego! Przecież tu ktoś być musi.

Na ten stanowczy rozkaz, wiarus obraca się po wojskowemu prawo w tył, i biegnie wykonać rozkaz. Po długim szukaniu zastaje karbowego w gumnie śpiącego: budzi go, każe się czempredź ubierać, i rozspanego, zalekłego, niemogącego słowa zabelkotać, stawia przed pułkownikiem. Byłto człowiek z klasy napół wiejskiej, napół waszeciowej, ubrany w granatową kapotę, ściśniętą szerokim pasem skórzanym; mający u szyi naprędce zawiązaną starą czerwoną wypłowiałą chustkę, i obracający w ręku granatową czworograniastą czapkę. Josiek był jednocześnie kommissarzem, ekonomem, karbowym, to jest co się nazywa do wszystkiego zarządu w Ociesekach; gdyż pan jego ekonoma nie trzymał: sam sobie był rządca, a jego trzymał do po-



mocy. Człowiek ten od małego chłopca przy dworze, trzeźwością, pracowitością i naturalnym sprytem, zyskał zaufanie pana, i od lat dziesięciu był jego oficjalistą i całego gospodarstwa zawiadowcą. Twarz jego dość przystojna, ogorzała od słońca, nosiła na sobie mieszany wyraz prostoty, pokory, głupowatości i chłopskiej filuteryi. Gdy wszedł nieśmiało do pokoju, pułkownik zawsze leżący na kanapie, odrazu go zagadł:

— Twój pan siedzi na pieniądzech?

— A juścić! tak, jak mówi wielmożny pułkownik; różnie go trochę ostatnia stójka podchlastała.

— Jakto? co ty gadasz?

— A juścić, trzeba było dać kiej wołali nasi szlachta: ośm wołów spaśnych, i wszystko namłócone zboże dla wojska.

— Ja ci się o to nie pytam. Gadaj a prędko: twój pan siedzi na pieniądzech?

— A juścić tak, kiedy wielmożny pułkownik tak mówi.

— Bo tak o nim mówią w okolicy. A kiedy ma pieniądze, dlaczego cierpi żebraków we wsi, czemu ich nie opatrzy albo nie zatrudni. — To mówiąc wyciąga U... sakiewkę i rzuca niedbale karbowemu pod nogi dukata holenderskiego.

— Wynieś to — rzecze — żebrakowi, żeby mi się od dzisiaj, dopóki tu będę, nie znajdował; bo inaczej ty i twój pan za to odpowiedzialni mi będziecie. Ruszaj z Bogiem!

Uradowany Josiek z tak niespodziewanie szczęśliwego końca posłuchania, skłonił się aż do ziemi i odszedł; a uszczęśliwiony żebrak tak wspaniałym i niezwyčajnym datkiem, odszedł powolnym krokiem, składając dzięki Bogu, za ten dar Jego Opatrzności.

Nie omieszkał Josiek powtórzyć panu swemu groźne pułkownika słowa: zawrzała nieskrzepla jeszcze rycerska krew w Skurzewskim; ale nawykły do rubasznych form Napoleońskich żołnierzy, widząc w nich przyszłość i nadzieję kraju, postanowił więc znosić wszystko z cierpliwością, i uprzedzać o ile możności życzenia a nawet myśli swych gości. W tym celu nie spuszczał się na resztki owęj dawnej swęj piwnicy, sprowadził wprost z Warszawy najle-

psze, najdelikatniejsze zagraniczne wina; przyjął wybornego kucharza, kazał zabić tucznego wołu, kilkunastu baranów, i mięsem tych zwierząt karmił żołnierzy: słowem, pragnął, aby naszym rycerzom nic nie zostawało do życzenia, co się tyczy materyalnych wygod. W zamian swych starań i wydatków, jedynem jego wynagrodzeniem było, gdy mógł się wieczorną porą, po skończonych gospodarskich zachodach, przysłuchać gawędom i opowiadaniom przygód obozowego życia swoich gości; mianowicie gdy była mowa o jakim ciekawym wojennym czynie, o które nietrudno było w tych prawdziwie heroicznym czasach. Jak powiedziały, naszym huzarom chyba ptasiego mleka w Ocieśkach niestało; ale cóż stanowi dla człowieka materyalny byt, jak mu braknie pokarmu dla duszy, i nuda, przesyta zacznie go trawić? Ci panowie przez dwutygodniową stojkę wyczerpali wszystkie zasoby rozrywek, jakie mieć mogli. Mustra, strzelanie do celu, romanse słynnych pań: Cottini de Genlis, stosunki w okolicy, jeżdżenie do sąsiednich miasteczek Kielc i Opatowa: wszystko to potrochu już nudzić ich zaczęło, i nie wiedzieli co robić, aby długie, do przyszłej bitwy, której z serca pragnęli, godziny zająć. Codzienny widok Skurzewskiego, jego skromność i zaciekawienie, gdy o swoich wojennych czynach gawędzili, psotną im do głowy podały myśl.

Jak się to wyżej powiedziało, ci panowie zupełnie się na tym człowieku omylili. Jako młodzi, niedoświadczeni, a do tego światowi, nawykli z pozorów sądzić. Powolność Skurzewskiego, jego dla nich starania i hojność, skwapliwość w dogadzaniu nieraz kapryśnym żądaniom i wymaganiom; wreszcie jego dobroć, potulność i cierpliwość, przypisywali poprostu jakiejś parafiańskiej głupocie i nieśmiałości, częściej bojaźni obrażenia, zbytecznej trwode, a może i niedołężności. Umyślili zatem dla swojej zabawki wziąć obywatela na fundusz. Ułożyli między sobą plan komedyi, i niebawem wzięli się do rozdania każdemu z aktorów właściwej roli i do wykonania dzieła.

Jednego wieczoru po rozejściu się towarzystwa, gdy Skurzewski w swojej folwarcznej izdebce zajęty był wydawaniem dyspozycyij znajomemu naszemu Grzeli; wpada do niej jeden z oficerów z wyrazem smutku i pomieszania na

twarży, a usiadłszy na łóżku, które tam jedyny sprzęt prawie stanowiło, i kazawszy wyjść gumiennemu:

— W smutnym tu — rzeczy — przychodzę do pana interesie, i prawdziwie od kilku godzin smażę sobie głowę nad wynalezieniem sposobu załagodzenia téj sprawy; ale go nie znajduję.

Skurzewski mocno tym wstępem zdziwiony, nie mogąc zrozumieć ani udanego smutku oficera, ani coby miała znaczyć trudna i przykra sprawa, o której mówi; spojrział na niego dobrodusznie, jakby pytał o wyjaśnienie téj zagadki.

— Pan obraziłeś pułkownika, który żąda satysfakcyi.

— Ja? ja?... a to jakim sposobem?

— Przypomina sobie pan owe niegrzeczne wyrazy w obec naszego dowódcy wyrzeczone?

— Boże mię skarz, jeżeli pamiętam.

— Jakto? gdyśmy puszczała rakiety wczoraj w wieczór, i gdy jedna z nich przypadkowo padła na gołębnik pański, który się zapalił, a ogień natychmiast przez huzarów ugaszonym został; pan odezwałeś się półgłosem, krzywo na pułkownika spojrzawszy: „niedługo patrzeć, to i gumno pójdzie z dymem!“ Otóż pułkownik mocno temi słowy urażony, a bardziej jeszcze tonem jakim były wyrażone, żąda satysfakcyi.

— Jakiegoż to zadosyćuczynienia żąda pan pułkownik? — odrzekł spokojnie Skurzewski — w każdej chwili gotów jestem przeprosić go i serdecznie uściskać, jeżeli nie chcący obraziłem.

— Nie przyjmie przeproszenia: u nas wojskowych obraza krwią jedynie zmasać się może! — energicznym tonem wymówił oficer, który nie pojmował ani krwi zimnej Skurzewskiego, ani jego gotowości przeproszenia pułkownika, i jedynie słowa jego nieszczemnej przypisywał trwodze.

— Ach! rozumiem — ciągnął dalej Skurzewski — jest tu mowa o pojedynku! Miły Boże! macież sumienie wyzywać człowieka, który lat kilkanaście broni w użyciu nie miał?... Biło się to tam kiedyś, i jak ludzie mówili, niejednemu dało się we znaki: at! wisi tu jeszcze broń zardzewiała, którą się jako tako machało; ale przy roli i pługu, to się człowiek i bić zapomniał. — To mówiąc drapał się szlachcic niby zakłopotany po czuprynie. Uradowany oficer z biegu rzeczy,

tłumiąc śmiech w sobie, oświadczył tonem poważnym i uroczystym, że do Skurzewskiego należy, jako wyzwanego, wybór miejsca i broni, oraz pierwszy strzał.

— Jać to wiem, że to pono trza wybrać i assystentów.

— Niezbędnie!

— Ja tu tak dalece blizkich sąsiadów nie mam, a daleko mi ich się szukać nie chce: ot tak: Aspana Dobrodzieja sobie wybieram, to najkrótszy interes.

— Bardzo dobrze! służyć mu będę. Otóż jedna zawa-  
da usunięta, a obecnie wybieraj pan broń.

— Niech będzie pistolet: kiedyś się tam jako tako strzelało, a dziś ręka niezbyt silna do machania pałaszem. Niech będą pistolety.

— Jeszcze jeden warunek—powiedział Skurzewski—  
trzeba mi będzie dwadzieścia cztery godzin do przygotowania się na śmierć, napisania testamentu; jestem katolik i po chrześcijańsku umrzeć pragnę.

— Wcale się temu sprzeciwiać nie będziemy.

— Stawię się zatem jutro na szóstą wieczór, na rozkaz pana pułkownika, zawsze w chęci przeproszenia go, bo nie mam ochoty ani zamiaru czyhać na jego życie.

Po głębokim ukłonie, oficer odchodzi, odprowadzony aż do kwatery ze świecą przez Skurzewskiego. Nazajutrz przybywa szlachcic o oznaczonej godzinie, sam, bez broni, na plac, którym było podwórze dworu zajętego przez huzarów.

Nie było znać po nim najmniejszego cienia wzruszenia; taż sama twarz wypogodzona i dobroduszna, grzeczność uniżona, najzupełniejsza obojętność; taż sama szara kapota, nieszczęśliwy cel żarcików, lekceważenia i śmiechów ze strony jego przeciwników. Wszyscy już byli na swoich miejscach. Skurzewski oddał niski staroświecki ukłon naprzód pułkownikowi, potem oficerom sekundującym, następnie niezbędnemu przy pojedynku lekarzowi pułkowemu. Niebawem zajęto się oznaczeniem miejsca, liczeniem kroków, zatknięciem szpad, w końcu wzięto się do nabijania broni. Skurzewski patrzył się obojętnie na te przygotowania i na twarze nasrożone oficerów, pod którymi ukryć usiłowali wesołość i wewnętrzne zadowolenie. Gdy wszystko do walki było gotowe:

— Mości pułkowniku—rzecze Skurzewski—obraziłem Aspana Dobrodzieja niechący; jeżeli to oświadczenie jest dostatecznym dla zaspokojenia twego honoru, dajmy pokój temu wszystkiemu: po co się mamy wzajemnie mordować?

Oficerowie w przekonaniu że to jest żart, igraszka dla zabicia czasu, krzyknęli wszyscy razem:

— Pułkowniku, kiedy się bić nie chce, niechaj cię przeprosi na klęczkach.

Na te słowa Skurzewski, który także po swojemu bawił się junakieryą i zarozumiałością młodzików, i pragnął im dać małą nauczkę, stanął jak wryty: rumieniec a potem śmiertelna bladeść okryła twarz jego, wyprężył się tak, że zdawało się że mu drugie tyle wzrostu przybyło; rysy jego zwykle nprzejme, łagodne i dobroduszne, przybrały wyraz srogości i energii, oczy niezwyčajnym zajaśniały blaskiem, a podnosząc głos:

— Na klęczkach!?!—wyjęknął—na klęczkach!?! Wiedziecie panowie, że Skurzewski jedynie przed Bogiem, panem swoim i waszym kłęką.

Była to jedyna chwila gniewu, jedyny wybuch niezwyčajnego stanu zniecierpliwienia, po której nasz bohater wrócił do zwykłej sobie obojętności.

Zdziwiony sekundant podał mu pistolet, który Skurzewski uchwycił zwinną i wprawną ręką, i strzelił na wiatr.

Pułkownik upokorzony tym strzałem, zniecierpliwiony, że mu się jakoś szyki pomieszały, i przeczuwający godnego siebie przeciwnika; już nie dla igraszki strzela i chybia.

Skurzewski bawił się obojętnie guzikiem od swojej kaptoty. Gdy na niego przyszła znów kolej strzelania:

— Panowie! — rzekł — biorę was za świadków: droga mi jest krew bratnia, nie chcę pozbawiać kraju mojego tak dzielnego jak pułkownik obrońcę. Żeby jednak jego i was panowie nauczyć jak szanować należy dawnego wojaka i ziemianina, nie zabiję go, ale strzelę w lewe ucho. Co wyrzekłszy, celnie strzela, pułkownik pada wśród kłębów dymu.

— Zabiłeś go pan—wołają oficerowie.

— Mylicie się panowie—odpowië zimno Skurzewski—ranny tylko w lewe ucho. Co bierzecie za śmierć, jest skutkiem odurzenia.

Ledwie domawiał tych słów, U... ocucony podnosi się z ziemi, obciera chustką krew płynącą z rany, a jako dobry znawca w materyi prochu i honoru, poznawszy w przeciwniku i zbawcy swoim mistrza, rzuca się mu na szyję, wołając:

— Przebacz dla miłości kraju!

Przyjął w swe objęcia młodego wojaka Skurzewski, oba zapastnicy ujeli się za ręce, weszli do mieszkania pułkownika, gdzie sute śniadanie i liczne toasta zakończyły dzień, który się tak traicznie mógł skończyć.

Odtąd Skurzewski otoczony czcią i szacunkiem młodych swych przyjaciół, mógł dowolnie słuchać ulubionych gawęd o wojennych przygodach; i tak się do nich przywiązał, że z żalem widział zbliżającą się chwilę, w której waleczni jego goście mieli Ociesęki opuścić. Kto zna owę epokę cudów i jej ducha, uwierzy łatwo, że za pozór do pojedynku mogło służyć mniej więcej nieprzyjazne spojrzenie. Pojedynek był w ówczesnych obyczajach jak dziś pieniądze, szampan, ostrygi i gęsie szermierstwo, tojest krytyki i napaści po gazetach.

Z upodobaniem słuchałam opowiadaną mi tę historią przez mojego ojca, jako naocznego jej świadka; i wyznaję, że moja ciekawość poznania U... i chęć przypatrzenia się jego lewemu uchu, nie miały granic. Pierwszy raz spotkałam go w r. 1831 na czwartkowym raucie u księcia N N. O mało co oczu sobie nie zerwałam, ale na nieszczęście mam i miałam zawsze krótki wzrok, a wtenczas jako zbyt młoda, okularów nie używałam. Generał raz tylko usiadł koło mnie i to od strony swojego dobrego ucha. Od tego wieczoru widywałam go czasami, nie mogąc nigdy dobrze rozeznąć blizny. W czasie kwesty rzucił mi dość obojętnie do woreczka trzy papiery stułotowe. Tu powiem nawiasem, żeśmy w owym czasie kwestowały po domach i ulicach, co wyznać potrzeba, było mocno fatygujące i uciążliwe, ale przyzwoitsze jak dziś, gdy z domów Bożych robią salony ze wszystkimi ich akcesoryami. Ale o tém potem. Gdy nagle widziałam kasę moich ubogich o złp. 300 powiększoną, przypomniałam sobie owego dukata rzuconego karbowemu pod nogi dla żebraka... i nie mogłam powściągnąć półśmiechu prawdziwej satysfakcyi.

— *Toujours* noble et généreux powiedziałam mu; i odeszłyśmy czempredzėj z panią G.... i panami Z.... i N.... z którymi kwestowałam, z bojaźni, aby generał nie żądał wytłumaczenia tych słów. Poznałam córkę jego w owym czasie: ładną, prostą i wysmukłą czternastoletnią panienkę, którą ojciec kochał, zapamiętała i zawsze z sobą wszędzie woził.

Co do właściciela Ociesek, ten z niemalą pracą i mozołem zebrał sobie dość znaczny majątek, którego jakąś część chował u siebie w gotowiznie. Koło roku 1822 czy 1823, bo nie pamiętam dobrze epoki, mieszkając w Kielcach w gmachu Leonarda, wyszłam ku wieczorowi na spacer z moją guwernantką. Skierowałyśmy drogę naszą ku miasteczku, kiedy zdala spostrzegamy ogromne kłęby kurzu, a następnie jakieś jakby cienie ludzi zbrojnych, konnych, pieszych i jadących. Wszystko zdala wydawało się jak czarna masa; zbliżka dopiero rozeznałyśmy koło trzydziestu powózek sznurem ciągnących się: każda z nich miała po bokach dwóch kozaków z dobytymi pałaszami, na każdej siedział człowiek, z ponurym wejrzaniem, ogromnym na twarzy zarostem, związany i łańcuchami do powózki przykuty. Za temi powózkami szedł mężczyzna średniego wieku z założonemi z tyłu rękami, z wyrazem oczu sprytnym, myślącym i nieco surowym, z postawą energiczną i rozkazującą. Cały ten orszak niepojęte na nas zrobił wrażenie, które się jeszcze podwoiło, gdyśmy go ujrzwały wjeżdżającego w bramę gmachu Leonarda. Zdjęte niezmierną ciekawością, w której niemalą była doza trwogi, zwróciliśmy się powolnym postępując krokiem w kierunku powózek. Proszę sobie wyobrazić kwadratowy i dość duży dziedziniec gmachu, napchany powózkami i zbrojnymi ludźmi, którzy tam noc następną i dzieńkę odbyć mieli, a szczególnie nieszczęśliwych ludzi dniem i nocą przykuty do swych koczujących więzień. Byli to złoczyńcy, ujęci z bandy rozbójników, która ukrywając się w głębokich sandomierskich lasach przez jakiś przeciąg czasu, wielkich szkód i nieszczęść na mil kilka naokoło, stała się przyczyną. Otóż ci złoczyńcy uznali za godną siebie zdobycz szkatułkę Skurzewskiego, o której w okolicy wiele mówiono, a jak to bywa, większą nierównie niż rzeczywistość była, opisywano. Pewnej umówionej nocy, trzy-

dziestu z bandy napadło i obległo dwór w Ociesękach; przestraszona straż nocna uciekła. Czterech najsmiel-  
szych rabusiów jęło się do odrywania okutych i szczelnie  
zamkniętych okiennic, a następnie i okien sypialnego poko-  
ju; kiedy niespodziewane wystrzały z pistoletu przez rozbite  
szyby, dwóch z nich na miejscu trupem kładzie. Reszta  
w przekonaniu że to zasadzka, i że dom napełniony woj-  
skiem, uciekła w lasy, porzuciwszy noże, siekiery i drągi,  
którymi uzbrojona była. Wewnątrz domu nie było wszak-  
że nikogo oprócz Skurzewskiego, śpiącego w osobnym i od-  
dalonym pokoju, oraz lokaja i gospodyni na drugiej stronie  
domu mieszkających, których wystrzał z pistoletu dopiero  
przebudzić zdołał. Skurzewski ostrzeżony o znajdującą  
się w okolicy bandzie rabusiów, która bytność swoją w oko-  
licy zwiastowała już przez ustawiczne znikanie koni i bydła,  
już przez napady na ludzi idących z kościoła lub pobliskich  
jarmarków; miał się na ostrożności, nie kładąc się wieczo-  
rem w łóżko, a mając tuż koło siebie cztery doskonałe pi-  
stolety Kuchenraitera, nabite z odwiedzionymi kurkami.  
Owój pamiętnej nocy, gdy straż dworska przestraszona ca-  
łą armią złoczyńców, uciekła; Skurzewski sam z zwykłą  
sobie krwią zimną i nieustraszoną, obronił dom swój od  
napaści kilkudziesięciu ludzi. Sąd w Chęcinach mając zło-  
żony sobie rapport o całym tym wypadku, wytropił i ujął  
złoczyńców, których przez Kielce do Sandomierza prowa-  
dzono. Mężczyzna idący za powózkami, o którym wyżej  
wspomniałam, był sędzią inkwirent w Chęcinach, R.....,  
słynny z swojej zręczności w odgadywaniu słabej strony  
natury ludzkiej; potrafił on wysledzić i w ręce sprawiedli-  
wości oddać tę bandę, będącą długi czas postrachem i plagą  
sandomierskich okolic.

W roku 1810 mój ojciec powołany przez króla saskiego  
na urząd, opuścił Marzęcin, wypuściwszy go w dzierża-  
wę i udawszy się do Krakowa na stałe zamieszkanie. Od  
tój chwili, dwie tylko krótkie wycieczki zrobiliśmy do  
miejsca mojego urodzenia: jedną w r. 1820, z powodu sła-  
bości mojego brata, potrzebującego świeżego wiejskiego  
powietrza, i następnie w r. 1823, gdy przyjechalśmy tu  
przepędzić pierwszy i okropny tydzień po śmierci mojej  
matki. W obu tych razach odwiedzani byliśmy przez da-



wnych znajomych i sąsiadów mojego ojca. Między innemi przypominam sobie pełnego uprzejmości Franciszka Łubińskiego, przyjeżdżającego z Zagości z bratem, nie pamiętam dobrze czy z Henrykiem, czy Józefem. W r. 1820 w miejscu tém, blisko z Marzęcinem sąsiadującym, mieszkał patriarchy tej rodziny były minister sprawiedliwości Księstwa Warszawskiego, w roku zaś 1823 po debraniu starostw na rzecz rządu, zacna ta rodzina przeniosła się na mieszkanie do Krakowa. Koło tegoż roku, jadący do Rzymu ksiądz Tadeusz Łubiński, pod okiem sędziwego ojca brał pierwsze na księdza święcenie.

Ostatniej swojej w Marzęcinie bytności (1823 roku), mój ojciec serdecznie był witany nie tylko od dawnych swoich sąsiadów i przyjaciół, ale od oficyalistów i chłopków. Pocziwy Grzela, który kiedyś uratował życie tonącemu w stawie bratu mojemu, i za to na całe życie od pańszczyzny uwolniony został, przyszedł ze łzami witać wielmożnego dziedzica i paniątka. Żeby zaś nie przyjść z próżnemi rękami, trzymał pod pachą siwo-białą gęś, tyłem do obdarowanych obróconą, żona zaś jego przyniosła w kobiałce jaj i grzybów, które nieśmiało państwu ofiarowali. Lud w tej okolicy jest potulny, trzeźwy i pracowity. O mil dziesięć od Krakowa zamieszkały, ubiorem i charakterem znacznie się różni od ludu krakowskich okolic. Tłuste, ale wymagające wielkiego zachodu rądziny, większe niż gdzie indziej ubóstwo z powodu podwójnych prawie na utrzymanie gospodarstwa kosztów, gdzie indziej prawdziwa nędza: odejmują chłopkowi okolic Buska tę rześkość, swobodę, dowcip i wesołość, znamionujące Krakowiaka.

(Dokończenie nastąpi).

Poświęcone na pamiątkę Kaz. Wł. Wójcickiemu.

---

## HAGBART I SYGNA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH OEHLENSCHLEGERA.

TLUMACZENIE

*Juliana Bartoszewicza.*

---

### OSOBY.

BERA, królowa Zelandyi.	RINDA, dziewczyna.
ALF, jej syn.	FILLA, dziewczyna.
ALGER, syn.	GRYM, rycerz ze straży Bery.
SYGNA, córka.	ERYK, rycerz Bery.
HAGBART, Konung Dronthejmu.	STRÓŻ więzienia.
HAMUND, rycerz, towarzysz Hagbarta.	HEROLD, rycerze i dziewczęta.
HALLAG, skald.	

*Rzecz w Danii na wyspie Zelandyi.*

---

### AKT I.

Ranek. Las. Na przodzie sceny po prawej stronie baszta, nieco dalej z poza drzew widać mieszkanie Sygny, z lewej strony w oddaleniu morze. Nad morzem trąbią w rogi, z lasu także odpowiadają trąbieniem i wkrótce wychodzą GRYM I ERYK.

**Grym.**

To Normand, widzisz.

**Eryk.**

Nie Normand!

**Grym.**

Uważaj!

To Normand z Trendi: widzisz żagiel czarny?

**Eryk.**Zaraz zobaczymy: patrz, na brzeg wychodzi  
Herold..... czy słyszysz?..... trąbi?.....**Grym.**

Zatrąbmy także.

*(odgłos rogu).*

## CIŻ I HEROLD.

**Herold.**

Cześć wam Duńczycy,

**Eryk.**

Dziękuję heroldzie!

Lecz czego żadasz? Spokojność, czy wojnę  
Przynosisz Danii?**Herold.**

Albożto koniecznie

Wrogiem być trzeba, chcąc walki dla sławy?

**Eryk.**

Zaciemno mówisz, prawie jak kapłanka.

**Grym.**

Mówże wyraźniej, kiedy dbasz o honor.

**Herold.**

Czyż nie widzicie: okręt wśród zatoki!

**Eryk.**

Któż na okręcie?

**Herold.**

Hagbart, pan z Dronthejmu,

Młody syn Gata.

**Eryk.**

I czegoż on żąda?

**Herold.**Chce sił spróbować, do Norwegii swojej  
Chce wieniec z Danii sprowadzić dębowy.

**Grym.**

Hagbarta imię sławne na Północy.

**Herold.**

Dla sławy teraz przybył w strony wasze:  
 Ale nie w wojnie, w pojedynczej walce  
 Chce sił spróbować. Alf, wasz konung dzielny,  
 I młody Alger wsławili się mężstwem.  
 Z niemi to mierzyć pragnie się nasz Hagbart,  
 A kto z nich pierwszy w dzielności i sławie,  
 Niech Tor rozsądzi. Dlatego mój konung  
 Posłał mię teraz do królowej waszej,  
 Niechaj pozwoli złożyć ukłon sobie.  
 W orszaku jego dwudziestu rycerzy;  
 I wszyscy oni pałają gorąco  
 Zetrzeć się z liczbą podwójną Duńczyków,  
 Duńczyków dzielnych, nie dla próżnej chwały,  
 Ale w myśl prawa: że wyzywający  
 Podwójną siłę ma ściągnąć na siebie.  
 A teraz, bracia, wskażcie mi pałace  
 Królowej waszej, lub bądźcie łaskawi  
 Prowadźcie do niej.

**Eryk.**

Dobrze, poprowadzim.  
 (wychodzą).

**HAGBART z różą na ręku i HAMUND.**

**Hagbart** (śmieje się).

Już na początku krew się łać zaczyna!

**Hamund.**

Ty płaszcz swój cały, cały, krwią zavalasz.

**Hagbart.**

I któż pomyślał, aby kwiatek śliczny  
 Tak mocno ranił, aby wdziękiem swoim  
 Tak chytrze ludzi przyciągał do siebie,  
 Ażeby potem skaleczyć kolcami!....  
 Jak się nazywa ten kwiatek zdradliwy?

**Hamund.**

Róża, Hagbarcie.

**Hagbart.**

Wszak nie rośnie u nas?

**Hamund.**

Rość będzie z czasem.

**Hagbart.**

Klimat nasz surowy  
Zabije piękny, delikatny kwiatek.

**Hamund.**

Tak, delikatny, a skaleczył ciębie.....

**Hagbart.**

I cześć mu za to! Lecz jakim sposobem  
Zakwitną tutaj?

**Hamund.**

Z południowej ziemi  
Tu go przywieźli w dar książnicze młodej,  
I widzisz, rośnie: po niejakim czasie  
Po całej Danii zapach swój rozleje.

**Hagbart.**

Słuszna więc kara! Nie wiedząc o niczym,  
Ściągnąłem rękę do własności Sygny.

**Hamund.**

Powąchaj kwiatek.

**Hagbart (wącha).**

Co za woń rozkoszna!

**Hamund.**

Śliczny, jak usta młodziana różowe,  
Słodki, jak cudnej dziewicy całunek.

**Hagbart.**

Może to zamach zniszczyć mnie czarami,  
Zniewieścić może!

**Hamund.**

Co? zniewieścić ciębie?

To się nikomu nie uda na świecie.  
Ale Hagbarcie: wiesz co, my daleko  
Błądzimy sami, odwaga zawielka.

**Hagbart.**

Więc cóż?

**Hamund.**

Książętom zaufałbym śmiało,  
Ale ich matka ma być bardzo sroga,  
I takich gości, jak my, nienawidzi.

**Hagbart.**

Nie ma potrzeby uzbrajać się na nas,  
Wszak grozi tylko nam niebezpieczeństwo:  
Z podwójną liczbą każdy walkę stoeczy.

**Hamund.**

Tak, prawdę mówisz! Zresztą, kto polegnie,  
To skryły dla nas przedwieczne wyroki.

**Hagbart.**

Bić się, Hamundzie, podług mego zdania  
To bić się dobrze, dobyć sił ostatnich.  
Nędzna to walka, gdzie zabawa tylko!  
O nie! Szczęk broni kiedy zaszeleści,  
Głośno być musi, ażby Tor potężny  
Bój ten usłyszał i stanął wśród szranków,  
Ażby się wrota otwarły Walhalli,  
I cudne na świat zleciały Walkiry!

**Hamund.**

Tak młody jesteś, a tak pragniesz śmierci!

**Hagbart.**

Bo cóż po życiu nędznej naszej ziemi?  
Wszak to wstęp tylko do rozkoszy raju,  
To lata tylko próby i nauki:  
Im miną prędkiej, tem lepiej dla wszystkich.  
Ach! ten szczęśliwy, co z orężem w rękę  
W młodzieńczych latach legł na polu sławy:  
Gościć on będzie w pałacach Odyna,  
Kochać go będą Walkiry, i silniej,  
Namiętniej jeszcze jak siwego starca,  
Co życie sobie odbierze z rozpaczy,  
Żeby na łożu nie konać cierpienia.

**Hamund.**

Pięknąj Zelandyi tyś nie widział jeszcze?  
Spojrzyj Hagbarcie! Jak ci się podoba  
Krajobraz śliczny: te pagórki wkoło,  
Ten las, zatoka, dolina rozkoszna,  
Którą pagórki opasały wieńcem?....  
Zabardzo marzysz i oddychasz wojną,  
A życie także ma rozkosze swoje,  
Których nie widzisz, jak ten ślepy żebrak,  
Co całe życie nie widział oręża.

**Hagbart.**

Za to, mój drogi, pokochałem runy,  
Wspaniałe runy, abecadła bojów,  
Co duszę moję w jakiś zachwyt cudny  
Wprawiły dawno. Za to, pokochałem  
Góry Norwegii, co pokryły czoło  
Grudami śniegów, jak ten świat odwiecznych,  
Co piersi swoje ogniem błyskawicy,

Pałacym ogniem przepasały wkoło,  
 A dumne swoje obnażyły stopy  
 Bałwanom dzikim wzburzonego morza.  
 Za to, ja lubię łoskot wodospadu  
 Co z rykiem, straszny, spuszcza się ze skały,  
 I w kłębach wody posuwa się w przepaść,  
 Wspaniały, groźny, nawet w śmierci samój!  
 Za to ja lubię sosnę, co nie wiednie  
 I dąb stoletni wielki, rozłożysty,  
 Posłuszny tylko piorunom Odyna!  
 Oto co lubię,—to natura dla mnie!  
 Podnosi duszę w krainę uroku,  
 Wyżej nad gwiazdy, do mieszkania bóstwa.  
 A dla pszczoł roju, dla mrówek malutkich,  
 Dla kwiatów nawet, istotnie Hamudzie,  
 Ja ślepy jestem, i jak mam nadzieję  
 Zostanę ślepym.

**Hamund.**

Nie mogę przypuścić,  
 Żebyś ten sposób myślenia, tę wiarę  
 Zachował długo. Zawsze mi się zdaje,  
 Że młodość tylko, że niedoświadczenie  
 Takie ci myśli podały do serca.  
 Jeszcześ nie minął tylu skał zwodniczych:  
 Przy jednej chytra czatuje rusalka,  
 I pieśń zaśpiewa; pieśń to będzie śliczna,  
 A żeglarz biedny da się zwieść tęsknocie  
 I w ślad pobiegnie za rusalką cudną,  
 Choćby w nurt morza, choć w głębinę przepaść....

**Hagbart.**

Tém lepiej dla mnie! Wiedząc gdzie ta przepaść,  
 Skieruję na bok. A cóż ty, Hamundzie?

**Hamund.**

Ja? stary, brzydki. Ślady od ran moich  
 Straszą kobiety; przytém jam już zimny:  
 Nieprędko płomień ochwyci me serce.  
 Dla matki wojny, tylko miłość jeszcze  
 Zabije w łonie. A ty mój Hagbarcie,  
 Jak skąd namiętny, młody, marzysz słodko ...  
 Udajesz tylko zimną obojętność  
 Śpiewając piosnki; ty mi chcesz pokazać  
 Że się miłości ogniem nie rozpalisz.

**Hagbart.**

To nie udanie. Powiedz mój kochany,  
 Czyż bojów można nie kochać z zapalem?

Na Nifelhajmie niechaj mróz zamieszka!  
 To nie nienawiść, nie zemsta na walki  
 Silną dłoń moją uzbroiły mieczem:  
 Nie, siły tylko odwagi i męztwa  
 Doświadczyć chciałbym; chcę walczyć dlatego,  
 Że rozraduje mnie wianek dębowy.

**Hamund.**

Hagbarcie drogi! w płomienie za tobą  
 Pospieszę wszędzie, jeśli serce twoje  
 Takiem uczuciem odzywać się będzie.  
 Zmienisz myśl swoją: Hamund twój kochany  
 Pożegna ciebie, pożegna na wieki!

**Hagbart (obrażony).**

Szczęśliwój drogi! Idź natychmiast, proszę,  
 Istotnie, nie chcę zatrzymywać ciebie.

**Hamund.**

I już się gniewasz?

**Hagbart.**

Bądź zdrow, a pamiętaj,

Pokłoń się w domu.

**Hamund.**

No, przestań, Hagbarcie....

**Hagbart.**

Idź mój kochany, idź zaraz natychmiast,  
 Ja się zostanę.

**Hamund (przymilając się).**

Czemuż tak gorąco

Bierzesz do serca?

**Hagbart.**

Jakże, mój kochany,

Chcesz się mnie wyrzec!

**Hamund.**

Co za wnioski dzikie!

Zwyciężym tutaj Algery i Alfa,  
 Popłyniem potem aż do Orkeneru,  
 I tam bój stoczym z dzielnym Kijodolfem:  
 Alboż nie prawda?

**Hagbart.**

Nieprawda, mój drogi!

Skończywszy tutaj, ja zaraz, téj chwili  
 Buduję chatkę dla siebie. W téj chacie,



Piosneczki czule nucić z dziewczętami  
 Będę ładnemi, i jedwabiem gładko  
 Haftować będę jelenie i kozy...

**Hamund.**

A z Orkeneru pojedziem do Wendów,  
 Ztąd do Ruryka, na Dublin. Cóż znowu,  
 Czy nie znasz żartów?

**Hagbart.**

*(wziąwszy go za rękę grzecznie, ale z godnością)*

Mam nadzieję mocną  
 Że nigdy tobie nie przyniosę wstydu.

**Hamund.**

Dosyć już, dosyć!.. Ja myślałem dotąd,  
 Że nas przyjaźnią do bojów namiętność  
 Złączyła tylko... A kiedy inaczej!..  
 Bo wiem to dobrze, starce posiwiali  
 Mówili o tém, że w sercu, co gore  
 Miłością czuła, nie ma dla przyjaciół  
 I kątka nawet.

**Hagbart.**

Ja znowu słyszałem,  
 Że miłość czysta, rada się w przyjaźni  
 Zawsze przeglądać, jak w czystym strumieniu  
 Lubi się przejrzeć kwiateczek nadbrzeżny.

**Hamund** *(podając rękę).*

Przebac Hagbarcie!

**Hagbart** *(całując go).*

A więc przyjaciółmi  
 Jesteśmy znowu?

**Hamund.**

Do grobu! do grobu!  
 Ale czyż klótnie ustają nierzawsze?

**Hagbart.**

To bardzo wątpię; tylko ci przysięgam,  
 Że gniew mój nigdy długo trwać nie będzie...  
*(spoglądając w dół)*

Patrno, ktoś idzie; jak to dobrze dla nas  
 Żesmy tak wcześniej zawarli traktaty;  
 Inaczej dziwnieby się pokazało,  
 Gdyby Duńczycy zastali nas w klótni.

**Hamund** *(śmiejąc się).*

O, dziwów takich jest dużo na świecie!  
*(wychodzą).*

## ALF I ERYK.

Alf.

Idź, przywitanie zanięś Hagbartowi,  
 Tu go przyprowadź. Wiész dobrze, że nie chcęm  
 Przyjąć go w naszych komnatach; róg miodu  
 I tutaj dobrze podamy gościowi.

*(Eryk wychodzi. Alf sam jeden z wolna podchodzi  
 do wielkiego dębu).*

Nastał więc koniec ciężkich smutków moich!  
 Duch mój swobodnie do Giryty drogięj  
 Teraz z rozkoszą, z tęsknotą uleci!..  
 Rok dzisiaj właśnie, jak umarła...Oto  
 Trzysta sześćdziesiąt cztery wyrznięć; dzisiaj  
 Stęskniony, znak już położę ostatni...

*(wyrzyna sztyletem znak na korze dębowej),*

Żeby ostatni!... Wierność kochanego  
 Wtenczas Giryta poznałaby moja.  
 Rok cały słońce smutek mój widziało.  
 Wspomnieniem szczęścia żyłem rok ten cały.  
 Giryto moja! twój prześliczny obraz  
 Ciągłe przedemną nosił się w obłokach.  
 Kiedym do zamku wjeżdżał w noc zimową,  
 Widziałem cień twój wspaniały na bramie.  
 Byłaś jak dawniej, w jedwabiu, w sobolach.  
 Kiedy mi Sygna róg z miodem przyniesie  
 Widzę w niej ciebie, ściskam ją za rękę  
 I łza, sam nie wiem, jak płynie po twarzy...  
 A w lato skwarne, lekką postać twoją  
 Widzę w tych lasach, w każdym cieniu drzewa,  
 Boś tu chodziła i błyszczała kiedyś.  
 Wielcy bogowie! znów ona... Giryta...  
 Na łożu śmierci... Spojrzenie przygasło...  
 Ręce na piersiach.. twarz zbladła... trup tylko...  
 I oczy wpadły.. zwarły się źrenice...

*(mleczy).*

Widzisz, jak umie Alf miłować stale.  
 Namietność jego nie ugnie się w burzy:  
 Jak trzcina słaba przed powiewem wiatru  
 Ciężki rok próby wytrzymał kochanek.  
 Ma Freja litość; i przysłała po mnie:  
 Ten rycerz młody który do nas przybył  
 I szuka sławy, to posłaniec Frei.  
 W boju przyjaznym, on mi znak czerwony  
 Złoży na piersiach i otworzy drogę,  
 Do świętych krajów niebieskiej Walhalli!

**Alger.**

*(zbliża się w nową zbroję ze spuszczoną przyłbicą).*

**AII.**

*(nie poznawszy go, idzie naprzeciw).*

Kto jesteś, panie? Sądząc po zbroicy  
Konung być musisz?

**Alger** *(grubym głosem).*

Zgadłeś, jestem konung.

**AII** *(z podziwieniem).*

To głos Algera.

**Alger.**

Zkąd Alger? dlaczego?

**AII.**

Nie, to nie myłka.

**Alger.**

A zkądże te zbroje?

Zkąd Alger weźmie taki hełm i pancerz?

**AII.**

Ty wiesz to lepiej.

**Alger.**

Dlaczegoż ty nie wiesz?

**AII.**

Jakie bogactwo!

**Alger.**

A jak dzielne zbroje!

Hełm prawie przyrost; przyłbica, patrz jaka!

Cokolwiek wązka, miecz może zatrudno

Wychodzi z pochew.

*(dobywa miecza).*

**AII.**

Co za połysk miecza!

**Alger.**

Lecz kraje za to, jak wiatr wschodni w bitwie.

Rękojeść jakoś nieszczelnie przystaje,

Ale się otrze. A tarcza? widziałeś?

**AII.**

Prawdziwy książę!

**Alger.**

Patrzno! co za lekkość!

Przez środek miedzi idzie globus ziemski;  
Obwód ma złoty, skóra z psa morskiego.  
Do boju idąc, usta w tarcz przycisnę,  
Zanucę piosnkę, aż powietrze zadrży  
I wrzuci postrach w piersi nieprzyjaciół.  
A pancerz? widzisz, jak gdyby ulany,  
I sprzączki błyszczą; gdzie tylko potrzeba  
Wszędzie są sprzączki.

*(tańczy i uderza mieczem po tureczy).*

Piękniejszej zbroi nie ma Tor w Walhali!

*(śpiewa).*

Na morzu wśród boju,  
Gdy walczą szablice,  
My ciosy od mieczów  
Przyjmujem w przyłbice:  
I tarcze i wały  
Farbujem czerwono,

Aż bogów z radości  
Podnosi się łono,  
Aż szczęk się rozlega  
Tak miły: dziewica  
Myślałbyś tak śpiewa  
Przy świetle księżycy.

**Alf.**

Powiedz mój drogi, zkąd wzięłeś tę zbroję?

**Alger.**

Własną swą drogą każdy postępuje.  
O pięknych oczach tyś myślał rok cały,  
Choć ci je Freja zamknęła. Ja za to  
Szedłem do starca, co kuje broń dzielną  
I jego sztuki uczyłem się ciągle.  
Widzisz jak ślicznie poszła mi nauka!  
Ten pancerz, tarczę, sam zwolna ukułem  
I rok mi przeszedł piorunem: wąż niby  
Przemknął się w rękach. Dla ciebie, mój Alfie,  
Rok żółwiem płynął, wolno, ociężale.

**Alf.**

Winszuję bracie takiej pięknej broni;  
Może się przydać.

**Alger.**

Zkąd wniosek ten, Alfie?

**Alf.**

Czyż nie widziałeś okrętów w zatoce?

**Alger.**

Okrętów? masztu nawet nie widziałem.  
Patrzałem tylko na mój miecz cudowny,  
Na tarczę śliczną.

**Alf.**

Próżny z siebie gąsior:  
Pięknością pierza chcesz zaciemnić oczy.

**Alger.**

O, nie! szponami prędzęj, albo dziobem  
Dam się wpród poznać.

**Alf.**

Więc dobrze, kochany  
Przyłynął do nas młody konung Hagbart  
I chce się zetrzeć w bohaterskiej bitwie.

**Alger.**

Jakto? sam jeden?

**Alf.**

Hagbart ma dwudziestu  
Z sobą rycerzów; czeka tam na wyspie.  
Wyzwał czterdziestu Duńczyków do boju.

**Alger.**

Ha! tak to lubię...

## CIŻ SAMI I HAGBART

(*bez oręża i bez płaszcza*).

**Hagbart.**

Panowie moi! darujcież mi śmiałość...

**Alger** (*do brata*).

To nasz przeciwnik?

**Alf.**

Zapewne.

**Alger.** (*chwytając za miecz*).

Zuchwały!

Zkąd ci ta śmiałość, że bez pozwolenia  
Na brzęg wysiadłeś?

**Hagbart** (*spokojnie do Alfa*).

Tak mi się zdaje.

Miałem pozwolenie,

**Alf.**

Poczekaj, mój bracie.

Prawdę on mówi?

**Alger** (*miarkując się*).

Przepraszam..... myślałem.....  
Miecz mi drzał w rękach, chciałem go wydobyć,  
Bo tępo chodzi.

**Hagbart** (*dumnie do Algera*).

Miecz twój, widać nowy  
I w krwi nie kapał się jeszcze (*do Alfa*). Twój sługa  
Przyniósł mi od was do boju wezwanie.  
I widzisz, zaraz, jak trzeba gościowi  
Przyszedłem tutaj bez płaszcza i broni.  
Do was, pięć kroków: prawą ręką widzisz,  
Dotykam łokcia mego lewej ręki (1),  
Witam was obu zwyczajem méj ziemi:  
I czegoż więcéj żądacie odemnie?

**Alf.**

Nic nie żądamy. Tylko na jednego  
We dwóch nie pójdziem: już jeżeli walczyć,  
Walczmy jak trzeba w pojedynczym boju.

**Hagbart.**

Cóż ci do tego, kiedym ja odważny?

**Alf.**

Wiele do tego.

**Hagbart.**

Radbym się dowiedział.

**Alf.**

O mój rycerzu! coby ci wypadło,  
Zawszebyś wieniec otrzymał dębowy:  
Jeżeli zginiesz, któż dziwić się będzie?  
Jeden aż na dwóch! Jeżeli zwyciężysz  
O! wielki Torze! jakaż sława wielka!  
Narazić życie? Czy myślisz Hagbarcie  
Że za dzieciństwo chcę narazić życie?  
O! nie, Hagbarcie! tyś widzę samolub!

**Hagbart.**

Na prochy ojca przysięgam ci panie,  
Że taki wyrzut pierwszy mi od ciebie!

**Alf.**

Twoje błyskotki nas tu nie oślepią.

**Hagbart.**

Dumnyś jak widzę.

(1) Dawny zwyczaj u Skandynawów.

**Aif** Mam prawo być dumnym  
Chociaż w mój ziemi, twych skał jest niewiele.

**Alger.**

Bracie kochany! Więc to Hagbart z Trendi?  
To on nam przecie szeroko rozpowie  
O tym psie wielkim, którego postawił  
Ejsten w Dronthejmie, i który jak powie  
Jedno słóweczko, aż trzy razy szczeka.

**Hagbart** (z pogardą).

Niedawno wyszedł, widać, z rąk piastunki,  
Kiedy ci piękne bajeczki dziecinne?

**Alger**

(w silnym gniewie).

Na kamień ojca grobowy przysięgam,  
Śmierć ci, zuchwały! Dalej! dobądź miecza,  
Do miecza! słyszysz?.....

**Hagbart.**

Natychmiast i owszem!

(chce iść).

**Aif** (zatrzymuje go).

Czekaj! Hagbarcie! Bracie! nie pozwolę,  
Psujesz nam bitwę. Czekajcież obadwa.  
Porzuć te gniewy, Algerze, tyś winien,  
Tyś go obraził. Hagbart mówił prawdę,  
Wstydz się mój bracie. To słabość dziecinna  
Tak strasznym zaraz unosić się gniewem!  
Gniew nie zapali potomków Odyna.  
Lapończyk chyba, a może Finn dziki  
Dla mężstwa w boju musi podpisać.  
Nas. jeden zapal ma natchnąć rycerski.  
Hagbart się zetrze w pojedynczym boju  
Ze mną i z tobą. Moje prawo pierwsze:  
Jam starszy bracie. Czy zgoda?

**Hagbart.**

Tak! zgoda.

**Alger.**

A więc klóć ze mną zetrze się orężem?

**Hagbart.**

Hamund, ot, idzie mój towarzysz w bitwach,  
Mojego domu niezmienny przyjaciel.

## CIŻ I. HAMUND.

**Alger** (z dumą).

Lecz któż on rodem?

**Hagbart.** (z uśmiechem).

Na morzu, konungu,

On tyle, co my.

**Alger.**

Jego ród królewski?

**Hagbart.**

Pokaż Hamundzie drzewo twego rodu:

Wziąłeś je z sobą?

**Hamund,**

(obnaża miecz i podaje go Algerowi).

Czytaj, jeżeli umiesz:

To mój rodowód.

**Alger,**

(czyta napis na rękojeści).

Ród znakomity: zrodziła go w lesie

Góra sosnowa. Krew konungów dzielnych

Lizał on dawno niedźwiedzim językiem.

(oddaje miecz).

Ktoż cię tak chwali i twój miecz Hamundzie?

**Hamund** (zcicha).

Miecz mój się chwali. Kiedyś czterech jarłów,

A nie wiem ilu pobił tam konungów.

**Alger.**

Zemszczę się za nich, zuchwały rycerzu!

**Hamund** (kłania się).

Wiele zaszczytu dla mojego miecza!

Taki bohater chce tarcz ze mną zetrzeć,

Chce poprobować nowiuteńkiej broni!

**Alger.**

Zarazto poznać dzielnego rycerza!

**Hamund.**

Lepiej poprobuuj na twardym kamieniu,

Potém ci łatwo będzie władać mieczem.

(Słychać dźwięk fletu i bębnow)



**Alf** (*do Hagbarta*).

Otóż królowa nadchodzi i Sygna.  
Niosą ci pewno róg miodem nalany,  
Zwyczajem przodków gościnnie się witać.  
Nie miej nam za złe, kochany Hagbarcie,  
Żeśmy do komnat naszych nie zawiedli  
Gościa takiego: pojmujesz to dobrze,  
Że tkliwe matki i siostry uczucia...

**Hagbart**.

Rozumiem, Alfie: bądź mi przekonany,  
Że gdyby nie szło o kłamliwe wieści,  
Miodowej czary nawetbym odmówił.

**CIŻ SAMI, RYCERZE I MUZYKANCI.**

Potem BERA I SYGNA w towarzystwie kobiet.

**Bera**

(*zbliża się do Hagbarta i dumnym wzrokiem go obrzucając*).

Czyś nie ty czasem młody konung z Dronthejm,  
Co duńskich mężów wyzywasz na harce?

**Hagbart** (*z uszanowaniem*).

Jam Hagbart z Dronthejm: odgadłaś królowo.

**Bera** (*do Alfa*).

A jakaż zgoda na ten pojedynek:  
Dwóch na jednego?

**Alf**.

Jeden na jednego.

**Bera**.

Tak, to przystoi. Iluż was do boju?

**Alf**.

Hagbart dwudziestu przywiódł towarzyszy.

**Bera** (*z żartem*).

Toć tyleż czajek codzien wylatuje  
Na pastwę orłom duńskim z Kategatu!  
A w jaki sposób?

**Alf**.

Ująwszy miecz w ręce

Będziem rąbali.

**Bera**.

A ileż uderzeń?

**Alger.**  
Dwanaście ciosów, jak bogów w Walhalli  
Siedzi dwunastu.

**Bera.**

To dobrze.

**Hagbart** (*spojrzawszy na Sygnę*).

W cześć jeszcze

Bogini Frei, trzy bitwy stoczymy.

**Alger.**

A więc piętnaście?

**Alf.**

(*zwróciwszy oczy do niebios, cicho*).

Tak! na sławę Frei!

**Bera.**

Więc podaj Sygno róg złożony z miodem  
Na powitanie, i „bądź zdrow” przed bitwą.

**Sygna** (*wziąwszy róg od służącej*)

Zdrowie chrobrego rycerza Hagbarta!

**Hagbart.**

Czy szczerém sercem?

**Sygna.**

Jeżeli spokoju

Żądasz w niebiosach, piję za twój spokój! (*pije*)

**Hagbart** (*z uczuciem*).

Jeśli tak śliczna i miła Walkiryja  
Jak ty dziewico podaje róg złoty  
Na uczenie bogów w podwojach Walhalli:  
To rozkosz umrzeć.

**Sygna** (*do braci*).

Do was nic nie powiem:

Życzenia siostry rozumiecie pewno.

**Bera**

(*wziąwszy synów za ręce, z godnością*).

Nie razto pierwszy przychodzi wam dzieci  
Od macierzyńskiej oderwać się piersi,  
Kiedy ze śmiechem biegniecie do bojów.  
Tor was przyzywa: idźcie za tym głosem!  
Nie zapomnijcie, że ta stara wyspa  
Pełna grobowców walecznych rycerzy!  
Niechaj wiatr dziki, co wieje z tych mogił  
I jęk roznosi po dębowych lasach,

Jak pieśni Skalda, męztwo w was podniosą!  
 Że serce moje drży za wasze życie  
 Cóż w tém dziwnego? Matkam i niewiasta!  
 Więc patrz mi w oczy, mój Alfie.... Algerze,  
 Odsłoń przyłbicę.... Niech się wam napatrzę.  
 Cień Mikilata niech wstanie z kurhanu  
 Ojca waszego! niech was błogosławi!  
 Lecz jeśli wola wyższa was przyzywa  
 Do wrot Walhalli, niechaj wola Tora  
 Spełni się święcie! Jeden niech przynajmniej  
 Powraca do mnie, żeby państwo wielkie  
 Bez książąt swoich nie osierociało.  
 Twoje tu prawo pierworodztwa Alfie,  
 Lecz... miłość matki równa dla was obu.  
 Algerze! synu! tyś sposepniał jakoś....  
 Alfie mój! Alfie! nie bądź tak surowy!....

*(powraca jęj męztwo; do Hagbarta).*

Miłość to musi być rycerzom mężnym  
 Kobięcą dumę aż do łez uginać?

*(ze wzrastającym męztwem).*

Ale wiem o tém, że Odyn wysłucha  
 Modlitwy mojej; dziś jeszcze wieczorem  
 Polegniesz z ręki zelandzkich rycerzy,  
 Krwi potokami zalejesz tę ziemię,  
 Gwiazdy zmarłemu w oczy ci zaświecą!  
 A kruk żarłoczny, którego przestraszysz  
 Jękami śmierci, chciwy się nakarmić  
 Człowieczem ścierwem, pójdzie za powietrzem,  
 I sęk za sękiem, gałąź za gałęzią.  
 Na trupa twego spuści się z radością  
 W skrzydła trzepocząc. Ale bądźcie zdrowi  
 Nasi rycerze; do widzenia Alfie,  
 I ty Algerze. Sygno, nam do domu  
 Potrzeba odejść. Czekam was, synowie  
 Zwycięzko, z tarczą, lub sławnie, na tarczy!  
*(odchodzi, wszyscy za nią, oprócz Hagbarta i Hamunda).*

**Hamund.**

Szalona wiedźma! co to nagadała!  
 Niech wilk cię pożre z tak głupią modlitwą!  
 Ach! czarownica!

**Hagbart.**

*(patrząc w tę stronę, w którą odeszła Sygna).*

Miarkuj się Hamundzie!

Tyś ją wystraszył!

**Hamund.**

Jakto! miałem słuchać  
 Tych przekleństw babskich? Byłż ci tak miłe?

**Hagbart.**

Nicem nie słyszał, ach! widziałem tylko....

**Hamund.**

Bardzo wieszczę! Zachwycił się biedny!  
Byłóż czém, było!

**Hagbart.**

Prześliczna, przemiała!

**Hamund.**

To z mora, bracie, z piekielném wejrzeniem.

**Hagbart.**

To sylf leciuchny, co gwiazdy ma w oczach,  
W kędziarach złotych!

**Hamund** (*uśmiechając się*).

No, mówię o Berze.

**Hagbart** (*z westchnieniem*).

A ja.... o Sygnie.

**Hamund.**

Co ci to Hagbarcie!

W oczach lży świecą, twarz złana rumieńcem,  
Wzdychasz tak mocno i ledwie nie płaczesz!  
Więc tak do bitwy gotujesz się dzisiaj?

**Hagbart.**

Idź, idź! Pamiętaj, weź mój oręż z sobą...

**Hamund.**

A ty zostaniesz?

**Hagbart.**

Idę, zaraz idę,

Pozwól mi chwilki.... niech siły powrócą....

**Hamund.**

Słabyś, i z czego?

**Hagbart.**

Z proroctwa, mój drogi:

Samżeś powiedział, że usta królowej  
Śmiercią groziły.

**Hamund** (*z troską*).

Hagbarcie mój drogi!

Czyż ta zwodnica, ta chytra rusalka  
Cisła urokiem i w wir cię wtrąciła?

**Hagbart.**

Nie! nie! Hamundzie! Idź proszę, ja także....

**Hamund.**

Druhu mój stary! Obacz się, co czynisz!  
Wszak taka miłość zaślepić nie może!  
Na bój śmiertelny dwóch braci wyzwales  
I chcesz dla siostry pałać nierozumem!  
Kochając biegniesz do rycerskiej walki....

**Hagbart.**

Szaleństwo! prawda; ale na krok jeden  
Nie zbroczę z drogi, na której poczciwość....

**Hamund.**

Więc razem idźmy!

**Hagbart.**

Ach! pozwól choć chwilki!  
(*Hamund kiwając głową odchodzi.*)

**Hagbart** (*po długim milczeniu*).

Tutaj.... tak, tutaj, stała tu przedemną  
Ten słodki napój, co go podawała....  
Usta jej do mnie mówiły o śmierci....  
A nigdy jeszcze tak się żyć nie chciało!  
To czary! czary! Te małe pagórki  
Kocham już więcej, jak olbrzymie skały  
Mojej ojczyzny! W błękitie jej oczu  
Czyż nie piękniejszy strumień jak te morza?  
Cóżem to wypił?... Powiedzcież bogowie  
Co mi za napój ręka jej podała?  
Spojrzała na mnie czule, jakby z żalem  
Raz jeden tylko — i płomień ognisty  
Powionął na mnie i zapalił duszę,  
Płomień z tych złotych, jedwabnych kędziorów!  
Czuję brak siły! wychodzę jak z grobu....  
I cóż mi sława i okrzyki bojów!  
Jedna mi Sygna ciągle stoi w oczach.  
I Tor już obrzydł. Kocham tylko Sygnę!  
Ach! cóżem zrobił? Alfie mój! Algerze!  
Chciałbym was, braci, przycisnąć do serca!  
A tu bój toczyć każe mi powinność....  
I matka wasza dziś mnie nienawidzi!  
Być może, zginę przy księżycu blasku....  
Być może oni z moich rąk polegna....  
Cóż zyskam za to? Po świetnym zwycięstwie  
Uciekać muszę, bo Sygna nie zechce  
Mordercę braci pokochać jak męża.

Stało się! wieczny rozdział między nami!  
 Losie okrutny ciężkoś mnie ukarał!  
 Wszystkoś mi zabrał! Żebyć choć godzinę  
 Wcześniej ją ujrzyć, nie wrogiembym stanął  
 Na ziemi Sygny, lecz bratem, kochankiem.....  
 Dziś, krwią serdeczną chyba się zaręczym.

*(zdejmuje różę, którą miał na piersiach)*

Różo ty moja! tyś się z nią zmówiła:  
 Nieszczęśliwemu śmierć przepowiedziałaś.  
 Jak oczy Sygny zraniłaś mię ciężko  
 Za to, żem twoich dotykał się kolców.  
 Lecz rana miła, a łza tak rozkoszna!...

*(całuje różę).*

## HAGBART I ALF

*(uzbrojony z lilią w ręku).*

**Alf.**

Widzisz, żem gotów!

**Hagbart.**

Stało się... rycerzu!

Jeżeli zginę, pokłon swojej siostrze,  
 A piękną różę na grób mi połóżysz.

**Alf** *(uroczyście).*

Kto padnie w boju, to miecz postanowi:  
 Jeśli ja zginę, pochowasz mnie bracie  
 W niskiej mogile. Nie lubię kurhanów  
 Co pną się w górę; a na grobie moim  
 Lilię posadzisz: dasz mi na to słowo?

**Hagbart** *(ściskając go za rękę).*

Przysięgam, bracie!

**Alf.**

A teraz zwyciężę

Hejmdal ukaże.

**Hagbart.**

Konungu Zelandyi!

Wszak bez niechęci idziemy do boju?

**Alf.**

Tak, jak należy rycerzom Odyna.

*(odchodzi ręką pod rękę).*

**AKT II.****PÓLNOC. SYGNA I RYNDA.****Rynda.**

Patrz moja Sygno, okręt już nadpływa!

**Sygna.**

Miejmy odwagę.

**Rynda.**

Drogi mój Haraldzie!

**Sygna.**

Jeżeli bracia moi poginęli?

**Rynda.**

Ach! to okropnie! Lecz dwaj bracia razem  
Cóż znaczą Sygno, kiedy tam kochanek?

**Sygna (z uśmiechem).**

Nie będzie tęsknić, kto nie ma kochanka.

**Rynda.**

I sama Freja straty nie nagrodzi!

**Sygna.**

Żal mi serdecznie mojej biednej matki.  
Patrz, jak posępna błądzi po gęstwinach,  
Z rozdartą piersią spogląda na morze  
Niby spokojna, bo chce ukryć boleść...

**Rynda.**

Bogowie! czemuż ten okręt tak zwłoczy!  
Nie wiem czy smutną niesie mi nowinę,  
Czy też wesołą? Ale mam przeczucie...  
Ach! tchnienie śmierci z morza tu powiało...

**Sygna.**

Zkąd wiesz to, Ryndo?

**Rynda.**

Czy nie widzisz? patrzże,  
Żalobna tarcza na maszcie zwieszona.

**Sygna (zadrzewszy).**

Nieprawda! bluźnisz!.. Aleć... ich dwudziestu..  
Już ciż ktoś zginął.. Nie lękaj się Ryndo,  
Czyż ten co poległ, ma być twym kochankiem.  
Lub bratem moim?

**Rynda.**

Konung zginął, konung!  
Wszak pierścien złoty zwieszony na tarczy?

**Sygna (z rozpaczą).**

Wielcy bogowie!

**Rynda.**

Nie bój się królewno!  
Odyn nas broni, to może ten dumny,  
Zuchwały Hagbart zginął od oręża!..

**Sygna (prędko).**

Milcz! milcz okrutna!

**Rynda.**

Więc ci żal Hagbarta?

**Sygna.**

Wszak i on może w domu pozostawił  
Siostry, kochankę... może matkę starą...  
Jeżeli zginie, czyż nie będą płakać?

**Rynda.**

Ależ on winien! Przyjechał i wyzwał!

**Sygna.**

Nibyto pierwszy raz słyszałaś Ryndo,  
Ze rycerz mężny, goniący za sławą  
Przyszedł do obcych? A moiżto bracia  
Raz tylko jeden za morze pływali?

**Rynda.**

Dziki to zwyczaj; nie wierzę królewno,  
By tego chcieli bogowie Walhalli.  
Obronców kraju Tor kochać powinien,  
Więcej nikogo.

**Sygna.**

Jeśli wszędzie pokój

I nikt na świecie nie zaczyna wojny,  
To chyba rycerz ma się w grób położyć  
I spać snem wiecznym, jak podły niewolnik?

**Rynda (z podziwieniem).**

Sygno! ty widzę coś bronisz Hagbarta?

**Sygna.**

Dlaczego bronić? Trzeba sprawiedliwość  
Oddać walecznym, choć to wrogi nasze:  
A jeśli zginął, nie jest nawet wrogiem....



Śmierć kończy gniewy, a nienawiść, Ryndo,  
Nie pójdzie przecież za krańce mogiły!

**Rynda.**

Lecz jeśli braci zabił ci ten Hagbart,  
Ty go, królowno, musisz nienawidzić!

**Sygn.**

Ach! dosyć! przestań! bolesne mi rany  
Ryndo zadajesz. Samażesz mówiła,  
Że może w bitwie on poległ, nie nasi?

**Rynda.**

Rogi już trąbią! Okręt na kotwicy.  
Rycerze duńscy wychodzą już na brzeg....  
Otóż i Hallag, stary skald poczciwy,  
Alfa przyjaciel. Patrz, wyminął innych.  
Krok uroczysty; na arfie, czy widzisz  
Wianek dębowy.... Wzrok spuścił ku ziemi.  
Haralda nie ma.... Bogowie! nie widzę  
Mego Haralda! Naprzeciw rycerzom  
Idą niewiasty, cieszą się, witają  
Braci i mężów.... a Haralda nie ma!  
Poległ, czy ranny? A, jest... jest mój drogi,  
Harald mój żyje! dzięki ci bogini!  
(biegnie i ściska go).

**Sygn.**

Jaka szczęśliwa! a mnie serce bije.  
No, stary skaldzie, usiądź na kamieniu  
I zanuć pieśni ... Cudnemi kwiatkami  
Boskiej poezji, przykryj tę okropną  
Nowinę dla nas, jak trawa zielona  
Przykrywa żądło raniącego ciernia...  
Śpiewaj spokojność poległym rycerzom!  
Może na zawsze odbierzesz mi spokój.

## CIŻ SAMI I SKALD.

*Otoczony przez rycerzów i kobiety, siada na kamieniu pod  
dębem, przygrywa na arfie, a potem śpiewa.*

Ty, co władasz koronami  
By rycerzom sławę nieść,  
Lutni złota! brzmij strunami  
Poległego księcia cześć!

Dusza świeciła w jasnych mu oczach,  
Stał, by granitu twarda skała;  
Tylko się złoto wilo w warkoczach,  
Kiedy mu w piersi burza huczała.

Ale wtem ujrzał cudo urody;  
I jako słońce wiosenném okiem  
Śniegi potopi; serca tak lody  
Jego spłynęły tęsknym potokiem.

Niedługa radość!... zmarła Giryta....  
Słońce nadziei jego przepadło;  
Ledwie zabyłśnie, ledwie zaświta  
A już Tor kazał, żeby pobladło.

Spieszno Alfowi za t $\acute{e}$ m widzeniem  
 O śmierć bogini błaga i prosi;  
 Słuchać bo trudno, g $\acute{d}$ y wiatr z west-  
 stchnieniem  
 Echo po cudzych grobach roznosi.

Hagbart wt $\acute{e}$ m przybył: patrz ta przy-  
 bica  
 Skrzydła ma orle, wojną dyszy;  
 Błyszczy na helmie tarcza księżyca  
 A śmierć mu zawsze towarzyszy.

Zeszli się razem, mieczów dobyli.  
 Burza wre w piersiach, błysk mi-  
 gocz: goce:  
 Ostrze trafiło... Alf nasz się chyli....  
 I krak skrzydłami jakże trzepocze!..

Tu na mogile urnę postawim  
 I miecz rycerski, róg jeleni;  
 Imię konunga pieśnią wysławim,  
 Wyrznięm na grudach tych ka-  
 mieni....

Jakżeśmy często w bory chodzili  
 Żeby jelenia dostać w sidła;  
 Dzisiaj legawiec już się nie mili,  
 Boleść mu dawną rozkosz zbrzyd-  
 dziła.

Padła już rosa na grób zielony  
 I w oczach lży nam tylko świecą;  
 Dla nich czas nastał uprągniony,  
 Patrzcie! jak w niebo dwoje lecą!

*(Bera wyszedłszy z lasu i wysłuchawszy z rozpaczą pieśni skalda,  
 prędko nadchodzi).*

**Bera.**

Milcz stary głupcze! rzuć harfę na ziemię!  
*(wyrывa mu harfę i oddaje ją Erykowi).*  
 Weź! rąb w kawałki! a śpiewaka w piekło!

**Eryk.**

O! nie pomiataj skaldami, królowo:  
 Śpiewaka święte rozlega się słowo....

**Bera.**

Bez wstydu śpiewak! a może co więcéj,  
 Może to zdrajca! Prawdy nie wyśpiewa!  
 Rachuje zawsze na dźwięki uludne,  
 Na słabe serca, a potem co zechce  
 To robi z nami! Zuchwały rozbójnik  
 Ze skał norweskich, obraża majestat  
 Duńskiego władzcy: żart jego szalony  
 Zabiera matce, narodowi, państwu,  
 Chlubę, nadzieję. W bydlęcym pomioście  
 Powinien naród sławny pokutować  
 I głowę swoją posypać popiołem!  
 Jak wilk krwi chciwy, tak rozpacz i żalność  
 Śmierć nam przynosi, zgubę i upadek,  
 A ten pies stary na szalonej harfie  
 Zamiast, by płakał i tęsknił po stracie,  
 Jakieś miłosne śpiewa nam przygody!  
 Przyjemnym dźwiękiem strun harfy zachwyca!  
 Niedługo może zechce błogostawić  
 Naszego zbójcę... Powiedz, skaldzie stary,  
 Ile ci Hagbart zapłacił za pieśni?

**Skald.**

Poco mi złoto? poco mi królowo?  
 Starzec już jestem, patrz na włosy moje,  
 Przecież siwizną stoję nad mogiłą.  
 Przebacz, jeżeli obraził mą pieśnią....  
 Śpiewałem z serca, bez celu, bez myśli.  
 Śpiewałem boleść.

**Bera.**

Idź na koniec świata!

**Skald.**

Więc mnie wyganiasz?

**Bera.**

Na wieki, za śmiałość!

**Skald.**

Ach miejże litość! Pozwól mi umierać  
 W rodzinnej ziemi! Ta ziemia słyszała  
 Lat pięć dziesiątków skromne pieśni moje!  
 Jam już jak przyrósł do tych lasów wieńca,  
 Z tęp morzem siném takim się spokrewnił,  
 Że bez nich żyćbym nawet nie potrafił  
 I żyćbym nie chciał.

**Bera.**

Więc umieraj, starcze!

**Skald.**

Nic cię nie wzruszy? Więc pójdęz po świecie?  
 Może się bogi nademną zlitują.  
 O jedno proszę: zostaw mi tę harfę,  
 To moja radość i przyjaciel w życiu,  
 To rozkosz w śmierci. Będziesz miała serce  
 Wziąć mi i harfę?

**Bera.**

Już jej struny nigdy

Nie będą śpiewać (do Eryka). Weź miecz twój Eryku,  
 Porąb w drobiazgi te niesforne struny.

**Eryk.**

Nie!—nigdy, pani!

**Bera.**

Zuchwalcze! ty śmiałyś....

**Eryk.**

Zabić mnie możesz, wiem o tęp, lecz pani  
 Póki żyć będę nie ścierpię niedoli

Wieszca i starca. Idź, biegnij, Hallagu  
 Do wieszczów ziemi, do starój Irlandyi:  
 Wszak nie ty pierwszy, co cię gna niewdzięczność,  
 I nie ostatni padniesz jój ofiarą.  
 Lecz imię twoje z pieśnią skaldów naszymi  
 Życ będzie wiecznie i przeżyje ciebie,  
 I pieśni wasze w Danii pozostaną  
 W ustach rycerzy, i skaldów i dziewic,  
 Na długie lata, w długie pokolenia.  
 Skończyłem: pozwól odejść mi królowo.

**Bera.**

Idź, idź zuchwały! niedołączny, podły!

**Eryk.**

Chodź ze mną ojcze, arfę ci poniosę.  
*(chce iść).*

**Bera** *(z żywością).*

Zostańcie oba!... Nie poznają siebie,  
 Rozpacz mnie zdjęła. Czekaj! czekaj starcze!  
 Zbłądziłam widzę. Tyś nie winien, przebacz,  
 Tyś nieostrożny. Hagbart mnie rozgniewał.  
 Cóżes ty winien? A gdzież Alf kochany?...  
 Dajcież mi spojrzeć na to drogie ciało!  
 Tam mnie prowadźcie! Gdzie on? ach, przez bogów  
 Pozwólcie matce spojrzeć raz ostatni  
 Na zwłoki syna! Powiedźcież, gdzie ranny?  
 Czy twarz przebita? gdzież ta stał mordercza?

**Eryk.**

Nie—ostra szabla zraniła bok lewy.

**Bera.**

Trafiła w serce! Okrutne żelazo!  
 Drogi mój Alfie!

*(Wychodzi, za nią wszyscy oprócz Sygny).*

**Sygna.**

A jaż nie płaczę? Zimna jak mogiła!  
 Brat poległ w boju, a gdzież lzy na oczach?  
 Alfie! kochanku! przyjacielu miły!  
 Tyś poległ: czemuż siostra cię nie płacze!  
 Oddycham wolno, jakby kamień ciężki  
 Spadł z piersi moich; czemuż to, bogowie?

Lecz po cóż płakać i tęsknić? Prześliczna  
 Dziewica jego pobiegła do raję,  
 Gdzie wiosna kwitnie i wiecznie są róże;  
 I tam go czeka i tęskniła po nim,  
 Wreszcie posłańca puściła na ziemię!  
 „O! przyjdź mój piękny! drogi mój! jedyny!  
 Siadaj na rydwan i spiesz na niebiosę:  
 Lekko w powietrze puchem cię uniesie.  
 Nie bój się, drogi, bladego woźnicy  
 Chociaż on w suknie czarne się przystroił.  
 Ach, prędjéj Alfie — Giryta cię prosi!“  
 I Alf poleciał na głos ulubionéj,  
 Więc czegóż płakać; albo to już nigdy  
 Nie widziéć siostrze kochanego brata?

*(po krótkim milczeniu, ze smutkiem).*

Nie widziéć siostrze? Ach! niestety! Freja  
 Samych kochanków przyjmuje u siebie:  
 Dziewice biedne, co schną bez miłości,  
 Nie dla nich niebo: pójdą do Getionu.  
 I ja tam będę! Brata mnie nie widziéć!  
 Ach! to okropnie! żal mi ściska serce  
 I płakać muszę.

## SYGNA, HAGBART.

**Hagbart** *(prędko zbliżając się).*

O Frejo! co widzę!

—To moja Sygna! dzięki ci bogini!

**Sygna.**

Ach, to zabójca!

**Hagbart.**

Nie zabójca, Sygno,  
 Zwycięzca, powiedz. Miecz bujał swobodnie  
 Nad moją głową, i nad Alfa głową.  
 Mogłem ja zginąć, ale nie stracone:  
 Dziś brata twego Norna przywołała  
 A mnie, być może, jutro już zawoła.

**Sygna.**

Krwawy rycerzu, odejdz ztąd przez litość!

**Hagbart.**

O! pójdę Sygno, rzucę cię na wieki;  
 Lecz prośba jedna. Spelnienie téj prośby  
 Tak ważne dla mnie, jak wiatr dla okrętów:

Jeśli zezwolisz, będzie mi tak lubo,  
Tak słodko sercu!

**Sygna.**

I czegoż chcesz, powiedz?

**Hagbart.**

Litości tylko.

**Sygna (z zapalem).**

Mamże ci przebaczyć?

Po cóż ci, dumny, moje przebaczenie?

Cóż te łzy tobie i żale dziewicy?

Nibyś to nigdy nie widział boleści.

Cóż cię obchodzi, że niewiasta płacze?

Wszak twojém bóstwem jest męztwo i sława?

Zimnyś jak twarde pancerza żelazo.

Spokojność rodzin wieleż cię obchodzi?

Orli twój polot czyliż łzy wstrzymają?

Rzucisz się dziko na swoją ofiarę

I zginie ona, albo sam polegniesz!

To prawo wasze! Wszak niedźwiedź straszliwy

I wilk żarłoczny na to tylko żyją,

Aby mordować. Za siłę i męztwo

Niedźwiedzia, wilka, nawet Tor miłuje.

Lecz pasterz dobry broni swoje stado,

Ale pasterka skoro ich zobaczy,

Ucieka od nich, stado się rozbiega,

Zmykają wszyscy, bo któż chce zobaczyć

Splukane zęby w krwi niewinnych zwierząt?

Tam gdzie zabójcy, dawno po radości.....

**Hagbart.**

Więc myślisz Sygno, żem ja wilk żarłoczny?

Placze-ż wilk kiedy?

**Sygna.**

Konungu Hagbarcie!

Daruj boleści dziewicy i siostry.

Jak bracia moi, szedłeś za zwyczajem

I za to ciebie potępiać nie mogę;

Lecz odejdz, odejdz! błagam cię przez litość:

Nie przypominaj mi zabójcy brata;

Zostaw mnie samą i łzom i boleści.

**Hagbart.**

Tak, pójdę Sygno!... pójdę w świat daleki,

Zabójcy brata nigdy już nie ujrzysz!

Lecz czego płaczesz? Alf twój tak szczęśliwy!

Sam pragnął śmierci!... Przystałem przed bojem  
 Posadzić lilią na jego mogile:  
 Prosił mnie o to, teraz kiedy wracał  
 Z bitwy po morzu, ledwie nie utonął  
 Po jego piękny schylając się kwiatek.  
 Pozwól dług spełnić, a wtenczas spokojny  
 Pojdę daleko, ucieknę od ciebie.

**Sygn.**

Rzuć ziemię naszą, bo straszna jest rozpacz  
 Zranionej matki. Będzie ciebie ściagać,  
 Bo nienawiścią ciebie nienawidzi.  
 Wracaj do siebie! do łódów Norwegii!  
 Pewnie masz siostry, matkę, może żonę.  
 Idź, idź! a nieszczęść nie ciskaj na innych.

**Hagbart.**

Matkę i siostry!

**Sygn.**

Jakto? nie masz matki?

**Hagbart.**

I siostry nawet!..

**Sygn.**

Siostry nawet nie masz?

**Hagbart.**

I lubej nie mam.

**Sygn** (*zarumieniwszy się*).

I żony też nie masz?...

**Hagbart.**

Nie mam, niestety! Jak sosna, sam jeden  
 Stoję na skałach dumnego Dronthejmu!  
 Wśród szczęku broni wychowany, żyłem  
 Wspomnieniem bojów i nie znałem nigdy  
 Co matki miłość, przywiązanie siostry...  
 Bywało, siedzę pod sklepieniem zamku  
 I chcę skosztować niebieskich rozkoszy...  
 Słyszałem przecież śliczne skaldów pieśni,  
 Wiem, że w Walhalli jest szczęście i radość...  
 A tak serdecznie tęskniłem za rajem..  
 Życie mi zbrzydło, więc leciałem z ogniem  
 W pożary bitew, żeby dać swobodę  
 I wolny oddech roz tęsknionej duszy.  
 Szukałem śmierci, tam, gdzie szczękał oręż  
 Zapominałem, że mieszkał na ziemi,

A śmierć natenczas, był to głos przyjemny  
Który mnie wołał do krainy cudów.

**Sygna** (ze smutkiem).

Biedny Hagbarcie!

**Hagbart** (z ogniem).

Szalony marzyciel!

Czegożem pragnął? nieszczęścia przed rajem.

Ach! sny to dzikie! Dziecko! niecierpiałem

Tego, co pojać niepodobna było.

O! powiedz Frejo? zkąd pogarda życia?

Pocóż z kolebki spieszyć do mogiły,

Kiedy tu szczęście i rozkosz na ziemi?

Mam wielbić Stwórcę, a przeklinać razem

Wszehmocnej ręki cudowne utwory?

Po co tam tęsknić do Walhalli progów,

Do pięknych bogiń i do złotej czary,

Nektaru niebios, i do uczt Odyna,

Kiedy na ziemi można znaleźć miłość?..

Jak ślepa sowa unikałem słońca

I tam krążyłem, gdzie zimno i ciemno.

Lecz teraz, Sygno, ujrzałem zbawienie

I dumę własną u nóg składam twoich.

(kłęka).

**Sygna** (zupłoniwszy się).

Hagbarcie! królu!..

**Hagbart** (z czułością).

Bogini moja! podaruj mi wieniec

Ten śliczny ubiór twych złotych kędziorów!

Poświęć go cieniom brata, mnie powrócisz

Szczęście i spokój! Czy możesz odmówić?

Oddaj mi wieniec! Niczego na świecie

Nie żądam więcej. Powieszę go sobie

Na mieczu moim, i codzień przy lutni

Patrząc na wieniec, będę nucił pieśni

O dniu dzisiejszym i zwycięztwie smutném.

A kiedy umrę—będzie to niedługo—

Boć kwiaty więdną bez słońca i rosy!

Każę go sobie położyć w mogile.

(*Sygna niepewna co ma robić, milczy*).

Więc tego nawet! Żegnaj mi na wieki!

(*chce odejść*).

**Sygna.**

Hagbart! poczekaj: wieniec ten dla ciebie,



**Hagbart.**

Daj mi go Sygno, ale daj, przez litość.

## CIŻ SAMI. BERA. ALGER I RYCERZE.

**Sygna.**

Matko!

**Bera.**

A co to? Razem tu oboje?

Dlaczego Sygno zdejmujesz swój wieniec?

Cóż znaczy mowa z tym dzikim zabójcą?

Idź z oczu moich córko niegodziwa!

Idź precz, natychmiast!

**Sygna.**

*(czule spojrzawszy na Hagbarta).*

Bądź zdrow, mój rycerzu.

*(odchodzi).*

**Hagbart** *(chce się za nią rzucić).*

Sygno! poczekaj!

**Bera** *(zatrzymuje go).*

Tu czekać zuchwały!

Na ten raz sprawy twoje ukończone,

A więc posłuchaj. Tu jestem królową,

Tutaj ja rządzę, karzę i potępiam

Jak wola moja. Przyszedłeś tu nagle

I drogie życie dla dzikięj zabawy

Na bój wyzwalaś, jesteś więc morderca!

Przeklinam ciebie, nienawidzę ciebie

Jako potworę, najgorszego węża!

Pokoju nie dam! Kiedyś się odważył

Mordować moich, wiedziałeś to z góry:

W Norwegii także matka nie porzuci

Dzieci na pastwę, jak kura bez serca

Jajka, co zniesie. Więc słuchaj, zabójco:

Synaś mi wydarł, nie ma już rozkoszy

Żadnej dla matki, jak ciebie poświęcić

Heli na żertwę; lecz słowo królowej

Dam ci, a honor cenię nad szlachetnąj

Zemsty rozkosze. Możesz nas porzucić

I wyjść, gdzie oczy poniosą po świecie:

To ci dotrzymam, ale nigdy więcej.

A potem pomnij, że gdziekolwiek tylko  
 Napotkam ciebie, tutaj, czy w Norwegii,  
 Na morzu, w lasach: wszędzie śmierć dla ciebie.  
 Jeżeli cię moi wezmą do niewoli  
 Sam sobie winien, bez nadziei zginiesz:  
 Bo strzał tysiące wypuszczę na ciebie.  
 Gdziekolwiek spotkam, w lesie, czy na drodze,  
 Zginiesz bez żalu. Pamiętaj więc dobrze!  
 Być może, przyjdiesz i ty z wojskiem do nas  
 Aby zwyciężyć, będzie i to rozkosz:  
 Śmierć stokroć miłsza, jak bez zemsty życie.  
 A teraz, idź w świat! Niech cię mego Alfa  
 Biegnie za tobą krok w krok, ślad za śladem,  
 Niech cię zabija sumienia wyrzuty!

**Hagbart.**

Pozwól mi pani...

**Bera.**

Nie! nie! ani chwili,  
 Jeżeli kochasz życie. Jeszcześ wolny,  
 Lecz gdy dziewiąty bałwan się odbije  
 Od brzegów ziemi, będzie już zapóźno!  
 Zostaniesz prochem!

**Hagbart.**

Tak mocno królowo  
 Pragniesz méj śmierci?

**Bera.**

Nie ma widowiska  
 Miłszego dla mnie, jak widzieć skrwawiony,  
 Zdeptany trup twój.

**Hagbart.**

Okrutna! gniew straszny  
 Wyzywasz z piersi. Ale usta moje  
 Skowało śliczne cudnych ocz spojrzenie.  
 A więc się wściekaj, wymyślaj, bo pójdę.  
 Rycerz unika chętnie złej niewiasty:  
 Piękność jedynie pociąga mężczyznę  
 Że leci do niej, jak słowik do płótna,  
 Co się zdaleka tam bieli na łące.  
 Ostatnie krople twojej nienawiści  
 Wysącz i wyléj. O! męztwo rycerza  
 Dokaże tego, czego żąda miłość!

**Bera.**

*(patrząc za nim w ślad z zadziwieniem).*

Ostatnie krople wysącz nienawiści  
 A rycerz spełni, co mu każe miłość!

Co to za mowa?.... piękność.... jaka piękność?  
Miałaby Sygna?

(z dziką radością).

Dzięki ci stokrotne

Bogini zemsty! Ty mi błogosławisz,  
Błada bogini z błyszczącym spojrzeniem,  
Z czarną przyłbicą, w płaszczu purpurowym!  
Ach! nagłym blaskiem oczy me spojrzaly!  
Zsyłasz mi wędkę, na którą złapiemy  
Najostroźniejszą a najgorszą rybę:  
Będzie mi Sygna wędką. Przecudownie!

(obracając się do syna).

Milczysz Algerze? Bładyś i spokojny!  
Czy mierzysz ziemię? Oddawnaż mój synu  
Patrzeć na gwiazdy, takeś się nauczył?

**Alger.**

Patrzę na gwiazdy, bo Alf tam, w Walhalli!  
Lecz oczy słabe, brata mnie nie dojrzeć.

**Bera.**

Więc Alfa płaczesz?

**Alger.**

Jak brat, matko moja.

**Bera.**

I szczerem sercem?

**Alger.**

Zkądże ta wątpliwość?

**Bera.**

Wątpliwość, mówisz? A po cóż lży twoje?  
Synu mój! znam cię: nie oszukasz matki:  
Czyż w piersiach twoich nie człowieka serce?  
Twój smutek płynie z istotnej przyczyny.  
Alf był ci bratem, dobrym przyjacielem,  
I kochał cię. Ale Alf był starszym.  
Nie winien temu, wiele cię obrażał.  
Tak blizki tronu, zawsze był daleki  
Od tronu blasków. Ta myśl cię dręczyła.  
Pomiędzy tobą, a koroną ziemską  
Zawsze leżało twego brata życie,  
Jak śpiący olbrzym w żelaznym pancerzu.  
Teraz śmierć jego drogę ci otwarła:  
Tyś król Zelandyi, on ci most zbudował  
Ponad przepaścią i podał koronę.  
To państwo twoje! Mój synu, toż przecie  
Choć łezkę jedną warto mu poświęcić.

**Alger.**

Więc myślisz matko, że płacę z radości,  
Gdy brat mi umarł?

**Bera.**

Musisz mnie przekonać  
Że to z boleści.

**Alger.**

Lecz nie wiem jak? matko.

**Bera.**

Przysięgnij zemstę!

**Alger** (*podniósłszy rękę*).

Tak! przysięgam zemstę!

Na prochy ojca mego przysięgam,  
I na broń jego dzielną, zardzewiałą!  
Na róg Odyna klę się szczerozłoty  
I na młot Tora ciężki jak żelazo!

**Bera.**

Przysięgnij wiecznie zbójcę nienawidzieć!

**Alger.**

Ach! to trudno; lecz kiedy wymagasz,  
I to przysięgnę: o ile potrafię  
Hagbarta wiecznie będę nienawidził!

**Bera.**

Przysięgnij jeszcze, że nigdy nie zdradzisz  
Żadnej przed brata zbójcą tajemnicy;  
Że ani prośby, ani łzy niczyje,  
Choćby najdroższe, serca nie złagodzą,  
Gniewu nie zmiekczą.

**Alger.**

Klę się na Odyna!

**Bera.**

Przysięgnij synu, że jeśli dostaniem  
Kiedy go w ręce, sam nie będziesz prosił,  
Łez nie wylewał, ażeby złagodzić  
Moje nienawiść....

**Alger.**

Przysięgam na Tora!

**Bera.**

Drogi mój synu! Tyś wart swego losu:  
Chodź, niech przed ludem moim cię pokażę,

Niech cię przedstawię przed ludem jak pana,  
Brat i syn dobry, zostaniesz konungiem!

(*odchodzą*).

(*Sygną zwolna postępuje*).

**Sygną** (*sama*).

Już go tu nie ma! Matka mu okrutna  
Grozila śmiercią..... Jeszcze słyhać zdala  
Wesołe krzyki..... To on już odpłynął.....  
Jeleń spłoszony chowa się w gęstwinię,  
Bo na trop jego napadli myśliwi.....  
Nie ma Hagbarta! Północ już niedługo,  
I księżyc zeszedł..... sowy zaśpiewały  
Pieśń tak ponurą..... Tutaj raz ostatni  
Żegnał się ze mną. Zaprawdę, już nigdy  
Mnie go nie widzieć! Ach! stokroćże lepiej  
Nie widzieć brata! Duchu Alfa mego,  
Widziałeś boleść albo łzy Hagbarta?  
Nie, tyś spokojny!..... A Hagbart tak miły!  
Czy można razem być czułym i tęsknym,  
A mieć złe serce? Oto wieniec z głowy,  
Który dawałam mu przy pożegnaniu;  
Czemuż go nie wziął? wszak to jego własność.....  
Nie dała matka..... A serce mi biło.....  
Więc drę ten wieniec, którym dziś wiązała;  
Listek za listkiem i kwiatek za kwiatkiem.  
Nadziejo śliczna! jak cię wiatr unosi!  
(*rwie listek za listkiem*).

## AKT III.

### WIECZÓR.

#### HAGBART I HAMUND.

**Hagbart.**

O! szczęście moje! o! śliczna godzino!  
Znów jestem tutaj w krainie mych wspomnień,  
I depcę nogą tę jedwabną zieleń,  
Co nóżki Sygny mojej całowała!

**Hamund**

(*z pogardliwym uśmiechem*).

Szczęście ogromne!... Jednak cię zabija  
Jeżeli złapią.

**Hagbart.**

Dzieli radość moje

Sama natura: patrz! na czystym niebie  
Gwiazda miłości pali się cudownie;  
Noc jak dzień jasna.

**Hamund.**

Zapewne, noc jasna

Żeby nas zdradzić. O! mój dębie śliczny  
Jak czule do nas zwieszasz twe gałęzie!...  
Widzę już w myśli, jak pod cieniem liści  
Obadwaj we krwi brodzimy, tułacze!

**Hagbart.**

Wróc się mój druhu na okręt i odpłyn  
Gdzie oczy niosą: pozwól, ja zostanę.  
Ty nie potrafisz dzielić niebezpieczeństw,  
Kiedy radości mojej nie pojmujesz!

**Hamund.**

A więc stanowczo myślisz zrobić głupstwo?

**Hagbart.**

Stanowczo bracie! Śmierć mnie chyba tylko  
Z Sygną rozłączy, takim ją pokochał...  
Biedny Hamundzie, wieszże ty co miłość?

**Hamund.**

Miłość, młodziku, jestto błędny ogień,  
Co podróżnego na błoto sprowadza.  
Naprzód czaruje przyjemną nadzieją  
A potem topi. I bogini Freja  
Jest to królowa czarownic i sylfów,  
Co lubi błądzić najlepiej po nocy,  
Żeby przy jasnym słonecznym promieniu  
Nie poznać było, że to cień, powłoka,  
Za którą gonim nie wiadomo po co.  
Jój suknie błyszczą kolorem zwodniczym  
Choć pięknym, tęczy. Zdaleka wspaniała,  
A przyjdiesz do niej,— para, dym obłoczny,  
Znika w powietrzu, jak tęcza na niebie.  
Namiętność budzi, rozpala uczucie.  
Po co to wszystko? Gorzkim jój owocem  
Nocy bezsenne, nadzieje szalone,  
Łzy i tęsknota; a jeżeli miłość  
Uśmiechnie ci się temi uludami  
O jakich marzysz: przesył wnet nastąpi.  
Jak codziennie zaczniesz używać i kochać,

Codzień uczucie będzie więcej stygnąć.  
A więc, cóż miłość? Piękny sen! uluda.

**Hagbart.**

Wszyscy bogowie działają tak samo:  
We snach nas ludzą, snem jest całe życie.  
A cóż jest sława, o którą ci idzie?  
Pstry wieniec także, dźwięk dziki, niktzemny,  
Za krew zapłata. A bogini sławy?  
Wszak dym, powietrze. A do tego dzika,  
Zła to bogini, sieje mord, nienawiść...  
Toć Freja lepsza: serce z sercem łączy,  
I śmierć rokoszna gdy w objęciach Frei.

**Hamund.**

Więc śmierci żądasz?

**Hagbart.**

Nie dla ciebie stary:

Wszak nie podzielasz mojego uczucia,  
Oblicze twoje zdejmuję mnie strachem.  
Wracaj na okręt, więcej mi pomożesz  
Złamądz niż tutaj: wszakżeś sam powiedział,  
Że mnie pożegnasz, kiedy drogę inną  
Wybiore sobie. Wybrałem, a czekasz!  
Drwisz i śmiejesz się. Nie lubię tych żartów!  
Nie boliż serce, że ustami trzeba  
Bronić uczucia? Toć niepodobieństwo  
Tajemnic serca opisać słowami.  
A więc mnie zostaw własnym przeznaczeniom,  
Bądź wszakże pewien, że tego, czém byleś  
Dla mnie, przez całe nie zapomnę życie.

**Hamund.**

Gdyś sam to przyznał, powiem ci otwarcie:  
Taki postępek...

**Hagbart.**

Bądź zdrów, do widzenia;  
Odyn bądź z tobą. Jeśli mnie zobaczysz,  
To tylko z Sygną; pewno nie inaczej.

**Hamund.**

Ha! niech się stanie! Ale słówko jeszcze:  
Czy mi nie wierzysz?

**Hagbart.**

Nie! drogi Hamundzie!  
Wierzę ci całkiem. Bądź zdrów przyjaciela!

**Hamund***(zrobił kilka kroków naprzód, i nagle zatrzymuje się).*

Już po przyjaźni!

**Hagbart.**

Jakto, znów żartujesz?

**Hamund.**

Na pożegnanie rozpowiem ci bracie  
 Dziwaczny sen mój, na co ma się w chmurach  
 Rozpłynąć sen ten?

**Hagbart** *(ze spółzuciem).*

Mów, coż ci się stało?

**Hamund** *(z uczuciem).*

Mojego ojca skromniutka zagroda  
 Stała przy wielkim i wspaniałym dworcu.  
 W dziecinnych latach często się bawiłem  
 Z synem sąsiada, który był piękniejszy,  
 Młodszy odemnie; lecz ja za to więcej  
 Miałem rozwagi. Słuchał mnie cierpliwie  
 Dopókim mówił, lecz robił, co myślał.  
 Tak nam lat wiele zeszło w poufałych  
 Stosunkach serca. Bywało, pamiętam,  
 Kiedy siedzimy w nocy, ręka w rękę,  
 Patrząc na pancerz stary, zardzewiały,  
 Co wisiał kiedyś pod sklepieniem dworca;  
 Gieniusz przyjaźni piękny nas pocieszał.  
 Pamiętasz wielkie owe święto Joli,  
 Kiedy nasz kapłan zabijał koguty,  
 Psy i rumaki na świętym ołtarzu,  
 I słońce głośną zaklinał modlitwą  
 Żeby wróciło; i żeby się ziemia  
 W lód nie zmieniła... A stary skald dzieciom  
 O dawnych czasach dziwy rozpowiadał:  
 Jak przodki nasze kiedyś, bez litości,  
 Ludzi dawali bogom na ofiarę.  
 Jeden drugiemu padliśmy w objęcia,  
 Bośmy pojęli co to rozkosz życia,  
 A kładąc ręce na lutnię czarowną  
 Wzajemnie sobie przyjaźń przysięgali,  
 Aż śpiewak czuciem naszym rozpalony,  
 Z zapalem w struny pobrząkiwał wieszczę,  
 I uroczyście lała się pieśń jego!  
 Pancerz naddiadów wtorował tym dźwiękom...  
 Czy pomnisz czas ten? Wszak gieniusz przyjaźni  
 W słodkie dni owe nie próżnym był echem!...



A zresztą, prawda, to był sen, sen tylko.  
Dziś miejsce jego inne sny zajęły.

(ze smutkiem).

Ale znam łożę, na którym mózg słaby  
Biednych podróźnych, żadne sny nie trwożą.  
Bądź zdrów Hagbarcie! Poruczam cię losom!

**Hagbart** (catując go).

Bądź zdrów, Hamundzie!

**Hamund** (z wyrzutem).

Niewierny Hagbarcie!

**Hagbart** (czule).

Dobry mój bracie!

**Hamund.**

A więcze, tak zimno  
Umiész się rozstać? Możesz mnie odrzucić  
Na całe życie od przyjaznych piersi?

**Hagbart.**

O! nie! tam wiecznie miejsce jest dla ciebie!

**Hamund.**

I mówisz szczerze?

**Hagbart.**

Serce moje żyje

Tobą i.... Sygną.

**Hamund.**

Wiész, że po przysiędze  
Los mój związany wiecznie z twoim losem?

**Hagbart.**

Wiem, mój Hamundzie!

**Hamund.**

I że pojdę zawsze

Gdzie i ty pójdziesz?

**Hagbart.**

Stań się... w imię Frei!

**Hamund**  
(podając mu rękę).

W imię Baldera! Nie będę już z twojój  
Śmiał się miłości, i daję ci słowo  
Że i na Sygnę gniewać się nie będę  
Choć mi zabrała przyjaciela serce.

Nawet o Frei nie będę źle mówił.  
 Przyjaźń, cześć, miłość, drogę nam ukaza  
 I pójdziem wszędzie, gdzie nas czeka szczęście,  
 A może koniec burzliwego życia.  
 Leż droga śliczna, po której idziemy,  
 Niech to nam stanie za całą pociechę.  
 (odchodzą do lasu).

## RYNDA I FILLA, potem SYGNA.

**Rynda.**

Dziś moja pani jakaś niespokojna,  
 Jakoś ponura i zasnąć nie może.

**Filla.**

Ach moja droga! Żal mi bardzo Sygny:  
 Wiem o tajemnej przyczynie jej bólu.

**Rynda.**

Kochała Alfa, śmierć brata ją smuci.

**Filla.**

Być może Ryndo, ale mi się zdaje,  
 Że serce Sygny wziął z sobą ten rycerz,  
 Alfa zwycięzca.

**Rynda.**

Tak myślisz?

**Filla.**

O! braci

Tak się nie płacze!

**Rynda.**

Cicho! Sygna idzie..

**Sygna**

(w towarzystwie dziewczę).

Co za noc śliczna! widno jak w dzień biały;  
 Brak słońca tylko. A sen nie przychodzi!  
 Kiedy natura pogrążona we śnie  
 Duch spać nie może! Nieprawdaż, kochane?

**Filla.**

Nie wiem doprawdy; dla mnie bo natura  
 Jest jak umarta, a księżyc jak lampa  
 Co ledwie błyska w cieniach katakumby.

**Sygna.**

Straciłaś wiele, wiem kochana Filla.

Gorzka to boleść! Gorzka jak śmierć brata.  
Dajże mi rękę, będę cię pocieszać.

**Rynda**

*(rozmówiwszy się tymczasem z innymi).*

Pozwól ...

**Sygna** *(przerzywając).*

Wiatr wieje? czy nie od południa?

**Rynda.**

Nie słyhać wiatru; listek nie szeleści.

**Sygna.**

I mnie się zdaje; cała morza postać  
Lekko faluje!....

**Filla.**

W bałwanach blask miga

Księżyc srebrny; brzegi jak kryształ  
Błyszcą się w morzu.

**Sygna.**

A więc wrogi nasze

Niezbyt daleko?

**Filla.**

Jeszcze tu przed chwilą

Stały okręty rozpuściwszy żagle,  
Płynęły potem swobodnie po morzu  
Jak łabędź biały.

**Sygna.**

Długoż trzeba płynąć,

Kiedy wiatr dobry, ku brzegom Norwegii?

**Rynda.**

Dwa dni czasami.

**Sygna**

*(z radosnym podziwieniem).*

Dwa dni? czy podobna?

A tak daleko! Ty morze rozłączasz  
Dlatego pewnie, żeby znów połączyć,  
I gniew udajesz wtenczas, gdy bałwany  
Groźne rozpuścisz. O, moje ty morze  
Jakieżeś lekkie! Nawet rydwan Frei  
Nie ma tak sztucznych i cudownych sprężyn.  
I któreż sanie z bystrością tak lotne  
Lecą po śniegu, jak po falach morskich  
Biegają okręty!

**Rynda.**

Pozwól nam królowno,  
Tutaj na łące przy księżycu blasku  
Potańczyć troszkę dla wesołej myśli.

**Sygna.**

I owszem, tańczcie jak leciuchne sylfy.  
Wszak mówią ludzie, że kto widział taniec  
Sylfów na ziemi, temu żyć niedługo!

**Rynda.**

Chcemy rozproszyć twój smutek ponury,

**Sygna.**

Ślicznie dziękuję, lecz próżne zabiegi:  
Dla mnie już nie ma wesela w tym życiu!

**Rynda.**

Jakto w tym życiu? czy myślisz o śmierci?

**Sygna.**

A jemuż tutaj nie grozili śmiercią?

**Rynda.**

Komużto, jemu?

**Sygna.**

Hagbartowi.

**Rynda.**

Juścić

Śmierć spotkać musi, kiedy tu powróci.

**Sygna.**

Tak, to los jego! No, tańczcież dziewczęta.

*(Sygna siada na kamieniu pod dębem, dziewczęta tańczują).*

**Filla.**

Nie patrzy na nas... spogląda na morze...

**Rynda**

*(ukończywszy taniec, zbliża się do Sygny).*

Ciebie to nudzi?

**Sygna.**

Nudzi? i dlaczego?

Lecz dosyć tańców, idźcie już do domu,  
Przeziębnać łatwo; dziękuję wam jeszcze.

A teraz proszę, zostawcie mnie jedną;  
Idź i ty Ryndo.

*(taneźnice odchodzą, drugie zostają się).*

Dlaczegoż czekacie?

**Filla.**

Rynda szczęśliwa i dlatego tańczy,  
A my bolejem razem z naszą Sygną;  
Wszakżeśmy wszystko w tém życiu straciły,  
Gdy z twoim bratem poszli do Odyna  
Ci, co nam miłość mieli poprzysięgać.  
Pozwól nam księżno zaśpiewać piosenkę,  
Prawda że smutną, lecz pewnie pocieszysz  
Więcej cię stokroć, jak ochoczy taniec.

**Sygn.**

Może: śpiewajcie! Lubię nadzwyczajnie  
Płacz tkliwy serca, tęsknotę bolesną,  
Którą i słowik rozwodzi w gęstwinie.  
Słodka trucizna miłsza dla uczucia,  
Od zimnych uwag, mądrych rozumowań.  
Tęsknota z serca krwią płynie, lecz słodkie  
Męczarnie wtenczas; a boleść śmiertelna  
Nierównie krótsza: śpiewajcie kochane!

PIEŚŃ DZIEWCZĄT.

Przez czarne patrzy ku nam chmury  
Pełnia księżycą;  
A cienie straszne, grzot ponury,  
Śmierć nam zwiastują.

Lecz czarny las ten odwieczny  
Budzi nadzieję,  
Powstaną dusze ze swych grobów  
Otoczą Freję.

I obłok biały nam ukaże  
Cienie rycerzy,  
I oto zbroje świetne błyszczą,  
Hełmy zakryte.

Rycerze ciężko coś wzdychają:  
Nie dla nich radość!  
Ze smutkiem błądzą, po jednemu  
Wśród tej gęstwiny.

Czekają kiedy księżyc znowu  
Zwinie się na wpół,  
A wtedy z niemi—ich dziewice  
W grób się położą.

Dziewice! nie wam się frasować  
I bać się cieni:  
To miłość, którą k'wam goreją  
Tu ich przywiodła.

*(Na znak Sygny, dziewczęta odchodzą).*

**Sygn (sama).**

No, patrzcież, w trawie mojego wianuszka  
Leżą tu jeszcze pobladłe listeczki;  
A on, on, leci po morzu szczęśliwy....  
Może zapomniał, a może przy rudlu  
Stoi samotny i oczy sokole  
Zwrócił na Sygnę kochanej mieszkanie,

Które z oddali widzi za drzewami.  
Może chce wrócić? O Frejo! ślad jeszcze.

*(kłęka na jedno kolano, wpatruje się w ziemię, potem nagle wskakuje).*

Czy nikt nie widzi? Miesza mi się w głowie.

Piękny księżycu, coś świecisz zajasno!

Dlaczegoż chęci budzisz, gdyś nie w stanie

Czynić im zadość? Chciał coś mówić Hagbart....

Lecz matka przyszła! Dzisiaj może wzdycha,

Jutro lżej będzie, pojutrze zapomni....

Lecz co za boleść tak go tu paliła?

*(po chwili milczenia kładzie rękę na piersiach)*

Kobiety nie tak: serce ich skromniejsze,

Lecz silniej bije i okropniej cierpi.

*(patrzy na morze).*

Płyn więc słowiku spokojny przez morze!

Płyn po obłokach i bujaj na skrzydłach,

I śpiewaj teraz brzegom innej ziemi....

Kwiatek twój nieraz zwiędnieje bez ciebie.

Prześlicznej pieśni róża wtorowała,

Teraz jej serce gryzie robak straszny.

## SYGNA I HAMUND.

**Hamund.**

Holdy ci składam prześliczna królewno.

**Sygna.**

Frejo! któż tutaj?

**Hamund.**

Nie lękaj się darmo.

**Sygna.**

Rycerz normandzki?

**Hamund.**

Przyjaciół Hagbarta!

**Sygna.**

Co za cios straszny!

**Hamund.**

Złękłaś się, a czego?

**Sygna.**

Gdzie ten Norwegczyk?

**Hamund.**

Ty go nienawidzisz?

**Sygn.**

Tak, nienawidzę: śmierć straszna mu grozi  
Kiedy tu przyjdzie; proszę cię rycerzu,  
Na wszystkie bóstwa zaklinam Walhalli  
Niech on ucieka co prędzej! co prędzej!  
Jakże tu wrócił? po cóż przyszedł nocą?  
Czyż się nie lęka obietnicy zemsty?  
Powiedz mu, błagam, że las ten ponury  
Będzie mu grobem.

**Hamund** (z udaną boleścią).

Nieszczęśliwy Hagbart!

Dziś mu niczego nie bać się na świecie!

**Sygn.**

Ach! powiedz prędzej! umarł? cóż się stało?

**Hamund.**

Odebrał postrzał!

**Sygn.**

(klasnąwszy w ręce).

O! Frejo!

**Hamund.**

Gdy wsiadał

Na pokład statku, i brał się z powrotem  
Do przodków ziemi, ktoś zdradą z zasadzki  
Strzałą mu w samo wycelowal serce:  
Padł trupem Hagbart. Ostatniem życzeniem  
Prosił, by na téj pochować go ziemi.  
Przecież trupowi tego nie odmówią:  
Więc ciało jego na brzeg wynieśliśmy.

**Sygn** (z rozpaczą).

Co? trup?

**Hamund** (uśmiechając się).

No, juścić duch tam jeszcze żyje,  
Ale śmierć bliska, jeszcze tli ostatek!  
Strzała bo zazbyt utkwiała głęboko:  
Wartoby wyjąć, możeby ocalał....  
Jest choć nadzieja, tylko ręce nasze  
Jakoś niezgrabne, niezdolne do tego.....

A twoje rączki miękkie, delikatne,  
 Jak puch prawdziwy! Nieszczęście mieć chciało,  
 Że bardzo słabo znamy medycynę,  
 A wy kobieto!.... pewnie poradzicie!....

**Sygna.**

Przynies go prędzej!! znam się na lekarstwach,  
 I umiem rany zagajać — Ach! prędzej!

**Hamund.**

*(Wyciąga Hagbarta za rękę z lasu).*

Ot! masz rannego; wylecz go dziewico.  
 Lub śmierć mu zadaj, może będzie lepiej.  
 Ja przypilnuję, żeby was nie zesзли *(odchodzi).*

## SYGNA I HAGBART.

**Hagbart.**

Jakże zuchwale, jakże nieostrożnie!  
 Waryat ten Hamund! Droga Sygno moja,  
 Przebacz! doprawdy jam tu nic nie winien!

**Sygna** *(z radością).*

Żyjesz Hagbarcie!

**Hagbart.**

Żyję.

**Sygna.**

Ranny jesteś!....

**Hagbart.**

Ach! bardzo!

**Sygna.**

Mów-że! powróć mi spokojność!

**Hagbart**

*(potożywszy rękę na sercu).*

Nie mogę mówić.

**Sygna.**

Więc czego chcesz po mnie?

**Hagbart.**

Trzebaż ci mówić? trzebaż ci oblekać  
 Uczucie w ciało?.... Jeżeli tak Sygno,  
 Ja usta zaknę milczeniem grobowém!



**Sygna.**

Ach! nierozsądny! mnie i sobie razem  
Gotujesz koniec....

**Hagbart.**

Odyn jest wszechmocny!

Sygn! Ja tobie śmierć gotuję? tobie?  
Lepiej sam zginę. Przebacz nieszczęsnemu!  
Ostatnie słowa wyrzecz pożegnania!  
Bera nie dała wzajem się pożegnać,  
A więc powracam, bo cóż dla mnie życie,  
Jeśli bez ciebie? gdzie dla mnie spokojność?  
Nawet spoczynku nie znajdę w mogile,  
I każdej nocy cię mój tu zobaczysz.

**Sygna** (*z miłością*).

Bądź zdrow Hagbarcie!

**Hagbart** (*ujawszy ją za rękę*).

Bądź zdrowa, na wieki!

**Sygna** (*uśmiechając się*).

I to już wszystko?

**Hagbart.**

Wszystko, ach! bo więcej

Nie śmiałbym żądać.

**Sygna.**

Widać zapomniałeś?

**Hagbart** (*żywo*).

Tak.... mój wianeczek....

**Sygna.**

Zerwany na cząstki.

Patrz, oto więdnie: myślałam, że nigdy  
Już się nie zejdzem.

**Hagbart.**

Choćby jeden listek!

(*podnosi listek i chowa go na piersiach*).

**Sygna.**

Listek!.... dla tego, kto mógł stracić życie?

**Hagbart.**

Pozwól mi droga, chociaż na minutę  
Spojrzeć w twe oczy; niech obraz ten śliczny

Głęboko w duszy mojej się odbije,  
 Żeby ni przestrzeń, ni czas, ni rozłaka  
 Tęgo obrazu nie zaćmiły niczém.  
 Niech w chwili śmierci jak sylf się unosi  
 Nad głową moją i poprzeda w wieczność.....  
 Tam, gdzie nie będziesz mogła nienawidzić....  
 Tam, gdzie cię znowu z radością zobaczę.....

**Sygu.**

Tam się zobaczym na nowo Hagbarcie.....  
*(patrzają wzajem na siebie).*

**Hagbart**

*(zakrywając oczy ręką).*

Ach! gdyby teraz oczy me oślepiły,  
 Twój obraz wiecznie w duszyby pozostał!

**Sygu**

*(cofając jego rękę).*

Otwórzże oczy, przecież jedna Sygu  
 Nie zatrze wspomnień o tój drugiej Sygnie...

**Hagbart.**

Śliczna dziewico! powiedz, czy mnie kochasz?

**Sygu.**

Dobréj ci drogi życzę, przyjacielu:  
 Teraz mnie opuść.

**Hagbart.**

Przyjaciół więc jestem?

**Sygu.**

Tak, mój przyjaciel.

**Hagbart.**

Sygu! więc przebaczasz

To, co się stało?...

**Sygu.**

Alf sam tego żądał..

**Hagbart.**

Niepodobieństwo odejść ztąd bez żalu!

**Sygu,**

A czy zapomnisz mnie na obcój ziemi?

**Hagbart.**

Ciebie zapomnieć!

**Sygna.**

Kiedyż się zobaczym?

**Hagbart.**

Ach! może nigdy!... lub zawsze gdy zechcesz.

**Sygna.**

Nic nie rozumiem.

**Hagbart.**

Wszak Bera nienawidź

Ma tylko dla mnie, a tobież pozwoli  
Wroga miłować?...

**Sygna.**

Pytać nie ma o co.

**Hagbart.**

Zła matka z Bery: masz przykład na sobie.  
Miłości twojej, czyż ta matka warta?

**Sygna.**

Niewinność kocha, lecz się nigdy nie mści.

**Hagbart.**

Wszechmocny Torze! usta me drętwieją,  
Nie powiem tego, co mi tak na ustach....

**Sygna.**

Myśl zła ci przysła?

**Hagbart.**

Przeciwnie, myśl dobra.

Wszakże mnie kochasz, i nie skrzywdzisz Bery?

**Sygna.**

Cóż za myśl, powiedz?

**Hagbart.**

Chodź ze mną na okręt,

Rozwiniem żagle pełne do Dronthejmu.

**Sygna.**

Co znów Hagbarcie? Chciałżebyś w dzień jeden  
Aż dwojgiem dzieci osierocić Berę?

**Hagbart.**

Dziwaczy Bera—i gdy gniew ustanie,  
Będzie na nowo miała dwoje synów  
I śliczną córkę.

**Sygna.**

Bardzo źle mi radzisz:  
Serce méj matki może się rozerwać,  
Ale ustąpić!

**Hagbart** (z rozpaczą).

A więc na tym świecie  
Nie ma nadziei! Żegnaj mi na wieki!

**Sygna.**

(przytrzymując go czule).

O! drogi sercu!

**Hagbart.**

Więc nie pójdziesz za mną?

**Sygna.**

Do grobu wierność moję ci ślubuję,  
Lecz w takim żalu jak zostawić matkę?

**Hagbart.**

I cóż mam zrobić?

**Sygna** (przymilając się).

Kiedy gniew ostygnie,  
Na przyszłą wiosnę powróć do Zelandyi.

**Hagbart** (z uczuciem).

Dobrze; na wiosnę powrócę tu znowu!  
Lecz jeśli wtenczas Bera niezapomni,  
Czy pójdziesz za mną?

**Sygna** (stanowczo).

Wtenczas pójdę wszędzie,  
Masz rękę moją.

**Hagbart.**

(całując ją w rękę)

Chodź aniele drogi!

**Sygna** (czule).

O! mój kochany!

**Hagbart.**

Słodki pocałunek  
I ten com dostał; lecz jest drugi słodszy:  
Czyliż bez niego rozstać się podobna?

**Sygna.**

Hagbarcie! (rzucają się w swoje objęcia).

**Hagbart** *(w zachwyceniu).*

Niechaj śmierć przyjdzie! Jużem w krótkim życiu,  
Doświadczył uciech najdroższej rozkoszy!

*(hałas za sceną).*

**Sygna** *(w bojaźni).*

Co się tam dzieje? Słyszę szcęk oręża!

**Hagbart**

*(puszcza Sygnę i obnaża miecz).*

Już idą! Sygno ocal się ucieczką.

**Sygna.**

O! nie mój drogi, zostanę przy tobie.

Ten pocałunek złączył nas na wieki!

Niech co chce będzie, ja twój los podzielę.

## CIŻ I HAMUND

*(raniony w lesie opierając się na mieczu).*

**Hamund.**

Uciekaj z Sygną! Uciekaj Hagbarcie!

Dobrzem przeczuwał: byli tu w zasadzce,

Przyszli z sierpami plenne pociąć kłosa.

Patrz na te rany, przez nie śmierć spogląda

I mówi głośno: „dość żyłeś Hamundzie”....

Jakto nikczemnie, że kłamstwo i podstęp

Na świecie ziemskim zawsze tryumfuje!

Nie, czas Hagbarcie: z twą piękną kochanką

Możebyś pragnął częściej się widywać,

Rozmawiać słodko? Ale śmierć już przyszła...

Czy jej nie widzisz w postaci królowej? *(pada).*

Ach! ciemno w oczach! Zobaczym się zresztą

Na tamtym świecie... może tam... u Frei!

Wszak tam i Balder!... *(umiera).*

DWUNASTU RYCERZY, *po trzech w szeregu z tarczami otacza Hagbarta ze wszech stron: SYGNA, potem BERA i ALGER z pochodniami.*

**Hagbart.**

Ach! jakże was wielu!

**Bera.**

A tylko baczność! Strzeżcie się rycerze

Rany mu zadać: odpowiecie życiem,

Za jego życie, które mi tak drogie.

*(Rycerze chwytają Hagbarta, i wiążą mu ręce),*

**Hagbart.**

Orłowi Bero, chcesz zawiązać skrzydła?  
 Na miłość Sygny, na wierność rycerską  
 Przysięgam tobie, ile te postronki,  
 Tyle twą zemstę cenię niedołączną.  
*(rwie swoje więzy, rycerze na nowo go związują).*

**Grym.**

Co robić na to? sznury na kawalki  
 Porwał i rzucił; choćbyśmy łańcuchy  
 Nawet przynieśli, Hagbart je połamie!

**Bera (z udaną czułością).**

Pójdź tutaj Sygno; widzę masz nożyczki,  
 U pasa wiszą: masz do tego węzeł,  
 Masz sznur, którego rycerz ten nie złamie,  
 Albo się nie znam na miłości sidłach.  
*(odrzyna warkocz Sygnie i podaje go rycerzom)*  
 Ot, tém go zwiążcie: silniejszy to węzeł  
 Jak stal, żelazo.

**Hagbart.**

Dziękuję ci Bero,  
 Znalazłaś środek srogi lecz skuteczny.  
 I lżejsze dla mnie staną się męczarnie.  
 Czegóż czekacie? Oto ręce moje:  
 Wolno wam wiązać; wiążcie jak zechcecie!  
*(warkoczem związują mu ręce).*

**Sygna.**

Broń się! broń drogi! rozerwij te włosy!

**Hagbart.**

Niechaj się wprzód rozerwie nić życia!  
 Jak żądlę węża, tak na śmierć zębami  
 Poranię tego, kto zechce zuchwale  
 Te drogie więzy potargać i zniszczyć!...  
 A teraz prosto wiedźcie do więzienia.  
 Bądź zdrowa! moja! przenajdroższa Sygno!  
 Płacz po Hagbarcie, a potem—zapomnij.  
 Bo po cóż wiecznie tak boléć? Wszak na mnie  
 Gniew matki twojej spoczywa; tyś Sygno  
 Temu niewinna. Jako dzikie zwierze,  
 Nie będzie Bera własnej krwi rozlewać,  
 I w niej się kąpać. O! moje wy włosy!  
*(całuje warkocz).*

Wy mnie pociechą będziecie w więzieniu,  
 Wasz śliczny jedwab poleję łzami  
 Gorącym codzien uczczę pocałunkiem,

O! pewno żaden niewolnik na świecie  
Tak swoich kajdan jak Hagbart nie kochał!

**Bera.**

Teraz go macie prowadzić do baszty:  
Niech noc ostatnią popatrzy na ziemię,  
Niechaj na Sygny spogląda mieszkanie.

*(z bolesnym żartem).*

Biedaczek miły! zabił matce syna,  
I jeszcze córkę chciał uwieść niewinnie!  
Więc żyj do jutra! kręć się nad przepaścią  
Srogięj rozpaczy, aż cię sama połknie!  
Alger! sam tutaj zostaniesz na straży;  
Pamiętaj straszną wyrzekłeś przysięgę!  
W twoje poruczam ręce rozkosz moją,  
Zemstę, nienawiść. Moje drogie dziecko!  
Ostatni synu! mój posłuszny synu!  
Czyż i ty również podasz ręce wrogom  
I będziesz sztydził z matki twój boleści?

**Alger.**

Spuść się królowo na syna, wszak Alger  
Zna swą powinność.

**Bera**

*(do rycerzy, pokazując na Sygnę).*

A ją macie zamknąć  
W moim pałacu, to wyrodne dziecko!  
*(do Sygny)*  
Będzie i tobie!

**Sygnia** *(z żywością).*

Smiercią mnie ukarzesz?

**Bera**

*(zimno uśmiechając się).*

Życiem ukarzę.

**Sygnia** *(do Hagbarta).*

Więc idziem Hagbarcie?

**Hagbart.**

Ach! dla miłości nie ma kajdan wściekłość!  
*(odchodzi).*

## AKT IV.

## NOC.

ALGER *sam jeden pod basztą.* Potem SYGNA.

## Alger.

Nieszczęście siostry bardzo mnie dotyka  
 I los Hagbarta. Niedługo noc zejdzie  
 A dzień nastanie: okropny dzień śmierci  
 Niewinnych ludzi. O! wstyd nam! o hańba!  
 Czyż mogą ptaki powitać śpiewaniem  
 Ten ranek straszny? O! nie, wszak odleca  
 Dalej w te szlaki nadpowietrzne, rzuca  
 Ten las odwieczny, który zaraz splami  
 Człowiek oddechem zemsty nieszlachetnej,  
 Zabójstwem podłem.... A ja! o! bogowie!  
 Jam matce mojej winien tylko życie,  
 Nie cześć rycerską; przysięga mnie hańbi.  
 A ciebie siostró, jakaż czeka przyszłość?  
 Trudno ci uczuć serdecznych zapomnieć!  
 W nieszczęściach miłość wzrasta i mężnieje,  
 Piękniejsza jeszcze kiedy ją skaleczą.  
 O! siostró moja! będziesz tak tęskniła  
 Jako skowronek co zapomni swoich,  
 I nie odleci na jesień, gdzie ciepło.  
 Nadejdzie zima, mrozy w lód się ścisną,  
 Zmarznie skowronek. Taki los twój siostró!  
 A potem matka umrze, i z tęsknoty  
 Pójdzie za wami... wtenczas sam zostanę  
 Jeden na świecie; i będę konungiem,  
 Konungiem grobów.... Usiądę spokojnie  
 W komnatach moich, w majestacie pańskim,  
 Błady jak Hela w ponurej świątyni,  
 Gdzie błędzą cienie; i żaden już okręt  
 Do brzegów wyspy mojej nie zawinie.  
 Może wieloryb czasem wrzruszy ciszę,  
 A może delfin zawita, koń morski  
 Na brzeg wypłynie i spocznie na piasku,  
 I rykiem swoim straszycie ostrzeżę  
 Zdaleka majtków, by się nie zbliżali  
 Do tego lasu, w którym zdrada podła  
 Wydała na śmierć biednego wędrowca!

*Sygna (zbliżając się).*

Powiedz mi bracie, po co mi wrócono  
 Tę wolność? po co mnie tu przywołali?  
 Czy w oczach moich chcą spełnić morderstwo!



**Alger.**

Ranek już świta.

**Sygn.** (*zadrżawszy*).Ten ranek jest dla mnie  
Nocą wieczności. Bądź zdrow!**Alger.**

Czekaj siostró!

Jutrzienka jeszcze na świat nie spogląda,  
Widać śpi jeszcze i słońce nie wstało.  
Pewno się boi rzucać blaskiem cudnym  
Na ziemię fałszu, obłudy i zbrodni.  
Wiem, żeś ty siostró nie spała noc całą....**Sygn.**Zasnę niedługo, ale już snem wiecznym:  
Róża przed wschodem w pączek się rozwinie.**Alger.**O! moja Sygno! róża trwa niedługo,  
Lecz szczęście twoje prędkiej ci opadnie.**Sygn.**

Więc umrze Hagbart!

**Alger** (*ze smutkiem*).

Powinien umierać.

**Sygn.**Dobrze! niech umrze; rozpacz mnie nie strawi:  
Śmierć tylko straszna tchórzowi.**Alger.**Wiem, silna  
Jest dusza w tobie, lecz przyjdzie tęsknota....**Sygn.**

Ciężka to prawda: lecz śmierć skończy wszystko.

**Alger.**

Umrzeć ze smutku, to Sygno brak woli!

**Sygn.**Nie wierz mój bracie wyrażeniom dzikim.  
Brak woli mówisz: przypuścemy, brak woli,  
Lecz umrzeć z żalu, będziez to koniecznie  
I zawsze słabość? Więc u ciebie stałość  
Tęm się dowiedzie, że przemiany losu,  
Że stratę serca najdroższych nadziei,

Człowiek znieść może zimno, obojętnie,  
 Jak gdyby nie czuł? Jeśli tak Algerze,  
 To stałość lodu będzie—arcycnotą,  
 A słabość ziarna, które pada na ziem  
 I które gnije, żeby się przerodzić,  
 Potem się w nowej ukazać postaci,  
 Zablysnąć kwiatem, który zrodzi owoc:  
 Ta słabość ziarna, ma być już występkiem?  
 O! jeśli tak jest, ja kocham brak woli  
 A gardzę taką stałością bez czucia!

**Alger.**

Biadaż mi, biada, kiedy tak gorąco  
 Kochasz Hagbarta! Przysiągłem się zemścić  
 Na nim, za brata i zgubiłem siostrę!

*(pada na klęczki i twarz swoją ukrywa w rękach Sygny).*

Niewdzięczny bracie! Takżeś to zapłacił  
 Najdroższej siostrze za jej przywiązanie,  
 Za dobre serce? Algerze! Algerze!

**Sygna** (z uczuciem).

Dobry mój bracie!

**Alger**

*(prędko, podniostszy się).*

Lecz, posłuchaj Sygno!

I ja coś mogę, dlatego cię prosił.  
 Strzedz go bo muszę, i Hagbart dziś skończy.  
 Nie będę śmierci jego się przeciwieć  
 Bom na to przysiągł. Ale noc tak cudna,  
 Księżyc tak ślicznie ponad lasem świeci,  
 Zdaje się mówić: „idźcież raz ostatni  
 Cieszyć się szczęściem, nadzieją, miłością,  
 Przy blasku moich przejasnych promieni”.  
 Dzisiaj go zobaczysz jeszcze.

**Sygna** (z uniesieniem).

Drogi bracie!

O gdybyś pojął całą wielkość szczęścia!

**Alger.**

Pojmuję siostrze! Chcę zgasić pragnienie  
 Którym sam wzbudził sobą nienawiści:  
 Kropelkę wody małą ci podaję.  
 Gdy okręt ginie tłukąc się o skały,  
 Ja tobie deskę wskazuję na morzu,  
 Żebyś płynęła,—a sam! o bogowie!  
 Byłem tą burzą, co strzaskała okręt!  
 Sam sobie ręce związałem i dzisiaj

Swobodnem tylko jest życzenie moje.  
 Przysiągłem matce jego nienawidzieć  
 Całą wściekłością ile dusza zniesie,  
 Ale nie mogę. Jednak siostró moja,  
 Spelnia się niebios przedwieczne wyroki.  
 Tego nie cofnę i dlatego pragnę,  
 Chociaż cokolwiek boleść twą złagodzić.  
 Chodź za mną: zaraz zobaczysz Hagbarta.

**Sygną**

*(po krótkim namyśle).*

Chwilkę, mój bracie!

**Alger.**

Ociągasz się Sygno?!

**Sygną.**

Nazbieram kwiatów dla mojego raję.

**Alger.**

Ty marzysz Sygno! Idź więc zbieraj kwiaty,  
 A ja tymczasem strażę tak rozrządę,  
 Żebyście mogli rozmawiać się sami.

**Sygną**

*(wziąwszy brata za rękę, uroczyście).*

Złowieszczy płomień mignął nad pałacem  
 Rodu starego, grożąc mu ruiną!  
 Cegła za cegłą upada: niedługo  
 Będą zwaliska! Żadna siła w świecie  
 Pożaru tego zatrzymać nie zdoła.  
 Odyne wielki! maszże już zaginać  
 Potomków twoich plemię starodawne?  
 Oto ze szczepu wielkiego gałązka,  
 Ostatni rycerz, nadzieja ostatnia!  
 Młody być może i niedoświadczony,  
 Ale szlachetny i ogromny sercem...  
 Więc daj mu Torze koronę królewską,  
 I dodaj siły, otocz męztwem ramię,  
 Żeby on ojca swojego był godzien,  
 I daj mu żonę, żeby w jej uściskach  
 Znalazł to szczęście, którego nie dało  
 Dla biednej Sygny srogie przeznaczenie!...  
*(odchodzą).*

Na baszcie pokazują się: NADZORCA WIEZIENIA  
i HAGBART związany.

**Hagbart.**

Więc mi pozwalasz pod niebios sklepieniem,  
Swieżem powietrzem odetchnąć?

**Nadzorca.**

I owszém,  
Oddychaj sobie: *(do siebie)* niedlugo i ciężkiem  
Nie będziesz bratku oddychał powietrzem.

**Hagbart.**

Tutaj mi bliżej do tego wszechświata,  
Do tój niezmiernój przestrzeni, wśród którój  
Duch mój zabuja, kiedy z upojeniem  
W cudno niebieskie pograży się łono.  
*(do nadzorcy).*

Czy widzisz bracie, ten wieniec gwiazd śliczny?

**Nadzorca.**

Gdzie? tam? a, widzę! wszak to przędza Frei (1).

**Hagbart** *(zadumawszy się).*

O! nie jedwabiem drogę mi usłalaś,  
Wielka bogini!

**Nadzorca.**

Juścić nie jedwabiem!

**Hagbart.**

Skowane ręce czarodziejską siłą,  
Do ciebie wnoszę: Frejo! o! bogini!  
Daj mi moc duszy, bym tę śmierć wycierpiał!

**Nadzorca** *(do siebie).*

Jakże on ręce podnosi do góry!  
E! cóż? rozwiążę. Z największego przecie  
Zbrodniarza ręki zdejmują kajdany,  
Kiedy ma umrzeć; dlaczegożby jemu  
Nie dać swobody? *(wyjawszy nóż, głośno).*

Hagbart! chodźno do mnie!

Zerwę ci więzy.

**Hagbart** *(zagniewany).*

Smiałżebyś, zuchwały,  
Dotknąć się więzów moich? o! przysięgam,

(1) Orjon.

Pierwszym dowodem będzie mój wolności,  
 Że cię zład zepchnę w przepaść! O, szalony!  
 Wszakże ci lepiej strzedz powiązanego!

**Nadzorca** (*na stronie*).

Toś ty szalony! no, patrzcież! (*głośno*) myślałem...

**Hagbart.**

Preczno z tym nożem! bo jak się rozgniewam...

**Nadzorca.**

I cóż ci bratku przyjdzie z onych włosów?

**Hagbart.**

Co przyjdzie? mówisz, a wszakże to promień  
 Księżyca mego, śliczny promień Sygny!

**Nadzorca.**

Tak, to rozumiem! Ha! to co innego.  
 Więc to jest warkocz Sygny? Powiadają,  
 Słyszałem ja to, że takie dzieciństwa  
 Wysoko ceni młodzik zakochany,  
 Jak upominek drogiej mu dziewicy:  
 Wstążeczkę, liścik, włosy na pamiątkę,  
 A choćby nitkę nosi się na piersiach  
 We dnie i w nocy! rok cały, lat kilka.  
 Ha! to się zdarza! Ale grzech to wielki  
 Zabijać ludzi za takie szaleństwo!  
 Utracić rozum, przecież to nie zbrodnia.

**Hagbart.**

Idź sobie gdzie chcesz: zostaw mi spokojność...  
 Ale poczekaj: czyto okno Sygny?

**Nadzorca.**

A zgadłeś, zgadłeś; dajże, niech rozwiązę  
 Spłątane ręce kochanki warkoczem.  
 Nie bój się: jeden włoszek ci nie zginie  
 A wtenczas lepiej i warkocz obejrzysz

**Hagbart.**

Jeśli tak starcze, rzecz zupełnie inna.

**Nadzorca** (*rozwiązawszy*).

O! masz, calutki!

**Hagbart.**

O! moje wy skarby!  
 Jak długie, miękkie, jak śliczne, jedwabnel  
 Ach! wczoraj jeszcze, jak rzeka złocista,  
 Spływały one z główki mojej Sygny!

Teraz są moje: kupilem te włosy,  
Drogom je kupił bo za cenę życia:  
Lecz ich nie oddam za miliony złota,  
Za lat tysiące!

**Nadzorca** (do siebie).

O! biedny młodzieniec!  
Jedno dzieciństwo a jak się już cieszy!  
Ha! tém ci lepij: nie ma czego rzucać.

**Hagbart.**

A jak ci starcze na imie?

**Nadzorca.**

Halfdan się nazywam

**Hagbart.**

Drogi Halfdanie, daj mi słowo teraz,  
Że nie haniebnym mordercy łańcuchem,  
A tym warkoczem zwiążesz ręce moje  
Kiedy mi przyjdzie wstępować pod topor.

**Nadzorca.**

No! dobrze, dobrze, ale nic zadarmo:  
Musisz dać słowo, że po śmierci swojej  
Nie będziesz straszyl jakby jakie widmo.  
Powiem ci, ale sekret, mój kochany,  
Oto mam córkę: taka bojaźliwa,  
Drży przed upiorem, a jakby umyślnie  
Nasze okienko na plac ten wychodzi,  
Na którym dzisiaj głowę ci odetną.

**Hagbart.**

Dobry mój starcze! Nie ręczę za siebie.  
Na tamtym świecie nie znajdę pokoju,  
Kiedy zawielkie rzucam tu bogactwo.  
Ale się nie bój: jeśli o północy  
Pójdzie się błakać cień mój kiedy w lesie,  
Z uśmiechem zwolna przemknę się pocichu  
Pod oknem twojém.

**Nadzorca.**

Żal mi cię serdecznie,  
Żal nie samemu! Patrz i konung Alger  
Widać się smuci: starego Hallaga  
Przysła do nas, żeby cię rozrzewnił  
I w noc ostatnią ukolysał pieśnią!  
Patrz, Hallag stary!

## CIŻ SAMI I SKALD (z arfą).

O! nie przeszkadzaj stary skaldzie! Radość  
Tylko mnie zmęczy. Zostaw mnie w spokoju!  
Nie mogę słuchać, choćbym chciał nie mogę.  
Zły wąż mi wysał wszystką krew z pod serca!  
Ale nie umrę z rozpaczą i żalem,  
Nie—nie zapłonę jak te stosy krwawe,  
Nie buchnę dymem: cicho życie zgaśnie,  
Jak ten meteor w przestworzach błękitu,  
Co płynie świetnie i znika w tumanach.  
Zostaw mnie skaldzie!

### Skald

(*siada na kamieniu pod basztą, gra i śpiewa*).

Dawniej bywało chciałem sławy,  
Chciałem wawrzynów krwawej wojny.  
Dziś gdy poznałem cud piękności,  
Miotam się, rzucam niespokojny.

I cóż mi teraz chrzest zbroicy,  
Co mi tych strzałów dzikie granie?  
Gdy patrzę w oczy mej dziewiey,  
I światbym cały oddał za nie.

### Hagbart.

Ach! ten oddźwięk pieśni  
I w piersiach moich echem mi zawtórzył!  
(*przeskoczywszy przez skrzydło patrzy na dół*).  
O! starcze! starcze! nie gniewaj się proszę  
Żem cię obraził, nie próżną pociechę,  
Nie radę zimną widzę mi przynosisz.

### Skald.

Ja śpiewam tylko piękność twego smutku.

### (Śpiewa).

Takem ją kochał, i wzajemnie  
Ona mi wszystko poświęciła:  
Teraz spokojnie do naddziadów  
Spieszę, gdzie ojców mych mogiła.

Tam ją zobaczę w całej krasie,  
Bo tam jest uczuć kraj bogaty;  
Tam wieczna radość, wieczna wiosna,  
Miłości wiecznie kwitną kwiaty.

(*milczenie*).

### Hagbart.

Milczysz już starcze.

**Skald.**

Zaśpiewam ci drugą

Pieśń o rozpaczcy pięknej Hildegardy.

**Hagbart.**

Wyborne! siedząc pod niebios sklepieniem

Będę cię słuchał, a za każdym słowem,

Które mi los mój nieszczęsny przypomni,

Warkocz mój ślicznej Sygny pocałuję.

A kiedy po mnie przyjdą, wszak Hallagu,

Ty mi dasz rękę do ślubnego łoża?

Nieprawdaż stary?

**Skald.**

Tak, Hagbarcie: rękę

Ścisnę ci z żalu, to powinność skalda,

Łagodźć boleść, lzy gorzkie ocierać,

Być nieszczęśliwych wsparciem i pociechą.

CIŻ SAMI I ALGER *zbliżając się do SKALDA.***Alger.**

Odejdź mój stary; muszę z nim pomówić.

*(cicho).*

Znasz myśli moje, Sygna już nadchodzi.

**Skald.**

Zrobiłem swoje i mogę już odejść.

Piosnka jak deszczyk upadła na serce

I lżej odetchnął. Zaraz słońce wstanie,

I wonne kwiatki rozblyszą cudami.

*(odchodzi).***Nadzorca** *(wewnątrz baszty).*

Zejdź tu Hagbarcie!

**Hagbart.**

A po co?

**Nadzorca.**

Prosi konung Alger.

*(Hagbart wychodzi z baszty z nadzorcą, który na znak Algiera na nowo powraca do baszty).***Hagbart** *(zimno i dumnie).*

No cóż? Już Berze zdaje się zadługo?

Nawet poranku już nie myśli czekać!



I śle tu ciebie, byś mnie własną ręką  
Pozbawił życia?

**Alger.**

Gniew twój sprawiedliwy  
I ja się przyznam: zawińilem bracie.

**Hagbart.**

Więc po cóż słowa tracić nadaremnie  
Z tym, kto słów nie wart?

**Alger.**

A więc mną pogardzasz?

**Hagbart.**

A gdybym śmiał to?

**Alger.**

Możebyś żałował.

**Hagbart.**

Zimny, rozsądny!.. a wprzódy się ciskał,  
Grzmiał, wrzał słowami jak wzburzone morze!  
Ha! zapomniałem: wszak bezbronny jeniec  
Nie może hańbą nakarmić ryceza?

**Alger.**

Hagbarcie, przestań!

**Hagbart.**

Umrę bez przyczyny,  
Ale śmierć taka nie mnie pewno zhańbi!

**Alger.**

Patrz, nic nie mówię, stoję jak wkopany,  
Niesprawiedliwość pali serce moje.  
Nie mogę płakać; jakby jakie dziecię,  
Błagać z pokorą twego przebaczenia.  
Zresztą niewiele sam tu przewiniłem,  
Nicem nie zrobił coby wstyd przyniosło,  
Sumienie moje nic mi nie wyrzuca.  
Więc żalem moim i łzami nie będę  
Ostatnich godzin, bracie mój, zatrzuwać.  
Tak chciały losy! ocalić nie mogę,  
Ale ci minut kilka podaruję....

**Hagbart.**

Precz z darowizną! prowadźcie mnie na śmierć.  
Nie męczcie więcéj!

**Alger.**

Ależ chwilka nawet  
Ma cenę swoją: przecie człek szczęśliwy  
W jednej minucie upoił się szczęściem  
Którego drugi szukał całe życie!

**Hagbart.**

Mnie już niczego na świecie nie szukać.

**Alger.**

Ale jeśli to, czegoś próżno szukał  
W godzinę śmierci samo się nawinie?

**Hagbart.**

Bogowie!... bracie, mów jaśniej, zaklinam!

**Alger.**

Wszakżeś się z siostrą moją nie pożegnał?...  
Tak cię schwycili i związali nagle....  
Więc jeźli Sygna....

**Hagbart.**

Alboś przyszedł z piekła  
Nękać to serce wyszukaną męką,  
Albo cię może w mroku czarnej nocy  
Sylf dobroczynny natchnął, abyś przyniósł,  
Rozrzucił promyk niebieskiego światła?

**Alger.**

Nie, mój Hagbarcie! daj mi tylko rękę  
Że ztąd nie wyjdiesz, a ja cię opuszczę  
I dam ci tutaj mówić z ulubioną.

**Hagbart.**

Nie! nie! w twych oczach perlą się lzy srebrne....  
Ty nie żartujesz....

**Alger.**

Daj rękę Hagbarcie!

**Hagbart.**

Na miłość Sygny, na wiarę Hagbarta,  
Przysięgam zostać i ponieść śmierć tutaj.

**Alger** (ze spótczuciem).

A czy darujesz młodemu, że młody?  
Czy mu darujesz, że ci wezmą życie?

**Hagbart** (z uczuciem).

To los tak zrzędził!

**Alger.**

Ale czas tak drogi!  
Idź tam Hagbarcie; Sygna ciebie czeka.

**Hagbart** (*ściskając go*).

O! tyś brat siostry! Alfa tam zobaczę  
W kraju Odyna; razem z nim w Walhalli  
Będziem walczyli, razem z nim zacniemy  
Wychylać rogi złocistego wina.  
I codzień pójdziem Sygnę ukochaną  
W komnatach Frei nawiedzać, dwaj bracia,  
(*odchodzi*).

**Alger.**

(*prędko miecz obnażywszy*).

Ach! w jednej chwili umarłbym za niego!  
Jak się zabiję... on gotów ujsć... wtenczas...  
Nie, on powróci, a jak wróci,— matka  
W nim podwójnego napotka zbrodniarza.  
(*z rozpazą miecz do pochew chowając*).  
A więc żyj, dręcz się, najnędzniejszy z ludzi!  
Cierp, kiedy działać nie możesz swobodnie!  
(*odchodzi*).

SYGNA (*z bukietem róż w rękę i żółtymi kwiatami na pier-  
siach*), i HAGBART; *przychodzą z różnych stron i spot-  
kawszy się rzucają się jedno drugiemu w objęcia*).

**Hagbart.**

O! bogów szczęście! umierać za Sygnę!

**Sygna.**

Śmierć! śmierć tak blisko! posłuchaj mój drogi....

**Hagbart.**

Tam wieki szczęścia nieprzebrane!

**Sygna.**

Pewno!

**Hagbart.**

O! Sygno! Sygno! powiedz czy mnie kochasz?

**Sygna.**

Ach! sercem całym!

**Hagbart.**

Myśl mnie przecież trwoży,  
Że z żalu może, z litości iskierkę  
Twego spółczucia poświęcasz biednemu?



**Sygn.**

Cóż dziwnego?

**Hagbart.**

Jakto? nie dziwne? przecież to cykuta!

**Sygn.**

Tak, to cykuta.. Nie gardź tą rośliną...  
To bardzo wierny, dobry mój przyjaciel:  
Sok jego bywa czasem dobroczynny....

**Hagbart** (*przerażony*).

Frejo!

**Sygn** (*stanowczo*).

Niedawno prosiłeś Hagbarcie,  
Bym szła za tobą i matkę rzuciła;  
Wtenczas nie mogłam na to się odważyć.  
Miałam powinność; teraz już jej nie ma.  
Gdy srogiej matki łzy moje nie wzruszą,  
Gdy prośby moje mało znaczą u niej,  
Idę za tobą, bom tak ślubowałam,  
A ślub wypelnię.

**Hagbart.**

O! Sygno! aniele!

**Sygn** (*w uniesieniu*).

Kiedy mój drogi, płaszcz twój z tej czeremchy  
Wiatr będzie zrywał, wypiję truciznę,  
I własny spalę dworzec. Dwa płomienie,  
Dwie dusze nasze poniosą na skrzydłach,  
Tam do Seswarny (1).

**Hagbart.**

Ty umrzeć chcesz Sygno!

Sygno! co robisz? żyj, żyj! wiecznie! wiecznie!

**Sygn.**

Byłoby życie dla mnie śmiercią długą.  
O nie! nie skłonię głowy jak te lilie,  
Co wiedznią zwolna. Nie mogę tak wiedznać  
Bez łez i żalu, bez kropli spółczucia.  
O nie! śmierć nasza musi ich zabołć!  
O! nie! my umrzem dlatego, by ludzie  
Brali z nas przykład, co miłóść prawdziwa.

**Hagbart.**

Niechże tak będzie, więc się nie rozstaniem  
Nigdzie! i nigdy!

**Sygna.**

Na wieki, mój drogi!

**Hagbart**

*(ściska ją w swoich objęciach).*

O! któż nademnie szczęśliwszy na świecie!

## AKT V.

### PORANEK.

**BERA** *(w towarzystwie straży postępuje zwolna, oczy spuściwszy na ziemię, potem nagle zatrzymuje się).*

**Bera.**

A wy tu po co? Jakto, z bronią w rękę?  
Jak wróg śledzicie kroki waszj pani?

**Grym.**

Samaś kazała.

**Bera.**

Precz ztąd, precz nikiemni!

*(straż oddala się).*

Co mi się stało? Noc już przeminęła,  
Dlaczego światło tak mnie razi mocno?  
Wschód się już pali jak luna pożaru....  
Coś mi na sercu. *(woła)* Grym! Grym!

**Grym.**

Co rozkażesz?

**Bera.**

Dlaczego zeszlj nocy ciało Alfa  
Do moich wnieśliście pokojów?

**Grym.**

Był rozkaz.

Samaś królowo mówiła: nad ciałem  
Biednego syna chciałaś noc przepłakać,  
Zanim go w ziemię włożą.

**Bera.**

A, patrz Grymie  
Noc całą jednak nie zamknęłam oczu!  
Powiedz mi szczerze, nie spostrzegłeś czasem  
Jakiej odmiany w ciele?

**Grym.**

Owszem ręce  
Trup jakoś spuścił, oczy miał otwarte....

**Bera.**

Nieprawdaż Grymie! to się zdarza przecie,  
Że zmarły patrzy i opuści ręce?  
Juścić to ciężar ręce?

**Grym.**

Bywa to czasami.

**Bera.**

Przecież to razi: jakżem się dziś zlekła!  
Myślałam wiele o zemście, Hagbarcie,  
Sen nie przychodził, a serce do syna  
Rwało się dziko; więc wstaję powoli.  
Idę do niego, klękam przy tych zwłokach,  
I wołam mocno na niego wzruszona:  
„Alfie! mój Alfie! pomścij się twój śmierci!”  
A wtém u trupa zabłysły źrenice,  
Wzrok jakiś dziki spoczął na mój twarzy,  
A ręce które złożyłam na piersiach,  
Nagle się wzniosły i opadły z ciała....  
O, drogi Grymie! taki opanował  
Przestrach mnie całą, żem nie miała siły  
Rąk jego podnieść i zamknąć tych oczu.  
Drżąc jak w gorączce, machinalnie wstałam,  
I biegłam w strachu gdzie oczy poniosą.

**Grym** (ze spótczuciem).

Al widzisz!

**Bera.**

(przerwywając mu, z dawną dumą).

Grymie, wieczna tajemnica!  
(Grym odchodzi).

A tam kto znowu? Sygna? Cała w bieli?  
Wieniec dębowy zwiesiła na czole!  
Ha! więc i ona śmie tutaj przychodzić!

(Sygna zwolna i z godnością zbliża się do matki).

Idzie tak dumnie, tak dziwnie, wspaniale!  
Jaka spokojna! a w śnieżnym ubraniu

Jakby kapłanka. Sygno! tak zuchwale,  
Z taką pogardą spoglądasz mi w oczy!  
I cóż to znaczy? Czy przysłaś tu widzieć  
Zemstę twój matki, śmierć tego Hagbarta?

**Sygna.**

Nie! jam tu przysłała pożegnać się z tobą.

**Bera.**

Córko niegodna! prośbami ni łzami  
Jak ty głupiem, nie złamiesz mój woli....

**Sygna.**

Nieubłagana matko! żadne prośby!  
O! nie! nie będę modlić o to pewno  
Co mnie niegodne, czego nie dostanę!  
Teraz już wszystkim łzy me wyplakała  
Skrycie przed tobą, w cichej samotności,  
Jam pełną czarą spełniła ofiarę  
Na ołtarz Frei. Freja usłyszała  
Modlitwę moją i zesłała siłę,  
Dała potęgę mój dziewiczej piersi:  
Teraz cierpliwie mogę znosić boleść.

**Bera.**

I czegoż żądasz?

**Sygna.**

Chcę pokazać matce

Że nie ma hańby w tém, co serce czuło!  
Czy ty znasz miłość? O tém nie wiedziałam.  
O! więc przynajmniej nie odmów szacunku  
Dla mój boleści i wysłuchaj córki!  
Czego się gniewasz? Dla uczuć miłości  
To serce było zamknięte tak samo  
Jak łono kwiatka, który nie czuł jeszcze  
Słońca promieni. Ale on.. on.. przyszedł..  
I wiem co miłość. I dlaczegoż, powiedz,  
Mam uczuć serca mego się rumienić?  
Za to, że prędko zrozumiało rozkosz?  
A potem Hagbart godzien uczuć moich:  
Rycerz waleczny i piękny, a nawet  
Ta duma jego, ten upór co wzbudził  
Gniew twój, to wszystko cudem mi się zdało:  
Godzien szacunku, godzien ubóstwienia.  
O jakąż zbrodnię obwiniony Hagbart?...  
W boju rycerskim zabił on rycerza,  
Co wzgardził życiem. Tyś mu zagroziła,  
Ale nie zważał na twoje pogrożki..



A więc ty myślisz, że mniej go mam kochać  
 Za to, że Hagbart życie swoje ceni  
 Mniej od mojego? O nie! toż dlatego  
 On dla mnie dwakroć, jeszcze więcej drogi.  
 I jeśli spełnisz swoją myśl okropną  
 Zobaczysz matko, że kto mógł pogardzić  
 Niebezpieczeństwem, ten z obojętnością  
 Zniesie i skutki. Łzami nie wyproszę  
 Drogiemu życia, boć to mąż honoru,  
 Nie niekczemności! Wyproszony śmierci  
 Nie byłby godzien zebranego życia.  
 Serca twojego nie myślę też miękczyć.  
 Rzadkoś ty dla mnie miała czucie matki!  
 Od śmierci ojca sama ja sierota,  
 Sama dla siebie. Alf kochał Girytę,  
 Alger bój kochał, a ty dumna Bero  
 Kochasz twą wielkość: nic więcej, jak wielkość.  
 Od wszelkich uciech dawnom już odwykła  
 I przyszłość smutną dawnom zgadywała...  
 Stało się! życie upłynęło moje!  
 Lecz Hagbart, matko, był mym oblubieńcem....  
 Dlatego szaty przybrała godowe,  
 Dlatego wieniec na głowę włożyła....  
 O! matko daruj! pojmij serce córki!  
 Niel ja nie z gniewem z tobą się rozstaję  
 Ale ze łzami dziecięcia na oczach....  
 Do bogów tylko ostatnia modlitwa...  
 Gdy w krwi Hagbarta zagasisz pragnienie  
 Szalonej zemsty, o! bodaj bogowie  
 Od przyszłych zgryzot wybawili ciebie!  
 Bądź zdrowa matko! *(całuje ją w rękę)*. Żegnaj mi na wieki.  
*(odchodzi)*.

#### Bera.

Podstęp?.. być może, wszak i zdrada płacze!  
 Lecz Sygna zmyślać bólu nie umiała.  
 Namiętność silna! nigdy nie sądziła  
 Żeby tak wielka! Zresztą nic dziwnego;  
 Czego też w żalu młoda wyobraźnia  
 Do wysokości swego ideału  
 Myślą nie wzniesie? A zawsze im wieczność,  
 Zawsze o wiekach marzą. Nic, to przejdzie!..  
 Otoż i Alger. Jak okropnie błąd!  
 Sygna i Alger to jakby dwa trupy  
 Bez życia, ruchu, Alf do nich jest trzeci.  
 Co to jest? jakto? na jedyną matkę  
 Wyście się razem uzbroili dzieci?

## BERA I ALGER.

**Alger.**

*(miotany silnym uczuciem, które sili się pokonać).*  
 Hołd matce mojej!

**Bera.**

Dziękuję ci synu.  
 Zdrów jesteś? prawda! a pamiętasz wczoraj  
 Przysięgę twoję: czy wszystko spełnione  
 Com rozkazała?

**Alger.**

Hagbart już wystąpił  
 Na drogę śmierci: bębny uderzyły  
 I flet zajęczał; prowadzą go tłumy  
 Przy dźwiękach śmierci ciekawego ludu  
 I strzelcy twoi... za chwilę tu będą.

**Bera.**

Dobrze.

**Alger.**

Tak myślisz...

**Bera.**

Ty myślisz inaczej?

**Alger.**

Ja nie mam zdania królowo i matko!  
 Pokorne woli wszechwładnej narzędzie  
 Przyszedłem pytać o nowe rozkazy.  
 Czy śmierci dosyć będzie dla twój zemsty?  
 Każesz go rzucić na pogardę wszystkim  
 Na przykład innym? czy też będzie pogrzeb?

**Bera.**

Dość, dość już śmierci. Jak umrze, pozwalam  
 Pochować ciało!

**Alger.**

Gdzie?

**Bera.**

Pod tym tu dębem.

**Alger**

*(obracaając się w tę stronę gdzie dąb. Cicho).*

Będzie tu miejsce dla trojga? O! będzie!

**Bera.**

Miejsce dla trojga? Co mówisz mój synu?

**Alger.**

Ja nic nie mówię, nic mówić nie mogę,  
Jużem powiedział, że jestem narzędziem,  
Więc po cóż słowa? Mówmy o czem innym!

**Bera.**

Synu mój! co ci? za ledwie dech w tobie!

**Alger.**

Czego się dziwić? przysięga związała  
Serce i usta.. Pojdę lepiej spełnić  
Dane rozkazy. (*Idzie i wraca się*).

No! kochana matko

Pozwól mi chociaż bajkę rozpowiedzieć,  
Którą złożyłem.

**Bera.**

I owszem, rozpowiedz.

**Alger** (*z powagą*).

W gnieździe wysokiem na wierzchołkach góry  
Karmiąc pisklęta siedziała orlica.  
Troskliwa matka o młodziutkie dzieci  
Zawsze się bała, żeby na swobodzie  
Zawiele sobie nie szkodziły biedne:  
Tak je kochała, tak pielęgnowała!  
A młode orlę, pełne przywiązania  
Do matki dobrej, słabe, nierozumne,  
Przystało na to, by małeńkie skrzydła  
Podcięła matka. Szczęśliwa orlica  
Odtąd troskliwie dzień za dniem, jak trzeba  
Znosiła pokarm wygłodniałym dzieciom.  
Tak kilka niedziel upłynęło; ślicznie  
Szło wszystko w kolój. Ale raz orlica  
Poszukać łupów w pole odleciała.  
I dzika kuna wsunęła się w gniazdo  
I biedną siostrę orlęcia porwała,  
A młode orlę krzyczało boleśnie...  
Bo w jaki sposób nieść pomoc siostrzyczce?  
Krwi chciwy rabuś w oczach małeńkiego  
Zduślił biedaczkę! (*z zapalem*).

Ach! to młode orlę  
Podlecieć chciało i skarać zbrodniarza,  
Rozpacz je gnała. Coż z tego? Gdy skrzydła  
Ciężaru ciała wytrzymać nie mogły,  
I płasze spadło w przepaść. Powróciła

Stara orlica, ale gniazdo puste.  
 Patrzy, ślad krwawy—i puszek orlęcy  
 Leży tam na dnie pod drzewem... O! wtenczas  
 Dziki jęk matki odbił się o skały!  
 Stara orlica wołała swe dzieci...

Lecz późno było... (*milczy, potem spokojnie*).

Skończyłem mą powieść.

(*chce iść*).

**Bera** (*zatrzymuje go*).

Poczekaj synu!

(*wewnętrzna ciężka walka*).

Daruję go życiu!

**Alger**

(*z zapalem, pochwyciwszy matkę za rękę*).

O! matko moja!

**Bera**.

Milcz i słuchaj synu.

I jam namiętna i ja mogę czegoś  
 Żądać stanowczo, z nieprzełomną wolą,  
 Tak, że ni prośby, ni straszne zjawiska  
 Postanowienia mojego nie zmieniają;  
 Hagbart nie umrze. Dobrze. To byłoby  
 Może zawiele. Sprawiedliwość nawet  
 Może być czasem okrutna i dzika.  
 Wszak piękność cała potęgi i władzy  
 Wtém pewno leży, że król gładzi winę  
 Tam, gdzie potępia sprawiedliwość ludzka.  
 Nie mam współzucia dla tego Hagbarta,  
 Lecz względem niego muszę być wspaniałą.  
 Konung nie umrze. Aleć tak bez kary  
 Trudno go puścić, bo dumny zuchwalec  
 Potémby jeszcze natrząsał się z Bery.  
 Wszak jego próżność zabiła mi Alfa  
 A mnie na piekiel skazała katusze;  
 Więc niech sam zbójca spróbuje męczarni!  
 Na miejsce strasznej prowadźcie go kaźni  
 A tam, kiedy śmierć nad nim już zawiśnie,  
 Nagle jak szczęście na polu bojowém  
 Stanę, i życie daruję zabójcy.  
 Lecz niechaj wprzód w rozpacz jak mucha  
 Porwie się, zadrży i zabrzmi żałośnie.  
 Dam mu to życie, żeby poznał wtenczas  
 Jak jest małe dla wielkości mojej;  
 Dam mu to życie, nikczemnej istocie,  
 Którą mojemu zdeptałam nogami.

**Alger.**

A z Sygną jakże?

**Bera.**

O! Sygny mu nie dam!

Za stałość którą pokazała, karą  
Ciężką ją dotknę—wiecznym rozłączeniem  
Z przedmiotem uczuć: dla niej będzie dosyć,  
Boć ona nigdy nie знаła wielkości.  
Ach! serca takie. które majestatu  
Pojąć nie mogą, bićby nie powinny.  
Sygna zupełnie jak pasterka czuła  
Żyje dlatego, by płakać i marzyć,  
By wieńce splatać i myśleć o drogim  
Kochanku serca. Nieraz myśl przychodzi,  
Czy ona świętą pojmuje powinność?  
Czy wie co winna przodkom i rodzinie?  
Czyli od Fryggi swoją krew wywodzi?...  
Milcz! widzę chciałbyś znowu mnie rozgniewać.

**Alger.**

Lecz konung Hagbart....

**Bera.**

Precz z tym Norwegczykiem!

To moja hańba! dumny i niezdolny!  
I cóż, toż wielkiem ma być Danii szczęściem  
Jeżeli Sygna będzie jego żoną?  
Gdzież państwo jego? Dzikich skał gromada.  
I na Bałtyku biedny jeden okręt!....  
Książę Jutlandyi Hardenwill, już dawno  
Prosi o Sygnę. Ma królewskie słowo.  
Takie małżeństwo musi być przyjemne  
Walhalli bogom! Związek to godowy,  
Starych pokoleń, Limfiordy z Orsundem!  
Półwysep judzki przymknie do Zelandyi  
I złożą silne państwo. Tak, Hardenwill,  
On albo żaden!

**Alger.**

Ale matko....

**Bera.**

Synu!

Milcz, ani słówka; a nie, to ci powiem  
Ową powiastkę, w której karłem został  
Ten straszny olbrzym za to, że nikczemnie  
I czuł, i myślał. Jeżeli wam idzie  
O te czułości, o drobnostki serca,

Mówcie co chcecie; lecz kiedy rozmowa  
 Dotknie się dumy, wielkości, honoru,  
 Głos mój stanowczy! Alger! masz iść za mną!  
 (odchodzą).

### SYGNA I FILLA.

(dziewice niosą płótno w koszykach).

**Sygna.**

Ach! co za ranek! słońce jak cudowne!  
 Wesolo w krzakach śpiewają ptaszęta,  
 Wszystkich boleści zapomniawszy w nocy.  
 (w oddaleniu słychać marsz pogrzebowy).

**Filla.**

Słyszę już dźwięki! Torze! oni idą.

**Sygna** (wzdrygnąwszy się).

Co Fillo? idą! ach! słychać! już idą!  
 Co za oprawcy! spieszą się, dlaczego?

**Filla.**

Biedna księżniczka!

**Sygna.**

To ty biedna, Fillo:

Ja teraz tracę, tyś dawno straciła.

**Filla.**

Cóż ja? poddanka!

**Sygna.**

Poddanka, powiadasz!

Jakto więc nie wiesz, że dla naszej Frei  
 Dusza co kocha, choć jedna, a droższa  
 Jak te tysiące koron, co bez czucia.

**Filla.**

Lecz mój kochanek poległ w sławnym boju ...  
 A twój kochanek...

**Sygna.**

Poległ w sławnym boju ...

Gdzież bój sławniejszy od najstraszniejszego?  
 Cios mieczem dany byłby dla Hagbarta  
 Rozkosznym ciosem, a w spokojnej śmierci

Nie ma tych uczuć namiętnych, okropnych:  
 Tam małe sylfy wśród hałasu bitwy  
 Strzałą śmiertelną rażą niewidomie....  
 A tutaj siedzieć i czekać spokojnie  
 Aż cios uderzy i złożywszy ręce,  
 Które ci zwiążą, patrzeć na cięciwę,  
 Z której grot dziki złowieszco zawarczy  
 I trafi w serce, w oko, lub gdziekolwiek....  
 To, co okropne! Ale ci przysięgam,  
 Że Hagbart nie da sobie zamknąć oczu.

**Filla.**

Szlachetny rycerz!

**Sygn.**

Tak, szlachetny rycerz!

To mnie pociesza. Iluż tó szlachetnych,  
 Wielkich rycerzów, utraciło życie,  
 A powiedz za co? Sława to i szczęście  
 Umrzć niewinnym. Siłę charakteru  
 Kiedy masz poznać, jeśli nie w nieszczęściu?  
 A krew niewinna kiedy się przeleje  
 Samą nienawiść niszczy i rozbraja.  
 I w sagach potem długo brzmią powieści  
 O bohaterach, co kończą niewinnie.  
 Jestto przestroga dla biednych śmiertelnych.  
 Potomstwo nie śmie długo znów powtarzać  
 Przykładów kaźni, wywoływać zgrozy.

(*Muzyka zbliża się.*)

**Filla.**

Jak razi uszy!.... Już Hagbart gdzieś blisko....

**Sygn.**

Uszy ci razi?.... Nie, to dźwięk przyjemny,  
 Który mi męztwo daje i wytrwałość (*ze łzami*).  
 Zmilkłyście ptaszki? I wam chce się słuchać?  
 Nieprawdaż, pięknie? Wy tak nie umiecie,  
 To za wspaniałe dla was. O! nie Fillo!  
 Ten dźwięk żalobny, jak dla mnie, to rozkosz.  
 To przepowiednia.... Niedługo! niedługo!  
 Dziki ryk bólów przeszyje powietrze,  
 Zleje się razem w harmonią niebieską!

**Filla.**

Patrz jak wspaniałe, jak szlachetnie Hagbart  
 Idzie wśród tłumów!.... Całuje twój warkocz!....  
 Jaki to dzielny i wspaniały rycerz!....  
 Zbrojni oprawcy ściskają go w kole....

Ach patrz jak płaczą poczciwe kobiety,  
Jak go palcami pokazują dzieciom.....

**Sygna** (z żywością).

Gdzie? (prędko ogląda się i pokazuje na niebo).

Nie, moja Fillo, tam dopiero w niebie

Ujrzę Hagbarta (ze spokojnością).

A wy idźcie teraz

Bielić swe płótno. Żegnam was kochane.

Dreszcz mnie przechodzi, powietrze wilgotne.

Podaj mi Ryndo ową miodu czarę

Com ją ci nalać kazala.

(Rynda daje Sygnie róg turzy).

**Sygna** (do siebie).

Hagbarcie!

Piję twe zdrowie: witaj mi i żegnaj!....

Powtarzam znowu: pokój ci, śmierć sławna,

Któręj szukałeś drogi mój rycerzu! (pije)

Ja jej nie szukam, bo mam śmierć już w piersiach.

(Rzuca róg i do dziewczę).

Chodźmy więc prędej: wy naprzód, kochane.

Ja zamknę izbę i przyjdę za wami.

**Filla** (ze strachem).

Sygn! Ach! Pani!

**Sygna**

(taskawie, ale stanowczo).

Idź Fillo (dziewice odchodzą).

**Sygna.**

Jeszcze raz jeden niech go ujrzę w życiu.

(Staje na palcach i trzyma rękę nad oczami).

Mój drogi rycerz! mój drogi! Spokojny,

Ni śladu trwogi w tej pięknej postaci!

Krasny rumieniec jak słicznie twarz oblał.

I na brwiach ciemnych tylko się odbija

Głęboka duma! Mogłaż być szczęśliwsza

Odemnie kiedy na świecie dziewica?

Gdzież rycerz drugi, wielki jak ten Hagbart?

Jakaż kochanka mnie nie pozazdrości

Że skończę życie razem z mym Hagbartem!

(odchodzi).



HAGBART *w łańcuchach*, GRYM, ERYK, *muzykanci, rycerze, kobiety i dzieci.*

**Grym**

*(do ludu który cisnie się do Hagbarta).*

Po co się pchacie? Rozstąpić! rozstąpić!

*(Rycerze stają w półkole. Rozwiązują ręce Hagbartowi, który całuje warkocz i chowa go na piersiach).*

**Hagbart.**

Dziękuję bracie, żeś mi zdjął te więzy  
Choć na chwil kilka, że mogłem z modlitwą  
Wyciągnąć ręce ku przestworom niebios.

**Grym.**

Na to Hagbarcie nie było zakazu.

**Hagbart** *(na stronie).*

Śmierć nie nie znaczy, aby tylko Sygna  
Słowa swojego dotrzymała stale.  
Jéj żal, stanowczość, obietnica była  
Może wypadkiem chwilowój boleści...  
Ta myśl jedynie, co mnie jeszcze nęka.

**Grym.**

Módl się Hagbarcie!

**Hagbart** *(z uczuciem).*

Prawdaż przyjaciele,

Że trzeba spełnić ostatnie życzenia,  
Kiedy niewinne, skazanego na śmierć?  
Miałbym ochotę czarę miodu wypić,  
Żebym przytomność zachował do zgonu...

**Eryk.**

O! bez wątpienia tego nie odmówim!  
Lecz tylko prędkiej. Nie służy nam prawo  
Jedną godzinką przedłużyć ci życie.  
*(podają róg turzy Hagbartowi).*

**Hagbart** *(biorąc go w ręce).*

Chwileczkę jedną. Wy to rozumiecie,  
Że rycerzowi jakim ja już byłem,  
Nieraz to pierwszy z śmiercią się spotykać:  
Niebezpieczeństwo widziałem już zblizka.  
To moj przyjaciel, to zabawa moja

Od lat tak dawnych! Ależ moi drodzy  
 Śmierci od śmierci jak wielka różnica! *(pije)*.  
 Mówię otwarcie, śmierć jaka mnie czeka  
 To coś okropne: ta cichość, ta zwłoka,  
 Te widzów tłumy, dreszczem mnie przejmują!  
 Człowiek się łatwo może przyzwyczaić  
 Do wielu rzeczy, lecz kiedy spotyka  
 Nową przeszkodę, jakiś wstręt poczuwa;  
 Jak koń co wilka zwietry, rwie kopytem,  
 Tak moje serce drzy przed bramą śmierci  
 Nie dla miłości życia, lecz te formy,  
 Ten śmierci rodzaj, trwogą mnie przenika.  
*(zdejmuje płaszcz)*.

Chwil jeszcze kilka. Muszę zebrać siły.  
 Inaczej może nie siadlbym spokojnie  
 Na grzbiet rumaka co go Odyn przysła  
 Aby mnie zawiózł w podwoje Walhalli.  
 Proszę was, weźcie książeczą purpurę  
 I na gałązkach czeremchy rozwieście...  
 A potem jeszcze rozweselcie uszy  
 Dźwięczną muzyką, z którąście mnie wiedli..  
 A ja tym czasem uklęknę,—ostatnią  
 Przedwiecznych bogów przebłągam modlitwą.

**Grym**

*(odbierając od niego płaszcz)*.

I owszem! dobrze!

*(Muzyka. Płaszcz Hagbarta wieszają na drzewie)*.

**Hagbart** *(kłęcząc)*.

Przedwieczny Torze! wysłuchaj mój prośby.  
 O! dodaj siły niewinnemu sercu,  
 By się nie zlekła wściekłości płomienia!  
 Niech tak z rozkoszą, z drzeniem pocałuje  
 Swą czarę miodu jak usta Hagbarta!  
*(wstaje, patrzy z niespokojnością w głąb na mieszka-  
 nie Sygny, które nagle zagorzało płomieniem)*.

**Grym**.

Pożar! Widzicie! Dom Sygny się pali!

**Hagbart** *(w uniesieniu)*.

O ty pochodnio prawdziwej miłości!  
 Najświętszy ogniu przeczystej ofiary!  
 O! droga moja! przebac mi zwątpienie!  
 Nie śmierć okropna, ale ta niepewność!  
 A więc mnie wołasz ukochana Sygno!  
 Zaraz! o zaraz! pobiegnę ci w ślady  
 Za płomienistym twój sławy rydwanem *(obnaża miecz)*!

Ty jeszcze ze mną mój drogi? Ach! dzięki,  
 Dzięki ci mieczu! (*do rycerzy*) Zostawcie na później  
 Pociski wasze: czyż tego nie widać  
 Po licach bladych, po spojrzeniach waszych,  
 Ze godność kata, nie dla was, waleczni!  
 Spełniacie rozkaz: widać, że musicie.  
 Pragnę ułatwić trudną wam powinność,  
 Bo nie chcę ginąć jak prawdziwy zbrodniarz.  
 Jam nie wyciągał ręki po tę miłość  
 Najdroższej Sygny: ona mi oddała  
 Ten skarb swych uczuć, więc mordercom dzikim  
 Nie będzie prawo przelać krew niewinną!!  
 (*przebija się*).

Los się wypełni! Pałajcież pochodnie!

**Eryk.**

Ach! sam się przebił!

**Grym.**

Okropność! bogowie!

CIŻ I BERA (*wchodząc prędko*).

**Bera.**

Stójcie! poczekać!

**Eryk**

(*wskazując ręką na pożar*).!

Tam bieżmy na pomoc!

**Bera.**

Hagbart żyć będzie.

**Grym.**

Późno, już nie żyje.

**Bera** (*w szaleństwie*).

Razem skończyli? Jakto! on i ona?

**Eryk.**

Sygna! Jak błada! opalone włosy!

CIŻ I ALGER (*prowadząc Sygnę pod rękę*).

**Alger.**

Patrz, ocalona!

**Bera.**

Córko moja! Bogom  
Serdeczne dzięki! chwała im że żyjesz!

**Sygną** (*ledwie ją słysząc*).

Widzę płaszcz jego..... a gdzież on? gdzie Hagbart?  
(*zobaczywszy ciało, z czułym westchnieniem*).

Pływa w krwi własnej!

**Grym.**

Sam powiesić kazał  
Płaszcz swój na drzewie, a ujrawszy płomień,  
Z radosnym krzykiem przebił siebie mieczem.

**Sygną.**

Chciałeś doświadczyć, czy Sygną ci wierna!  
Czy mogłeś wątpić, okrutny Hagbarcie!  
Ha! w strachu śmierci każda-mysł przychodzi;  
Więc ci przebaczam!

**Bera.**

Córko moja! Hagbart  
Jest samobójcą. Niosłam mu zbawienie,  
Życie mu niosłam; lecz było zapóźno....

**Sygną** (*przerazona*).

Więc matko chciałaś wyrok swój złagodzić?

**Bera.**

Potom tu przysła.

**Sygną** (*w rozpacz*).

O! Hagbarcie drogi! (*zwracając się do matki*)  
Chciałaś mnie matko złączyć z nim na wieki?

**Bera** (*żwawo i ponuro*).

Nie! nigdy córko! to byłaby podłość.

**Sygną.**

Rozłączyć chciałaś?

**Bera.**

Tak, jak śmierć—rozłączyć.

**Sygną**

(*z lekkim westchnieniem*).

Dzięki ci matko, żeś taka surowa;  
Z rozpaczą teraz przyszłoby umierać!

**Bera.**

O dziecię moje! Co mówisz? strach bierze.

**Sygn.**

Bogini śmierci i na moich ustach  
Złożyła straszny, straszny pocałunek!  
Mój bracie drogi! ocaliłeś Sygnę  
Z dymu, z płomieni; ale nie ocalisz  
Przed drugim ogniem—trucizna mnie spali!

**Bera.**

Sygn! najdroższa!

**Sygn.**

Koniec mękom moim.

Dzięki ci bracie za to ocalenie,  
Bo mogę teraz uściskać Hagbarta,  
Choć w konwulsyjnych, śmiertelnych cierpieniach.  
Nieprawdaz matko? teraz mi pozwolisz  
Na posiniałych już Hagbarta ustach  
Oddać ostatni dech mojego życia?  
O! śmierci słodka! *(pada obok trupa)* Ciężka tu rozłaka!  
Polecim razem do pałaców Frei!...

*(obejmuje Hagbarta i położywszy głowę na jego pier-  
siach, umiera).*

*(wszyscy milczą).*

**Bera.**

Nie żyje? weźcież, złóćcie trup kochany  
Obok Hagbarta.

**Alger** *(w silnym poruszeniu).*

Matko! masz ty czucie?

**Bera** *(z godnością).*

Mam dziś, jak zawsze: bo któż dla szlachetnej  
Sklonności serca odmówi szacunku?

*(zbliżywszy się do trupów, z zapalem).*

Gdybym wiedziała, że ta miłość dzieci  
Wielka i święta! nigdy, na Odyna,  
Nigdy, przysięgam! nie miałabym serca,  
Stawiać im opór. *(po chwili milczenia)*

Myślałam w rozpaczy,

Że to szal tylko, dziki i ognisty,  
Żądza rozkoszy uczuciowych, słodkich,  
Że to złudzenie, namiętność chwilowa,  
Która tak prędko wędnieje i ginie,  
Jak zapach w cieniu skrytego fiołka;

Gasnie jak promień księżycy bladawy  
Ze wschodem słońca....

Jakżeto bogowie!

Więc mój fiołek świetną stał się różą?  
Jakto? więc światło, więc promień księżycy  
Nagle się w cudne przeobraził słońce?  
Usypcie kurhan w lesie nad ruczajem  
Pod cieniem olszyn, na których słowiki  
Uwiły gniazdo; na wierzchu kamieniem  
Grób wybrukujcie; różami młodemi  
Cały ten kurhan pięknie przyozdobić!  
I jedna urna niech zawrze popioły  
Młodych kochanków. Hagbarta przyłbicę  
I Sygny włosy złóżcie w tym kurhanie,  
I miecz przy włosach. Niech przez lat tysiące  
Płynie wieść o nas, by potomki późne  
Znalazły tutaj prawdę słów legendy,  
Którą pieśń skalda przeniesie do wieków!

*(Bera zaczyna słabnąć).*

**Alger** *(wstrzymując matkę).*

O! matko!

**Bera.**

Jeszcze rękę mi podajesz?

*(całując go z zapalem).*

Synu mój drogi! Ostatni promieniu,  
Na mój jesieni pożółkniałych liściach!

*(cicho).*

Jak myślisz: Sygna, czy pamięta wszystko?

**Alger.**

O nie! nie matko: Sygna się upaja  
Rozkoszą raj; teraz dla niej szczęście  
Więczne bez końca! ona już wygrała,  
A my stracili.

**Bera.**

Wygrała! tak synu!

Wszak zbytek szczęścia i słodycz zabija;  
Wszakże tam nie ma ognia téj rozkoszy,  
Których tak wiele w jednej chwili szczęścia!  
Po błotnej ziemi zwolna strumień płynie  
Spokojny, świetny, zawsze jednakowy;  
Ale wodospad mknie się, po przepaściach  
Łamie się, leci ze skały na skałę;  
Wstęgę rozwija swoją w modre wały,

Dzikim hałasem w piany się rozbryzga,  
 Tak chwilka szczęścia téj pary kochanej,  
 Długo żyć będzie w podaniach, wspomnieniach.  
 A któż spamięta owe dni szczęśliwe,  
 Co przepłynęły i znikły bez chmury?  
 Jak gwiazdki owe na niebios sklepieniu,  
 Wieść o nieszczęściach Sygny i Hagbarta  
 Będzie błyszcząca w pośród ciemnej nocy  
 Odległych dziejów: i przeżyje wieki,  
 Dopóki młodzi będą znali miłość,  
 Dopóki skaldy będą żyć na świecie!....

## RYCINY

JEREMIASZA FALCKA, GDAŃSZCZANINA, POLAKA.

PRZEZ

*Edwarda bar. Rastawieckiego.*

Falck Jeremiasz należy bezsprzecznie do najznakomitszych sztycharzy swojego czasu; prace jego przecie w żadnym zbiorze, w przybliżonej nawet zupełności zgromadzone dotąd nie były. Najzasobniejszy zbiór rycin polskich, przez wielkiego znawcę a zapalonego miłośnika kształcony, zbiór Gwalberta Pawlikowskiego, gdzie Chodowiecki 3,000 numerów liczy, zaledwie Falcka rycin 70 posiada. Pisarze dzieł o sztukach, żywotów artystów, przywodząc Falcka, wymieniają niektóre jego prace; lecz żaden całkowitego nie podał onych wykazu. Zgoła wiemy, że Falck sztychował bardzo pięknie, że sztychował wiele, że przeto w sztuce polskiej odznaczone stanowisko zajmuje; atoli ani ogółu prac jego razem zgromadzonych nie widzimy nigdzie, ani też nawet dokładnego ich spisu dotąd nie posiadaliśmy. Uczul ten brak światły a gruntowny dziejów sztuki kraju naszego badacz i znawca J. I. Kraszewski, zajął się też troskliwie zebraniem rozproszonych poszczególnych wskazówek, spisu calszego rycin Falcka. Ogłaszając piękny jego zyciorys, zasiłkiem z nowszych o nim podań kilku niemieckich uczonych ubogacony, dołączył samychże prac artysty wykaz zasobny.



G. Pawlikowski, który u nas pierwszy pisał o Falcku z pewną już znajomością, mówi, że mu się zdarzyło widzieć rycin jego sztuk 73, a dziwi się że Fuessli opowiada, iż opat de Marolles w sławnym rycin zbiorze posiadał Falcka robót 93. W zbiorze M. Wodzińskiego było sztychów jego sztuk około 90. Nagler przytoczył co celniejszych tylko numerów 43; W. Sejdel posunął szereg do liczby 88; A. Hagen przywodzi rycin 107, a raczej 130; Kraszewski postąpił do ilości sztuk przeszło 150. Wszakże i ten tak już silny Kraszewskiego wykaz, dalekim jest bardzo od zupełności, bo w dwójnasób przeszło powiększyć się daje.

Byłoby do życzenia, żeby który z krajowych zbiorów wzbogacił się szeregiem o ile można zupełnym dzieł znamienitego artysty; w dążności tej ja sam posuwam się z żywą usilnością. Nie jest to dziś przecie tak łatwe zadanie, a zanim uwieńczy je skutek, dobrze choć wiedzieć bliżej, jakie to są wszelkie owe biegłego sztycharza twory. Staralem się więc spisać one tak z rozpiechłych poprzednich pisarzy napomknien, czy calszych wykazów, jak zwłaszcza z własnego widzenia, do czego przegląd znamienitszych zbiorów w kraju i za granicą, w Dreźnie i Paryżu zwłaszcza, niemało posłużył. Co się tedy zebrać nadarzyło, podaję w poniższym spisie, w nadziei, że przy pomocy drugich, i ten za czasem uzupełniony jeszcze zostanie.

Twory sztycharskie Falcka rozłożyć się dają na cztery główne działy, wedle przedmiotów, tudzież miejscowości w których wykonywane były: to jest na ryciny paryzkie, polsko-gdańskie, szwedzkie i duńskie, wreszcie holenderskie i hamburskie. Tak więc je rozdzieliłiśmy, w mniemaniu, że to ułatwi znacznie bliższe onych rozpoznanie.

Nie powtarzamy tu całkowitego życiorysu artysty, jako poczęści zkażynąd już dobrze znanego; atoli dla lepszego objaśnienia przedmiotu, zdaje nam się potrzebnem przywiedzenie główniejszych dat życia jego.

Urodzony w Gdańsku r. 1619.

W Paryżu r. 1641—1646.

W Holandyi czasowo.

W Gdańsku r. 1647—1653, zkąd w Sztokholmie na-przemian.

R. 1654 jeszcze w Sztokholmie; ztąd w Kopenhadze.  
R. 1655—1658 w Holandyi, w Amszterdamie. Sztuchy do publikacyi galeryi Gerarda Reynst odtąd już przedsiębrane.

W latach 1655 i 1656 chwilowo w Hamburgu.

Od r. 1658 stale w Hamburgu do r. 1663, gdzie zapewne umarł.

Z rokiem 1663 niknie o nim wiadomość.

## I.

Sztuchy paryzkie z lat 1641—1646, dla różnych tamecznych wydawców: Le Blond, Justyna d'Egmont, Hermana Weyen, i. i.

*Cztery państwa starożytnego świata.* Paris, *Le Blond* excudit. *C. Vignon* invent. *J. Falck* sculp.

1. *Les Assyriens.* I Monarchie. Czterowiersz: Tu vois Sennacherib.....

2. *Les Medes.* II Monarchie. Czterowiersz: Darius fut.

3. (nieznana mi).

4. *Les Romains.* III Monarchie. Czterowiersz: Auguste, le plus grand.....

*Parys i trzy boginie;* zbiór *Le Blonda.*

5. *Paris* (młodziak długo-włosa w kapeluszu z kwiatami). *Falck* f. 8<sup>mio</sup> wiersz: J'ay jugé selon.....

6. *Venus* (z Kupidynem, a jabłkiem w ręku). *Falck* fe. 8<sup>mio</sup> wiersz: Je triomphe.....

7. *Pallas* (w hełmie i pancerzu). *Falck* fe. 8<sup>mio</sup> wiersz: Depuis que je naquiss.....

Czwarta rycina Junona, nie jest Falcka.

*Cztery wiatry, Les quatres vents.* Bez wyrażenia wydawcy, lecz pewnie Le Blonda. Wystawione są w postaciach 4 króli, przy nich zwierzęta, anioły i dmące główki w chmurach.

8. 1644 *J. Falck.* Fecit.

9—11. 1645 *J. Falck* Fecit. (w zbiorze drezdeńskim).

*Cztery żywioły.* Kobięce postacie w strojach XVII wieku. Pod każdą czterowiersz francuzki i angielski. *Le Blond* excud. avec priu.

12. *L'Air* (niewiasta z ptakami). *J. Falck* fe. „Le Gi-boyeur depeuple”....

13. *La Terre* (niewiasta z koszem owoców) *J. Falck* f. „Je m'entretiens”....

14. *Le feu* (niewiasta obraca kapłona na różnie) *J. Falck* f. „Cet exercice”....

15. *L'Eau* (niewiasta z rybami). „L'eau seule”....  
*Cztery wieki. Zbiór Le Blonda.*

16. *L'Age d'Or.* (niewiasta z różczką w rękę, przy ulu). *J. Falck* f. Ośmiowiersz: *Le Siècle de nos premiers pères*....

Tę ryciny posiadam inne odbicie, z podpisem *Le siècle d'Or. Aetas aurea.* Dwa 4<sup>o</sup> wiersze franc. i łac. „Durant le siècle d'or. De l'impression de *Mariette*, rue S. Jacques à l'Esperance, avec Privilege du Roy.

Trzy inne wieki nie są mi znane, prawdopodobnie także Falcka; lecz je za takie na pewne tu zamieścić nie wypadało.

*Cztery pory roku.* A Paris cher *le Blond Peintre* ord. du Roy. Dwie są Falcka.

17. *L'Esté* (kobieta z owocami w fartuchu, w ręce sierp, drugą chwyta gałąź z wiśniami). *Falck* fe. 16<sup>o</sup> wiersz: *Cueillez des fruits*....

18. *L'Automne* (kobieta odcina winogrona). *Falck* fe. 16<sup>o</sup> wiersz: *Malgré ceux*....

*Cztery pory roku.* Inny zbiór *Le Blonda. Le Brun.* *J. Falck* fecit na dwóch.

19. *L'Automne* (w postaci niewiasty). 8<sup>o</sup> wiersz: *Je me vante*....

20. *L'Hyver* (w postaci niewiasty). 8<sup>o</sup> wiersz: *Je purge les humeurs*....

*Miesiące, zbiór Le Blonda. Le Blond* excu.

21. *L'odorat. Mars* 3. (kobieta z kwiatem w rękę, a pieskiem na kolanach). *J. Falck* fe. 12<sup>o</sup> wiersz: *Toutes choses*....

22. *L'Atouchement. Mai* 5. (kobieta z dwoma gołębami) *J. Falck* fe. 18<sup>o</sup> wiersz: *Mortels je decouvre*...

23. *L'Avarice Juillet* 7. (kobieta z workiem w rękę, przy niej wilk). *J. Falck* fecit. 12<sup>o</sup> wiersz: *Cette Beauté*....

24. *Gourmandise. Octobre* 10. (tłusta kobieta z kieliszkiem w ręku, owoce na kolanach, przy niej wieprz). *J. F.* 12<sup>o</sup> wiersz: *Ce pempre est...*

Inne miesiące nie są nam znane, przeto nie zapewniamy czyli są Falcka, a może innego sztycharza.

*Cztery pory dnia. Le Blond excu. avec priv. J. Falck f.*

25. *L'Aurore ou le Matin.*

26. *Venus le Midy.*

27—28. *Diane le soir.* Są dwie odmiany czyli warianty:

a). Dyanna z perłami na głowie; w lewej ręce dzida, prawą głaszcze psa gończego.

b). Dyanna w kapeluszu płaskim z piórami; w lewej ręce sokół, w prawej łuk; przy niej dwa psy gończe. *J. Falck fecit.* Na obu te same wiersze: *Le soir jamais....*

29. *Proserpine la nuit.*

Pod każdą z rycin téj seryi 12<sup>o</sup> wiersz: francuzki.

*Cztery pory dnia.* Zbiór *Le Blonda* francuzko-angielski. Pod każdą ryciną czterowiersz w obu językach.

30. *Le Matin. The Morning* (niewiasta z koszem kwiatów). *J. Falck fe.* „*Quand au matin...*”

31. *Le Midi. The Noon* (niewiasta rozkrawa kapłona). *J. Falck fe.* „*L'heure de Midy...*”

32. *Le soir. The Efnin* (niewiasta z dzidą i rogiem myśliwskim, na głowie czapka z piórami; chart). *J. Falck fé.* „*Le soir jamais...*”

33. *Le Nuiet. The Night* (niewiasta ze świecą w ręku odsłania kotarę u łóżka). *J. Falck fe.* „*Quand de rayons d'argent...*”

34. *Sta Genowefa* (w głębi widok Paryża). *C. le Brun inv. J. Falck fecit. Le Blond excu.* Czterowiersz łaciński, inny francuzki. Przypisanie: *A très noble et vertueuse Dame Genéievve Fayet Presidente de Gousseaux.*

35. *S. Nicolae.* Dwuwiersz: *Elegit eum...* *J. Falck fecit. Le Blond exc. cum Privilegio Regis.*

36. *Narodzenie Chrystusa.* *Le Blond excud. cum Privilegio Regis;* 8 wiersz: *Felices animae...* Rycina przypisywana Falckowi.

37 — 38. *Dwie karykatury aktorów paryzkich.* *Le Blond excudit avec priu. du Roy. J. Falck f.* Obie te ry-

cinki liczą się do najrzadszych i najdroższych Falcka. Na każdej 8 wiersz francuzki.

a). *Gandolin*

b). *Guillot Gorju.*

39. *Ludwik XIII* konno, za nim giermki z trąbami i dzidami, pod koniem zwierzyna. *J. Falck* fecit. A Paris chez *le Blond*. 4 wiersz: *Tel fut autres-fois..*

40. *Annae Mariae Aurelianae.. Justus d'Egmont* Pictor Regius inventor dicat et consecrat. F. sculpsit. A Paris chez *Justin d'Egmont* rue de Rich... 1642.

41. *Lodovico XIII* Franciae et Novarrae Regi.. *Justus d'Egmont* Pict. Reg. inventor dicat et consecrat 1643. *Falck* fecit. A Paris chez *Justin d'Egmont* rue de Richelieu, a *Louis le Juste*.

42. *Annae Franciae et Navarre Reginae.. Justus d'Egmont* Pictor Regius inv. dicat et consecrat Anno 1645. *Falck* sc. A Paris chez *Justin d'Egmont*.

43. *Lodovico XIV* Franciae et Navarae Regi Christianissimo. *Justus d'Egmont* pictor Regius inventor dicat et consecrat anno 1646. *J. Falck* sculps.—A Paris chez *Justin d'Egmont* Rue de Richelieu a *Louys le Juste*.

44. *Kardynał Richelieu* konno, krajobraz. *H. David* pinx. (A. Hagen, *Kunstblatt* 1848, nr. 16 str. 63).

45. *Matka Boska w koronie, z Dzieciątkiem Jezus stojącym.* *Augustissimae Coeli Terrarumque Imperatrici Virgini Mariae D. Justis Egmont* invent. *Jeremias Valck* fecit. *Herman Weyen* à Paris.

46—47. *Dwa obrazki św. Piotra i Pawła.* *J. Falck* sculps. *Moll* pinx. Apud *Hermanum Weyen*.

a). *S. Petrus.* 6 wiersz: *Ter Gallo..*

b). *S. Paulus,* 6 wiersz: *Quisquis habes...*

48. *Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus, św. Jan i baranek.* *J. Falck* sculp. *J. Stella* pinx. Paris de l'imprimerie d'*Hermann Weyen*. Przypisanie: *Illustrissimo viro D. D. Francisco Sublet de Noyers Baroni de Dangu, Regi ab intimis consiliis et secretis, hanc Deiparae Virginis cum Christo et D. Joanne Baptista imaginem a J. Stella* pictam, *futurae suae observantiae aere perennioris monumentum O. D. C. devotionis ac servitutis nomine addictissimus cliens J. Falck.*

49. *Chrystus koronowany cierniami*, podług *Van Dycka*. *J. Falck* fec. *Herman Weyen* excud. Napis z Pisma św.: *Plectentem coronam de spinis.....*

50—73. *Le livre de portraiture de Jo. Franciscus Barberius* 1641. A Paris, de l'imprimerie d'*Herman Weyen*, rue Saint Jacques, à lenseigne St. Benoist, pres la Poste. 4<sup>o</sup> Karta tytułowa i dalsze 11 tablic szkoły rysunkowej, części ciała ludzkiego.

*Le livre de portraiture de Jo. Franciscus Barberius*. Seconde partie. A Paris, de l'imprimerie d'*Herman Weyen*, rue St Jacques, à lenseigne St Benoist pres la Poste. Avec privilege du roy. 4.—Karta tytułowa i dalsze 11 tablic (liczbowane od 13 do 23) szkoły rysunkowej, głowy.

Jest to szkoła rysunków w dwóch częściach *Jana Franciszka Barbieri, il Guercino da Cento*, wydana w Paryżu przez *Hermana Weyen*, część pierwsza r. 1641, druga bez daty, do którego to dzieła ryciny wykonać miał *Falck*, lubo podpisu na nich nie widać. Wiadomo, że na początkowych jego robotach w Paryżu, nakładcy podpisu czy znaku jego nie kładli. Zbiór ten całkowity jest u mnie.

74. *Guilielmus Blaeu* Astrologus et Typographus Amstelodamensis. *J. Falck* sculp. 1645 (zatem w Paryżu). Owal, dokoła napis: *Indeffessus agendo*. Spodem 14<sup>o</sup> wiersz: *Hipparchos antiqua.....*

75. *Il gran Mogor*.—*J. Falck*. sc.—*C. V. invenit*.—*F. L. D. Ciastres* excudit cum privil. (*François Langlois D. Ciastres*).

76. Taż sama rycina, nieco zmniejszona, na czerwono odbita. *J. Falck* sc.

Odpowiedniej wielkości, podobnego rylca i farby, pięć rycin znajduje się w zbiorze A. C. w Paryżu. Nie wiemy przecie, czyli je z pewnością do prac *Falcka* zaliczyć można.

77. *Krzew z rozłożystemi gałęziami, pod nim koza skubie liście, dwoje dzieci wstrzymują baranka*.—*J. Falck* fec.—*Paulus Schmit* in.—*Se vendent à Paris chez Jean Somme*.

*Pięć zmysłów*. Paris l'impression de *Huart*. Z tych dwa *Falcka*.

78—79. a.) *La veue. J. Falck f.* W postaci niewiasty. Spodem wiersz francuzki.

b.) *L'Ouye. J. Falck f.* W postaci niewiasty. Spodem wiersz francuzki.

*F. Brulliot Dict. des monogr. II, 94* powiada, że ryciny pięciu zmysłów „*pièces in folio avec l'adresse de le Blond*” oznaczone *F. fec, są Falcka*. Za nim powtórzył *J. I. Kraszewski*. W katalogu rycin *Wincklera* przez *Michała Hubera* i *I. G. Stimmela III, 332* powiedziano, że ze zbioru tego pięciu zmysłów, cztery są *Falcka*. Zachodzi tu wszakże podobno pomieszanie, ze zbiorem miesiący *Le Blonda*, gdzie widzieliśmy także zmysły.

80. *Złożenie Chrystusa do grobu* (ze szkoły flaman-dzkiej). *J. Falck sculp.—Par le Blond le jeune excud. av. privilege. 16<sup>o</sup>* wiersz: *Quid Christi mors....*

Tę rycinę *Falcka* zamieszczamy między paryzkimi, jako tu odbitą. Lecz musiała być blacha później do *Paryża le Blondowi synowi* przesłana. Tenże przyszedł na świat r. 1635, a *Falck* bawił w *Paryżu* po rok 1646; przeto widocznie rycina rzeczona jest daty znacznie późniejszej.

81. *La Vierge aux poissons. Oude Palma pinx.—Jerome Valck* (jest w *Paryżu* w bibl. cesarskiej).

82. *Obrzezanie Chrystusa.—Andr. Sciavoni.—Jerome Valck sculp.* (jest w *Paryżu* w bibl. cesarskiej).

83. *Charles de Lorraine Duc de Guise, prince de Joinville, comte d'Eu, pair de France, Gouverneur et Lieutenant General pour le Roy en Provence. âgé de 73 ans. Oval.* Ta rycina bez podpisu przypisywana jest *Falckowi*.

„*Charles de Lorraine, duc de Guise, de Joyense, pair de France, prince de Joinville, comte d'Eu, etc. chevalier des ordres du roi, gouverneur de Provence, né le 20 août 1571, mourut le 30 Septembre 1640.*” *Moréri, gr. Dict. wyd. 1749. VI, 403.* Data śmierci musi być tu zmylona, gdy portret wykazuje wiek starszy, rok 73 życia, zatem robiony roku 1644.

Do powyższego wykazu prac naszego artysty w *Paryżu* dodamy, iż jest wielkie prawdopodobieństwo, że początkowe ryciny *Falcka* w *Paryżu, Fr. Chauveau, le Blond* i *Herman Weyen* bez jego podpisu ogłaszali; jak naprzykład przytoczona tu szkoła *Guercina*. Wydawnictwo *le Blonda*

bogin, pór roku, miesięcy, dni i t. p. jest zbiorem kostiumów czyli strojów żeńskich francuzkich z wieku XVII-go, a wówczas nawet jako rodzaj dziennika mód służyło.

### III.

Sztychy polskie z lat 1647—1653 w Gdańsku, i późniejsze od r. 1658 do 1663 w Hamburgu wykonane.

Zbiór portretów Jerzego Forstera; wszystkie owalne, tak jak w ogóle wszystkie Falcka wizerunki.

1. *Fridericus Guilielmus* Dei gratia Marchio Brandenburgensis Sacri Romani Imperii Archi Camerarius et Elector in Prussia Juliae, Cliviae..... Dominus in Ravenstein. Anno 1647. — *J. Falck Polonus* sculp. *Georgius Forsterus* excudit.

2. *Serenissimus ac Potentissimus Vladislaus IV* Dei Gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Littuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae, Livoniae, Smolensciae, Czernichoviae, nec non Sueco. Gottor. Vandalorumq. Haereditarius Rex.—*J. Falck Polonus* sculp. *Georgius Forsterus* excudit.

3. *Tenże drugi raz*, odmienny (Pawlikowski w Czasop. Lwow. 1829. II, 105).

4. *Serenissimus et Reverendissimus Princeps ac Dominus Dn. Carolus Ferdinandus* Dei Gratia Poloniae et Sueciae Princeps, Episcopus Plocensis et Uratislaviensis etc. etc. *Falck Polonus* sculp. *Georgius Forsterus* excudit.

5. *Illustrissimus Dominus Dns. Achatius de Przyłek Przyłęcki* Castellanus Oswiecimensis in Piotrkowice et Zembrzice Dns et Haeres. *D. Schultz* pin. *Georgius Foersterus* excud. *J. Falck* sculp. Stockholmiae. 1652.

6. *Illustrissimus Dominus Dns Lucas Comes de Bnin Opaliński* Marescalcus Rubiessouiensis etc. etc. Praefectus. *D. Schultz* pin. *J. Falck* sculp. *G. Foersterus* excud. 1653.

7. *Illustrissimus et excellentissimus Dns Dns Georgius Comes* in Wisnicz et Jarosław *Lubomirski* Sac. Rom. Imp. Princeps Supremus Regni Poloniae Marescalcus, Generalis Cracoviensis, Premisliensis, Scepusiensis, Chmielnicen-



sis, Nizinensis etc. etc. Capitaneus. *D. Schultz* pinx. *J. Falck* sculp. *G. Foersterus* excud. 1653.

8. Illustrissimus et celsissimus Princeps Dominus *Boguslaus Radziuil* Dei Gratia Dux Bierzarum, Dubincorum Sluciaie et Copiliae, Sac. Rom. Imp. Princeps, Comes Stabuli Magni Ducatus Litvaniae, exteranei in Regno Poloniae exercitus atq. custodiae Regy corporis generalis Branscensis Barenis Posternentensis etc. etc. Gubernator. *D. Schultz* pin. *J. Falck* sculp. *G. Foersterus* excud. 1654.

9. Illustrissimus ac reverendissimus Dominus Dns. *Petrus Gembicki*, Episcopus Cracoviensis, Dux Severiensis etc. etc. *J. Falck* Polonus sculp. *Georgius Foersterus* excudit.

10. Illustrissimus et excellentissimus Dominus Dn. *Adamus* in *Czasniki a Casanow* Curiae Regni Poloniae Mareschalcus, Bor. Sol. Cosn. Nef. Warecen. Gubernator, Pragae ad *Vistulam* Dn. et Haeres. *Falck. G. Foerster.*

Podług Heinekena Dict. des artistes IV, 499, obraz malował *Danckerts*; lecz Heineken mylnie pisze nazwisko *Adamus* in *Czapsky Marchal de la Couronne*, gdyż to jest in *Czasniki*. *Kraszewski* zrobił z tego dwie ryciny: jedną *Kazanowskiego*, a drugą jakoby *Adama Czapskiego*. Jestto proste przeoczenie, gdyż takiej ryciny *Falcka* nie ma, ani też *Adama Czapskiego* marszałka nadwor. wcale nigdy nie było.

11. Illustrissimus ac reverendissimus Dominus Dn. *Andreas de Leszno Leszczyński*, Episcopus Camenecensis, Nominatus Culmensis et Pomeraniae, Praepositus Plocensis, Regni Poloniae Vice-Cancellarius. *J. Falck* Polonus sculp. *Georgius Foersterus* excudit.

12. Illustrissimus et excellentissimus Dns. Dns. *Boguslaus Comes in Leszno Leszczyński* Pro Cancellarius Regni, Generalis Majoris Poloniae, Samboriensis, Medziricensis, Bygdosciensis, Ostrzensis, Człachoviensis, Borzechoviensis, Osiecensis etc. etc. Capitaneus. *D. Schultz* pin. *J. Falck* sculp.

13. Illustrissimus et excellentissimus Dominus, Dn. *Venceslaus a Leszno Leszczyński* Cancellarius Regni, Majoris Poloniae Generalis, Varecensis Camionecensis etc. etc. Capitaneus. *J. Falck* Polonus sculp. *Georgius Foersterus* excudit.

14. Illustrissimus ac reverendissimus Dominus, Dominus *Matthias Lubieński*, Archiepiscopus Gnesnensis, Legatus natus, Regni Poloniae Primas, Primusq. Princeps. *Danckerts* pinxit. *J. Falck Polonus* sculp. *Georgius Foersterus* excudit.

15. Illustrissimus et excellentissimus Princeps Dominus Dn. *Georgius Dux in Ossolin*, S. R. J. Princeps, Comes a *Thęczyn Ossoliński*, Lubomlen, Adzelen, Rycen, etc. etc. Praefectus Supremus Regni Poloniae Cancellarius. *J. Falck Polonus* sculp. *Georgius Foersterus* excudit.

16. Illustrissimus ac reverendissimus Dominus Dn. *Stanislaus de Buzenin Pstrokowski* Episcopus Chelmensis, Abbatiae Tinecensis Administrator. *Danckerts* pinxit. *Falck Polonus* sculp. *Georgius Forsterus* excudit.

17. Illustrissimus ac reverendissimus Dominus Dns. *Georgius Tyszkiewicz* Episcopus Vilnensis, S. D. N. Papae Praelatus Domesticus etc. etc. *J. Falck* sculp. *Georg. Foersterus* excudit.

Inne wizerunki.

18. *Daniel Dilgerus* Gedanensis in patria Evangelicus Doctor et Theologus ad Annos L obtime meritus. Nat. an. MDLXXII ob. an. MDCXLV 4 Cal. Martij. 4-wiersz Mochingera: Ecce sacrum Gedani fulmen.... *S. Waegener* pinx. *J. Falck* sculp. 1648.

19. *Nicolaus Copernicus*. 12<sup>o</sup> wiersz: łaciński Barlea: Naturae novus.... *J. Falck* sculpsit.

O tej rycinie ma tylko domysł *Kraszewski*; jest w Paryżu w bibliotece cesarskiej.

20. Nobilissimo viro, domino a *Twenhusen* Pictori laudatissimo, atque amico suo plurimum colendo, coelo a se expulsam hanc effigiem, in duratorum amoris atque studii monumentum, libenter et ultro exhibuit *Jeremias Falck*.

Wizerunek podobny *Helmicha van Thwenhusen*, malarza w Gdańsku pracującego, przez *J. Falcka*, znajduje się przy dziele *Jana Heweliusza*: *Selenografi a sive Lunae descriptio*. Gedani 1647, fol.

21. Przy temże dziele jest wizerunek samego *Jana Heweliusza* astronoma gdańskiego. *Helmich à Thwenhusen* pinxit. *Jerem. Falck* sculp. 6<sup>o</sup> wiersz: łaciński podpisany: *Johannes Mochingerus f. Contemplare virum...*

22. Illustrissimo et excellentissimo domino dn. *Hieronymo in Radziejowice Radziejowski* Pro Cancellario Regni Poloniae, Lomensis, Bielsensis, Varencensis, Kozienicensis, Solecensis, Kamiencensis etc. Gubernatori, Haeredi in Kryłow, Dno. suo gratiosissimo hanc S. Exc. ae effigiem coelo exsculptam, dicat, dedicat, consecratqu. *Je. Falck* S. R. M. Sueciae Chalcographus. Oval, w okolu napis: Invulnerabile est non quid non feritur, sed quod non laeditur. *H. Munnich-houen* pin.

Ta rycina była zapewne w Szwecyi odbita, lecz należy do zbioru polskiego (1652).

23. *Janusz książę Radziwiłł* wojew. wileński hetman W. Lit. *S. Schultz* pin. *J. Falck* sculp.

Należy może do wydań Foerstera, lecz tego z pewnością nie wiemy.

24. *Joh. Casimirus* Rex Poloniae.

25. *Gabriel Schumannus* Consul et Camerarius Gedanensis. *L. de Neeter* pin. *J. Falck* fec. 1654.

26. *Nathanael Schmieden*, radzca czyli konsul gdański. Czterowiersz: quos cernis, Lector, vultus ac ora *Schmideni*..... *J. Falck* sculpsit. *Daniel Lagus* D.

Ryciny za malarzem gdańskim *Adolfem Boy*.

27. Dn. *Constantinus Ferberus* Praeconsul Gedan. *Ferberi* effigies eadem virtutis imago est, sculpi aliter facies tam veneranda nequit. V. F. S. G. *A Boij* *J.* delineavit. *J. Falck* sculp. Hamburgi.

28. Ut *Mochingerus* tabula spectetur in illa

Artificis frustra est ingeniosa manus

Corporis est, quidquid pictor depixit, imago

Mens, quam non pinxit pictor, imago Dei est.

*Adolf Boij* pinxit—*Jerem. Falck* sculpsit.

*Joachim Mochinger*, pastor u S. Katarzyny w Gdańsku.

29. *Stuvius Dantiscanus*. 4<sup>o</sup> wiersz łaciński: Aedibus hic coluit.... *A Boij* pinx. *J. Falck* sculp.

30. *Postać duchownego nad grobem swoim*, malowana przez *A. Boya*, sztychowana przez *J. Falcka*. Przytacza tę rycinę *C. H. de Heineken*, Dict. des artistes 1789, III, 284; atoli jej nie widzieliśmy.

31. *Piramides* ante fores Regii Hospitii in foro Civitatis Gedanensis collocatae. Anno MDCXLVI.

Dwie piramidy otoczone winną latoroślą, połączone wieńcem na którym orzeł z głoską A. cyfry: L 4—LM (Ladislaus IV Ludovica Maria). Posągi Dyanny i Apollina. Napis: protegat ingressus.... Pod posagami bożyszcz 12<sup>o</sup> wiersz: łaciński. *ABoij* figura. *Falck* incid.

32. *Arcus* circa festivitatem Regiarum nuptiarum in medio Longae Plateae Civitatis Gedanensis erectus Anno MDCXLVI.

Na Karyatydach oparty łuk słoneczny, pod nim słońce i miasto Gdańsk. U dołu: Inscriptio *Arcus*. Versus Occidentem. Versus Orientem. Po 4 wiersze łacińskie. *ABoij* *Dantis*. deline. *Falck* *Polon.* sculps.

33—34. *Brama* tryumfalna na wjazd do Gdańska królowej Maryi Ludwiki 1646 r., wystawiona z rysunku *Adolfa Boy*, na której odmalowane czyny Herkulesa w 6iu obrazach. Za *A. Boyem* sztychował *J. Falck*. Dwie ryciny fol.

35. *Porta honoris* quam Serenissimo, Potentissimo, Invictissimo Principi Vladislao VI (sic) Dei Gratia Poloniae Regi etc. etc. etc. Domino suo clementissimo Magno in sua Prussia hospiti errexit et obtulit Andreas Scato Gedani A. D. 1646. *J. Falck* fecit 1646.

U góry w owalu portret Wład. IV, na dwóch słupach herby państwa. Jest w zbiorze drezdeńskim. Taż rycina znajduje się w zbiorze zakładu Ossolińskich we Lwowie, przywiedziona przez J. I. Kraszewskiego, ma tamże niedopatrzony przezemnie podpis: *Georg Foersterne* excudit. Gdyby tak było, to rycina ta należałaby do zbioru wydań Forsterowych.

36. Karta tytułowa do Jana Heweliusza *Selenografia sive Lunae descriptio*, Gedani 1647. *Adolf Boij* delineavit. *J. Falck* *Polonus* sculpsit.

37. Karta tytułowa do Jana Heweliusza *Machina coelestis* Pars prima, Gedani, 1673. *A. Boy* delineavit. *J. Falck* sculpsit.

Taż sama rycina powtórzona przy drugiej części tego dzieła: Pars posterior r. 1679. Ta rycina przedstawia wizerunki w całych postaciach czterech astronomów: Hiparcha, Ptolomeusza, Kopernika i Tycho Brahe.

38. *Civitatis Gedanensis Porta lapidea ad ingressum Platae longae ab Architecto Abrah. Block anno 1612 extracta, et octo statuis a Petro Ringeringo sculptii ornata. Anno MDCXLIX. Caspar Gockhellen del. Jerem. Falck sculp.*

39—46. *Ośm posągów z powyższej bramy, przez Piotra Ringeringa rzeźbiarza wykonanych, wyobrażające ośm cnot w postaci niewiast. Je. Falck deline et sculps. P. R. Fol.*

a) *Prudentia.*

b) *Pietas.*

c) *Justitia.*

d) *Concordia.*

e) *Pax.*

f) *Libertas.*

g) *Ubertas.*

h) *Fama.*

Pod każdą dwuwiersz łaciński i niemiecki.

47—72. *Libellus novus elementorum Latinorum cum aeneis picturis usui Aurifabrorum inservientib. Invenit et edidit Joh. Christian Bierpfaf S. R. M. Pol. et Suec. Aurifaber Aulicus nunc Civis Thorunen. Sculpsit Jeremias Falck Hamburgi.—Spectabili et ingeniosis viro Dn. Andrea Makensen Civi et Aurifabro Gedanensi Amico suo observanter colendo dedicat autor 4.*

Rycin 26, przedstawiające wzory dla złotników, oznaczone *I. C. B.* in *I. F.* sculp. Dzieło dziś bardzo rzadkie.

73. *La bibliothèque d'un Polonais.* Wśród księgozbioru pan Polski, przed nim postać cudzoziemska. Avant lettre znajduje się w zbiorze Drezdeńskiin. Zdaje się być kartą tytułową do jakiegoś dzieła.

74. *Kobieta z koroną w ręku i księgą na kolanach, siedząca na postumencie; poniżej dwoje dzieci.* Spodem zdanie po niemiecku z Tymoteusza. *Boij* inv. *Falck* scu. Jest to zdaje się rycina do jakiegoś dzieła.

75. Karta tytułowa do dzieła: *Andr. Max. Fredro Monita Politicomoralia Dantisci in Bibliopolio Foersteriano. 1664. A. B.—I. F.* Z rysunku *Boja*, rycina *Falcka*.

76. *W. Sejdel Nachr. ueber Danziger Kupferstecher* (w *Neue Preuss. Prov. Blaetter III, 166*) utrzymuje, że *Falck* w Gdańsku sztychował także za malarzem tamecz-

nym *M. Thiel*; lecz nie przywodzi żadnego z owych sztychów, a nam też wcale znane nie są.

77. Karta tytułowa do dzieła: *Georgii Ducis in Ossolin S. R. J. Principis, Comitis a Tenczyn Ossoliński Supremi Reg. Pol. Cancellarii Orationes....* Dantisci sumpt. G. Försteri Bibl. reg. A. 1647. Prześliczna ta rycina, lubo nie ma podpisu *Falcka*, nie bezzasadnie jemu przypisaną być może. Pierwiastkowo wystawiony był na niej Ossoliński w postawie klęczącej z pochyłą głową. Artysta, na żądanie zapewne samego Ossolińskiego, przerobił główną postać posła, wyobrażając go stojącym. Pierwotne exemplarze musiały być poniszczzone, albo w małej ilości odbite; ztąd też są arcy-rzadkie. Drugie są pospolitsze.

### III.

Ryciny szwedzkie i duńskie z lat 1649—1654, i późniejsze do r. 1662 w Hamburgu wykonane. (Wszystkie portrety owalne).

1. *Serenissimo et celsissimo Principi ac Dno. Dno. Carolo Gustavo, Comiti Palatino ad Rhe. in Bav. Jul. Cli. et Mont. Ducis, Comiti Veldent Spanh. Marcae et Ravensb. Dno. in Ravenst. Sae. Rae. Mtis. Regnorq. Sueciae Praefecto exercituum armorq. per Germaniam Generalissimo, Dno. suo Clementissimo hanc suae Serenitatis effigiem coelo exsculptam, dedicat consecratq. Suae serenitati obsequentissime devotus J. Falckius. D. Beck pinx. J. Falck sculp. et excu. Cum priv. R. S. Stockholmiae 1649.*

2. *Cristina Regina. D. Beck pinx. J. Falck sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae 1649.*

3. *Illustrissimo et generosissimo Dno. Dno. Magno Gabrieli de la Gardie Comiti in Leckoo et Arensburg L. B. in Echolm, Dynastae, in Habsal etc. S. R. M. Regnorq. Sueciae Senatori Gubernatori Generali Livoniae Dno. meo gratissimo humiliter offert dedicatq. J. Falckius. D. Beck pinx. J. Falck sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae 1649.*

4. *Lovys de Geer.—D. Beck pinx.—J. Falck sculp. Stockholmiae 1649.*

5. Perillustri ac generosissimo Dno. Dno. *Leonhardo Torstenstonio*, Comiti in Ortala, L. B. in Wirista, Dno in Forstena Redsta et Rasigk, et S<sup>tae</sup> R<sup>ae</sup> M<sup>tis</sup> Regnorq. Sueciae Senatori, Campi Mareschallo ac. Vest. Goth. Dal. Verm. Hallandiae. Gubernatori Generali, Dno. suo Benignissimo, hanc S<sup>an</sup> E<sup>xo</sup> effigiem coelo exsculptam, dedicat consecratq ejusdem Exc.<sup>tiae</sup> humilis cliens *J. Falckius*.—*D. Beck* pinx. *J. Falck* sculp. et excu. cum priv. R. S. 1649.

6. Perillustri et generosissimo Dno. Dno. *Sewedh Bot* Libero Baroni in Herrclunda, Dno in Skaersholm et Myröo etc. S. R. M. Regnorq. Suetiae Senatori et Camerae Consiliario, Dno suo gratiosissimo hanc suae Excell.<sup>ae</sup> effigiem coelo exsculptam dicat, dedicat, consecratq *J. Falck*. *A. Cooper* pinx *J. Falck*. sculp. cum priv. R. S. Stockholm 1650.

7. Tenze z podpisem szwedzkim: Friherre *Sewedh Both* Sweriges Rikcs Radh och Camaradh.—*A. Cooper* pinx. *J. Falck* sculp. cum priv. R. S. Stockholm 1650.

8. Perillustri et generosissimo Dno. Dno. *Gabrieli B. F. Oxensterna* L. Baroni in Mörby et Lindholmen, Dno in Rosenbergh etc. S. R. M. Regnorq Sueciae Senatori et Thesaurario Magno, Wermlandiae Judici provinciali, Dno suo gratiosissimo hanc suae Excell.<sup>ae</sup> effigiem coelo exsculptam dicat dedicat consecratq *J. Falck*.—*D. Beck*. pinx.—*J. Falck* sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae 1650.

9. Illustri ac Generoso Domino Dno *Ruperto Duglassio* S. R. M. Sueciae Militiae equestris Generali et Assessori Collegii Militaris Holmensis, Libero Baroni Haereditario in Haittinham, Dno in Schalbii, Zeven et Hochsälten etc. Dno suo gratioso dedicat et offert *Je. Falck* S. R. M. Chalcographus. *D. B.* pin. *I. F.* sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae 1651.

10. Excellentissimus ac generosy Dny. Dny. *Hammerstein* S. R. M. Regnorq. Sueciae Excubia. equestrium Praefecty Generalis etc. etc. *D. Beck* pin. *J. Falck* sculp. et excud. cum priv. R. S. Stockholmiae 1651.

11. Perillustri ac generosissimo Dno. Dno. *Gustavo Horn*, Comiti Björneburgi, B. in Marienburgh, Dno in Hering et Malla etc. S. R. M. Regnorq. Sueciae Senatori et Campi Mareschallo, Finlandiae Australis Judici Provinciali

Equiti Aurato, Dno suo benignissimo hanc ejus Excell<sup>tae</sup>. effigiem coelo a se exsculptam humiliter offert dicat dedicatq<sup>n</sup> *Je. Falck* S. R. M. Sueciae Chalcographus. *D. Beck* pin. cum priv. R. S. Stockholmiae 1651.

12. Perillustri ac generosissimo Dno. Dno. *Johani Christophoro de Konigsmarck* Comiti de Westerwick et Stegehölm, Dno in Rodenburgh et Neuhaus, S. R. M. Regnorumq<sup>n</sup> Sueciae Senatori, Campi Mareschalli Locumtinenti et Ducatum Bremensis et Verdensis Gubernatori, Dno suo gratiosissimo dedicat et offert *Je. Falck* S. R. M. Chalcographus. *D. Beck* pin. *J. Falck* sculp. et excu. cum priu. R. S. Stockholmiae. 1651.

13. Illustri ac generoso Dno. Dno. *Azelio Lillio* Libero Baroni in Kijdes, Hereditario in Löfska, Lötz et Ottersberg etc. S. R. M. Regnorq. Sueciae Senatori, Militiae equestris in Germania quondam Generali, Gubernatori in Pomerania, Misnia, Lipsia et Pleissenburg, nunc vero Consiliario bellico meritissimo Dno suo gratioso dedicat et offert *J. Falck* S. R. M. Chalcographus. *D. B.* pin. *J. F.* sculp. et excu. cum priu. R. S. Stockholmiae. 1651.

14. Perillustri ac Generosissimo Dno. Dno. *Arfwedo Wittenberg* Comiti in Neuburg, Libero Baroni in Loimejocki, Dno. in Yltis ac Yllestadh S. R. M. Regnorq. Sueciae Senatori Tormentorq. Bellicor. Praefecto Generali Dno. suo gratioso offert ac dedicat *J. Falck* S. R. M. Chalcographus. *D. B.* pin. *J. F.* sculp. et excu. cum priu. R. S. Stockholmiae. 1651.

15. Taż sama rycina, ale z odmianą w podpisie: Illustri et generoso Dno. Dno. *Arfrido Wittenberg* Libero Barono in Loimejocki, Dno. in Yltis ac Yllestadh, S. R. M. Regnorq. Sueciae Senatori, Tormentor. Bellicor. Praefecto Generali, ac Consiliario Bellico, Dno. suo gratioso offert ac dedicat *J. Falck* S. R. M. Chalcographus. *D. B.* pin. *J. F.* sculp. et excu. cum priu. R. S. Stockholmiae. 1651.

16. Illustrissimus et excellentissimus Heros Dno. *Jacobi de la Gardie* Comes de Locköo, Baro in Eckholmen, Dom. in Hopsal, Daghöön, Kolka, Kidha, Runsa et Arnöö etc. Eques Auratus etc. R. M. Regnorumq. Sueciae quondam Senator, Marseus et Generalis Campi Ductor, Regii Militaris Collegij Praeses et Judex Provincialis Uplandiae. *J. Falck* sculp. et excu. cum priu. R. S. Stockholmiae. 1652,



17. Perillustri ac generosissimo Dno. Dno. *Axelio Oxenstierna* Comiti Moreae Australis, Libero Baroni in Kijmitho, Dno. in Fiholm et Tydoen, Equiti Aurato, S. R. M. Regnorumq. Sueciae Senatori et Cancellario, nec non Judici Provinciali Norlandiarum Occidentalium, etc. etc. Dno. suo gratiosissimo hanc S<sup>ae</sup> Exc<sup>ae</sup> effigiem coelo exsculptam dicat dedicat consecratq. *Je. Falck* S. R. M. Sueciae Chalco-graphus. D. B. pin. *J. F.* sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae, 1652.

18. *Christina Regina Sueciae*. D. Beck. pin. *J. Falck* sculp. et excu. cum priv. R. S. Stockholmiae 1653. Spodem wiersze łacińskie: Christina arctorum sydus....

Odmienny od poprzedniego z r. 1649.

19. *Taż* w postaci *Minerwy*, czyli *Pallady* z palmą i sową na książkach. 6<sup>o</sup> wiersz: Pingere Suecorum numen... Sacrae Regiae Majestati Sueciae humillimo ac devotissimo animo offertur, dedicaturq. à M. *le Blon*.—*J. Falck* sculp. et excu. cum priv. R. S.

Ta rycina jako publikacya *le Blon*, należy téż do kolekcji paryzkiej, lubo z czasu po odjeździe z tego miasta *Falcka*.

20. Serenissimo et potentissimo Principi ac Dno. Dno. *Carolo Gustavo* D. G. Suec. Goth. Vand. Regi, Magno Principi Finl. Duci Esth. Car. Bre. Ver. Stet. Pom. Cas. et Vand. Principi Rug. Dno. Ingr. et Wism. Nec non Com. Pal. Rheni. Bav. Jul. Cliv. et Mont. Duci, hanc Suae Reg<sup>ae</sup> May<sup>tis</sup> effigiem humilli: offert D. D. consecratq. R<sup>ae</sup> Maj<sup>tis</sup> humillimus et devotissimus *Falck*. 1654.

W pysznej ramie liściastej.

21. Perillustris et generosissimus heros, Dominus *Pontus de la Gardie* L. B. in Eckholm, Dijnasta in Kolcka et Sundbij, Eques Auratus Exercitus Suetici Capitaneus Generalis, et Supremus Livoniae Gubernator. *J. F.* 1654.

22. Serenissimo et potentissimo Principi ac Domino Dno. *Friderico III Daniae, Norwegiae, Gothorum, Wandalarumq.* Regi, Duci Slesuici, Holsatiae, Stormariae et Ditmarsiae, Comiti in Oldenburg et Delmenhorst hanc sua Reg. May. effigiem humill. offert D. D. consecratq. R<sup>ae</sup> M<sup>tis</sup> humillimus et devotissimus *Je. Falck*.—*Je. Falck* R. S. Chalco-graphus sculp. et excu. Hamburgi. 1656.

W pośród wieńca liściastego owalnego.

23. Serenissimus et celsissimus Princeps ac Dominus Dn. *Friderecus Haeres Norvegiae*, Dux Slesvici, Holsatiae, Stormarcae, Dithmarsiae, Comes in Oldenburg in Delmenhorst. *J. Falck* s. Czterowiersz: *Fridericus Princeps* quo non clementior alter....

24. *Hans Schack*. *Van Mander* pinx. *J. Falck* sculp. 1662. Czterowiersz łaciński i niemiecki.

*Karol van Mander* był malarzem nadwornym duńskim, a *Schack* generałem duńskim.

25. Napis dokoła popiersia: *Johannes Thuringus de Wallich* Vinaria Thuringus S<sup>ae</sup> Reg<sup>ae</sup> Maj<sup>tis</sup> Sueciae Secretarius CIOJLXII. *G. Dittmaers* pin. *J. Falck* sc. Spodem 12<sup>o</sup> wiersz: *Hos vultus haec laetae*....

26. Serenissimo ac celsissimo Principi ac Dno. Dno. *Adolpho Johanni* Comiti Palatino ad Rhe. in Bav. Jul. Cli. et Mont. Duci, Comiti Veldent. Spanh. Marcae et Ravansb. Dno. in Ravenst. S. R. M. Regnorumq. Sueciae Praefecto Camerae ac Vent. Goth. Dal. Werm. Hallandiaeque. Gubernatori Generali, Dno. suo clementissimo hanc Suae Serenitatis effigiem coelo exsculptam dedicat consecratq. Suae Serenitati obsequentissime devotus *J. Falck*.

Brat króla szwedzkiego *Karola Gustawa*.

27. Tenże. *Joh. Adolphus* Comes Palatinus. *D. Beck* pinx.

28. *Comes de Arnsburg*. *Beck*. pin. *J. Falck*.

Tej ryciny nie widziałem; być może, że to jest ten sam wizerunek *Gabryela de la Gardie*, który przytoczony był wyżej. Zostaje wątpliwość do sprawdzenia.

29. Illustrissimo Domino Dno. *Petro Brahe*, Comiti in Wisingsborg, L. B. in Caiana, Dno. in Rijdboholm, Lindholm, Brahelinda et Bogsand, R. S. Senatori Drotzeto, Judicii Regii Summo Praesidi, Legifero Wesmanniae, Montanorum ac Dalekarliae, nec non Magni Finlandiae cum Orientali Botnia et Alandia, Generali Gubernatori humiliter dicat, dedicat, consecratq. *J. Falck*.

30. *Ticho Brahe*, Astronom. Non habere sedesse.

Sztychowany w Hamburgu.

31. Illustrissimo et excellentissimo Dno Dno *Carolo Gustavo Wrangelio* Comiti in Salmis, L. B. de Lindenburg,

Domino in Schorkloster, Bremerkerdae, Wrangelsburg, Spicker et Restorp, S. R. M. Regniq Sueciae Senatori, Campi. Mareschallo, nec non Status Maritimi ut et Classis totius Regni Vice Ammiralio, Dno suo clementi officiosissime offert et d. *Jeremias Falck*.—*D. Kloeker* pinx.

Portret konny, sztandary, wojsko. Jest w Paryżu w bibl. cesarskiej.

32. *Prince Contrand Duc de Mechelburg*.—*D. Cloecker* pinx. (Catal. de Winckler III, 333).

33. Nie nazwany wizerunek *Karola XI króla Szwedzkiego*.—*D. Kloecker von Ehrenstrahl p. J. Falck* (R. Weigel, Kunstkatalog XXIV, 55 Nr. 18,951).

34. *Molier*.—*J. Falck* scu.—*D. Cloecker* pin.

Tak oznaczona rycina w jednym ze zbiorów paryzkich; jednak jest to dla nas rzeczą wątpliwą, żeby to był wizerunek Moliera.

*Dawid Kloecker von Ehrenstrahl* szwedzki nadworny malarz. Powiada Nagler VII, 65, że za nim sztychował między innymi także *J. Falck*. Być może, iż jest i więcej wizerunków tego malarza, sztychowanych przez naszego artystę.

35. Karta tytułowa z napisem: *Koeniglichen Schwedischen in Teutschland gefuehrten in Kriegs—Ander Theil. Stockholm betruckt und verlegt durch Johannem Janssonum Regium Typogr. 1653:—Bourdon deline. Falck sculpsit.*

Gustaw Adolf w obłokach na orle podaje maczuga Krystynie. Geniusz sławy ryje napis.

#### IV.

*Sztychy wykonane w Holandyi i Hamburgu,  
z lat 1655—1663.*

Portrety:

1. *Hugo Eberhardus Cratz*.

2. *Joannes Mueller* SS. Theol. D. R. Ministerii Senior Ecclesiae Petro-Paulanae Pastor Schol. Inspector Hamburgi An. Chr. MDCLVI aetatis 59 (napis dokoła owalu).—

*G. Dittmaers* pin. *J. Falck* sculp. 4<sup>o</sup> wiersz Ostermana: *Quem cathedrae saxo...*

3. *Christianus Woldenbergius* Doctor Philos. Crema Holsatus. *F. de Neijs* del. *J. Falck* fe. Hamburgi 1657.

4. *Adrianus Spigelius* Bruxellensis, Eques D. Marci, in Gymnasio Patavino Anatomiae et Chirurgiae Professor Primarius aetat XLVI (napis wkoło owalu). *J. Falck* f. 12<sup>o</sup> wiersz: *Quem terris Bruxella....*

5. *Die Herzogin von Massavia*. Pani *Gwinn* nałożnica Karola II, króla angielskiego; siedząca. Z obrazu *Piotra von der Fees*, zwanego *Peter Lely*. (Przywodzi *J. C. Schultz*, *Ueber altert. Gegen. in Danzig* 1841 str. 56).

6. *Joannes Tristanus* Dominus a Sancto Amante et Putei Amoris. *Jeremias Falck* fecit.

7. *M. Hartuicus Wichelmanus* Lunaeburgensis Philosophus insignis, aetatis suae 35. *P. Westphahl* pinx.—*J. Falck* Polonus sculp. Dwuwiersz francuzki.

Jeden z najpiękniejszych *Falcka*. *Filip Westphal* malarz Krolewiecki.

8. *Ulrichus Wolicius* (Wolich). Arkusz mały.

Obrazy mistrzów włoskich, flamandzkich i t. p.

Ryciny z galeryi Gerarda Reynst, zbioru zwanego *le Cabinet de Reynst* (z lat 1655—1663).

Gerard Reynst, jak to powszechnie wiadomo, burmistrz amsterdamski, był posiadaczem tamże bardzo znakomitej galeryi. Zamierzył ogłosić ją w sztychach, a do tego użył kilku biegłych rytowników, między którymi obecnego wtedy w Amsterdamie *Falcka*. Już od r. 1655 pracował *Falck* czynnie do tej publikacyi, która i po nastąpionej śmierci samego Reynsta przez jego wdowę posuwaną dalej była, a najwięcej rycin wykonywał *Falck*. Zbiór ten otrzymał tytuł:

Variarum imaginum a celeberrimis artificibus pictarum caelaturae, elegantissimis tabulis repraesentatae. Ipsae picturae partim extant apud viduam Gerardi Reynst, quondam hujus urbis Senatoris et Scabini, partim Carolo II Britanniarum Regi a Potentissimis Hollandiae Westfrisiaeque ordinibus dono missae sunt. Amstelodami.

Wiadomość szczegółową o tej publikacyi przekazał Heinecke, w dziele: *Jdée générale d'une collection complet-*

te d'estempez. Leipsig et Vienne 1771, str. 82 i dalsze. Powiada, że było w niej rycin z obrazów sztuk 33. Na nieszczęście ta kolekcya czyli gabinet Reynsta, nigdzie dziś podobno w zupełności nie znajduje się dochowany. W zbiorze rycin drezdeńskim jest on z kartą tytułową, lecz nie całkowity; w zbiorze berlińskim jest exemplarz przedtem Naglera rycin 34 obejmujący. Gdzieindziej równie nie zdarzyło mi się widzieć go w stanie niewątpliwego kompletu, zwłaszcza, że dzieło samo nie miało swego spisu. Ztąd nie można téż dziś z pewnością powiedzieć, wiele i które ryciny do tego zbioru wykonał nasz rytownik *Falck*. Różni rozmaicie je przytaczają: A. Hagen twierdzi, że ich było 15; widocznie było ich więcej. Jakkolwiek bądź, w takiej wątpliwości, upewnienie się czyli ta lub owa rycina *Falcka* należała rzeczywiście do zbioru gabinetu Reynsta, mniej jest dla nas ważne; dość że wiemy, iż jest jego dziełem, i za którym malarzem wykonana. Przytaczamy tu z kolei wszystkie te jego sztychy, do gabinetu Reynsta z pewnością, czy nawet wątpliwie przypadające.

1. *Giac. Bassano*.—*Chrystus upadający pod krzyżem* (w zbiorze rycin drezdeńskim).

2. *Abr. Bloemaert*.—*Jan chrzciciel każe na puszczy do ludu*.—*Bloemert* pinx. *J. Falck* Polonus 1661.

Naczelne dzieło *Falcka*; u mnie exemplarz avant la lettre.

3. *Michel Angelo Amerigi da Caravaggio*.—*Cyklopy w kuźni*. Czterech ludzi nagich kujących na kowadle; na ziemi pancerz i hełm. *Migelangelo de Caravagio* inventor. *J. Falck* Polonus sculp.

4. *Antoni van Dyck*.—*Ukrzyżowanie Chrystusa*.

5. *J. Fr. Barbieri, il Guercino da Cento*.—*Semiramis otrzymuje wiadomość o wybuchu buntu w Babilonie*. *Guercin del Sento* pinx. *J. Falck* sculp. *F. de Wit* excud.

U mnie dwa exemplarze, z których jeden avant la lettre.

6. *Tenże*.—*Estera i Mardocheusz*.

7. *Tenże*.—*Koncert z 4 osób; pół-postacie* (M. Huber, *Notices* str. 404; Nagler). Inni przypisują obraz malarzowi *Giorgio Barbarelli Giorgione* (F. Faber, *Convers. Lex* V, 101; R. Weigel XIII, 40).

8. *Jakób Jordaens.*—*Satyr z koszem owoców, obok Ceres i inna postać niewieścia.*

9. *Jan Lys.*—*Zgromadzenie osób obojg płci, obraz zwany zwykle Bordel.*

10. *Tenże.*—*Mężczyzna i niewiasta śpiewający czy śmiejący się. Młodzieniec dzwoni nożem wszczypce komi-nowe.*—*J. Falck Polonus.*

11. *Tenże.*—*Stara zalotnica przy gotowalni, dwie sługi.*

12. *Tenże.*—*Narodzenie Chrystusa.*

13. *Giacopo Palma il Vecchio.*—*S. Rodzina przyjmuje ofiary, czyli ubóstwienie Magów i pasterzy.*

U mnie 2 exemplarze, z których jeden avant la lettre.

14. *Guido Reni.*—*Pictoria ars. Niewiasta siedząca z paletką w ręku, wieńczona przez Amorka.*

Jest u mnie w dwóch exemplarzach, z tych jeden avant la lettre.

15. *Andrea Vannuchi del Sarto.*—*Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus i ś. Anną. Podług innych Rafael albo Giulio Romano.*

U mnie azoant la lettre.

16. *Andrea Schiavone.*—*Chrystus krzyż miosący.*

17. *Tenże.*—*Okazanie Chrystusa dzieciątko w świątyni (w gabinecie drezdeńskim).*

18. *J. Tintoretto.*—*Esau sprzedaje pierworodzstwo Jakubowi.*—*J. Tintoretto pinx. J. Falck Polonus sculp. 1663.*

19. *Tenże.*—*Strzelec z zającem, obok dwie postacie; oświetlenie księżycy.*

20. *Titiano Vecelli.*—*Nawiedzenie pasterzy (w gabinecie drezdeńskim).*

Inne ryciny.

1. *Mikołaj Berghem.*—*America.*—*J. Falck sculp.*

Heineke Dict. des artistes II, 520 powiada, że ta rycina jest przedtytułową, frontispice do jakiegoś dzieła. Arkusz wielki.

2—5. *Tenże.*—*Cztery części świata. W postaciach ludzkich, ozdobione zwierzętami. Cztery ryciny fol.*

W spisie rycin za M. Berghemem wykonanych u Heinekena widzimy, że do atlantów i mapp robił rysunki części świata w postaciach ludzkich. Podwyższe także pewno z jego pomysłów są sztychowane.

6. *Sebastyan Bourdon*.—Bruillot Dict. des Monogr. II, 188 utrzymuje, że *Falck* za nim sztychował; tak samo przed nim twierdził Fuessli str. 226, tudzież Bazan I, 208. Nie znamy tych robót.

7. *J. Jordanes*.—*Stara zalotnica przed zwierciadłem z różą w ręku, otoczona służebnemi*. 4<sup>o</sup> wiersz holenderski: Ilet deugt saem....

8. *Jan de Lys*.—*Wizya S. Piotra. Johannes Lis pinxit. Nicol. Vischer excud. Cum privilegio Ordinum Hollandiae et Westfrisiae*.

Napis: Petrus in mentis excessu....

*N. Visscher* nakładca, Kunsthändler. U mnie dwa exemplarze, jeden z nich avant la lettre.

9. *Tenże*.—*Wizya S. Pawła*. Odpowiedni tamtemu, pendant.

U mnie avant la lettre. ■

W gabinecie drezdeńskim te dwie ryciny włączone do gabinetu Reynsta, lecz zdaje nam się błędnie. Gw. Pawlikowski mówi o dwóch rycinach odmiennych: *S. Piotra* podług *Van Lys*, przez *Falcka*; atoli myli się w tém, biorąc tamtą *S. Pawła* za drugą *S. Piotra*.

10. *Piotr Van Mol*. F. Bazan Dict. des graveurs I, 208, a za nim Fuessli str. 226 utrzymują, że z obrazów *Mola* sztychował *J. Falck*. Rycin tych jednak nie znamy.

11. *Erazm Quellinus*.—*Minerwa czyli Pallas z dzidą i tarczą*. *Je. Falck sculp. aqua fort. 1656*. Jedyna tego rodzaju jego praca.

12. *Eneas Salmeggia il Talpino di Bergamo*.—*S. Jan mający napawać baranka*. 4<sup>o</sup> wiersz: Hinc fons inde Agnus.... *Eneas Salmatia Bergo. inven. Arkusz mały na poprzek*.

Ta rycina bez podpisu, przypisywana jest *Falckowi*.

13—15. *Joachim von Sandrart*. Z zbioru 12 miesięcy w 12 obrazach, dwa są *Falcka*:

a). *Januarius*. Starzec w futro odziany, grzejący się przy kominie. 8<sup>o</sup> wiersz C. Barlaeusa: Janus adest.... *Joachimus Sandrart pinx. et excudit Amstel. Jer. Falck sculpsit*.

Na exemplarzu moim dodatek: zu finden in Nürnberg beij Funcken sel. Sohn.

b). *Martius*. Rybak z fajką w ustach i w prawej ręce, lewa w zanadrzu. 8° wiersz: *Martius hic.... Joachimus Sandrart pinx. et excudit Amstel. Jer. Falck sculpsit.*

Na moim exemplarzu wypuszczone słowa: et excudit Amstel. Jest ta sama rycina, ale odwrócona, z napisem: *Gerard Valck*. Może naśladował z *Jer. Falcka*. Tych wszakże dwóch rytników za jedno brać i z sobą mieszać nie należy, a pracowali oba prawie współcześnie.

16. *Tenże*.—*Dies*. Młodzieniec z kwiatami. 8° wiersz: *Pulchra dies.... Joah. Sandrart. Jer. Falck.*

17. *Tenże*.—*Taż rycina*, w większym nieco rozmiarze. *Joachimus Sandrart pinxit. Jer. Falck sculpsit.*

Nagler, a za nim Kraszewski, mylą się mówiąc: że Falck sztychował Noc Sandrarta, pendant rycina Dnia; właśnie odwrotnie.

18. *Tiziano Vecelli*.—*Chrzest Chrystusa*. *Titian pinxit*. Arkusz wielki. Tę rycinę przypisują Falckowi; jest w moim zbiorze.

19. *Paulo Cagliari Veroneze*.—*Narodzenie Chrystusa*. *P. Cagliari pinx. J. Falck sculp.*

20. *Tenże*.—*Chrystus upadający pod krzyżem*. *P. Veronees pinx. J. Falck sculpsit. F. de Witt excudit.*

21. *Flora*, kobieta z głową uwieńczoną w kwiaty. *J. Falck sculp. A. Bloeteling excud.*

22—25. *Czterej ewangelści*. Pół-postacie, 4°.

26—43. *Aufzug etzlicher Amazonischen Heldinen*. 1655. *J. Falck excudit Hamburgi*. 16°.

18 małych rycinek.

44—62. *Diverses exercices de Cavalerie*; a *Hambourg chez J. Falck*. 16°. Bez roku.

19 małych rycinek.

Dwa te niezmiernie rzadkie dziełka, znajdują się w prywatnym zbiorze A. C. w Paryżu. W obu rysunek i rylec ten sam, a rycinki tak są do siebie podobne, że tylko długością stroju kobiet rozróżnić można oba zbiory. Na każdej rycinie dwie lub trzy osoby zbrojne na koniach.

63—78. *Novae et exquisitae Florum Icones hujus generis artium cultoribus perutiles maxima cura delineatae et tabulis aeneis incisae per Jeremiam Falck*. *Hamburgi An.*



1662. T. Amsterdam gedruckt bij *Fredrick De Wit* in der Kalverstraet bij den Dam in de Witte paskaert.

W zbiorze prywatnym w Paryżu X. W. C. znajdują się z tego dzieła 4 ryciny, oznaczone liczbami 1, 8, 11, 13. W zbiorze drezdeńskim jest z tytułem sztuk 16. Może w całości dzieła jest ich więcej.

79—94. *Verscheyde nieuwe Tulipen en andere Bloemen*. Gedruckt tot Amsterdam, by *Frederick de Widt*, inde Culverstraet by den Dam, inde Witte Pas Cuert.

Bez roku i podpisu sztycharza. 16 rycin przeslicznych 8°, z kartą tytułową, numerowanych 1—16. Są w zbiorze moim, a uchodzą za roboty *J. Falcka*, czego prawdopodobieństwo poświadcza dzieło poprzednie, takż w Amsterdamie przez Fryd. de Witt wydane.

Ogólne zebranie znanych obecnie dzieł rytowniczych *Jeremiasza Falcka*.

Sztychy paryzkie z lat 1641—1646. . . . .	83
„ gdańskie polskie od r. 1647—1663 . . . .	77
„ szwedzkie i duńskie od r. 1649—1662. . .	35
„ w Holandyi i Hambur. z lat 1655—1663	122

---

razem sztuk 317.

## KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Rzeźbiarstwo na wystawie: Cromwell, studium historyczne pana Renée.—Oreste, dramat Dumasa przerobiony z greckiego. — „Obiaduję z matką”; noworoczna elegia teatru Gymnase.—Korsarz, balet w trzech aktach.

Sztuka rzeźbiarska, owoc naturalny cywilizacji pogańskiej, który dojrzewał swobodnie pod szafrowem niebem Grecyi, za naszych czasów jest egzotyczną rośliną, hodowaną starannie w gorącej szklarni, często wątłą i chorą miłośniczką gorliwej pieczy. Ogólne to spostrzeżenie nie znaczy bynajmniej, że dziś już nie ma genialnych rzeźbiarzy, ale stosuje się jedynie do samej sztuki:—stwierdza fakt dowiedziony wystawą powszechną.

Pierwszym warunkiem rzeźby jest nagość. Tu nam zarzuci kto zapewne, że istnieją bardzo piękne statuy, całkowicie draperyą zakryte. Zarzut ten nie zbija wcale powyższego twierdzenia: draperya powiewa wkoło ciała, jak forma około ideału, przyklejając się doń miejscami, miejscami spływając w lekkich fałdach i uwydatniając kształty, które niby zakrywa: jestto komentarz, który idzie krok w krok za tekstem i tłumaczy go, igraszka dmuchającego wietrzyka, akompaniament pieśni, wszystko, co kto chce, byle nie ubiór, bo nic mniej niepodobne do rzeczywistego ubioru jak draperya wedle pojęcia starożytnych. Nagość jest pierwszym warunkiem rzeźby dlatego, że najdoskonalszą formą, jaką człowiek pojąć może, są jego własne kształty. Wyobraźnia ludzka dalej nie sięga; oddanie ludzkiego ciała wolnego od wszelkiej wady i skazy, stanowi ideał

piękności. Greckie i rzymskie bogi chcąc być widzialni, w ludzką wcielali się formę, karraryjskim marmurom poruczając swą ziemską nieśmiertelność.

Obyczaje ówczesne sprzyjały postępowi sztuki rzeźbiarskiej: łaźnie, gimnastyka, cyrki i obchody publiczne, dostarczały nieustannie czystych wzorów artyście; piękność, jako expressya ideału, zajmowała wszystkich myślicieli. Platon w sławnej definicyi nazwał *piękno: splendorem prawdy*.

Ciało raz uznane za formę ideału, szlachetniało co dzień pod dłutem artysty; każda poza była oddawana wedle praw wyrezonowanej estetyki, każde bóstwo, każdy bohater otrzymał swój typ właściwy, i zaczęto wykuwać owe białe marmurowe poemata, których oderwane strofy dobyte z ziemi przypadkiem, dodziśdnia są podziwem sztukmistrzów i wzorem dla artystów.

Pierwotni chrześcijanie mając w świeżej pamięci orgie rzymskie, czuli mimowolny wstręt i pogardę dla rzeźby; w arcydziełach Fidiasa, Praxitelesa, Lysippa i Myrona, widzieli tylko pogańskie bałwany: w tych posągach chociaż uduchownionych do najwyższego stopnia, jeszcze raziło ich ciało. Ludzie ci potężni, co nieubłaganą walkę wydali materji, co ją w sobie nieustannie dręczyli postami i wszelką męczarnią, nie pojmowali dziecinnego spokoju artysty, który w najpowabniejszej formie widzi tylko sposób uwidomienia poczętego w duszy ideału. Starożytne rzeźby wzgardzone od tych mężów, co żyli wyłącznie jedną myślą najwyższą; pokruszone maczugą dziczy, płynącej z Północy, runęły i zaginęły prawie, przysypane kurzawą wieków. Aż zwrot epoki odrodzenia do pogańskiej formy, wskrzesił je na nowo.

Wprawdzie średniowieczni artyści wykuwali po katedralnych przedsiódkach smukłe figurki z pochyłą główką, podobne do kwiatu męki Pańskiej zwieszonego na wątlęj łodydze, z wyrazem smutnie powabnym jak uśmiech chorego dziecięcia; ale pracowite utwory tych tęskniących za niebem ludzi, nie są wyrazem nieśmiertelnej sztuki.

Dopiero za epoki odrodzenia, niedość głęboko pogrzebana starożytna rzeźba, wstała z grobu i ukazała jeszcze raz światu w słonecznym blasku marmurowe oblicza bogów

Homera, Fidiasa i Wirgiliusza, które na kłęczkach kopiował Michał Anioł, Donatello, Benvenuto i inni.

Odtąd tradycya przechowała się święcie, ale rzeźbiarstwo istnieje jako język martwy, np. greczyzna lub łacina, chociaż we Francyi możni wspierają usilnie tę ze wszystkich najsurowszą i najwznioślejszą sztukę. Canova, Bartolini, Pradier, David, niemniej biegłe od przodków mówili tym piękném marmurowém i bronzowém narzeczem; mimo to rzeźbiarstwo nie może się przyjąć pośród cywilizacyi XIX-go wieku. Ciało nie zdjęło z siebie dotąd rzymską rozpustą zasłużonej kłatwy, a dzisiejsze nasze ubiory nie nadają się wcale dla dłuta. Czyż można sobie wyobrazić statwę we fraku lub paltocie z kapeluszem na głowie? Rzeczywiste zaś kształty ludzkie zobaczyć dziś można chyba na anatomicznym stole. Nowoczesny rzeźbiarz potrzebuje mieć nadzwyczaj potężną imaginacyą, ażeby zdołał wyobrazić sobie człowieka, więcej zakrytego dzisiaj, jak niegdyś tajemnicza bogini Izis.

Mówią, że Goethe przyszedłszy raz nad jezioro z przyjaciелеm swoim Fryderykiem, dorodnym młodzieńcem, prosił go żeby się rozebrał i chodził tak po brzegu, gdyż chciałby zobaczyć jak wygląda człowiek w swęj rzeczywistej formie, odbijający się na tle pięknego krajobrazu. To nic nie znaczące na pozór zachcenie poety-filozofa jest najlepszą odpowiedzią na pytanie: czemu sztuka rzeźbiarska musi zniknąć powoli. Czyż może zająć kogo reprodukcya formy nieznanęj?

Powyższe uwagi stosujące się do wszystkich nowożytnych narodów, stosują się mianowicie do Anglików, których surowa religia, nawet obrazy wygnała z kościołów, a rząd żadnej pomocy nie daje artystom; dlatego usiłowania ich podwójnie cenić należy.

Ze wszystkich wystawionych rzeźb, najciekawszą była wierna kopia ateńskiego posągu Minerwy Fidiasa. Statwę tę nadzwyczaj dziwną i kosztowną wykonał z polecenia księcia de Luynes angielski rzeźbiarz Simart, bardzo sumienny i przesiąkły tradycją sztuki greckiej artysta. Simart, po specyjalnej na ten cel nauce i długich poszukiwaniach, przedstawił Minerwę Parthenonu pomniejszoną do

jednej trzeciej części, czyli do wysokości ośmiu stóp, któryto rozmiar może dać dokładne wyobrażenie o oryginale.

Zanim przystąpimy do dzieła pana Simart, nie zawadzi opowiedzieć pokrótce historią posągu Minerwy ateńskiej, który słusznie uchodzi za arcydzieło sztuki starożytniej.

*Złoto-słoniowe* rzeźbiarstwo tak wysoko cenione u starożytnych, że tylko wolny człowiek mógł się trudnić tą sztuką, nie znalazło naśladowców w nowożytnych czasach; mieszanie tych dwóch chociaż tak zgodnych z sobą materii: słoniowej kości ze złotem, razi wzrok nasz, przywykły do śnieżnej białości rzeźby marmurowej. Jakoż, trudno zaprzeczyć, że przekładanie posągów idealnej białości, w których ciało, włosy i draperye nie różnią się kolorem, jest oznaką uszlachcenia gustu, a to zapatrywanie się abstrakcyjne na rzeźbę, dowodzi, że ludzie mniej są cielesni, kiedy nie tylko zdolni pojąć, ale dają pierwszeństwo bezkolorowej piękności. Jednakże Grecy, którym trudno zaprzeczyć gustu, uplastyczniając kształty swych bogów, chętnie mieszały złoto z kością słoniową, architekturę zaś prawie zawsze kolorowali. Parthenon dotychczas nosi widoczne ślady czerwonej i niebieskiej farby.

Któryż wędrowiec zwiedzający ruiny pełnej cudów ateńskiej świątyni, którą szanował czas, a piękności nie pozabawiła nawet siekiera barbarzyńców; któryż mówię wędrowiec stąpając po tych szlachetnych marmurach nie dźwigał myślą potrząskanych kolumn, a z pomocą planu Careya nie odbudowywał wyobraźnią całego gmachu; stanąwszy zaś przed pustą framugą i widząc jeszcze ślady piedestału statuy Fidiasa, nie malował jej sobie, pożyczając kolorów od starożytnych podań, pełnych uwielbienia dla olbrzymiego posągu bogini mądrości?

Dziwném się wydaje nam, co widzimy kość słoniową tylko w kilku-calowych kawałkach, jak można z niej było kolos wybudować, jak można było do tak wielkiego dzieła użyć materii, która będąc zębem, ma ograniczone przez naturę rozmiary. To też starożytne posągi z kości słoniowej nie były *massif*. Grecy posiadali sztukę rozmiękczenia kości; z tak zmiękczonej wykrawali okrągłej formy deszczułki, któreini jak teraz meble mahoniem, łoniowali z proste-

go drzewa wyciosane statuy, składając z sobą kawałki tak szczelnie, że nigdzie spojenia znać nie było. Tym sposobem mogli robić na pozór z kości słoniowej posągi nieograniczonych rozmiarów: draperye, włosy i ozdoby były ze złotej blachy także na wierzchu przybijane.

Minerwa Fidiasa miała około 37 stóp wysokości, piedestał ośm; przeto ogólna wysokość wynosiła 45 stóp: koniec lancy, którą bogini trzymała w ręku, dotykał prawie sufitu świątyni. Siedzący Jowisz Olimpijski był również olbrzymich rozmiarów. Strabon powiada, że wstawszy byłby głową wybił dziurę w dachu. To uchybienie ogólnej proporcji jest bardzo dziwne u Greków, którzy do najwyższego stopnia posiadali poczucie harmonii kształtów: zapewne było ono umyślne. Olbrzymie formy bożyszczka miały dowodzić wyższości jego nad człowiekiem.

Koszt pokrycia takiego kolosu kością i złotem był ogromny. Fidias zaproponował, żeby ciało Minerwy zrobić z marmuru: ale lud ateński nie chciał słyszeć o takim sknerstwie, zostawiając je sąsiadom jeżeli sobie domowe bogi stawiać zechcą. Zakupiono więc kości i złota. Użyte złoto wynosiło czterdzieści pięć talentów. Perykles, który dobrze znał charakter Ateńczyków, poradził Fidiasowi, żeby części złote przytwierdzał śrubami, celem łatwego odjęcia takowych w razie potrzeby: ostrożność pokazała się zbawienna. Artysta posadzony wkrótce o kradzież przez swych współobywateli, mógł się łatwo usprawiedliwić. Ile kosztowała kość słoniowa, niewiadomo; ale jej cena razem z obrobieniem musiała wynosić tyle co złoto.

Ateńczycy stawiając bogom tak kosztowne posągi, nie schlebiali jedynie próżności swojej: twierdzili słusznie, iż ciepła i przezroczysta białość kości słoniowej lepiej naśladuje ciało niż rażącej białości marmury, a gorący połysk złota przedstawia najwierniej słoneczne draperye, w jakie przystało odziewać bogi. Nie z bogactwa więc, ale z piękności słynął *złoto-słoniowy* posąg Minerwy.

Bogini miała na głowie hełm, na którego grzbiecie, jak powiada Pausanias był Sfinx i dwa smoki; na medalu Aspazjusza, który ma być kopią Minerwy Fidiasa, są nadto dwa Pegazy po obu stronach hełmu, i ośm koni zaprzężonych w poręcz na przyłbicy. Pancierz pokrywał pierś Mi-

nerwy; lancę trzymała w lewej ręce, wspierając ją na złotym puklerzu, który wedle ogólnej proporcji musiał mieć 15, do 18 stóp wysokości. Srodek tarczy wyobrażał walkę bogów z olbrzymami, wojna Amazonek okalała ją wieńcem. Tamto Fidias, któremu zabroniono się podpisać na dziele, umieścił swój portret pod postacią łysego starca, podnoszącego oburącz kamień, i za tę bezbożną śmiałość wtrącony do więzienia, w nim żywot zakończył. Oto zapłata, którą zawistni Ateńczykowie nagrodzili swego sztukmistrza. Ale wróćmy do posągu.

Tunika bogini ułożona w gęste fałdy spadała aż po kostki, odkrywając stopy obute w greckie sandały o kilku podszwach; podeszwy te zastosowane do wielkości statuy miały szesnaście cali grubości: ponieważ zaś taka przesterzeń gładka psułaby efekt ogólny, artysta ozdobił ją płaskorzeźbą przedstawiającą bitwę Centaurów z Lapithami.

W prawej ręce wyciągniętej na przód, Minerwa trzymała *zwycięstwo*: figurkę na sześć stóp wysoką, skrzydlatą, w złotych draperyach, która z ruchem niezrównanego wdzięku podawała bogini koronę. Statuetka ta była jakby arcydziełem w arcydziele; starożytni wyczerpali wszystkie przenośnie i porównania na jej pochwały. U stóp Minerwy wił się wąż, symbol nieśmiertelności, po drugiej stronie leżał Sfinx skrzydlaty.

Nie poprzestając na tyłu ozdobach, Fidias wymyślił jeszcze jedną najświetniejszą: ponieważ puste źrenice marmurowych posągów wydawały mu się niestosowne w twarzy bogini mądrości, w miejscu ich przeto wprawił dwa wielkie karbunkuły, których blask słoneczny miał naśladować pełne życia i inteligencji spojrzenie Minerwy. Emałie kolorowe rozrzucone po draperyach dopełniały świetności tego niezrównanego dzieła.

Co za efekt musiał czynić taki posąg w tej przepysznej świątyni! Najczystsza piękność podniesiona do kolosalnej wielkości, stała się prawie groźna: ideał grecki połączony z egipskim ogromem działając razem na ducha i zmysły, zdolny był poruszyć najzimniejsze ludy, a cóż dopiero ów naród gorący, rozkochany w swym niebie błękitnym i swych białych marmurach. To też jak troskliwie dbali Ateńczykowie o konserwację tej przepysznej statuy!

Wokoło niej nieustannie polewano wodą posadzkę dla utrzymania wilgoci, potrzebnej do przechowania blasku kości słoniowej; każdego roku w dniu oznaczonym, odejmowano wszystkie ozdoby posągu, czyszczono je, i naprawiano najdrobniejszą skazę. Podczas swjej toalety, bogini bywała starannie zakrywana przed oczyma gminu.

Cóż się stało z Minerwą Fidiasa? Postawiona w Parthenonie trzeciego roku dwudziestej piątej olimpiady, pod rządami Teodora, zabrana została przez chrześcian za panowania Justyniana, i wywieziona zapewne razem z Jowiszem Olimpijskim do Bizancyum na ozdobę hipodromu. Po tém, jak wszystkie arcydzieła starożytne, zaginęła w czasie napływu barbarzyńców. Pausaniasz wspomina, że widział ją w całym blasku pierwotnej piękności po sześciu wiekach istnienia.

Pan Simart wezwawszy w pomoc archeologii, poradziwszy się wszystkich podań i medali, odtworzył w zdrobieniu olbrzymią statwę Minerwy parthenońskiej.

Powyższy opis dzieła Fidiasa, uwalnia nas od szczegółowego rozbioru posągu pana Simart, który jest wierną tamtego kopią; dodam więc tylko, że twarz statuy jego ma wyraz zimnej, pogodnej dumy, bardzo właściwy najczystszej bogini Olimpu; *azurynowe* jej oczy przypominają przydomek *modro-oka*, który Homer zawsze dodaje atteńskiej Palladzie. Złote zausznice i naszyjnik z drogich kamieni zdobią jej szyję; ręce wycięte z dwóch ogromnych zębów słoniowych, wybornie naśladowują przezroczyście ciało niewieście; stopy drobne i lekkie są takie, jakie powinna mieć bogini, co stąpa tylko po niebios błękitach albo po śnieżnych szczytach Olimpu, a tunika z bladego złota godna okrywać jej wyniosłą postać, wspaniale rzuca blaski.

Opierając się na podaniu poważnych kronikarzy, pan Simart zamiast Meduzy, wykuł na pancerzu bogini twarz Hekaty z roztwartemi usty, w których cztery kły sterczące są symbolem czterech kwadrów księżyca. Simart równie jak Fidias całą umiejętność swoje wysilił na oddanie statuetki *zwycięstwa*, którą Minerwa trzyma w dłoni; przyznać należy że usiłowania jego najpomysłniejszy uwieńczył skutkiem. *Zwycięstwo* trzepoczące złotemi skrzydełkami jest z idealną wykonane doskonałością.



Piedestał bogini, zawsze wedle Fidiasa, ozdobił pan Simart płaskorzeźbą przedstawiającą urodziny Pandory, wyposażanej przez wszystkie bogi. Piękna ta płaskorzeźba jakby odtrącona z fryzów Parthenonu jest dopełnieniem godnym tak kosztownego pod każdym względem dzieła.

Książę de Luynes, szczęśliwy właściciel posągu Minerwy, która go krocie funtów szterlingów kosztowała i była ozdobą rzeźby angielskiej na wystawie, zakupił także za bajeczną summę najpiękniejsze dzieło rzeźby francuzkiej: *śpiącą Penelopę* Caveliera. Penelopa uwikłana w bogate draperye, schylona nad robotą usypia niemogąc pokonać znużenia, z którym walczyła przez tyle nocy bezsennych. Posąg ten godzien starożytnych czasów zjednał panu Cavelier pochwały wszystkich artystów i dyletantów.

Tenże sam rzeźbiarz wystawił nadto: *Prawdę, Bachantkę* igrającą z *Panterą* i *Kornelią*. Rzymska matrona siedzi w starożytnym krześle cisnąc do łona dwoje dzieci, które swemi klejnotami nazwała. Paryżanki niezmiernie chwaliły posąg ale zapytywały, czyby nie można mieć zarazem i dobrze wychowanych dzieci i brylantowych kolczyków.

Być zmuszonym do wykucia z marmuru statuy wielkiego męża w butach i surducie, jest niezawodnie najsmutniejsza ostateczność, w jakiej się może znajdować rzeźbiarz. Pan Duret wywinął się z niej jako tako, wezwawszy pomocy szerokiego płaszcza, którym zasłonił gdzie tylko można było prozaiczny ubiór Châteaubrianda, przeznaczonego do galerii wersalskiej. Dzięki temu pomysłowi, posąg ma wiele szlachetności w postawie; nadto wyraz twarzy wzniosły i uderzające podobieństwo, zjednały mu uznanie powszechne.

Nowożytni rzeźbiarze zajmują się prawie wyłącznie reprodukcją kształtów niewieścich; starożytni nie tylko kobietą, ale i mężką piękność umieli idealizować dłutem; ich bożki i bohaterowie mieli kształty niemniej piękne i czyste jak Venus, gracye i Nimfy. Jeden tylko pan Lequesne przypomniał starożytną mężką piękność w swym *tańczącym Faunie*, który żeby nie świeża data, mógłby bezpiecznie stanąć w rzędzie bóstw mitologicznych, nagromadzonych po rzymskich muzeach. Niepodobna oddać z wię-

kszą sztuką ciała szukającego równowagi na śliskiej pochyłości. Prócz tego, budowa Fauna silna, bez przesady, dowodzi głębokiej znajomości anatomii, chociaż artysta przyjętym obyczajem nie zamienił dłuta swego na skalpel i nie odarł ciała ze skóry dla popisania się z nauką.

Szkoła romantyczna ma niewiele dotąd reprezentantów pomiędzy rzeźbiarzami. Wyjąwszy Dawida, który w tych dniach życie zakończył, Barye, Preaulta, Maindrona i Leche-sna, wszyscy inni pozostali wierni mitologii. Wymarłe dla całego świata bogi Olimpu dla nich są zawsze żywe i zamieszkują w swoich dwunastu złotych pałacach. Od czasów Fidiasa, wedle nich nic nowego nie zaszło. Nie przerywając im przeto olimpijskich kontemplacyj, rzućmy okiem na dzieła romantyków.

Maindron wystawił gipsowy model Velledy, którego oryginał jest w ogrodzie luxemburskim. Posąg kapłanki Druidów zdradza wyraźny bunt przeciw ideałowi starożytnemu, oraz dążenie do zastąpienia typem galickim odwiecznego greckiego typu. Jakoż z tych powodów statua Velledy wywołała żywe dyskusyje, i była celem żwawej polemiki pomiędzy stronnikami dawnéj i nowéj piękności. Bronzowy Chrystus na krzyżu, tegoż artysty, dowodzi także, iż się bronił jak mógł mitologii; że nie chciał przedstawić ukrzyżowanego Appolina, ale cierpiącego Boga w ludzkim ciele.

Bronz godzi się wybornie z nowoczesną rzeźbą: oddaje on lepiej niż marmur siłę w delikatnej robocie, wyraz i życie, które są głównem zadaniem dzisiejszych rzeźbiarzy; mianowicie też nadaje się do reprodukcji, a tém samym przyczynia do rozpowszechnienia dzieł sztuki, co jest podobno główną zasługą bronzu. Dzięki jemu, znakomite dzieła pana Barye rozannożone na miliony exemplarzy, aczkolwiek nie tanio, sprzedają się u wszystkich bronzowników, i są przystępne nietylko dla milionerów. Rzeczywista wystawa tego znakomitego rzeźbiarza paryzkiego była nie w galerji sztuk pięknych, ale w pałacu wystawy przemysłowej, gdzie artysta figurował jako fabrykant bronzów. W salach rzeźby jedno tylko, ale wyborne dzieło wystawił: *Szakala pożerająca zającą*. Z jakąż krwiożerczą rozkoszą dzikie zwierzę ścisną w silnych łapach biednego zającą,

który już prawie martwy ze strachu, stuliwszy uszy a wytrzeszczywszy oczy, czeka śmiertelnego ciosu. Po wygiętym grzbiecie szakała widocznie biega dreszcz rozkoszy, jeżąc i gurbiąc sierć jego w podobne do mory desenie.... Każdy muszkuł zwierza zdradza instynkt okrucieństwa, który ma nasycić w tej chwili. Cały poemat ukrywa się w tej grupie. Dwa te zwierzęta uosabiają oburzającą walkę siły z niemocą, kata i ofiarę, człowieka i przeznaczenie. Czemu zasłużył zając na śmierć tak okrutną? Jakąż zbrodnię mogło popełnić tak łagodne zwierzątko? Miałoby więc istnieć w naturze fatalne prawo mocniejszego?

Pan Barye nie poprzestaje na wierném kopiowaniu natury; w każdym dziele swoim stara się idealizować ją, podnieść, lub uprościć wedle potrzeby. On pierwszy poważył się przedstawić lwa bez peruki w guście Ludwika XIV, w którą ubrany król zwierząt przez rzeźbiarzy zeszłego wieku, podobny był jak dwie krople wody do Racina lub Boila. Nadto, ośmielił się wyjąć lwu z pod łapy owę klasyczną a śmieszłą kulę marmurową, z którą jak kociak z kłębkim wyglądał.

Przeprowadziwszy tę wielką reformę, począł wykucwać lwy gniewne, dzikie, z najeżoną grzywą czychające na zdobycz, lub znudzone i senne z węzem w szponach, których widok natchnął owe wzniosłe porównanie jednemu z naszych wieszczów:

... „Może wam pokażę pełne piorunów usta,  
Może zamilknę jak lew co poziewa  
Patrząc na małość zielonego węża”....

Inne znów przedstawił nam tak, jak je widział na pustyni sławny ich morderca Gerard; kiedy swobodnie spacerują po swém królestwie, nawołując się dobytym z głębi wnętrzości rykiem, który jak grzmot złowrogi zatrzymuje nad źródłem spragnioną antyloppę, od którego trzęsie się ziemia i blednie Arab na wiatronogim koniu: słowem, zbadał lwia piękność, i pokazał wszystkie typy tych tyranów pustyni, których kształt rywalizuje o pierwszeństwo z ludzkim.

Podobnej reformy jaką Barye przeprowadził w reprodukcji zwierząt czworonożnych, Lechesne dokonał w rzeźbie ptaków i płazów: z konwencyonalnej formy sprowadził

je do prawdziwej. Ptastwo wyzwolone z fryzów pokojowych, gdzie mu jedynie wolno było trzepotać skrzydłami; żaby, węże, jaszczurki, przywołane z łąk i tataraków, Leschesne piérwszy przedstawił osobno, bez przyprawy z róż ani rzeruchy, i wmieszał do grup człowieczych, co mianowicie powiodło mu się doskonale.

Niewielka rzeźba jego: *Les Dénicheurs* liczy się do przedziwności tego rodzaju. Dzieci, jak zwykle bez litości, odkrywszy gniazdo w krzaku, kradną matce pisklęta; wtem wąż, tą razą nie pokusę ale karę wyobrażający, wysuwa się z boku i obwija silnemi skręty gromadkę malców, którzy szamocą się jak synowie Laokooona w objęciach hydry. Nauczka trochę za mocna, ale czemu niszczyć to, czego się stworzyć nie potrafi? Zresztą w oczach Lechesna, który tak wtajemniczył się w świat skrzydlaty, jakby do niego należał, martwić ptaka jestto zbrodnia nie do darowania. Trzeba widzieć wyraz rozpacz, jaki nadał matce ptaszków broniącej gniazda przed rabunkiem, i w jak tragicznych pozach rozrzucił pisklęta na poszarpaném gnieździe, kiedy je wąż syczący wyrwał z dłoni napastników.

Nie zatrzymując się dłużej przy zwierzyńcach i klatkach, wróćmy do człowieka, który jest najszlachetniejszym celem, jaki w ogólności sztuka, a w szczególności rzeźba wytknąć sobie może.

Préault, najgłębszy i najśmielszy z młodych rzeźbiarzy francuzkich, znany twórca *Maski* i dwóch przepysznych popiersiów Danta i Wirgiliusza, nie wiedzieć czy przez lekceważenie, lenistwo, czy naśladownictwo Dawida, żadnym nowym utworem nie ozdobił powszechnej wystawy rzeźby. Tylko dawniejsze prace jego w bronzowej kopii, wystawili w szeregach przemysłowych biegli bronzownicy pp. Eck i Durand.

Ogromna potęga myśli i rzadka oryginalność cechuje wszystkie utwory Préaulta: znaczenie moralne przedmiotu zajmuje go najmocniej. Rzeźba, wedle niego, nie powinna się ograniczyć na wiernej reprodukcji formy, ale chwycić bacznie ducha objawiającego się w każdym ruchu *materiałnego kształtu*. Jakoż przez ciągłe studia, Préault doszedł do wysokiego jasnowidzenia w tym względzie: z niezrównaną zręcznością chwytą on fizyonomią kształtów. Jak biegły lekarz z symptomatów poznaje chorobę pacjenta,

tak on z formy, ruchów i wyrazu twarzy, zgaduje myśl, chęci i czucie swych wzorów, i wszystko to czytelnie wypisuje dłutem na ich marmurowych twarzach. On, Klessinger zięć pani Sand i Foyatier, twórca Spartakusa i Joanny d'Arc, stoją niezaprzeczenie na czele całej młodej falangi rzeźbiarzy francuzkich. Tylko że dwaj ostatni wyłącznie wielką zajmują się rzeźbą, ztąd dzieła ich prawie nigdy nie są widzialne na wystawach; kto je chce widzieć, niech ich szuka pod gołębem niebem, po ogrodach lub placach publicznych: znajdzie i pozna je łatwo, bo z tych marmurów wyziera dusza. Franciszek I Klessingera, o którym donosiliśmy obszernie w dawniejszych sprawozdaniach, świeżo postawiony na dziedzińcu w Luwrze, po całych dniach otoczony jest tłumem ludzi, nie mogących napatrzeć się piękności tego przepysznego posągu.

Najznakomitszym utworem Préaulta na wystawie przemysłowej, była bronzowa płaskorzeźba, przeznaczona na fronton nagrobka. Kobieta osłonięta w powłoczyste drape-rye, z zawołowaną twarzą, pochyla się nad wysmukłą lilią i łamie ją przy ziemi. Trudno poetyczniej przedstawić śmierci, oraz nadać oderwanej figurze więcej tajemniczego wdzięku.

Niemcy wystawili tylko dwa posągi: *Fryderyka Wielkiego*, Raucha, sprowadzony do naturalnych rozmiarów, i *Walkę świętego Jerzego ze smokiem*, Kissa, kolosalnej wielkości. O pierwszym w pomniejszeniu sądzić trudno, drugi grzeszy zbyt niemiłym wykończeniem szczegółów. Ogromnego konia od głowy do ogona pokrywa jakby koronka pleciana z żył i muszkułów; skóra zaś smocza z nadto zoologiczną wydaje nam się wyhaftowana dokładnością.

Włochy nie mają już Kanowy ani Bertoliniego, ale zachowały dawną zręczność obrabiania marmuru. *Obłąkana z miłości*, pana Galli, zasługuje na wzmiankę, jak również *Orgia uosobiona w leżącej na wezglówiu kobiecie*, dłuta markuiza della Torre, i *Opuszczona Armida* Bottinello. *Zamaskowana niewiasta* uderza wybornym oddaniem odzienia; pan Magni z zadziwiającą sztuką umie gnieść marmur w jedwabne fałdy i wyrabiać z niego koronki, z którychby się pierwsza robotnica pajęczych tkanek w Allencón i Chantilly poszczylić mogła.

Belgia wystawiła *Negra po bastonadzie*, rzecz bardzo znakomitą, dłuta pana Vanhove; statwę króla Leopolda i *Lwa zakochanego*, oryginalny utwór pana Geefs.

---

*Biografia powszechna* wydawana w Paryżu nakładem Didota, zbogaciła się niedawno ciekawą książką pod napisem: *Olivier Cromwell, étude historique*, przez pana Renée. Autor kreśląc ten rys szczegółowy charakteru i politycznego zawodu Cromwella, czerpał z najlepszych źródeł angielskich, mianowicie też z dzieła Tomasza Carlyle: *Listy i mowy Cromwella z komentarzami*, wydanego w Londynie 1846 roku, które ze wszystkich najwięcej zawiera szczegółów.

Mimo nader liczne w tym przedmiocie poszukiwania, żaden dziejopis nie zdołał przedstawić w rzeczywistym świetle tej straszliwej, dziwnej i zarazem trywialnej figury, bo nic trudniejszego, jak rozróżnić w bohaterze ciężkich i burzliwych czasów osobiste wady jego charakteru od potężnego parcia wyższej potęgi, która bez względu na postronne okoliczności, posłannika swego pcha do spełnienia poruczonej misji.

Portret Cromwella mógł tylko sam Cromwell wymalować. Zrozumiał to w części pan Renée i nabierawszy mnóstwo faktów, zestawił razem listy, mowy i uczynki jego, ażeby tym sposobem czytelnik mógł ogarnąć całość; a mając przed oczyma tę ammalgamę złożoną z popędliwości, wzniosłych chęci, goryczy, wzgardy, znudzenia i szatańskiej wesołości, mógł utworzyć sobie, jeżeli podobna, wierny obraz Cromwella. Pan Renée byłby niezawodnie dopiął zamierzonego celu, gdyby mu stronnictwo nie psuła co chwila przedsięwzięcia. Mimo to, książka jego czyta się ciekawie, mianowicie jeżeli czytelnik sam z faktów naukę wyciągnąć potrafi.

Bohaterowie pogańscy mieli jedną tylko namiętność: chęć sławy. Nauka Chrystusa otworzyła przed człowiekiem obszerniejsze pole, w którym sława bardzo drobne zajmuje miejsce. Chrześcianin do zaspokojenia wzniosłych chęci, z których szlachetna duma złożona, nie potrzebuje już admiracyi ani uznania ludzi: poczucie spełnionego obowiązku powinno mu wystarczyć, jeżeli rzeczywiście jest

chrześcjaninem. Otóż nie zdaje się, ażeby Cromwell u szczytu swęj potęgi znalazł owę pogodę i zadowolenie wewnętrzne, które jest zarazem nagrodą i oznaką zasłużonej wielkości; od początku do końca życia swego był posępny, ironiczny, niezadowolony ani z siebie, ani z drugich.

Pan Renée bardzo niepochlebnie przedstawia Cromwella. Posłuchajmy co mówi o nim doszedłszy do głównej katastrofy, która położyła koniec panowaniu i życiu Karola I-go. Opowiedziawszy porwanie króla z wyspy Wight, gdzie się schronił trzykroć pobity pod Preston, Warrington i Vigan, autor tak ciągnie dalej:

„....,Podczas tych wypadków Cromwell znajdował się w Szkocyi, ale przeważny wpływ jaki wywierał na wojsko tak zbliżka jak zdaleka, nie pozwala wątpić, że nie kto inny tylko on podyktował śmiałe przedsięwzięcie. Fairfax, człowiek prawy ale słaby, był tylko wodzem nominalnym wojska *Purytanów*, *de facto* był nim Cromwell. Po uwięzieniu króla zjawił się natychmiast; wszedł napowrót do izby niższej i przysiągł, że nie wiedział o niczem co zaszło w jego obecności. Śmiały i ostrożny zarazem, nie przyznał się do udziału jaki miał w tej sprawie, ale nie taił radości. „Bóg świadkiem, rzekł, że nie wiedziałem co się tu dzieje, ale kiedy już się tak stało, cieszę się bardzo i popierać będę”.

„Jednakowoż ograniczył się tylko na podżeganiu swoich stronników, unikając starannie wszelkiej osobistej odpowiedzialności. Ale parlament całą duszą oddany *Purytanom*, dobrze wiedział komu zawdzięcza wygraną; przyjął Cromwella z zapałem, obsypał go nowemi dostojęstwami i powiększył dochody. W końcu dzierżawca Saint-Yves przeniósł się do królewskiego pałacu White-Hall i zamieszkał w królewskich pokojach.

„Skoro rozpoczęto proces Karola I-go, Cromwell zasiadający pomiędzy sędziami, co chwila zdradzał dziką niecierpliwość: zdjął prawie zupełnie maskę. Na uwagi kolegów, którzy obawiali się rozruchu w ciągu processu, ofuknął się i zawołał: „Powiadam wam, że mu utniemy głowę w koronie!”

„Kiedy oznajmiono przybycie króla, Cromwell poskoczył do okna, żeby go zobaczyć: „Otóż i on!—zawołał—

ważna chwila nadchodzi, proszę was—dodał zwracając mowę do sędziów—decydujcie prędko i ułóżcie naprzód, co macie mu odpowiedzieć, bo zapyta was pewnie, jakim prawem go sądzicie”.

„Po odczytaniu wyroku, ktoś zawołał w tłumie: „Olivier Cromwell jest zdrajca!” Wszyscy poznali głos Lady Fairfax, żony naczelnego wodza, która musiała wiedzieć co mówi. Jakoż ręka Cromwella ukartowała wszystko: najzaciętsi sekciarze nie mogli mu wyrównać w gorliwości. Skoro podpisał wyrok śmierci, umaczał odwrotny koniec pióra w kałamarzu i poczercił atramentem twarz temu, co się miał po nim podpisać. Widząc, że następny chcąc uniknąć odpowiedzialności, wymyka się za drzwi, pobiegł za nim, odprowadził na miejsce, śmiejąc się dziko, a włożywszy mu pióro w palce, prowadził piszącemu rękę. Kiedy Jan Cromwell krewny jego zaklinał go, żeby ocalił króla; Olivier odpowiedział z ironią: „Mój kochany, modliłem się i pościłem za niego, teraz czekam na odpowiedź od Pana Boga”.

„Zapewniają, że Cromwell kazał sobie otworzyć trumnę, w którą po exekucyi złożono ciało Karola I-go. Skoro wypełniono rozkaz jego, wziął królewską głowę w rękę i rzekł: „Zdrowe ciało! mógł być żyć Bóg wie póki”. Postępowanie Cromwella w tych uroczystych chwilach było niegodziwe; nieustannie wybuchające brutalstwo i fatalna wesołość jego, dowodziły jasno, że nie dla przekonania religijnych, ale dla ambicji i zemsty spełnił zbrodnię. Cromwell był szatanem cynizmu na czele grona tych ludzi, którzy się świętymi nazwali”.

Mimo tak złego dla bohatera swego usposobienia, autor przyznaje dalej, że życie prywatne Cromwella było przykładne. Podczas kiedy trzymał w swym ręku losy narodu, oszukiwał przyjaciół, zawiązywał tysiące intryg; oddany niby wyłącznie ambitnym swym celom, pisywał do żony i córek listy pełne wiary, zapału i chrześcijańskiej pokory. Listy te rzeczywiście bardzo wysokie, pan Renée umieszcza w swojej książce; szkoda, że dla braku miejsca przytoczyć ich tutaj nie możemy. W końcu dzieła autor takie podaje konkluzye:



„Cromwell należy do rodziny wielkich ludzi, ale jest z nich najmniej doskonały: bohaterem nie był. „Ludzie, powiedział jeden sławny pisarz francuzki (Lamartine), których Bóg obiera za narzędzia ku spełnieniu swych wielkich zamiarów, są pełni tajemnic i sprzeczności: ręka Najwyższego łączy w nich ściśle cnoty z błędami, światło i cienie, potęgę i słabość. Zazwyczaj wypełniwszy czasy swoje rozgłosem swych czynów, pozostają ciemni na łonie tej sławy, wielbieni i przeklinani naprzemiennie od świata, który ich nie zna.”

„Wymowne te słowa, mówi dalej pan Renée, całkowicie stosują się do Cromwella, ale do Cromwella tylko, który jest najciemniejszy z wielkich ludzi. Wszyscy inni wybrani przez Stwórcę za narzędzia, nie byli tak skomplikowani. Historia stawia niemało wielkich imion sympatycznych: Cyrus, Alexander, Cezar, Trajan, Karol Wielki, Napoleon; Cromwella z nimi równać nie można. Jak oni jest on potężny niezłomną wolą, niezmordowaną czynnością i wiarą w siebie; ale nie jest jak oni piękny i wzniosły: jest tylko silny.

„Napoleon gniewał się, kiedy go porównywano z Cromwellem. Cromwella porównywaćby raczej można do barbarzyńskich bohaterów, którzy wszystko zniszczywszy zakładali państwa swoje na zgliszczach dałej potęgi. Cromwell był jak oni burzycielem i budowniczym; niszczytel ustaw i ludzi, zwałił tradycyine ustawy kraju, ażeby *sobie* zrobić miejsce, i dlatego kraj go nie pokochał, chociaż jest największym politykiem i największym wojownikiem Anglii. Ojczyzna Edwarda III, Henryka V i Elżbiety jest bez entuzjazmu dla Cromwella i bez pomników dla pamięci jego. Nie chciała wziąć sobie za bohatera tego nadzwyczajnego człowieka; kraj zaś którego potęgi był założycielem, nie chlubi się z imienia jego. To milczenie całego narodu wydające się z pozoru niewdzięcznością, rzeczywistość jest dowodem wielkiej moralności Anglików.”

---

Alexander Dumas wyczerpawszy wszystkie koncepta, zużywszy wszystkie formy i wszystkie sytuacje, aż do Greków uciekł się szukając nowości, i z materyałów wyrwa-

nych z mózgu Eschyla i Sofoklesa, pozszywał *nową* tragedya grecką, którą dla lepszej rekomendacyi ochrzcił uświęconém imieniem Eschyłowego dziecka: *Oreste*.

Mimo sławy autora, mimo nader zręcznych przygotowań poprzedzających każdą sztukę Dumasa, który chociaż pewien swój literackiej potęgi, nie pominie przecież żadnego z drobnych środków pomagających do sukcesu, rozumnie twierdząc, że *strzeżonego Pan Bóg strzeże*; Oreste pozyskał tylko średnie powodzenie na scenie paryzkiej. Starożytna Melpomena wydała się zaczarna, zapoważna, zaszytwna oczom tutejszej publiczności, przyzwyczajonej do mniej surowego obejścia nawet najsurowszej z dziewięciu sióstr Apollina.

Nie dowodzi to bynajmniej, żeby sztuka była zła; przeciwnie, niepowodzenie jej na paryzkiej scenie mogłoby raczej być rękojmnią, że autor nie wystąpił nigdzie poza ramy starożytnej tragedyi; że naśladował wiernie głos owego brązowego kolosu, co przemawiał do serc ludzi potężnych i młodych, prosto i twardo, nie potrzebując uciekać się do sposobów sztucznych, wymyślonych dla poruszenia odrętwiałych zynysłów dzisiejszego społeczeństwa. Jakoż rzeczywiście są w tej sztuce wzniosłe ustępy przetłumaczone z Eschylesa pięknym wierszem; i gdyby autor był się ograniczył na prostym przekładzie, nie wprowadzając scen własnych i scen Sofoklesowych, możnaby powiedzieć, że z bogacił teatr francuzki znakomitým tłumaczeniem. Na mieszaninie rzecz straciła wiele, co nie przeszkadza, że oddawna nie pojawiła się na tutejszych teatrach sztuka godniejsza wzmianki jak Oreste, chociażby tylko dlatego, że w niej od czasu do czasu, jakby grzmot podziemny odzywa się echo wielkich myśli greckiego dramaturga, i miga kraj poważnej szaty, w które najpoważniejszy z Greków odziewał swoje bohateri.

Eschyles był niezaprzeczenie najpotężniejszym geniuszem Grecyi: legendę o jego śmierci można uważać jako symbol jego. Podanie mówi, że dnia pewnego kiedy w dzikie zapuścił się zarośla, orzeł krążący w chmurach z żółwiem w szponach, spostrzegłszy łysą głowę mędrca, otoczoną kosmykami siwych włosów, rozumiał, że to skała obrosła krzakami, i spuścił się z wysoka, upuszczając nań ogromną żółwią skorupę, która strzaskała czaszkę poety. W istocie,

kamienna musiała być ta głowa, co wydała tak granitowe utwory jak *Prometeusz*, *Persowie*, *Oreste* i ośmdziesiąt innych, których bohaterowie mają skamieniałą twarz posągu, wyrażającą jak one jedno uczucie niezmienne, jak one pozycząją formy od ideału i zamykają się w uporczywem nihilczeniu. *Prometeusz* przez cały ciąg swęj męki na szczycie Kaukazu nie nie mówi; *Achilles* boleść po stracie Patrokła wyraża nie słowem, a postacią; *Niobe* na grobie swych dzieci siedzi z zakrytą twarzą, jak posąg smutku uwikłany od stóp do głów w draperye; wszystkie główne figury tragedyi Eschyleśa są jakby karyatydy bólu zaniemiałe z rozpaczę. Jest on starożytnym w samęjże starożytności: myśl jego wraca nieustannie do zamierzchłych początków Grecyi, wywołuje dawne, zapomniane przez spółczesnych poetów bogi. Pogoda, którą Helleński geniusz czerpał w spokojném łonie Homera, odziewając nią jakby promienistą szatą świątynie, rzeźby i samą nawet tragedya, jego nie dosięga; umysł Eschyla zostaje chimurny i burzliwy pośród ogólnej światłości. Uparty starowieca, zatopiony w dawnych mytach bez formy, odwraca oczy od tych bogów plastycznych, wyrobionych na wzór człowieka, któremi młoda Grecya zaludniła rozkoszne swe wzgórze, lasy i doliny.

Ciemny koloryt religii Eschyleśa powłóczy także dzieje opowiedziane jego usty; przez niego dramatyzowane wypadki zdają się odnosić do pierwotnej historyi ras ludzkich. *Oreste* odkrywa wyobraźni jakieś dzikie, zamierzchłe horyzonty, oświecone blado niepewnym promyczkiem historycznego światła. Całą pierwszą scenę Dumas przełożył wiernie.

Dramat rozpoczyna się skargą, spadającą jak jęk puszczęka z okna zamkowej wieży. Jestto głos niewolnika postawionego na pałacu Agamemnona przez żonę jego Klytemnestrę, na to, żeby upatrywał ognistego sygnału, który ze szczytu góry Arachny ma uwiadomić o zdobyciu Troi. Niewolnik wyrzeka na swą dolę, przeklinając słońcę, skwary i chłodne nocy, których przez dziesięć lat doznał nie schodząc ze stanowiska. Elegia tego stróża przykutego łańcuchem niewoli do swego obserwatoryum, podobna jest do szczekania brytana, który poziewa i wyje przed budą znudzoney długością grudniowęj nocy. Wreszcie po dziesięciole-

niem oczekiwaniu, wybucha pożądany ogień, a Klytemnestra przychodzi uwiadomić chóry o zdobyciu Troi.

Dumas słusznie zapewne skrócił rozwlekłe opowiadanie żony Agamemnona, nadto epicznych rozmiarów na dzisiejsze czasy. Zapewne także dla wymogów nowoczesnego teatru wprowadził następnie scenę, w której Egesthes z Klytemnestrą zmagają się na życie Agamemnona. Scena ta nie istnieje w dramacie Eschyleśa: bohaterowie jego wyrębani z jednej sztuki nie wahają się nigdy, ani znają walki wewnętrznej; autor czyniąc z nich hołdowników złego, albo dobrego, postanowienia ich nakreślił od pierwszej karty.

Wynagradzając powyższą usterkę, Dumas wiernie i wspaniale przetłumaczył dwie następujące sceny: przybycie herolda opowiadającego chórom srogość i ciężkie zapasy wojny trojańskiej; potem wjazd Agamemnona na tryumfalnym wozie pośród ludu i dziewic ugrupowanych na pałacowych schodach.

Klytemnestra przedstawia mężowi dwoje dzieci jego: syna Oresta i córkę Elektrę; poczem wiarołonna żona w obłudnej oracyi maluje mu swą miłość i wierność. Na tę przemowę przypominającą sofistykę ostatnich czasów ateńskich, która jak wąż jadowity ślizga się po kwiatach retoryki, odgadujący prawdę Agamemnon odpowiada zimno i krótko: „Cóż Ledy, strażniczko mojego domu, mierzyłaś słowa swoje miarą nieobecności mojej: mówiłaś za długo!” Odpowiedź ta czyni wielkie wrażenie: jest ona jakby krótki miecz, którym starożytny bohater rozcina gordyjski węzeł zrećcznie namotanych wykrętów.

Agamemnon uosabia w dramacie stary typ greckiego wojownika. Po długiej nieobecności, zdobywszy Troję, wraca do ojczyzny i zastaje ją zmienioną do niepoznania. Dawną rycerską prostotę Greków zastąpiło krasomówstwo i zbytek, który go razi na każdym kroku; kiedy więc żona zaprasza go, ażeby zasiadł na purpurowych kobiercach, które pod nogi jego rozesłać kazała: mąż odmawia, zostawiając, jak mówi, barbarzyńskim monarchom te zniewieściałe obyczaje.

Na tryumfalnym wozie Agamemnona stoi kobieta obca powszechnej radości, z przepaską na głowie i berłem

Augurów w dłoni. Jestto *Kassandra*, sławna prorokini, niewolnica *Agamemnona*, którą tenże swęj żonie poleca. Proszona przez królową aby zasiadła przy królewskiém ognisku, odmawia i zostaje na wozie. Skoro zniknął monarszy orszak, chóry zaczynają się niepokoić jęj milczeniem; wtém nagle natchniona wróżka rzuca im z wozu w oderwanych słowach przepowiednię: mówi, że czuje odór śmierci.... widzi podstęp.... widzi topór wyostrzony, przepowiada śmierć *Agamemnona*, śmierć swoję: i jakby pchana ręką nieubłaganego *fatum*, wpada do zbrodniczego pałacu, którego podwoje zatraskują się za nią jak wieko trumny.... *Kassandra* porwała całą salę: święta groza starożytnęj tragedyi ogarnęła wszystkie serca. *Melpomena* ukazała się w masce *Meduzy*, która po trzech tysiącach lat jeszcze przeraża.

W tragedyi *Eschylesa* zaraz po tęg scenie słyhać jęki mordowanego *Agamemnona*. *Dumas* zanim otworzył podwoje sali, gdzie zamordowany król leży na marach, pokazał *Egista* namawiającego do spełnienia umówionęj zbrodni, wahającą się *Klytemnestre*. Scena ta z krwi i ciała nie zgadza się z czarnym marmurem, z którego prolog wykuty. *Grecka Klytemnestra* nie zna obawy; spełniwszy zbrodnię wręcz przyznaje się do nięj ludowi, pokazując ręce zbroczone po łokcie w krwi męża, i uniewinnia w części postępek, przedstawiając go jako pomszczenie zabójstwa swęj córki *Ifigenii*, „zaduszonej jak koza” z rozkazu ojca. *Surowy Eschyles* nie mógł inaczej przedstawić tęg zbrodni; nie opiewa on nigdy, nawet na to, żeby je przeklinać, sprośnych występków, do których namiętność spycha człowieka. *Klytemnestre* wystawił jako mszczącą się matkę, nie zaś wiarołomną żonę, która zabija męża żeby ustąpił miejsca kochankowi.

Drugi akt, w który *Dumas* wmieszał parę ustępow z *Sofoklesa*, nie ma całości: zawiera wszelako kilka oderwanych scen ładnych. Wspaniała jest obraz przedstawiający *Elektrę* płaczącą na grobie *Agamemnona* z tą potężną rozpaczą, która dlatego właśnie że ówczesni ludzie nie znali melancholii, wybuchała gwałtownięj. Źródło łez, którego starożytni nie marnotrawili na drobne smutki, w dniach żałoby wytryskało jak potok wezbrany; pierś ich nie osłabiona jak nasza ustawiczném stękanie, skoro nadszedł go-

dny powód smutku, wydawała jęki, o których dziś wyobrażenia nie mamy. Job z przyjaciółmi przez siedm dni i siedm nocy płakał bez przerwy. Elektrę widzimy jak siódmy rok płacze na grobie ojca. W ogóle żałoba pogańska daleko jest czarniejsza od chrześcijańskiej, bo się nie spodziewa zmartwychwstania: jedyna ich nadzieja, jeżeli oplakują zamordowanego, jest—zemsta. Elektra też dzień i noc nad zemstą przemyśla i wzywa brata Oresta, błędzącego po dalekich krajach, żeby powrócił i pomścił się na matce krwi rodzica.

Tu następuje długa i niepotrzebna scena, którą Dumas wprowadza dla zagmatwania intrygi. Stary powiernik opowiada Klytemnestrze, że widział jej syna Oresta, jak ścigając się na delfickich igrzyskach spadł z wozu i został stratowany końskimi kopyty. Ustęp ten przypominający opis śmierci Hippolita w Fedrze, zapelnia akt nie dodając mu wcale zajęcia. Niepotrzebnie także wprowadził Dumas pożyczoną od Eurypida interwencją Kastora i Polluxa, którzy schodzą z pałacowej fryzy i doradzają Orestowi pielgrzymkę do świątyni Minerwy. Nagłe zjawienie się tych dwóch panów, którzy nie wiedzieć z kąd się biorą, bo nazwisko ich nie jest wymienione w ciągu sztuki, nasuwa nierozwiązane pytanie: po co przyszli? Obecność ich nawet tragicznym cudem usprawiedliwić się nie da: jestto poprostu figiel maszynisty.

Spełnione na scenie matkobójstwo, którego słusznie uniknął Eschyles a Dumas wprowadził, także wydaje nam się niesmaczne. Starożytny Orest powróciwszy do domu, przekonywa się o stosunkach matki z zabójcą ojca i mówi do niej: „Pójdź za mną, zamorduję cię w oczach tego człowieka!” Królowa krótką prośbą stara się zmiękczyć serce synowskie, poczem, widząc że go nie przebłaga, idzie za nim ze spuszczoną głową na miejsce kaźni. Efekt tej sceny niemniej tragiczny, a matkobójstwo nie oburza oczu jak w sztuce Dumasa.

Trzeci akt, czyli epilog, wzięty żywoem z greckiego, w którym występują Eumenidy i cała stara mitologia grecka, ulubiony przedmiot Eschylesa, jest zupełnie nieprzystępny dla dzisiejszej społeczności. Tłumnie wywołane z czarnych lasów tessalskich najstarsze widma urojeń ludz-

kich, symbole już samym Grekom nieznane, fatalne jędze, upiory, strzygi, wybladłe mary i odarte z ciała skielety, wstrząsając smolne pochodnie, puszczają się w pogoń za matkobójcami. Duch Klyteinnestry wychodzi z ziemi i wyrzuca wścieklej zgrai, że dotąd na Oreście nie pomściła się jej skonu. Minerwa z Apollinem wdają się w tę sprawę i popierają Oresta. W końcu zimna wymowa bogini mądrości przekonywa piekielne zastępy; Eumenidy mając sobie udowodnioną niesłuszność swego postępowania, zaprzestają dalszej pogoni Oresta i przemieniają się w białe nimfy dobrej woli. Nic dobroduszniejszego na świecie jak ta mitologia grecka, która wymową przekonywa piekło i poprawionych szatanów kanonizuje.

Prolog był najlepiej przyjęty w teatrze Saint-Martin; pierwsze wrażenie najsilniejsze słabło aż do końca. Mimo to, wywołany autor przyjmował na scenie poklaski, które musiały mu się wydawać bardzo słabe w porównaniu z entuzjazmem, z jakim przyjmowano pierwsze jego dramata, wspaniałe owoce nie cudzego, ale własnego natchnienia.

---

Teatr *Gymnase* przedstawił w dzień Nowego Roku bardzo ładny jednoaktowy dramacik pod tytułem: *Obiaduję z matką*. Należy on do małej liczby utworów, w których myśl moralna objawia się nie przez morały, a wrażenie jakie słuchacz odbiera, nie pochodzi ani z naciąganych sytuacji, ani urojonych straszylek, ani dziwacznych baśni, ani antytezów, za którymi zwykle ubiegają się dramaturgi, ale poprostu z małego obrazku wziętego z natury, jednej kartki wydartej z historyi codziennego życia, tak obfitego w sceny rzewne i prawdziwe smutki.

Bohaterką sztuki jest Zofia Arnoult, modna aktorka paryzka zeszłego wieku, ale rzecz tak dobrze do niej, jak do każdej tego rodzaju kobiety stosuje się całkowicie. Otóż, jedna taka teatralna bogini, której świat cały wybija pokłony, młoda, piękna, bogata, zbudzona ze snu słodkiego noworocznemi dary, opiewa rozkoszną swą dolą mniej więcej w tych słowach:

Nie jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie? do kogóż jeżeli nie do mnie stosują się słowa, które Szekspir włożył

w usta swej najszcześniejszej bohaterce: „W chwili w której mnie matka poczęła, na niebie tańczyła gwiazda, pod tą gwiazdą urodziłam się.” Jestem piękna, najdorodniejsza młodzież dobija się o serce moje, książęta rujną się dla mnie, co powiem wszyscy powtarzają, dowcipne słówka rozsiewam jak perły. Jestem królową na scenie, a samowładną panią w moim buduarze; dom mój monarszą miłość może pomieścić; stąpam po kobiercach, od stóp do głów obwijam się w koronki; mam pełne szkatuły dyamentów, pereł i drogich kamieni; mam przepyszne powozy, dziesięć rasowych koni rzy w mej stajni; stwarzam mody, wymyślam nowe ubiory, które bywają naśladowane wiernie: słowem, jestem królową w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu, i mogę powiedzieć, że dobrze mi na tym świecie!

Tak rozmawiając z sobą szczęśliwa tych wszystkich dóbr właścicielka, przegląda się w weneckich zwierciadłach, sewrskich wazonach, ogląda świecidla któremi jej salon zastawiony, i puszy się jak paw w dzień słoneczny, spacerując pomiędzy wiosennemi kwiaty z rozpostartym ogonem.

Służąca tymczasem zastawia wykwintny stół do obiadu.

— Będiesz pan u mnie na obiedzie—mówi aktorka do młodzieńca, który jej przychodzi wieszować Nowego Roku.—Nie mogę pani! dzisiaj obiadam z matką—odpowiada gość z niskim ukłonem. Pani nie dbając wiele o niego, przyjmuje obojętnie odmowną odpowiedź.

Po nim przychodzi drugi. Czulej przyjęty, na także zaprosiny taką samą daje odpowiedź: „obiadam z matką.” Tą razą aktorka niechętnie przymuje wymówkę, lekka chmurka złego humoru zaciemnia jej ładną twarzyczkę. Ta podwójna odmowa z jednego powodu, widocznie źle działa na nerwy... Cóżto? każdy dziś je z matką, przecież i ze mną ktoś jeść musi!

Wtém wchodzi książę, jej kochanek, wielki pan, szlachetny nawet w miłostkach, który nietylko nie domaga się wdzięczności, ale mu się zdaje, że powinność swoje czyni, otaczając tę piękną istotę zbytkiem w którym jej tak do twarzy. Artystka dumna podbojem takiego serca, wdzięcznym uśmiechem dziękuje księciu za przysłany na kolebę powóz z piękną parą koni, oraz wskazuje mu stół nakryty



na dwoje...—Nie mogę! obiadam z matką — odpowiada księżę stanowczo.

Tego już nadto! Pani poczyną się gniewać naprawdę i nalegać. Księżę tłumaczy jej, że matka jego jest wielka dama starej daty, równie surowo przestrzegająca przepisów dworskiej jak rodzinny etykiety; że w dzień Nowego Roku matka zwykła drżącemi usty składać na czole jego pocałunek, którego za nic w świecieby nie oddał, tym bardziej, że to może ostatni....

Wszystkie te słuszne i szlachetne powody nie przekonują zepsutego dziecka, przywykłego do posłuszeństwa swego niewolnika; wszechwładna pani nie przypuszcza, żeby jej kaprys miał mniej ważyć niż obowiązek. Upiera się coraz mocniej, a kiedy kochanek ciągle stawia za przeszkodę noworoczny obiad, który jest jednym z rodzinnych sakramentów jego domu, każe mu wybierać między matką i kochanką: albo będzie z nią jadł dzisiaj, albo też nigdy już nie otworzą mu się te drzwi, które za nim zatrzaśnie. Na takie ultimatum księżę blednie.... waha się chwilę... ale wnet poczucie obowiązku pokonywa namiętność: wstaje, ukłonem żegna panią swego serca i ze łzami w oczach wychodzi.

Tutaj zaczyna się tragedia. Kobieta zraniona do żywego, rzuca się na sofę, zakrywa twarz rękami i płacze. Rozwaga wnet w jej sercu gniew na boleść zmienia. Poważne myśli po raz pierwszy uzyskują posłuchanie od roztrzepanej główki. Pojmuje nareszcie, jak bardzo byt jej na pozór świetny, pusty jest i nędzny w gruncie. Czuje, że jej tylko składają w ofierze dni zbyteczne lub szalone, że nie ma prawa do żadnej chwili seryo, żadnej uciechy uświęconej w życiu człowieka. Wśród powszechnej uczyt rodzinnej obchodzonej w całym mieście, ona, owa najszczęśliwsza z szczęśliwszych, czuje się wyklęta i nie wolno jej pożywać komunii przy rodzinnym stole. Ona nie ma rodziny! Niestety jej podobne ptaki odlatują tak daleko od swego gniazda, że go już potem znaleźć nie mogą. W poranku życia, a już ją zimna samotność ogarnia... Co będzie, skoro przyjdzie starość, i mroźnym oddechem pogasi wszystkie te ognie bengalskie, które illuminują życie, a nie grzeją!

Jedyny ogień trwały na tym świecie, nie jestże święty ogień domowego ogniska?...

Kiedy tak duma biedaczka, przychodzi malarz, dawny towarzysz jej lat dziecinnych i domowej nędzy. Bada o powód smutku i w końcu otrzymuje z płaczem zwierzenie. Nieborak, mimo najlepszych chęci nie może pocieszyć samotnicy: i on także obiada z matką; ale przychodzi mu myśl szczęśliwa: zaprasza ją z sobą do rodziców. Ojciec jego mularz, matka szwaczka; jadło nie będzie wystawne, ale uprzejmość, ale serdeczność, ale uścisk macierzyński który ją tam czeka, skoro powie, że im przyprowadza sierotę: to wszystko czyż nie droższe nad wszystkie skarby świata?

Słyszac tę propozycyą, pani przestaje płakać; zrzuca koronki i brylanty żeby nie straszyć nędzy; wdziewa suknię z perkaliku, czepeczek na głowę, i w tym ubiorze, który jej niewinne lata przypominał, już ma wybiedz trzymając za rękę malarza, kiedy nagle staje u progu i zapytuje siebie, czy godna zasiąść przy tém ognisku, do którego ją pobłażający przyjaciel prowadzi? „Nie!—woła wyjmując z za gorsu miniaturę matki, i stawiając ją na stole—nie! już zapóźno! Idź przyjacielu, ja także będę obiadować z matką.”

Malenka ta sztuczka, której piękność niknie oddana martwem słowem, a głośno przemawia do duszy uwydatniona znakomitą grą aktorki, wywołała wiele szczerych westchnień z głębi serca, i nasunęła niejednej pięknej główce zwrót myśli pożądany w dzień Nowego Roku.

*Korsarz*, nowy balet mimiczny we trzech aktach i pięciu obrazach, zyskał nadzwyczajne powodzenie w tu-tejszej operze. Farby i myśl do dzieła (jeżeli może być jaka myśl w balecie) czerpał pan Saint-Georges w dwóch poematach Byrona: *Korsarzu* i *Don-Juanie*; muzykę dorobił Adolf Adam. Jeżeli z tamtego świata można widzieć co się na tym dzieje, Lord Byron nacieszy się zapewne, że jego krwawe poemata, pełne łez, dumy, śmiechu i wzgardy, skaczą na linie dla zabawy Paryża. Przedstawienie tańczącego *Korsarza* liczy się niezawodnie w rzed największych upokorzeń doznanych od rodzaju ludzkiego. My atoli, będąc

organem żywych nie umarłych, przyznać musimy wraz z publicznością tutejszą, że balet wydaje się przesłicznie: wyborne tancerki, piękne dekoracye, ubiory jakby pożyczone z garderoby Rusałek; w końcu wspaniały obraz rozbicia okrętu: wszystko to tworząc arcy-harmonijną całość, zjednało *korsarzowi* admiracją powszechną.

Pierwszy obraz przedstawia targ na niewolnice w Adryanopolu. Kobiety malowniczo ugrupowane, siedzą na rogożach rozesłanych po placu; między nimi przechodzą kupcy i zjawia się ze swą bandą Konrad, korsarz zakochany. Ujrawszy go Medora, wychowanica żyda Izaaka, wybiegła na balkon i rzuca mu bukiet kwiatów, którego każdy listek jest wyrazem miłości.

Podczas kiedy korsarz odczytuje te hieroglify, przybywa stary Seyd pasza, kupować sobie niewolnice do haremu, i zaczyna się tańczący przegląd płci pięknej: kobiety wszelkich krajów w narodowym stroju defilują przed paszą, starając się pozyskać jego względy. Ale paszy do gustu trafić niełatwo: ta zawysoka, ta zaniska, ta za-tłusta, ta zachuda, ta zarumiana, ta zablada: słowem żadna mu się nie podobała. Wtém spostrzega krucze włosy Medory i jej oczy skier pełne padają nań jak promienie majowego słońca..... Olśniony starzec już na inne nie patrzy, tylko Medorę widzi: Medory pożąda. Opiekun Greczynki Izaak, żyd chciwy i podły, wzdraga się zrazu, a raczej droży: ale w końcu sprzedaje ją na wagę złota. Widząc to Konrad porywa Medorę. Każdy z jego bandy wybiera z tłumu najpiękniejszą, i tak z brankami na rękę uciekają, a stary Seyd przysięga na Ałłacha, że ukarze rabusiów.

W następnym akcie znajdujemy się w podwodnym pałacu korsarza, czyli w jego kajucie. Jestto rozkoszna grota podparta kolumnadą ze stalaktytów, napełniona bronią, klejnotami, złotem, zwojami drogich materyi: słowem, istne *gruene Gewelbe* najpotężniejszego z kleftów. Konrad leży na lwiej skórze, mając wlepione oczy w siedzącą u nóg swoich Medorę; ona bojąc się znudzić pana swego zbyt długim milczeniem, wstaje, i zaczyna przed nim przesłiczny taniec z wachlarzem, do którego przyłączają się wszystkie porwane niewolnice. Za ten taniec, pełen nieźrówanego wdzięku, Medora prosi Konrada, żeby udarował wolnością branki.

Konrad zezwala. Pierzcha stado turkawek, ale wybucha bunt na pokładzie: bandyci nie chcą wypuścić kobiet. Konrad zabija naczelnika zgrai Birbanta i bunt uśmierza, lecz tylko na pozór; korsarze zmawiają się pocichu na wypędzenie przeklętej żydówki, co im oczarowała wodza. Spiskowi przynoszą jej bukiet, którego woń w letarg wtrąca. Medora o niczem nie wiedząc, daje go powąchać Konradowi, który zasypia natychmiast. Piraci tymczasem porywają Greczynkę i oddają Izaakowi, rozkazując mu, żeby ją natychmiast odwiózł paszy.

Trzeci obraz przedstawia *spiący harem*, ustęp z dziesiątej pieśni Don-Juana, który można nazwać koh-i-norem tego brylantowego poematu: jakże ogniste i wonne są te strofy, co opiewają wdzięki tysiąca uśpionych piękności, i tysiące marzeń, za któremi gonią we śnie biedne niewolnice!... Jakże urocze te obrazy obejmujące wszystkie odcienia cery kobiecej, począwszy od hebanowej twarzy negrzyicy aż do śnieżnego oblicza Georgianki, chwytające odrazu całą gamę powabów niewieścich, podobną do mieniającej tęczy drżącej w wilgotnym półcieniu nocy letniej....

Baleś usiłuje przedstawić namiętne malowidło Byrona. Harem paszy zbudzony blaskiem wschodzącego słońca wstaje, stroi się, przeciąga, próbuje tańców i skoków, przemyślając, czémby przypodobać się panu, czémby zapełnić całodzienne nudy. Pożądana rozrywka przybywa w osobie Izaaka, przyprowadzającego paszy ulubioną brankę Medorę. Jednocześnie u drzwi pałacu staje pobożna karawana, jadąca na wielbłądach do Mekki; stary derwisz przewodnik pielgrzymów, prosi paszy, żeby mu pozwolił pod swym dachem przeczekać upał dzienny. Gospodarz zezwala, nadto każe odaliskom bawić gościa; ale kiedy te otoczywszy go wieńcem rozpoczynają taniec, on zrzuca płaszcz:—derwisz przemienia się w korsarza, a pielgrzymi w bandę jego. Pasza ucieka, Medora pada w objęcia Konrada. Zajęci sobą kochankowie nie widzą grożącego niebezpieczeństwa: wojsko paszy otacza zwolna bandę, rzuca się nań, rozbraja, wiąże i uprowadza do więzienia. Poczém pasza ofiaruje swą rękę Medorze i oświadcza, że jeżeli jego ofiary nie przyjmie, każe utopić Konrada. Medora słysząc takie *ultimatum*, udaje, że się zgadza, ale posyła na swoje miejsce

zawołowaną Gulnarę, żeby z paszą ślub wzięła: sama zaś podejmuje się roli małżonki po odbytej ceremonii zaślubin.

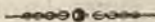
Zostawszy sama z paszą Medora, prosi go, żeby jęj dał swój kindżał; zakochany pasza nie zdolny nic odmówić żonie, składa w jęj ręce nieodstępny towarzysza, potem oddaje jęj także pistolety, których się napiera, i dla zabawy pozwala sobie szarfą związać ręce. Tak skrępowawszy i rozbroiwszy lwa, Medora klaszcze w dłonie: Konrad ukazuje się w otwartém oknie, Medora jednym skokiem staje przy nim, i mierząc do paszy z jęgo własnej broni, niknie z kochankiem.

Piękność ostatniego obrazu, który jest koroną dzieła, zawdzięczyć należy całkowiec maszynistom. Scena przedstawia rozhukane morze z niepojętą oddane sztuką, a na niem kołyszący się okręt. Pokład napełnia załoga, wyżej ponad tłumem piratów i niewolnic obchodzących wesele młodej pary, widać wyniosłą figurę Konrada trzymającego na ręku Medorę, w postawie podobnej do Neptuna porwającego ziemską nimfę.

Nagle niebo zaczyna się mroczyć: czarne chmury coraz gęstnieją; zdala słycać grzmot. Morze coraz burzliwsze pieni się i zżyma; okręt na coraz wyższe wskakuje bałwany; *crescendo* burzy ciągle wzrasta, aż wreszcie piorunowe błyskawice prują ciemności i zaczyna się najpiękniejszy obraz jaki widziano kiedy na teatrze: burzliwa noc na oceanie przedstawiona w całej grozie i fatalna wizya rozbicia okrętu oddana z niepojętą prawdą. Nic straszniejszego, jak ten okręt rozpadający się na płowém tle nieba, szarpanego piorunową wstęgą! Coraz wyższe bałwany liżą brzegi statku i połykają go częściowo: dopiero widziany okręt odarty z masztów i żagli staje się podobny do łodzi, za chwilę do tratwy, a za chwilę do pływającej trumny, na której cienie rozbitków stoją załamując ręce..... W końcu noc zakrywa czarnym całunem ten grób pływający.....

Zwolna burza ustaje, opadają bałwany, księżyc wschodzi, srebrzy grzebienie coraz to ciszej pluskającej fali..... i odkrywa daleko, daleko, dopływających na maszcie do swęj wyspy, Konrada i Medorę.

Taki jest ten balet wdzięczny, kolorowy, wesoły i dramatyczny, a mianowicie ukoronowany arcydziełem sztuki dekoracyjnej. Ta noc na oceanie, ta nawałnica morska, i to rozbicie okrętu nieporównanej grozy, powinnyby przebłagać cienie lorda Byrona, i wyjednać jego przebaczenie dla profanów, którzy się poważyli zaprosić do tańca ponurego korsarza.



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Dzieje Polskie wewnętrzne. Opis zwyczajów i obyczajów za panowania Augusta III, przez księdza Jędrzeja Kitowicza. Tomóm IV. 1855 r. Petersburg.*

*Znakomici mężowie Polscy w XVIII wieku przez Juliana Bartoszewicza.*

*Cmentarz Powązkowski przez K. Wł. Wójcickiego.*

*Słownik malarzów polskich. Tomów II, Edwarda Rastawieckiego.*

*Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego, zebrał M. Ł. 1855. Warszawa.*

**D**zieje zewnętrzne krajów długo jeszcze zapewne uważanemi będą za większej wagi niż ich dzieje wewnętrzne. Im dobitniej jednak poznajemy łączność i wpływ wzajemny jednych na drugie, im więcej uczymy się cenić wartość duchową: tém więcej gromadzimy szczegółów, śladów, dziejów wewnętrznych, i tym większy stopień zajęcia budzi w nas rozpatrywanie się w nich. Zajęcie to, mówiąc nie egotycznie, lecz historycznie, w szczególny właśnie sposób musi obudzać społeczność nasza. Kraj nasz był to kraj, który sływał bezrządem, bezrządem zginął; który się nie odznaczał żadnym ze znanych środków fizycznej potęgi, granic swych nie rozszerzał ani siłą zaborów, ani przez politykę rządców, sukcesy dynastyj, i który jednak zablysnął był wysokim i trwałym blaskiem w historyczności. Zawarty (z swém dzisiejszém imieniem) w szczupłej zrazu społeczności pierwotnej (między Odrą i Wisłą) przez kilka wieków z rządu wzrastał w obszerność, wcielał w siebie całe pokolenia i kraje już rozwiniętych nawet i fizycznie silniejszych od siebie historyczności, łączył je jednym duchem i mową, i za wieków swego kwitnienia (XV, XVI i XVII) ze wszystkich krajów europejskich stał się najobszerniejszym granic krainą. (Polska obejmowała więcej niż 13,000 mil kwadratowych; Francya ówczesna, to jest bez Alzacyi i Lotaryngii 9180; Anglia razem ze Szkocyą 4214; Włochy w ogóle nawet z Sycylią i Sardynią

5850; *Hiszpania z wyspami Balearskimi* 8847; *Niemcy w ogóle swych elektorstw* 11,600; *Turcyja europejska* 9335. Nie mamy tu wcale w tym razie zamiaru wyszukiwać i oznaczać powody takiego faktu; mówimy tylko, iż zgromadzenie i rozpatrywanie się w dziejach wewnętrznych kraju, który wydał ten fakt, zawsze zajmującym być musi. Nie więc dziwnego, iż od lat wielu zbieranie i zajmowanie się szczegółami dziejów wewnętrznych polskich stanowi u nas jedną z najobfitszych gałęzi krajowej literatury. Samo wyliczenie tych dzieł złożyłoby artykuł oddzielny; o niejednym donoszonym już było w tej kronice: tą razą wspomnimy jeszcze o kilku z ostatnio zjawionych, różnych gałęzi dziejów wewnętrznych dotykających.

**Opis zwyczajów i obyczajów za panowania Augusta III** przez księdza Jędrzeja Kitowicza, tomów 4, otrzymujemy w wydaniu nowém. Pismo to autora zmarłego w r. 1804 poznaliśmy dopiero z druku przed kilkunastą laty. Jestto opis, który przedstawia nader szczegółowie wewnętrzny stan Polski w połowie zeszłego wieku. *Duchowienstwo, wojskowość, szlachta, obrady sejmowe, sądownictwo, gry, uczyty, zabawy, ubiory, jedzenia, napoje* wszelkie: słowem szczegóły bytu publicznego i domowego różnych klass kraju, przedstawione tu są kolejno. Opis ten pozostawiony nam jest przez świadka naoczego i bezstronnego. Z ciągu pisma nie widzimy bynajmniej, iżby autor był szczególnym admiratorem kraju swojego; nie widzimy téż jednak wcale, iżby był jego nieprzyjacielem. Że układania tego pisma nie był żaden cel osobisty, dowodem jest i to, iż autor nie ogłaszał go drukiem za życia; bodźcem do pozostawienia tego opisu była tylko wyraźna jakaś, rzecz można konieczność wewnętrzna, nagląca do zapisania i przechowania szczegółów, które wkrótce zakończyć się i z gruntu przemienić się miały. Co do ogólnego wrażenia tego obrazu, to jak idzie z samej natury rzeczy, nie może być nader miłe: jestto widok stanu owego kraju, o którego historycznym losie dopiero wspomnieliśmy, lecz który właśnie był w chwili zakończenia owéj swéj epoki: widok zatém, który nietyle może być przedmiotem admiracyi, jak raczéj lekcyi. W kraju tym była jeszcze zapewne pewna szczęśliwość wewnętrzna. Pisarz berliński *Ranke*, w 2gim tomie głośniejsz swéj *historyi papieży* uczyniwszy uwagę, iż w wiekach XVI i XVII w miejsce nieograniczonej władzy czyli swobody jednostek (królów), swobodę tę zyskiwały po krajach liczniejsze jednostki, (panowie i szlachta), i wskazując na różne jéj stopnie po różnych krajach, dodaje: „w Polsce wreszcie pozyskali zupełną.“ Fakt ten ostatni wczesniejszym był wprawdzie niż wiek XVI (i był właśnie jednym z powodów owéj historyczności kraju), był jednak istotnie jeszcze w całej swéj sile i w wieku XVIII. Każdy szlachcic nie znał tu innéj woli nad własną; każdy mógł oprzec się wydaniu nowéj ustawy. Za Augusta III był przytém pokój ciągły, liczba wojska w ogromnym kraju nie wynosiła więcéj jak 18000 (12000 w Koronie, 6000 w Litwie): był to rzecz można ideał wielu



nam społecznych teorii: zamożność szczególnych mieszkańców, na którą każdy z podróżopisarzy ówczesnych zwracał uwagę, wiodła nawet zwykle do zbytów większych niż dzisiaj. Książd Kitowicz nieraz o nich wzmiankuje. „Panowie, mówi naprzykład, jeździli po mieście nie inaczej jak sześcioma końmi: był jakiś wstyd i przyrównanie do mieszczanina jeździć parą końmi; (tom IV str. 35). Liczba służby przy powozach dochodziła niekiedy 12 lokajów, 6-u hajduków i 4-ch pajuków. Biskup Soltyk pierwszego roku biskupstwa prezentował się o dwudziestu czterech lokajach, dwunastu hajdukach, czterech pajukach!” Przepych był w strojach wojskowych i w strojach cywilnych: za same rękawki i piersi od koszuli, mówi autor, płacono po pięćdziesiąt dukatów; na karty stawiano naraz po kilka i kilkanaście tysięcy czerwonych złotych. Wszakże ta pewna szczęśliwość była już nietyle szczęśliwością kraju, jak raczej pewnych jednostek: owa zupełna swoboda była tylko swobodą wyłącznie szlachty, a nie miały w niej prawie udziału klasa wiejska i miejska. Na 14 milionów mieszkańców w ówczesnej Polsce (według obrachowania *Guthry*) 500,000 tylko było uprzywilejowanych. Kraj nasz prócz pewnej missyi świetnej miał i tę smutną, by wskazać: iż owe wewnętrzne cechy i przywileje, do których dążył, nie były jeszcze zgodnymi z wewnętrzną naturą wieków: podstawą ich mogła być tylko miłość, a miejsce jej w naszych przodkach zajął był wkrótce *egoizm*. Egoizm ten kazał szlachcie poniżyć inne klasy krajowe, egoizm ten w rozwinięciu kazał też jej w końcu zapomnieć na jej własne dobro ogólne, na zajmowanie się niem. Książd Kitowicz w rozdziale o *ucztach i trunkach* w najprzychylniejszém zdaniu o swym przedmiocie, zapisał tu właśnie takie świadectwo: „dobre czasy, pokój ciągły, obfitość wszystkiego, całą myśl obywatela rozrywkami i uciechami zajmowały; ile gdy zrywane (dodaje) raz wraz sejmy *nikogo nie wabiły do zatrudniania się około dobra publicznego*” (tom III stron. 143). Rozwicie tego stanu rzeczy, to jest skutków téj ujemności w naturze kraju, zakończyło się jak wiadomo w końcu owocem, którego nazwiskiem było: upadek kraju, a czas rozwicia przypada właśnie głównie na czas opisu, o którym mówimy. Swobody, skutki ich dobre z dawnych czasów idące, ich nadużycia, jest to cecha ogólna, która charakteryzuje wszystkie szczegóły tych opisów. Rozdział określający szczegóły obrad sejmowych jest jednym z tych, który najwięcej zajmuje; dodajmy jednak, iż mimo mniej powabne swe szczegóły nie jest stwierdzeniem zdania o wiecznej kłótności i niezgodności szlachty ówczesnej.

Autor określa tu jak z 30 sejmów za panowania Augusta III każdy pomimo dojścia niekiedy do ostatniego dnia uchwał, zerwanym był w końcu przez *nie pozwalam*; szczegół ten nie jest zapewne wcale na pochwałę administracyi krajowej, nie jest to jednak wcale dowód niezgód i burzliwości, skoro reprezentacya zebrana z najrozmaitszych prowincyi kraju, obradując z całą swobodą po-

śróđ rozlicznych partyi, przy wyrzeczeniu stanowczém znajdowała tylko w opozycyi głos *jeden*.

Opis księdza Kitowicza, dodajemy w końcu, pisany jest wszędzie czysto, jasno, i z pewnym życiem, to jest dodawaniem dla lepszego odkreślenia przedmiotu i niejakiich społecznych anegdot, czyli jak nazywa autor małych zdarzeń. Mieści on co do wewnętrznego widoku kraju i epoki nie jeden, lecz mnóstwo szczegółów, którychbyśmy napróżno szukali w innych społecznych statystykach i historyach krajowych: jestto słowem materyał, i kosztowny materyał dziejowy.

**Znamienici mężowie polscy w wieku XVIII** przez Juliana *Bartoszewicza*, jest pismem autora, którego znajomość i zasługi w badaniu dziejów wewnętrznych krajowych, nader dobrze są znane czytelnikom Biblioteki, i jest pismem, które właśnie było początkiem tych zasług. Zasługi p. Bartoszewicza w badaniu dziejów wewnętrznych krajowych są liczne; lecz najgłówniejszą czyli raczej głównie charakterystyczną jest badanie szczegółów życia jednostek *krajowych* czyli *biografie*. Każdy szczegół, fakt historyczny, zdaje się nam iż dla myśli autora nietylko jest ważny w sobie w odniesieniu do dziejów, jak raczej w odniesieniu do życia takiej nie innej jednostki. Zbiór takich szczegółów, faktów, potworzył pod piórem autora szereg wizerunków krajowych.

Każdy wizerunek p. Bartoszewicza nietylko jest ściśle życiorysowy czyli powieściowy, lecz téż psychologiczny i historyczny, to jest kreśli nam w nim autor nietylko zawód osoby, ale téż jej charakter, zadanie, stosunek jej zasług do téj gałęzi dziejów wewnętrznych, do jakiej te się odnoszą, do ogółu dziejów; stosunek jej wreszcie do całej swojej rodziny, do innych rodzin i. t. p. Ten téż właśnie jest ogólny charakter i *Znamienitych mężów*: jestto zbiór wizerunków kilku znakomitszych ludzi w wieku zeszyłym w Polsce żyjących, i obejmuje jednostki różnych zawodów. Umieszczeni tu mianowicie: biskup *Naruszewicz*, *Felix Łojko*, *Ożarowski*, *książe de Nassau* i *ksiądz Łuski*. Sąsiedztwo pióra w tém piśmie nie mogło nam wzbronić, iżbyśmy nie wspomnieli o ogólnej zasłudze autora; sąsiedztwo tu nie będzie téż nam równie przeszkodą do wyrażenia zdania o tém, coby nam pod piórem autora do życiorysów zwróconém, sprostowaném życzyło się widzieć, co się nam widzi ujemném. Ostrzegamy jednak, iż nie mamy tu mówić o takich lub innych faktach życiorysowych, tych bowiem sprostowanie lub pomnożenie, w miarę odkrywania się źródeł być może bez granic; ale mamy tu mówić tylko o wizerunkach, jako o wizerunkach czyli o sposobie ich wykonania z faktów zebranych.

To, co nam widzi się zwykle brakiem w wizerunkach p. Bartoszewicza, jest to nieukształcenie jednego stałego obrazu z cząstkowych rysów, stosowanie przeciwnie uwag oddzielnych do świadectw cząstkowych, z kąđ nieraz sprzeczność; inną zaś razą kształcenie rysów dziejowych osób nie ze źródeł dziejowych, lecz z własnych pomysłów, i wreszcie w towarzyszących obrazom zda-

niach szczególnych, nie wyższe rozjaśnianie przeszłości lub psychologii, lecz uwagi i wnioski niedochodzące stopnia zasług autora pod innym względem, i nieraz jakby okazujące tylko poehopność do pomiatania przeszłości krajowej. Uwagi te wyjaśniamy kilkoma przykładami, i weźmiemy je głównie z najobszerniejszej i najinteresowniej dotąd wypracowanej biografii przez autora, a z porządku pierwszej: biskupa *Naruszewicza*.

Głównym źródłem i zapewne powodem skreślenia tej biografii *biskupa Naruszewicza* były wynalezione, i w znacznej części ogłoszone przed kilką laty liczne korespondencye tego autora, jego dyaryusz podróży Kaniowskiej i. t. p., co połączone z jego znanemi dawniej pismami, aktami urzędowemi, pewną jeszcze tradycją dozwoliło autorowi skreślić dosyć pełny i zajmujący obraz tej znakomitej figury; obraz w którym nam po kolei przedstawia czas jej dzieciństwa, dalej pierwszy zawód duchowny, zawód poetyczny, zawód jako historyka, wreszcie biskupa, senatora i chwile ostatnie.

Co do nas zdaje się nam, iż ze zbliżenia i porównania szczegółów życia Adama Naruszewicza ten głównie co do charakterystyki jego wypada wniosek: iż mąż ten jakkolwiek z zawodu duchowny i znakomity pisarz, był jednak, mówiąc psychologicznie, *przedewszystkiem* światowym człowiekiem. W jednym z listów swych, któremi się dobijał o jakąś godność światową, Naruszewicz pisał: „nędzny to cel *śława nieśmiertelna po śmierci* (w biografii strona 66).” Istotnie widzimy, iż Naruszewicz był nietylko duchownym autorem, ale też dygnitarzem krajowym, a jak powiada przysłowie: „pieczone gołąbki nie wleczą do gąbki;” Naruszewicz miał talent w wierszu i prozie, naukę, umiał pracować, a darów tych użył, tojest używał głównie: do owego upieczenia gołąbka czyli: do dygnitarstwa. Pomimo iż był duchownym, zawód swój rozpoczął Naruszewicz od poezyi głównie światowej, *sielanki, satyry, bajki*, gdyż drogą tą mógł najprędzej społecznie zjednać głośność. Zaznajomiony z księciem Adamem, znajomości tej użył do przedstawienia się na salony królewskie. Sama znajomość z królem nie było to jednak jeszcze dygnitarstwo; król sądził zapewne, iż uczynił dla literata dosyć jeśli go zaprosił na obiad, mógł być wreszcie orderem obdarzyć; lecz Naruszewicz chciał w swym zawodzie *posuwać się*, a wiedział, iż aby posuwać się trzeba działać i przypominać się, narażać się, a mianowicie nie zrażać się. Naruszewicz był też niezrażonym z tej strony; cały prawie zbiór jego korespondencyi jest to obraz jego nieustannych starań o posuwanie się. Autor obmyślał środki, wyszukiwał wakansów, usuwał współzawodników i co chwila prawie kołatał, pisał do króla umiając zrećźnie wynajdywać różność powodów, użalać się, wskazywać na swoje wartości i zarazem przemawiać do majestatu. Przytaczamy tu kilka urywków z tych listów z czasu, kiedy Naruszewicz zajął się był już z polecenia króla układaniem *historyi narodu*: „Teraz zdaje mi się, że żem żak i mówić nie umiem, potem pod-

sycony laską pańską *loquar in conspectu regum et non confundar*, gdy mnie jeszcze ta nadzieja ominie, podobno zapłakawszy z Dawidem *vacuum est confidere in principibus* trzeba będzie pojechać na wieś i zamiast Liwiusza czytać Varrona *de re rustica*." „Nie jest to fraszka dla mnie miłościwy Panie utracić blizką nadzieję, a tymczasem gnść i ślepić nad temi szpargałami. Potrafiłbym i ja jeździć karyolką, grać w karty, jeść i pić smaczno, liczyć pieniądze, a potem bez pracy wyższe infuły łapać." „Ja nie proszę o pieczęć (po Młodziejowskim), bo choć mam serce, ale trzeba *lepszej głowy* (Naruszewicz czynił tu sobie zręcznie z tego tylko zarzut, co wyraźnie było fałszywem); dla usunięcia współ rywala Sołtyka ten tylko podawał pretext, iż pochodził z Rusi. „Czémby tego pretendenta ugłaskać można nie mojej to głowy rada. Mógłby jednak jako *Roxolanus* poaspirować do Smoleńska albo do Chełmna, a nam starym sługom drogi nie zagradzał." Otrzymałszy pierwszy stopień wyższej godności, pisaryą Wielkiego Księstwa Litewskiego, w samém podziękowaniu umiał zręcznie polecać się i dalszym względem: „byłem dotąd, wyraża, pisarzem Waszjej Królewskiej Mości, wszystkie pisma moje były dla króla, za królem, z woli króla; odbierasz mi Wasza Królewska Mość najśodszy mój honor, ale ja protestuję się, że prócz tytułu litewskiego będę zawsze pisarzem Stanisława Augusta."

Takim był główny rys charakteru Adama Naruszewicza jako człowieka; lecz autor w kreśleniu jego, lub jak rzekliśmy sławi rysy z domysłu, lub do każdego przytoczonego świadectwa dodaje oddzielny wniosek. Opisując młodość swego bohatera, czas jego szkolny, autor mówi między innemi: „młodziemiec słuchał z zajęciem swoich nauczycieli i uczył jakieś *drzenie w sercu, przeczucie dziwne* (?), bo dusza jego gwałtem się rwała w świat nowy, w świat nauk i przyszłej sławy, a zdawało się biednemu dziecku, że li tylko Jezuitci posiadają tajemnicę, jakimby sposobem spełnić można jego nadzieje i marzenie." Marzenia i młodość ludzi później oddanym naukom nader różne bywają, nieraz bez *drzeń*, bez *przezuc*, nawet bez zdatności do nauk; ciekawi naturalnie byłibyśmy jaką była psychologiczna młodość Naruszewicza? Co skłoniło go iż wszedł do zakonu Jezuitów? czy z powołania? potrzeby? albo dla innych celów? Autor twierdzi stanowczo, iż tym powodem było to przekonanie: iż tylko zakon Jezuitów może ziszczyć jego marzenia! Lecz marzeniem całego życia Naruszewicza było biskupstwo, a zakon Jezuitów nie dawał godności duchownych. Te szczegółowe rysy, które tu autor wyraził, mogłyby się tylko znajdować w pamiętnikach Naruszewicza lub jego listach szkolnych, lecz tych nie znamy: kreślenia rysów z domysłu mogą mieć tylko miejsce w powieści historycznej, nie w biografii. W całym dalszym ciągu żywota Naruszewicza autor nie widzi w nim nigdzie człowieka zajętego światem, myślącego o dygnitarstwie; wyszukiwane przezeń powody do posuwania się bierze wszędzie, że tak powiemy, za dobrą monetę, i zbyt proste do każdego przy-

toczenia dodaje wnioski. Przytoczywszy naprzykład wyjątek z listu Naruszewicza, którym ten prosząc o awans kładzie ten najpowszechniejszy w podobnych razach powód, iż ma liczną familią do wyżywienia, autor dodaje: „te wyrazy określają coraz piękniej szlachetny charakter i czule serce Naruszewicza,” Przytoczywszy znowu te słowa innego listu: „żebym nie był tak leniwy i nieczuły na siebie jak o mnie mówią, przypominam się łasce Waszój Królewskiej Mości”, autor zamiast zwrócenia uwagi na zbyt wyszukany powód do łaski, rozbiera na seryo, dlaczego Naruszewicz mógł być uważanym za nieczułego (stron. 73); przytaczając znowu wyjątek z listu w którym polecał *usługom* królewskim brata swego i upraszał dla niego o biskupstwo unicko-łuckie, autor dodaje: „widać z tego, jaką wdzięcznością (?) był dla króla przejęty.” To dopisywanie wniosków do zdań pojedynczych bez poprzedniego zdania sobie sprawy z ogółu, musi kształcić szereg *sprzeczności*, które w ogóle są jedną z najpowszechniej zarzucanych wad pióra autora; sprzeczności te spotykać się muszą co chwila i w rysach i w zdaniach szczególnych. Autor naprzykład w tych życiorysach o których mówimy tyle razy narzeka na nasze lenistwo w gromadzeniu materiałów historycznych, i tyle razy powtarza, iż mamy już ich aż nadto i tylko brak historyka, że czytelnik zgadnąć nie może, który zarzut jest słuszny. Mówiąc o charakterze księcia de Nassau autor powtarza po kilkakroć, iż księżę ten nie mógł się przywiązać do kraju w którym przyjął indygenat, i wnet w dalszym ciągu wyraża: „doprawdy księżę de Nassau przywiązał się był szczerze do Polski.” W artykule o Łojce i jego pracach autor wyraża następane zdanie, „Czacki poprawiał obrachunki Łojki, bo ten źle zredukował grzywnę Jana Ostroroga; musiał jednak Czacki wiele z prac Łojki korzystać (czemu?), bo dotąd odwołujemy się do tablic Czackiego.” (inaczej: Czackiego praca nie jest własna, ale z Łojki wzięta, czemu? bo dobra, bo Łojko nie umiał obrachować grzywny Ostroroga). W zaczęciu tegoż artykułu o Łojce autor mówi: „prawdę powiedziawszy, sami sobie winni jesteśmy że tak mało znamy literaturę ojczyzną”; a w rozwinięciu tego twierdzenia czytamy: że Janocki zostawił nam porządną wiadomość o Bibliotece Załuskich, że dalej przeszkodą były wypadki krajowe, a dzisiaj brak źródeł pod ręką; wniosek więc oczywiście jest: że niekoniecznie sami sobie winniśmy. O sprzecznościach tych wspominamy tu mianowicie dlatego, iż, jak rzekliśmy, spotykają się nieraz w wizerunkach i rozumowaniach autora; że jednak winą tu jest nie brak logiki, ale prosty pośpiech, dowodem tego są nieraz zbyt jawne sprzeczności, jak naprzykład następną, która się spotyka przy końcu biografii Naruszewicza. Po przytoczeniu zajmujących szczegółów z dyaryusza Naruszewicza i zjazdu monarchów w Kaniowie, autor dodaje: „resztę dni swoich Naruszewicz przepędził *w osamotnieniu*: już nie żył, *nie pracował a wegetował* tylko.” Autor jednak określa następnie, jak jego bohater otrzymał wreszcie całe życie ścigane biskupstwo łuckie, krzesło w senacie,

nader czynny jego udział w sejmie czteroletnim, czynne kierowanie w tym czasie opinią publiczną wierszem i prozą, i zapisuje uwagę: iż w mowie powiedzianej przy zakładaniu kościoła Opatrzności na cześć szczęśliwie dokonanej pracy sejmowej, zrównał Woroniczowi i Skardze." Nie rozumiemy, jak bohaterem tego wszystkiego mógł być człowiek, który zostawał *w osamotnieniu*, nie żył i nie pracował. Zdanie to miał oczywiście autor umieścić o dwie czy trzy karty niżej. Dodajemy tu wreszcie uwagę, iż czyli to tenże pośpiech, czyli co prędzej, owe zatapiać się w zdaniach pojedynczych, z zapomnieniem na inne otaczające, na ogół, jest téż powodem, iż przy podniesieniu tych zdań do stopnia ogólników, autor zamiast odcieniania obrazu psychologicznie lub historycznie, kładzie tylko zwykle postrzeżenia i ogólniki, które wymierzone są zapewne na efekt, w istocie zaś pokrzywdzają tylko zwykle, i zwykle niesłusznie, jak już uważaliśmy, przeszłość krajową. Tak naprzykład w zaczęciu biografii Naruszewicza, autor mówi między innemi; „ale jakto *w dawniej Polsce było nie nowiną* podupadł i ród Naruszewiczów", (czy dziś albo w jakim innym kraju jest to nowiną?); w artykule księdza Łuskina wspomniawszy o wyjednaniu przezeń u króla *przywileju* na wydawanie gazety, autor dodaje: „dawniej był *monopol* na wszystko." (Polska owszem mniej niż jakikolwiek kraj inny, była krajem monopolów). W tymże artykule autor dołącza ironią i połażanie obszerne dziennikarstwa polskiego przy końcu wieku zeszłego, porównyując je z powszechnym, dzisiejszym; zwracamy wszakże uwagę, iż ten stan dziennikarstwa jakiego autor wymagał jest zjawiskiem w historii zupełnie nowym i datuje dopiero, rzec można, od lat trzydziestu! Dosyć wspomnieć naprędce: iż w samej prassie Wielkiej Brytanii zakaz rozbierania przez dziennikarzy obrad parlamentarnych, urzędownie nie jest jeszcze zniesionym.

Przytoczyliśmy tu kilka postrzeżeń o stronie ujemnej kreśleń wizerunkowych przez p. Bartoszewicza; ujemności te są jednak zbyt małe w miarę tych zalet, jakie ma, jakie do literatury krajowej wniosło pióro autora: uwag powyższych nie wyrażalibyśmy nawet, gdyby się nie stosowały do pisarza, którego pisma zkadnąd tak zajmujące są, i tak czytowane. P. Bartoszewicz jest dziś u nas jednym z najdokładniejszych znawców szczegółów naszej historii wewnętrznej, i *Biblioteka* za zaletę ma sobie, ilekroć pozyskuje zdanie tego autora o pismach tego przedmiotu. Nie wiemy wcale powodów, dla jakich dalsza publikacya zbioru, o którym mówimy została wstrzymana; wizerunki wszakże umieszczane przez tegoż autora w felietonach gazet i pisma wydane przezeń oddzielnie: *Panowie niemieccy na dworze Augustów* i *Królewicze biskupi* są to i w rodzaju swym nowe i nader rozjaśniające przeszłość krajową monografie. Na témże polu, to jest na polu biografii polskiej pokazało się w tym czasie w naszej literaturze kilka znakomitych prawdziwie publikacyj. *Dzieduszycki* przy kreśleniu swych bohaterów, kreśli téż historyzoficznie epoki.

których są wyrażeniem; *Szajnocha* (mianowicie w *Jagielle i Jaidwidze*) obok poglądu również historyzoficznego, każdy nadto fakt wzmiankowany, każdą uwagę, szczegóły, popiera wskazówką źródła: tę ostatnią zaletę ma też i *Paweł z Przemankowa A. Przedzickiego*. Pan Julian Bartoszewicz nie ma w swych biografjach tej historycznej ścisłości, ani owych poglądów na epokę, ale ma rzecz można, więcej miłości ściśle biografijnej: za bohaterów obrazów swych autor nie obiera wyłącznie figur okresowych i znakomitszych, lecz każdą, o której kilka szczegółów w źródłach historycznych da się wynaleźć. W szczegółach tych obok względu historycznego, autor zwraca też uwagę, jak powiedzieliśmy, na rodzinę określaną osoby, jej przodków, następców, stosunki do innych rodzin; i jest rzecz można, jakby Niesieckim i Okólskim. W poczęciu spółzawodników swych celuje p. Bartoszewicz najprzód: wskazaniem drogi (biografia Naruszewicza jest pierwszą co do czasu wśród wszystkich powyższych), i powtóre: ilością zebranych biografijnych szczegółów o indywidualach.

**Cmentarz Powązkowski**, wydawany przez pana K. W. *Wojcickiego*, jestto zbiór życiorysów osób leżących na cmentarzu Powązkowskim, (zbiór którego otrzymaliśmy już poszytów 5) a służy do objaśnienia i przechowania najbliższej naszej przeszłości. Cmentarz Powązkowski, jak to objaśnia zajmująca przedmowa wydanie to otwierająca, po długich protestacjach mieszkańców miasta przeciw zakładaniu cmentarza za miastem, nie przy kościołach, otworzonym został dopiero w roku 1797; umieszczone tu życiorysy sięgać więc tylko mogą i sięgają czasów drugiej połowy zeszłego i pierwszej bieżącego stulecia. Publikacya ta również jest bogacąca źródła do dziejów krajowych wewnętrznych jak zajmująca. Jest to, rzecz można, zamienianie miasta zmarłego i leżącego w prochu, na miasto żywe; jest to, ile się da uchwycić, wskrzeszanie świeżo zgasłego życia wewnętrznego tego miasta. Historyk nasz Długosz pisząc przed laty 400 w Krakowie historią królestwa polskiego, wyraził w przedmowie, iż nie spieszy się z rozpowszechnieniem swego pisma, bo nigdzie tyle zawiść nie ściga piszących jak u nas w Polsce. Nie wiemy jak jest dzisiaj w Krakowie, (listy albo wyjątki z listów, wspomnijmy tu nawiasem, któreśmy od lat kilku i kilkunastu czytawali pisane z Krakowa lub Lwowa, a które są zwykle wylewem żółci na wszystkich piszących spółmieszkańców swego miasta, dowodzić się zdają, iż nie się tam pod tym względem nie odmieniło od czasów Długosza); ale to pewna, że i cienia tego zarzutu nie mógłby ściągnąć na siebie wydawca Cmentarza powązkowskiego. Jedną z cech i jednym z powodów wszystkich pism pana Wojcickiego jest miłość spółpiszących w swym kraju i (jeżeli jakie mają) zalet ich. Każde ocenienie lub wzmianka przez autora o danym pisarzu lub jego piśmie towarzyszoną jest zwykle przytaczaniem żywcem wyjątków i lepszych miejsc z tego pisma; każde odkrycie jakiej

zalety wiedzy autora nie do ukrycia lub zmniejszania, lecz owszem do jak najprędzszego udzielenia, przekazania jej publiczności. Tę przychylność stosuje autor nietylko do dawniejszych od siebie zasług i wiekiem, lecz i do młodszych, najmłodszych, do nieprzyjaznych nawet własnej zasłudze. Uwagę tę nastreczył nam zaraz pierwszy poszyt *Cmentarza powązkowskiego*; zasługa czy to żyjąca, czy zmarła spokojną być oczywiście może o siebie przy takim wydawcy. Publikacja ta *Cmentarza powązkowskiego* jest można rzec dalszym ciągiem wydawanych przez autora *Życiorysów*; różnicą jest, iż przedmiot opisów ogranicza się tu do jednej miejscowości, i że z drugiej strony, obszerniejszym jest rozciągając się i do osób mniej głośnych. Rozmaitość jest tu równie cechą wyboru jak w *Życiorysach*.

Artyści, urzędnicy, wojskowi, uczeni, osoby różnego wieku, płci, stopnia, zasługi, lecz których tylko pamięć już z tych, już z innych powodów przechowaną została, znajdują tu wspomnienie o sobie.

Autor, że tak powiemy gwałtownie przedziera się w tę świeżo zgasłą przeszłość, i tysiące co do zdarzeń, wypadków, historii osób pojedynczych i rodzin w mieście żyjących szczegółów przechowuje. *Życiorys* każdy pisany jest jasno, zwięźle i prosto, ile być mogło krótko, z dobitnym wszakże przedstawieniem zasług lub charakterystyki zmarłego. Jednym z oddziałów najwięcej zajmujących są często tu spotykane biografie, jakkolwiek niedawno zeszyły, lecz z imienia już nawet prawie od nowego pokolenia nieznanymi, dawnych wojskowych.

**Słownik malarzów polskich**, przez Edwarda (barona) *Rastawieckiego*, którego dwa tomy mamy przed sobą już od lat kilku, a trzeci oglądaliśmy w rękopiśmie, wielkim krokiem przyczynił nam światła nietylko co do części biografijnej, ale też co do rozjaśnienia szczegółów tak znakomitej gałęzi dziejów wewnętrznych, jaką jest sztuka. Słownik ten obejmuje w porządku abecadlowym: nazwiska, główne szczegóły życia, i wyliczanie prac malarzy w Polsce zrodzonych, albo zamieszkujących od najdawniejszych czasów. Zbiór się okazał obfitym, i liczba nazwisk w dwóch pierwszych tomach (do litery S) dochodzi do 500. Jakkolwiek liczba ta znacznie zapewne zwiększoną jeszcze być może (*w Skarbnicze archéologii* naprzykład, wydaniej w roku zeszyły przez zasłużonego Ambrożego Grabowskiego, znaleźliśmy niejedno nazwisko pośród malarzy krakowskich, nie znajdujące się w Słowniku, pomimo iż notatki Ambrożego Grabowskiego były jednem ze źródeł Słownika). Jakkolwiek niejednen szczegół biografijny może znaleźć swe dopełnienie lub sprostowanie, zawsze ten Słownik w swojej gałęzi jest takim, a może i dokładniejszym krokiem, jakim w roku 1814 była pierwsza *Historia literatury polskiej* przez Bentkowskiego. Szczegółowość, zimna krew i pewna powaga odznaczają wykład w Słowniku; w ogólności przytaczane tu są tylko szczegóły życia i same nazwi-



ska prac wzmiankowanych malarzy. Zdanie o pracach tych zapisywał autor tylko wtedy, gdy mógł zapisać z naoczego przekonania, własne, lub obce wartości już ustalonej. Z natury treści wynikło, iż pismo to podając szczegóły o rodzaju, wartości i miejscach znajdowania się w kraju różnocześnie różnych utworów malarskich, przyłożyło się też do rozjaśnienia i historii krajowych świątyń kościelnych, gmachów królewskich, pomieszczeń panów i t. p. Wydanie Słownika malarzy jest ozdobne i wzbogacone dodaniem wizerunków znakomitszych malarzy.

Książka ta jednak (mimowolnie następuje się tu nam ta uboczna uwaga) im bardziej w swęj użyteczności specyjalna, z natury swęj nie poczytna a ozdobniejsza, tém mniej może rachować na odbyty księgarski: właśnie zatem większą winniśmy wdzięczność dla przedsiębiorcy. Tak kosztowna zewnątrz i wewnątrz praca mogła być tylko dziełem nietylko szczególnie gorliwego, ale też razem i zamożnego sztuki krajowej miłośnika.

Wspomnijmy tu wreszcie o téj wielkiej gałęzi dziejów wewnętrznych, jaką jest historia literatury, a powód do tego daje nam ze skromnym lub raczój mniej właściwym napisem wydane, ale treściwe dziełko:

**Krótkie wiadomości z dziejów Piśmiennictwa Polskiego** przez *M. Ł.* Dziełko to nie jest bynajmniej, jakby wnieść można z napisu, przedstawieniem jednego lub drugiego okresu. jednéj lub kilku gałęzi z piśmiennictwa polskiego, ale pospieszamy objaśnić, jest rysem wcale dokładnym literatury polskięj od najdawniejszych czasów do roku bieżącego. Wydanie to jest zaspokojeniem naprędcie potrzeby, która nader czuć się dawała. Dzieje literatury krajowęj były zapewne w ostatnich czasach jednym z przedmiotów najpowszechniejszego zajęcia się naszych pisarzy, i niejedną w przedmiocie tym publikacya należy do najzasłużeńszych w literaturze: mimo to jednak dokładnego obrazu ogółu literatury krajowęj dotąd nie mamy. Krajowca lub eudzoziemca żądającego pisma, któreby go zapoznało z naszą literaturą, nie mamy do czego odesłać. Dzieło *Bentkowskiego* oprócz swęj koniecznéj niedokładności jako krok piérwszy, wyszło nawet już z handlu i nie dochodzi dalej jak po rok 1814: nie obejmuje więc czasu najbogatszego w literaturze. *Wiszniewski* zaczął swe ogłoszenie na kolosalną skalę i mimo ogłoszonych już ośmiu tomów, nie doszedł jeszcze połowy. *Wójcicki* w swęj *Historji Literatury* dał poznać ją nietylko zewnątrz lecz i wewnątrz, to jest: z dołączeniem wyjątków ze wzmiankowanych pisarzy, (podobną właśnie publikacyą otrzymuje w tym roku literatura niemiecka przez *Henryka Curtza*): lecz przedmiot jęj nie dotyka pism krajowych łacińskich i nie obejmuje wszystkich gałęzi literatury. Praca *Jochera* udokładnia tylko niektóre gałęzie albo epoki. *P. Łukaszewicz* w swym *Rysie dziejów literatury polskięj* z literatury dawnęj usunął pisma łacińskie (zatém połowę

literatury); a w czasach najnowszych zajęty jest głównie poezją i poetami (1).

P. Kondratowicz mimo skromne zapowiedzenie w przedmowie, iż tylko powtarza, pięknie i z różnostronnem znawstwem przeszłości rozpoczął opowiadanie swe dziejów literatury krajowej, lecz także, tylko rozpoczął. Dokończona, ale nader mniej różnostronna i w szczegóły bogata *Historya Literatury Polskiej* Jana Majorkiewicza ma nadto tę kardynalną (mianowicie pod względem użytku praktycznego) wadę, iż cechą jej jest: naginanie zdań o autorach i obrazach do systematu pomyślanego *a priori*, pomyślanego fałszywie. Pełne wreszcie literackiej zasługi *Piśmiennictwo Polskie* p. Wacława Alexandra Maciejowskiego doprowadzonym jest równie jak większa część powyższych, tylko do wieku XVII, i nie obejmuje pism łacińskich. Pismo to nadto jest raczej zbiorem bogatych materyałów do historyi literatury, nie zaś historyą literatury (2).

*Krótkie wiadomości* przez M. Ł. o których mówimy, nie odkrywają i nie podają nowych materyałów do historyi naszej literatury, ale czynią właśnie zadość owej potrzebie ułatwienia poznania jej.

(1) Treść tego pisma przypomina także trochę, dodać tu można, owe zdanie Długosza, o którym wyżej: w Rysie swym p. Lesław Łukasiewicz, jakkolwiek umieszcza wzmianki o autorach byle powiastki, a nie wspomina nawet o spółmieszkańcach swojego miasta takiej zasługi, jak *Bandke, Pol, Józef Kremer* i t. p.

(2) *Piśmiennictwo polskie* p. Maciejowskiego, które doprowadzonym być miało według prospektu do r. 1830, objęło tylko trzy tomy i zakończyło się wiekiem XVI. Sam układ tego pisma jest już dostatecznym objaśnieniem niepraktyczności jego użytku. Autor opowiada tu historyą literatury, nie kolejną gałęzi jak naprzykład *Bentkowski*, ani kolejną epok (jak np. *Wiszniewski* i inni), ale ją podzielił na *zwroty*. Przez zwrot nic innego nie możemy rozumieć jak zakończenie jednego kierunku a zaczęcie innego: co się raz zwraca już idzie innym biegiem, a nie poprzednim. Nazwisko zwrot może dobrze służyć w znaczeniu *epoki*, jest owszem rozumowanym znaczeniem epoki; w tém znaczeniu dobrze użył był *Majorkiewicz* nazwiska *zwrotów*, ale w historyi literatury p. Maciejowskiego, te zwroty nie są to zwroty. *Zwrot I-ty* obejmuje według autora literaturę ludową, to jest: oryginalnie przez lud w pieśniach i podaniach tworzona, i treść jej doprowadza autor do wieku XVIII-go. *Zwrot II-gi* obejmuje *Piśmiennictwo Polskie* najdawniejsze, to jest zaczyna się od ujęcia literatury ludowej w pismo, w wieku XIII: zwrot ten więc jakkolwiek z nazwiska II-gi uprzedza swego poprzednika o wieków pięć. *Zwrot III-ci* obejmuje znakomitych pisarzy polskich do końca wieku XVI-go, i przeciąga się także obok klechd i pieśni, poprzednio przez autora wspomnianych. Literatura piśmiennicza i literatura ludowa, tak jak je autor do wykładu wciągnął, są to dwa jednoczesne *równoległe* przez wszystkie wieki *kierunki*, a nie dwa *zwroty*.

W tomie drugim autor wraca do tegoż przedmiotu, który opowiadał w tomie pierwszym, z różnicą, iż opowiada go tu szczegółowiej, oraz iż nazwisko *zwroty* zamienia na nazwisko *obroty* i rachuje ich *pięć*. W tomie III-cim autor powraca do przedmiotu opowiadanego w tomie I-ym po raz trzeci, i wylicza pisarzy mniejszej, jak mówi, wagi, należących do powyższych zwrotów czyli obrotów. Sam wykład opowiedzianej w tych ra-

Rys ten przedstawia szczegółowie w kolei epok wszystkie główne wypadki dotychczasowego zbioru materyałów w swoim przedmiocie. Mamy tu w każdej epoce wyliczenie wszystkich głównych pisarzy, ich pism tak łacińskich jak polskich, charakterystykę tych pism, nawet krótkie biografijne szczegóły o pisarzach, o ile są znane. Wyliczenie to jest kolejną gałęzią w każdej epoce, tak, iż czytelnik jasno tu poznaje chronologicznie i stan

mach treści, nie nosi także bynajmniej cechy praktyczności czyli historyczności. Główną wadą tego wykładu pod tym ostatnim względem jest: iż autor przypuszcza w swym czytelniku poprzednią znajomość swego przedmiotu i zamiast opowiadania go, zajmuje się tylko polemiką niektórych szczegółów, po fakta zaś odsyła zwykle do innych pism. W tomie na przykład I-ym pod zwrotem pierwszym, znajdujemy oddział pod napisem: *Historyczny rozwój podań i klechd*; drugi za nim: *Krytyczny pogląd na historyczny rozwój podań i klechd*, i wreszcie trzeci: rzut oka na *historyczny rozwój podań i klechd*. Już sama ta podobność lub raczej tożsamość napisów wskazuje, że treść tych rozdziałów co innego obejmować musi niż ich napisy: jakoż istotnie w całym nawet w ogóle zwrocie I-ym czytelnik nie dowiaduje się wcale zkąd i kiedy wzięły się wiadomości lub zbiory klechd, pieśni ludu naszego i czyli? i jakie te są? jaka ich pewność, dawność i t. p.; spotyka zaś tylko rozumowania i polemiki w przedmiotach nieraz nie należących prawie do piśmiennictwa polskiego: jak np.: o znaczeniu w ogóle pieśni, klechd, o słowa pieśni niemieckich (tojest pieśni, w których sam autor wyznał, iż prócz *jednego słowa dwuznacznego* nic polskiego nie widzi), sprzeczki z *Grimmem*, *Neumannem*, *Godsche*, *Swidzińskim*, *Wiszniewskim*, *Pawlikowskim*, *Siemińskim* i t. p.; po fakta zaś, jak dopiero rzekliśmy, odsyła lub do zbioru i opowiadań swych poprzedników, albo do przypisków.

Miłość polemiki tak jest przemagająca pod piórem historycznym autora, iż w tomie drugim n.ówiąc o wieku XVI-ym, oparł się o lata nam społeczne, i zakończył go szczegółowem określeniem, lub raczej połażaniem (zdaniem naszym niesłusznem) wszystkich pisarzy, którzy w ostatnich latach zajmowali się u nas historią literatury.

Nie będziemy tu mówić o stanowisku krytycznym autora w jego poglądach na epoki, a w którym główny za zasadę wziętym jest wzgląd religijny, bo nie piszemy tu wcale rozbiórów pisma: dodajemy jednak, iż nie rozjaśnia to wcale biegu historycznego literatury, gdy autor w tomie pierwszym, w którym miał opowiadać o pisarzach jednie najznakomitszych, umieścić autorów znajomych lub nieznanomych byle piosnki, lub autora jak *Piotr Moskorzowski* (autora, którego znamy tylko kart kilka i to tłumaczonych z Socyna); do tomu zaś trzeciego, tojest pisarzy podrzędnych odesłał pisarzy takiego bogactwa pióra i wpływu jak *Orzechowski*, *Wujek* i t. p.; dodajmy także, iż owe poglądy krytyczne na rozwinięcie moralne w kraju, których wykazanie zapowiedział był autor we wstępie, tym mniej uskutecznione zostały i uskutecznione być mogły, iż usunął z wykładu swego dzieła i pisma nie polskie, (wyjątek uczynionym tylko jest dla Smalcjusza), a zatem połowę faktów z życia umysłowego krajowego. Z tego wszystkiego już jasnym jest, iż czytelnik nie znający literatury polskiej, z pisma p. Maciejowskiego nie pozna jej, nie pozna zwłaszcza ani jej biegu historycznego w ogóle, ani historyi jej gałęzi. Uważane wszakże jako zbiór materyałów, *Piśmiennictwo* p. Maciejowskiego ma zalety pierwszego rzędu; do takich mianowicie należą: w tomie pierwszym przedruk najdawniejszych zabytków piśmiennych i inkunabułów; w tomie drugim rozprawa o najdawniejszym języku polskim w tych zabytkach, mianowicie zaś w tomie trzecim wzmianka szczegółowa o wielkiej liczbie pism i pisarzy dotąd nieznanych. Pod tym względem *Piśmiennictwo* p. Maciejowskiego jest skarbcem.

oświaty ogólnej i każdej gałęzi. Autor zwłaszcza z drobiazgową dokładnością wylicza wszystkie zjawiska piśmienne w naszej literaturze z lat ostatnich dziesięciu do ubiegłego, i pod tym względem pismo to, rzecz nawet można, staje się materiałem dla następców. Rys literatury P. M. Ł. nie jest zapewne bez swoich niejakich wad, albo skaz; do takich naprzykład należy: stawianie niekiedy pisarzy następnego okresu pod okresem poprzednim (naprzykład ksiądz *Waga*), przepomnienie o znakomitszych (jak *Hozyusz*), wzmianki takie, iż *Rorolania* pisana po polsku, że z kroniki *Wapowskiego* doszły nas tylko lata od Zygmunta I; że dramat w wieku XVII stał u nas *wysoko*. Z dat najnowszych pośród nieprzepuszczania żadnego prawie autora ogłoszonego gdziebądź artykułu, jawne razem przeoczenia lub przepomnienia; jak naprzykład: gdy autor przy wyliczeniu pism *Gawareckiego* szereg ich przerywa na roku 1830; mówiąc o *Rastawieckim* czyni go tylko autorem *Mappografii*, jakkolwiek o parę kart niżej mówi obszernie i o *Słowniku Malarzy*; niewłaściwem jest, oczywiście ile kompendium, umieszczenie długiego wypisu bez żadnej zmiany z rozprawy z roku 1832: *Nowa epoka poezji polskiej* (z rozprawy pisanéj zdolnie, lecz której autor mając swojego niegdys kandydata, poetów piérwszej zasługi, jak naprzykład autora *Grażyny*, *Fredra* podawał tylko za naśladowców niemczyzny i francuzczyzny, i w której pisarze już dziś nieżyjący lub rozwinięni, wzmiankowani są jako czyniący dopiero nadzieję i t. p). Wypis tém niewłaściwszy, że autor o kart parę o wszystkich prawie wymienionych w tym wypisie pisarzach wprost przeciwne objawił zdanie. Niewłaściwem znajdujemy także, ile w kompendium, przytaczanie obszernych treści utworów mniejszej wartości. Raz dopuściwszy autor w swym rysie miejsce na treść, słuszenieby już bez wątpienia był uczynił, gdyby tu podał takową, lub jakowych pism okresowych, albo zawikłanszego zawarcia (naprzykład: większych *fantazyi* Zaleskiego, które i nie dla wszystkich miłośników poezyi są równie jasne), a niżeli zajmując długie stronnice treścią *Satyry* Naruszewicza albo powiastek *Gadugadu*, które dosyć jest umieć czytać aby rozumieć. Wszakże mimo te wszystkie i tym podobne przeoczenia, przepomnienia lub zbytki, dziełko p. M. Ł. jest, powtarzamy, nader praktycznej wartości, jest piérwszą i jedyną dotąd dokładniejszą książką podręczną dla poznania dziejów literatury krajowej.

T.

# ROZMAITOŚCI.

## SYNOWIE GAJOWEGO.

*Obrazek z nad Buga.*

### I.

Smutną, jednostajną i pospolitą zapewne jest dla wielu okolica lesista: dla jednych majestatyczny i tajemniczy pozór boru o tyle tylko jest cennym, o ile w nim można znaleźć zwierzyny do upolowania; dla drugich, patrzących kupieckimi oczyma, o tyle jest powabnym, o ileby z niego wyrobić można belek, klepek, smoły, potażu i sągów, które żyd zakupi i dobrze zapłaci; dla innych znów nie przedstawia on nic ciekawego, bo w nim nie widać tylko drzewa, krzaki, liście i gałęzie. Ale dlatego, kto umie patrzeć na przyrodę i czuć jej piękność, kogo wzruszają jej obrazy i dla kogo są czytelnymi zgłoskami te dary Boże: dla tego widok boru, będzie zawsze powabnym i majestatycznym.

W jednej z lesistych okolic Podlasia nad Bugiem ku Wołyniowi, rozciągał się las z kilkunastu włók ziemi składający się, jedną ścianą ku Bugowi sięgający, drugą wąską trybą oddzielony od przyległego mu, i w dal sinawym paskiem niknącego lasu, kryjący za sobą wioskę Hryhorów, od której nosił nazwisko.

Dziwnie miłym dla oka był ów las Hryhorowski. Zdala już ścianą równą jakby pod linię, wabił oko różnaitością i bujnością swych drzew; u spodu rozsadziste krzaki leszczyny tworzyły zda się gąszcz nieprzebyte, ponad niemi białe i smukłe brzozy zwieszały warkocze, wyżej drżąca osika i dęby rosoczące rozposcierały grube konary; a ponad tém wszystkiem wznosiły się wysokie sosny, wydając się niby rząd olbrzymich

zakapturzonych i zgarbionych mnichów. A gdyś wszedł wewnątrz lasu, to cię uderzały obok naturalnej bujnej i pięknej roślinności, jakiś niezwykły porządek i starunek: dróżki, które go przerywały, były czyste i proste; pomiędzy drzewami tak czysto, jak gdyby wymieciono, rowy pokopane starannie, mostki na nich całe i mocne, rzeczułka kręta i szparko płynąca, do Bugu wpadająca, przerywała las w samym środku, dodając mu świeżości i wdzięku; kopce trwale posypane, z wiechami i tabliczkami, oznaczające poręby, obręby, i t. d., wszystko to świadczyło, że ręka czyjaś z zamiłowaniem i bezustannie czuwa nad tym lasem, i w tym starannym porządku go utrzymuje.

W majowej porze, gdy roślinność w całej krasie się rozwija, jakże pięknym był ów Hryhorowski lasek! Zdawało się, że w nim zieloność liści i murawy żywsza i piękniejsza aniżeli w innych, że w nim kwiecica różnobarwnego i więcej, i żywszych i liczniejszych odmian kolorów, aniżeli w innych. Wówczas to, z gałęzi drzew i krzaków tworzyły się wiązania, jakby śmiałe i majestatyczne łuki sklepienia żywej zieloności, a na ziemi rozciągał się niby kobierzec zielonego aksamitu, w różnobarwne kwieciste utkany wzory. I zdało się, że w tym lesie, jak gdyby poczuły jego piękność, liczniejsze i głośniejsze były śpiewy ptastwa, brzęk muszek i pszczół; a czy to że w nim rzadsze były polowania, czy też że i zwierz lubował się w piękności tego gaju, częściej aniżeli w innych przemykał przez dróżkę lis lub zając, a przez polanki z podniesionym dumnie łbem, rogaty kozioł lub sarna przechodziły się z wolna, i poity się w przeryniającej go rzeczulce.

W głębi tego lasu, niedaleko od wioski Hryhorowa, na małej polance, do której przez las odewni dróżka prowadziła, leżała mała osada, z chaty stariej, stodołki i szopki złożona, z kawałkiem ogrodu warzywnego, chruścianym ogrodzonego płotem, zasadzonego kapustą, konopiami, lnem i słonecznikami. Chata ta zwyczajnej struktury chat w ruskiem Podlasiu, z kominem krzywym lepionym, z gniazdem bocianiem na czarnej, mchem obrosłej strzesze, malowniczo wszakże rysowała się na tle zielonem brzóz i sosen wysokich, które dokola nięj szumiały. Osada ta zwała się Werchlisie, i była mieszkaniem gajowego, który nad tym laskiem miał dozór, i który go utrzymywał w tym porządku, jakiśmy widzieli.

Wasko Semenowski gajowy, chłop prosty, syn gajowego w tymże samym lesie i w tej osadzie, mający lat około sześćdziesięciu; byłto prawdziwy syn lasu, w którym wzrósł, do którego przywykł, i który pokochał. Wdowiec od lat dawnych, Wasko żył tu spokojnie, w ciągłej pracy i staraniu o lesie, wywołanemi zamiłowaniem swych obowiązków i wiernością dla swego pana. Wierność ta, trzeźwość, zdrowy chłopski rozsą-

dek i pracowitość, były jego zaletami. Oprócz tego Waśko był poetą: umiał czuć piękność tej przyrody, która go otaczała, i lubował się nią; nie przesyciła go ona ciągłym z nią obcowaniem, ale owszem, o ile to być mogło, że tak powiem, wyexaltowała. Rzadko kiedy spotkać go było można na wsi poblizkiej Hryhorowie, chyba w kościele, w święto; za to w lesie tym prawie zawsze. A charakterystyczną była postać Waśka: wysoki z twarzą czerwoną, siwymi i gęstymi brwiami nad okiem wpadłym i jasnym, ale pełnym życia i rozsądku, z krótką siwą brodą i takimiż wąsami. W czapce rogatej z grubego kasztanowatego sukna, zasuniętej na oczy, w takiegoż koloru sukmanie, w zwykłych postołach, z ulubioną krótką fajeczką w ustach, napotkać go było można często chodzącego śmiałym i pewnym krokiem po lesie, a nierzadko uzbrojonego w rużnicę przez plecy przewieszoną, jak nazywał swą fuzyę skalkówkę, starą, przy zamku owiniętą szmatami. Tu, w tym lesie, było mu tak dobrze, tak kochał te drzewa, które od dzieciństwa jego grały mu miłym szumem, które pielęgnował jak ogrodnik; tak zawsze miał coś do porządkowania, do zatrudnień około barci, do zbierania żołądźi i liści, do odświeżania kopców i poprawiania rowów: że mało go, zdaje się, obchodził świat i siola sąsiednie, a nawet Hryhorów. Po każdej burzy która wstrząsała lasem i huczała nad Werchlikiem, robił przeglądy skrupulatne: czy które drzewo nie wywróciło się, czy rowy się nie popsuly, i brzegi rzeczki nie pozarywały, a oniemal wiedział gdzie które drzewo i drzewko rośnie. Dla kradnących drzewo na opał z wsi poblizkich był nieubłagany, i wiedziano, że bratu rodzonemu i kumowi-by nie przepuścił; albo gdy kto z myśliwych zapędził się w las hryhorowski, czy wypadkiem, czy umyślnie, wówczas psy zabierał i bronił do upadłego.

Waśko miał dwóch synów: z tych pierwszy starszy, lat blisko dwadzieścia mający Paweł, pomagał ojcu w jego leśnych zatrudnieniach, i wedle jego woli kształcił się na gajowego; drugi Iwanko, lat około 14, służył u księdza i na diaka się wedle swój skłonności kierował. Stara Pakulichą krewną Waśka, gospodarstwem kobiecem w chacie werchlikskiej się zajmowała.

Pawełko było parobczak rosły, barczysty, silnie zbudowany, zdrowej, wesołej a rumianej twarzy, w której malował się spryt obok swobody i spokoju duszy, jakie dają czystość obyczajów i ciągła praca. Chwacko zawsze wyglądał, bo zawsze wesoły, hukający, rzeźwy, zawsze z piosnką: „o j t a d a d a...“ która po lesie rozchodziła się daleko, a z którą zawsze biegł do pracy. Kochał i on swój las, po którym tak swobodnie hukął i śpiewał, a który mu echem na te hukania i śpiewy odpowiadał, gdzie ojcu we wszystkiem chętnie pomagał, ale jako młody, częściej towarzystwo lubił i do młodych hryhorow-

skich, i na o choty częściej zabiegał. Odróżniał się on od innych parobków wesołością i zgrabnością we wszystkim: to też po ochotach réj wodził, umiał piosnek siła, a gdy huknął głosem prawdziwie leśnym, to aż okna karczmy lub chaty zadrzęły. Żywym i dowcipnym był w odpowiedziach, taniec i zabawę lubił namiętnie, również jak polowanie, a miał także swoją różnicę podobną do ojcowskiej, ale jej nie używał, tylko wtedy, gdy batko pozwolił, lub gdy polowanie przez pana nakazanem było. Kiedy dziedzic nakazał obławę na wilki, lub wydał polecenie Waškowi opatrzenia zwierza, ażeby na pewno potem polować; dla Pawelka wówczas było fest niepospolity: z jakimże śpiewem i hukaniem, jak ochoczo ze swoją różnicą, czapkę baranią lub kapelusz nasadziwszy na bakier, ruszał na tę myśliwską wyprawę! A później, gdy psy zagrały goniąc zwierza, jakże serce drżało stojącemu na stanowisku Pawelkowi, jak wzrok natężał i dech w sobie tamował; a gdy mógł strzelić i zabił (a celnie strzelał), wówczas uciecha była najżywsza. Z młodocymi psoty wyrabiał, i tam gdzie on był, śmiechy trwały nieprzerwanie, tak się z niemi droczył, tak pokazywał (przedrzeźniał) różne ptastwo i zwierzęta, a gdy spotkał dziewczęta w lesie szukające orzechów lub grzybów, to im niby odbierał, groził, gonił je i sprzeciwiał się.

Drugi syn Waška, Iwanko, byłoto chłopię szczupłe, mizerne, potulne i ciche. Stary diak hryhorowskiego unickiego kościółka, a krewny Waška, wziął Iwanka pod swoją opiekę, wyuczył go czytać i pisać; a ponieważ chłopiec od dzieciństwa okazywał spryt, pojęcie i zamiłowanie do służby kościelnej: w krótkim czasie już miał z niego wyręczenie w kościele, i gdy stary często zaniemagał, Iwanko całą mszę z mszałów śpiewał, i wszystko tak jakby sam diak dopełniał. Oprócz tego i księdzu w plebanii rozmaite pełnił posługi: pasał konie, czasem służył za furmana, i za różnemi przesyłkami był używany. Dziwne to było chłopię, i na swój wiek i stan niepospolite. W oczach dużych czarnych i melancholijnych, na czole, widziałeś myśl, w całym układzie powolność i łagodność, a w rzadkim uśmiechu, dobroć i czystość duszy. Jakże prędko Iwanko wyuczył się czytać, jak choćwie potem czytał książki religijne, które mu w plebanii znaleźć się zdarzyło, z jakąż to uwagą i pobożnością pełnił służbę kościelną, i jak uważnie każde słowo nauki lub kazania słuchał i zatrzymywał w pamięci! Już od dzieciństwa patrzył Iwanko na świat innemi oczyma, jak jego stanu i powołania rówieśnicy; nie umiał jeszcze zdać sobie sprawy i wyrozumować, czuł tylko że go wzruszają te wszystkie widoki i objawy przyrody, że mu miło patrzeć na gwiazdziste niebo i na księżyc co się z za Buga wysuwał i mdłym światłem oblewał okolice, że mu mile brzmiały ta harmonia pól wieczor-



na i szum lasu, pośród którego się urodził; i gdy często pograżał się w zadumy, rozważając po swojemu to co czuł, inni budzili go pytaniami: „ab czom tak dumajesz Iwane?“ A kiedy im odpowiadał, że słucha szumu drzew, że patrzy na piękny zachód słońca i t. p.; to ruszali ramionami i durnym zwali. Gdy szedł za pogrzebem, śpiewając z księdzem pieśni żałobne, do pobliskich mogiłek; gdy widział żal głęboki bliźnich zmarłego i słyszał płacz rzewliwy po nim, to i sam płakał i śpiewać nie mógł, a inni kiwali głowami i dziwowali się mówiąc: „ot durnaja detyna! czohoż win płacze, kole to ni jeho baťko, ni kum, ni nawit znakomyj!“

Niedaleko Werchłisia, na otwartej równinie, którą Bug przerzynał, leżało sioło Hryhorów z kilkudziesięciu chat szarych złożone, otoczonych sadami, z których gdzieniegdzie wyskakiwała stara grusza lub lipa, i ocieniała domostwa. O kilkaset kroków od lasu stał mały kościółek unicki, drewniany, czarny, omszony, który znać już kilka przetrwał wieków, pochylony i spaczony w połączeniu z dzwonicą, ze znacznie pochyloną kopułką pośrodku dranicowego dachu, tulił się pod konary kilku olbrzymich lip, rosnących na cmentarzu. Kilka świerków i krzyżów, siła z białymi płachtami, dodawały wdzięku temu ustroniu modlitwy. Nieopodal na polu czerniały mogiłki z mnóstwem prostych i pochylonych krzyżów: drugie sioło hryhorowskie, ale ciche, ale smutne, a może nie dla jednego spokojniejsze. Kiedy zadzwoniono w rozbite dzwony, lub gdy mały dzwonek ręką Iwanka zadźwięczył w kopulce; to głos ten biegł do lasu, i tam się w rozliczne echa rozplywał: i w Werchłisiu słyhać go było dobrze. Codziennie wieczorem na Anioł Pański dzwonił Iwanko; to Wasko będący wówczas najczęściej w lesie, przerywał pracę, i Bohorodycię pobożnie odmawiał. A w niedzielę i święto, gdy gajowy był w kościele, to go wielce cieszyło, gdy widział że syn tak zręcznie, tak pobożnie służbę pełni, i że nabożeństwo tak porządnie się odbywa.

Dla młodego, żywego i przystojnego chłopca jak Pawełek, nie było trudnym zając się i pokochać; jakoż urodna młoddyca Paraska, córka zamożnych gospodarzy hryhorowskich, była celem zabiegów i miłości Pawelka. Paraska uchodziła za najładniejszą we wsi, była smągła, wysoka, czarnobrewa, kosy miała czarne i długie, a choć śniada i bez rumieńca, wszakże miło było na nią popatrzeć: a co życzek, a paciorek, a spinek u szyi, a mentalików, a nowych malowanek na niej, a białych lub krasnych chustek na głowie, zawsze u niej widzieć było można, bo lubiła się stroić, zwłaszcza od czasu gdy się z Pawelkiem zbliżyli i pokochali.

To też Pawełko byle czas wolny, byle święto, to biegł do Hryhorowa do karczmy na ochoty: tam hassał z Paraską, albo

do jęj chaty zachodził, a w dnie powszednie gdy mniej miał czasu, a chata rodziców Paraski była niedaleko lasu od kościołka; więc schodzili się wieczorem na drodze pod krzyż omszały, i pod rosnący przy nim dąb rosochaty, tam pośmieli się, pogadali, opowiadając sobie dzienne przygody. Pawełek pograł jęj czasem na fujarce lub ligawce tęskne piosenki, ta i rozchodzili się. Z jakąż swobodą i lekkością powracał Pawełko z tęj schadzki do Werchlisia, jakże radośnie serce mu biło, że ta którą kochał, wzajemnie go kochała; a chociaż wstyd nie pozwalał jęj tego dowodnie objawiać, wszakże z jęj oczu i słów i całej postaci, tak łatwo Pawełko wzajemność mógł wyczytać! Wracając często po miesiącu, hukał wesoło, a las cichy ni listeczkciem się nieruszył, i pełnćm echem na te hukania odpowiadał. I zastawał Pawełko starego ojca siedzącego z odkrytą głową przed chatą na progu i przysłuchującego się tęj głuszy lasu i patrzącego na te drzewa przyjaciele, przez które fantastycznie przedzierały się promienie księżyca, i które długie cienie na całą polankę rzucały.

Rodzice Paraski radzi byli skłonności swęj córki i Pawełka, bo Waśko był szanowany, i wiedziano, że jest dość zasobny; a Pawełko słynął jako parobczak zwinny, sprytny i pracowity. Waśko podobnież nie był od tegoż, dowiedziawszy się o skłonności syna, bo rodzice Paraski byli uczciwi i zasobni: tak więc do skojarzenia tego małżeństwa szło tylko o formalność swatów, a innęj żadnej nie było przeszkody.

## II.

Gdy takićm było położenie i życie gajowego i synów jego, gdy im dnie przechodziły cicho, spokojnie, a dla Pawełka z przyczyny jego miłości tćm więćej powabnie i radośnie; następująca okoliczność sama z siebie niewiele ważna, dla tego ostatniego była wielce znaczącą. Młody pan do którego należał Hryhorów i ów las, u którego Waśko służył za gajowego, jadąc do swego krewnego hrabiego na czas jakiś, gdzie obok zwyczajnych hulanek i bachanalii, polowanie ważną stanowiło rozrywkę, a słyszając o Pawełku, o jego zręczności, sprycie i celnćm na zwierza oku, postanowił wziąć go z sobą, i tymczasowo go na strzelca pasował. Ubrano go więc w szeraczkową kurtkę, w długie buty, włosy trochę podstrzyżono, dano mu barankową czapeczkę i torbę borsuczą, i tak zgrabnie i ochoczó wyglądamć ze swoją rusznicą przez plecy, którą obiecywał popisać się, wyruszył z młodym swym panem do pana grafa, którego majątek obszerny, o mil ósm był oddalony. Łatwo sobie wystawić, że dwór możnego pana wielki i okazały,

mnóstwo sług uliberyowanych, zbytek i wystawa, odurzyły i oczarowały naszego młodego wychowanka hryhorowskięj puszcy. Lechtało to jego miłość własną, gdy go nazywano panem Pawłem, i traktowano a raczono do syta, że zaś był nadzwyczaj pojętny i łatwy do przejmowania ułożenia drugich, wzajem też starał się i ruchem i słowy naśladować służaków, w których się znajdował towarzystwie, i niczém niezgrabném lub niestosowném się przed niemi nie zdradzić. Jakże go zajęło polowanie, widok licznych strzelców, gajowych, leśniczych w zielonych strojach, biwaki i te wszystkie wygodki i wymysły wielkich panów na tém polowaniu!... Pomimo to wszakże, jak przyrzekł, popisał się gracko ze swą rusznicą, bo ubił ogromnego wilka, co zwróciło nań uwagę samego pana grafa, tak, że raczył do niego przemówić: zapytał o nazwisko i pochwalił. A tak oczarowany tém wszystkiém co widział, i zadowolony że się popisał, powrócił niebawem z panem do domu i do zwyczajnego trybu życia i zwyczajnych zajęć. A co to było opowiadania przed Paraską i w karczmie i po chatach, o tém wszystkim co widział; i chociaż znów do dawnego powrócił stroju i do dawnych zajęć, zdawało się, że przez ten krótki pobyt w gościnie, ruchy jego ciała były bardziej wyszukane, wymowa więcej staranna, więcej jakiejsć pewności siebie, i jakby doświadczenia. I długo Pawelko marzył o tém co widział; i jakkolwiek kochał i Paraskę, i bał'ka, i las hryhorowski, dusza mu się rwała tam, gdzie tyle nowych rzeczy dla siebie widział, gdzie tak wszystko było po pańsku i dostatnio, aż do zbytku, i wdychał do tego, ażeby jeszcze kiedy mógł tam ze swym panem pojechać.

W pół roku potém, pan graf przybył w gościnę do Hryhorowa, i polowanie na wilki z obławą zarządzoném zostało. Wasko i Pawelko krzatali się niemało, szczególnie też ostatni w wypatrzeniu na pewno zwierza, i w przygotowaniach myśliwskich. Jakoż polowanie mniej świetne, mniej liczne, ale szczęśliwe; powiodło się najzupełniej; i Pawelko jak palnął ze swęj rusznicy, tak wilka ogromnego ubił. Pan graf pamiętał o Pawelku, poznał go od razu, i znów pochwalił. A nazajutrz po tém polowaniu, zawołano Pawelka do dworu. Gdy stanął przed swym panem i grafem, ten ostatni przemówił doń: że otrzymał pozwolenie od dziedzica wziąć Pawelka do swych lasów i strzelcem go zrobić z dobrą ordynaryą i niezłą płacą; odwoływał się tylko do jego chęci i zgody. Pawelkowi zaiskrzyły się oczy od radości; lecz gdy wspomniał na Paraskę, na bał'ka, pomyślał trochę, i drapiąc się w głowę odpowiedział: „Jab chciał proszę Jaśnie Wielmożnego Grafa z duszy i serca; ale kiedy ja się mam żenić, a i bał'ko nie wiem czy zezwoli.” Ale gdy pan graf odrzekł: że pomimo to, żenić się nikt mu nie

wzbroni; gdy dziedzic dodał, że bał'ko pozwoli kiedy on zezwala; gdy mu przełożono, że jak będzie miał miejsce i dom zapewniony, to mu i łatwiej wtenczas będzie żonę do niego sprowadzić: trafiło to zupełnie do przekonania Pawelka, i chodziło tylko o zezwolenie Waska. Zawołano gajowego do pana, a chociaż zrazu na tę propozycyą jakoś się niechętnie godził, mówiąc: że wolałby taki, żeby jego syn u swego pana i w miejscu służył; wszakże gdy widział, że wola pańska taka, i że może dla syna odłonić się widok świetny na przyszłość, zgodził się i zezwolił, i Pawelko tejże samėj jeszcze nocy, powiększając swiętę służbową pana grafa, miał wyjechać z nim razem, i objąć miejsce nowego swego obowiązku.

\* \* \*

Sliczny był ów wieczór lipcowy dnia tego, w którym Pawelko pożegnać miał hryhorowski las i siolo. Słońce zniżało się ku zachodowi, upał ustawał i rosa zaczynała perlić trawy i zioła. Na zachodzie czyste niebo, niktające zda się za sinawym paskiem lasów Wołynia, od spodu sine i ciemne, wyżej lekko i stopniowo przechodzące w różową barwę zachodu, a około słońca żywo purpurowe; zwiastowało noc cichą, gwiazdzistą, z drogą mleczną i jasnym a tęsknym księżycem. Na łąkach hryhorowskich około wsi, aż pod las, chwieją się obszerne łąny dojrzewającego żyta, z mnóstwem różnobarwnego kwiecia w swém łonie. Lekki chłodnawy wietrzyk porusza powoli zwieszony kłosa, lśniące pod słońcem jakby brylantów i rubinów krasą, i biegnie dalej, by zaszumić lekko liściem lip otaczających kościołek, a dalej drzewami lasu, i zniknąć tam niepowrotnie. Lśni stara kopuła z krzyżem na kościele od słońca, a krzyże czarne, omszałe, wznoszące się ponad falą kłosów i na dalekich mogilkach, brzegi swe złoto-purpurową pokrywają obwódka. Gromadka motyli białych, sinych, żółtych, niebieskich, biega swawolnie po kwiatach polnych, zupełnie kolorem do nich podobnych: rzekłbyś, że to listki kwiatów, które wiatr zerwał, i igra z niemi w rozmaite strony. Świerszcz zaczyna swoją smutną piosenkę wraz z bąkiem; i derkacz monotonnym i miarowym swym krzykiem, gdzieś na bagniskach znać o sobie daje; a i przepiórka biegając po bródach, choć żytko jeszcze nie doszło, raz bliżej, to znów dalej „pójdziecie żać!“ woła; i las hryhorowski zaczyna brzmieć żywszemi głosy ptastwa, po skwarze dziennym.

Ustroiwszy głowę w bławatki, wyszła Paraska ze swęj chaty, i zbierając po drodze kwiecie, przeżegnawszy się przed kościołem, szła ku drodze pod krzyż i dąb stary, z rzewną piosnką na ustach, z nadzieją ujrzenia kochanka, zwłaszcza że od dni kilku, z przyczyny polowania i zatrudnień Pawelka, nie

widziała się z nim i próżno go przez kilka wieczorów wyczekiwała. Biędna, nie przeczuwała że idzie aby go pożegnać na długo, może na zawsze; by za nim tęsknić i cierpieć w tych miejscach, które on opuścił. Zbierając kwiaty, przerywała śpiew i patrzyła na drogę od strony lasu z niepokojem; chłodny powiew wieczorny igrał z jej czarnym włosom spadającym w dużych zwojach z obu stron twarzy, i z białemi jak śnieg końcami chustki na głowie. Niedługo tak czekała: od lasu niebawem ukazał się Pawełko, a gdy zdala ujrzał białą jej postać, zaczął biedz, i zadyszany stanął przed nią.

— Parasko!—mówił—wy nie wiecie.... ja was pożegnać muszę.... ja jadę....

Dziewczę zbladło, oczy smutkiem zagorzały.

— Wy? a gdzie?!—zapytała przełęcznionym głosem.

— Pan graf mnie bierze z sobą.—I patrzył na nią z tęskną ciekawością, jakie te jego słowa zrobią na niej wrażenie.

Ona spuściła głowę, odwróciła się, patrząc niby gdzieś w dal, i mnąc w ręku fartuszek, i widocznie łzy tłumiąc, odrzekła:

— To jak pojedziecie, to tu o wszystkich zapomnicie....

— Nie bójcie się Parasko—biorąc jej rękę rzekł Pawełko, uradowany tym widocznym znakiem jej współczucia—powrócę, powrócę do was niedługo! Jak tam będę już mieć miejsce i ordynaryą, i płacę i dom; jak się trochę obsiedzę i urządzę chatę, to po was przyjadę i zabiorę.

Dziewczyna stała ciągle odwrócona dławiając się łzami i mówiła zeicha:

— Zapomnicie, oj zapomnicie!...

Rozrzewniony Pawełek rzekł znów z zapalem:

— Parasko moja! w jesień na pokrowę, przyrzekam wam, że przyjadę; żeby tam nie wiem co, przyjadę... Chyba umrę... rozumiecie. Jak nie będę tu u was w sam dzień pokrowy, to znak, że umarł: chyba to jedno. A zapomnicie o was... o! nie troskajcie się o to!... Na znak macie oto mój pierścionek—mówił zdejmując ze swęj żyłastej i spracowanej ręki mosiężny pierścionek—a dajcie mi swój... chyba że wy o mnie Parasko zapomnicie.

I podał jej pierścionek.

Ona mu swój ze smutkiem i niedowierzaniem jakiśś podała, a jego na swój palec włożyła, mówiąc ze smutkiem:

— Pamiętajcie wy o tém, bo ja, to o was pewno, pewno nie zapomnę!—i schyliła niby się dla urwania niebieskiego dzwoneczka, a istotnie dla otarcia łez, które kapaly z jej oczu.

Tę tęskno-miłosną rozmowę przerwała im postać starego dziada, który szedł zwolna z hryhorowskiego lasu, a którego oni nie dostrzegli, aż gdy stanął przy nich. Był to stary dziad Tymosz, stróż kościołka hryhorowskiego, zgarbiony, niski,

z długimi kręcącemi się a białemi włosami, z krótką siwą brodą, z przenikliwemi buremi oczyma, nosem haczykowatym i ustami wklęsłemi; w podartój sukmanie, z torbą płócienną, w postolach, stanął nad młodą parą oparłszy się na sękatym kijku i zawołał:

— Co tobie Pawle, gdzie nam uciekasz?... Ja coś posłyszał we dworze?

Pawełko powtórzył mu o swoim wyjeździe na służbę do grafa.

— A jakże będzie z młodycą?— rzekł stary kiwnąwszy głową na Paraskę, która przy dziadzie starała się przybrać miłą obojętną.

— At, jak będzie? toż ja tam na koniec świata nie jadę, i na pokrowę powrócę.

— Tyło tam do drugiej Pawle nie chody, nie nudy, nie zalicaj się, bo taki staryj Tymosz chciałby na waszém weselu sobie potaćnować, horyłku (wódkę) popić, lulku pokurzyć, i żeb nie było tak jak z Semenem: bodaj on zmarnował się! co poszedł na flisy i tam ożenił się, a Marynę ostawił.

Chcąc przerwać gawędę starego dziada, Pawełko rzekł:

— No! Parasko, ja jeszcze znajdę pokłonić się waszym rodzicom, a teraz pobiegnę do brata; obaczyni się jeszcze, a wy Tymoszu bywajcie zdrowi, i módlcie się za mnie.

I wydobywszy z kaletki trzygrosznik, wsunął staremu w rękę i odszedł śpiesznie.

— Oj dobrze, dobrze,... szczęśliwój drogił a wracajcie się do nas prędko!... Trzy groszy już dawno nie miałem od ludzi... bodaj oni zmarnowali się! — I schowawszy trzy grosze, szedł zwolna z Paraską ku kościołowi.

Spojrząwszy w oczy dziewczyny, która z tęsknotą i smutkiem w twarzy, z oczyma jeszcze pełnemi łez, patrzyła za odalającym się Pawełkiem, rzekł dziad:

— Ii nie płaczcie, nie smućcie się Parasiu; będzie dobrze... Pojedzie, ta i wróci się nazad.

— Ja nie płaczę, co wam się śni?...

Stary spojrzał bystro w jej oczy, i huknął piosnkę aż dziewczyna drgnęła:

Łublu mamu Petrusia,  
A skazaty bojusia... i t. d.

Gdy doszli do kościoła, stary dziad wszedł na cmentarz, ukląkł przed drzwiami i przerywaną kaszlem zaczął modlitwę: „Bohorodycia diwo radujsia...“ a Paraska poszła do swój chaty.

Pawełko przyszedłszy do plebanii, we wrotach spotkał Iwanka, który szedł dzwonić na Anioł Pański, a gdy nie wie-

dzącemu o niczém, opowiedział o swym nagłym wyjeździe: Iwanko rzucił mu się na szyję i rzewnie zapłakał.

— Czegoż płaczesz durnyj?... toż przyjadę wkrótce, i będę was widywał—pocieszał go rozrzewniony Pawełek.

— A kiedyż wrócisz bracie?

— Wrócę na pokrowę żenić się z Paraską.

— A bał'ko jakże tak sam będzie?... To mu będzie smutno—obcierając oczy mówił Iwanko.

— Z początku może, ta się i przyzwyczai.

— Jak przedzwonię, to pobiegnę na Werchlisie, nim jeszcze bracie odjedziesz.

I Pawełko pobiegł do wsi żegnać znajomych, podczas gdy po rosie rozlegały się ręką Iwanka poruszone tony dzwonka, płynęły po niwach żytnych i nikięły w hryhorowskim lesie. Pawełko w końcu pożegnawszy znajomych, w których tyle znalazł współczucia, wstąpił jeszcze do chaty rodziców Paraski: tam im się pokłonił, i Paraskę smutną raz jeszcze pożegnał, przyrzekając wrócić na pokrowę. Gdy powracał do Werchlisia, już słońce się skryło za las, pozostawiając zrazu jasną po sobie zorzę, coraz, coraz potem bledniejącą. Rosa białemi tumanami wznosić się zaczynała ponad Bugiem i nad bagnami, i zmrok już szarzał, a na niebie zapalały się gwiazdy jedna po drugiej. W przeciwnym kierunku zachodu coś jakby płomień zamigotał z za lasów dalekich, coraz się wznosząc i powiększając jak luna pożaru; wreszcie ogromna kula księżycy, czerwona i przecięta ciemnym obłoczkiem, wychyliła się zwolna, posuwając się górę.

Smutno jakoś zrobiło się Pawełkowi gdy ze wsi powracał do Werchlisia i pomyślał, że ma opuścić te miejsca rodzinne i tyle drogich osób, od których tyle zyskał spółczucia; ależ i nowość miała powab dlań niepospolity.

Wszedłszy do werchliskiej chaty, zastał tam z ojcem i Iwanka. Robiąc zawiniątko, w które bał'ko trochę grosza dołożył, słuchał Pawełko napominań ojcowskich, o pracy, wierności, pamięci o Bogu, w którychto napomnieniach przysłowie ruskie: „krutynoju świt perejdziesz, no nazad ne wernesz sja“ często wspomnianém było; wreszcie ucałowawszy kolana bał'ka, i pocałowawszy się z Iwankiem, który łyzy miał w oczach, wyruszył z chaty ze strzelbą i zawiniątkiem do dworu.

A księżyc już świecił jasno pomiędzy drzewami, las stał milczący i nieporuszony. Jakby na pożegnanie, stanął, huknął parę razy „oj ta da da“, echo daleko gdzieś odpowiedziało: „da da“, podskoczył kilka razy i poszedł.

## III.

Chciwość nauki, pojętność nadzwyczajna, ochota i pobożność z jaką Iwanko odbywał zawsze służbę kościelną, zwróciły nań prędko uwagę sędziwego proboszcza; a że to był czcigodny kapłan z powołania, umiejący cenić i poznawać ludzi: poznał w krótkim czasie, że szkoda byłoby przy tych niezwykłych zdolnościach i zaletach wieku i stanu tego chłopca, pozostawić go w tém wązkiem kółku teraźniejszych jego obowiązków, i że z małym staraniem i pomocą, ta wiotka roślina mogłaby się bujniej rozwinąć i wznieść się ponad inne wysoko. W tym celu postanowił zająć się losem tego chłopięcia, wiedząc, że Wasko niebardzoby mógł i pojmował to zadanie;łożył więc pewien fundusz i oddał do szkół w poblizkiem miasteczku.

Iwanko ze smutkiem, że opuści te strony rodzinne i bat'ka, a zarazem z radością, że będzie się mógł uczyć, ucałował nogi swego dobrodzieja, bat'ka pożegnał z płaczem, Werchlisie i las hryhorowski, w którego szumie się wykołysał; pomodlił się w kościele, pożegnał znajomych i pojechał. A tak synowie gajowego wkrótce jeden po drugim opuścili miejsca rodzinne, i stary Wasko został sam w swój puszczy, tęskniąc za dziećmi, ale pocieszając się, że zgotują sobie los i będą podporą jego starości.

\* \* \*

Z jakąż niecierpliwością oczekiwała Paraska pokrowy, jakże ten czas długim się jój wydawał i przykrym, gdy jeszcze niepewność, tęsknota i złowrogie jakieś przecucia serca, pierś jój wzdymały! Jakże była rada usłyszeć jaką wiadomość od stron w których jój kochanek przebywał; ale wstyd wstrzymywał ją od jawnego wypytywania się i okazywania przez to swój miłości. I raz tylko od kuma jój rodziców, który jeździł w tamte strony, dowiedziała się, że Pawełek zdrowy, że ładnie wygląda jak jaki pan w nowym stroju, lecz że żadnego pozdrowienia nie przysyła, bo go ów kum zdaleka tylko i krótko mógł widzieć. A gdy jesień nadeszła, gdy pokrowa była blisko, to niepokój jakiś i tęsknota wzmagaly się w dziewczynie i wybiegała wieczorami pod krzyż i pod dąb stary, który zeszlým i żółtým już liściem szumiał, i patrzyła ku lasowi, zkąd głuchy i ogromny szum drzew do jój uszu dochodził, a pierś jój wzdymała się tęsknotą i smutným jakimś przecuciem i niepokojem, i zdawało się jój, że przychodząc tu, łatwiej go wyczeka i łatwiej za nim wyteskni. Ale ot, przeszła pokrowa, Pawełka nie było i Paraska kryjąc się przed rodzicami ze swym niepokojem i łzami, schła widocznie, rozmaite smutne wywodząc domysły.



Raz zdawało jęj się, że Pawełek nie żyje, że chory może, gdy patrzyła na pierścionek który jęj dał; to znowu wpadała na myśl że zapomniał o nięj, i w tym wielkim dworze do innęj piękniejszęj i wyższego stanu swą miłość skierował; i nieraz dręczone temi myślami, zrywała się w nocy z pościeli i chciała biedz nie wiedzieć gdzie, to znów ręce łamała i rzewnemi zalewała się łzami. Gdy kilka tygodni ubiegło po pokrowie, chcąc koniec położyć tym myślom dręcącym, postanowiła prosić Tymosza, ażeby poszedł, i o przyczynie nieobecności Pawełka się dowiedział. Wyjąwszy więc z bodeńki swęj złotówkę, którą bał'ko na paciorki jęj podarował, pobiegła wieczorem pod kościół szukając Tymosza, i wiedząc, że dziad wcześniej ze swych peregrynacyi powraca i wcześniej się w dzwonnicy na spoczynek układa. Jakoż zastała go jeszcze z rydlem w ręku kopiącego rowek około cmentarza dla ścieku wody.

— Dobry wieczór Tymoszu!—rzekła nieśmiało dziewczyna.

— Dobry wieczór Parasiu!—odpowiedział dziad, przerywając robotę i patrząc się na nią.

— Mój Tymoszu, ja mam do was prosbę....—zakrywając sobie twarz ręką mówiła Paraska—ale się wstydę.

— Ho! ho! to już wiem czego chcecie Parasiu; stary Tymosz nie taki durny jak się wam zdaje!—przekrzywiając głowę i wpatrując się w nią, przenikliwie mówił dziad.

— Bo to widzicie..... ja was chciałam prosić: jak pójdziecie na praznik do Huszczy... wszakże pójdziecie?

— Aha! pójdę; to jak pójdziecie—podchwytując ją, dodał stary—to jab chciała żebyście zajszli i do Pawła, i dowiedzieli się o niego.

Dziewczyna spuściła oczy i mówiła nieśmiało:

— Jab wam dała złoty; a jakbyście wrócili to drugi złoty.

— Oj dobrze, dobrze! dawajcie, pójdę taki do Pawła. A cóż jemu powieźć?

— Dowiedzcie się czy zdrów; bo on miał tu na pokrowę być, a nie był, a może.... jeżelibyście się przekonali że zapomniał o mnie; to mu oddajcie ten pierścionek.... rozumiecie?...—i zapłakała, podając dziadowi złotówkę i pierścionek.

— Już ja wiem jak zrobić—zawijając w szmaty pierścionek i złotówkę, mówił stary—ii! nie płaczcie! toż może przyjedzie, a ja się dowiem. Cyt bo cyt, będzie dobrze: jutro pójdę i wrócę prędko. Złotówki dawno nie miałem, to jeszcze na splenie, ta baba Pawicka, bodaj ona zmarnowała się, na prazniku w Kosyniu jak zabrała ta i przepadło.....

— To mój Tymoszu pamiętajcie i wracajcie prędko.

I dziewczyna ocierając łzy, odeszła, a dziad mruczał coś do siebie, i znów się wziął do rydla.

Nazajutrz rano pomodliwszy się i nażegnawszy przed kościołem, obwinawszy się w podwójną łachmanowatą sukmanę, ruszył Tymosz w drogę; a przechodząc przez las, wstąpił do Werchlisia i oznajmił Waskowi, że idzie w okolice gdzie się z Pawełkiem zobaczy, i zapytał czy nie ma co synowi do nakazania. Wasko oprócz pozdrowienia i przypomnienia, ażeby nie zapominał o Bogu, o pracy i wierności; nie miał nic więcej do nakazania.

Po kilkodniowej podróży w której po dworach wstępował i żebrał; po prazniku w Huszczy, który mu dość groszków przyniósł, przybył do wsi pana grafa, i wywiadywał się o Pawełka; lecz mu powiedziano, że pan Paweł przeniósł się do drugiego myjątka grafa o mil dziesięć ztamtąd odległego. Rozmyślał jakiś czas Tymosz, czy wrócić czy iść dalej; ale gdy się już tak rozchodził, a jesień była piękna i pogodna, gdy po drodze nie zgorzej szła jałmużna, gdy przytém chciał dogodzić Parasce od której obiecane miał jeszcze wynagrodzenie: zdecydował się powędrować dalej, wypytawszy się o wieś i drogę. Stanawszy na miejscu, wszedł do karczmy ażeby się pokrzepić horyłką, którą dość lubił, a zarazem w celu wywiedzenia się z boku szczegółów o Pawełku, zanim się miał z nim zobaczyć. Trafił na gosposię gadatliwą, która zrazu na zapytanie dziada o Pawle Semenowskim, spojrzała nań jakby zdziwiona, co dziad w łachmanach mógł mieć do niego, i że go tak poufale bez tytułu pana wspomniał; i w dalszym rozhovorze Tymoszowi wypowiedziała, że pan Paweł smali cholewki do panny ekonomówny, że się przyjaźni z pisarzem i synem rządcy, i wskazała mu dworek gdzie mieszkał.

Wyjawszy pierścionelek z torby, poszedł do wskazanego dworku; był to ładny domek z ganeczkiem, na końcu wsi stojący już blisko lasu. Mrucząc pacierze wszedł do dworku, do sionki, gdzie ułyszawszy przez drzwi nieprzymknięte rozmowę, drzwi zwolna uchylił. W obszernej i wybielonej izbie, około stołu przed oknem, siedziało trzech młodych ludzi grających w karty. Pomiędzy nimi poznał Tymosz od razu Pawełka: był on ubrany w zieloną kurtkę, włosy miał ostrzyżone, chustkę na szyi starannie zawiązaną, i wyglądał jak pisarz, ekonom, lub jeszcze coś wyższego.

— Niechaj będzie pochwalony.....— rzekł dziad głośno, wchodząc i stając koło drzwi.

Nie odpowiedziano mu „na wieki“: lecz wszyscy trzej spojrzeli na dziada.

— Jak się macie Pawle?... Ja was ledwo poznał.

Pawełko w miejsce odpowiedzi, zaczerwienił się mocno, i jakby zawahał co ma odpowiedzieć.

— Cóż? nie poznaliście starego Tymosza Pawle?

— Czego chcesz dziadzie? po co aż tu włączysz, czy na dworze stać nie możesz?—rzekł z pomieszaniem Pawełek, groźną starając się przybrać minę.

— To znać, taki nie poznałeś mię—rzekł dziad kiwając głową— a to pewno i baćka swojego Waska nie poznałbyś; to i Paraski byś nie poznał. Oj Pawle, Pawle!..

— Pijanica jakiś!... plecie sam nie wie co — rzekł ciągle pomieszany Pawełek powstając.

— A tenże pierścionek?—rzekł dziad trzymając w rękę pierścionek—czy jego także nie znasz?.. Mogę ci go teraz oddać. Paraską kazała mi go oddać, kiedy już i jej znać nie chcesz—i położył pierścionek na stole.

— Pierścionek od Paraski?! ha ha ha! zawołał jeden z grających śmiejąc się—a to ładnie panie Paweł! a cóż na to powie panna Teofila?

Pomieszany coraz więcej Pawełek, powstał, i drżącym mówił głosem:—daj mi pokój dziadzie... idź sobie precz! Ja nie znam i ciebie i tych wszystkich, o których mówisz — Wziął go za ramię, wypchnął za próg i drzwi zamknął.

Tymosz słyszał jeszcze śmiechy towarzyszy, i wyszedłszy widział jak przez okno wyrzucił Pawełek daleko gdzieś za płot pierścionek.

— To już tak?! to takij pan.... to nie znasz ni Tymosza, ni baćka, ni Paraski! A bodaj ty tak zmarnował się! he, he!— i mrużąc tak do siebie, odszedł Tymosz, już nie zatrzymując się we wsi.

Łatwo sobie wystawić smutek i rozpacz Paraski, gdy się od Tymosza dowiedziała o wszystkiém. Wybiegała ona często na drogę, i niecierpliwie, gorączkowo wyglądała starego dziada; a gdy ujrzała zdala kiwającą się leniwo znajomą postać Tymosza, podbiegła doń wołając:

— A co Tymoszu? czy żyje? czy zdrow?

— Taż żyje i zdrow..... bodaj won zmarnował się!—odpowiedział dziad machnąwszy ręką.

Dziewczyna zbladła.

— A pierścionek mój?.....

— Oddałem jemu.....

Tu już odgadła cały ten cios, który przeczuwała; i gdy Tymosz wszystko jej jak było opowiedział, załamała ręce, pokiwała głową, i zaniosła się od płaczu wywodząc żale.

— Oj! moja suchoto! moja dolo nieszczęśliwa!.....

Trudno było ją pocieszać: to też dziad oprócz dorady, aby o niewdzięcznym zapomniiała, nic więcej na jej pociechę nie mówił, drugie obietnicę złotówki nie przyjął; a Paraska zawłókszy się do chaty, długą chorobą przyplaciła ten zawód miłosny.

Tymosz chciał zrazu taić przed Waśkiem tak naganne postąpienie syna, i zrazu na zapytanie gajowego o Pawelku, odpowiadał ni to, ni owo; lecz gadatliwość wrodzona przemogła, i w końcu wypowiedział wszystko, a stary gajowy pokiwał głową i wyrzekł:

— To syn już nie dla mnie, Iwanko tegoby nie zrobił. Niechaj tam jego! — i kiwnąwszy ręką, mocno strapiiony, choć tego starał się nie okazywać, już więcej o tym z dziadem nie mówił.

#### IV.

W jednym z niedalekich miasteczek Hryhorowa, w pięknym, obszernym, murowanym kościele, odbywa się solenne nabożeństwo. W kościele ludu siła, modlą się a szepcą pacierze i żegnają; organy pełnemi i poważnemi tony rozlegają się w świątyni; słońce smugami światła ściele się przez szyby dużych okien, a dym kadzideł wznosi się przed wielkim ołtarzem, gdzie otoczony duchowieństwem młody ksiądz mszę świętą odprawia. Pierwsza to msza młodego księdza, to też głos jego drżąco i nieśmiało się podnosi, a w bladłej jego twarzy znać tę pobożną radość a zarazem nieśmiałość przy spełnianiu po raz pierwszy tej wielkiej i świętej ofiary.

Ależ oto umilkły organy, dym kadzideł rozszedł się powoli, i młody prymicyant odchodzi od ołtarza i zbliża się do kratki oddzielających presbyteryum od nawy; cisnie się lud pobożny i rzędem klęka, a on na głowę każdego ręce wkłada i szepce modlitwę. Oto przez tłum przeciska się starzec z siwym włosiem, czerstwej twarzy, z zażawionem okiem, z krótką siwą brodą i siwemi brwiami, w kasztanowatej ubrany sukmanie, i w rzędzie klęka z innemi. Zbliża się kapłan i ręce układa na jego głowie, lecz ręce kapłana drżą w tej chwili na siwej głowie starca, a na twarz jakiegoś rzewne wystąpiło wzruszenie; i dłużej niż nad innemi trzyma swe ręce nad starcem, i dłuższą szepce modlitwę; w końcu ustami dotyka siwych tych włosów, i dwie lzy padają na głowę starca, a i stary drży jak listek osiki, której tyle i tak pięknej w hryhorowskim lesie, i lzy także cieką mu po zmarszczonej twarzy.

Łatwo odgadnicie że to był Waśko gajowy, który doczekał szczęścia widzieć swego syna sługą bożym, i że to były prymicye księdza Jana Semenowskiego. A po skończonym nabożeństwie przed kościołem, ludzie rozmawiali o młodym księdzu z szacunkiem i uszanowaniem, i powtarzali: „to Waśków syn — to Waśków syn“, i kiwali głowami. Mówili tam także i o drugim synie gajowego, który gdzieś w świat poszedł i słych o nim zaginał; i widziano, jak przy wyjściu z kościoła, ten syn w czar-

nój duchownego sukience ukląkł w obec ludzi przed ojcem i o błogosławieństwo prosił, a stary płakał z radości i rozrzewnienia, i błogosławił.....

## V.

W lat dziesięć po opuszczeniu Hryhorowa, trudno było poznać Pawelka. Służbę zmieniając często, służył on wreszcie u jednego z możnych panów na Wołyniu, jako ekonom dużego i dorobnego folwarku, i działało mu się dobrze. Widząc go, nigdyby powiedzieć niemożna było, że to ten niegdyś żywy i dziarski parobczak, tak czerstwy, tak rumiany i swobodny; wychudły, wybladły rozpustą i trunkiem, zatarł on w sobie zupełnie dawny charakter, i przeobraził tak, iż zdawało się, że w nim ani jednej cząstki dawnego Pawelka nie zostało. Że to nie było pod pańskim okiem, oficjalistom działało się dobrze, między nimi też i pan Paweł opływał we wszystko; mieszkał w ładnym dworku, hulał, kradł pana, jak ludzie mówili, a ostatnio konkurował o córkę dzierżawcy poblizkiego, za którą spodziewał się wziąć trochę grosza. Pozornie zdawało się, że to był szczęśliwy człowiek, ale ktoby zajrzał do jego duszy, widziałby tam obok kału i zbrudzonych uczuć, obok nałogów nagannych, niepokój, czasami i zgryzotę; i te wyrzuty, które często w chwilach samotnych, w chwilach rozwagi opadają winnego i dręczą tym więcej, im więcej je zagłuszać usiłuje. I nie raz w tym obfitującym w fizyczne wygody życiu, obraz ojca starego którego się wyparł, o którym zapomniał, który może w niedostatku umarł przeklinając syna, co go się wstydzil; obraz brata o którym także od lat dziesięciu nie słyszał i nie dbał; i ta pierwsza miłość Paraski zakłócały mu spokój. I gdy porównywał życie terażniejsze z dawniejszym, gdy swobodny, wesół, w sukmance, hukął po hryhorowskim lesie; o! wówczas tęsknił do tych chwil; a jednakże brnął dalej, i o ile można, głos ten duszy w sobie zagłuszał.

\*

\*

\*

Ładną najtyczanką i parą żwawych kasztanków, jechał pan Paweł z Wołynia do dóbr tegoż pana u którego służył, położonych w królestwie, wysłany w interesie przez rządcę dóbr. Przejeżdżając przez jedną wioskę już z tej strony Buga, odległą o mil kilkanaście od Hryhorowa, zatrzymał się dla popasu koni przed karczmą. W tej wsi był kościół, i właśnie wówczas odbywał się odpust, bo mnóstwo ludu przed kościołem, kramiki z drobiazgami zwykłymi na odpuszcie, i często odzywające się dzwony, świadczyły o tem. Dla skrócenia sobie czasu, podczas popasu koni, lecz nie w żadnej myśli pobożnej, bowiem od

czasn wyjazdu z Hryhorowa zapomniał całkiem o Bogu, o pa-cierzu, który dawniej co rano i wieczór z ojcem odmawiał, poszedł pan Paweł ku kościołowi. Tu gwar rozmowy, pieśni dziadowskie, odgłosy świstawek i fujarek sprzedawanych po kramikach; ten lud w ceglanych sukmanach, do którego dawniej należał, a którego się teraz wypierał i wstydził; ta mowa którą dawniej mówił: wszystko to żywe obudziło w nim wspomnienia o rodzinném miejscu; przypomniało praznik hryhorowski, i tem żywiej rozbudziło te dręczące i zgryźliwe myśli, które go tak często opadały. Wszedł wszakże do kościoła, przecisnął się przez tłum, i stanął pod chórem w miejscu nieco wolniejszym od natłoku. Organy rozlegały się w pełnej i majestatycznej harmonii, dzwonki dzwoniły przy ołtarzach, gdzie się liczne msze odprawiały. W chwilę umilkły organy, i na kazalnicę wszedł młody kapłan ściągłej bladawej twarzy, z czarnemi myślącemi oczyma, w białej komży, z różową u szyi kokardą; i zaczął głosem miłym, dobitnym, czytać ewangelią. Ewangelia ta była o odpowiedzi Chrystusa faryzeuszom i doktorom, o owcy zgubionej i o radości w niebie nad jednym grzesznikiem pokutującym, większej, aniżeli nad 99ciu, którzy nie potrzebują pokuty, i kończyła się słowy: „Taka, powiadam wam, będzie radość przed aniołami bożemi nad jednym pokutującym grzesznikiem“. Uchwyciwszy te ostatnie słowa rozwijać je zaczął kaznodzieja w pełném pięknych i wzniosłych myśli słowie o miłości Boga, o Jego dobroci i miłosierdziu nieskończoném; o powrocie do żalu i pokuty tych, którzy odeń odstąpili. Każdy jego wyraz czyto w prośbie łagodnej do słuchaczy, czyli też w groźbie, nosił na sobie cechę tego wewnętrznego przekonania o prawdzie którą ogłaszał. W miarę zapалу z jakim przemawiał, twarz jego ożywiona pokrywała się rumieńcem, oczy dziwnym uroczym jaśniały blaskiem; to znów głos mu drżał i oczy łzami zachodziły tak widocznie czuł to co mówił, i co chciał przelać w słuchaczy. Słowa jego proste, jędrne, zrozumiałe były dla ludu prostego; niemniej poruszyłyby one do głębi człowieka więcej oświeconego, więcej wymagającego. To też cisza w kościele, łzy w oczach słuchaczy, świadczyły o tém, że cel swój osiągnął, i do gruntu ich serca poruszył. I Pawelek słuchał, a z razu głos ten dziwne w nim obudził wrażenie; odbijał się on o jego duszę jakby coś dawno znajomego; a las bryhorowski, ojciec, brat i Paraska, żywiej mu niewiedzieć czemu na pamięć stanęli. Nie mógł sobie z tego zdać sprawy, ale słuchał dalej; a słowa kapłana, powoli, powoli, przebijały twardą opone grzechu i zepsucia, pokrywającą jego duszę, i wywołały żal i tęsknotę za dawném, czystém i swobodném życiem; żal szczery za to występne terażniejsze życie, ale z razu, żal bez pociechy i nadziei. Lecz drżącym

i przenikającym głosem wymówione słowa kaznodziei: „Miłosierdzie boże jest wielkie, byle żal, byle poprawa,“ w lały promyk nadziei w jego zrozpaczoną i skruszoną duszę, że to życie może być jeszcze wolnem od tych zgryzot, jakie przy największych dostatkach niemilém go czynią; że może jeszcze powrócić ten pokój, którego od opuszczenia Hryhorowa niekosztował; że ojciec jego jeszcze żyje, i że go przy zgonie nie przeklął; że mu jeszcze wszystko darować może i pobłogosławić; że zmieniawszy to życie pełne występków i rozpusty, żyć będzie dawném życiem pośród tych, których się wyparł i zawstydził. Tą łaską bożą oświecony, po skończoném kazaniu wybiegł z kościoła z sercem wzdętém od żalu, skruchy, tęsknoty i niepewności, a w uszach brzmiał mu ten głos, który go tak do głębi poruszył: „Miłosierdzie boże jest wielkie, byle żal, byle poprawa“.

\* \* \*

W tydzień potem, Pawełko ubrany w dawną swoją sukmanę, biegł na spienionym koniu przez las hryhorowski do Werchlisia. W oczach jego wpadłych i podsiniawych, znać było jakby obłąkanie; włosy i ubranie jego były w nieładzie, i popędał konia z gorączkową niecierpliwością, pochyłony naprzód. A wielką zmianę dostrzedz było można w lesie hryhorowskim od owej pory: dużo drzew wyciętych, dróżki i linie dawniej tak czyste, teraz pozarastały; dużo drzew powyracanych i gałęzi pociętych; nie było już znać tego starunku, téj czystości i porządku, jakimi się dawniej ten las odznaczał. A gdy wjechał na polankę rodzinną, gdy ujrzał zamiast chaty i całej osady, kupę gruzów, i śladu nawet ogródka nie dostrzegł, z piersi jego wydobył się krzyk przerażenia, i myśl, że ojciec jego umarł, rozpaczą napelniła jego piersi. I biegł dalej chcąc się stanowczo o swym domysle przekonać, a spotkawszy idącego drożką starego chłopca, którego może znał dawniej, ale w téj chwili poznać nie mógł, zwolniwszy biegu, wołał stłumionym i drżącym głosem:

— Gdzie Waśko Semenowski gajowy, czy żyje... czy umarł może?.....

Chłop spojrzał zdziwiony na tę dziwną niepokojem i niezwykłym wzruszeniem tchnącą postać, i odpowiedział:

— A tam w plebanii, u księdza.

Ciężar spadł z piersi Pawełka, i nadzieja w oczach zablęśla; i pocwałował żwawo ku plebanii już nie wdając się w dalszą z chłopem rozmowę. Wyjechawszy z lasu, ujrzał Hryhorów, stary, bardziej poczerniały, bardziej drzewami ocieniony; a w miejsce starego kościółka, ujrzał w témże samém miejscu nowy, zgrabny, ze świecą kopułką. A krzyż, około którego

schodzili się z Paraską, pochylił się znać przez burzę; a dąb stał jak dawniej wyniosły i okazały, bardziej może rozrosły. Przybiegłszy na dziedziniec plebanii, puścił konia, i wbiegł do dworku, do sieni: wtém, we drzwiach do izby prowadzących, ukazuje się młody ksiądz, o twarzy bladawej, ściągłej, pełnej łagodności, o oczach czarnych, myślących, spokojnych. Pawełek wpatruje się... ta twarz gdzieś mu znajoma... tak! to ów kaznodzieja, któremu winien swe nawrócenie..

— Mój ojciec... czy tu mój ojciec Waško?..—Pawełek pyta.

Zachwiał się na to zapytanie młody kapłan, postąpił, i wyraz:—bracie mój, Pawle!—drżąc wymówił; i rzucił mu się w objęcia.

Pawełek oniemiał; nie wyrzec zrazu nie mógł, a łzy tylko obfite puściły mu się z oczu, i cisnął do swych piersi brata, który dziwném zrządzeniem Opatrzności, wpłynął na jego nawrócenie. Trudno opisywać tę chwilę pierwszego uniesienia między braćmi: była to wymowna spowiedź szczerego żalu jednego przed drugim, przeplatana łzami żalu jednego, i słowami pociechy kapłana. Następnie ksiądz Jan opowiedział Pawełkowi, że ojciec słaby już od dawna; że często wspomina o nim, i boleje i narzeka na niewdzięczność syna, ale że zawsze jest skłonny do darowania mu wszyskiego, i prosi Boga, a żeby Pawełka mógł jeszcze przed śmiercią zobaczyć; w końcu dodał, że musi ojca przygotować spowoli do widzenia się z nim, gdyż to wrażenie mogłoby słabość jego powiększyć. Zostawiwszy więc Pawełka w pierwszej izbie, wszedł do przyległej, i po chwili powróciwszy, wziął brata za rękę, przyprowadził przed łóżko na którym leżał stary Waško ze zmienioną twarzą; i rzekł:

— Oto syn marnotrawny, ojczy, który błaga przebaczenia; daruj mu, bo żal jego szczerzy i wielki.

Tu Pawełek ukląkł, całował z płaczem nogi starca, a stary zapłakał, i przerywanym a stłumionym głosem mówił:

— Wiem, żeś się mnie powstydzil... i żeś pewnie zapomniiał o Bogu i cnocie; ale kiedy istotnie żal twój prawdziwy, daruję ci, i błogosławię...

\* \* \*

Nazajutrz stary Waško Bogu ducha oddał, a w dni kilka syn jego proboszcz hryhorowski i Pawełek, odprowadzili go na mogiłki.

\* \* \*

A Pawełko wkrótce przyjął służbę leśniczego u pana hryhorowskiego, wybudował sobie na Werchlisiu domek, i tam wśród szumu drzew, pośród których się urodził i wychował, osiadł, pracując i starając się las ów do dawnego przywieść po-



rządku. Korzystając z rad i nauki brata, żyjąc z ludźmi, których się dawniej wstydział, przez żal i poprawę, zwolna do dawnego powrócił spokoju i swobody.

Stary Tymosz poprzedził nieco Waśka, i umarł na kilka tygodni przed nim. Paraska przechorowawszy swój zawód miłosny, i popłakawszy jeszcze trochę, poszła wkrótce potem za mąż, za jednego z sąsiednich wiosek parobczaka.

*Leon Kunicki.*

### Doniesienia literackie.

#### WARSZAWA.

Wyszedł zeszyt IV Kościołów warszawskich, text J. Bartoszewicza, drzeworyty Michała Starkmana, i obejmuje: kościół księży Pijarów na ulicy Święto-Jańskiej, z drzeworytem, oraz pomniki grobowe dla Stanisława Konarskiego, Onufrego Kopczyńskiego i Edmunda Andraszka, i kościół Po Pauliński Św. Ducha wprost ulicy Mostowej, z drzeworytem.

— Druk trzeciego tomu „Słownika malarzów polskich“ E. Rastawieckiego już się rozpoczął. W ciągu kilku miesięcy będącieny więc mieli całe tak ważne i sumiennie opracowane dzieło, a jedyne co do swiej treści w literaturze naszej.

— Po wyczerpaniu wydania: „Historji literatury polskiej w zarysach“ K. Wł. Wójcicki przygotowuje drugie wydanie przerobione i pomnożone, które w 2-ch wielkich tomach wyda księgarz G. Sennewald. Tom I-szy w r. b. opuści prasę drukarską.

— Antoni Czajkowski, profesor w uniwersytecie petersburskim, dawny współpracownik Biblioteki Warszawskiej, nadesłał kilka utworów poetycznych, które w następnych zeszytach pomieścimy. Jeden poemat p. n. „Bianka“ przypisał tłumaczowi bezimiennemu: Pan dwóchset wysp, „czółem bijąc, poświęcam ten przekład w dowód wysokiego szacunku.“ Winniśmy przeto zawiadomić, że tłumaczem Pana dwóchset wysp, jako i poezji p. n.: „Paproć“ jest pani Ilnicka. A Czajkowski (jak w liście swoim do K. Wł. W. donosi) przygotował wiele rozpraw prawnych, które zachowuje do specjalnie prawnego pisma, jakiego potrzeba u nas oddawna uczuwać się dając.

— S. Orgelbrand rozpoczął już druk X-go tomu Historji powszechnej Cezara Cantu. Tom ten zamyka całość przekładu tego wielkiego dzieła. Tłumacz Leon Rogalski, w tomie XI-tym ma dać nam obraz literatury ludów słowiańskich. Praca ta wcielona do dzieła Cantu, będzie mogła być i oddzielnie nabytą.

— Powszechną, miłujących zasługi dla kraju, zwrócił uwagę ogłoszony w Dzienniku Warszawskim testament ś. p. Konstantego Świdzińskiego, który nieocenione swoje zbiory przeznaczył na użytek publiczny, i fundusz na zakupienie odpowiedniego domu lub wybudowanie, przeznaczył. Życzyćby należało, aby odpowiadając woli zmarłego, jeden z wyznaczonych opiekunów zajął się bezwzględnie zbieraniem od autorów i wydawców dzieł ważniejszych, któreby we właściwym czasie zbogacić mogły zakład Świdzińskiego. Od chwili bowiem śmierci jego, zbiory te nowemi dziełami nie zostaną zasilone. Myślimy, że każdy z auto-

rów chętnie jeden egzemplarz ze swych prac, na cel tak szlachetny poświęci.

— Główny redaktor Tygodnika lekarskiego Dr. L. Natanson, zdając sprawę w nr. ostatnim r. z. o zbiorze dziesięcioletnim swego pisma, staraniach i pracy w utrzymywaniu takowego, ośiarował rsr. 150 za trzy najlepsze prace oryginalne, nadesłane redakcyi w ciągu roku i umieszczone w tém piśmie, a zatem po rsr. 50 za każdą, bez względu na jej obszerność, stosownie do uznania kompetentnych sędziów, których imiona dla gwarancyi, obok imion uwieńczonych autorów w końcu roku umieszczone będą. „Jakkolwiek małowaznające będzie (pisze L. Natanson) powyższe wynagrodzenie, to pewni jednak jesteśmy, że chluba otrzymania nagrody pobudzi niejednego lekarza do wsparcia swą pracą pisma, które założone bez widoków spekulacyjnych, jedynie wspólne dobro lekarzy krajowych ma na celu”.

— Znakomity artysta, nasz rodak E. Boratyński, osiadły we Florencyi, zajmuje się obecnie w Monachium kopią dwóch pięknych portretów Zygmunta III-go króla polskiego i królowej Konstancyi, wielkości naturalnej i w całej postawie, malowanych przez Rubensa. Portrety te będą w Warszawie, gdyż je zamówił znany nasz uczony badacz dziejowy A. Przędziecki. Wierny ich przerys (w chromolitografii) ma być dany w seryi 2-ćj „Wzorów sztuki”.

— W Wrocławiu, w przekładzie niemieckim ma wyjść wkrótce powieść J. I. Kraszewskiego „Ostap Bondarczuk, a na czele tłumacz ma dać życiorys naszego autora. Pragnęlibyśmy wszelako, aby w przekładzie niemieckim określono wyraźnie okolice, w której rzecz się tej powieści dzieje, dla objaśnienia cudzoziemców; tym bardziej, że treść cała w najmniejszej części nie może się stosować do Królestwa Polskiego. „Chata w wsią” jedna z najpiękniejszych powieści J. I. Kraszewskiego, która wiele innych utworów jego przeżyje, ma wyjść w przekładzie francuzkim.

— Z początkiem b. r. zaczęło wychodzić w Poznaniu tygodniowo pismo peryodyczne p. n.: „Przyroda i przemysł”. Wydawcą jest Ludwik Merzbach drukarz poznański, redaktorem głównym Julian Zaborowski. W drugim zeszytce ogłosił taką odezwę do pisarzy polskich nakładca L. Merzbach: „Pranąc opatrzyć to pismo w artykuły jak najlepsze, a przytém wzbogacić literaturę nauk przyrodzonych, i dać pole zdolnościom może nieznanym; wzywam wszystkich piszących do udziału w konkursie rozpraw: z dziedziny nauk przyrodzonych, przemysłu lub agronomii, pod następnymi warunkami. Nagrody rozpraw uznanych za najlepsze są: 1-sza 40 dukatów; 2-ga 20 dukatów; 3-cia 10 dukatów. Rozprawy, którym nagrody zostaną przyznane, stają się własnością nakładcy. Ten oprócz nagród płaci zwykle przy tém piśmie honorarium arkuszowe. Rozprawy powinny: 1) być napisane oryginalnie, zrozumiale i popularnie, nigdzie nie drukowane. 2) Zapełnić przynajmniej 6 arkuszy Tygodnika wspomnionego, i mogą zawierać rysunki potrzebne do objaśnienia. Rozprawy ubiegające się o nagrodę, winny być odsyłane franko pod adresem nakładcy, z dołączeniem godła i nazwiska autora, w osobno zapieczętowanej kopercie, przed dniem 1 maja r. b. Nazwiska osób składających komitet, który przyzna nagrodę, czasu swego będą ogłoszone, a przyznanie nagród nastąpi 1 czerwca r. b.”

— Seweryna z Zochowskich Pruszkowa ukończyła powieść poetyczną p. n.: „Kacper Miaskowski”.—J. K. Gregorowicz, redaktor główny Gazety Codziennej i Rolniczej, pracuje obecnie nad książką dla rzemieślników.—Leon Kunicki przygotował do druku trzy tomy rękopismu p. n.: „Nad-Bużne” obrazy i powiastki, które zamierza wkrótce drukiem ogłosić.—Józef Paszkowski, znany już szacownie w piśmiennictwie naszym, zajmuje się od lat wielu przekładem dramatów Szekspira. Ukończył i przygotował do druku: Juliusza Cezara, Koryolana, Macbeta, Hamleta, Noc letnią, Kumoszki z Windsoru i w. i. Wkrótce damy poznać czytelnikom w piśmie naszym tę znamienitą i sumienną pracę, umie-

ścimy bowiem dramata niedotknięte dotąd piórem polskim.—Powieść K. Wł. Wójcickiego p. n. „Pałac i Dworek“, z której część I tomu Biblioteka nasza podała, ukończona w druku, wyszła z pod prasy.

— Gazeta Codzienna ogłasza ustęp z powieści Michała Grabowskiego (Edwarda Tarszy) „Pan Kaniowski“. Zaleca ją wierności kolorytu miejscowego, i dosadnie odmalowane charaktery, a wiernie i z prawdą.—Zygmunt Kaczkowski, o którego powieści dobijają się nasze gazety, ma wykończoną powieść ludową. Powieść ta, której tytułu nie znamy, ma być drukowaną w jednej z gazet warszawskich.

— Z dniem 1-y m marca wychodzi zaczęła „Gazeta Codzienna“ w formacie powiększonym do wielkości Gazety Warszawskiej i Dziennika, bez podniesienia ceny prenumeracyjnej. W odcinku drukuje najnowszą powieść fantastyczną Dra Teodora Tripplina, która ciągnąć się będzie przez miesiące marzec i kwiecień; po niej nastąpi powieść Zygmunta Kaczkowskiego w jednym tomie, osnuta na tle historycznej przeszłości.

— W ciągu b. m. wyjdą zeszyty: V-ty i VI-ty, drugiej seryi, „Wzórów sztuki średniowiecznej“ wydawanych przez Alexandra Przezdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego. Zawierać będą 4 tablice, z których 3 przedstawiają grobowiec króla Kazimierza Jagiellończyka w katedrze krakowskiej, dłuta znakomitego Wita Stwosza; a 4-ta pomnik grobowy biskupa Piotra z Bnina, we Włocławku. Trzy pierwsze tablice wykonane są wedle rysunków p. Łuszczkiewicza, profesora malarstwa w Krakowie, a czwarta wedle rysunku tutejszego artysty W. Gersona. Wkrótce po nich wyjdą zeszyty VII-my i VIII-my z portretami Zygmunta Augusta i trzeciej żony jego królowej Katarzyny Austriaczki, wedle Cranacha, z obrazkiem Matki Boskiej, po królowej Maryi Ludwice, i z klejnotami z XVI-go wieku. O tych zeszytach podamy później bliższą wiadomość. (Prenumerować można na drugą seryą Wzorów u osób na okładkach tego dzieła wymienionych: w redakcyi Biblioteki Warszawskiej i Gazety Codziennej, oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

— Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz) wydał część drugą „Chatki w lesie“, a dwie te części stanowią całość. Część pierwsza z małemi odmianami, na amatorskim teatrze w Suderwi d. 9 sierpnia r. z. była grana, dla uczczenia naszego poety i w jego obecności. Syrokomla sam o tem wspomina z rzewnem uczuciem we wstępie do 2-ej części.

*Lwów.* (Z listu). Znany wydawca Pamiętników Koniecpolskich i wojny chocimskiej Stanisław Przyłęcki, pracuje nad dokładną bibliografią polską. Jestto ogromna praca, która może być zadaniem całego życia. Alexander Batowski oprócz Kodeksu Tynieckiego, zebrał bardzo znaczne materyały do rokoshu Zebrzydowskiego z rękopismów współczesnych. Rzecz nadzwyczaj ważna, co wielce objaśnić zdoła ten dotąd fałszywie przedstawiany ustęp dziejów naszych.—Nakładca, który ofiarował potrzebną summe na wydanie „Monumentów“, na co oczekiwaliście, cofnął swoje deklaracyę, i Bielowski wyszukuje, czy nie znajdzie nakładcę, któryby pojmując wielkie znaczenie tego dzieła, chciał przyjść w pomoc wydawcom. Może u was kto się znajdzie, bo my mało mamy ludzi z głową i sercem. Tłumacz „Oberona“ Wiktor Baworowski, zajął się przekładem „Child Harolda“. Witowski przerabia i poprawia drugie wydanie swojej historyi naturalnej.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



Wszystkie godziny w tym roku były bez chmury  
14 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31

Dzień	BAROMETR w najwyższym sprężeniu do 0		TERMOMETR statyczny	
	0	10	0	10
1	755.00	755.00	1.0	1.0
2	755.00	755.00	1.0	1.0
3	755.00	755.00	1.0	1.0
4	755.00	755.00	1.0	1.0
5	755.00	755.00	1.0	1.0
6	755.00	755.00	1.0	1.0
7	755.00	755.00	1.0	1.0
8	755.00	755.00	1.0	1.0
9	755.00	755.00	1.0	1.0
10	755.00	755.00	1.0	1.0
11	755.00	755.00	1.0	1.0
12	755.00	755.00	1.0	1.0
13	755.00	755.00	1.0	1.0
14	755.00	755.00	1.0	1.0
15	755.00	755.00	1.0	1.0
16	755.00	755.00	1.0	1.0
17	755.00	755.00	1.0	1.0
18	755.00	755.00	1.0	1.0
19	755.00	755.00	1.0	1.0
20	755.00	755.00	1.0	1.0
21	755.00	755.00	1.0	1.0
22	755.00	755.00	1.0	1.0
23	755.00	755.00	1.0	1.0
24	755.00	755.00	1.0	1.0
25	755.00	755.00	1.0	1.0
26	755.00	755.00	1.0	1.0
27	755.00	755.00	1.0	1.0
28	755.00	755.00	1.0	1.0
29	755.00	755.00	1.0	1.0
30	755.00	755.00	1.0	1.0
31	755.00	755.00	1.0	1.0
31	755.00	755.00	1.0	1.0

# DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

## w Obserwatorium Astronomiczném

### WARSZAWSKIEM.

### Styczeń, 1856.

Styczeń 1856.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser-

watorium Astronomiczném Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 14<sup>m</sup>.45<sup>s</sup>,7 czyli w łuku 18°41'25",5 na

ziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6	10	4	10	6	10	4	10		6	10	4	10	6	10	4	10	de- szczu	snie- gu
		god.rano	god.rano	godz.w.	godz.w.	god.rano	god.rano	godz.w.	godz.w.		godz.rano	godz.rano	godz.wiecz.	godz.wiecz.	god.r.	god.r.	god.w.	god.w.		
1		762.69	763.27	762.67	761.52	— 1°7	— 0°9	— 1°9	— 1°9		poch. l. mg.	mgła	pochmurny	mgła	PnZ.	PnZ.	—	PdW.		
2		760.34	760.27	758.97	758.58	— 2.1	— 2.9	— 3.1	— 4.2		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	—	PdW.		
3		757.23	757.53	756.38	756.10	— 6.5	— 7.3	— 6.5	— 6.9		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
4		755.75	755.52	756.68	756.85	— 6.7	— 5.8	— 6.7	— 6.7		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
5		756.93	756.49	754.95	752.43	— 6.7	— 7.0	— 6.8	— 6.9		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdW.	—	Pd.		
6		748.11	746.31	743.30	741.30	— 8.2	— 5.6	— 2.7	— 1.3		pochmurny	lek.zamat.	lek.pochm.	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
7		739.38	739.56	737.84	736.89	— 3.0	— 1.9	— 1.5	— 0.5		pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Pd.	PnW.	—		
8	☉	732.08	730.98	728.76	728.79	— 0.2	+ 1.1	+ 2.9	+ 0.2	98.7	pochmurny	pochmurny	deszcz	pogodny	PdW.	PdW.	PdZ.	Pd.		
9		728.79	728.93	731.28	734.94	+ 0.8	+ 1.5	+ 0.8	— 0.6	99.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Pd.	2.8	
10		738.66	739.31	738.16	737.87	— 1.1	— 0.7	+ 0.4	+ 0.6	96.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	PdW.		
11		736.41	737.28	740.80	745.26	+ 0.4	+ 1.4	+ 0.1	— 2.7	96.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Z.	Pn.	PnZ.		
12		749.12	750.17	752.35	754.43	— 5.4	— 4.2	— 4.8	— 7.6	—	pochmurny	lek.pochm.	lek.pochm.	pogodny	—	PnZ.	Pn.	—		
13		758.58	761.11	764.31	766.29	— 8.7	— 8.1	— 7.6	— 8.2	—	pogodny	napół pog.	lek.zamat.	pochmurny	Z.	PnZ.	Pn.	Z.		
14	☾	764.16	763.40	762.49	762.02	— 6.1	— 4.9	— 3.0	— 4.0	—	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
15		759.43	759.20	754.35	751.08	— 8.7	— 7.7	— 3.6	— 6.4	99.7	pogodny	pogodny	pogodny	napół pog.	PdW.	Pd.	PdZ.	Pd.		
16		747.46	747.10	746.28	746.62	— 5.6	— 3.1	— 0.2	+ 0.4	98.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		
17		748.71	749.72	751.19	751.87	+ 0.2	+ 0.4	+ 0.7	— 0.6	99.0	mgła	poch. l. mg.	pochmurny	pochmurny	—	Z.	Z.	Z.		
18		749.62	749.33	746.94	745.43	— 3.3	— 1.3	+ 0.8	+ 1.2	91.5	pogodny	lek.pochm.	lek.pochm.	lek.pochm.	Pd.	Pd.	PdZ.	Pd.		
19		744.09	744.60	744.44	745.17	+ 1.2	+ 1.7	+ 2.2	+ 0.3	97.5	deszcz	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.	4.0	
20		742.51	739.56	737.00	737.18	— 1.0	+ 0.4	+ 2.3	+ 1.8	94.8	pr.pogodny	pochmurny	lek.pochm.	pochmurny	PdW.	Pd.	Pd.	PdZ.		
21		737.72	737.72	735.44	735.58	+ 1.5	+ 0.8	+ 2.7	+ 3.1	96.2	poch. mgła	pr.pogodny	lek.pochm.	pochmurny	PdZ.	PdW.	PdW.	Pd.	1.0	
22	☉	737.30	738.29	739.03	739.56	+ 2.7	+ 2.5	+ 3.5	+ 1.7	94.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	d.	1.4	
23		739.81	740.28	740.59	741.82	+ 0.8	+ 1.6	+ 3.3	+ 2.5	96.3	pochmurny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.		
24		741.92	741.86	742.36	742.75	+ 1.2	+ 2.4	+ 2.9	+ 1.6	99.2	mgła	deszcz	pochmurny	lek.pochm.	Pd.	Pd.	Z.	Pd.	6.8	
25		738.46	738.42	736.68	736.54	+ 3.1	+ 3.6	+ 5.4	+ 2.9	94.5	pochmurny	napół pog.	lek.pochm.	pochmurny	PdZ.	Pd.	Pd.	PdW.	5.2	
26		737.38	738.42	740.10	742.57	+ 1.1	+ 2.1	+ 3.1	+ 1.4	95.5	pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.	1.0	
27		745.02	745.70	745.84	745.27	+ 1.2	+ 1.6	+ 2.8	+ 0.2	95.0	pochmurny	napół pog.	lek.pochm.	poch. mgła	Z.	Pd.	Pd.	Pd.		
28		742.40	741.55	741.23	742.49	— 0.7	— 0.3	— 0.0	— 0.7	99.3	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	PnW.	Pn.	Z.	PdZ.		
29		742.86	743.14	742.22	741.17	— 0.2	+ 0.4	— 0.4	— 2.1	96.0	pochmurny	mgła	pogodny	pr.pochm.	PdZ.	Z.	Z.	Pd.	8.8	
30	☾	739.69	739.79	739.28	738.64	— 0.9	— 0.6	— 1.6	— 7.3	95.7	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	Z.	PdZ.	Z.	PdZ.	2.0	
31		737.77	737.41	735.20	734.29	— 3.5	— 1.3	— 1.5	— 6.9	91.2	pochmurny	pochmurny	lek.pochm.	napół pog.	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.	4.8	
sr.		745.819	745.878	745.391	745.519	— 2°13	— 1°36	— 0°58	— 1°86	96.0									22.2	15.6

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	745.652	27	6.545
Najwyżej barometr dochodził d. 13 o g. 10 w.	766.29	28	.694
Najniżej — — d. 8 o g. 4 w.	728.76	26	11.056
Średnia zmiana dzienna barometru	3.451		1.530
Największa zmiana dzienna barometru d. 11—12 o g. 10 r.	13.89		6.157
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	751.348	27	9.069
Średnia temperatura stycznia wynosi: i ta jest wyższa o	— 1 <sup>o</sup> .48 C.	—	1 <sup>o</sup> .18 R.
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	3.96 „		3.17 „
Największe ciepło było d. 25 o g. 4 w.	+ 5.44 „	—	4.5 „
Największe zimno — d. 13 o g. 6 r.	+ 5.4 „	+	4.32 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	— 8.7 „	—	6.96 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 15—16 o g. 10 w.	2.058 „		1.646 „
Termometrograf wskazał:	6.8 „		5.44 „

Maximum: + 5<sup>o</sup>.7 R. d. 25 p. p.

Minimum: — 8<sup>o</sup>.0 „, d. 15 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 96.0, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.73 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0.02 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 22.2 mil. czyli 9.84 lin. par.; z śniegu 15.6 mil. czyli 6.91 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 37.8 mil. czyli 16.75 lin. par.; ilość ta wody jest o 2.48 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w styczniu spada.

Dni pogodnych było 1, napół pogodnych 2, pochmurnych 28.

— deszczu 9 (d. 8, 9, 19, 20, 21, 22, 24, 25, 26).

— śniegu 5 (d. 11, 16, 28, 30, 31).

— mgły 8 (d. 1, 5, 9, 17, 21, 24, 27, 29).

Wichrów było 1 (1 Z).

Wiatrów mocnych 3 (3 Z.).

Wiatr panujący: południowy, często były także: południowo-zachodnie, zachodnie i południowo-wschodnie.

Styczeń r. b. był niepokodny, wilgotny, słotny, przeszło o 3 stopnie R. cieplejszy niż zwykle; w pierwszej połowie zimny, w drugiej łagodny i ciepły jakby w porze wiosennej. Najcieplejsze dni były: d. 7, 20, 22, 23, 24, 25, 26, 27; najzimniejsze: d. 2, 3, 4, 5, 11, 12, 13; niektóre dni odznaczały się prawie wiosennym ciepłem i tak: d. 23 i 25 termometr w południe na słońcu pokazywał 10 stop. R. ciepła. Barometr osobliwie w drugiej połowie przy wietrze południowym i południowo-zachodnim utrzymywał się nisko. Stan nieba był niepokodny; w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest: 4.1 : 6.7 : 20.2; w r. b. stosunek tych dni jest jak 1 : 2 : 28. Począwszy od d. 8 grudnia r. z. aż do dnia 8 stycznia r. b. przez dni 11, sadz gęsta pokrywała ciągle drzewa. Elektryczność atmosferyczna w dniach 1, 13, 15 18 była silna.

D. 30 między godz. 7 a 8 wieczór, świeciła zorza zodyakalna.

## SPIS RZECZY

### ZAWARTYCH W TOMIE PIĘRWSZYM

Z R. 1856.

#### *Materyały historyczne.*

	Stron.
Zakon Dobrzyńców aż do wdania się w układy z Krzyżakami; przez <i>Nepomucena Romanowskiego</i> .....	1
Legenda o ucieczce Samuela Koreckiego z niewoli tureckiej. Przez <i>Zygmunta Komarnickiego</i> .....	179
Słowo o dzisiejszych Łużycach i Łużycanach, przez <i>Oskara Flatt</i> ...	197

#### *Biografia.*

Józef Lompa i jego stanowisko na Szlązku. Przez <i>J. J.</i> . . . . .	378
Ryciny Jeremiasza Falcka, Gdańszczanina, Polaka, przez <i>Edwarda bar. Rastawieckiego</i> .....	525

#### **Nauki społeczne.**

Machiny parowe na wystawie powszechnój.....	100
---	-----

## Literatura.

	Stron.
Przysłowia i przypowieści od nazw panujących, przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i> .....	57
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna. VIII. Telegrafy i zegary elektryczne.—Maszyna amerykańska do składania czcionek.—Dywany.—Wystawa sztuk pięknych: Teodor Rousseau.—Bellel — Rosa Bonheur.—Isabey.—Diaz.—Zamknięcie wystawy.....	67
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa powszechna. IX. Wystawa przemysłowa: Wiadomości ogólne.—Lampy i świece.—Konserwy.—Wystawa sztuk pięknych: Cornelius.—Wilhelm i Fryderyk Kaulbach.—Hübner.—Knauss.—Malarze belgijscy.—Malarze hiszpańscy.—Wiadomości literackie.....	302
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Rzeźbiarstwo na wystawie: Cromwell, studjum historyczne pana Renée.—Oreste, dramat Dumasa przerobiony z greckiego.—„Obiaduję z matką”; noworoczna elegia teatru Gymnase.—Korsarz, balet w trzech aktach.....	551
Pamiętniki <i>Sabiny</i> z <i>G. G.</i> . . . . .	126, 220, 420
Przegląd literatury zagranicznej. I. Współczesna literatura angielska. Longfellow, Arnold, Smith. Przez <i>Felixa Jezierskiego</i> .	261
II. O powieściach ludowych w Niemczech, przez <i>I. Z.</i> . . . . .	278

### Powieści.

Synowie gajowego. Obrazek z nad Bugu, przez <i>Leona Kunickiego</i> .	594
---	-----

### Poezye.

Paproć, przez p. <i>Ilnicką</i> .....	32
Dzieci. Obrazek na ścianę chłopskiej chaty. Przez <i>T. L.</i> .....	92

### Dramat.

Gentile Bellini. Obraz dramatyczny, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i> .	288
Don Karlos. Poemat dramatyczny Szyllera. Tłumaczenie <i>Waleryana Tomaszewicza</i> . (Wyjątki).....	326
Hagbart i Sygna. Poemat w pięciu aktach Oehlenschlegera. Tłumaczenie <i>Juliana Bartoszewicza</i> . . . . .	439

### Sztuki piękne.

Sposób zapatrywania się Waldmüllera i Völkera na dzisiejszą sztukę malarską, przez <i>Lucyana Falkiewicza</i> .....	39
---	----



Przegląd muzyczny: Pani Gruszczyńska.—Precyoza.—Lalka norymberska.—Czwarty Śpiewnik Moniuszki.—Kujawiak Ig. Komorowskiego. Przez <i>M. K.</i> .....	155
Przegląd muzyczny: I. Teatr. II. Koncert na dochód ubogich: Marsz żałobny Chopina, instrumentowany przez Quattriniego. III. Nowakowski.—Ig. Komorowski.—Kania.—Krzyżanowski.—Sobański.—Kajetan Kraszewski. Przez <i>M. K.</i> .....	370

### Rozbiory.

Obraz słowa polskiego i jego odmian, przez X. P. Semeneńkę. Poznań. 1852. Przez <i>Wł. Sabowskiego</i> .....	164
Wieczne rozrywki przy kominku. Poznań. 1855. Przez <i>I. Z.</i> .....	363
Karola X Gustawa króla szwedzkiego trofea i sprzęty stołu, zdobyte przez Stefana Czarnieckiego w 1656 roku; opisane i ogłoszone przez hr. Eustachego Tyszkiewicza. Wilno. 1856. Przez <i>K. Wł. W.</i> .....	368
Dzieje Polskie wewnętrzne. Opis zwyczajów i obyczajów za panowania Augusta III, przez księdza Jędrzeja Kitowicza. 4 tomy. Petersburg. 1855. — Znakomici mężowie Polscy w XVIII wieku, przez Juliana Bartoszewicza.—Cmentarz Powązkowski, przez K. Wł. Wójcickiego. — Słownik malarzów polskich, Edwarda Rastawieckiego. T. 1. 2. — Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego, zebrał M. Ł. 1855. Warszawa. Przez <i>T.</i>	580

### Nauki przyrodzone.

O gąsienicach, które w miesiącu styczniu b. r. wyszły na śnieg przed gmachem Instytutu Szlacheckiego w Warszawie. Przez <i>Antonię Wagę</i> . .....	381
---	-----

### Nauki lekarskie.

O długowieczności ludzkiej. Wyjątek z niedrukowanej jeszcze <i>Hygieny polskiej</i> . Przez Dra <i>T. Triplina</i> . .....	393
<i>Kronika bibliograficzna</i> .....	188
Doniesienia literackie .....	189, 386, 614
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc listopad r. z. ....	193
— — grudzień r. z. ....	389
— — styczeń r. b. ....	617
Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych, w obserwatoryum warszawskiem w roku 1855 robionych.	

